

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ

JAN SŁOMKA
B. WÓJT W DZIKOWIE

PAMIĘTNIKI WŁOŚCIANINA

OD PAŃSZCZYZNY DO DNI DZISIEJSZYCH

Z PRZEDMOWAMI:
PROF. DR. FRANCISZKA BUJAKA
i
PROF. DR. WACŁAWA SOBIESKIEGO
DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ:
JAN SŁOMKA, MŁODSZY

WYDANIE II.

a-
uje
dodadzą
ą, wskażą,
ej, organi-
asa, którą
inną stronę



pa
łnie zı
Na niezwykı zazn dz
W kdostępne; są to albo s LUDOW



ai
aby
iał
erzy
emy
zy,

W KRAKOWIE.

PAMIĘTNIKI WŁOŚCIANINA



Jan Słomka, wójt w Dzikowie.



I

Wieś rodzinna i pochodzenie rodziny. Przesiedlanie się chłopów z Królestwa Polskiego do Galicji. Wspomnienia z r. 1846. Śmierć ojca. Szkółka w Dzikowie. Lata wyrostka. Uwolnienie od wojska i ożenek. Początek gospodarki. Powstanie w r 1863.

Wieś moja rodzinna Dzików leży nad Wisłą w powiecie tarnobrzeskim, tuż pod Tarnobrzegiem, przy granicy b. Królestwa Polskiego, rozciąga się na wzgórzu i odznacza się ładnem położeniem. Składa się obecnie z gminy obsiadłej w znacznej większości przez włościan, wśród których mieszkają rzemieślnicy, a także pomocnicy kancelaryjni i urzędnicy, zatrudnieni w Tarnobrzegu, — i z obszaru dworskiego, należącego do hrabiów Tarnowskich.

Powierzchnia gruntów w gminie wynosi 439 ha, dworskich 792 ha, razem więc 1231 ha.

Urodziłem się tu dnia 22 czerwca 1842 r.; w rodzeństwie składającem się z trzech braci i tyluż sióstr, byłem najstarszy. Rodzina moja tak z ojca, jak z matki, była zwyczajną chłopską rodziną, żyli, jak inni w owych czasach, — nikt w całej naszej dużej rodzinie nie umiał wówczas pisać ani czytać.

Ojciec mój Józef pochodził z b. Królestwa Polskiego, ze wsi Rądowęża. Przyszedł stamtąd do Ga-

licji z dwoma jeszcze braćmi, uciekając przed służbą w wojsku rosyjskiem, którą po upadku powstania w r. 1831 trzeba było odbywać w głębokich krajach rosyjskich przez długie lata.

Radowąż leży niedaleko Dzikowa po drugiej stronie Wisły, należy zaś do parafji koprzywnickiej w powiecie sandomierskim. Było tam dawniej wszystkiego ośmiu gospodarzy, mających nieduże grunta, mniej więcej pięciomorgowe, z których odrabiali pańszczyznę w miejscowym folwarku.

Jednym z tych ośmiu gospodarzy był mój dziadek Walenty, który żył przeszło 80 lat, a miał sześciu synów i córkę. Z tych trzej starsi, to jest mój ojciec ze starszym bratem Janem i młodszym Jackiem, przeszli — jak powyżej powiedziałem — na tę stronę Wisły i tu się osiedlili, młodsi zaś: Feliks, Piotr, Walenty i Marja pozostali za Wisłą i jest tam po nich druga połowa rodziny we wsiach: Radowężu, Sośniczanach, Łukowcu i Krzcinie *)

Na ojcowiźnie w Radowężu został stryj Feliks, a wszyscy inni pożenili się na gospodarstwa, wyno-

*) Walenty Słomka urodził się w Dzikowie 14 lutego 1785 r., Nr domu 27. Rodzicami jego byli Michał Słomka i Magdalena z Mortków z Dzikowa. Pochodzi więc z tej wsi. W r. 1807 ożenił się za Wisłą w Radowężu z Marją Janoszanką (wówczas od r. 1795—1809 oba brzegi Wisły były pod panowaniem Austrji, więc przesiedlania się za Wisłę nie utrudniała granica polityczna). Umarł 19 marca 1863 r. — Młodszy z synów Michała Słomki, Maciej, ożenił się w sąsiednim Mokrzyszowie, gdzie również jest po nim rodzina. — Daty powyższe wynotowane z metryk parafjalnych w Miechocinie i Koprzywnicy.

szące po kilka morgów. Najdłużej z moich stryjów żyjący Piotr umarł dopiero w r. 1909, dożywszy 88 lat. Na pięć lat przed śmiercią odwiedził mię jeszcze w Dzikowie i był jeszcze tak krzepki, że całą drogę z Sośniczan i z powrotem (przez komorę graniczną w Sandomierzu), wynoszącą około czterech mil, odbył pieszo. Mówił, że nogi ma jeszcze lekkie, i chód go nie męczył.

Ojciec mój ożenił się w Dzikowie na gospodarstwo, które wówczas za pańszczyzny stanowiło sześciomorgową zagrodę (Nr. domu 25) i według prawa przeszło z czasem na moją matkę, Jadwigę z Gierczyków. Młodsza siostra matki wydaną została na kmiece gospodarstwo 18-morgowe i według ówczesnego zwyczaju otrzymywała wiano w inwentarzu żywym i sprzętach domowych. Więcej potomstwa po Gierczykach nie było.

*
* *

Do Dzikowa przyszli jeszcze z Królestwa w tamtych czasach Michał Ozych, Onufry Skrzypczak, Piotr Dudek, Jędrzej Nawrocki i tu się pożenili, a i w innych nadwiślańskich gminach dość się wtedy zawiślaków osiedliło i przeważnie powybijali się na lepszych gospodarzy.

O ile pamiętam z opowiadania starszych, wszyscy oni nie mieli żadnych trudności przy osiedlaniu się w Galicji; o przynależność do gminy i poddaństwo austrjackie żaden z nich się nie starał, o tem nie było

nawet mowy, ale dochodził do tego poprostu tak, że się ożenił na grunt lub otrzymał go ze dworu i odrazu był traktowany i uważany, jak każdy inny w gminie zamieszkały. A ożenek też nie był wówczas trudny, bo parobek, który nic nie miał, mógł się żenić u zagrodnika lub u kmiecia, jeżeli miał tylko zdrowe ręce do pracy; przedkładał tylko do ślubu metrykę ze swojej parafji i sprawa była skończona. Dopiero w późniejszym czasie, jak ja już wójtem byłem, podawał się niejeden o przynależność do gminy i obywatelstwo austrjackie i to ludzie najwięcej takich zawodów, jak ogrodnicy, ekonomowie, rządcy, kasjerzy i t. d. — ze wsiowych żaden się o to nie starał.

*
* *

Z tego, co już sam z dzieciństwa zapamiętałem, najważniejsze wspomnienie odnosi się do roku 1846, do t. zw. rabacji galicyjskiej. Pamiętam, jak przez sen, jak ojciec mój wpadł do izby — a właśnie był u nas zabity wieprzek — i wołał do matki i babki: »Gotujta tę wieprzowinę, niech dzieci jedzą i wszyscy, a resztę trza zakopać, bo rabacja idzie, to wszystko zabierą, a i nas zabić mogą!« Wtenczas całą noc nie spaliśmy, tylko wszyscyśmy płakali, i był wielki strach w domu.

Z późniejszych lat pamiętam dobrze, jak starsi opowiadali u nas w domu i na różnych zabawach, że w owych dniach rabacji hrabia zwoływał gospodarzy ze wsi, należących do niego i prosił, żeby byli razem z nim do obrony, jakby co wypadło. Gospodarze

wszyscy przyrzekli, że pójdą w obronie, i w zamkowej kuźni ładowali kosy i inną broń do tego. Plan był ułożony taki, że jakby szła czerniawa w te strony, to miał wyjść ku niej ksiądz z monstrancją i wszystek lud w procesji z chorągwiami, z Miechocina ku Kajmowu i wzywać, żeby się wrócili, a gdyby tego wezwania nie usłuchali, to byłaby bitka.

Chronili się wtedy ludzie z innych dworów do zamku dzikowskiego, wszyscy jechali przerażeni, a między innymi jakaś pani, która leżała na bryczce z głową zwieszoną i zakrwawioną, a koło niej krzyczały dzieci. Na koniach piana stała, bo podobno panią tę napadli na drodze od Mielca i byliby zabili, tylko furman podciął konie i ocalił ją.

Nie było wtedy poczt, jak teraz, a począwszy od Baranowa ku Mielcowi, gdzie się już rabacja zaczynała, stały warty chłopskie po karczmach, tak, że nikt tam, ani nazad nie mógł przejść, ani przejechać, nie było przeto dokładnej wiadomości, co się dzieje za Baranowem. Więc dwaj gospodarze z Miechocina: Wawrzyniec Kozieł i Paweł Wiącek, poszli wysłani przez hrabiego, ażeby przedrzeć się ku Mielcowi i przynieść stamtąd wieści. Gdy doszli do Nagnajowa, już im tam ludzie doradzali, żeby się nazad wrócili, bo może być źle z nimi, ale oni na te przestrogi nie zważali i poszli dalej. Zaledwie jednak przyszli do Annopola, w bliskości Padwi, zastąpili im tam chłopi na drodze przed karczmą, a uznawszy za »szpiegów, wysłanych przez panów«, bili w okropny sposób i mor-

dowali i na miejscu obu zabili i tam przy drodze pogrzebali, — gdzie też dotychczas znajduje się mogiła, przy teraźniejszej szosie krajowej*).

Opowiali starsi, że czerniawa, należąca do rabacji, szła od wsi do wsi i wszędzie zabierała chłopów ze sobą, i w ten sposób tworzyła się coraz większa banda, a jakby niechciał kto z nimi iść, to bili i zabijali. Ale w każdej wsi było dosyć takich, co chętnie do nich przystawali: jedni dla rabunku, inni chowali różne zemsty za pańszczyznę, a zresztą robiła swoje

---

*) Opis powyższy zgodny jest w zupełności z zapiskiem z r. 1846, pomieszczonym w kronice (Liber memorabilium) parafji w Miechocinie. — Ważnem źródłem z tego czasu jest rękopis naocznego świadka, hr. Gabrjeli z Małachowskich Tarnowskiej p. t. „Zapusty 1846 roku". Dłuższe urywki i streszczenia z tego rękopisu, dotyczące ówczesnych wydarzeń podaje Michał Marczak w feljetonie p. t. „Powiat tarnobrzeski pod rządami austrjackiemi", pomieszonym w dwutygodniku „Głos ziemi tarnobrzeskiej", Tarnobrzeg, dn. 15. V. i 1. VI. 1924 r. Nr. 9 i 10. Rok II. — Pisze też o tem hr. Stanisław Tarnowski w „Naszych dziejach w XIX wieku" str. 77, Kraków, 1901.

Według miechocińskiej metryki zmarłych Wawrzyniec Kozieł miał lat 30, był centurjonem 40 pułku piechoty. Paweł Wiącek miał lat 40. Obaj zabici 22 lutego, pochowani po przeprowadzonej sekcji zwłok na cmentarzu w Miechocinie 7 marca 1846 r. Według opowieści miejscowych w Annopolu zabito wówczas 7 ludzi i pochowano przy gościńcu w rowie na granicy Padwi. Jednakże ciała Kozła i Wiącka — jak pisze hr. Gabrjela Tarnowska i podaje tradycja ludowa — zostały stamtąd wydobyte przez nieszczęśliwe wdowy po zabitych i przewleziono do Miechocina.

wódka, bo gdzie zdybali karczmę, to pili, co się dało, a czego nie wypili, to po pijanemu rozbijali i wylewali.

*
*   *

Od szóstego roku życia zacząłem pasać na pastwisku: trzodę, krowy i konie. Wówczas było to w zwyczaju, że z każdego domu musiał być pastuch, chłopak lub dziewczyna. Jeśli ktoś nie miał własnego dziecka, zdolnego do pasania, trzymał służącego-pastucha. Żadnego dziecka wsiowego pasanie nie minęło, każde musiało to przeterminować.

W 10-tym roku życia straciłem ojca, który w sile wieku zginął tragiczną śmiercią, wracając nocą po Trzech Królach z za Wisły razem z sąsiadem Franciszkiem Mortką. Pamiętam, jak tej nocy przyszli do naszego domu strażnicy austrjaccy, którzy pilnowali granicy od przemytników, obudzili dziadka i pytali się, gdzie jest podwójci, t. j. mój ojciec, ile ma dzieci i t. d. Ojca w domu nie było, więc się kazali prowadzić do wójta, gdzie zażądali podwody do Wisły. Gdy podwoda pojechała na wskazane miejsce, znaleźli ojca, leżącego bez życia na brzegu, a Mortka ciskał się jeszcze po ziemi. Zabrali obu do domu: najpierw zwłoki ojca, a potem Mortkę na drugi wóz. Ojca złożyli u nas w izbie na ziemi na prostej słomie. W domu było wiele płaczu i lamentu.

Była to nocna sprawa i trudno było dociec, w jaki sposób ojciec zginął. Strażnicy tłumaczyli się, że tak ojca jak Mortkę znaleźli nad brzegiem Wisły, żywych, ale nie mogących iść o własnej sile, dlatego

ich odeszli i udali się po podwodę. Powszechne jednak przekonanie było takie, że ojciec razem z Mortką powracali z Radowężą krypą, — bo Wisła wtedy nie była zamarznięta, — że krypa na środku rzeki się wywróciła, a oni chwyciwszy się jej końców, płynęli dalej zanurzeni w wodzie i wołali o ratunek. Gdy dobili do brzegu po tej stronie, natknęli się na zwabionych tem wołaniem strażników granicznych, którzy tak do ojca jak do Mortki mieli złość za przemytnictwo, bo nieraz były sprzeczki i bitki między strażnikami i przemytnikami. A chociaż wtedy ojciec i Mortka wracali z chrzcin od brata i szwarcunku żadnego nie wieźli, strażnicy rzucili się na nich i bili. O tem pobiciu świadczyły znaki czyli sińce na ciałach, nadto przy sekcji zwłok ojca, odbytej na cmentarzu, stwierdzone było rozbicie czaszki zapewne wskutek uderzenia piętą od gwera, a co według tłumaczenia strażników miało pochodzić od uderzenia głową o krypę. Mortka początkowo odmawiał w tej sprawie zeznania, dopiero przed śmiercią wyjawił, że zostali przez strażników pobici. Strażnikom owym uszło to wówczas bezkarnie. Byli wprawdzie przyaresztowani do śledztwa, ale wnet zostali uwolnieni i tylko przenieśli ich gdzieindziej, bo w Dzikowie było na nich wielkie oburzenie*).

---

*) Według metryk parafjalnych w Koprzywnicy i Tarnobrzegu Józef Słomka urodził się 11 marca 1819 r., umarł 10 stycznia 1852 r., więc w 33 roku życia. W rubryce przyczyna śmierci wpisano: „Apoplexia", zapewne na oznaczenie nagłego zgonu — Franciszek Mortka zmarł w dwa lata później, 30 marca 1854 r., mając lat 45.

Pozostało nas 6-ro dzieci sierotami, z tego dwoje najmłodszych pomarło w niespełna dwa lata po ojcu, a chowało się nas dalej czworo pod opieką matki i dziadków Gierczyków.

*
* *

W owym czasie nastała w Dzikowie szkółka elementarna, a założyła ją własnym kosztem śp. hr. Gabrjela z Małachowskich Tarnowska. Ona to sprowadziła panią, która nazywała się Pawłowska, i wybrała kilkanaście dziewcząt ze wsi, żeby je ta pani uczyła czytać, pisać i robót ręcznych.

Po roku czy dwóch istnienia tej szkółki — a miałem wtedy rok 12-ty — gdy przyszła jesień, i bydło przestało chodzić na pastwisko, prosiłem usilnie w domu, żeby mię posłali na naukę do pani Pawłowskiej. Po długich namysłach posłali mię i chodziłem na naukę przez zimę. Przez ten czas poznałem abecadło i nauczyłem się składać litery czyli »ślabizować«, bo wtenczas tak się nauka odbywała, że najpierw pokazywane były wszystkie litery, następnie uczono składać je w słowa — a potem dopiero czytać i pisać; do nauki zaś służyły małe książeczki, zwane groszówkami. Pani Pawłowska lubiła mnie i wyróżniała z pomiędzy dzieci, bo do nauki przykładałem się z ochotą i dobrze.

Nauka odbywała się w budynku hrabskim, dziś jeszcze istniejącym przy ulicy Zamkowej. Zaczynała się w jesieni, gdy bydło przestało chodzić na pa-

stwisko, a kończyła na wiosnę, skoro bydło zaczęli wyganiać i dzieci zaczęły pasać.

Pawłowska przestrzegała u dzieci pilności w nauce i przyzwoitego zachowania się w szkole i poza szkołą. Kto się nie uczył, musiał »trzymać osła za ucho«. Ta kara była największym wstydem wobec dzieci i bali się jej najwięcej, więcej, niż bicia linją po dłoni czyli t. zw. »pacy«.

Z końcem roku szkolnego był popis publiczny czyli egzamin, na którym bywała hr. Gabrjela Tarnowska, księża i rodzice dzieci szkolnych. Pawłowska prosiła zawsze, ażeby rodzice na egzanim przychodzili, zwłaszcza, gdy dziecko uczyło się dobrze. Dla rodziców było też to wielkim zaszczytem, jeżeli dziecko ich popisywało się dobrze na egzaminie w czytaniu, pisaniu czy rachunkach.

We wsi wszyscy tę panią nauczycielkę poważali, a matki dzieci, uczęszczających na naukę, zanosiły jej szczególnie w zapusty, na kolendę: kiełbasę, jaja, masło i t. p., — choć tego wszystkiego nie potrzebowała i nie prosiła o to, bo miała wikt w zamku. Ona też nawzajem umiała z pospodarzem czy gospodynią porozmawiać i uszanować ich.

Z wiosną po jednej zimie nauki, przestałem — jak inni — uczęszczać na naukę i całe lato spędziłem na pastwisku. Przestała też istnieć i ta szkółka w Dzikowie. Pawłowska przeniosła się do Radomyśla nad Sanem, gdzie z nią już po ożenieniu się widziałem. Przy tem spotkaniu jeszcze można było widzieć jej przy-

wiązanie i pamięć o dawnych dzieciach szkolnych, Witała mię tam, jak czuła matka, pocałowała w głowę i wypytywała troskliwie o tych, co do niej na naukę chodzili *).

Przez następną zimę chodziłem jeszcze na naukę do miasta, gdzie wtenczas uczył nauczyciel Karasiński, — i na tem się moja nauka szkolna skończyła. t. j., chodziłem do szkoły wszystkiego dwie zimy. Dopiero później, gdy zostałem wójtem w gminie, dużom nabrał wprawy w czytaniu, a zwłaszcza w piśmie przy pisarzu gminnym tak, że dziś na moją potrzebę ta nauka mi wystarcza. Umiem czytać, pisać i porachować, jak mam co.

*

* *

W 13-tym roku życia rozstałem się z pastwiskiem, a zostałem do roboty w polu i koło domu. Gdym miał lat 15, umarła nam matka po krótkiej chorobie

---

*) Wspomniana Pawlowska Franciszka, panna, położyła szczególniejsze zaslugi dla Radomyśla nad Sanem, gdzie założyła szkółkę dla dziewcząt i ze składek, które sama zbierała z podziwu godną wytrwałością i cierpliwością, przeprowadziła w r. 1865 budowę pięknego kościółka na wzgórzu zwanem „Zjawienie“, ku czci Matki Boskiej Bolesnej. Kościółkiem tym do końca życia opiekowała się, przystrajala go i utrzymywała w największym porządku. W r. 1863 oddawała usługi powstaniowi. Umarła w dzień M. B. Bolesnej i pochowana została na Zjawieniu. Mieszkańcy Radomyśla postawili jej pomnik bez żadnego napisu w myśl jej ostatnich życzeń. Poświęcono jej gorące wspomnienie w broszurce wydanej przez księży Augustynów pt. „Historja Radomyśla nad Sanem“ Kraków 1871.

na zapalenie płuc w 33-im roku życia, a przedtem dziadek Józef Gierczyk, dożywszy prawie 70 lat, — i odtąd chowaliśmy się dalej już tylko pod opieką babki i nieżonatego jeszcze stryja Jacka, który był naszym opiekunem i od śmierci ojca gospodarował na naszym gruncie.

Jak zapamiętałem, całe gospodarstwo było zawsze głównie na głowie babki, Kunegundy z Miśkiewiczów. Do niej należał zarząd domu, ona szła do urzędów, płaciła podatki, załatwiała sprawunki w mieście, na jarmarkach. Ojciec mój i matka nie zaczęli jeszcze samodzielnie gospodarzyć, a dziadek z natury bardzo spokojny, cichy, niełakomy na cudze, oddawał się głównie pracy w polu i koło domu.

Oboje byli bardzo pobożni, prawie dzień w dzień chodzili do kościoła OO. Dominikanów a corocznie pod jesień, na Pocieszenie, na odpust do Radomyśla nad Sanem. Babka do dnia i w dzień przy pracy śpiewała godzinki i pieśni nabożne, a wszystko z pamięci, bo czytać nie umiała. Żyli z sobą zgodnie, a w domu nie było swarów i kłótni, wódkę, jeżeli pili, to w miarę, nigdy nie upijali się.

Nadto babka była w okolicy głośną lekarką bydła, wzywali ją, gdy krowa zasłabła, nie mogła się ocielić i t. p. Przyjeżdżali po babkę furmankami o kilka mil, także i ze dworów. Raz jeździła do Wrzaw, do dworu barona Horocha. Dr. Babirecki w Tarnobrzegu także ją cenił. Ze dworów brała wynagrodzenie w ziarnie, od chłopów poczęstunek.

Była bardzo oszczędna i miała zawsze gotówkę w domu.

Od czasu, jak przestałem pasać, pomagałem w gospodarce, należało wtedy do mnie jako wyrostka poganianie przy orce, włóczenie, radlenie, robota przy sadzeniu, ogrzebywaniu i kopaniu ziemniaków, przy zbiorze siana i żniwie, przy wywózce nawozu i t. d.

Przytem noc w noc trza było jechać z końmi na pastwisko lub w swoje pole i spać przy nich bez względu na to, czy była pogoda lub niepogoda. Za posłanie służył jedynie worek próżny, który zresztą nie każdy miał z sobą, pod głowę uzda, na której się konie przyprowadziło. Legowisko musiało się kilkakrotnie w nocy zmieniać, bo za każdem przebudzeniem się trzeba było konie nawrócić i znowu kłaść się przy nich. Mogę tedy powiedzieć, że na pastwisku nie było kawałka ziemi, na którymbym nie spał w ciągu tych lat, jak z końmi na nocną paszę jeździłem.

W zimie zaś przychodziła młocka, rznięcie sieczki, zadawanie bydłu paszy, czesanie koni, nadto przyczyniało się mąkę na chleb i kaszę jeczmienną i jaglaną nie tylko na zimowe miesiące, ale i na całe lato, — słowem, lata wyrostka spędziłem bardzo pracowicie.

* * *

Zaledwie zacząłem się stawać parobczakiem, opiekunowie myśleli już o moim ożenku. Wprawdzie wówczas wczesne ożenienie się nie było w zwyczaju, i owszem mężczyzna z reguły nie żenił się przed 24

rokiem i przeważnie trwali w kawalerstwie do trzydziestu i trzydziestu kilku lat, chodząc na flis, służąc za parobków lub odbywając służbę wojskową, — a i co do dziewczyn, rzadko się trafiało, żeby która się wydała przed 24 rokiem, bo musiała wpierw — jak mówili — zapracować sobie u rodziców na wiano. Ale co do mnie, zachodziła ta okoliczność, że nie mieliśmy już ojca i matki, i opiekunowie, zwłaszcza babka, chcieli, żebym ożeniwszy się, wziął jak najrychlej obowiązek gospodarowania na siebie i żeby żona pomocną była w gospodarstwie.

Więc zawczasu starali się o uwolnienie mnie od służby wojskowej, a uwolnienie takie przysługiwało mi, ponieważ byłem najstarszy z rodzeństwa, i na mnie spadało całe gospodarstwo i obowiązek utrzymania rodziny. Dokumenty, zaświadczające to, wysłane zostały do Niska,[8] gdzie wówczas znajdowała się komisja wojskowa reklamacyjna, i stamtąd dostałem wezwanie do stawienia się na oznaczony dzień.

Pamiętam dobrze podróż w tym celu do Niska, odległego stąd 5 mil. Jechało nas trzech: wójt, ja i jeden z moich rówieśników, który także miał się stawić przed komisją reklamacyjną. Babka wywianowali mnie na drogę z dobrze wyładowaną torbą jak na tamten świat, bo były właśnie zapusty, i nie brak było w domu szperki i kiełbasy; również i u mojego kolegi było tego nie skąpo. W kieszeni miałem od babki parę szóstek.

Do Niska jechaliśmy dzień i noc, bo droga była zła, a do tego i wójt tak komenderował, że co karczma,

to stój i pij. Nie byłem zwyczajny takiej pijatyki, więc gdy nad ranem stanęliśmy w Nisku, byłem zupełnie nią zesłabiony. Wołają, że czas do komisji, a ja ledwie na nogach stoję — tak mnie wódka wzmocniła — ale mnie wójt doprowadził. Szczęście, że przed komisją nie kazali się rozbierać i długo mnie nie trzymali, — odczytali tylko papiery i ogłosili, że jestem wolny od wojska na zawsze. Z powrotem była jeszcze gorsza pijatyka i poniewierka, ale o tem szkoda pisać.

Tak się szczęśliwie skończyła ta podróż do Niska — ale upijanie się rekrutów, idących do poboru, zachowało się, niestety, do dnia dzisiejszego, choć dziś większa oświata, i raz już powinien zatracić się ten szkodliwy i haniebny zwyczaj.

*
* *

Miałem rok 19-ty, jak po raz pierwszy byłem drużbą na weselu, gdy żenił się stryj opiekun. Gdy po ślubie goście zajeżdżali do ratusza w mieście, gdzie grała muzyka weselna, musiałem jako »fryc« wjechać do tej gospody na koniu i stanąć tam przed skrzypkami. Taki był obyczaj, i każdy, kto pierwszy raz drużbował, musiał tę sztukę pokazać, inaczej musiałby się okupić półgarncem wódki. A sztuka ta nie zawsze była bezpieczna, bo do gospody w ratuszu tarnobrzeskim wjeżdżało się po schodkach, więc trzeba się było dobrze na koniu trzymać, żeby karku nie skręcić, zwłaszcza, że obecni konia podcinali.

Na tem to weselu babka upatrzyli mi narzeczoną, zmówiwszy się z rodzicami jej przy stole. Gdy rzecz

między sobą uradzili, przywołali do stołu nas młodych, którzyśmy się dotąd zupełnie nie znali i objawili nam swoją wolę.

Było wtedy powszechnie przyjęte, że rodzice lub opiekunowie sami stanowili o związkach małżeńskich swoich dzieci czy wychowanków, i chyba tylko starszy kawaler sam wyszukiwał sobie przyszłą towarzyszkę życia; dziewczyna zaś zawsze prawie musiała iść za wolą starszych, a jeżeli się upierała, to ją nawet pasem po plecach przetrzepali i musiała się zgodzić. Jednakże i po takim przyniewolonym ślubie małżonkowie żyli z sobą przeważnie dobrze, i mniej dawniej było tych niedobranych i nieszczęśliwych małżeństw, niż teraz, co się długo kojarzą i z wielkiego kochania.

Ponieważ jednak adwent zachodził, więc zaślubiny nasze zostały odłożone do zapust następnego roku. W międzyczasie było wiele nagabywania z różnych stron, abym się gdzieindziej żenił, przyczem obiecywali dobre warunki, — utrzymały się jednak pierwsze swaty i, skoro przyszły zapusty, pojechaliśmy z narzeczoną, w towarzystwie jej ojca i mojej babki, do pacierza i daliśmy na zapowiedzi. Ślub odbył się 30-go stycznia 1861 r. w kościele parafjalnym w Miechocinie.

Wesele było wielkie, zwłaszcza, że teściowie wydawali pierwszą córkę, a i ja żeniłem się pierwszy z rodzeństwa. Do ślubu jechało 40 fur krewnych, kumów, znajomych z Dzikowa, z Machowa, skąd byli teściowie, z Miechocina, Suchorzowa, Ocic, Chmielowa, Tarnobrzegu i parę fur z innych wsi. Zabawa



Marja z Tworków Słomkowa
* 25. XI. 1840, † 6. II. 1905.

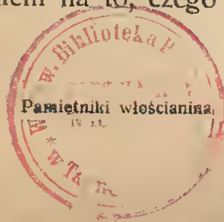
weselna odbyła się w Machowie i trwała cały tydzień, muzyka grała w karczmie u Majorka, gdzie wszystkie wesela machowskie się odbywały. To też pamiętam, że Majorkowi dobrze się powodziło, i, kiedy się przyszło do niego, zawsze można było zastać mięso koszerujące się w opałkach. Dziś ta cała familja jest biedna.

Ja na tem swojem weselu nie tańcowałem, dopiero w ostatni dzień z czwartku na piątek tańcowałem do rana, bo nie umiałem tańczyć, to się na ostatku chciałem nauczyć.

Ojciec żony, Jan Tworek, był gospodarzem w Machowie, trzeciej wsi od Dzikowa, posiadał 12 morgów gruntu, a pochodził podobnie, jak mój ojciec, z Królestwa, mianowicie z Łoniowa, wsi parafjalnej w powiecie sandomierskim; bo i w Machowie osiadło w tym czasie, jak w naszej wsi, kilku chłopów z za Wisły, tu się pożenili i byli najlepszymi ludźmi i gospodarzami. Mianowicie uciekli do Machowa przed poborem do wojska rosyjskiego: Jakób Chwałek, Jan Dąbek, Wawrzyniec Misiak, Tomasz Mortka, Jan Tworek i Michał Zak.

Żona, Marja, była najstarszą z ośmiorga żyjącego rodzeństwa; sprowadzając się do mnie, wniosła jako wiano od ojców dwie krowy, klacz, dwoje prosiąt i pół wozu. Taki posag był wówczas we zwyczaju i byłem z niego zadowolony, rachując przedewszystkiem na to, czego się sami dorobimy.

* * *





Po rodzicach spadało na mnie według ówczesneo prawa jako na najstarszego całe gospodarstwo, składające się — jak już powiedziałem — z 6 morgów razem z łąką, ogrodem i placem oraz z domu i budynków gospodarskich. Przedstawiało się ono na ogół lepiej, niż inne gospodarstwa, bo grunt był dobry i dobrze, jak na tamte czasy, uprawiony, pobudynki też nie najgorsze, i nie ciężył na niem żaden dług. Grunt jednak był rozrzucony, jak jest dotąd we wszystkich gospodarstwach.

Miałem za to obowiązek dochować młodsze rodzeństwo i dać im spłaty. Całe gospodarstwo było wtedy z urzędu oszacowane do 300 złr., więc dwom siostrom i bratu miałem spłacić według dekretu, po strąceniu należytości spadkowych po, 60 złr.

W pierwszych dwu latach małżeńskich pomagała nam babka, trzymając jeszcze całą gospodarkę w swoich rękach. Jej oddawaliśmy każdy grosz, i ona załatwiała wszystkie wydatki domowe. Gdy zaś umarła, mając lat około 70, wszystko już spadło na nas młodych.

Początek w gospodarstwie był ciężki, bo po śmierci babki siostra mojej matki wystąpiła z procesem o spłatę z połowy majątku, który po matce odziedziczyłem. Była ona — jak wspomniałem — dobrze wywianowaną, ale według prawa sądowego wiano to nie liczyło się do podziału spadkowego, bo nie było wyszczególnione w testamencie. Żeby się w proces nie wikłać, zgodziłem się dobrowolnie spłacić jej 150 złr., co bardzo chętnie przyjęła i od procesu od-

stąpiła. Ale musiałem zaraz na tę spłatę pożyczyć 100 złr.

Nadło siostry dorastały, i należało zająć się ich dalszym losem. A ponieważ pragnąłem zabezpieczyć im przyszłość rzetelnie, więc dałem im więcej, niż w dekrecie miały przyznane, mianowicie po mordze gruntu i inną pomoc.

Wprawdzie na razie, gdy pierwsza siostra wychodziła za mąż, według ustawy nie wolno było gospodarstwa dzielić, w praktyce jednak dzielili się wtedy gruntem tak dobrze, jak teraz, słownie lub pisemnie *). Pisemny zapis sporządzał zwyczajnie pisarz gminny, o ile już był w gminie, przy dwóch świadkach, z których jednym zawsze prawie bywał wójt, i kładł na papierze pieczęć gminną, i taki zapis uważali za zupełnie ważny. Ponieważ nie było hipoteki, więc nie oznaczali parceli gruntowej, tylko wymieniali nazwę niwy, gdzie grunt był położony, i opisywali z czyjemi gruntami graniczył. Skoro zaś hipoteka nastała, każdy zostawał przy tem, co miał w posiadaniu, a wykazywał to zapisem, i stwierdzali wybrani przez gminę mężowie zaufania.

Co do mnie, tak starszej, jak i młodszej siostrze dałem na razie grunt słownie, a formalnie zapisałem, jak hipoteka nastała. Sprawiwszy im wesela i wywia-

*) Wolność dzielenia gruntów nastała w r. 1868. Hipoteka zaprowadzoną została ustawą państwową o zapisywaniu praw hipotecznych z r. 1871 i ustawą krajową o urządzaniu ksiąg hipotecznych z r. 1874.

nowawszy je, zostałem przy czterech morgach gruntu, obciążonych paroma stówkami długu. Później także brata ożeniłem na większe gospodarstwo i dałem mu stosowną spłatę i pomoc.

Dochodów wtedy nie miałem innych, tylko z gruntu, z chowu bydła i trzody, i często zarabiałem furmanką, wyjeżdżając z urzędnikami na komisje albo w zimie do lasu po drzewo, a w lecie na robotę w polu u takich, którzy swoich koni nie mieli. Dziennie w ten sposób dało się wówczas zarobić reński, a w najlepszym razie półtora. Dochody te były niewielkie, ale w domu żyło się skąpo; jedliśmy to, co się zebrało z gruntu, i odzież była z domowego płótna. Więc do miasta nie wydawało się w roku więcej, niż 30 reńskich, w czem najwięcej wynosił wydatek na buty.

Pracowało się rzetelnie, więc było błogosławieństwo Boże, — pokonałem początkowe trudności, majątek z czasem znacznie się powiększył, i doszedłem do znaczenia między ludźmi.

*
* *

Na te czasy przypadło powstanie w r. 1863. Gdy coraz więcej narodu szło do powstania, i rósł zapał, rząd austrjacki nasłał konnicę i piechotę i obstawił granicę od Królestwa Polskiego. Wojsko rozkwaterowane było po wsiach i miasteczkach najbliższych granicy, więc i w Dzikowie stało pewnie przez półtora roku.

U mnie stało na kwaterze dwóch huzarów z końmi, a ku ostatkowi żołnierze z piechoty, i ci po większej

części byli Polacy. U mnie jedni i drudzy zachowywali się dobrze, ja też z nimi nawzajem dobrze się obchodziłem. Co było w domu, tem ich często poraczyłem, i oni również ze mną swojem się dzielili, więc jak odchodzili, to pożegnanie było dobre. Natomiast na innych kwaterach bywały częste awantury, gospodarze skarżyli się na żołnierzy, a ci na gospodarzy najwięcej o wikt.

Za kwatery te coś płacili, ale nie przypominam sobie, ile na dzień wychodziło, pamiętam tylko, że za obiady zwracali tyle, ile kosztowało mięso, pół funta na żołnierza. Obiady te na każdą kwaterę nosili ze wsi, jak wójt poprzedniego dnia rozporządził, on zaś co dzień po kolei naznaczał domy, na które w danym dniu przypadał ten obowiązek.

Zrazu nie było tak ostro, — żołnierze pilnowali tylko granicy, żeby powstańcy nie przechodzili. Później wojsko wykonywało coraz ostrzejsze rozkazy. Po drogach były warty, — każdy, kto jechał furą, był rewidowany, czy nie wiezie amunicji lub powstańca, musiał się wylegitymować, skąd i dokąd jedzie i w jakim interesie. Odbywały się rewizje, szczególniej po dworach, a jeżeli się wykryło coś, mającego związek z powstaniem, to brali do więzienia lub nakładali kary pieniężne.

Chłopi w sprawie powstania byli wtenczas zupełnie obojętni, tylko odzywały się głosy, że »dobrzeby było, żeby Moskala pobili a wygnali«.

Z Dzikowa poszedł do powstania młody hr. Juljusz Tarnowski, a do tego samego oddziału poszło też kilku mieszczan z Tarnobrzega. Wyjście ich odbyło się w tajemnicy i stało się wiadomem dopiero po bitwie, którą stoczyli. Jak potem różni opowiadali, oddział ten przeprawił się przez Wisłę pod Szczucinem, jednak już wprzód ktoś zdradził, że pójdą tamtędy powstańcy, i Moskale byli na to przygotowani. Więc ledwie się nasi przeprawili i odeszli od brzegu, rozpoczęła się bitwa, w której cały oddział został rozbity, wielu zginęło, a między nimi Juljusz Tarnowski, reszta dostała się do niewoli, a tylko garstka ocalała.

Pierwsza wieść o tem była bardzo tajemnicza, i nic pewnego nie można się było dowiedzieć, aż za kilka dni wiadomość stawała się coraz głośniejszą i dokładniejszą, a w Dzikowie największe wrażenie wywołała śmierć Juljusza Tarnowskiego. Żalowali go, że w tak młodym wieku zginął, mówili, że był dobry dla ludzi, i różnie opowiadali o jego bohaterskiej śmierci. Zwłoki jego przewiezione zostały na tę stronę i złożone w nocy w grobowcach w klasztorze OO. Dominikanów *).

---

*) Więcej wiadomości odnoszących się do r. 1863 mieści się w Przypisach na końcu książki, w ustępie pt. „Bitwa pod Komorowem“.

II.

Dzików za pańszczyzny. Wygląd wsi w czasie popańszczyźnianym. Domy mieszkalne. Sprzęty domowe i naczynia kuchenne. Pierwszy zegar. Pościel. Opał. Oświetlenie. Ubiór. Włosy. Pranie. Pożywienie. Studnie.

Dzików za czasów pańszczyźnianych należał do dominjum czyli do państwa dzikowskiego. Państwo to było z dawna własnością hrabiów Tarnowskich, którzy główną swoją siedzibę mieli w zamku w Dzikowie. Prócz Dzikowa należały jeszcze do tego państwa następujące wsie okoliczne: Miechocin, Zakrzów, Sielec, Wielowieś, Trześń, Sobów, Furmany, Zupawa, Jeziórko, Tarnowska Wola, Dęba, Rozalin.

Przy ostatku pańszczyzny wszystkich numerów czyli domów było w Dzikowie 42, tj. 12 kmieci, 23 zagrodników, 7 komorników.

Kmiecie mieli po 18 morgów gruntu i odrabiali pańszczyznę po 6 dni w tygodniu zaprzęgiem, tj. końmi albo wołami i narzędziami rolniczemi: wozem, pługiem, bronami, radłem itd. Dlatego prócz pastwiska gromadzkiego dla wszystkiego bydła w gminie, kmiecie posiadali dla koni i wołów osobne pastwisko około 50 morgów pod Zwierzyńcem i 6 morgów nad Wisłą,

t. zw. »Żydowskie krzaki« dla trzech kmieciów z przysiołka Podłęże. Zagrodnicy mieli 6-morgowe zagrody i z tego odrabiali pańszczyznę po 3 dni w tygodniu pieszo, swojemi narzędziami ręcznemi: cepami, sierpem, motyką, rydlem itp. Komornicy czyli chałupnicy posiadali tylko chałupy, nie byli obowiązani do żadnej robocizny pańszczyźnianej. Chodzili oni na zarobek do gospodarzy, którzy byli zajęci odrabianiem pańszczyzny i swego czasem nie mogli obrobić. Rozkaz wydawał ekonom dziś na jutro a ogłaszał polowy, z czem kto ma przyjechać względnie przyjść do roboty.

Jak starsi mówili, którzy pańszczyznę odrabiali i zapamiętali, to nie trzeba większej kary na ludzi, jak była pańszczyzna, że człowiek gorzej wtedy był traktowany niż teraz to bydlę, które jest uparte. Bili w polu i w domu za lada bagatelę tak, że tego, co od starszych ludzi słyszałem, opisać nawet nie można i jest to wprost nie do uwierzenia, jak się nad ludem pastwili.

Każdy gospodarz musiał przedewszystkiem we dworze swoją powinność odrobić, zaprzęgiem lub pieszo, a dopiero prawie nocami swój grunt obrabiał, obsiewał i plon z niego zbierał. Nie było wymówki, że ma w domu pilną robotę, bo jak nie wyszedł do odrobienia pańszczyzny, przychodził zaraz polowy, a gdy np. zastał gospodynię przy gotowaniu, to konewką ogień zalewał, w zimie okna i drzwi od domu poodejmował itp.

A gdy takie kary nie pomagały i nie miał kto pańszczyzny odrabiać, to przyjechał ekonom z polowymi i wyrzucili chłopa na drogę z domu i gruntu, a na jego miejsce innego obsadzili. I nie było się do kogo użalić i rekursu od tego, bo takie było prawo zwyczajowe i właścicielem wszystkiego był dziedzic, do niego należała ziemia, woda, nawet wiatr, bo np. młyny, poruszane wiatrem (wiatraki), mógł tylko właściciel dworu budować.

Dopiero gdy wszystkie powinności były odrobione, chłop mógł sobie zaśpiewać:

„Nie boję się pana ani okunoma,
Odrobiłem pańskie, mogę siedzieć doma".

W Dzikowie sami hrabstwo uchodzili za dobrych i ludzkich, jednakże nikt nie odważył się iść do zamku ze skargą na służbę dworską, bo ciby się wymówili, a skarżącemu tak potem dokuczyli, żeby mu się na zawsze odechciało szukać sprawiedliwości. Uciekać zaś nie było gdzie, bo gdzieindziej nie było lepiej, ale chyba gorzej.

*
*   *

Jak ja już zapamiętałem, koło r. 1860 było w Dzikowie wszystkiego około 70 numerów czyli domów, wszystkie z wyglądu zewnętrznego były do siebie podobne, stały przy samej drodze i tyłem do drogi. O ile były zagajone, to drzewami dzikiemi: dębami, wiązami, lipami i t. p., które po większej części wyrastały z »korzenia«, bez wiedzy i starania się o to gospodarza.

Podwórza ogrodzone były płotami z chróstu wierzbowego albo t. zw. »dronkami«, t. j. materjałem dartym czyli łupanym z drzewa sosnowego lub świerkowego albo wreszcie w dwie, trzy lub cztery poziome żerdzie. Nawet ogród zamkowy ogrodzony był wysokim płotem chróścianym, który co rok poprawiano i dopiero koło r. 1880 zastąpiono obecnem ogrodzeniem murowanem lub ostrokołem. Grodzenie ostrokołem, dziś tak rozpowszechnione, nie było wówczas znane.

Na gminę Dzików składało się kilka oddzielnych części, mających swoje nazwy, a mianowicie: Połać, Piaski, Nadole i przysiołek Podłęże.

Cała wieś miała wygląd staroświecki, zgoła niepodobny do tego, jaki dziś przedstawia. Od tego też czasu w ciągu kilku dziesiątków lat ogromnie się rozrosła, do czego w znacznej mierze przyczyniło się to, że leży pod bokiem Tarnobrzega, nie ustającego w rozwoju, tak że obecnie jest w Dzikowie cztery razy więcej domów, niż koło r. 1860.

*
* *

Dom mieszkalny gospodarza czy komornika składał się z jednej tylko izby mieszkalnej, przytem z dużej sieni i komory, a gospodarz posiadał nadto stajnie na konie, krowy, świnie i stodołę.

Wszystkie zabudowania włościańskie wznoszone były z drzewa okrągłego, tak, jak rosło w lesie, mało co ociosanego. Węgły wystawały prawie na pół me-

tra tak, że gdy później drzewo zdrożało, to węgły tę obrzynano na opał, a niektórzy robili to celem nadania domowi zgrabniejszego wyglądu.

Po wsiach okolicznych, zwłaszcza dalszych od Wisły, osiadłych w lasach na gruntach piasczystych, były jeszcze prawie wyłącznie chałupy dymne, w których paliło się na tak zwanej »babce«, t. j. na słupie ulepionym z gliny, a dym rozchodził się po całej izbie i drzwiami wydobywał się do sieni, a stąd na strych. W czasie palenia izba musiała być otwarta, a ludzie siedzieli nisko przy ziemi lub chodzili chyłkiem, bo inaczej dławił ich dym. Ściany były okopcone (nigdy nie bielone), ludzie czarni i przesiąknięci dymem.

W Dzikowie były już wtedy przeważne kominy wyprowadzone na dach, ale ulepione były z gliny, zarobionej ze słomą. Były też i ówdzie kominy urządzone z wypróchniałego pnia drzewnego, obrzuconego gliną. Pierwsze kominy murowane z cegły zaczęły nastawać tu u chłopów dopiero około roku 1870, równocześnie z blachami kuchennemi, rozpowszechnionemi obecnie, służącemi do gotowania.

Na razie w Dzikowie znane było tylko palenie »na kominie«, przyczem garnki ze strawą do gotowania przystawiane były do ognia albo stawiane wśród ognia, jeżeli się chciało gotowanie przyśpieszyć, a tu i ówdzie były w tym celu używane dynarki, czyli żelazne podstawki pod garnki.

Prócz tego w każdej izbie znajdował się piec chlebowy tak duży, że można w nim było upiec chleb

z pół korca mąki naraz, i piec do ogrzewania, do którego paliwo nakładało się z sieni przez długą szyję czyli tak zwaną »grubę«. Piece te budowane były z cegły surowej, niepalonej i zajmowały dużo miejsca w izbie, a sklepienie pieca chlebowego — »nalepa« i pieca do ogrzewania — »wierzchnica« było razem tak obszerne, że mogło spać na niem czworo ludzi. Sypiały też tam stale, zwłaszcza zimą, dzieci i dziewka służąca, a także każdy z domowników, ilekroć czuł się niezdrowym, i zbierały go dreszcze, wyłaził na piec, żeby się tam wyleżeć i wygrzać. Między piecami a ścianą był znaczny odstęp, i stanowiło to tak zwany »zapiecek«, gdzie także zwyczajnie sypiały dzieci.

*
* *

Urządzenie wewnętrzne domu było bardzo proste. Na sprzęty domowe, składały się: stół, który zresztą nie w każdym był domu, parę ławek, skrzynie, służące zamiast szaf, i łóżka albo wyrka, a prócz tego stały w izbie żarna do mielenia zboża, stępa do tłuczenia kaszy jaglanej, pęcaku, siemienia na olej i pniak do rąbania drzewa. Wszystkie sprzęty były ociosane tylko siekierą bez hebla. Tylko obrazami obwieszone były wszystkie ściany dokoła, — w tem się bardzo kochali. Ściany były bielone raz do roku, najczęściej na Wielkanoc.

W każdej izbie znajdowały się też dwie belki pod powałą, czyli t. zw. »polednia«, a suszyło się na niej drzewo na opał, nadto len i konopie i leżały bo-

chenki chleba. Podłogi nigdzie nie było, chyba we dworze. Gdy się krowa w zimie ocieliła, to ją sprowadzali do izby, żeby miała ciepło.

Do gotowania służyły głównie duże garnki gliniane. Później dopiero, mniej więcej równocześnie z blachami żelaznemi, zaczęły się więcej rozpowszechniać t. zw. »żeleźniaki« i kociołki (sprowadzane, jak wszelkie żelaza, z Tarnowa) niepolewane, służące do gotowania dla świń. Miski, dzbanki, donice były gliniane. Łyżki były tylko drewniane, znacznie większe od obecnie używanych metalowych.

*
* *

Zegara w całej wsi nie było. W każdym domu natomiast musiał być kogut, który głośnem pianiem w sieni oznajmiał zimą czas do wstawania. A piał on z nadzwyczajną regularnością, pierwszy raz na północek, drugi raz koło drugiej godziny, trzeci raz koło czwartej czyli »do dnia«, — pilnowała zaś piania tego najwięcej gospodyni, która budziła domowników już za drugim, a najpóźniej za trzeciem pianiem. Prócz tego wychodzili gospodarze na dwór i rozpoznawali po gwiazdach, jak rychło dzień będzie.

Mnie już na początku gospodarowania uprzykrzyło się to wychodzenie w zimie na dwór i śledzenie po gwiazdach, jak prędko wstać; kogut nieraz pomylił, bo zapiał na północek, a myślało się, że to już drugie lub trzecie pianie, — postanowiłem więc kupić zegar do domu. Żeby się zaś nie narażać z tego

powodu na przycinki ze strony sąsiadów, — zegar bowiem wówczas uważany był za wielkie dziwo i zbytek, — porozumieliśmy się z żoną, żeby przynajmniej jakiś czas ukrywać go przed ludźmi. Poszliśmy oboje do zegarmistrza w Tarnobrzegu i wybraliśmy zegar za 4 reńskie z nadmienieniem, że zegarmistrz ma go nam przynieść do domu wieczór i zawiesić na ścianie.

Tak się też stało. Rzecz jednak zaraz się wydała, bo dzieci, bawiąc się na drodze pod ścianami naszego domu, posłyszały wydzwanianie godzin. Zrobiły alarm i w mig po całej wsi poszła wiadomość: »U Słomki, zegar!« Niebawem mieliśmy pełno dzieci pod domem, przychodziły pod okna i przysłuchiwały się cykaniu zegara. Powoli przychodzili i starsi sąsiedzi, oglądali zegar i dziwili się, że mogłem wydać aż 4 reńskie, a ten i ów przygadywał, że bawię się w »pana«.

Później bliżsi sąsiedzi, jeżeli który miał gdzie iść lub jechać, przychodzili i za dnia i w nocy pytać się przez okno, która godzina. Z czasem każdy przyszedł do przekonania, że zegar to sprzęt w domu bardzo użyteczny, a dziś nie ma już domu w Dzikowie, żeby w nim zegara nie było, rozpowszechniły się też między chłopami kieszonkowe zegarki.

*
*   *

Pierzyny i poduszki były dawniej tylko po zamożniejszych i porządniejszych domach chłopskich, a u biedniejszych i zaniedbujących się zupełnie ich

nie było, i domownicy nakrywali się na noc, stosownie do pory roku, kożuchami, sukmanami lub kamizielami, słowem, tem, w czem za dnia chodzili. Dzieciom i służbie, co sypiali na piecu lub na zapiecku i ciepło mieli od pieca, wystarczyło nakrycie płachtą lub kamizielą. Łóżka po większej części stały z nocy rozbebeszone, co się zresztą i u teraźniejszych gospodyń trafia, jeżeli która niedbała; tylko dbalsze gospodynie zaścielały je na dzień i upodobanie w tem ciągle się podnosiło; ładna pościel stawała się chlubą każdej starannej gospodyni, która, przewietrzając w dni pogodne pierzyny i poduszki, chciała je zarazem ludziom pokazać i poszczycić się niemi przed sąsiadami.

* * *

Drzewo na opał — podobnie jak drzewo budowlane — brali chłopi dzikowscy z lasów w Dęby i Zupawie, należących do dóbr dzikowskich.

Jeszcze w 20 lat po pańszczyźnie, tj. do r. 1868, pobierali drzewo z tych lasów — jak za pańszczyzny — bezpłatnie, mianowicie mogli brać gałęzie suche, spadłe albo pozostałe ze ściętych drzew, nadto cienkie podsuszki, słowem, co nie dało się użyć na drzewo sągowe. Brali też z wyrębów grabarkę, tj. drobne gałązki, trzaski, szyszki, czem palili w piecach na ciepło.

Ale drzewo to wydawane było w ciągu tygodnia w oznaczone dnie, trzeba go było szukać i zbierać w lesie, żeby naładować furę. Na furę zaś niewiele

dało się ułożyć, gdyż wozy były kiepskie, droga ciężka i wynosiła 2—3 mil, konie słabsze niż dzisiejsze, bo nie dostawały owsa, więc taka fura opału wystarczała mniej więcej na dwa tygodnie i do roku trza było około 25 razy jeździć po drzewo do lasu. Dziś wprawdzie płaci się za drzewo, ale zajeżdża się w lesie do gotowego sąga i można dobrą furę naładować, a grabarki np. nie chciałby pewnie nikt dzisiaj zadarmo brać i odbywać po nią tak dalekiej drogi. Teraz też za pieniądze można sobie wybrać odpowiednie drzewo i nie zależy się od łaski pana, czy służby leśnej.

Drzewo budowlane na nowe budynki i poprawienie starych można było otrzymać za kwitem dworskim na przedstawienie gminy, że drzewo jest rzeczywiście potrzebne.

W roku 1868 gmina straciła ten serwitut lasowy czyli prawo do poboru drzewa opałowego i budowlanego w lasach dworskich, — otrzymała natomiast 23 morgi lasu w Dęby na własność. W rzeczywistości na zniesieniu tego serwitutu nic tak dalece nie straciła, zawsze coś zyskała na własność, bo przedtem wszystko było pańskie.

*
* *

Świecili w domu szczypami smolnemi, które paliły się na kominku zwanym »świecznikiem«, umyślnie na to urządzonym, przytem znane też były proste kaganki do świecenia oliwą. Pamiętam, jak raz dziadek Gierczyk, jeżdżąc po drzewo do lasu, przywiózł z Dęby



Dawny dom chłopski w Dzikowie.

pniaka smolnego i dużo uciechy narobił, żę szczyp do świecenia na długo wystarczy. »Dosyć — mówił — naszukałem się po lesie i ledwie tego smolnego pniaka zdybałem, ale czem wy, moje dzieci, będzieta kiedyś świecić, skoro lasy się umykają, i coraz trudniej o smolny kawałek drzewa?«

Ogień rozniecali zapomocą krzesiwa i hubki, a ponieważ to wykrzesanie ognia zadawało dużo trudności, więc gospodynie starały się przechowywać ogień w popiele, nawet z jednego dnia na drugi. Jeżeli zaś zupełnie wygasł, co zdarzało się często, to wstawszy do dnia, wyglądały u kogo się już świeci i tam posyłały »po ogień«. Kto był po to wysłany, brał do garnka żarzące się węgle i, nakrywszy je pokrywką, żeby po drodze ognia nie zapuścić, spieszył zaraz z powrotem do domu. Stąd poszło przysłowie: »wpadł, jak po ogień«, jeżeli się mówi o kimś, że w odwiedzinach krótko zabawił.

Dopiero koło roku 1860 rozpowszechniły się więcej zapałki, a prawie równocześnie wchodziło w użycie oświetlenie naftowe. Ale nim się rozpowszechniły dzisiejsze lampy, przez długi czas znane były tylko t. zw. »knotki« albo »gajsówki« małe, bez szkiełka i dające jeszcze światło tak słabe, że w izbie można było przy niem rozpoznać tylko grubsze przedmioty.

*
* *

Strój nosili taki, jaki sobie każdy sam w domu sporządził.

Odświętny strój mężczyzny składał się w lecie z koszuli, wypuszczonej na portki prawie po kolana, prócz tego z kamizieli.

Kobiety i dziewczęta na koszulę wdziewały w lecie także kamizielę albo zarzucały tylko ochtuskę; fartuchy i zapaski nosiły również z domowego płótna. Na głowie mężatki nosiły czapki kolorowe z materjału sklepowego, zawiązując na nich niekiedy chustkę zwłaszcza, jeżeli czapka była już stara i podniszczona. Dziewczęta szły do kościoła i na wesela z odkrytemi głowami, mając włosy splecione w warkocze, spadające na plecy, przystrojone wstążkami, rutą, barwinkiem i różnemi kwiatami.

W zimie mężczyźni wdziewali do kościoła kożuch i na to kamizielę, na wesela zaś, na większą paradę mieli zwykle sukmany z białego sukna, podobne do krakowskich. Wcgóle na wesela wszyscy starali się lepiej ubierać niż do kościoła, jak to zresztą i obecnie bywa.

Jako nakrycie głowy służyły białe sukienne okrągłe magierki, a starsi i poważniejsi miewali czarne barankowe czapki, podszyte białym barankiem, z tyłu spinane siwą wstążką, wysokie i dużych rozmiarów, pochodzące z za Wisły, później wyrabiane też przez żyda w Tarnobrzegu; były one drogie, w cenie 6—7 reńskich. Potem rozpowszechniły się czapki baranie mniejsze i tańsze, w cenie około 2 r., noszone do dzisiaj.

Mężczyźni opasywali się zawsze pasami. Starsi miewali jeszcze pasy szerokie, więcej niż na 6 cali,

że skórki cielęcej, wyprawionej na czerwono, złożonej podwójnie i zszytej górnym brzegiem. W pasach tych nosili pieniądze; przy wyjmowaniu pieniędzy odpasywali się i wytrząsali je otworem, pozostawionym w górnym brzegu. Młodsi gospodarze i kawalerowie nosili pasy węższe, zwane krakowskiemi, koloru czarnego, białego lub żółtego. Były one zazwyczaj tak długie, że można się było otoczyć dwa razy, przyozdobione guzikami i kółkami mosiężnemi, które w czasie tańca brzęczały. O tych pasach była śpiewka:

Krakowiaczek ci ja, przyznajcie mi tego,
Siedemdziesiąt kółek u pasika mego,
Siedemdziesiąt kółek ze samych obręczy,
Porachuj, dziewczyno, może będzie więcej.

Równocześnie rozpowszechniały się pasy czarne lakierowane, tak szerokie, jak krakowskie, a dłuższe jeszcze niż tamte. Przynosili je flisacy z Gdańska, płacąc za nie reński do półtora reńskiego.

Buty były tylko szyte dratwą i pierwsze buty »na kołkach« czyli zbijane kołeczkami szewskiemi budziły na razie wielki dziw u ludzi. Najwięcej były rozpowszechnione t. zw. majdańskie, tj. kupowane w Majdanie kolbuszowskim, a płacili za nie stosownie do wielkości 2 do 4 reńskich. Kto chciał mieć nieco lepiej uszyte i z lepszego materjału, zamawiał je u szewców w Tarnobrzegu. Ale prawie trzecia część ludności chodziła jeszcze w chodakach skórzanych, przerabianych ze starych cholew, a po wsiach lasowskich pra-

wie wszyscy nosili takie chodaki lub z łyka czyli kory drzewnej, najczęściej lipowej. A ponieważ chodaki lipowe były bardzo nietrwałe, więc mówili żartem, że lasowiak, idąc na wesele, ma na zapas do tańca kilka par chodaków za pasem.

W dni powszednie pracowali w takiem samem odzieniu, tylko w starszem już, zawalanem i podniszczonem.

Na ubraniach białych, zwłaszcza kobiecych, były różne kolorowe wyszycia; to lubili i na ten ubiór zwracali większą uwagę, na którym były wyszyte ładniejsze wzory. Koszule były wyszywane na kołnierzach, na piersiach, na rękawach, — fartuchy i zapaski u dołu, były też wyszywane chusteczki na głowę i ochtuski. Robiły to szwaczki po wsiach, a która umiała wymyślać ładne desenie, do tej nieśli robotę z całej okolicy.

Zresztą do przybrania stroju tak kobiecego, jak i męskiego, służyły najwięcej wstążki i tasiemki różnego koloru, używane też do spinania, np. pod szyją zamiast guzików, które mało były rozpowszechnione. Największą jednąk ozdobą u kobiet były korale, a im która była bogatszą, tem więcej ich miała, a na uroczyste występy dopożyczała sobie jeszcze od drugich. Na to był największy wydatek, bo korale kosztowały kilkadziesiąt i do stu reńskich, to też godzili na nie najwięcej złodzieje.

Koło r. 1860 i później jeszcze ubierano się tak w lecie, jak w zimie, i odświętnie, i w dnie powszednie przeważnie na biało, i kolor biały w odzieniu

z domowego płótna najwięcej panował, — ale strojniejsze kobiety i dziewki przywdziewały już spódnice i zapaski kolorowe ze sklepowych materjałów, nadto sklepowe chustki, chusteczki, gorsety, a mężczyźni spodnie i kamizelki sukienne siwe, na ciepło. Już matka moja miała takie stroje i kilka młodszych kobiet w Dzikowie.

Następnie ubiory ze sklepowych materjałów rozpowszechniały się coraz więcej, a koło r. 1870 przyjęła się już dobrze nowa moda. Niektóre kobiety miewały po 20 i więcej sklepowych spódnic, zapasek, chustek, czapek, — jedna nad drugą starała się modniej ubrać i na każde święto czy wesele wystroić się inaczej, a upodobania i gusta w tym względzie zaspokajały sklepiki żydowskie w Tarnobrzegu, których coraz więcej przybywało.

Była też moda, że kobiety wdziewały po kilka spódnic, po 5 i 6, na wierzch najładniejszą, a właściwie najnowszą, i koszulę miały na sobie nie jedną. Zaszczytem było, gdy kobieta wyglądała w sobie szeroka i tęga, gdy gospodyni ledwie we drzwi się zmieściła. Później nastała moda ściskać się i kobiety starały się być cienkie w pasie.

Z wyrobu czapek kobiecych słynęła w okolicy najwięcej Kokoszczyna*) z Sielca, która zamówienia na nie przyjmowała w mieście na jarmarku lub w nie-

*) Marja Kokoszczyna umarła w r. 1915, przeżywszy około 100 lat. Do końca życia cieszyła się dobrem zdrowiem i wykonywała wszystkie roboty w domu i w polu.

dzielę przed kościołem i tu je też rozdawała oczekującym na nie kobietom. Czapki te były robione z tektury i obszywane płótnem kolorowem. Z formy podobne były do infuły biskupiej, tylko były niższe. Niektóre kobiety miewały po kilkadziesiąt takich czapek, w różne prążki, kwiatki i przeróżnego koloru, płacąc za nie od kilku szóstek do reńskiego i więcej.

Koło roku 1875 zaczęły nastawać kaftaniki kobiece i bluzki męskie ze sklepowych materjałów, słowem, strój krótki, ale zawsze utrzymywała się wiejska moda.

Bieliznę i wogóle całe odzienie nazywali »smatami« lub »wdziewkami«.

* * *

Włosy nosili mężczyźni od małego chłopaka długie, spadające na kark. Dziewczęta do swojego wesela splatały jeden lub dwa warkocze, które w czasie czepin ucięte, przechowywały na pamiątkę w skrzyni same lub ich matki, albo sprzedawały żydówkom za kilka szóstek. Mężatki więc nosiły włosy przystrzygane, podobnie jak mężczyźni.

Rozdzielali je przez środek głowy, a tak niektórzy mężczyźni, jak i kobiety i dziewki, przystrzygali je sobie nad czołem, robiąc w ten sposób grzywkę, czyli t. zw. »angielczyk«, co było uważane za modne.

Czesali się zwyczajnie tylko na niedziele i święta, i dbały o to najwięcej jeszcze dziewczęta, na dni powszednie zaś wystarczało pogładzenie włosów ręką.

Co do zarostu twarzy, to wąsy przystrzygali albo zupełnie golili, brody zaś zawsze golili. Brzytwy przynosili oryle i każdy golił się sam w domu.



Pranie odbywało się zwyczajnie co tydzień, bo bielizny było szczupło, a zmieniali ją zwyczajnie w niedzielę rano. Bielizna i wogóle wszystkie »smaty« były do prania najpierw zamoczone na noc w dużych cebrach, następnie z pierwszego brudu były przepierane w sadzawce lub przy innej wodzie poza domem. Potem układali je w polewanicy na wysokich trzech nogach czyli t. zw. »tryfusie«, posypując warstwami cieniutko popiołem z twardego drzewa i polewali gorącym ługiem, otrzymanym z zaparzonego popiołu. Ług przeciekał przez wszystkie warstwy bielizny i sączył się dziurką, znajdującą się w dnie polewanicy do cebrzyka, pod nią ustawionego, skąd go wybierali i znowu zagotowywali do dalszego polewania, które trwało kilka godzin, dopóki się bielizna nie rozparzyła i nie rozgotowała. Żeby to przyśpieszyć, kładli do polewanicy żelazo lub kamień rozpalony do czerwoności i po zalaniu wrzącym ługiem nakrywali ją denkiem. Z tak wyparzoną bielizną szły znowu kobiety do wody, zawsze we dwie, bo jednej trudno byłoby grube »smaty«, naprzykład kamizele, wyżymać, i prały je na biało. Pranie więc było dokładne i »smaty« po wypraniu i wysuszeniu na słońcu miały przyjemny zapach.

Krochmal przyrządzany był w domu z mąki żytniej lub pszennej, zagotowanej i rozbitej w wodzie, wyglądał jak barszcz, gęsto podbity i do krochmalenia był rozcieńczany ciepłą wodą.

Prasowanie nie było znane, tylko maglowanie, do czego w każdym domu znajdowała się maglownica i wałek roboty domowej. Wymaglowane »smaty« odświętne składane były w wałki i układane w skrzyni.

*
* *

Co do artykułów spożywczych, to prócz soli i trunków nic prawie w sklepie nie kupowali. Ludność wsiowa żywiła się tem, co sobie sama na swoim gruncie posiała i posadziła. Ziemniaki, groch, bób, kasza, kapusta, barszcz, a przy tem chleb, to była zwyczajna strawa na śniadania, obiady i kolacje.

Placki na największe doroczne święta przyrządzali ze swojej mąki, zmielonej w żarnach albo też w młynie, t. zw. pytlowanej; w sklepie wsiowi mąki wcale nie kupowali. Mięsa bydlęcego cały rok gospodarz nie jadł, chyba, że był majętny, to kupił mięsa na święta Godnie i Wielkanocne, i jak był chory, — chociaż było tanie: funt po 6 grajcarów.

Nie było też w zwyczaju, ażeby gospodyni zarżnęła kurę lub usmażyła jaje na spożycie domowe; pierwsze i drugie było rzadkością. Jajka były używane prawie tylko na święta Wielkanocne albo dla chorych, albo usmażyła ich gospodyni na przyjęcie gościa, np. księdza, gdy chodził po kolędzie, uważa-

jąc to za najlepsze przyjęcie i uraczenie. Gospodyni wolała wszystko spieniężyć i soli za to kupić, mówiąc, że jak jest sól w domu, to zdaje się, że już niczego nie brakuje. Na przyrządzenie lepszego wiktu żałowali tak wydatku, jak i czasu i gospodyni zawsze mówiła: »Bede ta wymyślać, grymasy robić i czas tracić«. Ale poza najprostszą strawą nie potrafiła »grymasów« innych przyrządzić.

Spożywali wiele ryb, więcej niż obecnie, a łowili je w wodach stojących na pastwiskach i łąkach. Rozpowszechnione były karasie, linki, szczupaki. Jedli je gotowane.

Najwięcej jednak było piskorzów, szczególniej po wsiach lasowskich, w tamtejszych wodach bagnistych. Łapali je w ciągu całego roku, szczególniej w zimie, zastawiając pod lodem t. zw. »wirski«, plecione z wikliny, z grochowiną wewnątrz na przynętę; w ten sposób łapali je masami. Złapane nabijali żywcem na patyki czyli rożny i wędzili, ażeby nie podpadały zepsuciu. W takim stanie sprzedawali je chłopi na targach, nosząc na brzemieniu lub w opałkach. Funt można było kupić za parę centów. Dawali je najwięcej do barszczu, jak kiełbasę. Było to smaczne i pożywne jedzenie, ikrą można się było najeść jak kaszą.

Zbierali też więcej niż obecnie grzybów, mianowicie: prawdziwe, maślaki, rydze, kurki i spożywali je najwięcej gotowane z kaszą, albo też suszyli i takie dawali do barszczu w poście.

Potrawy maścili zwyczajnie starą słoniną lub starem sadłem, żeby omasta była »czujna« i nie trza jej było dużo dokładać. Każdy mniejszy lub większy gospodarz starał się zabić na swoją potrzebę karmika, gdyż z tego była omasta do wszystkich potraw domowych. Zamożniejszy gospodarz zabijał w roku dwa lub trzy karmiki, mniej zamożni dwie sztuki lub jednę — i przeważnie bili w zimie. Zresztą maścili masłem, a w poście wszystkie potrawy maszczone były olejem, najczęściej konopnym lub lniamym.

Z przypraw najpospolitsze były: mięta suszona i skruszona do gomułek; kminek, który sypali do kapusty, do ciasta chlebowego, a szczególniej po wierzchu chleba; koper krajany, używany w lecie razem z liśćmi burakowemi do barszczu i kiełbas; pietruszka do zupy ziemniaczanej czyli do ziemniaków na rzadko; wreszcie pieprz, używany do wódki, kiełbas, twarogu, gomułek, do barszczu, zupy ziemniaczanej i t. p.

Jak byłem przy rodzicach i dziadkach i przez jakie 30 lat, gdy na swoją rękę gospodarzyłem, śniadania, obiady i wieczerze na wsi były następujące:

Na śniadanie bywał zawsze barszcz i do barszczu chleb żytni razowy. Jeżeli gospodarz miał na tyle ziemniaków, to na drugie były zawsze ziemniaki maszczone albo tylko osolone; jak było chleba mało, to zastępowali go do barszczu ziemniakami.

Obiad składał się zwykle z dwóch potraw, z których pierwszą bywała zawsze kapusta, zasypana kaszą, drugą, kasza jaglana lub jęczmienna z mlekiem

albo maszczona, albo dla odmiany drugą potrawę stanowiły czasem kluski, paluchy z mąki żytniej lub pszenicznej grubej, w domu w żarnach zmielonej, z mlekiem albo maszczone, a czasem pierogi z serem, a w poście z makuchem.

Wieczerza była podobna, jak śniadanie.

Podwieczorki i podśniadki było zwyczajem dawać od św. Jana do św. Michała, ale tylko robotnikom do żniwa i kosy. Taki podśniadek czy podwieczorek składał się z kieliszka wódki, kromki chleba, do chleba była słonina lub masło, ser albo twaróg. Podwieczorki dawali też pastuchom pędzącym bydło na pastwisko, jak również dostawali oni do torby śniadanie i jedli je na pastwisku.

Był też zwyczaj, że do śniadania, obiadu i wieczerzy zasiadali wszyscy razem, ile było osób w domu: gospodarz, dzieci i sługi i jedli z jednej miski w ten sposób, że miska stała na ławie, stołku lub pniaku na środku izby, a wszyscy otaczali ją dokoła, przyczem starsi zwyczajnie siedzieli, a młodsi stali. Jeżeli zaś rodzina była liczniejsza, to jedni przez drugich z daleka do miski sięgali. Przed jedzeniem uwijano się, żeby złapać jak największą łyżkę. Jedynie gospodyni nie mogła jeść razem, bo ciągle dodawała do miski strawy, a jak jedli barszcz, to gospodarz lub starszy parobek był w kłopocie, bo musiał wszystkim chleb do barszczu drobić, a sam miał tyle czasu na jedzenie, jak przestał drobić. To też drobił zwykle

wielkie kawałki, aby mniejsi dłużej się nad niemi zabawiali, a on tymczasem mógł więcej zjeść.

Apetyt u ludzi w owych czasach był nadzwyczaj dobry. Barszczu musiała gospodyni gotować tyle, ażeby na każdą osobę mniejszą czy większą wychodziło przeciętnie co najmniej pół litry, chleb piekło się zwyczajnie co tydzień z pół korca żytniej mąki. Ziemniaków czy kapusty wystarczyłoby obecnie dla pięciu, co wtedy zjadał jeden.

Kawa, herbata, cukier, ryż, rodzynki, migdały, pomarańcze, cytryny, dziś sprzedawane w każdym sklepiku z artykułami spożywczemi, przeważnie nie były znane na wsi. Na razie były tylko w sklepie u Engelberga i Giżyńskiego w Tarnobrzegu.

Kawa i herbata, jeżeli była używana, to tylko na wielkie święta: Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Gdy coś ziarnek kawy po tych świętach zostało, zawijali je i przechowywali do następnych świąt. Gospodynie w Dzikowie nauczyły się jej gotować od kucharek pańskich w Tarnobrzegu i jedna od drugiej. Na dalszych wsiach od miasta dłużej nie była znaną i z tych czasów pochodzi następujące opowiadanie: Kobieta jedna chciała się postawić na przyjęcie księdza, który z organistą miał jeździć po kolendzie, a ponieważ słyszała, że księża i panowie najwięcej kawę piją, więc postanowiła go tem uraczyć. Kupiła kawy, ale przyrządziła tak, że wsypała całe ziarna do mleka i gotowała, żeby ziarna zmiękły. Gdy ksiądz przyszedł, wlała mleko z kawą na miskę i postawiła na stole, a po-

nieważ ziarna kawy tonęły w mleku, wyjaśniała: »Niech jegomość zamieszają, bo kawa jest na spodzie«. Dopiero ją ksiądz pouczył, jak się kawę gotuje.

*
* *

Studnie były drewniane i przeważnie tak liche, że ledwie konewka mogła się do studni zmieścić; był to poprostu dołek, wykopany na wodę, z którego każdy czerpał swoją konewką. Jak zapamiętem, w Dzikowie na obejściach gospodarskich było wszystkiego trzy, może cztery studnie, z których cała gmina wodę czerpała, a również tak było w sąsiednich wsiach: w Miechocinie, Kajmowie, Machowie, Zakrzowie, nie było tam więcej, jak po dwie, trzy studnie.

Gospodarz mający studnię u siebie, miał z tego powodu dosyć kłopotu, bo drudzy pędzili dniem i nocą na jego obejście konie i bydło do pojenia, a także brali wodę do picia dla ludzi.

Gdy było sucho i wody mniej, to do takich studzien nocami się skradali, żeby wody czerpać, a sam właściciel studni musiał się w wieczór w wodę zaopatrywać, żeby mieć na drugi dzień rano na swoje potrzeby, bo gdy wstał później, już wody dla niego zabrakło; niektórzy zamykali studnie na noc przed sąsiadami. Jeżeli zaś w studni wody zupełnie zabrakło, lub blisko jej we wsi nie było, gospodarze wyszukiwali źródła wodne za wsią, kopali tam dołek na ściek wody i stamtąd ją nosili lub wozili.

A cała ta bieda z wodą stąd pochodziła, że chłopi nie mieli w zwyczaju kopać studzien. Jak jeden w gminie, kopiąc studnię, na źródło nie natrafił i wody nie dostał, to już długie lata opowiadali sobie o tem legendy i ojciec przekazywał to w spuściźnie synowi, że ten, a ten wybierał studnię i do wody się nie dobrał, zatem już w tej stronie źródła nie znajdzie.

Pamiętam, gdy żeniłem się w r. 1861 w Machowie, teść w te słowa żalił się przede mną: »Moje dziecko, wszystkoby w naszym Machowie uszło i byłoby dobrze, ale najgorzej z wodą: jedna studnia u Sawarskiego nie może wody nastarczyć, dzieci po nocach muszą chodzić za wodą, nadźwigają się i namęczą; u Garbosia przed paru laty chcieli wybrać studnię, wykopali dół głęboki, ale wody nie było i musieli nazad zawalić«.

Tak samo narzekali w Dzikowie. A dziś tak w Dzikowie, jak w Machowie i innych wsiach, gdzie dawniej była bieda bez wody, niema prawie zagrody, a nawet komornika, żeby na swojem obejściu studni i wody nie miał i to mają studnie przeważnie betonowe, które bez wielkich zachodów i z łatwością dadzą się urządzić i są tańsze a trwalsze, niż drewniane. Dzisiaj we wszystkich wsiach w okolicy wody jest podostatkiem, a cała tajemnica tej przemiany leży w tem, że obecnie wzięli się do kopania studzien, czego dawniej w myśli nie mieli i nawet tam nie kopali, gdzie woda była blisko pod powierzchnią i łatwo ją można było dostać.

III.

Uprawa gruntu. Wartość gruntu. Narzędzia rolnicze. Nasiona i kolejne następstwo płodów. Ogrodnictwo i warzywnictwo. Kwiaty w oknach i ogródkach. Pszczelnictwo. Pastwisko. Hodowla i ceny koni, krów, trzody i drobiu. Głody za pańszczyzny i niedostatek chleba w czasie popańszczyźnianym Drogi. Wylewy. Pożary. Klimat dawniejszy.

Uprawa gruntu w czasach popańszczyźnianych była bardzo licha i to zarówno we dworze, jak i na wsi. Tak tam, jak i tu, grunta były zarośnięte, na środku niwy rosły ciernie i chwasty różnego rodzaju, perz wszędzie plenił się tak, że pług trudno było do ziemi włożyć; nie brak też było dołów z wodami i różnych nierówności. W stertach zbożowych na niwach pańskich gnieździły się świnie dworskie i chłopskie, i nikt się o to nie gniewał.

Mało się wtedy o to troszczyli, aby ciernie wykopać, grunt odwodnić, zrównać, z chwastów i perzu oczyścić; zamiast łąki były bagna. Blisko trzecia część ziemi leżała odłogiem, nieuprawiona. Chłop był przyzwyczajony za pańszczyzny robić w gruncie, jak za szarwark, aby mu dzień zeszedł, tak u siebie, jak i we dworze; miał to na myśli, że to wszystko gospodarstwo nie jego, więc spychał tylko robotę z dnia na dzień.

Taka licha uprawa była jeszcze ze 20 lat po pańszczyźnie, — potem dopiero zaczął się postęp, najpierw we dworze, a następnie i u chłopów.

Orali wszędzie w czteroskibowe zagony, więc wskutek tego wiele pola odchodziło bezużytecznie na brózdy. Ale kolejne następstwo robót w gruncie było takie mniej więcej, jak obecnie. Ścierniska były najpierw pokładane czyli przeorywane, następnie zawłóczone bronami, — a gdzie było więcej perzu, tam przed włóczeniem radliło się osękiem; pod siew zaś albo jarzyny orało się drugi raz na świeżo. Ziemniaczyska zawłóczyli tylko z perzu i chwastów i dopiero pod siew orali. Jednakże z powodu lichych narzędzi grunt nie był tak czysto wyprawiany, jak obecnie.

Ugorów chłopi nie zostawiali; zostawiano je tylko we dworze dla dworskiego bydła i wołów. Grunta 5-tej klasy, których we wsi najwięcej, t. j., na Ogniskach i w Nawozach, nawozili gnojem co cztery lata, nad Wisłą zaś w lepszym gruncie gnoili rzadziej*).

*
* *

Jaka była wartość gruntu w pierwszych latach po ustaniu pańszczyzny, tego nikt nie wiedział ani nie

---

*) Przy klasowaniu gruntu brana jest pod ocenę jakość gleby wierzchniej i warstw podwierzchnich, i stosownie do tego grunt orny dzieli się na 6 klas, łąki na 8, ogrody na 4, pastwiska na 3 klasy. W Dzikowie są grunta, łąki, ogrody i pastwiska wszystkich klas. Nazwy pól są tu następujące: Ogniska, Podgórze, Zagródki, Zastawie, Wągrody, Jaksiny, Łańszcz, Nawozy.

słyszał, żeby kto grunt kupował i jakieś pieniądze chciał dać.

Wogóle przed nastaniem wolności dzielenia gruntu i hipoteki nie kupowali chłopi gruntu wiecznością. Zwyczajnie mówili; »Czyto będę wiecznie żył, żebym kupował wiecznością«. Zresztą handel ziemią był utrudniony, bo na sprzedaż trzeba było otrzymać pozwolenie z Rzeszowa. Brali więc wtedy grunt tylko w dzierżawę, płacąc z morgi 5 zł. rocznie i to najczęściej nie pieniądzmi, ale ziarnem lub ziemniakami na wiosnę. Tego zwyczaju trzymał się ogół chłopów jeszcze i po nastaniu hipoteki i we wsi mogło się znaleźć na razie zaledwie paru takich, co z tym zwyczajem zrywali i grunt nabywali na własność.

Dobrze pamiętam ten fakt, bo byłem już sporym chłopakiem, jak jednego wieczora do dziadka mojego przyszedł z flaszką wódki niedaleki sąsiad i kum i zaofiarował dziadkowi zamianę swego gospodarstwa za gospodarstwo dziadkowe. »Macie — powiada 6 morgów gruntu i dajecie sobie jakoś radę, nic wam nie brakuje. Ja mam 18 morgów tej samej ziemi, i jakoś mi ciężko idzie. Ano kumie, mieniajmy się, szyja za szyję: wy przejdziecie na moje gospodarstwo, a ja na wasze«. A na to dziadek: »Kumie, wszystkobym wam zrobił, ale tego nie zrobię, — mnie tego gruntu wystarczy, chcę głowę położyć na swojem«. Tak kawał w noc się targowali i do żadnego skutku nie przyszli, bo dziadek mój nie chciał wtenczas dać 6 morgów za 18. Gospodarz ów nazywał się Michał Ozych,

pochodził z Królestwa Polskiego, był osadzony na kmiecym gruncie przez hr. Tarnowskiego niedługo przed ustaniem pańszczyzny.

Później, koło 1865 r., Jakób Tyniec sprzedał 3 morgi gruntu pierwszej klasy w ładnem położeniu za 600 złr.*) kowalowi dworskiemu Janowi Rydzowi. Głośnem to było w całej gminie, że »znalazł się — jak mówili — taki głupi, co tyle pieniędzy za 3 morgi gruntu wydał«. Dzisiajby dali — i tak płacą — za morgę takiego gruntu 3.000 złotych, ale wtenczas leżało dość gruntów i placów odłogiem.

Ten kowal był pierwszym, który kupił grunt w Dzikowie, pieniądze miał z rzemiosła, bo był kowalem dworskim i wykonywał roboty kowalskie w mieście po pożarze. Z chłopów w Dzikowie pierwsi kupowali grunty Jan Sokół, Józef Szewc i ci wybili się na najbogatszych gospodarzy.

*
* *

Nie było dawniej takich, jak są teraz, narzędzi rolniczych. Pług był z deską drewnianą. Gdy w gruncie był perz albo mokro i wogóle, gdy grunt był ciężki, to jeden albo dwóch ludzi musiało pług taki z wielką forsą trzymać, a jeden czterema końmi poganiał. Za dzień przy wielkim wysiłku dało się zaorać

---

*) Reński austrjacki (złr.) = 100 centów (grajcarów). W roku 1893 wprowadzono w państwie austrjackiem korony, których szło dwie na reńskiego. Korona równa się 100 halerzom i mniej więcej 2 złp.

ledwie pół tego, co się zorze dzisiejszym pługiem; więc, jeżeli dawnym, drewnianym pługiem zorał na dzień pół morga gruntu, to dzisiejszym można zorać jeden mórg tej samej gleby, — z tą jeszcze różnicą, że gdy do dawnego pługa zaprzęgał gospodarz 4 konie i zatrudniał dwóch albo trzech ludzi, to dzisiaj w tej samej glebie zaprzęga 2 konie przy jednym człowieku. A w lżejszej glebie, gdzie pierwej musiał orać na dwa konie, dziś orze w jednego.

Po lasach zamiast pługa używaną była socha, podobna do radła, którą oracz trzymał w rękach i zapuszczał w rolę na różną głębokość według potrzeby.

Brony także były liche z małymi gwoździami. Zamiast dzisiejszych żelaznych »pazurów« do czyszczenia gruntu z perzu było radło czyli drewniany osęk, którym się grunt radliło czyli »hakowało«.

Do młócenia zboża używane były tylko cepy, a czyszczenie zboża odbywało się przez wianie w ten sposób, że na boisku w stodole przy otwartych drzwiach rzucalo się ziarno szuflą pod wiatr. W ten sposób oddzielało się ziarno od plewy: najcięższe ziarna padały najdalej, lżejsze bliżej, plewy pod nogi wiejącemu. Młocarnie i młynki do wiania wcale nie były znane. Sieczkę rżnęło się w skrzynkach ręcznych, a co parobek lub gospodarz urznął wtedy przez cały dzień, to teraz przy sieczkarni korbowej ma się za pół godziny.

W całej gminie nie było wozu, na którym byłoby choć za 1 zł. żelaza. Cały wóz był »bosy«, t. j., niekuty, skrępowany wiciami brzozowemi. Na dowód, jak mało był ceniony, przytoczę fakt, że gdy wóz taki, odziedziczony po dziadku, sprzedałem szewcowi w Tarnobrzegu, Ignacemu Zdyrskiemu, ten za to po długim targu zgodził się podszyć mi proste buty, co wtedy mogło przedstawiać wartość 1½ reńskiego.

Kto się wybierał w drogę takim wozem na 2 lub 3 mile, musiał mieć maźnicę, uwiązaną w tyle u wozu, do smarowania osi drewnianych, gdyż inaczej wóz piszczał, i nie dało się jechać. Prócz tego brał ze sobą gruby drąg i sochę na windugę, konieczną przy smarowaniu wozu, gdyż własną siłą nie można go było ulżyć.

Gdy kto jechał przez wieś, a miał osie nienasmarowane i wóz mu skrzypiał, wołali za nim: »Sprzedaj woły — kup se smoły!«

Dopiero po pańszczyźnie zaczęły nastawać wozy żelazne, t. j., mające koła okute w żelazne »rafy« czyli obręcze, ale osie były jeszcze drewniane. Potem nastawały wozy mające i osie żelazne. Na razie który gospodarz wóz taki sobie sprawił, był nazywany »bogaczem« i budził wielki dziw w gminie.

Jednem słowem, nie miał nikt podobnych do teraźniejszych narzędzi rolniczych, tak do uprawy gruntu, jako też do innych potrzeb gospodarczych.

* * *

Ze zbóż siali najwięcej żyta, jęczmienia, prosa, tego więcej, niż obecnie. Pszenicy i owsa siewali mniej więcej tyle, co obecnie. Dużo siali także tatarki, ale tylko po wsiach lasowskich, piaszczystych.

Ziemniaków sadzili mało, zaledwie połowę tego, co obecnie. Toteż oszczędnie je jedli, dzieci ukradkiem przed starszymi wyciągały je z dołów »łażonych« i piekły w domu, a od Bożego Narodzenia już się ziemniaków nie jadło, bo resztę przeznaczali do sadzenia.

Natomiast dużo siali rzepy, mianowicie w lecie na spokładanych ścierniskach. Drobniejszą suszyli na strychach i następnie spożywali najwięcej w poście jako t. zw. »całkę«, t. j., gotowaną w łupinach i zasypywaną kaszą jaglaną. Większą siekali i maścili nią sieczkę dla krów do dojenia w zimie. Maścili też gotowaną i utłuczoną plewy dla trzody. Zresztą jedli ją też surową, jak dziś owoce.

Więcej też, niż obecnie, sadzili kapusty. W każdem gospodarstwie kisili jej na zimę zwyczajnie 2 beczki, obejmujące 6—7 korcy; kisili w całych główkach, a tylko przesypywali drobniejszą, usiekaną z liści kapuścianych ręcznemi siekaczami. W zimie wszystko to zjedli, a tylko kwasem maścili czasem sieczkę dla krów, »żeby się pozbyły motylicy«.

Ze strączkowych siali bób i groch w większej ilości, niż teraz. Fasoli siali bardzo mało. Nadto każdy gospodarz siał len i konopie. Z pastewnych siali trochę koniczyny, mniej, niż w czasach dzisiejszych.

Zresztą dla krów w lecie do dojenia zbierali chwasty, zżynali jęczmień, pszenicę, wyżynali trawy po miedzach, albo też ukradkiem na pańskiem.

O potrzebie odmieniania nasienia do siewu i sadzenia nikt nie myślał. Nasienie było marne, zwyrodniałe. Jeżeli gospodarz po zebraniu plonów z pola widział, że ma zboża lub okopowych za mało na cały rok, to zaraz w jesieni musiał odebrać i schować bezpiecznie do siewu i sadzenia swoje własne nasienie, a do spożycia domowego kupował, choćby miał najdrożej płacić. Od ojca bowiem miał tę naukę, żeby swoje własne nasienie siał i sadził, a także nie sprzedawał go drugiemu do siewu i sadzenia, »boby mu się do drugiego gospodarza przewiedło«.

Również kolejne następstwo płodów w gruncie było jak za dawnych czasów. W naszej gminie na przykład obowiązywał taki podział roli: gdzie obecnie 5-ta klasa gruntu, tam wszyscy siali żyto ozime i co cztery lata po wygnojeniu proso; gdzie zaś pierwsza klasa, tam siali pszenicę, jęczmień, owies, koniczynę, bób i sadzili ziemniaki i kapustę. Tę naukę ojcowie wpajali w synów i wnuków, aby tylko tak siać i sadzić, bo inaczej urodzaj chybi. Każdy też tej nauki się trzymał, aby nie chybił i nie był wyśmiany.

Gdym zaczął samodzielnie gospodarować, ojciec mojej żony doradził mi, żeby trochę ziemniaków zasadzić koło domu na polu, zwanem »Ogniska«, ażeby z nowego można było ziemniaków ukopać na domową potrzebę, nim zbierze się z pola w jesieni. Ja trzy-

małem się tego, co od ojca i dziadka słyszałem, że w tem miejscu będzie tylko żyto i proso. A teść na to: »Wsadź na wolę Bożą choć kawałeczek ziemniaków, może coś urośnie, będziesz miał bliżej«. Usłuchałem: przyszła wiosna i na wspomnianem polu sadziłem ziemniaki. Byłem już w połowie roboty, gdy nadszedł jeden z najstarszych wówczas w Dzikowie gospodarzy Maciej Mortka i woła do mnie, śmiejąc się: »Hej, młody gospodarzu! Twój dziadek i ojciec stąd ziemniaków nie jadł, i ty nie będziesz jadł. Nic ty tu nowego nie zaprowadzisz«. Tak kilka chwil stał nade mną i tłumaczył mi, że źle robię, że nie mam doświadczenia. Były to rady starego, poważnego gospodarza, mogły mną zachwiać, odwieść mnie od rozpoczętej roboty, — zdobyłem się jednak na odwagę i sadzenia dokończyłem.

Przyszła jesień; ziemniaki porosły nad podziw, tak krzaki, jakoteż i pod krzakami także, że można je było narączkiem nosić do domu. Wszyscy się temu dziwili niemało, a i ów gospodarz, który odradzał mi sadzenie, ile razy przechodził tamtędy i widział ten niezwykły urodzaj, zatrzymywał się i mówił do siebie: »U młodego trza się teraz rozumu uczyć, u młodego«, i to samo nieraz powtarzał.

Ten wypadek nauczył mnie w życiu bardzo wiele: od tego czasu coraz mniej zważałem na gadki i śmiechy ludzkie, coraz śmielej zrywałem z przesądami. Wprowadzałem inny płodozmian i gdzieindziej, i dobrze na tem wychodziłem. Na tem samem polu, gdzie

starzy ziemniaków nigdy nie sadzili, sadzę je obecnie stale i zawsze ładny mam zbiór, bo ziemia wyjałowiona dawniej zbożami, a zasilana teraz często nawozem, szczególniej nadaje się pod jarzyny.

W tych czasach nie brak nigdzie ładnych ziemniaków. Dawniej skoro Niemcy, koloniści z Padwi, o 3 mile, nie dowieźli do Tarnobrzega ziemniaków, zaraz dawał się odczuwać brak tego artykułu i drożyzna; — obecnie gospodarze z Dzikowa zaspokajają w znacznej części zapotrzebowanie na ziemniaki w mieście i mają ich jeszcze dosyć na własny użytek.

* * *

Co do ogrodnictwa, to były wprawdzie sady koło domów, a po niektórych wsiach było ich nawet więcej niż dzisiaj, ale drzewa w tych sadach były dzikie, które albo same wyrosły, jak dzikie śliwy, grusze, jabłonie, — albo je gospodarz gdzieś w polu wykopał, przyniósł i koło domu zasadził, nie zważając na to, jaki będzie owoc. Drzewa te rosły gęsto, skołtunione jedno koło drugiego, i nie mogły się należycie rozrastać.

Prócz tego wśród pól widziało się wszędzie samotne, leśne czyli dzikie grusze. Rosły one na skrajach pól, na miedzach i z nich było najwięcej owocu. W jesieni strząsali z nich po kilka korcy gruszek, każdy na swojem polu.

Nikt w okolicy nie sadził dobrych, szlachetnych szczepów, bo nawet przy zamku w Dzikowie nie było

dawniej takiego ogrodu owocowego, jaki jest obecnie, i było tylko niewiele drzew owocowych na własną potrzebę. Dopiero przed kilku dziesiątkami lat zaczęli najpierw po dworach zaprowadzać szlachetne ogrody owocowe, a następnie i niektórzy chłopi, ale przeważnie tylko po wsiach, leżących nad Wisłą i Sanem. Najpierw chodziła pogłoska, że najlepsze ogrody owocowe mają gminy Skowierzyn i Wrzawy. Po innych wsiach, mających grunta piaskowe, i dziś mało się trafi, żeby ktoś sobie zasadził kilka drzew owocowych, choć na swoją potrzebę. Wymawiają się zawsze tem, że grunt niedobry, że jak jeden zasadzi, to mu drugi wydrze itp., ale w rzeczywistości nie chce się im sadzić, i nikt nawet nie próbuje sadzić.

Ale w niektórych gminach nad Wisłą i Sanem widać obecnie znaczny postęp w ogrodnictwie: sadzą drzewa szczepione w pewnych linjach i odstępach jedno od drugiego tak, że każde może się swobodnie rozrastać i owocować, a pod drzewami można zawsze coś siać lub sadzić.

Nie było też dawniej żadnej prawie pielęgnacji sadu, do drzewa zachodził gospodarz przeważnie tylko wtedy, gdy miał zebrać owoc. Jeżeli kto miał sad, to pasł w nim bydło, nawet i trzodę, a za całą pielęgnację starczyć miało przewiązywanie drzewa powrósłem.

Przewiązywanie to odbywało się zawsze na Boże Narodzenie, mianowicie w wigilję, po »postniku«. Była mowa, że jeżeli się którego drzewa nie zwiąże wtedy słomą, to będzie gniewać się i rodzić nie będzie. Więc

zaraz po postniku wybiegali młodzi do ogrodu, jeden szedł przodem z siekierą i w każde drzewo pukał, zapytując się przytem: »Będziesz rodzić czy nie, bo cię zetnę«, — a drugi idąc za nim, odpowiadał: »Nie ścinaj, będzie rodziło«, — i powrósłem drzewo obwiązywał. I to samo powtarzało się przy każdym drzewie. Powrósło zaś musiało być na drzewie przez całe lato, nie wolno go było odwiązywać, chociażby się na niem najwięcej gąsienic zalęgło.

Ale to i dziś jeszcze widać po wsiach drzewa, poobwiązywane powrósłami, choć to wierutny zabobon, i drzewom nic nie pomaga, a może szkodzić, jeżeli za powrósłem zagnieździ się robactwo. Wielu nie rozumie jeszcze, że koło drzew trzeba chodzić, jak koło roli, że trzeba je pielęgnować przez cały rok, a wtedy jest ze sadu ładny dochód, lepszy niż z roli. Ja np. największy dochód mam obecnie z ogrodu owocowego, który wynosi 1½ morgi. W ostatnim roku, 1928, mam z niego 3.000 zł. czystego dochodu.

Przetworów owocowych nie robili innych, prócz tego, co suszyli w piecach chlebowych: śliwki, jabłka, a szczególnie gruszki, — i przyrządzali z tego polewkę do picia na wigilję, a w czasie postu dodawali owoc suszony, rozgotowany i roztarty do kaszy jaglanej, co tak dzieci, jak starsi mieli za specjał.

Ogrodów warzywnych nie było. Bywały tylko małe ogródki, w których bywało trochę marchwi i pietruszki; marchwi zwyczajnie nawet nie zbierali, bo ją dzieci zawczasu wyciągnęły z ziemi i zjadły.

Pola koło domów nie były więcej cenione niż dalsze, bo warzyw na nich nie uprawiali, a były narażone na szkody od drobiu i bydła. Jedynie z Wrzaw dowozili chłopi na targi cebulę, czosnek, marchew, mak, — a takie warzywa jak: ogórki, kapusta włoska, sałata, karpiele, kalarepa, kalafiory, szparagi, pomidory, fasola tyczna, groszek cukrowy bywały chyba w ogrodach dworskich, następnie rozpowszechniły się u urzędników, — chłopi ich wcale nie znali.

Dziś wszystkie te warzywa, a szczególnie ogórki, uprawiane są przez chłopów zwłaszcza w okolicach rędzinnych, i w niektórych wsiach, np. w Dzikowie, wyżej uprawa ta stoi, niż dawniej we Wrzawach.

*
* *

W domu i koło domu, zwłaszcza tam gdzie były starsze dziewczęta, spotykało się różne kwiaty. Do zwyczajnych kwiatów trzymanych w oknach, w wazonikach należały: pelargonje, giranja, krezentyna, rozmaryn, któremi okna były czasem zupełnie zaciemnione. Koło domu zaś w ogródkach, które zajmowały jakiś nieznaczny kącik, rosły: ruta, róża, majeranek, boże drzewko, nagiętki, roztroperz, wrotycz, piwonja. Kwiatki te zrywali do oświęcenia na Matkę Boską Zielną, do rózgi weselnej, dziewczęta do strojenia głów w niedzielę i święta itp. Koło roku 1880 zaczęły się rozpowszechniać z ogrodu zamkowego różne inne kwiaty, sadzone w wazonikach i ogródkach.

*
* *

W pszczelnictwie znane były tylko barcie czyli pniaki, wydrążone z grubych sosen, wysokie około $1^1/_2$ metra. Ule takie jak dzisiejsze, zbite z desek, nie były znane i uważaliby je za nieodpowiednie dla pszczół, nie chroniące przed mrozem w zimie.

Pnie dawne dawały dużo rojów, a mniej miodu. Miód bowiem podrzynali zawsze tylko dołem, poniżej oczka czyli wylotu dla pszczół, a w górnej części wydrążenia czyli w głowie, to jest t. zw. oklek, pozostawał z roku na rok nietknięty, jako pożywienie dla pszczół, i wyrzynali go tylko wtedy, gdy pszczoły zginęły czyli »spadły«. A że pszczoły składają miód od góry i prowadzą robotę ku dołowi, wyrzynali więc na dole sam susz bez miodu. W dobre lata z silnego pnia wybierali około 4 kwarty miodu i mniej więcej kilogram wosku. Dzisiejsze ule ramkowe są co do miodu znacznie wydajniejsze.

Kto miał pasiekę, zachowywał miód na swój domowy użytek, częstował nim gości na chrzcinach, weselach, zabawach, rozdawał krewnym i sąsiadom, nadto coś spieniężał. Częściej spieniężał wosk, wyrabiając z niego gromnice albo sprzedając księżom na świece; dawali go też na ofiarę do kościoła.

Pszczelarze mieli swoje zabobony. Takiego, co miał większą pasiekę, posądzano, że ze złem trzyma, że »wie coś do tego«. Gdy kto koło pszczół robił, podbierał miód, albo rój zbierał, nie wolno było przyglądać się temu z za płotu, »bo pszczoły dostawały uroku, były złe, cięte i mogła paść na nie jaka cho-

roba i zniszczyć je. Gdy kto przewoził ul z innej pasieki, to wiązał z tyłu wozu linę, która miała ciągnąć się po ziemi przez całą drogę, żeby tak pszczoły ciągnęły do nowej pasieki.

Za mojej pamięci największą pasiekę w okolicy prowadził Brocki, który był w przyjacielskich stosunkach z hr. Janem Tarnowskim i mieszkał w dobrach jego. Zajmował on się pszczelnictwem z zamiłowania, miał kilkadziesiąt pni na Borowie i na Wianku koło Dzikowa, a także w Jeziorku. W Dzikowie u chłopów najładniejsze pasieki były u Tomasza Szewca i Łukasza Tracza; miewali oni mniejwięcej po 10 pni. Na ogół więcej bywało pasiek po wsiach lasowskich niż nadwiślańskich.

*
* *

Co do pastwiska, to za pańszczyzny i przez 20 lat po jej ustaniu główne pastwisko dzikowskie było nad Wisłą, w t. zw. Kępie. Ciągnęło się od przysiołka Podłęże do granicy zakrzowskiej. W dalszym ciągu leżały nadwiślańskie pastwiska, należące do gmin Zakrzów, Sielec, Koćmierzów, Zarzekowice aż do Nadbrzezia, leżącego naprzeciw Sandomierza. Pastwisko dzikowskie leżało po obu stronach wału wiślanego i było wałem przepołowione. Wynosiło 68 morgów.

Przy tem pastwisku była wówczas wyspa wiślana, wynosząca również kilkadziesiąt morgów, porośnięta trawą i wikliną, gdzie także pasło się bydło dzikowskie. Na wyspę tę przeganiali konie po robo-

tach, krowy nie dojące się, jałówki i nie zganiali ich stamtąd całemi tygodniami, nieraz dopiero wtedy, gdy woda na Wiśle przybierała i groziła zalewem wyspy.

Prócz tego gromadzkiego pastwiska w Kępie było jeszcze drugie, bliżej wsi pod Zwierzyńcem, gdzie tylko kmiecie mogli paść swoje konie i woły. To kmiece pastwisko wynosiło 36 morgów.

Razem więc pastwiska dzikowskie wynosiły wtedy 104 morgów. Lepsze było w Kępie, gdyż grunt tam był pierwszej klasy, przytem użyźniany wylewami Wisły.

Były to pastwiska serwitutowe, do których i dwór miał prawo. W r. 1867 po uregulowaniu serwitutu czyli służebności gmina otrzymała z tego obszaru 79 morgów na swoją wyłącznie własność.

Pastwisko w Dzikowie było odtąd dla wszystkich dostępniejsze: w Kępie — dla przysiołka Podłęże, dawne pastwisko kmiece rozszerzone — dla głównej części Dzikowa.

Po zniesieniu pańszczyzny należeli do pastwiska tylko kmiecie, zagrodnicy i komornicy, uwłaszczeni w Dzikowie, — rązem 42 numerów. Następnie ci przypuszczali z pod swoich numerów do pastwiska swoje dzieci i w ogóle członków rodziny tak, że w r. 1868 było 69 gospodarzy, uprawnionych do korzystania z pastwiska i ci otrzymali je na własność. To osobiste przyzwalanie krewnym na korzystaniu z pastwiska utrzymało się w zwyczaju jeszcze z dziesięć lat po zniesieniu serwitutu, później przypuszczano

do pasania tych, którzy o to prosili i złożyli oznaczoną przez Radę gminną opłatę od sztuki bydła, czyli t. zw. spaśne.

Z czasem, ponieważ do gminy zaczęli napływać żydzi, pastwisko zastrzeżono hipotecznie tylko katolickim obywatelom Dzikowa. Obecnie jest w Dzikowie 294 n-rów, z pastwiska może korzystać każdy, kto jest katolikiem.

Jednakże pożytek z pastwiska był stosunkowo niewielki, jak jest i dzisiaj jeszcze. Trawa lepsza była z wiosną i po deszczach, przeważnie jednak była licha, nieuprawiana i nieodmieniana. Bydło odbywało na pastwisko codziennie daleką drogę. Pastwisko w Kępie oddalone było od głównej części wsi o 2 klm. Ponieważ bydło wyganiało się zrana i spędzało na południe i powtarzało się to znowu po południu, — więc samej drogi na pastwisko i z pastwiska robiło bydło codziennie 8 klm.

A widzi się to i dziś jeszcze, że pasza na pastwisku jest zupełnie niedostateczna, a przytem bydlę wystawione jest tam to na skwar słoneczny, to znów na słotę i chłód przejmujący, więc się nie rozrasta, karłowacieje i z mlekiem ucina.

Toteż w tych wsiach, które mają pastwiska, widzi się przeważnie liche bydło i brak nabiału. Naprzykład Chmielów w pow. tarnobrzeskim ma coś 1000 morgów pastwiska, ale gdy się tam spytać o krowy i nabiał, gospodarz odpowiada: »Jest ta u Pana Boga

4—5 bydląt, ale mleka nie mają i barszczu nie ma czem podbić«.

Lepsze bydło spotyka się zazwyczaj tam, gdzie pastwiska nie mają. W takich wsiach bydło, trzymane w domu, jest regularnie i lepiej odżywiane i dostarcza nabiału, przytem robi nawóz w oborze, więc jest czem grunt nawozić, a potem się rodzi i podnosi się ogólnie dobrobyt.

Toteż — można powiedzieć — pastwiska takie, jak były dawniej i dziś są jeszcze, stanowią jedna z przyczyn biedy na wsi. O ile lepiej byłoby, gdyby były umiejętnie uprawione, podzielone lub wydzierżawione przez gminę między jej mieszkańców i w ten sposób zamieniły się na pola orne lub łąki. O ile więcej byłoby wtedy we wsi chleba i paszy.

*

* *

Hodowla inwentarza była dawniej bardzo licha, koło koni chodził gospodarz albo parobek, i o nie jeszcze najwięcej dbali, krowy zaś, trzoda chlewna i drób zdane były wyłącznie na opiekę gospodyni, która, jeśli miała dziewkę, to się nią przytem wyręczała.

Co najlepsza pasza, jak siano, koniczyna, owies z sieczką, ciarachy, plewy*), była tylko dla koni, —

---

*) Ciarachy są to grubsze odpadki, wygrabywane przy młóceniu zboża, więc kłoski, obtrącone cepami, rozmaite ziela i chwasty; plewy zaś to odpadki drobniejsze, otrzymane przy wianiu lub młynkowaniu zboża. Tak ciarachy jak plewy, stanowią lepszą i pożywniejszą paszę, niż czysta słoma, zwana karmą.

krowy zaś dostawały tylko czystą słomę z żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa, a prośniankę zadawali im dopiero na wiosnę, gdy się ocieliły. Jeżeli zaś gospodyni chciała im kiedy zarzucić za drabinę lepszej paszy: siana czy koniczyny, to czyniła to ukradkiem, żeby tego gospodarz nie widział, bo się bardzo o to złościł i gniewał, — również i parobek pilnował, żeby gospodyni paszy koniom »nie porywała« i nie uszczuplała, bo mówili, że »koń ciągnie i robi, to i musi lepiej zjeść, a krowa nie idzie do zaprzęgu, — stoi tylko i żre.« Chociaż i konie w zimie stały przeważnie na stajni, i zazwyczaj wyjeżdżali niemi tylko po drzewo do lasu, — ale gospodarza to cieszyło, gdy je ze stajni wypędził, i ładnie mu po oborze*) brykały.

Zupełnie nie rozumieli tego, że z hodowli krów jest większy pożytek, niż z koni. Ale i krowy chować lubili, dbali o to, żeby ich mieć dużo, przysadzali cielęta; ale cóż z tego, skoro cztery, pięć krów nie dawało w zimie więcej, niż kwartę mleka, i gospodyni narzekała, że nie ma czem barszczu podbić. Na wiosnę, gdy wychodziły na pastwisko, bo się słaniały od wiatru, nieraz się przewracały i nie mogły się same podźwignąć, i trzeba je było podnosić, a boki miały oblepione zeschniętym gnojem, że nie znać było sierści. Dopiero w lecie na pastwisku, jak się leniły, łajno

---

*) O b o r a, zwana także o b e j ś c i e m, znaczy tyle, co podwórze gospodarskie czyli dziedziniec gospodarski.

odłaziło z sierścią zdardami i skóra była goła i na nowo sierścią porastała. Wtedy pobierały się i dawały więcej mleka, tak, że go już w domu nie brakowało.

W owych czasach częściej u komornika, niż u gospodarza trafiała się krowa ładniejsza i mleczniejsza, bo komornik nie chował koni i więcej o krowę zedbał, ale sąsiedzi przypisywali to zawsze czarom i komornicę nazywali czarownicą.

Świnie chowały się głównie poza domem: od wiosny aż do jesieni na pastwisku, a po zbiorach w polu; — nadto świnie dzikowskie żywiły się też latem i zimą w mieście. W domu dodawano im w lecie tylko pomyje do picia, t. j. wodę, w której naczynia po jedzeniu były pomyte, — w zimie do tego trochę plew, przymaszczonych mąką lub ziemniakami. Karmiki, pasące się w chlewku na zabicie, dostawały przez cztery do pięciu miesięcy ziemniaki gotowane, tłuczone z domieszką ospy jęczmiennej.

Rasa świń była jedna tylko, swojska, ostrej kości, porosła grubą i wysoką szczeciną. Szczeć tę po zabiciu karmika kupowali bardzo chętnie żydzi, płacąc za nią z dobrej sztuki najmniej półtora reńskiego. To też świni, mającej ładną szczeć, nie darowali pastuchy na pastwisku, ale ją wyskubywali na grzbiecie i sprzedawali żydom lub szewcom do szycia butów.

Ogiery, buhaje i knury chodziły razem z bydłem na pastwisko, więc klacze, krowy i świnie tam się stanowiły, i żaden prawie gospodarz nie chodził z nie-

mi do rozpłodnika i nie płacił za to, a często nawet nie wiedział, czy jego klacz, krowa lub świnia jest zapłodniona. Trafił się czasem gospodarz, że nie puszczał rozpłodnika na pastwisko, żeby mu się nie psuł, — takiego nazywali zazdrosnym i mało tam prowadzili, bo zresztą były inne rozpłodniki na pastwisku.

Drób, t. j. gęsi, kaczki i kury były w każdym domu chętnie chowane przez gospodynie i może w większej ilości, niż dzisiaj. Ale i one były tylko jednego, swojskiego gatunku.

Chów gołębi i królików był u gospodarzy rzadkością, a jeżeli trafiły się, to zajmował się niemi najczęściej chłopak lub wyrostek, który się musiał z tym inwentarzem dobrze ukrywać przed starszymi, bo nierzadko za ten chów dostał w skórę. Uważano powszechnie, że chowanie gołębi i królików to pańskie bawidło i grymas, i poważnemu gospodarzowi nie przystoi zaprzątać sobie tem głowy.

W tym czasie, jak zacząłem na swoją rękę gospodarzyć, ceny inwentarza żywego były jeszcze bardzo niskie. Najlepszego konia chłopskiego można było kupić najwyżej za 30 złr., gdy dzisiaj trzeba dać za niego 200 zł.; lichego można było kupić za 5—10 złr., gdy dziś trzeba zapłacić 40—60 zł., bo już tańszego dzisiaj nie dostanie. Za krowę kto wziął 25 złr., to mówili, że »nabrał dużo pieniędzy«; za ciele tygodniowe brało się 80 grajcarów do półtora reńskiego.

Karmika pasionego można było wtedy kupić za 30 złr., gdy dzisiaj trzeba dać 160—200 zł.; samorę

chudą do chowania kupowało się za 15—25 złr., za którą dziś płacą 120—150 zł.; prosię ssące 4-tygodniowe kupił za 1—2 złr., a bywało, że gdy nazganiali dużo prosiąt na jarmark, to i taniej, za bezcen, nie można ich było sprzedać, — a dzisiaj płacą za takie prosięta 16—30 zł.

Miałem n. p. raz, koło roku 1870, prosięta od trzech samor, ładne wieprzaki, a trudno było je sprzedać. Żona namawiała krewnych i sąsiadów, żeby je rozkupili po 50 centów, jednak i tej kwoty nikt nie chciał dać, więc zarzynało się po jednemu na domową potrzebę. Dzisiajby za takie prosięta brało się z łatwością po 16—20 zł.

Za gęś płacili dawniej 50—60 ct., dzisiaj trzeba dać 4 do 5 zł. Kurę kupił za 20—30 ct., dziś dają 2 do 3 zł. Cena jajka kurzego była 1 cent albo 1½ centa, dzisiaj 8—10 groszy.

Podałem powyżej tak dawniejsze, jak i dzisiejsze ceny wiejskiego inwentarza żywego, bo, jakie były ceny na obszarach dworskich, nie mam o tem dokładnych wiadomości.

*
*   *

Nic dziwnego, że przy dawniejszym sposobie gospodarowania brak było chleba i z małym wyjątkiem każdego roku był przednowek; a — jak starsi opowiadali — dawniej nieraz spadała taka klęska głodowa, że nawet za pieniądze nie można było zboża kupić.

Dziadek mój i ojciec nieraz mówili, że gdy głód dokuczał i nie było ani ziarnka w domu, to gospo-

darz wybierał się z pieniędzmi, aby gdzie parę garncy jakiegokolwiek zboża kupić i domowników pożywić. Chodził od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, a dzieci zgłodniałe wyglądały tymczasem ojca, jak zbawienia. Ten nareszcie po długiej wędrówce powracał, bywało jednak, że wobec zbiedzonej głodem rodziny rzucał na stół pieniądze, bo zboża nigdzie nie dało się kupić. Wtenczas wszyscy domownicy uderzali w płacz, jak na organach. Opowiadali też o takim nieurodzaju, że jednego roku ze dworu dzikowskiego pożyczano chleb w klasztorze OO. Dominikanów w Tarnobrzegu.

Ludzie na przednowku żywili się perzem i różnemi chwastami, — a dziś nie mamy już nawet wy obrażenia o tych dawnych przednowkach i klęskach głodowych.

Zresztą, jak sam z dzieciństwa pamiętam, chleba u każdego gospodarza, większego czy mniejszego, było zwyczajnie skromnie. Bochenek napoczęty był zawsze chowany i chleb był udzielany dzieciom i służbie. Brak pożywienia uczuwać się dawał co rok prawie na przednowku, t. j. od wiosny do żniw. Zboże i inne produkty podskakiwały wtedy w cenie prawie drugie tyle i były do nabycia jedynie u żydów, którzy zbierali je od gospodarzy już od żniw przez jesień, najczęściej za wódkę, a na przednowku dobrze spieniężali, wystawiając w czasie targów na rynku w workach. A koło tych worków kręciła się wtedy głodna rzesza więcej, niż w innych stronach rynku, kupując zboże na garnce lub kwarty, jak kogo stać było.

W dobrych też czasach zboże i ziemniaki rzadko bywały tańsze niż obecnie. Tylko z nowego i przy bardzo pomyślnych zbiorach było podostatkiem żyta i do takich tylko czasów mogło się odnosić przysłowie: »Na Matki Boskiej Zielny — chłop chodzi, jak cielny« (tj. najedzony).

Więc chleb był zawsze bardzo szanowany, każdy wyzbierywał starannie kłoski na swojem polu, bo uchodziło to za grzech, gdyby je na ściernisku na zmarnienie zostawił, a chudobniejsi zbierali je na pańskiem i szukali ziemniaków na kopniskach, mówiąc, że się im to lepiej opłaci, niż chodzenie na zarobek.

Za grzech też wielki uważali zmiatanie okruszyn chleba na ziemię, a jeżeli ktoś okruszynę taką zobaczył na ziemi, to ją podnosił i całował, przepraszając w ten sposób ten dar Boży za zniewagę. Łopatę do wsadzania chleba i pomiotło do wymiatania pieca chlebowego gospodyni stawiała zawsze do góry, bo na łopacie były resztki ciasta i mąki, więc nie należało walać ich po ziemi; przytem przestrzegali pewnej czystości przy przyrządzaniu pożywienia.

*
*   *

Grozę głodów podnosiły dawniej liche drogi. O kolejach żelaznych nie było jeszcze słychać, za mojej pamięci dużo ludzi umarło i kolei nie widzieli. Mówiono tylko, że idzie kolej żelazna z Krakowa do Lwowa, na której jadą ludzie. Byłem już wtedy samodzielnym gospodarzem, gdy mię doszła ta cudowna

wiadomość. Zebrała mię ochota, żeby tę kolej zobaczyć i zgodziłem się prawie za pół darmo z żydami do Dębicy »na zróckę«, tj. miałem ich tam zawieźć i nazad wracać. Miałem wówczas to szczęście, że, dojeżdżając do Dębicy, widziałem, jak szedł właśnie pociąg, a potem na stacji dosyć się napatrzyłem urządzeniom kolejowym i po powrocie miałem co opowiadać żonie i domownikom. Do Tarnobrzegu wybudowano kolej z Dębicy dopiero w 1887 roku *).

Droga zatem po większej części była zła i trudna do przebycia i, gdy się ktoś wybierał np. do lasu, 3 mile odległego, to jechał więcej jak 2 dni, podczas gdy teraz w kilka godzin tę drogę po szosie przejedzie. Skoro więc w jakiejś okolicy nie było urodzaju czy to, że rok był mokry lub nadzwyczaj suchy, czy też wskutek gradobicia lub innej klęski elementarnej, to, zanim dawnemi drogami dostawił ktoś zboża, głodny tymczasem umierał.

*
* *

Wsie nadwiślańskie trapiły też straszliwe wylewy Wisły. Jeżeli nie były one dawniej częste, chociaż wały były bardzo niskie, to dlatego, że po gruntach, łąkach i lasach pełno było dołów i bagien, z których woda cały rok nie schodziła i rzeki były nieuregulowane. Dopiero gdy zaczęto rznąć rowy, aby wody

---

*) Pierwsza lokomotywa stanęła na dworcu kolejowym w Tarnobrzegu dn. 6 czerwcu 1887 r. o godz. 11-ej przed południem. Kronika parafjalnia w Miechocinie.

stojące do Wisły odprowadzić i bagna osuszyć i gdy zaczęto rzeki regulować, wtenczas zaczęła woda na Wiśle raptowniej wzbierać i wały okazały się za niskie.

Pamiętam jeden tylko taki wylew, mianowicie w roku 1879. Wtedy stan Wisły był taki, że woda przelewała się przez wały, a pod Dzikowem przerwała je na długości prawie pół kilometra i zatopiła wszystkie wioski nad Wisłą aż po Sandomierz, zrządzając wielkie spustoszenia w gruntach i domach.

Woda w jednem miejscu wydarła doły; w drugiem naniosła piachu. Mikołajowi Mortce w Dzikowie zabrała dom i wszystkie budynki, a w miejscu, gdzie stały, wyrwała taki dół, że głębokość jego trudno było zmierzyć.

Było to wprawdzie wczas na wiosnę, kiedy jeszcze pola nie były obsiane, mimo to szkody były tak znaczne, że się zdawało, że ludzie nie będą mogli za kilka lat wygrzebać się z biedy. Tymczasem w paru tygodniach przyszła niespodziewana pomoc, a to dzięki śp. hr. Janowi Tarnowskiemu, który dla dotkniętych powodzią wyjednał u rządu wysokie zapomogi i dawał je też z własnych funduszów, każdemu według poniesionej szkody tak, że każdy mógł grunt zepsuty naprawić, obsiać i potrzeby domowe częściowo zaspokoić. A co ważniejsze, rozpoczęły się niedługo roboty koło lepszego obwałowania Wisły, i dziś wały są tak wysokie, że zabezpieczają przed najwyższym stanem wody. Gdybyśmy mieli dawniejsze wały, to obecnie po regulacjach, gdy woda raptem wzbiera,

za każdym zbiorkiem mielibyśmy wylewy tak, że mało kto utrzymałby się przy gruntach nadwiślańskich.

Ale po drugiej stronie Wisły w b. Królestwie Polskiem, dotąd niema dobrego obwałowania, bo prawie co roku topi tamtejszych włościan woda i to nieraz w czasie żniw. Przy wielkiem wezbraniu wody Wisła tam zalewa wielkie przestrzenie tak, że jak okiem sięgnąć, nic więcej nie widać tylko krzaki i domy stojące w wodzie, i słychać przytem ryk bydła i wołanie ludzi o ratunek, aż groza przejmuje. I to, jak dawniej bywało, tak i teraz jeszcze się powtarza.

*
*   *

Klęski straszne sprowadzały też pożary. Strach przed nimi był szczególnie w lecie, gdy przyszła posucha.

Powstawały najczęściej przez nieostrożność: przy suszeniu konopi w piecach chlebowych, z palenia tytoniu, przez dzieci, gdy zostawały w domu bez dozoru i bawiły się ogniem, od piorunów, albo też ogień był podłożony ze złości zbrodniczą ręką. Szerzyły się zaś szczególnie dlatego, że domy były gęste, zbite w kupę i kryte strzechą.

W Dzikowie za mojej pamięci było kilka pożarów. Najwięcej ucierpiały od nich »Piaski«, tj. część Dzikowa, stykająca się z miastem i najgęściej zabudowana. Największy był tu pożar koło r. 1875. Zajęło się wtedy u gospodarza, który w żniwa woził snopki do stodoły i palił fajkę, a zgorzały prawie całe Piaski.

Następnie spaliło się tu kilka domów w czasie pożarów miastowych, jak również w r. 1890 wskutek pożarów, które parokrotnie wybuchały z niewiadomych przyczyn. Zresztą w różnych latach były w różnych stronach Dzikowa pożary, którym uległy pojedyncze zabudowania, dwa takie pożary były od piorunu, jeden spowodowany przez dzieci, trzy z niewyśledzonych przyczyn.

Ale gdzieindziej pożary bywały większe, całe wsie ze wszystkiemi zbiorami szły z dymem i zostawał tylko popiół. Z okolicznych wsi spalił się tak za mojej pamięci: Mokrzyszów, Sobów, Stale, Furmany, Grębów i żadna wieś nie była wolna od tej klęski.

Rozmiary jej powiększało jeszcze to, że domy wtedy były nieubezpieczone od ognia, a jeżeli były ubezpieczone, to na małą kwotę, bo gdy budynki były warte np. 2.000 reńskich, to ubezpieczali je na trzy, cztery stówki, żeby wielkich premij nie płacić.

Po pożarach takich chodzili i jeździli po okolicznych wsiach pogorzelcy »za wspomożeniem«, zbierali: słomę na pokrycie nowych domów, zboże na chleb, przyodziew, pieniądze, a każdy takiego pogorzelca czemś wspierał. Niejeden chodził tak za wspomożeniem i dwa lata, zapuszczał się do coraz innych wsi, więc mógł nawet zebrać więcej, niż stracił.

W Tarnobrzegu pamiętam trzy wielkie pożary, pierwszy i największy w r. 1862. Ten wybuchł w nocy z 5 na 6 czerwca. Wiatr był wtedy ku Wiśle, a ogniem tak rzucało, że nawet za Wisłą siedzieli ludzie na da-

chach, żebytam, do pożaru nie dopuścić. Zgorzało wtedy całe miasto, a że domy były tylko drewniane, kryte gontem, a nawet słomą i nie było nawet podmurówek, bo przyciesie spoczywały tylko na kłocach drzewnych lub na kamieniach, więc po pożarze miasto tak się przedstawiało, że gdyby nie sterczące kominy, to możnaby pługiem wjechać i wszystko zaorać. Spalił się wówczas i kościół OO. Dominikanów.

Spalił się też dworek Jachowiczów w Dzikowie który stał przy kościele, na tym placu, gdzie dziś znajduje się szkoła powszechna żeńska. W popiół obróciły się — jak mówią — pamiątki rodzinne Jachowiczów, a w szczególności po Stanisławie Jachowiczu, sławnym poecie i nauczycielu, który się tu urodził i wychowywał.

Po pożarze tym opowiadano na różnych schadzkach i zabawach, że był on karą bożą za bluźnierstwo jakiego się mieli żydzi dopuścić, urządzając w mieście na szyderstwo przedstawienie z męki Chrystusa Pana *).

---

*) W nekrologu ks. Hędrzaka, pomieszczonym w piśmie ludowem „Chata", wypadek ten tak opisany:

„Było wesele u rabina — otóż, aby to wesele odznaczyć i więcej uświetnić, a naszej religji wyrządzić obelgę, obrali jednego żydka, i tego postanowili męczyć i po sądach włóczyć, jakto ongi naprawdę żydzi zrobili z Jezusem Chrystusem, prawdziwym Synem Bożym. Więc obrali sobie jednego bogatego żyda dzikowskiego na jednym końcu miasta Annaszem, drugiego znów żyda na drugim końcu miasta Kaifaszem, znów innego Herodem, a w samym rynku Piłata. Zbiegła się tedy owych żydków zgraja i owego

Następne pożary, w r. 1884 w jesieni i w r. 1888 w lecie, częściowo miasto zniszczyły.

Po każdym z tych pożarów miasto lepiej się odbudowywało, podnosili się przedewszystkiem żydzi i handle żydowskie. Pierwsze też murowane domy budowali bogaci żydzi.

Teraz i po wsiach pożary są rzadsze. Domy bowiem, stosownie do ustawy, budowane są od siebie w pewnej odległości i kryte są ogniotrwałym materjałem. Istnieją też wszędzie straże ogniowe.

Nadto teraz mało się trafi, żeby budynki nie były ubezpieczone od ognia i po większej części ubezpieczają je według wartości. Jeżeli teraz zajdzie pogorzelec za wspomożeniem i narzeka, że wszystko stracił, to mu mówił: »Czemu się nie asekurujecie?«, wy-

---

obranego niby Jezusa wozili w małym wózku po mieście od jednego starszego do drugiego, gdzie go ci sądzili — żydowstwo zaś niby wojsko, zawiązywało oczy, pluło nań, biło i różne herezje wyprawiało. I stało się, że tej samej nocy u jednego z tych żydów wybuchł ogień, który całe miasto obrócił w perzynę. Zauważono zaś, że ogień przerzucał się z domu jednego starszego na drugą stronę, na dom drugiego starszego — to jest, od domu, w którym mieszkał Annasz, przerzucało ogień na dom Kaifasza! Sam o tem od żydów słyszałem (opowiada autor tego opisu), będąc w Dzikowie u nieboszczyka księdza Hędrzaka na wakacjach, i żyd tamtejszy Januta, który był krawcem, jakoteż i inni żydzi, którzy się w tę swawolę nie wdawali, mówili mi, że Pan Bóg za tę niegodziwą zabawkę w Jezusa całe miasto ogniem strasznym ukarał! To jest prawdą, a którą jak wiele innych zatajono". — „Chata" z dn. 10 listopada 1872 Nr. 13. Tom VI, Lwów.

powiadają mu niedbalstwo pod tym względem, i zwyczaj chodzenia za wspomożeniem znika.

*
* *

Wogóle lata dawniej — jak zapamiętałem — bywały bardziej mokre i mrozy silniejsze, niż dzisiaj. Z wiosną trudno było wjechać w pole, bo dużo było wody ze śniegu, a brak było rowów i spustów, więc gdzie woda stanęła, tam stała. W lecie też trudniej było o pogodę i żniwa były utrudnione. Na plony więc lepsze były lata suchsze, niż mokre, i mówili wtedy, jak i teraz mówią: »Lepszy rok suchy, bo nie traci chleba«. — W zimie bywały bardzo wielkie śniegi, drogi bywały niemi tak zawalone, że przejazd gdziekolwiek był niemożliwy, i było więcej szarwarków na odgarnianie śniegów z dróg i rozbijanie zasp śnieżnych, niż na naprawę dróg w lecie. Wozy zimą były zarzucane, a używano tylko sani, które teraz u gospodarzy są rzadkie. Bywały też większe mrozy, okna przez zimę były jak okute lodem, stajnie musiały być otulone, ptaki padały z zimna i dzikie zwierzęta cisnęły się do zabudowań.

IV.

Służba gospodarska i najemnicy dzienni. Flisactwo. Bandosy. Przemytnictwo. Furmanienie. Rzemiosła i przemysł domowy: tkactwo, sukiennictwo, krawiectwo i kuśnierstwo, szewstwo i rymarstwo, wyrób kapeluszy słomkowych, kowalstwo i kołodziejstwo, bednarstwo, koszykarstwo, garncarstwo i strycharstwo, młynarstwo, olejarnie, garbarnie, maziarnie, miśkarze, druciarze, uwagi o rzemiosłach i przemyśle domowym.

W czasach pańszczyźnianych każdy prawie gospodarz, mniejszy czy większy, trzymał sługi, zwłaszcza gdy dzieci nie miał jeszcze podrosłych. Na kmiecych gospodarstwach bywało zazwyczaj czworo służby, mianowicie: parobek, dziewka, wyrostek i pastuch; na zagrodniczych dwoje, a przy ówczesnym sposobie gospodarowania dla żadnego z nich nie brakło obowiązku i zajęcia.

Sam gospodarz miał też dość pracy: orał, siał, kosił, czasem przy żniwie brał się i do sierpa, zwoził plony z pola, w zimie zaś młócił, rznął sieczkę, jeździł do lasu po drzewo, chodził koło koni, a jak miał na tyle dzieci i czeladzi, to niemi zarządzał i wyznaczał im robotę. Rznięcie sieczki odbywało się zawsze już wieczorem lub do dnia przy świetle w izbie.

Gospodyni również dzień w dzień miała zawsze niemało pracy i krzątaniny, należało do niej bowiem

gotowanie, pieczenie chleba, cała robota koło przędziwa, nie kończąca się nigdy; dalej należało do gospodyni pranie, wreszcie wychowanie dzieci i chodzenie koło krów, świń i drobiu.

Parobek wykonywał wszystkie te roboty, co gospodarz, t. j., robił wspólnie z gospodarzem, a nawet jak był dobry, to miał powierzony po części nadzór nad drugimi domownikami. Ta tylko była między nim a gospodarzem różnica, że gospodarz mógł w każdej chwili odejść od roboty i spocząć sobie, parobek zaś musiał zawsze robić, co do niego należało.

Dziewka znowu robiła wszystko to, co i gospodyni, t. j., pomagała gospodyni, a prócz tego musiała mleć, tłuc jagły, wyrzucać gnój od krów i świń, żąć i wszędzie gospodynię zastąpić, gdy ta czasem chciała sobie wytchnąć. Wstawała do dnia przed wszystkimi innymi domownikami, i nigdy nie brakło dla niej roboty tak, że dziś żadna służąca nie chciałaby się na te obowiązki zgodzić.

Wyrostek w miarę sił robił wspólnie z parobkiem i był pod jego zarządem, tylko musiał więcej chodzić koło koni, gnój od nich wyrzucać, drzewo na opał rąbać, w lecie radlił, włóczył, pasł konie w nocy i t. p.

Pastuch w lecie pasł bydło, w zimie zaś pomagał przy zadawaniu bydłu karmy, wyrzucaniu nawozu, przy mieleniu mąki w żarnach, i tłuczeniu kaszy w stępie, słowem należała do niego taka robota, jakiej mógł sprostać, a rządziła nim więcej gospodyni niż gospodarz.

Tak się przeciętnie rozkładała praca w gospodarstwach chłopskich. Naturalnie, gdzie dzieci były dorosłe, albo gospodarstwo było kiepsko prowadzone, tam służby było mniej albo nawet wcale jej nie było. Zawsze jednak wszelkie zabiegi i cała krzątanina i praca wszystkich domowników obracała się wyłącznie koło tego, żeby było co jeść i czem się odziać.

Wydatność pracy była bardzo mała z powodu braku udoskonalonych narzędzi gospodarskich, tak do robót polnych, jak i domowych. Więc choć ciężko pracowali i nie dosypiali, to jednak często nie mogli się obrobić i, choćby kto był dniem i nocą pracował, to zawsze miał co robić. Kto się najwięcej urobił, ten uchodził za najbogatszego gospodarza, — a kto sobie trochę pofolgował, to już upadał i biedę miał w całym domu, nie mógł się dobrze pożywić i okryć. Codzienne zajęcia cierpiały zawsze najwięcej przez wesela, ale pracowitsi starali się to zawsze nadrobić, co przez takie zabawy zmitrężyli.

Na służbę szły wówczas dzieci komorników, sieroty, albo tacy, których ojcowie mieli gruntu za mało lub go utracili; sługi godziło się zawsze w mieście w św. Szczepan lub w Nowy Rok, na przeciąg całego roku, nigdy zaś na miesiące. O służącego lub służącą było wówczas bardzo łatwo, — obecnie zaś za dobre pieniądze dostać ich nie można, a zmiana ta nastąpiła koło roku 1895, gdy się rozwinęła emigracja zarobkowa do Prus i Ameryki.

Jeżeli parobek czy dziewka byli pilni i trafili na dobrych gospodarzy, to pozostawali w jednem miejscu przez szereg lat. Stosunek między sługami a gospodarzami był familijny; razem robili i jedli z jednej miski, i obyczaj wprost nie pozwalał, ażeby gospodarz czy gospodyni jedli coś lepszego, niż jadły sługi.

Parobkowi płacili wtedy zwyczajnie 15 złr. na rok, nadto zaś dostawał przyodziew czyli »smaty« z domowego płótna, mianowicie: trzy koszule, troje portek, kamizielę, nadto jeszcze buty nowe i jedno podszycie do starych oraz czapkę; kożuch czy sukmanę, jeżeli chciał mieć, kupował sobie z zasługi pieniężnej. Dziewce płacili 5 do 10 złr. na rok i troje wdziewków czyli »smat« z domowego płótna.

Starsi parobcy na kmiecych gruntach dostawali zamiast zapłaty w pieniądzach, o które wówczas było trudno, parę zagonów obsianych zbożem, które parobek sobie zbierał, omłócił i osobno zsypywał. Ten rodzaj wynagrodzenia nazywał się »obsiewkiem« albo »osiewkiem«. Czasem otrzymywał parobek taki »osiewek« w snopkach. Odpowiadało to dzisiejszej ordynarji we dworach. Jeżeli parobek był porządny, to zboże przechowywał do czasu, aż było droższe i wtedy je sprzedawał, ale gdy lubiał wódkę, to zaraz je przepił u żyda. Toteż była o tem śpiewka:

Wójtów parobeczek
Przepił osieweczek, —
Podwójciego dziewka
Ruciany wianeczek.

Pastuch dostawał w zasłudze jedynie wikt i okrycie, składające się z dwóch do trzech koszul i portek, kamizieli, — z czapki i butów na zimę. Czapka była zazwyczaj z kogoś starszego i często przepuszczała dziurami włosy, czyli, jak się mówiło, wróble się w niej gnieździły. Zasługa wyrostka była zwyczajnie o tyle tylko większa, niż pastucha, że dostawał na zimę stary kożuch wartości 3—5 złr. Kożuchy takie skupywali żydzi po domach na wiosnę, następnie łatali je i jesienią znowu sprzedawali, wystawiając na rynku.

Prócz tego parobek i dziewka dostawali na kolędę po 1 złr., wyrostek i pastuch po 50 ct., a miało to wtedy dużą wartość, i służba wyglądała tej kolędy przez cały rok.

Również płaca najemników była bardzo niska. Wtedy, jak zacząłem gospodarować, płaciło się najemnikowi zaledwie od 15—25 grajc. dziennie i dawało się wikt, a po dworach była ta płaca nawet bez wiktu. Ale gospodarze nie zawsze najmowali do roboty, bo był zwyczaj, który się i później zachował, że w czasie większych robót w żniwa pomagali sobie czyli »odrabiali sobie« nawzajem. Również, gdy się kto budował, to sąsiedzi, krewni i znajomi w gminie pomagali mu po przyjacielsku zwieźć materjał budowlany, wyjeżdżali razem do lasu i prawie naraz wszystko zwieźli, a mieli zato tylko poczęstne, wódkę i przekąskę.

*
* *

Zarobek zamiejscowy dawało głównie flisactwo. Jak daleko pamięcią w dawniejsze czasy sięgnę, flisactwo było w rozwoju i nie było prawie jednego dnia, żeby flisy czyli oryle nie płynęli Wisłą koło Dzikowa, a nawet często zatrzymywali się tutaj, ażeby sobie nakupić żywności w Tarnobrzegu. Najwięcej płynęły Wisłą tratwy, zbite z wyborowego drzewa sosnowego, na którem wieźli dębinę także najlepszego gatunku, a czasem zboże, jak pszenicę, żyto i jęczmień.

Każdy transport tratew zawierał kilkanaście tysięcy sztuk drzewa i kilkaset worków zboża, a prócz tego prawie każdego dnia przepływały Wisłą galary i t. zw. berlinki, również naładowane zbożem, a nadto solą »lodowatą« czyli kamienną z Wieliczki i Bochni. Szło to po największej części aż do ujścia Wisły, do Gdańska.

Na flis szło stąd tyle ludzi, ile później wychodziło do Prus i Ameryki, z tą tylko różnicą, że na flis szli tylko mężczyźni. Wychodzili z domu zazwyczaj wczas na wiosnę, a wracali późną jesienią, więc mówiło się, że »flisak wychodzi po lodzie i wraca po lodzie«.

Ale na flisactwie wychodziło wielu tak, jak teraz wychodzi niejeden na Prusach. Kto przez parę lat chodził na flis, to się często przeistaczał na łobuza i pijaka, choćby w domu był porządnie wychowany. I grosza najczęściej do domu nie przynosił, najwięcej tem się usprawiedliwiając, że go okradli... Ale zato przynosili z sobą dużo robactwa i sami o tem mówili, że »wesz orylska to się z wroną na tratwie bije«... U niejednego przygłuszało się poczucie człowieka, bo

przez całe lato nie widział kościoła, nie słyszał kazania, a obijały mu się o uszy przekleństwa i bezwstydne słowa, nadto przy powrocie do domu była wielka poniewierka i rozpusta, bo z braku kolei trzeba było od samego Gdańska powracać pieszo, żywić się i nocować po karczmach.

Toteż i stosunki domowe oryla były często niewesołe, co maluje najlepiej następująca śpiewka orylska:

Oryl pije, oryl traci,
U oryla płaczą dzieci,
Płaczą dzieci, placze żona,
Bo oryla w domu niema.

Pośrednictwem w zamawianiu flisaków trudnili się żydzi, za co flisacy donosili im często jaja, drób itp., jeżeli kto chciał wcześniej wyjść na flis.

W Tarnobrzegu takimi pośrednikami flisackiemi byli Josek i Naftula, a tacy mniejsi byli w związku z większymi faktorami w większych miastach. Zgoda była za kontraktem od »ryzy«, t. j. za odstawienie drzewa, zboża i innych materjałów na przeznaczone miejsce do Warszawy, Gdańska i t. p.; to się nazywała odbyta ryza. Jako zapłatę otrzymywali »strawne« czyli wikt tygodniowo, tj., oznaczoną ilość chleba, słoniny, kaszy i t. p., a później zamiast tego pobierali pieniądze, za które wikt sobie kupowali. Osobno za dostawienie w przeznaczone miejsce otrzymywali t. zw. »myto«. Kto trafił na dobrą ryzę, t. j., na wodę donośną i nie miał żadnego wypadku, to więcej zarobił, bo odbył przez lato więcej ryz.

Komu dobrze poszło, a do tego był oszczędny i sprawował się na flisie porządnie, przynosił do domu średnio około 50 złr., a w najlepszym razie 100 złr. Gdyby kto więcej przyniósł, to mówili o nim drudzy, że musiał kogo okraść lub ograć.

Koło r. 1895 flisactwo upadło prawie ze wszystkiem w paru latach. Przyczyniły się do tego, po pierwsze, koleje żelazne, które dotarły już do każdego kąta i przewożą, gdzie potrzeba, zboże i inne produkty, a powtóre także to, że z Galicji najlepszy stan drzewa spławiony został za granicę i drzewo u nas niesłychanie podrożało.

Dziś sąg drzewa na opał kosztuje 60 zł. i więcej, a metr sześcienny drzewa budowlanego około 25 zł., i to jeszcze do budowy można teraz kupić tylko same braki, młode, ulegające grzybowi. To też kto się w tych czasach buduje, rzadko się trafia, żeby w domu nie miał grzyba gryzącego drzewo i zdrowie mieszkańców. Tak się Galicja wygospodarowała z lasami.

*
* *

W tym czasie, gdy chłopi chodzili jeszcze na flis, kobiety, dziewki i wyrostki z mniejszych gospodarstw chodzili stąd, zwłaszcza ze wsi lasowskich, na roboty polne do Królestwa Polskiego. Szli tam pieszo, w gromadach po kilkadziesiąt, mając w zajdkach odzienie, chleb i t. p. Wychodzili z domu na wiosnę, a wracali w jesieni po wykopaniu ziemniaków. Nazywało się to chodzeniem »na bandos«.

Zmawiali się do tego we wsi między sobą, jeden od drugiego dowiadywał się, gdzie lepsze warunki pracy. Wracali na stare miejsca, jeżeli poprzedniego roku było im tam dobrze.

Zmawianiem bandosów trudniły się też obrotniejsze kobiety i agenci żydzi. Roboty były po dworach w pasie 5—6 mil od granicy. W zarobku otrzymywali wikt i przynosili z sobą do domu 30—60 reńskich zaoszczędzonych pieniędzy. Taki zarobek uchodził za dobry. Co do zachowania się moralnego, bandosy mieli opinję niewiele lepszą od tych, co teraz jeżdżą do Prus.

Tak flisacy, jak i bandosy szli do Królestwa za paszportami, które wydawało starostwo. Paszport kosztował tylko 15 cnt., ale wyrobienie go przedstawiało wtedy dla tych ludzi wielkie trudności, bo trzeba się było opłacać po boku pisarzom, a kto się na tem nie znał i nie wetknął coś pisarzowi, to mógł czekać na paszport i miesiąc. W tem oczekiwaniu zamiejscowi z dalszych wsi, zatrzymywali się na noclegi w Tarnobrzegu i przyległych wsiach, a nawet szukali tu tymczasem jakiegoś zarobku.

Było to wielkiem uciemiężeniem dla tych, co o paszporty starać się musieli, tylko pisarzom przynosiło duże zyski poboczne. Dopiero koło r. 1890 nadużycie to zostało usunięte tak, że potem kto się starał o paszport, odrazu go dostawał.

*
*　　　*

Kilka rodzin w Dzikowie ciągnęło dawniej zarobek z przemytnictwa czyli »szwarcunku«. Jak tylko od małego dziecka zapamiętałem, odbywało się przemytnictwo do Królestwa Polskiego przez Wisłę na wielką skalę. Prawie trzy razy w tygodniu szło w nocy do dwudziestu chłopów z towarami, każdy niósł taki wór towarów, jaki tylko mógł udźwignąć. Były to towary bławatne, różne płótna, chustki, koronki, tasiemki, noże, »cyganki« i t. p.

Pomiędzy przemytnikami był zawsze przewodnik, który szedł znacznie przodem i niósł wór słomą napakowany, ażeby miał lekko uciekać, jeżeli się spotkał z Moskalem ,objeżdżczykiem, pilnującym granicy. Gdy się to przytrafiło, to uciekał z workiem, jak długo mógł, wreszcie worek rzucał i gdzieś się chronił, a tymczasem i przemytnicy, idący w tyle, kryli się tak, że Moskale najczęściej nic towaru nie wyłapali.

Za taką wyprawę każdy przemytnik zarabiał 5 złr., przewodnik 10 złr., a wtenczas ten pieniądz dużo znaczył.

Przemytnictwo rzeczonych towarów trwało mniej więcej do ostatniego powstania, a potem zaczęło się na większą skalę przemycanie okowity i innych trunków. Prawie każdej nocy dowoziło się do Wisły furą wódkę, rum, śliwowicę w baryłkach, zawierających po 8 do 9 garncy, a stąd były przemycane za Wisłę w zimie po lodzie, a w lecie na dużem korycie. Przemytnik zarabiał od baryłki 5 złr., a często przenosili tę trunki w pęcherzach bydlęcych.

Właścicielami tych »szwarcunków« byli sami żydzi, przeważnie z Tarnobrzega. Kiedy handel szedł najlepiej, było nawet tak, że propinator tarnobrzeski postawił karczmę w przysiołku dzikowskim Podłężu, nad samą Wisłą, obsadził tam karczmarza Berka, który za dnia dostawiał furą okowitę do tej karczmy, a w nocy wysyłał za Wisłę.

Nie pamiętam, żeby przytem objeżdżczyki kogo zabili, ponieważ po większej części byli przekupieni, a powtóre — jak słyszałem — strzelali tylko na postrach. Jeżeli nie byli przekupieni, to zadawalali się przy pościgu tem, że chłopi baryłkę cisnęli, a sami uciekli, bo wtedy Moskale wódkę wytoczyli dla siebie, a nalali do baryłek wody, aby wódką śmierdziały, i takie oddawali do powiatu do Sandomierza, jako złapaną »kontrabandę«.

Kiedy zaś stanęła karczma Berkowa, i objeżdżczyki dowiedzieli się, że mają wódkę tak blisko, sami przedostawali się przez Wisłę nocami, pili tu wódkę, jak wodę i z sobą jeszcze brali. Chłopi z za Wisły tak samo do tej karczmy ukradkiem przychodzili i nieraz jak śledzie naokoło niej leżeli. Tak to ta karczma wszystkich ściągała, jak magnes, choć leżała zupełnie na ustroniu.

Najwięcej okowity przemycali w pierwszych kilkunastu latach, dopokąd u nas była tania, a za Wisłą droga, — potem przemytnictwo powoli się zmniejszało, aż wreszcie koło r. 1890 ustało zupełnie. Także z karczmy Berkowej niema dziś śladu, bo wkońcu

uderzył piorun w jabrzędź, rosnącą zaraz przy ścianie karczmy, przyczem zawalił się komin, — Berek uciekł, a karczmę rozebrali.

*
* *

Przed nastaniem kolei kilku gospodarzy pod Tarnobrzegiem trudniło się zawodowo furmanieniem. Najwięcej bywało takich furmanów w Miechocinie. Przywozili oni towary z Tarnowa, gdzie były większe składy towarowe, i przewozili ludzi, słowem zastępowali dzisiejszą kolej. Mieli już do tego silniejsze wozy żelazne i konie lepsze, lepiej żywione. Do furmanek tych byli stale najmowani przez kupców żydowskich. Zgoda była od cetnara: ile towaru, albo osób miał woźnica brać tam i z powrotem, — żyd miał dostarczyć koniom siana i owsa, a jeżeli woźnica swoje dawał, to mu zwracał za to pieniądze. Zarobek wynosił 10—12 reńskich, ale woźnica był za to w drodze prawie cały tydzień, bo wyjeżdżał w niedzielę wieczór, a wracał przed szabasem albo po szabasie. Był przez ten czas o swoim wikcie, brał z domu chleb i coś do chleba.

Zarobek ten był ostatecznie lichy, bo gospodarz wywoził z domu siano, nawóz, gospodarstwo jego było opuszczone, bo gościem był w domu, przytem miał ciągłą sposobność do pijatyki w karczmach przydrożnych. Nadto była to wielka poniewierka, bo jechał dniem i nocą po lichej drodze, nie wyspał się, nie zjadł regularnie warzy, a wódkę »na zagrzewkę«

ciągle popijał, czasem przemarzł i zdrowie stracił. Toteż ci zawodowi woźnice źle najczęściej na tych zarobkach wychodzili, popadali w długi i tracili gospodarstwa nawet najtężsi gospodarze. Ale zawodu tego nie porzucali, przyzwyczajali się do niego, jak pijak do wódki.

Czasem furman nic nie zarobił, bo go w drodze okradli, musiał jeszcze dopłacić. Na takich przejezdnych z towarami czatowali rabusie zwłaszcza po lasach i nawet jeden woźnica nie puszczał się w drogę, ale łączyło się ich kilku i uzbrajali się w pały i widły.

Jak na takie wozy czyhali różni rzezimieszki, może za dowód posłużyć następujące zdarzenie, o którem opowiadał mi Świątek z Miechowa, który był takim furmanem.

Razu jednego, gdy był w Tarnowie i miał na noc odjeżdżać z towarem, przyszła do niego jakaś dziewka miejska i prosiła, aby się mogła przysiąść do jednej z miejscowości po drodze. Gdy on się wzbraniał, że wóz obładowany i konie będą miały zaciężko, prosiła, żeby choć zawiniątko, jakie miała, mogła na furze położyć, a sama — jak mówiła — będzie szła koło fury, gdzie będzie gorsza droga. Świątek się wkońcu zgodził, ona położyła zawiniątko na furze, a przepraszając, że jeszcze ma coś do załatwienia w mieście, oddaliła się i miała zaraz powrócić. Tymczasem chłop czekał i czekał, a ona nie wracała. Zbadał wtedy, jakie zawiniątko zostawiła i zobaczył, że było to dziecko nieżywe. Co z tem począć: do policji nie chciał tego

zgłaszać, bo bał się, że go przytrzymają, będzie śledztwo i nieprędko odjedzie do domu, — więc użył innego sposobu. Wiedział, że gdy się od fury oddali, to zaraz zjawi się złodziej, który będzie chciał coś ściągnąć, — więc zostawił to zawiniątko na wierzchu i odszedł na bok, mając furę na oku. Ledwie się oddalił, przypadł znienacka jakiś drab, capnął owo zawiniątko i czemprędzej uszedł. Wtedy Świątek pospieszył do koni, podciął je i odjechał z Tarnowa. Tak pozbył się niemiłego zawiniątka i złodzieja oszukał.

Prócz tego były częste furmanki do Rzeszowa: stale z pocztą i po tytoń, nadto przygodne do tamtejszego sądu obwodowego, w sprawach wojskowych i t. p. wreszcie do Dębicy.

Jak kolej miała nastawać, medytowali najwięcej ci furmani, że stracą zarobki, że nie będą mieli z czego żyć i t. p., tymczasem kolej okazała się najlepsza: otwarła i ułatwiła związek z całym światem.

* * *

Z rzemieślników po wsiach byli po pańszczyźnie tkacze, krawcy, szewcy, kowale, kołodzieje, bednarze, rymarze i rozwijał się przemysł domowy.

Do najważniejszych rzemiosł należało tkactwo. Robota koło przędziwa była wielka i nie kończyła się nigdy, a należała głównie do kobiet.

W każdem gospodarstwie zaraz z wiosną siali len i konopie. — Len wcześniej zasiany był zwyczajnie lepszy. Następnie musiał być starannie ple-

wiony z chwastu, żeby był czysty, — a po dojrzeniu następowało kolejno rwanie, młócenie, rosienie, t. j., rozciąganie na rosie, moczenie, miądlenie. — Większa jeszcze robota była z konopiami. Najpierw rwali poskonki, t. j. konopie nienasienne, ale dające ładniejsze włókno, potem szło moczenie, suszenie, miądlenie i czesanie tychże. Później rwane były głowatki, dające nasienie, ale gorsze włókno; te były młócone i moczone już późną jesienią, gdy już bywały przymrozki, suszone już zimową porą koło pieca, następnie miądlone i czesane. Na moczenie musiała być odpowiednia woda, bo nie w każdej moczyły się konopie dobrze, a niewszędzie też dawali je moczyć, bo woda stawała się smrodliwa i ryby w niej zdychały. Przy czesaniu konopi na szczotkach odchodziło wiele paździór i wytwarzał się kurz, który całą warstwą pokrywał pracownicę.

Następnie kobiety przędły dniami, wieczorami i przededniem, ażeby jak najprędzej z tem się odrobić i jak najwcześniej oddać przędzę do tkacza. Nici nawijało się czyli motało na motowidle ręcznem w przędzionka, z tych można już było obliczyć, ile będzie płótna.

Tkaczy w każdej niemal wsi, zwłaszcza po wsiach lasowskich, było wówczas po kilku; wiozło się przędzę do tego, któremu się ufało, że wyrabia płótno dobrze, wcześnie i rzetelnie. Przy oddawaniu przędziwa, prosiło się go zawsze, żeby płótno było jak najszersze (szerokość wynosiła więcej niż łokieć),

z brzegami równemi i dobrze ubite; gdy było dobrze zrobione, to woda przez nie nie przeciekała. Prosili go też, żeby było gotowe już w początku maja, bo najlepszy »blich« czyli bielenie płótna było na wiosnę, jak sady zaczęły kwitnąć.

Dobrego i rzetelnego tkacza, który nie przywłaszczał sobie powierzonego mu do roboty materjału, traktowali jak najlepszego przyjaciela, przy każdem spotkaniu mu to okazywali i dawali poczęsne. Praca jego jednak przy prostym warsztacie była ciężka i żmudna, nim łokieć płótna wyrobił, musiał się krwawo napracować. Tkacz więc był zwyczajnie biedny, miał chałupinę bez gruntu, w pracy pomagała mu żona i dzieci.

Jako wynagrodzenie otrzymywał przedewszystkiem kolendę, którą przywozili mu razem z przędziwem, ażeby w czasie roboty miał się czem żywić. Kolendę dawało się według tego, ile było przędziwa; zwyczajnie składało się na nią: 2 bochenki chleba, 2—3 garncy kaszy jaglanej i tyleż jęczmiennej, 3—4 kg. słoniny, litr oleju, — a przy odbieraniu takiej kolendy tkacz zwykł był mówić żartem: »Która kolenda ma większe oczy, to prędzej na warsztat skoczy«, t. j., kto daje lepszą kolendę, tego przędza będzie prędzej wyrobiona. Nadto za wyrobienie płótna pobierał w pieniądzach: od łokcia płótna zgrzebnego 3 cnt., pacześnego 4—5 cnt., cienkiego konopnego 6 cnt., lnianego 7—8 cnt.

Każda gospodyni starała się, żeby na wiosnę jak najwięcej płótna na blich wyciągnęła; to było jej zasz-

czytem. Z tego płótna był cały przyodziew dla wszystkich domowników, a część szła na sprzedaż.

Płótno było trojakiego gatunku. Najprzedniejsze było cienkie, lniane lub konopne, z najlepszego włókna, używane na odświętne koszule, kamiziele czyli płótnianki, fartuchy czyli spódnice, zapaski, chusteczki na głowę, ochtuski czyli duże chustki. Średnie nazywało się »pacześne«, wyrabiane ze średniego włókna lnianego i konopnego, razem zmieszanego, używane zaś było najwięcej na koszule dla sług, podszewki do kamiziel, spodnie dla gospodarzy i t. p. Najpośledniejsze było zgrzebne, z włókna lnianego i konopnego pośledniego, t. j., pozostającego przy czesaniu włókna na szczotce. Z takiego włókna nie dały się już uprząść nici cienkie i równe, więc i płótno było grube, używane najwięcej na kamiziele i portki do roboty, przeważnie dla sług, na nadołki czyli nadstawki do koszul, najczęściej dla dziewek, czasem i dla gospodyń (górna część takiej koszuli była z lepszego płótna), na płachty, worki i t. p.

Łokieć lnianego najlepszego płótna płacili od 35 do 40 grajcarów, a konopnego od 30—35 grajc., pacześnego od 25—30 grajc., zgrzebnego od 20—25 grajcarów.

Teraz we wsiach nadwiślańskich uprawa lnu i konopi i wyrób płótna zarzucone. Jeżeli jeszcze gdzie sieją len, to wlókno wysyłają przeważnie do fabryk i otrzymują stamtąd płótno.

*
* *

Koło Baranowa w pow. tarnobrzeskim kwitła hodowla owiec i sukiennictwo. Owce hodowali tam w pobliskich wsiach: w Skopaniu, Woli Gołego, Knapach, Durdach, w Suchorzowie, Siedliszczanach. U poszczególnych gospodarzy bywało po 30—100 owiec, zależnie od zamożności danego gospodarza. Paśli je na pastwiskach gminnych. Z owiec tych mieli wełnę, sporządzali też sery na własną potrzebę.

Z wełny robili sukna w Baranowie, gdzie były warsztaty mniej więcej podobne do tych, jakie mieli po wsiach tkacze. We wsi Szydłowcu w pow. mieleckim była fabryka do folowania tegoż sukna. Było ono koloru czarnego, niebieskiego, brunatnego, białego. Wyrabiali z niego sukmany wiejskie, bundy zimowe i czamary mieszczańskie, nadto czapki magierki, okrągłe z sukna białego z prążkami i rękawice o jednym palcu, używane w czasie mrozów przez furmanów i przy pracy.

Sukno baranowskie cieszyło się pokupem, szło do Tarnobrzega, Dąbrowy pod Tarnowem, Szczucina, wyroby z tego sukna przemycane były za Wisłę do Królestwa Polskiego. Sam chodziłem kilkakrotnie do Baranowa, do jednego z tamtejszych czapników, po czapki magierki i rękawice, a wysyłany byłem przez stryja mego Jacka, który towar ten za Wisłę przemycał.

Tak hodowla owiec jak i sukiennictwo baranowskie upadło zupełnie koło r. 1890, kiedy dostały się tu tańsze towary fabryczne z Wiednia.

Krawiectwem trudnili się przeważnie żydzi, — szyli kamiziele z płótna domowego i żupany, futra, t. j., kożuchy pokryte suknem i białe krakowskie sukmany z sukna sprowadzanego. Chłopi-krawcy robili tylko kamiziele. Krawiec szył zawsze w domu tego, który dawał robotę, z materjału dostarczanego; materjału nie wydawali z domu, bo bali się, że krawiec może coś ukraść. Jak zaczął robić w jakimś domu, to już zwyczajnie dla wszystkich domowników. Później dopiero zaczęli żydzi robić żupany i sukmany u siebie w domu na zmowę, lub sprzedawali gotowe. Upowszechniały się wtedy żupany brunatne, grubsze.

Przez długi czas za najlepszego krawca uchodził żyd Siaja. Robił dobrze i zgrabnie, najwięcej gospodyniom i dziewkom, i wzywali go wszędzie do roboty. Ale gdy szył, zawsze musiał ktoś siedzieć przy nim i zabawiać go niby rozmową, a uważać, żeby materjału gdzieś nie ukrył i nie ukradł. Wiedział on, że go pilnują, ale się tem nie obrażał. A gdy po robocie odchodził, to mu nawet dobrze kieszenie rewidowali, czy nie zabiera kawałka sukna, kożucha, sznurka czy nici, gdy zaś coś skradzionego znaleźli, to mówił: »Jabym go nie wziął, tylko mam trochę smołę w rękach, że mi wszystko przywrze«. Nazywali go też powszechnie »Siaja-złodziej«. Od futra zarabiał 5 złr., a co do wiktu, to jadł pieczone ziemniaki, mleko prosto od krowy, chleb, — bo starał się żyć koszernie. Po nim także synowie zajmowali się krawiectwem.

Grupka włościan ze Stalów.



Stroje ludowe w powiecie Tarnobrzeskim. Ze wsi lasowskich

Z chłopów najlepszym krawcem był Gronek z Miechocina, który robił najzgrabniej kamiziele. Brał około 50 cnt. od kamizieli i wikt. — Bieliznę odświętną t. j. koszule i portki, szyły szwaczki, których nie brak było po wsiach, zaś bieliznę grubszą na codzień szyły same gospodynie w domu.

Kuśnierstwem trudnili się żydzi, ale tylko naprawiali stare kożuchy. Mianowicie przez lato skupowali stare kożuchy i łatali je u siebie, a pod zimę wynosili na miasto i sprzedawali. Kupowali po reńskiemu, po dwa reńskie, a sprzedawali poprawione po 5, 6 reńskich.

Stary kożuch był zwyczajnie zawszony, bo zwłaszcza każdy parobek czy pastuch w tem samem chodził i spał, — więc żyd, kupując taki kożuch, pytał zwykle: »Ile chcecie za tego wszorza«, a przytem potrząsał nim i trzepał przy gospodarzu. Na to gospodarz odpowiadał: »Masz czas to go wyiskasz« i starał się z ceny nic nie spuszczać.

Rzadziej się praktykowało, że starego kożucha nie sprzedawali, ale dawali go kuśnierzowi do reperacji albo kuśnierza wzywali do siebie do domu i zostawali przy swoim kożuchu. Kuśnierze naprawiali też sukmany, żupany, — kamiziele poprawiane były w domu przez kobiety. Odzież była nieraz bardzo połatana, łata na łacie, — w tem chodzili, aż się zupełnie zdarła, — a do nowego się nie brali.

Nowe gotowe kożuchy, męskie i kobiece, białe i żółte sprowadzane były i dotąd są sprowadzane

przez żydów z Sącza. Duży kożuch kosztował najdrożej 15 złr.

*
* *

Szewców nie brak było po wsiach, ale najwięcej trudnili się szewstwem mieszczanie-katolicy i bardzo w nieznacznej części żydzi. W Tarnobrzegu między rzemieślnikami najwięcej było szewców, którzy mieli swoje domy i mniejsze lub większe gospodarstwa rolne, a żony ich zajmowały się przytem najczęściej masarstwem.

Robili oni buty proste, szyte dratwą, którą trzeba było mocno ciągnąć, gdy była smołą nasmarowana; dlatego szewc zawsze miał ręce od dratwy zasmarowane. Zamiast igły używali szczeciny świńskiej, którą do dratwy wkręcali. Nikt nie umiał robić butów, zbijanych kołeczkami i nie było o tem żadnej wiadomości. Dopiero Dec, a zanim Stąpor, którzy przybyli z Rzeszowa i w Tarnobrzegu się osiedlili, zaczęli takie buty wyrabiać. Gdy Dec zrobił tu pierwsze takie buty jednemu z oficjalistów dworskich, ludzie zatrzymywali się w niedzielę, jak państwo z kościoła wychodzili, i z ciekawością przyglądali się tym butom na kołkach (nie szytym).

Tarnobrzescy szewcy robili buty na zmowę i na sprzedaż. Gdy kto ze wsi zamawiał sobie buty, zwyczajnie dawał szewcowi nici swego wyrobu lub konopie i upominał, żeby to było na jego buty użyte, żeby przytem dratwa była dobrze smarowana smołą a skóra mocna. Dobremu szewcowi dawali przy każ-

dem spotkaniu poczęsne, zapraszali go w kumy i stąd wywiązywało się wzajemne przyjacielstwo. Takie buty robione na zmowę były silniejsze i droższe. Zresztą robili szewcy tutejsi buty na sprzedaż i wynosili na targ we środy po jednej i kilka par, na co nie zakładali kramu, ale buty trzymali w rękach.

Największy jednak handel na obuwie gotowe był zawsze na jarmarkach w Majdanie. Występowali tam szewcy miejscowi i ściągali okoliczni; a trzymali towar bądź w rękach, bądź rozwieszony na żerdkach. Ściągało tylu szewców, że obuwia nigdy nie brakło. Kupowali tam buty szczególniej dla służby, dla parobków, dziewek, pastuchów i zaopatrywała się w to majdańskie obuwie cała okolica, o innem sprowadzonem z obcych krajów nikt wtedy nie słyszał. Kupowali u szewców znajomych, o których byli przekonani, że wyrabiają dobre buty; kto raz kupił takie buty i dłużej w nich pochodził, to potem garnął się do tego samego szewca. Były to jednak zwyczajnie mniej silne, niż zrobione na zamówienie, ale także tańsze. B[illegible] dla parobka kosztowały 3—4 złr., dla dziewki [illegible] złr., dla pastucha 1½—2 złr.

Sprawiając nowe buty, uważali, ażeby były »za-[illegible]ówne«, t. j. dały się łatwo wzuwać i zezuwać.

Mniejsze poprawki u butów uskuteczniali sobie sami, do czego w każdym domu znajdowało się szydełko szewskie i dratwy, w domu sporządzone.

Rymarze byli przeważnie tylko po dworach, gdzie robili uprzęże na konie, siodła, kanapy i t. p. Prócz

tego byli wędrowni, którzy robili uprząż, t. j. chomąta po domach chłopskich, ale to dopiero w tych czasach, gdy się wieś zaczęła podnosić, — gdyż przedtem używane były na konie tylko śle. Zajmowali się tem katolicy.

*
* *

Wyrób kapeluszy słomkowych odbywał się głównie w lecie na pastwisku, gdzie pastuchy, pasąc bydło, robili »ząbki« czyli sploty na te kapelusze.

Na ząbki używana była słoma, zwana »tręcią«, żytnia, rzadko pszeniczna, a była na to wybierana tręć dobra, nierdzawa, miękka, jeszcze trochę zielonkowata. Rznęło się ją na pniu od pierwszego do drugiego kolanka. Pasterze wypatrywali, gdzie żyto najładniejsze, i rznęli tręć ukradkiem, przyczaiwszy się w zbożu, gospodarze bowiem bardzo bili, jak kogo przy tej robocie w swoim polu przyłapali. Bywało jednak, że gospodarz, przyszedłszy na pastwisko zamówić sobie ząbki, pozwalał urznąć na nie tręci w swojem życie, upomniał tylko, żeby w środek nie leźć i zboża nie tłuc. W takich razach pastuch mógł już rznąć tręć spokojnie, stojąc na miedzy, — ale wyk rzystał zwyczajnie otrzymane pozwolenie tak, że na rznął tręci nie na jeden, ale na kilka kapeluszy.

Zwyczajnie też między pastuchami znalazł się taki, co umiał z ząbków szyć kapelusze tak, że cały kapelusz był wyrabiany na pastwisku. Albo też szył kapelusze ktoś starszy we wsi, a w każdej wsi była

inna forma i moda. W tym czasie, jak ja pasałem, robił je w Dzikowie pastuch niemowa, mający wtedy około 20 lat; szył on ładne kapelusze dla pastuchów, parobków i gospodarzy.

Za ząbki na cały kapelusz płacili 15 do 20 grajcarów, im drobniejsze były, tem były droższe, — a najlepszy kapelusz kosztował (z uszyciem) cwancygiera czyli 33 grajcary. Chodziło się w nim parę lat.

*
* *

Kowali było po wsiach więcej niż obecnie. Żadna wieś nie była bez kowala. W każdej też prawie gminie była kuźnia gminna, do której należał dom i kawałek pola pod ziemniaki, kapustę, ażeby ułatwić osiedlenie się kowalowi, aby był w miejscu dla wygody mieszkańców. Z takich też kuźni gmina nie pobierała najczęściej żadnego czynszu, chyba, że wieś była duża, albo kuźnia leżała przy trakcie i szła dobrze.

Kowale robili lemiesze, trzusła do pługów drewnianych i resztę kawałków, które musiały być w pługu żelazne, dalej sierpy, nadto kłódki, klamki, zawiasy do drzwi i gwoździe. Te ostatnie jednak robili rzadko, o kłódki zastępowawano przeważnie drewnianemi zasuwami, taksamo klamki i zawiasy były drewniane, a wreszcie i wszelkie łączenia i zmocowania robiono tak, że wiercono dziury i zbijano wszystko kołkami dębowemi, nie gwoździami. Ale jeżeli komu koniecznie gwoździe były potrzebne, to kazał je robić kowalowi i były tylko gwoździe kowalskie nie sklepowe.

W ogóle sklepów żelaznych podówczas nie było, więc kowale mimo wszystko mieli dosyć roboty.

Jak w każdem rzemiośle, tak i w tem byli partacze i dobrze wydoskonaleni, biegli rzemieślnicy. Gdzie był dobry kowal, co robił n. p. dobre sierpy, siekiery, to nieśli do niego robotę i z innych wsi; taki mógł zarobić wówczas i 2 r. dziennie i miał niemałe znaczenie między ludźmi.

Mniej niż kowali było kołodzici czyli stelmachów. Robili oni wozy, wózki i drzewne części do narzędzi rolniczych. Robili nietylko gospodarzom we wsi od ręki, ale i żydom do miasta na zmowę, którzy następnie wyroby te z zarobkiem chłopom sprzedawali za gotówkę lub na wypłat. W Tarnobrzegu trudniło się tym handlem paru żydów.

* * *

Po wsiach między lasami koło Majdanu kolbuszowskiego kwitło bednarstwo. Prawie każdy chłop, mający mniejszy grunt, był tam bednarzem. Wyrabiali oni wszelkie naczynia gospodarskie jak: beczki różnej wielkości, fąski, dzieżki, konewki, skopki, cebrzyki, wanienki, niecki, tryfusy, dalej sita, przetaki, łopaty do chleba, pociaski, wreszcie łyżki, łyżniki, wrzeciona, sikawki ręczne, miotły. Naczynia były z drzewa sosnowego, świerkowego i olszowego, łyżki z twardego drzewa bukowego, miotły z gałązek brzeziny. Nadto w tych wsiach wyrabiane były opałki, okrągłe koszyki, koszałki z korzenia dartego na pasy.

Materjał na te naczynia brali bednarze z lasów, wśród których mieszkali. Brali go bezpłatnie, do czego z dawien dawna byli przyzwyczajeni i, choć po uregulowaniu służebności ta wolność była zniesiona, woleli go zawsze ukradkiem z lasu wywozić pomimo czujności leśnych, — niż kupować choćby najtaniej.

Były to wyroby bardzo zgrabne, ładne i tanie. Porządna konewka kosztowała 25 cnt., cebrzyk około 30 cnt., beczka duża 3-korcowa 1 r., opałka objętości jednej ćwierci, bardzo mocna 15 cnt., miotła 2—3 cnt. Dziś te naczynia zastąpiono przeważnie blaszanemi, dowożonemi z zagranicy, ale i przemysł bednarski zupełnie jeszcze nie ustał.

Główny targ na to bywał w Majdanie w poniedziałki, stąd była nazwa »naczynia majdańskie«. Po te naczynia jechał tam każdy gospodarz choćby o kilka mil. Część sprzedawali sami chłopi-bednarze, przeważnie jednak mieli ten handel w swoich rękach żydzi, którzy starali się wszystko zakupić, połapać, a potem zaraz w Majdanie drożej sprzedawali niż wytwórcy. Bednarz sprzedawał żydowi taniej, bo się łakomił na to, że naraz wziął pieniądze, i nie targował się o każdą sztukę pojedynczo.

W Tarnobrzegu trudniło się tym handlem kilka rodzin żydowskich, szczególnie rodzina Zyslów, i porobili na tem majątki. Jeździli oni do Majdanu na każdy targ, zakupywali tam gotowe naczynia, dawali też naprzód zadatki bednarzom, z którymi prowadzili interes, przywozili towar do Tarnobrzega czubatemi fu-

rami, godząc furmanów za psie pieniądze, najwyżej za 2 r., i tu sprzedawali we środy na rynku, a każdego dnia w domu. Natomiast na chłopach-bednarzach nie widać było żadnego bogactwa. W lecie chodzili boso, w lichej kamizieli, zimą w chodakach, — byli biedni, jak wyrobnicy, biedniejsi, niż żydzi, handlujący wytworami ich pracy.

Będąc w Wiedniu, widziałem przy najprzedniejszej ulicy skład z naczyniami podobnemi do naczyń majdańskich. Właściciel sam sobie prowadził warsztat i sklepik i dobrze mu się powodziło.

*
* *

Na uwagę zasługuje koszykarstwo, które się rozwinęło w Rudniku i okolicy w sąsiednim powiecie niżańskim, za sprawą właściciela Rudnika, hr. Hompescha. Ten przejęty nędzą tamtejszych mieszkańców, których nie mogły wyżywić piaszczyste grunta, założył tam w r. 1878 pierwsze warsztaty koszykarskie, sprowadził zawodowego instruktora koszykarstwa i kilku Rudniczan wysłał do większych warsztatów koszykarskich, celem wykształcenia ich w tym zawodzie. Przewidywał, że koszykarstwo dostarczy biednej ludności pracy i zarobku, zwłaszcza, że przepływający przez Rudnik San zarosły jest z obu stron wikliną i sprzyja rozwojowi przemysłu koszykarskiego.

Przemysł ten, umiejętnie zaszczepiany, od początku dobrze się tam rozwijał, a gdy następnie hr. Hompesch dalszą organizację tegoż przemysłu po-

wierzył wielkiej firmie »Prasko-Rudnickiej fabryce wyrobów koszykarskich«, nastąpił nadzwyczajny rozrost koszykarstwa w Rudniku. Rozwinął się tam w okolicznych wsiach przemysł koszykarski domowy, a w samym Rudniku powstała wielka fabryka koszykarska. W warsztatach tej fabryki pracuje około 100 robotników, a poza fabryką pracuje dla niej 300 koszykarzy z samego Rudnika. Wszystkich zaś robotników-chałupników z Rudnika i okolicy pracuje w tym przemyśle przeszło 2000. Z biegiem lat wielu koszykarzy wyjeżdżało do Ameryki i tam w fabrykach koszykarskich i własnych warsztatach prowadzili swój zawód, przysyłając znaczne oszczędności swoim rodzinom do kraju.

Przed wojną wyroby rudnickie wychodziły prawie w połowie do różnych krajów zagranicznych i zdobyły sobie światową markę. Słynne stały się w całym świecie piękne koszyki rudnickie, kosze, przybory podróżne, meble, skrzyneczki i t. p. Opowiadają, że jeden Rudniczanin wracając do domu z Ameryki po dłuższym tam pobycie i chcąc ucieszyć żonę jakimś pięknym podarunkiem, kupił w Ameryce ładny koszyk i przywiózł go do domu. Tu pokazało się, że koszyk ten właśnie wyrobiony był w Rudniku i w handlu zagranicznym dostał się do Ameryki.

W powiecie tarnobrzeskim rozwinęło się nieco koszykarstwo głównie przez krajowe szkoły koszykarskie.

*
* *

W tych samych mniej więcej wsiach, co wyrób naczyń drzewianych, było garncarstwo, t. j. wyrób garnków, misek, dzbanków, donic i t. p. Szczególniej byli garncarze we wsiach: Dęba (pow. tarnobrzeski), Poręba (pow. kolbuszowski), Stany (pow. niżański). Mieli tam garncarze glinę i drzewo do wypalania swoich wyrobów.

Była z tem robota podobna jak z cegłą, — tylko glina musiała być lepiej wyrobiona, nie mogło być w niej najmniejszej grudki, bo wystrzeliła i garnek nie dał się naprawić, piece były mniejsze i sklepione, a wypalanie ostrożniejsze, bo materjał był cieńszy i delikątniejszy. Towar był brany na targ odrazu z pieca, gdyż wiele czasu zabierało wykładanie z pieca i układanie na furze.

Były to naczynia nie powleczone glazurą, albo powleczone tylko po brzegach. Dostawiane były do Majdanu, Tarnobrzega i najbliższych miast, — największy targ na nie był w Majdanie. Lepsze i droższe, powleczone szkliwem, przychodziły z Krakowa Wisłą galarami i nazywały się »krakowiakami«.

Garncarstwo dawało zarobek lichszy niż bednarstwo. Garnek, który trza było ulepić, wysuszyć, wypalić, kosztował zaledwie od jednego do kilku centów. Wiele się psuło, nawet już w drodze na targ, gdy n. p. fura się wywaliła, co wszystko garncarz przypisywał czarom, że »ktoś mu poradził«. A jednak i z tego rzemiosła wiele ludzi żyło. Do ubóstwa garncarzy przyczyniało się najwięcej to, że — podobnie jak

bednarze — sami swoich wyrobów w miastach nie sprzedawali, ale odstępowali je hurtownie na kopy żydom, — którzy często towar naprzód zadatkowali, nim jeszcze był wyrobiony i wypalony. W Tarnobrzegu trudniło się tym handlem kilka rodzin żydowskich, mających sklepy w ratuszu i na boku, i powodziło się im bez porównania lepiej niż samym garncarzom.

Cegielnie, prowadzone przez strycharzy, były tylko po dworach, w każdym dworze była przynajmniej jedna. Były to cegielnie ręczne, dopiero po r. 1900 powstały w powiecie pierwsze dwie cegielnie parowe: w Dzierdziówce i Chmielowie.

*
* *

Młyny były wodne i wiatraki. Największy wodny był w Żupawie hr. Tarnowskiego i w Jamnicy Dolańskiego. Wiatraki były także tylko dworskie w każdej wsi jeden i więcej; innych prócz dworskich nie było i nie wolno było budować.

Okoliczne wiatraki puszczane były w dzierżawę, wraz z domem i kawałkiem gruntu dla młynarza. Ten miał mleć zboże dla folwarku, do którego należał, a nadto przyjmował do mielenia — podobnie jak młyny wodne — zboże chłopskie i od kupców-żydów i brał zapłatę w pieniądzach lub też w zbożu, w t. zw. »miarkach«, od ćwierci.

Młynarze byli najczęściej posądzani, że nie oddają rzetelnie wszystkiej mąki i otrąb właścicielowi, lecz część ubierają i przywłaszczają sobie. Więc gos-

podarz, który zawiózł zboże do młyna, siedział tam i zabawiał niby młynarza rozmową, a uważał, żeby mu tenże zboża czy mąki nie ukradł. Ale i tak nie upilnował, bo gdy był n. p. na górze, gdzie zboże szło pod kamień, młynarz mógł kraść na dole, gdzie mąka leciała. Więc gospodarz brał często do młyna także chłopaka, (tłumacząc się przed młynarzem, że chłopak ciekawy, chce widzieć, jak się mąka miele), — żeby pilnować zboża na górze i na dole. Naturalnie i to nie pomogło, bo młynarz, jak chciał zboża czy mąki ukraść, to znalazł sobie na to sposób i ukradł. Zresztą byli też młynarze religijni i sumienni, a od nieuczciwych rychło odbijali się ludzie.

Gospodarze dawali do młynów nie więcej, niż po 2 lub 3 korce w roku i to dawali tylko zamożniejsi, chcąc mieć lepszą mąkę na placki i kluski. Pozatem wszystko mielone było w żarnach domowych.

W późniejszych czasach powstał młyn parowy w Mokrzyszowie, który lepszą mąkę wydawał, — więc młyny wodne w okolicy zostały skasowane, (bo nadto przyczyniały się do zatapiania przez wodę okolicznych łąk), i wiatraki dworskie zostały posprzedawane. Dziś też może każdy za pozwoleniem starostwa wiatrak budować i prowadzić. Po wojnie światowej powstaje w okolicy coraz więcej młynów parowych i elektrycznych.

*

* *

Wytłaczaniem oleju trudnili się olejarze. W naszych stronach robiono olej z siemienia konopnego, lnianego i w małej ilości z rzepakowego. W każdem gospo-

darstwie wyrabiali rokrocznie kilka kwart oleju na własną potrzebę, a gdy mieli więcej, to często gęsto odsprzedawali. Przyczynianiem oleju, podobnie jak płótna, zajmowały się kobiety, one też go sprzedawały w czasie targów na kwaterki i półkwaterki.

Siemię przeznaczone na olej suszyli najpierw w piecu, następnie tłukli w stępie, aż stało się miałkie i wilgotne. Nadto konopne przed tłuczeniem omielali lekko w żarnach z łup i puli nieckami ku wiatrowi. Tak przysposobione wieźli do olejarzy najwięcej w adwent lub w wielkim poście, t. j. w czasie, gdy potrawy maścili olejem, gdyż świeży był smaczniejszy.

Olejarze mieli stępy olejarskie, w których bili, czyli wyciskali olej siłą przez pobijanie klinów, w ten sposób z siemienia otrzymywało się olej i wytłoczyny, zwane makuchami. Kwaterkę (1/4 l., oleju płacili po 10—15 cnt.). Najsmaczniejszy był konopny. Makuchy były ubite, twarde, miały kształt krążków. Z makuchów konopnych utartych i rozpuszczonych w wodzie robili mleko i używali do kaszy jaglanej. Robili też z nich rodzaj twarogu i następnie pierogi, które omaszczone olejem uchodziły za specjał. Kto miał dobre zęby, jadł je też wprost, bo były słodkie. Makuchy lniane i rzepakowe moczyli w wodzie, tłukli i maścili niemi w zimie sieczkę dla krów do dojenia.

Olejarzy było najwięcej po wsiach lasowskich, we wsi był jeden, dwu. Byli nimi gospodarze mniej zamożni, którzy jako olejarze mieli niezłe zarobki, lepsze niż tkacze, bo od makucha otrzymywali 5—6 cnt.,

albo zamiast pieniędzy makuchy, zwłaszcza lniane i rzepakowe, które potem najczęściej do domów odsprzedawali. Prócz tego od każdego dostali coś oleju. Olej bili zawsze na poczekaniu w obecności właściciela siemienia, który olejarzowi w robocie pomagał, a następnie olej i makuchy odrazu do domu zabierał. Większy ściąg mieli zawsze rzetelnielsi i lepsi olejarze, którzy z pewnej miary więcej oleju bili.

Taki warsztat olejarski, więcej udoskonalony, miał także żyd Bercia z Tarnobrzegu, w warsztacie tym pracowało stale dwóch chłopów z Dzikowa.

*
* *

W okolicy były dwie garbarnie, prowadzone na dużą skalę: jedna w Grębowie należała do Niemca, kolonisty, Jakóba Gintera, druga w Majdanie kolbuszowskim należała do obywatela tamtejszego, Wurma. Garbarnie te skupowały skóry świeże, bydlęce, końskie i wyprawiały je na juchtowe czarne, szare, jakie obecnie widzi się w sklepach. Skupowaniem skór świeżych i dostarczaniem ich do garbarń zajmowali się żydzi, oni też wyprawione skóry zakupywali i sprzedawali po sklepach w mieście. Prócz tego garbarnie te przyjmowały skórę do wyprawiania od poszczególnych ludzi i oddawały właścicielom gotowy towar, nadto prowadziły u siebie drobną sprzedaż skór gotowych. Należały one do najznaczniejszych przedsiębiorstw przemysłowych w okolicy, a składały się na nie rozległe zabudowania, przeznaczone na składy skór

świeżych, wyprawionych i sklep, — przyczem obaj właściciele zajmowali się też gospodarstwem rolnem.

Prócz wymienionych była jeszcze garbarnia w Tarnobrzegu, należąca do żyda, ale znacznie podrzędniejsza.

*
* *

W niektórych wsiach lasowskich, jak w Krzątce, Dęby, istniały maziarnie, prowadzone przez chłopów. Kopali oni tam pniaki sosnowe i oczyszczone z ziemi rąbali na drobne kawałki, następnie zaś układali w piecach okrągłych, zbudowanych z gliny i prażyli przez 3—6 dni. W ten sposób z tych smolnych szczap otrzymywali maź czyli smołę i dziegieć, nadto węgiel kowalski. Maź i dziegieć sprzedawali hurtownie innym chłopom, którzy rozwozili ten towar po wsiach i prowadzili nim drobną sprzedaż. Maź używana była do smarowania ówczesnych wozów o drewnianych osiach, dziegieć służył jako lekarstwo, n. p. przeciw katarowi. Węgiel i jakieś wynagrodzenie oddawali maziarze do dworu za pniaki, brane z lasu. Węgiel ten używany był przez kowali podobnie, jak dzisiaj koks. Obecnie niema śladu po maziarniach, a zaczęły one upadać wtedy, gdy znikły wozy drewniane a następowały kute.

*
* *

Miśkarze byli zawsze wędrowni. Chodzili po wsiach począwszy od świąt Wielkanocnych przez całe lato. Najwięcej zaś z wiosny. Miśkowali, t. j., kastrowali oni knury, ogiery, buhaje, a także świnie-sa-

mory, które miały być karmione na opas. Misili stare samory, które miały już niejedne prosięta, a było to połączone z wielkiem kalectwem zwierzęcia i po takiej operacji nieraz świnie zdychały. Dziś samor się nie misi, a pasą się dobrze.

Miśkarze tacy szli od wsi do wsi, od dworu do dworu i wołali donośnym głosem: «Miśkować, miśkować!« Mieli na sobie torbę, a w niej swoje przybory: nóż, igłę nici. Przychodzili oni z Czech i dobrze na swojem rzemiośle zarabiali, odsyłając dużo pieniędzy do domów. Zwyczajnie ci sami miśkarze zachodzili corok do tych samych miejscowości i powierzano im nowe zwierzęta do kastrowania, gdy kastrowane poprzednio chowały się dobrze; natomiast miśkarz, po którym zwierzę zdechło, tracił wpływ we wsi.

Mniej więcej koło r. 1890 miśkarze przestali chodzić po wsiach; dziś w każdej wsi znajdzie się taki, co potrafi dobrze wyczyścić zwłaszcza małe knurki.

Rzeźników, stale tą robotą zatrudnionych, nie było, znaleźli się tylko w każdej wsi tacy, co potrafili zakłuć świnię lub zarznąć krowę na wesele.

Ratowaniem i leczeniem krów i koni zajmowali się tak chłopi, jak kobiety, a niektórzy byli z tego mniej lub więcej w okolicy znani.

*
* *

Dużo po wsiach chodziło druciarzy. Nie było prawie dnia, żeby który przez wieś nie przeszedł, podczas gdy teraz rzadko się ich spotyka. Drutowali oni

garnki, robili łapki na myszy i szczury, potem siatki druciane do młynków zbożowych i t. p. Zarobek był lichy, to też żyli przytem z żebraniny, bo gdzie drutowali, tam zwyczajnie — prócz paru centów — dostawali coś do jedzenia, a gdzie zatrzymali się na nocleg, tam zwykle dawano im kolację. Byli to górale od Zakopanego, Szczawnicy. Mówili, że u nich bieda, że niema chleba, jednak nigdy nie zatrzymywali się w nizinach stale, ale do gór wracali. Byli licho odziani: w guni, spodniach opiętych, kapeluszu filcowym, chodakach, mieli drut i torbę przewieszone przez ramię, a gdzie przechodzili, rozlegał się ich głos: »Garnki drutować!»

* * *

Rzemiosłami dawniej zajmowali się ci, co gruntu swojego nie mieli albo mieli mało. Rzemieślnik wsiowy, jak zarobił na dzień 50 grajcarów do reńskiego, to uważał to za dobry zarobek. Rzemieślnik jednak był zwyczajnie obrotniejszy, niż rolnik, bo miał ciągle styczności z różnymi ludźmi. Miał też z tego powodu większe znaczenie we wsi, zwłaszcza, gdy dobrze zarabiał, jak n. p. niejeden kowal.

Był zwyczaj, że jak się oddawało rzemieślnikowi robotę, to nasamprzód trza go było wódką poczęstować, i on temu najpierw zrobił, kto się na tej grzeczności lepiej rozumiał i lepiej go uraczył. To też który rzemieślnik był lepszy, to zwyczajnie większy był pijak, bo więcej do niego nieśli roboty i więcej go poili.

Wogóle rzemiosło i przemysł wsiowy popańszczyźniany nie stał wysoko, ale wszystkie wyroby były swoje, w kraju wytwarzane. Ogromna więc szkoda, że w późniejszych czasach przemysł ten, zwłaszcza tkactwo, upadał i zupełnie był zarzucony, a należało go tylko ulepszyć i dalej rozwinąć. Dziś wiele rzeczy sprowadza się z zagranicy, tam odpływają nasze pieniądze, a nasi szukają zarobku po świecie.

Na ogół więcej rozwinięte były rzemiosła po miasteczkach, gdzie prócz wymienionych rzemieślników, spotykanych na wsi, byli jeszcze stolarze, ślusarze, murarze, blacharze, powroźnicy, piekarze, rzeźnicy, — ale wszyscy oni zaspokajali potrzeby najwięcej albo nawet wyłącznie ludności miasteczkowej, albo też dworów i plebanji i nie znali także lepszych robót. Rzemiosłami temi zajmowali się katolicy i żydzi a rzeźnictwem i piekarstwem wyłącznie żydzi.

Prócz tego w Tarnobrzegu było dwu fryzjerów, zwanych wtedy cyrulikami, którzy stawiali bańki, pijawki, puszczali krew z żył, rwali zęby, — a mniej zajmowali się strzyżeniem i goleniem, bo tak mieszczanie jak chłopi czynności te załatwiali sobie sami przy pomocy nożyczek i brzytwy. Cyrulikami tymi byli żydzi; w r. 1900 powstał w Tarnobrzegu pierwszy zakład fryzjerski katolicki.

V.

Handel na wsi. Jarmarczenie. Handel miastowy. Początki handlu chłopskiego. Obrót pieniężny. Lichwa. Upadek gospodarstw chłopskich. Upadek mieszczan. Upadek dworów. Żydzi.

Handel tak na wsi, jak w mieście był prawie wyłącznie w rękach żydów. Po karczmach wsiowych siedzieli tylko żydzi i prócz wódki mieli na przekąskę obwarzanki i bułki, które sami piekli, nadto gomółki z sera i śledzie. Przytem sprzedawali ubocznie sól, tytoń do fajek, zapałki, igły, tasiemki, krajki do opasywania się, — ale towaru tego mieli zawsze bardzo niewiele, zazwyczaj mieścił się wszystek w małej paczce, schowanej za szynkwasem.

Wsiowi ludzie jednak kupowali towar taki najczęściej od żydów i żydówek, domokrążców, obnoszących w opałce igły, tasiemki, krajki, zapałki, trochę pieczywa, przyczem też nigdy nie brakło wódki. Każdą wieś obchodziło stale kilku takich handlarzy czy handlarek, dochodzących z miasta, więc prawie codzień do każdego domu któreś z nich zaszło. Znali bardzo dobrze swoje wsi i ludzi, byli też w każdym domu witani zawsze, jak dobrzy znajomi.

Za towar tak w karczmie jak domokrążcom rzadko kiedy płacili pieniądzmi, najczęściej dawały gospodynie jajka, kaszę, kości i szczecinę ze świń, trochę jakiegoś zboża, lub coś z drobiu, był to więc handel wymienny bardzo dla żydów popłatny. To też domokrążcy, choć byli nędznie odziani, obdarci i narzekali na biedę, mieli, jak się nieraz pokazywało, ładną gotówkę. Najwięcej zarabiali zawsze od tych, co wódkę lubili. Jeżeli gospodarz i gospodyni nie pili oboje, tylko jedno z nich, n. p. gospodyni, to dostawała wódkę skrycie przed gospodarzem, i w skrytości też płaciła różnemi produktami domowemi.

* * *

Gdy trza było kupić jakiś sprzęt do domu, n. p. opałkę, cebrzyczek, konewkę, albo garnki, miski, buty, to już po te sprawunki jechali z przyzwyczajenia na jarmark. Mówili, że tam można to o parę grajcarów taniej kupić, niż na miejscu. Jadąc na jarmark, brali z sobą parę ćwierci zboża: żyta, jęczmienia, pszenicy, owsa, kaszy, bo znów był rachunek, że tam można to lepiej spieniężyć. Ale były wypadki, że tam sprzedało się taniej, albo zboże do domu nazad przywiozło, bo zależało od tego, jak dużo takiego produktu na targ dostawiono.

Od nas jeździli najczęściej do Majdanu, o trzy mile stąd, gdzie co poniedziałek odbywały się wielkie targi, zwane jarmarkami.

Był tam także wielki targ na konie, bydło, karmiki, sprzedawali też gotowe połcie słoniny, sadło, słoninę chudą przywędzoną, kiełbasę, a to wszystko na oko bez wagi, — sprzedażą zaś tą trudnili się mieszczanie i okoliczni chłopi. Słowem wszystko, co teraz jest w sklepach, wtedy kupowało się na jarmarku w Majdanie.

Kto z Dzikowa wybierał się na Majdan, musiał już w niedzielę wieczór ładować wóz, ażeby zaraz po północy wyjechać i przed południem na miejsce przybyć. Droga do Majdanu była w tych czasach bardzo zła, były piachy i błota, doły i kałuże, musiało się jechać noga za nogą, nie tak, jak obecnie, co jest bity gościniec. Dzisiaj żaden gospodarz takiej złej drogi nie chciałby odbywać, chyba za dużem wynagrodzeniem.

Na każdy taki jarmark musiała jechać z gospodarzem gospodyni, bo chociażby on sam mógł wszystko sprawić i załatwić, to jednak był już taki obyczaj i gospodyni bardzoby się gniewała i mężowi wymawiała, że ją ma za dziewkę, że jej nie szanuje, z sobą nie bierze, i nawet sąsiedzi mieliby mu to za złe.

Jarmark, czyli załatwienie sprawunków, przedłużało się do późnego wieczora, toteż do domu wracali najczęściej już po drugim północku.

Był przytem zwyczaj, iż po drodze z jarmarku wstępował każdy do karczmy, przynajmniej do jednej, ażeby popaść konie i na tak zwaną »rozgrzywkę« czyli napitek i przekąskę, którą już gospodyni najczęściej z domu brała. Na tym spoczynku w karczmie zeszło niejed-

nemu parę godzin, zależnie od tego, jak dużo zjechało się naraz znajomych, sąsiadów, kumów. Więc nieraz przepijali tu więcej, niż zyskali przez lepsze kupno czy sprzedaż w Majdanie, a czasem nawet więcej, niż wszystkie sprawunki były warte. Ale tego wszystkiego nie liczyli, ani tego, co się sami naponiewierali i koni namęczyli.

A trzeba dodać, że takich dalszych jarmarków każdy gospodarz musiał odbyć przynajmniej dwa do roku, a to najwięcej na wiosnę i w jesieni, — oprócz pobliskich.

Był też zwyczaj, że dzieciom z jarmarku przywozili obwarzanki i bułki, ażeby miały z jarmarku pamiątkę. To też dzieci późno w noc nie szły wtedy spać i wyglądały, aż ojcowie z jarmarku powrócą.

*
* *

W mieście trudnili się handlem prawie wyłącznie żydzi. Był on zresztą bardzo nędzny, skoro koło r. 1860 nie było w Tarnobrzegu nawet dziesięciu lichutkich sklepików, mieszczących się w domach drewnianych.

W paru sklepikach — prócz tego, co można było kupić u domokrążców wsiowych, — były płótna kolorowe, chusteczki, wstążki, płótna domowe, czapki, fajki, w których się wtedy chłopi bardzo kochali, grzebienie, cyganki, świeczki łojowe. Wszystko to prócz płótna białego, nabywanego od chłopów, sprowadzane było wozami z Tarnowa, dokąd pewnie przychodziło

z przemysłowych krajów austrjackich. U paru innych żydów było zboże, które sprzedawali najwięcej w dni targowe, wystawiając w workach na rynek. Wreszcie na parę lat przed r. 1860 nastał pierwszy sklep z żelazem, gdzie było żelazo w kawałkach dla kowali, nadto rynki, żeleźniaki, kociołki, wewnątrz niewybielane. Zapasy towarowe we wszystkich tych sklepach były bardzo skromne, wartość ich nie dochodziła pewnie do 100 złr.

Najwięcej było karczem czyli »szynków« z wódką z których główny mieścił się u Joska w ratuszu*), prócz tego był drugi na przeciwnym końcu ratusza i kilka innych, rozrzuconych po mieście, a więcej znacznie było nadto pokątnych, w których chłopi upijali się również dobrze, jak w pierwszych.

Pieczywo sprzedawali żydzi na podcieniach, które były naokoło rynku, a stanowił je wypust mniej więcej na 2 metry przed każdym domem. Na rynku też sprzedawali garnki, miski, łyżki drewniane, jak również cebrzyki, konewki, niecki, sita, przetaki, rzeszota, czyli »rajtaki«, sprowadzane z pod Majdanu kolbuszowskiego.

Sklep chrześcijański był tylko jeden, mianowicie Narcyza Giżyńskiego, zastępujący też dzisiejsze Ka-

---

*) W dawnym ratuszu prócz dwóch szynkowni znajdowały się w środku stajnie zajezdne. Po pożarze w r. 1862 został odbudowany w dawnych rozmiarach tak, jak się przedstawiał do r. 1914: w miejsce stajen zajezdnych zostały urządzone sklepy, a na miejscu drugiej szynkowni umieszczono urząd podatkowy.

syno urzędnicze. Prócz trunków i przekąsek był tam towar korzenny, kupowany przez nielicznych wówczas urzędników; dla chłopów nic w tym sklepie nie było, więc też nigdy do niego nie zachodzili.

Mieszczanie-katolicy, żyli głównie z rolnictwa i rzemiosła. Kilku trudniło się handlem świń, które bili sami i sprzedawali w rynku na stolikach, zwłaszcza w dni targowe i święta: słoninę, sadło i kiełbasę. Wywozu świń z okolicy, tak dziś rozwiniętego, nie było jeszcze ani śladu i zaczął się dopiero koło r. 1870, a nim powstała kolej do Tarnobrzegu, gnali kupcy świnie stadami aż do Dębicy.

Mieszczanie baranowscy, mieleccy, kolbuszowscy, trudnili się też kramarstwem. Jeździli po odpustach z jednego miejsca na drugie. Do Tarnobrzega zjeżdżało na odpusty 20—30 kramarzy, do Leżajska znacznie więcej. Który wcześniej przybył i w zarządzie miasta więcej zapłacił, mógł w lępszem miejscu swój kram rozłożyć. Sprzedawali: medaliki, szkaplerze, różańce, koronki, pasyjski, obrazki, książeczki do nabożeństwa, kalendarze, nadto pierścionki, różne piszczałki, organki, zabawki dla dzieci i t. p. Na to wszystko był wtedy odbyt i kramarze mieli dobre zarobki.

*
* *

Chłopi handlem zupełnie się nie zajmowali, uważali go za zajęcie żydowskie, na którem — jak mówili — tylko żyd wyjść może. Handlu się wstydzili i wyśmialiby chłopa, któryby chciał handlować. Przywozili tylko i przynosili na targ do miasta: zboże, ziemniaki,

kaszę, jarzyny, drób jaja, nabiał, wyroby przemysłu domowego i wszystko sprzedawali przeważnie żydom, którzy tem dalej handlowali i zyski z tego ciągnęli. Często chłopi kupowali drogo od żydów na wiosnę zboże, które w jesieni za psie pieniądze żydom sprzedali. Zresztą nie było dawniej szkół i chłop do handlu nie był zdatny, poprostu nie umiał liczyć.

Jak trudno było wtedy odważyć się na handel, mogę powiedzieć z własnej praktyki.

Nie było wówczas w zwyczaju, żeby przed jesienią kopać motyką nowe ziemniaki, bo uważali za grzech niszczyć to, co jeszcze rośnie i przyrasta; można było tylko ziemniaki podbierać ręką na własną potrzebę. Nikt też nowemi ziemniakami nie handlował. Tylko koloniści niemieccy z Padwi przywozili do Tarnobrzegu t. zw. wczesne murzyny i sprzedawali je na garnce, — garniec po 10 centów, co wtedy uchodziło za cenę wygórowaną,

Widząc, jak Niemcy dobrze na tem zarabiają, zasadziłem pół morgi wczesnych ziemniaków i miałem je wywozić na miasto, jak to oni robili. Ale gdy ziemniaki urosły, sprzedałem je żydowi w polu za 30 złr., z czego otrzymałem 10 złr. jako zadatek. A kupno to prawie w żyda wmówiłem, bo żydzi wtedy nie zakupywali jeszcze ziemniaków w polu i nie znali się na tym handlu, — (jak dziś n. p. nie kupują ogórków w ogrodzie, tylko zerwane na kopy), — kupowali tylko ziemniaki na swoją potrzebę, na garnce i ćwierci.

Tego samego dnia jednak przyszedł żyd do mnie prawie z płaczem, że się oszukał, że w mieście śmieją się i naigrawają z niego, że kupił kota w worku (niewykopane ziemniaki), — i molestował o zwrot zadatku. Z tem mnie kilkakrotnie nachodził tak, że mi cierpliwości brakło i zadatek mu wróciłem.

Przyjrzałem się lepiej, jak Niemcy sprzedają, nająłem dwie kobiety do podbierania ziemniaków i zrana, nim fury z Padwi przyjechały, wywiozłem na miasto parę ćwierci. Ledwie stanąłem, zwarły się do mnie żydówki, właziły na koła, na wóz, jedna przez drugą dawały pieniądze, żeby im sprzedać ziemniaków. Daremnie wołałem, żeby się nie cisnęły, że każda kupi, bo mam więcej w domu. W mig wszystko sprzedałem, a gdy wróciłem do domu, miałem znowu na podwórzu sporo żydówek, chcących kupić ziemniaków. Gdy powiedziałem, że ziemniaki jeszcze w polu, że po nie pojadę, wszystkie chciały iść za mną, — alem je nawrócił, zapowiadając, że nie ruszę z podwórza, jeżeli nie pozostaną na miejscu, — bo nie chciałem, żeby taka rzesza odprowadzała mię w pole. Co było ukopane, przywiozłem i sprzedałem na oborze.

Potem sprzedawałem już tylko w domu zrana i w kilku dniach zebrałem całą miseczkę samemi szóstkami, razem 80 złr., a ziemniaki nie były jeszcze wykopane, tylko podebrane. Następnie corok sadziłem coraz więcej wczesnych ziemniaków i targowałem za nie parę stówek. Nowych nie podbierałem już rękami, ale kopałem odrazu motyką, a na ziemniaczysku sia-

łem zaraz mieszankę dla krów. W ten sposób za ziemniaki miałem zawsze na opędzenie wydatków na żniwa, a z mieszanki dobrą paszę na jesień.

Po te ziemniaki przychodziły do mnie nie tylko żydówki, ale sługi od urzędników tarnobrzeskich, między innemi służąca komisarza starostwa. Zauważyłem, że jednego dnia służącej tej nie było, dopiero na drugi dzień przyszła i opowiadała, że pani widziały się ziemniaki za drogie i nie kazała kupować, — ale pan gniewał się, że ziemniaków na obiad nie było, mówiąc: »Ja wtenczas nie chcę ziemniaków, kiedy sobie i dziad podje«, i potem służąca stale już u mnie ziemniaki kupowała.

Zrazu naturalnie z tego handlu ludzie się śmiali, wnet jednak i inni zaczęli sadzić wczesne ziemniaki na sprzedaż, ale sprzedawali je w polu żydom. Bo żydzi zaraz i w tym handlu zasmakowali i dziś żyje z niego kilka rodzin żydowskich w Tarnobrzegu. Obecnie jednak wielu chłopów z różnych wsi sprzedaje na mieście warzywa i owoce. Śmiechy i drwiny z tego ustały.

Dopiero po powstaniu Towarzystwa Kółek Rolniczych w r. 1882 zaczęły się mnożyć po wsiach sklepiki Kółek Rolniczych i prywatne sklepiki chrześcijańskie. Obecnie w każdej wsi jest już taki sklepik, a w większych wsiach bywa ich nawet parę, wobec których żydowskie nie mogą się często utrzymać i znikają ze wsi. Również po miasteczkach powstały porządne sklepy chrześcijańskie.

*

* *

Obrót pieniężny na wsi był długo jeszcze za mojej pamięci bardzo mały, — srebro i złoto trafiło się rzadko, a o ile kto dostał do rąk srebrnego cwancygiera, a zwłaszcza złotego dukata, to chował go w domu i na największą potrzebę nie wydawał. Pieniądze takie chowali w skrzyniach, pod beczkami, za krokwią, albo poza domem zakopane w garnkach lub w innych tajemnych schowkach, gdzie się nieraz spaliły, gdy pożar wybuchł nagle.

Najwięcej było pieniędzy papierowych, a około roku 1860 były jeszcze w obiegu kwity dworskie, opiewające na różne kwoty, od kilku do kilkudziesięciu grajcarów, podobne do dzisiejszych biletów kolejowych, różnego koloru, stosownie do wartości, jaka była na nich wyszczególniona. Znaczyły one tyle, co państwowe pieniądze, każdy je brał chętnie w takiej wartości, na jaką były wystawione i to nie tylko w obrębie obszaru dworskiego, który je wydał, ale w całej okolicy, gdzie dwór był znany.

W Dzikowie było najwięcej kwitów miejscowego dworu, były jednak i z sąsiednich: z Mokrzyszowa, Machowa, Chmielowa i innych. Podniszczone kwitki, których drudzy obawiali się już przyjmować, niesiono najczęściej do propinacji i płacono nimi za wódkę, propinator bowiem, mając z kancelarją dworską częstszą styczność, mógł je tam najłatwiej wymienić na nowe.

*
* *

Co do kredytu, za pańszczyzny — jak słyszałem od dziadków i innych — bardzo mało kto u kogo pożyczał, a jeżeli już kogoś przycisnęła potrzeba, że musiał pożyczyć, na podatek lub jaki inwentarz, to mógł najczęściej coś wskórać kum u kuma, albo sąsiad u sąsiada i to bez żadnego procentu, — do żydów nie zwracali się jeszcze chłopi o pożyczki, bo nawet żaden żyd nie pożyczyłby wówczas chłopu.

Ale jak ja zapamiętałem, to pożyczkami trudnili się jedynie żydzi na podpisy u rejenta czyli skrypta rejentalne i na weksle. Nie było jeszcze kas żydowskich, opartych na statutach, zatwierdzonych przez władzę, tylko każdy pożyczał prywatnie. Brali wielkie procenta, bo 50% i więcej, — jak się kto zgodził płacić jakiś procent, wolno było brać. Więc procent płaciło się według umowy, a jeżeli w terminie dług nie był spłacony, to osobno za grzeczność, za poczekanie wybierali żydzi od dłużników jajka, kury, cielęta, ziarno i t. p.

Jeżeli zaś kto na takiej grzeczności nie chciał się znać lub nie miał na to i upadał majątkowo, to przystępowali do egzekucji, za mniejsze długi zajmując ruchomości, za większe zaś opisując całą realność, poczem następowała licytacja. Do licytacji stawali tylko żydzi, chłopi się na tem początkowo nie rozumieli i licytacji unikali. Żydzi zaś, gdy zmiarkowali, że na tem bardzo dobry interes, badali naprzód w sądzie, gdzie będzie licytacja, jechali na miejsce i licytowali w porozumieniu z sobą.

Brali też od dłużników za bezcen grunta, domy i co się dało wyciągnąć, strasząc, że jak się dobrowolnie nie pogodzą, to wszystko na licytacji będą mieli sprzedane. W Tarnobrzegu zasłynęli z takiej lichwy żydzi: Szpirn, Wal, Szajnok, Tafel, Dawid i inni mniejsi spólnicy i naganiacze tych wielkich lichwiarzy. Ostatni z nich Dawid, odznaczający się silną budową ciała, chełpił się przytem zawsze, że się nikogo nie boi, bo ma szerokie plecy.

*
* *

Przez taką lichwę zrujnowali żydzi prawie połowę gospodarzy, bo w każdej gminie znalazło się dużo lekkomyślnych, którzy brali pożyczki i nic za to nie nabywali, ale po większej części na pijatykę obracali. I tacy nawet prędzej mogli dostać pożyczkę, niż porządniejsi, bo godzili się łatwo płacić taki procent, jaki żydzi chcieli. Oni zaś wiedzieli między sobą, ile kto był gdzie winien, jaką wartość przedstawia jego majątek, i pożyczali dotąd, dopóki majątek wystarczał na pokrycie kapitału, procentu i kosztów egzekucji.

W samym Dzikowie wydziedziczyli prawie ze wszystkiem trzech gospodarzy 18-morgowych, a mianowicie: Józefa Słomkę, Wojciecha Łuczaka i Michała Sadrakułę, zamieszkałych w przysiołku Podłęże; czterech gospodarzy sześciomorgowych a to: Józefa Gronka, Pawła Krzyżka, Józefa Wójcikowskiego i Michała Grycha; z większej zaś lub mniejszej części majątku wydziedziczyli Michała Ozycha, Jana Wiącka,

Józefa Zmarzłego, Stanisława Antończyka, Michała Grębowca i wielu innych.

Jakim sposobem podówczas żydzi brali chłopów do łapki, nawet za drobne długi, niech posłuży za przykład to, jak robili z Michałem Grębowcem, moim sąsiadem. Miał on 6 morgów dobrego gruntu i porządne zabudowania gospodarskie. Był chłop robotny, nie pijak, bo jeżeli wypił czasem kieliszek wódki, to przy robocie lub jakiejś okazji; długu zaciągać nie miał potrzeby, bo zadowalał się najzupełniej tem, co z gruntu zebrał, więc nikomu nie był winien ani grosza. Jedną miał tylko wadę, że z żoną był czasem w niezgodzie i nieraz się dobrze pobił, ale to przechodziło, jak burza, i znowu sobie sprzyjali. W kłótni żona zawsze mu wypominała, chcąc mu dokuczyć, że cały majątek jej, bo ona wprowadziła na gospodarstwo inwentarz, jako wiano.

Z tej niezgody małżeńskiej skorzystali żydzi. Ściągali Grębowca do siebie, częstowali wódką, mówiąc przytem: »Ny, Michale, co wam żona mówi, że majątek nie wasz, — my się was nie boimy, choć tak żona gada, jak wam pieniędzy trzeba, to wam pożyczymy, — niech się żona przekona, że wasz jest majątek, a lepiej was będzie szanować«. Tak wmówili w chłopa, że pożyczał po 5 do 10 złr., a za każdym razem prowadzili go do notarjusza czyli rejenta, zawierali tam akt dłużny, biorąc zawsze za świadków policjantów z Tarnobrzega, znanych wówczas pijaków. W ciągu paru miesięcy zmieniali ciągle u re-

jenta skrypta dłużne, dopisywali nowe pożyczki i wysokie procenta, wkońcu zrobili z Grębowcem akt na pożyczkę wynoszącą 600 złr. i miał płacić na rok 60 złr. od sta.

Wtenczas dopiero wyprowadzili sądową komisję na opisanie realności Grębowca i zabezpieczenie na niej wspomnianej kwoty. Żona narobiła gwałtu, gdzie, kiedy i na co tyle pożyczał, — on też, zmiarkowawszy, że mu grozi ruina majątkowa, zaczął płakać, za włosy się targać, krzycząc: »o laboga, co ony ze mną zrobiły!« Po odejściu komisji zacząłem go wypytywać, jak tyle długu narobił, — pokazało się, że na te 600 złr. wybrał gotówką około 50 złr. i to u tych samych żydów przepił, — do tego nie umiał zupełnie rachować, nie wiedział, co znaczy 600 złr.

Poszedłem z nim i z żoną do rejenta, rozpowiedziałem tam, ile Grębowiec wybrał tytułem pożyczki, że za grosz z tych pieniędzy nic nie kupił, — na to rejent powiada, że swego czasu zwracał mu uwagę i kazał żonę zawołać, ale Grębowiec wtedy odrzekł: »Djabli żonie do tego, to jest mój grunt po moim ojcu«, — bo tak go żydzi nauczyli gadać. Mówił dalej rejent, że teraz wszystko przepadło, bo aktu notarjalnego nikt nie może obalić, — doradził tylk żeby Grębowiec sprzedał zaraz część gruntu i zara dług zaspokoił, bo inaczej narosną koszta i procenta i nie zostanie ani przy zagonie: żydzi wszystko sprzedadzą i z domu go wygonią. Grębowiec usłuchał i to była najlepsza rada, sprzedał zaraz 2 morgi najlepszego

gruntu, nadającego się pod ogrody, i zapłacił cały dług, bo żydzi nie chcieli nic opuścić, — i w ten sposób uratował resztę gospodarstwa.

To wywłaszczenie chłopów z majątków trwało tak długo, aż wyszła ustawa przeciw lichwie, zabraniająca brania wielkich procentów *). Wtedy sąd zaczął prześladować i karać lichwiarzy, i nastała jakby pomsta Boża nad nimi, bo zaczęli upadać, a niektórzy nawet w biedzie wymarli, inni też niekoniecznie w dostatku dożyli, a pozostałe po nich rodziny są dzisiaj zupełnie biedne. Przyszła też kreska na wspomnianego Dawida, który się chełpił szerokiemi plecami. Przyłapany został na oszustwie, mianowicie, że dopisał na wekslu jakiejś kobiecie z Żupawy dużo większą sumę, niż należało. Sąd w Tarnobrzegu wytoczył mu śledztwo i przymknął w areszcie razem ze wspólnikami, co w mieście wywołało wielki harmider, bo prawie oni pierwsi dostali się do aresztu. Dopiero od tego czasu żydzi-lichwiarze zmiękli i bali się, a sąd coraz lepiej brał się do nich i poskramiał ich.

*
* *

Jednakże w owym czasie nietylko chłopi tracili majątki, i wiele rodzin włościańskich poszło w ruinę, i ślad po nich zaginął, ale tak samo, a nawet gorzej działo się z mieszczaństwem i szlachtą.

---

*) W Austrji obowiązywała przeciw lichwie ustawa z dnia 19 lipca 1877 i z 28 maja 1881 r. (dla Galicji).

Jak zapamiętałem, to jeszcze koło roku 1870 w Tarnobrzegu wielka część miasta zasiedlona była przez mieszczan-katolików, którzy siedzieli tu widocznie z dziada pradziada i byli dość zamożni. Trudnili się różnemi rzemiosłami, a najwięcej szewstwem, stolarstwem, krawiectwem i masarstwem, prócz tego zaś i gospodarstwem rolnem, bo mało było takich, żeby nie mieli gruntu własnego od 1 do 3 mórg. Chowali wieprze, krowy, a niektórzy mieli i woły, których używali do roboty. Mieli też swoje własne domy i to przy głównym rynku, a żydowskie były na tyłach miasta.

A obecnie zabrali, obsiedli to wszystko żydzi, i miasto zżydziało zupełnie tak, że zaledwie cząstka dawnych mieszczan się zachowała i to na krańcach miasta, a w rynku żaden z tych dawniejszych mieszczan niema realności.

Dziś śladu niema po dawnych najpierwszych obywatelach tarnobrzeskich, po Zderskim, Jajkiewiczu, Rutynie, po Łubowiczu, Pomykalskim, Dutkiewiczu, po Gwizdalskim, Lachiewiczu, mających dawniej domy przeważnie w rynku, i innych pomniejszych, których nie wyliczam. Wprawdzie niektóre z wymienionych nazwisk jeszcze się w Tarnobrzegu znajdują, ale nie wywodzą się w prostej linji od wyliczonych wyżej obywateli.

Dopiero w ostatnich czasach mieszczaństwo tarnobrzeskie zaczyna się na nowo dźwigać, a to głównie dzięki napływowi do miasta ludzi nowych i rzut-

kich, — a widać także, że i potomkowie dawniejszych mieszczan w młodszem pokoleniu zaczynają lepiej garnąć się do życia, podnoszą się, pozbywają dawnych wad, szczególnie pijaństwa i nabywają realności, i w ten sposób znaczenie mieszczaństwa znowu się powoli podnosi. W ostatnich 20 latach przeszło nawet napowrót w ręce chrześcijańskie kilka domów w rynku.

*
* *

Również długa jest litanja obszarów dworskich, które potracili dawni panowie; — za mojej bowiem pamięci przeszły w żydowskie ręce następujące dwory w powiecie tarnobrzeskim: Chwałowice, Orzechów, Witkowice, Skowierzyn, Wrzawy z przyległościami, Żabno, Pniów, Dąbrówka, Antoniów, Motycze poduchowne, Gorzyce, Zalesie gorzyckie, Zarzekowice, Koćmierzów, Kajmów, Machów, Nagnajów. I nawet słych wśród ludu zaginął zupełnie po możnych niegdyś panach, właścicielach tych dworów: po baronach Horochach, po Trojackim, Bilskim, Wiktorze, Cetnarskim, Zaklice i innych. Dwory od nich wykupili żydzi i albo dotąd na tych majątkach siedzą, albo rozparcelowali je z wielkim zyskiem między chłopów.

Nic to nie pomogło, że właściciele dworów posiadali rozległe obszary ziemi najlepszej gleby i ładne lasy, że mieli spłatę za pańszczyznę, a później za propinację, że płacili względniejszy podatek gruntowy, że byli wolni od podatków gminnych, że posiadali znaczne przywileje polityczne i pierwszeństwo wszędzie!

Szczególniej głośnem było zmarnotrawienie rozległych dóbr baranowskich przez hr. Krasicką, która tak nie umiała godzić dochodów z rozchodami, że wkrótce długi przeniosły wartość jej ogromnego majątku, i wierzyciele, którzy już nie mogli odebrać swych należności, spowodowali — jak wieść niosła — jej przyaresztowanie. Kręcili się koło niej ustawicznie żydzi i wyjeżdżali za nią nawet za granicę, narzucając się z gotowemi pieniądzmi na różne wybryki, które następnie z dużym procentem ściągali i dobrze się stąd bogacili. Wybrali od niej za bezcen lasy na morgi do wycięcia drzewa; jeździłem do tych lasów to widziałem, jak co kilkadziesiąt morgów stał kupiec-żyd z młotem do odbijania drzewa i wołał: »Hop, hop, jedźcie do mojej morgi«. Co mogła, wyprzedawała tak, że z pałacu baranowskiego nawet posadzki marmurowe żydzi zabrali. Szczęściem, że dobra po niej wraz z starożytnym zamkiem baranowskim kupił na licytacji Polak Dolański.

Niemniej głośną była później sprzedaż dóbr wrzawskich, a krakowska gazeta »Djabeł«, wyśmiewająca i karcąca błędy ludzkie, zwracając się wtedy przeciw sprzedawczykowi br. Horochowi, pisała między innemi: »Narobiłeś dużo wrzawy, zaprzedając żydom Wrzawy«. Były to bowiem dobra, mające najlepszą glebę, wyborne łąki i sporo bogatego sosnowego lasu, a nadto w skład dóbr tych wchodziły bujne kępy, t. j., wikliny nadrzeczne po prawym brzegu Wisły i obu brzegach Sanu; więc gdy się wieść ro-

zeszła, że Wrzawy żydom sprzedane, niejeden nie mógł sobie tego w głowie wytłómaczyć, jak można było takie dobra utracić.

Bliżej znany mi jest przebieg sprzedaży Kotowej Woli przez Franciszka Popiela.

Był on rządcą u starego Dolańskiego w Sokolnikach, następnie kupił na własność Kotową Wolę. Znany był w powiecie jako wzorowy gospodarz.

Poznałem go w czasie klasowania gruntów w Kotowej Woli i sąsiednich wsiach, gdy komisja klasyfikacyjna przez kilka dni korzystała z gościny w jego dworze. Był bardzo gościnny, prowadził najchętniej rozmowę o gospodarstwie. Rozwijał u siebie wszystkie gałęzie gospodarstwa: uprawę roli, hodowlę bydła, ogrodnictwo, pszczelnictwo.

Ale gospodarowanie już mu ciężyło, chciał więc sprzedać majątek i przenieść się do Krakowa na spoczynek. Ogłosił więc sprzedaż, ale zaznaczał, że sprzeda tylko katolikowi, nie żydowi. Do kupna zgłaszali się chłopi, ale nie byli w stanie przystąpić do kupna całego majątku, na który składały się pola orne, łąki, las, budynki, inwentarz, wszystko razem wartości 230.000 złr.

Chciał to jednak nabyć Lejzor Wahl najbogatszy wówczas kupiec w Tarnobrzegu, a ponieważ Popiel z żydami traktować nie chciał, Lejzor zwrócił się do mnie i prosił, żebym zgodził i zadatkował te dobra i jemu je następnie odstąpił. Na zadatek wręczył mi 15.000 złr. i obiecywał dobre wynagrodzenie, a robił

to wszystko w cztery oczy ze mną, tak, żeby nawet żona moja o tem nic nie wiedziała, ażeby sekret nie wydał się.

Ale gdy zastanowiłem się nad tem, widziałem, że byłoby to kupno podstępne, którem splamiłbym swój honor. Oświadczyłem więc Lejzorowi, że się tej sprawy nie podejmuję i oddałem owe 15.000 złr. Później zawsze mi to wymawiał, że przezemnie nie doszedł do kupna Kotowej Woli.

W jakiś czas potem rozeszła się wiadomość, że Popiel Kotową Wolę sprzedał, więc gdy wracałem razem z komisarzem Swobodą z komisji reklamacyjnej gruntów z Rozwadowa, wstąpiliśmy do niego na pożegnanie.

Popiel opowiadał wtedy, że dobra swoje sprzedał i uwolnił się od ciężaru gospodarowania, tylko jedno — jak mówił — gryzie go i gryźć będzie, jak mól do grobowej deski: że dobra sprzedał żydowi.

Starał się usprawiedliwić, co go skłoniło do tego kroku. Mówił, że jacyś złodzieje wdarli mu się w nocy do ogrodu i zniszczyli pasiekę, którą bardzo lubił, — wyłupali plastry, a pszczoły rozłaziły się po całym ogrodzie. Wpadł wtedy w złość, a że z natury był prędki, jedną bryczkę posłał po rejenta do Rozwadowa, a drugą po Rachmiela Kanarka, który także chciał kupić Kotową Wolę.

Gdy to opowiadał, wyjawiłem mu, jak mnie Lejzor namawiał na to kupno i już miałem w rękach 15.000 złr. na zadatek, — na to on zerwał się od stołu

chwycił mnie za ramiona i zawołał: »Przyjacielu, czemuś tego nie zrobił, byłbyś mnie wybawił od tego, co mnie gryzie i gryźć będzie, byłbym przynajmniej uczynił zadość postanowieniu, że dobra sprzedam katolikowi«. Rozpłakał się przytem jak dziecko.

Gdyśmy po przenocowaniu u niego mieli odjeżdżać, poczęstował nas jeszcze starem winem, jakiego nigdy przedtem ani potem nie piłem. Było gęste, jak patoka miodowa, i ledwie wypiłem kieliszek, uczułem, jakby elektrykę w całem ciele, a Swoboda spojrzawszy na mnie zawołał: »Jasiu, jak Boga kocham, palisz się«. Było to — jak Popiel mówił — wino z roku 1813, a chował je dla chorych i na największe okazje.

Popiel przeniósł się następnie do Krakowa, gdzie umarł i majątek swój w znacznej części zapisał na cele narodowe i dobroczynne.

Zczasem dwory w powiecie tak poznikały, że większa własność nie mogła nawet wybrać 12 członków ze swojej kurji do Rady powiatowej w Tarnobrzegu i wybierała ich z poza swego grona. Z żydów zaś, będących właścicielami obszarów dworskich, jedynie Rachmiel Kanarek brał udział w działalności i ofiarności obywatelskiej polskiej, za co miał uznanie w powiecie; inni zaś, jak cały ogół żydowski, trzymali się wobec spraw polskich oddzielnie, jako osobne społeczeństwo.

Naturalnie tak chłopi i mieszczanie jak i szlachta sami przedewszystkiem ściągali na siebie los, jakiemu

ulegli. Chłopów i mieszczan — obok lichwy — gubiło i rujnowało straszne pijaństwo, gnuśność i ciemnota, — a panowie, choć mieli naukę, to rachować nie umieli, czy nie chcieli, i rozchody na zbytki były u nich większe niż dochody.

Nie smakował im żaden wytwór domowy, krajowy, choćby nawet był lepszy od zagranicznego, sami też wojażowali po zagraniczu, trzymali różnych oficjalistów na wysokich pensjach. Uważali to za ujmę dla szlachcica, gdyby był inaczej żył, tj., rozumnie, według dochodów. Była w tem pycha, za którą przyszła kara Boża.

Za wszystkich: za chłopów, mieszczan i szlachtę myśleli żydzi — jak się to i teraz często trafia — oni wszystkim stanom faktorowali i za to majątki garnęli dla siebie.

*
* *

Zbliżenie między żydami i katolikami było dawniej większe niż obecnie, ale dlatego, że katolicy więcej u żydów przesiadywali, gościli się i popijali, a żydzi mogli więcej z katolików żyć i wyzyskiwać ich.

Szczególnie wielkie zbliżenie było między żydami wsiowymi a chłopami i często dzieci takich żydów, wychowując się wśród dzieci chłopskich, chrzciły się wkońcu. Najczęściej młode żydówki przyjmowały w ten sposób chrzest i wychodziły za parobków i synów gospodarskich. I to trafiało się prawie w każdej wsi. Ale ogół żydów występował przeciw temu zawsze bardzo wrogo i chrzest musiał się odbywać potajem-

nie, a »przechrzta« musiał się przed nimi z początku ukrywać.

Wnosząc z tego, co starsi opowiadali, to już za pańszczyzny głównie w karczmach żydowskich skupiało się życie chłopskie. Jak swego już nie było, to kradli, co się dało na pańskiem i skradzione nieśli nocą do żyda, którego pan we wsi osadził i trzymał, i za to pili.

Za mojej pamięci był zwyczaj, że, jak kto dał na mszę świętą za zmarłym, na dobry urodzaj albo na inną intencję, to na tę mszę zapraszał dziś na jutro sąsiadów, kumów, przyjaciół, wysyłając w tym celu po wsi swoje dzieci, — a po mszy św. zapraszał wszystkich na podziękowanie za to, że się zeszli i modlili na jego intencję, do domu albo do karczmy i częstował wódką i przekąską. Niektórzy na taką ucztę, jeżeli miała się odbyć w domu, zapraszali także księdza.

Każdy gospodarz zamawiał dwie lub trzy msze św. do roku, i po każdem nabożeństwie było poczęsne, które niejeden przedłużył sobie do wieczora i dobrze sobie podpił.

A byłem już kilkanaście lat gospodarzem, gdy w Dzikowie i innych wsiach był jeszcze zwyczaj, że karczmarze jeździli po kolędzie, — każdy wstępował do »swoich gospodarzy«, którzy u niego bywali stałymi gośćmi, to jest pili.

Po Dzikowie jeździł najwięcej Salomon Szrajber z Tarnobrzega.

Wszedłszy do izby, zaczynał od życzenia: »Daj Boże szczęście, żeby się tu powodziło, iżby wszyscy byli zdrowi, pieniądze mieli, i żeby tu niczego nie brakowało, — przychodzę tu z kolędą«. I od razu nalewał do kieliszka wódkę, którą miał z sobą, a więcej było na wozie, i częstował po kolei wszystkich obecnych, poczynając od gospodarza i gospodyni, dawał po kieliszku dzieciom, pomijając tylko najmniejsze, sługom, a nieobecnych kazał przywoływać, dogadując przytem: »Jak szanuję stół, to i stołowe nogi, ja tu wszystkich chcę potraktować, bo ten dom szanuję, niech go pamiętają wszyscy, żem tu był po kolędzie«. Gospodarzowi i gospodyni nalewał jeszcze po drugim i trzecim kieliszku i zachęcał: »Pijcie, pijcie, niech wam będzie na zdrowie, ja wam nie żałuję«, — a gdzie spodziewał się lepszej kolędy, zostawiał jeszcze mniejszą lub większą flaszkę wódki.

Za to gospodarz dawał mu znowu od siebie kolędę, zazwyczaj ćwierć lub pół korca jakiegoś ziarna: żyta, jęczmienia, pszenicy, owsa, czego miał więcej, — a znowu gospodyni dawała od siebie jaja, kaszę jaglaną, kurę, słowem coś ze swego kobiecego gospodarstwa. Wsypywali to zaraz do worka, który żyd trzymał gotowy pod pachą, i ładowali na wóz, czekający przed domem. Gdy tak całą wieś objechał, to wszyscy mniej lub więcej byli wódką zamroczeni, tylko on był trzeźwy i wywoził ze wsi dobry wóz ziarna.

Dawanie tej kolędy było uważane jakby za powinność, i ktoby dał mało ziarna, to mu Szrajber przed drugimi wypominał, — a kto był szczodry, takiego chwalił, żeby i drugich do hojności zachęcić. Taka objażdżka odbywała się dwa razy do roku: raz po Godnich świętach, »po kolędzie«, drugi raz po świętach Wielkanocnych, »po święconem«.

Wesela odbywały się także głównie w karczmach. Wprost od ślubu zajeżdżali wszyscy z całą paradą weselną do karczmy żydowskiej, bo w całej okolicy nie było nigdzie wtedy innego domu do zabaw. Na innych wsiach zajeżdżali do swoich karczem wsiowych, dzikowskie zaś wesela, ponieważ we wsi karczmy nie było, jak i dotąd niema, zajeżdżały do karczem w Tarnobrzegu, będących zresztą w blizkości, bo miasto ze wsią domami się styka. Z Dzikowa zajeżdżali najwięcej do Salomona Szrajbra, którego dom do dziś dnia jeszcze stoi, ale tak się już obniżył, że wnet okna dostaną do ziemi.

Kto miał sprawiać wesele, to już zawczasu, na tydzień mniej więcej, zamawiał miejsce w karczmie. Zresztą karczmarze, mając z tego ładny zysk, sami przychodzili do gospodarza i ofiarowywali miejsce u siebie, wypytując się przytem, kto jest zaproszony, i doradzając, żeby jeszcze tego lub owego zaprosić, o kim wiedzieli, że lubi się zabawić, i można od niego dobrze utargować: »Przecie go nie można pominąć, to porządny gospodarz: — on ma syna, córkę, — on was znowu zaprosi, to trza z ludźmi żyć«.

Był też zwyczaj, że gdy wesele zajechało przed karczmę, starosta zarządzał, żeby nikt z wozów nie schodził, aż żyd wyszedł z flaszką i pobłogosławił najprzód państwo młodych, życząc im szczęścia, a potem dał wszystkim na dworze po kieliszku, — wtedy dopiero weselnicy z wozów złazili, a grajkowie grali na dworze, aż wszyscy goście weszli do karczmy.

*
*   *

Wódką raczyli żydzi tylko chrześcijan, sami jej nie pili, i jest to wielką rzadkością widzieć żyda pijanego.

Jeżeli jakiś wyszynk lub sklepik żydowski miał odbiorców tylko z kilku domów, to już się potrafił utrzymać, już mu to wystarczyło, żeby mógł istnieć. Jeden szynkarz tarnobrzeski, który miał 10 gospodarzy, pijących u niego, mówił, że woli, żeby jemu wszystko się spaliło i przepadło, niż tym gospodarzom, bo oni są jego żywicielami i trzymają go na nogach.

Żyli przytem bardzo oszczędnie i gdyby katolicy chcieli ich naśladować, to wszystkie majątki byłyby w ich rękach. Mówią, że biedniejsi żydzi nie jedzą zrana, aż coś zarobią, t. j., coś sprzedadzą z zarobkiem.

Ci żydzi, którzy majątki od szlachty wykupywali, początkowo przeważnie biedni, żyli skromnie nawet i wtedy, gdy stali się już dziedzicami, i na przykład nigdy nie widziałem, ani słyszałem, by który z nich wyprawiał bale, które we dworach szlacheckich były

częste; nie trzymali też takiej drogiej administracji, która cały dochód zabiera, ale gospodarowali czasem może aż z przesadną oszczędnością

Na przykład o Hauserze, który tak się dorobił, że kupił Kajmów i Machów, opowiadali, że trzymał jednego żydka, któremu w pieniądzach dawał podobno tylko 3 złr. na tydzień, a ten w jednej osobie był rządcą, ekonomem, karbownikiem, a nawet polowym, — i każdy, kto miał jakiś interes do dworu, musiał do tego żydka się udawać, bo sam Hauser dojeżdżał tam tylko na kontrolę z Tarnobrzega.

Opowiadali dalej, że żona tego ekonoma, chcąc się swemu dziedzicowi przypochlebić, zładowała mu przez parę razy barszcz, który mu tak posmakował, że po powrocie do Tarnobrzega nie czuł się głodnym i nie jadł tego, co mu własna żona podała. Ta dopytywała się męża, dlaczego nie chce jeść, a gdy się dowiedziała, że w Machowie jada barszczyk z »jajkiem i ze śmietankiem», oburzyła się strasznie, że żona ekonoma lepszy barszcz sobie gotuje i lepiej żyje, niż ona dziedziczka, i ekonoma tego wraz z żoną i dziećmi ze dworu wygnała. Jest w tem nauka, jak się żydzi oszczędnością rządzą, że tylko tu wydają grosz, gdzie tego niezbędna potrzeba wymaga.

*
* *

Jak tylko zapamiętałem, katolicy zawsze na żydów narzekali i narzekają, a przytem nieraz wyśmiewali się

i wyśmiewają z ich różnych wad, żartując i robiąc im nawet różne figle, — ale cóż z tego wszystkiego: żyd był i jest na wszystko cierpliwy, a katolicy szli i idą zawsze do żydów, i dają się im wyzyskiwać na różne sposoby, i ci się bogacą, choć ciężko nie pracują.

Żyd dotąd ulega katolikowi i pozwala naśmiewać się z siebie i płatać sobie najnieprzyjemniejsze figle, dopóki widzi u katolika pieniądze w kieszeni i majątek, ale jak już wszystko wyssie i wyzyska, to się lepiej z katolika wyśmieje i za drzwi go wyrzuci.

Na to możnaby przytoczyć niejeden przykład.

Był w Dzikowie gospodarz jeden dosyć zamożny, który lubiał drwić z żydów, ale zachodził zawsze do żydowskich szynków i żydzi korzystali z niego przy każdej sposobności.

Raz uderzył szynkarza w twarz za to, że nie chciał dać mu piwa, żądając naprzód zapłaty. Żyd się z tego rozchorował, wniósł skargę do sądu, ale potem skargę cofnął, gdy chłop obiecał przepić za to w szynku 5 złr.

I przepił tyle zaraz w towarzystwie z drugimi, a gdy chciał dalej pić i szynkarz żądał znowu zapłaty zgóry, palnął go znowu w twarz i powiada: »Przedtem zwaliłem cię w jedną stronę, a dziś w drugą, bobyś głowę krzywo nosił, a tak to ci się naprostuje«. Zrobił się straszny gwałt i krzyk, ale na tem się skończyło, bo żyd znowu się przeprosił, gdy chłop dalej do niego na pijatykę zachodził.

I dopóki się chłop lepiej miał, żyd przyjmował go w szynku, usługiwał mu i znosił wszelkie przezwiska, jakie chłopu ślina do gęby przyniosła, i dopiero, jak majątek od niego wyzyskał, wyrzucał go za drzwi. Skończyło się na tem, że ten zamożny gospodarz umarł w wielkiej biedzie i poniewierce, a żyd ma obecnie jedną z największych kamienic w Tarnobrzegu i dobrze mu się powodzi.

*
* *

Handel prowadzili żydzi najczęściej w sposób oszukańczy, nierzetelnie. Kupujący zawsze musiał się obawiać, że żyd mu nie doważy, nie domierzy, że da gorszy towar, zadrogo policzy, oszuka przy wydawaniu reszty itp. Z łatwością dawali towar na kredyt i przyuczyli niejednego do »borgów«. Żyd zachęcając do kupna, zgóry zaznaczał, że da towar bez pieniędzy, »że się o pieniądze nie pyta«, — skoro jednak należności na czas nie otrzymał, wnosił bezwzględnie skargę do sądu i ściągał sobie dług z kosztami, — a jeżeli liczył na krótką pamięć odbiorcy, to mu do długu coś przypisał i większej kwoty domagał się.

W handlu zawsze też prawie chodziło żydom głównie o to, ażeby wziąć pieniądze, bez względu na to, czy towar dobry, niezepsuty, czy wyjdzie kupującemu na pożytek.

Za mojej pamięci zaszło w Tarnobrzegu parę głośniejszych wypadków, które świadczyły, jaka to bywała

obsługa żydowska w handlu. Jeden szczególnie narobił dużo wrzawy.

Raz stróż miejski, pełniący wartę nocną w zimie, zajrzał do piekarni żydowskiej przez okno niedostatecznie zasłonięte. Widział wtedy, jak żyd, piekarz, rozebrał się i mył się szczotką w ciepłej wodzie, a następnie czeladnik wodę tę wlał do dzieży do ciasta. I z takiego to ciasta jedli potem chleb kupujący. Stróż doniósł o tem do sądu, sprawa toczyła się w Rzeszowie. Pokazało się, że żyd, który się mył w tej ciepłej wodzie, miał parchy. Został on wtedy zasądzony, a piekarnia jego zamknięta.

*
* *

Oświata u żydów była początkowo bardzo niska, byli na ogół głupsi od katolików.

W mieście wielu było takich, co polskiego języka nie znali i nie można się było z nimi zmówić, albo inni byli tacy, co język polski łamali i kaleczyli, gorzej, niż to jest obecnie, i narażali się z tego powodu na śmiechy i drwiny.

Dzieci żydowskie uczyły się tylko na talmudzie, a nauka ta odbywała się po domach grupami i była prowadzona przez żydków, którzy już sami coś umieli. Starali się o to, ażeby każde dziecko »przykazania mojżeszowe« znało.

Do oświaty polskiej byli bardzo niechętni i, gdy nastawały szkoły i przymus szkolny, zachowywali się względem szkoły z większym oporem niż najciem-

niejsi chłopi i woleli płacić kary, niż posyłać dzieci swoje do szkoły. Bo mówili, że dzieci ich muszą się uczyć przykazań mojżeszowych, a jak się będą uczyć po polsku, to tamtego się nie nauczą. Mówili też, że, co im potrzebne, to umią, bo jak potrafią porachować, to wystarczy.

W tarnobrzeskiej szkole były ciągle nakładane kary na zaniedbujących posyłanie dzieci na naukę i z kar tych pokrywały się wydatki na urządzenia szkolne. Kary te żydzi płacili, a dzieci do szkoły nie posyłali.

Dopiero potem zrozumieli korzyści z oświaty i dzisiaj już zapełniają szkoły powszechne w Tarnobrzegu i cisną się do szkół średnich i wyższych, a następnie zajmują zyskowne stanowiska.

*
* *

W pierwszych latach po ustaniu pańszczyzny, gdy lud był ciemny, bez oświaty, żyd tak niejednego potrafił przyciągnąć do siebie i ugłaskać swoim sprytem, pożyczką, borgiem, wódką, że na razie zdawało się chłopu, że to jest jego najlepszy przyjaciel, — ale nim się mógł przerachować, to już jego gospodarstwo za rok, dwa poszło na licytację i stało się własnością żyda.

Jednak to dla żydów było zamało, bo, jak mówi przysłowie: »Dziad dziada panem nie zrobi«. Dopiero panowie, dziedzice wielkich obszarów dworskich, dali żydom szerokie pole do zdobycia pieniędzy i wielkich majątków. Panowie wprowadzali żydów do każ-

dej wioski, obsadzili po karczmach, dali im do rąk propinację, a ci mając sposobność zalewać ciemnemu ludowi mózgi, rozpoczęli gospodarkę rabunkową i stopniowo wciskali się do dworu na faktorów, dostawców, kupców lasów, bydła, łąk, gruntów itd., a w niedługim czasie cały dwór dostawał się żydom.

Toteż gdyby żydzi chcieli na gruncie siedzieć i pracować, to dziś wszystka ziemia w Galicji do nich należałaby, byliby zupełnymi panami kraju, a chłopi, jak szlachta, byliby u nich w służbie i pracowaliby za parobków. Zaraz po pańszczyźnie byłaby nastała gorsza jeszcze dla całej ludności chrześcijańskiej żydowszczyzna. W Dzikowie n. p. niema tego kawałka chłopskiego gruntu, żeby nie był w rękach żydowskich, żeby nie był drogo wykupiony, — a w innych wsiach było zupełnie to samo.

Ale żydzi nie chcieli trudnić się gospodarstwem i ciężko pracować i woleli wielkie zyski, jakie im dawał handel gruntami przepłacanemi przez chłopów. Osiadali na stałe tylko w miastach i miasteczkach, wykupując realności od mieszczan polskich, więc w paru dziesiątkach lat ludność miastowa zupełnie się zmieniła, — jak po wielkiej wojnie.

*

* *

Za mojej pamięci przyszli do największych majątków w Tarnobrzegu: Lejzor Wahl, Dawid Engelberg i Mosiek Hauser.

Lejzor Wahl, jak zapamiętałem, był z początku biednym, miał skromny szynk z wódką w tem miei-

scu, gdzie obecnie dom Chruściela. Chodził wtedy po Dzikowie i wybierał za wódkę, jaja, drób, zbożc i t. p., a z Podłęża ćwierciami nieraz dźwigał zboże na plecach.

Tym, co chcieli pić, a nie mieli pieniędzy, odpowiadał, że on się o pieniądze nie pyta i daje na kredyt. »Oddacie mi — mówił — jak będziecie mieli, albo oddacie zbożem z nowego«. I zapijało się u niego wielu takich, co nie byli nałogowymi pijakami, ale mieli głównie tę wadę, że lubieli towarzystwo, zabawę, a przytem nie cenili czasu i zaniedbywali gospodarkę.

Wahl miał znajomości po wszystkich wsiach okolicznych, o każdym gospodarzu wiedział, na co go stać, jaki będzie miał zbiór i na konto tego dawał mu pić. Brał za to z nowego zboże ćwierciami i korcami; z dalszych wsi przywozili mu je na furach.

Nosili mu też zboże ukradkiem, w nocy, a on zawsze szynkował, jeżeli tylko był interes. Opowiadał mi jeden gospodarz z Dzikowa, który lubiał sobie głowę wódką zaprószyć, że jeżeli chciał Lejzora w nocy wyciągnąć z łóżka, to pukał do drzwi i mówił z przyciskiem, jakby coś dźwigał: »Otwórz, bo mi ciężko!« Lejzor wtedy uchylił drzwi, a on się wsuwał do szynku i pił, choć czasem nic nie przynosił. I tem się chwalił, że żyda oszukał, ale sam na tem tak wyszedł, że stracił cały majątek, złożony z 6 morgów dobrego gruntu, i był wkońcu tylko wyrobnikiem i nędzne życie prowadził.

Ze zboża w ten sposób zebranego miał Lejzor cały magazyn. Mieściło się ono w stancjach przy szynku i na strychu, bo pijak nie tylko zboże przyniósł, ale i na strych wydźwigał, gdy mu szynkarz kazał. Na wiosnę zaś, na przednowku, który u pijaków był corocznie, kupowali je u niego ci sami, którzy mu je znosili, a że pieniędzy nie mieli, więc najczęściej oddawali dopiero z nowego, za korzec dwa i t. p. A ponieważ Lejzor dawał też chętnie pożyczki pieniężne i wódkę na kredyt, więc mówili o nim, że to »żyd wygodny i dobry«.

Z chłopów przyszedł w ten sposób do znacznego majątku, a gdy następnie wziął się do dzierżawienia propinacji u hrabiego i do handlu drzewem, kupując lasy dworskie na morgi i wyprawiając budulec Wisłą do Gdańska, dorobił się takiego majątku, że liczną swoją rodzinę, synów i córki, wyposażył grubemi wianami, po kilkadziesiąt tysięcy reńskich, i potem jeszcze wspierał w interesach, gdy które stało licho, a gdy umarł zostało po nim jeszcze 300.000 złr., po większej części na długach u chłópów i panów, które potem wdowa po nim ściągała, nie przepuszczając nikomu, i rozdzielała dalej między dzieci i wnuki.

Dawid Engelberg miał sklep korzenny i lepsze trunki, a przytem także zwyczajny szynk dla chłopów. Trzymał też pocztę prywatną, jeszcze wtedy, gdy posłaniec chodził z Tarnobrzega do Rzeszowa, a potem do Majdanu. Mosiek Hauser zaś miał pierwszy handel żelazny w Tarnobrzegu i handlował głównie z dwo-

rami. Następnie do spółki z Wahlem i Engelbergiem dzierżawił propinację i prowadził handel drzewem. Tak Engelberg jak Hauser zgromadzili nie mniejsze majątki, niż Wahl. Hauser kupił dwie wsie nadwiślańskie: Kajmów i Machów. Dzieci i wnuki swoje hojnie wywianowali.

Ci bogacze stanowili też za życia kasę dla żydów uboższych, bo innych kas podówczas nie było. Pożyczali biedniejszym żydkom na różne interesa i handle, ale na tem nie wychodzili już tak dobrze, bo ci ich najczęściej zarywali.

Wszyscy trzej, a szczególniej Engelberg, mieli opinję żydów porządnych; dbali o powagę, w interesach nie zarywali i dłużników nie wodzili po sądach. Zbogacili się — można powiedzieć — dlatego, że byli zapobiegliwi, a ludzie byli głupi, kwitło pijaństwo, i nie było handlów chrześcijańskich.

O ile mi wiadomo, to te wielkie majątki po nich rozpłynęły się. Dzieci i wnuki prowadziły dalej interesa i handle, jak oni, ale kiepsko, i traciły na tem. O ile są w Tarnobrzegu i znam ich, to są niebogaci, ale owszem niezamożni, zrównali się z chudobniejszymi i w znacznej części wymarli. Jeden tylko Lam, zięć Hausera, posiadał gruby majątek, a to dzięki temu, że dzierżawił propinację i rafinerję u hrabiego.

W ogóle teraz trudniej żydom tak się bogacić. Mogą się w handlu mieć lepiej i żyć lepiej, niż n. p. chłop na roli lub niższy urzędnik, — ale w tak krótkim czasie tak ogromnych majątków nie zbierają, —

a zaczęło się to od tego czasu, gdy szkoły nastały i ludzie zmądrzeli, gdy zaczęło upadać pijaństwo, i ludzie mniej się bawili i gdy zaczęły powstawać Kółka rolnicze i sklepy chrześcijańskie.

Obecnie do najbogatszych, prócz Lama, należą jeszcze Salomon Korn, który początkowo miał tylko sklepik i był niebogatym, dopiero gdy się wziął do handlu ziemią, do kupna gruntów chłopskich i parcelacji folwarków i dworów, doszedł do wielkiego majątku. Mniej bogatym od niego jest Benjamin Federbusch, którego ojciec robił sukmany chłopom i który początkowo był zwyczajnym żydkiem, z którym nikt się nie liczył, — ale gdy zaczął handlować gruntami, kupować, sprzedawać, wymieniać, przyczem bywał na śledztwie sądowem, doszedł do takiego majątku, że go stać było na dziesiątki tysięcy koron i ma kamienicę w rynku.

VI.

Dawniejsze życie towarzyskie wśród chłopów. Schadzki sąsiedzkie. Zabawy niedzielne. Wesela: swaty, spraszanie na wesela, rózgowiny, orszak ślubny, w karczmie i na gospodzie, zwyczaje i obrzędy weselne. Muzyka. Chrzciny. Przezwiska. Figle i zakłady. Pijaństwo na zabawach i przy różnych okolicznościach. Misje przeciw pijaństwu.

Co do stosunków towarzyskich chłopi żyli dawniej w oddzielnej gromadzie, prawie wyłącznie sami między sobą, co zresztą z pewnemi zmianami dotychczas przetrwało.

Dzikowscy chłopi i z innych wsi okolicznych przyjaźnili się tylko często z mieszczanami tarnobrzeskimi, zapraszali ich w kumy, na wesela i inne zabawy i wzajemnie przez nich byli zapraszani. Sami między sobą schodzili się chłopi jużto na zwyczajnych schadzkach sąsiedzkich, jużto na zabawach. Odbywało się to częściej, niż obecnie, bo teraz żyje każdy sam dla siebie.

*
*   *

Schadzki odbywały się w zimie wieczorami po domach, latem zaś w niedziele i święta siadywali gromadnie na murawie w miejscu dogodnem przy dro-

dze i rozgadywali się najchętniej o pańszczyźnie, która niedawno ustała, o wojnach, które starsi zapamiętali i straszyli się wojnami, które przyjść mogły; dalej opowiadali o cholerach, jakie grasowały, o czarach i strachach. Nadto lubili różne opowieści, żarty, zagadki i przepowiednie, nowiny i wypadki, jakie wydarzyły się we wsi i okolicy.

To wszystko znaczyło dawniej tyle, co dziś czytanie książek lub gazet, a kto umiał opowiadać, tego obsiadali dookoła i słuchali, jak żydzi rabina, i wierzyli każdemu opowiadaniu, jak dziś wielu daje wiarę każdemu drukowanemu słowu.

Co do przepowiedni mówili naprzykład, że nastaną takie czasy, iż drogi będą kamienne, a niejeden nie mógł wyjść ze zdziwienia, jakby to być mogło, żeby droga była kamienna, bo wszędzie widziało się tylko drogi zwyczajne, podobne do dzisiejszych polnych. Albo przepowiadali, że będzie wisieć kłódka u lasu, to jest, że lasy będą zamknięte, podczas gdy dawniej lasy były dla ludzi wolne i każdy mógł dowolnie korzystać z drzewa i wszystkiego, co las daje, jak dziś korzysta z powietrza i wody.

A przecież te dziwne przepowiednie spełniły się, bo dziś powiat tarnobrzeski, jak i inne, poprzecinany jest pięknemi drogami kamiennemi, t. j. szutrowanemi i pamięć o dawnych kiepskich drogach ginie. I wstęp do lasu dziś nie dozwolony, podobnie jak do ogrodu, a drzewa nieraz nawet za drogie pieniądze nie można dostać — bo co lepsze, wysyła się za granicę.

Mówili też, że przyjdzie na świecie do wielkiej wojny i ludzie tak wyginą, że człowiek człowieka o siedem mil będzie szukał i będzie się cieszył, jak się jeden z drugim spotka. A zacznie się ta wojna od małego państwa i mały dużego pobije, co tak pewnie trzeba rozumieć, że mniej liczne narody, ciemiężone przez wielkie mocarstwa, w tej wojnie głowę podniosą, uwolnią się z przemocy i przyjdą do znaczenia. To teraz zdaje się sprawdzać.

Mieli też różne przysłowia, któremi posługiwali się w stosownych okolicznościach i które wyrażały ich sposób myślenia. Było naprzykład przysłowie: »Na miejscu kamień obrasta«, co tak rozumieli, że gospodarz czy sługa wtedy się czegoś dorabia i do czegoś dochodzi, gdy siedzi w jednem miejscu i pracuje, a nie przenosi się z miejsca na miejsce. — Mówili też: «Dlategoś głupi, bo cię bieda łupi«, to znaczy, kto ma majątek, uchodzi za mądrego, a biedaka, choćby był mądry, w głupiego obracają. Wyrażali to także w przysłowiu: »Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje«. — Było również przysłowie: »Zatykaj okna gnojem, a jedz chleb ze spokojem«, t. j. nie rób wielkich wydatków i długów, ale poprzestaj na tem, co masz, i nie narażaj się na niepewną przyszłość. — Na wyrażenie zaś myśli, że każdej sprawy należy przypilnować i wszystko robić w stosownym czasie, mieli przysłowie: »Wtedy na grzyby chodzą, jak się rodzą«. — O takim, co mówił, że ma dużo do roboty, a owoców tej pracy nie było widać, mówili: »Ma dużo prać, a mało wieszać«. — O ta-

kim zaś, co był do roboty niezdatny, »doniczego«, mówili: »Można się nim podeprzeć, jak dziad złamaną pałą«. — Używali też przysłowia: »Mądry głupiemu ustąpi«, i na poparcie tego zdania mieli taką gadkę:

Zjechały się raz na drodze z dwóch przeciwnych stron dwie królowe i jedna drugiej zjechać z drogi nie chciała, żeby nie okazać się niższą w godności. Więc stały na miejscu i pisały do mężów, co mają robić. Mężowie odpisali, że która mądrzejsza, ta pierwsza ustąpi. Gdy królowe otrzymały takie odpowiedzi, każda chciała okazać się mądrzejszą i na bok zjechać, więc musieli dopiero przybyć miernicy i wymierzyć na cal, żeby jedna więcej nie ustąpiła, niż druga.

*
*   *

Co do zabaw, to dawniej bawili się więcej, niż dzisiaj. Prawie nie było ani jednej niedzieli lub święta, żeby nie było »muzyki« czyli zabawy w Tarnobrzegu, a najsłynniejsze były u Sruły, na ul. Browarnej i u Szrajbra, na ul. Mokrzyszowskiej. Grali sami żydzi w swoich domach, poczynając niedługo z południa, czasem przez całą noc aż do rana. Płaciło się za każdy taniec, przyczem ten więcej tańców płacił, kto miał więcej pieniędzy, lub szło to koleją: raz płacił ten, drugi raz inny. Taniec kosztował 10 cent., a grali go najwięcej 20 minut.

Na granie schodzili się ludzie wsiowi z Dzikowa, Miechocina, a także z innych pobliskich wiosek, nadto mieszczanie tarnobrzescy i sługi dworskie. W tańcach

brali udział najwięcej młodzi parobczaki i dziewczęta, ale nie brak było i starszych, żonatych, a słuchaczów i przyglądających się bywały takie gromady, że aż ciasno było w izbie i przed domem. Bo też tam było co widzieć i słyszeć, między tańcującymi bowiem nie brak było zuchów, wystawiających się jeden nad drugiego różnemi śpiewkami i żartami; z tych dosyć było nieprzyzwoitych i niemoralnych, któreby dzisiaj nie uzyskały pochwały, a w owych czasach uchodziły za stosowne i przyczyniały się do większej zabawy i rozweselenia uczestników.

Grajek czyli »muzykant« musiał grać tak, jak tańcujący zaśpiewał. Nieraz muzykant nie mogąc wygrać nuty, wił się, jak wąż i nierzadko się trafiało że spadał mu za to bat na plecy, a nawet nie było zabawy, żeby muzykanci coś nie oberwali, czasem i dobrze. Ale nie było o to żadnej skargi, bo była taka zasada, że »kiedyś się podjął, to graj, jak ci każę, bo ci za to płacę, a jak nie umiesz, to się do tego nie bierz«.

W domu, gdzie w niedzielę i święto grała muzyka, całym gospodarzem był żyd: zapobiegał większym nieporządkom między zgromadzonymi, wypędzał chłopaków, jeżeli zanadto tłoczyli się w izbie.

Raz spotkała mnie na takiej muzyce niemiła przygoda. Gdym był wyrostkiem, pociągnął mię raz na muzykę służący od sąsiada, starszy odemnie. A nietrudno mi było wymknąć się na zabawę, jeździłem bowiem z końmi na nocną paszę, więc można było konie na pastwisku dobrze spętać i wybiec do miasta.

Wyjeżdżając wtedy, wdziałem czystą kamizelę pod starą sukmanę, jak mi doradził ów służący.

Gdyśmy przyszli na muzykę, kolega mój, jako starszy, brał się do tańca, ja zaś przyglądałem się zabawie, stojąc w kącie, przy piecu, gdzie tłoczyła się gromada chłopaków, poszturkując się i zawadzając tańczącym. Nagle, jak jastrząb, wpadł z harapem w tę gromadę Schrajber: chłopaki rzucili się ku drzwiom, tylko ja, nie poczuwając się do winy, nie uciekałem.

Wtedy Schrajber ściągnął mnie harapem przez cienką kamizelę tak, że potem przez kilka dni miałem pręgę na plecach i dobrze to czułem. Już też odeszła mnie ochota do zabawy i wróciłem zaraz do koni, a parobek sąsiadów bawił się do rana.

*
* *

Najważniejszą jednak rozrywkę w życiu chłopskiem stanowiły wesela. Obfitowały one w przeróżne ceremonje i zabawy, które dziś w przeważnej części z życia ustąpiły.

Co do ożenku nie było dawniej żadnego przebierania: parobczak był w każdym domu z chęcią przyjmowany, czy to był komornik, zagrodnik, lub syn kmiecy, aby miał tylko ręce do roboty. Nawet kmieć, mający jedynaczkę, przyjmował za zięcia komornika, powiadając mu przytem: »Jak będziesz pracował, to twoje — grunt, budynki i wszystko, co Pan Bóg dał«. Głównie chodziło to, żeby pracować.

Jak dziewczyna wychodziła za gruntowego parobczaka, to matka tegoż zachwalała przyszłe życie swo-

jej mianowanej synowej zwyczajnie w ten sposób: »Nie turbuj się, moje dziecko, nie będziesz miała u mnie źle, roboty nie będzie ci brakować; mam co prząść, co mleć, tłuc; jest parę bydląt, świń, — będziesz miała koło czego chodzić, żebyś mogła tylko wszystkiej robocie dać radę«.

A znów matka dziewczyny, chwaląc ją, mówiła: »Nie będzieciecie-ta, swatowo, z mojej córki mieć krzywdy, ona tam darmo rąk nie położy, będzie kontenta, że będzie miała co robić; a do tego nie przyjdzie do was goła, ma parę wdziewków, smat, — ze dwa roki nie potrzebujecie jej okrywać; dostanie też ze dwie krowy i co tam Pan Bóg ma przy domu, to się jej nie będzie żałowało«.

Nie było tam mowy o gruncie, zapisach, pieniądzach. Naprzykład dziadkowie moi wydali młodszą córkę, a mojej matki siostrę, na gospodarstwo 18-to morgowe i zawsze mówili, że dobrze ją wywianowali, bo dali jej dwie krowy, kobyłę i konia, parę świń, dobrą przyodziew czyli chusty, pościel, skrzynię, beczki na zboże, a później pomagali jej i dodawali, co brakowało, po parę reńskich i zbożą na przednowku. Nawet przy śmierci przypominali mi, że się jej już nic nie należy, bo została dobrze wywianowana. Nikt wtenczas nie słyszał, żeby wianować gruntem. Wogóle całe wiano było z obory, to tego też odnosiła się śpiewka:

„Dopiero cię, moja matko, głowa zaboli,
Jak ty będziesz wydawała wiano z obory“.

Dziewczyna na wydaniu wyglądała, rychło jaki kawaler przyśle starościnę z flaszką wódki na swaty. Flaszka taka była owiązana wstążką, a dla dziewczyny było to zaszczytem, jak wstążka była ładna, to zaraz w niedzielę wplatała ją sobie do włosów, a z tego już każdy wiedział, że będzie wesele.

Starościna przyszedłszy z wódką, stawiała ją na stole, ale nikt jej nie śmiał tknąć, aż panna młoda sprosiła wszystkich krewnych, sąsiadów, którzy, schodząc się, zwracali uwagę na tę flaszkę ze wstążką. Dopiero panna młoda odwiązywała wstążkę, nalewała pierwszy kieliszek i piła do narzeczonego. A wszyscy przytem dawali baczność, żeby pełny wypiła, boby się im w gospodarstwie nie wiodło. Zaś narzeczony pił zaraz zdrowie rodziców i wszystkich gości sproszonych. Wtenczas dopiero zaczynała się uczta na dobre, pili nie tylko z tej flaszki ze wstążką, ale i parę innych wypróżniali, bo już panna młoda przez przyjęcie wstążki i wypicie wódki do pana młodego dała dowód, że za niego wyjdzie.

*
*   *

Na dwa tygodnie przed weselem panna młoda ze starszą druhną zaczynały spraszać gości. Obie były ubrane jednakowo, głowy miały przybrane w różne kwiaty i listki, a po plecach spływały im wstążki różnego koloru. Spraszały krewnych, przyjaciół, sąsiadów i znajomych, chwytając nisko pod nogi starszych i młodszych, gdzie kogo zastały: w domu, na obejściu czy

na drodze. I zapraszały usilnie: »Kazali was tata i mama prosić, żebyście przyjechali na wesele, tylko przyjedźcie z pewnością i nie odmawiajcie się«.

Oj, nakłaniały się one, bo to chwytanie, zapraszanie jednego nawet po kilka razy trwało przez 3 tygodnie, aż się wesele skończyło. Panna młoda chwytała zawsze pierwsza, a starsza druhna za nią i potem można je było rozróżnić.

*
* *

Wesele poprzedzały rózgowiny, t. j., wicie rózgi czyli wianka. Odbywały się one wieczór w przeddzień ślubu w domu panny młodej. Rózga składała się z siedmiu odnóg czyli gałązek przybranych zielem i wstążkami i miała kształt głowy panny młodej ubranej do ślubu. Przy wiciu jej było wiele ceremonij i śpiewów obrzędowych, które kończyły się dopiero nadedniem. Rózgę tę niósł następnie do ślubu starszy drużba i on ją miał w ciągu całego wesela a dopiero w czasie czepin oddawał ją starszej staro ścinie.

*
* *

Wesele sprawiał ojciec panny młodej. W dniu ślubu zaraz z rana zaczęli się zjeżdżać na gospodę, t. j., do domu panny młodej sproszeni goście: starostowie, starościny, drużbowie, druhny — wszyscy w strojach narodowych, ubrani jak najczyściej. Każdy drużba musiał mieć sukmanę białą, czerwoną rogatkę a za czapką bukiet i do ślubu musiał jechać na koniu

Orszak weselny wyruszał do ślubu w następującym porządku: naprzód jechali drużbowie na koniach, za nimi grajkowie na wozie, następnie wóz z panną młodą, a koło niej po jednej i drugiej stronie jejechało 4 do 6 drużbów na koniach. Między nimi był także pan młody, — i tak cały orszak jechał wóz za wozem.

Każdy drużba zaopatrzony był w harap kozacki, którego rzemienie umocowane były zwyczajnie na nóżce sarniej. Harap ten miał zawieszony na rzemyku u prawej ręki i nie rozstawał się z nim w ciągu całego wesela.

Najmniejsze wesele było, jak jechało 20 wozów, na większem było i 40. Zaszczytem było dla gospodarza, jeżeli na ślub zjechało się jak najwięcej wozów. Od ślubu powracali tym samym porządkiem. Grajkowie grali przez całą drogę do ślubu i od ślubu.

Fury jechały wartko, kto miał lepsze konie, starał się drugich wymijać. Przy tem mijaniu się, a także na skrętach, bywały wypadki, że fury się wywracały i niejeden tracił przytem życie lub nabawiał się kalectwa.

Konie, któremi często jeżdżono na wesela przyzwyczajały się do tej szybkiej jazdy. Jak tylko zaczęli śpiewać, muzyka zagrała, z batów strzelili i rózgą zaczęli wywijać, one już nie mogły dostać w miejscu, stroiły się do biegu, drugie tyle ich przyrastało, a gdy ruszyły, to szły równo z wiatrem, bez względu na drogę, czy był piach, czy błoto, góra, czy skręt. Tak



Stroje ludowe w pow. tarnobrzeskim. Ze wsi nadwiślańskich.

szły jednym ciągiem do ślubu i od ślubu. Odetchnęły tylko tyle, co pod kościołem, gdy ślub się odbywał.

Bywały konie »weselne« strojne, sławne z tego, że dobrze szły na weselach. Gospodarza takich koni prosili chętnie na wesela, na takim wozie jechała panna młoda, której gospodyni ustępowała miejsca i przesiadała się na inny wóz. Albo też konie takie do ślubu wypożyczali lub wynajmowali.

Trafiały się też konie znarowione, takie, że w zwyczajnym wozie ciągnąć nie chciały, ale gdy furman udał wesele, zaśpiewał, z bata wystrzelił, czapkę niby rózgę do góry podniósł, to konie takie ruszyły z najcięższą furą i szły do wycwału, jak w czasie jazdy weselnej.

Najwyższym dostojnikiem wesela był starszy starosta i starsza starościna, a dalej starszy drużba i starsza druhna. Zresztą wszyscy żonaci nazywali się starostami, a mężatki starościnami, na wsiach lasowskich zaś swachnami lub swachniczkami i na weselu co do godności byli sobie równi.

*
* *

Całe wesele odbywało się głównie w karczmie. W karczmach ówczesnych były zwyczajnie dwie obszerne izby: jedna, w której w czasie wesela grała muzyka i odbywały się tańce, i druga zastawiona stołami, gdzie weselnicy jedli i pili. Przekąski podawały starościne, każdego dnia inne; najpierw zwyczajnie starsza starościna, a potem inne z bliższa i z dalsza.

Częstowały tem, co z domów przyniosły: plackiem, kiełbasą w zapusty, serem w lecie. Placek ten i coś do placka, pokrajane, brały w zapaskę roznosiły między gośćmi weselnymi. Traktowały wszystkich obecnych, nie pomijając i muzykantów. — Trunki, wódkę i piwo, podawał tu karczmarz, a płacili za nie starostowie, każdy po kolei raczył trunkiem wszystkich za stołami. Gospodarz wesela nic w karczmie nie podawał, tu goście go częstowali, jeżeli się na muzyce pokazał. Podejmował on zaproszonych tylko w swoim domu.

Pierwszego dnia dopiero koło godziny 10 wieczór panna młoda spraszała gości na gospodę, tj., do swego domu na obiad, gdzie wszyscy szli z grajkami, a po obiedzie powracali do żyda i bawili się do rana.

Na drugi dzień starosta i drużbowie obchodzili z grajkami do domu każdego, kto był na ślubie i spraszali na śniadanie na gospodę, przyczem w każdym domu byli przyjmowani poczęstunkiem. Po tem śniadaniu, które wypadało nieraz w południe, szli znowu wszyscy do żyda i bawili się tąm dalej prawie do północy, a potem przychodzili znowu na obiad na tak zwaną gospodę.

Jednem słowem, goście bawili się u gospodarza wesela tylko tyle, co schodzili się na obiad późnym wieczorem i na śniadanie koło południa, a resztę czasu spędzali na zabawach w karczmie. Każde prawie wesele zaczynało się w niedzielę wieczór wspomnianemi

rózgowinami i ślubem w poniedziałek rano, a ciągnęło się do piątku.

Ponieważ dużo było sproszonych, więc tak w karczmie, jak i na gospodzie panował zwyczajnie wielki natłok. W tańcu nigdy ochotnych nie brakło, co się jedni zmęczyli, to drudzy następowali. Najnieszczęśliwszy był skrzypek, bo musiał grać prawie bez przerwy, każdy mu śpiewał inaczej, a on musiał wygrać. A gdy się czasem w czasie grania zdrzemnął, to go któryś z drużbów batem przez plecy ściągnął tak, że mu się na całe wesele spać odechciało.

Tańcami i w ogóle weselem kierował starosta, on rozkazywał, a każdy go słuchał. Drużba, skoro przyszedł zrana i chciał tańcować, musiał wpierw iść do starosty, pokłonić się mu i prosić o pozwolenie, a do tańca zdjąć sukmanę czy kamizielę. Taki był przepis i nikt nie mógł się z pod tego wyłamać.

Na gospodzie z powodu ciżby goście nie siedzieli, ale przeważnie stali, ale i tak jeszcze nie mogli pomieścić się w domu i dużo stało na dworze pod ścianami, koło płotów i t. d. Gospodarz musiał wszystkich obchodzić, częstując ich wódką lub piwem, a za nim szła gospodyni, obnosząc chleb i ser pokrajany na przętaku. Takim poczęstunkiem gość był już mniej więcej zadowolony, zwłaszcza gdy widział dobrą chęć gospodarza, — ale gorzej było, gdy wystał się pół dnia i nic nie zjadł i nie wypił, bo w natłoku gospodarz go nie zauważył, a sam nie śmiał się o poczęstunek upomnieć. — W ciżbie tej jedni byli za dużo

częstowani, a inny wracał do domu o głodzie, złoszcząc się, »że go na wesele zaprosili, a nawet nie widzieli«.

*
* *

Na wesele była zawsze zarzynana krowa, a czasem dwie, — ale kupowali na to najczęściej krowę starą i chudą albo z jakąś wadą, n. p. przebodzioną, kulawą, która dla żyda się nie nadawała, — więc na mięso z niej trzeba było dobre mieć zęby. Był też zwyczaj, że starościny, pochodzące z bliższa, prócz tego, co składały z rzeczy spożywczych pannie młodej w darze przed ślubem, w ostatnie dni wesela znosiły na gospodę placki, nabiał, wódkę, nawet żywy drób, który zaraz był zarzynany i gotowany, a to wszystko było »na poprawę wesela« i »żeby oddać to, co się na weselu zjadło i wypiło«. Każda starościna tem częstowała, co z sobą przyniosła.

W kilka lat po ożenku byłem z żoną na weselu na lasach, w Tarnowskiej Woli, oddalonej o 3 mile od Dzikowa. Żenił się tam u Rębisza nasz sąsiad. Gości przyjmowali plackiem z razówki, nabiałem i wódką. Mnie z żoną przyjmowali osobno, podali nam rosół i mięso. Słyszałem więc, jak inni szeptali do siebie z tego powodu: »Będzie Rębisz to wesele pamiętał, bo gości ma z Dzikowa i mięso dla nich umyślnie kupował«. A Rębisz nie liczył się z tem, że ma wydatki, cieszył się, że sprawił duże wesele, że ma zdala gości i śpiewał skrzypkom do tańca:

„Niech się gro, niech się tońcy,
Niech się razem bida końcy“.

Przy końcu wesela, po ostatniem obiedzie odbywały się czepiny które trwały nieraz całą noc. Zaczepiała pannę młodą starsza starościna w czapkę przez siebie sprawioną. Czepiny były połączone z mnóstwem ceremonij, a całemu temu obrzędowi towarzyszyły śpiewy, z których niektóre kobiety słynęły.

Śpiewek weselnych było bardzo dużo na przeróżne melodje. Mężczyźni śpiewali w tańcu przed skrzypkami, kobiety zaś przy obrzędach, na rózgowinach czyli przy wiciu rózgi, przy rozplecinach czyli przed wyjazdem do ślubu i przy czepinach. Niektóre z tych śpiewek obrzędowych były bardzo rzewne i wzruszały słuchaczy do płaczu, a były śpiewane przy wtórze skrzypka.

Każdy, kto był na weselu, musiał stracić gotówką najmniej 10 reńskich i to przeważnie na trunki w karczmie, częstując według zwyczaju wszystkich obecnych na zabawie i nawzajem przez nich częstowany. Uchodziło to za rzecz niehonorową, gdyby ktoś swojej kolejki nie zapłacił i drugich przy częstowaniu pominął, mówili o nim, że »od drugichby pił, a swego nie da«. Na zabawy więc, wesela i chrzciny, były wówczas wydatki największe, zwłaszcza gdy gospodarzowi trafiło się kilka razy do roku być na takiej zabawie w swojej lub obcej wsi.

We czwartek późno w noc kończyło się granie i wesele. Ale jeszcze w piątek, a czasem jeszcze w sobotę odbywały się tak zwane poprawiny, — goście

schodzili się na gospodę, robili składki na wódkę lub piwo, popijali i pogadywali, jak zwykle przy kieliszku.

Była gadka o gospodarzu, który, wyjeżdżając na wesele na drugą wieś, starał się swój inwentarz żywy aż do swego powrotu jako tako zabezpieczyć. Więc krowę dał do sąsiada, żeby była dojona i mleka nie straciła, cielęciu zadał w stajni karmy do żłobu i za drabinkę, wieprzkowi w chlewku do korytka, a dla drobiu posypał ziarna na oborze. Ale cielę wnet miało pusto w żłobie i za drabinką, bo wiele paszy ściągnęło pod nogi i zdeptało, wieprzek też dużo z korytka wywalił i zmizcrował, a ziarno rozsypane dla drobiu wyzbierały w znacznej części inne »gady«. Więc powstał głód w oborze, nie uczuwały go jedynie gęsi, bo mogły skubać trawę na dziedzińcu, i kaczki, bo miały wodę w pobliżu. Zaczęła się tedy taka rozmowa wśród tej opuszczonej żywizny:

Cielę beczało żałośnie: »Dokąd to wesele be-e-dzie«, a gęsior odzywał się na to: »Tydzień, tydzień, tydzień!«

Wieprzek pomrukiwał z cicha: »Zdechnę już, zdechnę już«, — na to kaczor, pływając po wodzie, odpowiadał: »Dobrze ci tak, dobrze ci tak«.

Indyczka, chodząc koło ścian, labidziła: »Oj bida, bida, bida, bida, bida«, a indyk bulkotał ze złością: »Djabli by tu wysiedzieli«.

Jeżeli panna młoda była z innej wsi, to nazajutrz po zaczepieniu jej, t. j., we czwartek odbywały się przenosiny jej do domu pana młodego. Przy tych

przenosinach każdy z uczestników wesela starał się coś zabrać (porwać) rodzicom panny młodej na nowe gospodarstwo: brali miądlice, przęślice, obrazy, różne sprzęty, bułki chleba i t. d. i każdy następnie, jadąc na furze, trzymał, co zabrał, i przekazywał się tem.

Na weselu Tracza z Dzikowa, gdy panna młoda, pochodząca z Nagnajowa, przenosiła się na gospodarstwo pana młodego, fury towarzyszące jej zajęły w Dzikowie całą ulicę Połać.

Z weselami łączyły się niekiedy brzydkie zwyczaje. Na wesela brali n. p. z sobą dzieci, zwłaszcza, gdy wesele było u krewnego, a dzieci nie było przy kim zostawić. Prowadzili je na gospodę i do karczmy i dawali im, co było na stole, nawet wódkę. Pamiętała też o nich kucharka i gospodyni i dawała, co zostało ze stołu, ale przedtem musiały pouklękać i mówić pacierz. Czasem cisnęło się na wesele więcej dzieci, niż starszych, bo zbiegały się i obce, których rodzice nie byli proszeni. Była to plaga dla gospodarza: dzieci wygnane z izby, kręciły się w sieni albo przed domem; nie można się było z niemi ugnać. Czasem któryś starosta odpasał pasa, przetrzepał je i odpłoszył, ale znowu się cisnęły, jak wróble zimą do stodoły. Nie podobało się to już wtedy ludziom rozważniejszym.

Byłem raz na weselu w Suchorzewie, gdzie mię sadowili na pierwszem miejscu i starali się dobrze uraczyć. Kucharka podała mi flaki, ale przytem upominała: »A miejcie się na baczności, żeby wam kto

miski nie odebrał«. Ledwic jednak miskę przede mną postawiła, już ktoś z tyłu stojący porwał to dla siebie. Więc przyniosła mi drugą miskę i znowu mnie upominała, żebym się przed drugimi pilnował. Tymczasem, gdy ona nieco się ze mną zakramarzyła, objaśniając mnie o panującym tam zwyczaju, że jedni drugim jadło porywają, inni wykradli jej z kuchni cały kocioł z flakami i tak się ukryli, że dopiero nazajutrz rano znaleziono kociół za stodołą, zupełnie wypróżniony.

Dobrą opinję miały zawsze wesela w Machowie, że ludzie bawili się tam spokojnie, bez bitek, grzecznie się z sobą obchodzili, starszyzna miała posłuch.

Najwięcej słynęli tam gospodarze Wojciech Żak i Grzegorz Stec. Gdy przychodziły czepiny i oni występowali, to zbierała się cała wieś, starsi i młodsi, jak na teatr, tłoczyli się przez drzwi i okna, żeby się napatrzeć rozmaitym figlom i nasłuchać przeróżnych żartów, które rozgrywały się przez kilka godzin i całą noc.

Ujemną stroną dawnych wcsel było też to, że trwały zbyt długo, przez co gospodarstwo było zaniedbywane i żc odbywały się po karczmach wśród pijatyki, na czem żydzi w owych czasach dobrze zarabiali i bogacili się.

Nie brak jednak było w dawniejszych weselach obrzędów i zwyczajów prawdziwie ładnych, narodowych, ludzie się nabawili, nacieszyli, nagadali. Szkoda, że to wszystko obecnie zatracone, a zachowała się w całości jedynie rzecz zła, t. j., pijatyka. To też teraź-

niejsze wesela są mniej ciekawe i mniej na nich się bawią, niż na dawnych i wogóle po wsiach daje się uczuwać brak dobrych i godziwych zabaw, i ludność czas wolny od pracy spędza w gnuśności lub przesiaduje po karczmach.

*
* *

Na weselach grywali zawsze muzykanci chłopscy, a tylko na zabawach niedzielnych w mieście grywali żydzi. Muzyka chłopska wówczas składała się z dwojga skrzypiec, z basów i bębna, przyczem buczenie basów i odgłos bębna wybijał się najwięcej i zdala już dawał się słyszeć. Dopiero później do tego dołączył się klarnet i flet i w tańcu lepiej podcinał.

Takie muzyki były po niektórych wsiach okolicznych a najlepsza przez długi czas utrzywywała się w Ocicach. Muzykanci grali zawsze tak, jak kto zaśpiewał. Za granie na weselu płacił im pan młody, czasem tylko któryś starosta lub drużba z własnej ochoty rzucał do basów coś grajcarów i sobie grać kazał.

Pierwsza nowoczesna kapela muzyczna w powiecie powstała w r. 1881 w Miechocinie, a wykształcił ją tamtejszy nauczyciel Wojciech Skowroński z młodzieży szkolnej. Kapela ta składała się z 10 chłopców, grających z nut i utrzymywała się przez lat dziesięć, dopóki muzykanci nie rozprószyli się po kraju z powodu służby wojskowej i zajęć zawodowych.

*
* *

Po zabawach weselnych następują zazwyczaj chrzciny, więc i te w krótkości opiszę.

W owych czasach nikt nie słyszał o akuszerkach egzaminowanych, tylko w każdej wsi były tak zwane babki, udzielające pomocy przy połogach na podstawie własnej praktyki. Skoro dziecko przyszło na świat, jedną z pierwszych czynności babki było przepalić wódki z miodem i szmalcem tak, żeby było dwie szklanki lub dwa garnuszki. Z tego jeden wypijała babka, a drugi dawała położnicy, dopędzając ją przytem słowami: »Pijcie, pijcie, niech się napełni ten dołek, gdzie leżał ten pachołek, — zaraz będzie wam lepiej«.

Położnicę odwiedzały zaraz sąsiadki i kumoszki coraz inne, a każdą należało przyjąć poczęstunkiem, wódką i przekąską, A gdy za dzień lub dwa kumowie do chrztu pojechali, był zwyczaj, że po chrzcie nie wracali prosto do domu, ale wstępowali po drodze do karczmy lub szynku i dobrze tam popijali — i dziecięciem, świeżo ochrzczonem, wycierali nasamprzód kąty żydowskie; nie zapominali też o położnicy i przywozili jej w darze napitek i przekąski.

A tymczasem domowi spraszali gości na chrzciny, t. j., na zabawę po chrzcie. Znów był zwyczaj, że żadna sąsiadka czy kumoszka nie przyszła z próżnemi rękami, ale co mogła: — bułki, jajka, słoninę i czasem coś do napitku każda przyniosła, i to wszystko dla położnicy w głowy pod poduszkę składały tak, że poduszka musiała się wysoko podnieść, a położnica wskutek tego nie leżała, ale siedziała w łóżku.

Chrzciny trwały często do trzech dni wśród zabawy, wesołych śpiewów, pogadanek, a najwięcej weseliła wszystkich babka, która zazwyczaj ze wszystkich najwięcej lubiła sobie podpić. Bo też za całą usługę przy chorej przez kilka dni bardzo mało brała pieniędzy, najwięcej reńskiego, a nieraz całą zapłatą było to, co zjadła i wypiła. Starsi mianowali ją kumoszką, a dzieci babką, ona też wszystkim, gdzie przy połogu była, mówiła »kumie, kumo«, a dzieci nazywała wnuczkami.

Po takim połogu i chrzcinach chora najpóźniej po tygodniu wstawała z łóżka i brała się do zwyczajnej roboty i była zdrowa, ale też nieraz trafiało się, że traciła zdrowie, a nawet życie, a to szczególniej przez te następujące zaraz po narodzinach chrzciny, na których goście swobodnie i głośno się bawili bez względu na chorą położnicę, i odchodziła wódka, którą i chorą raczyli.

*
* *

Prawie każdy chłop w owych czasach miał jakieś przezwisko albo przydomek, według których był we wsi znany i nazywany. Tak n. p. Wojciech Łuczak z Podłęża nazywany był Pończochą, Józef Słomka z Podłęża Rychlickim, Michał Wiącek z pod Nru 53 Kwapiszem, Józef Wójcikowski Drabem, Ignacy Gronek Kozieją, Jan Szczytyński Rysiem, Jan Mortka z pod Nru 27 Karolikiem, Stanisław Antończyk Mastalerczakiem i t. d., i t. d.

Niejeden znany był więcej pod swojem przezwiskiem, niż pod nazwiskiem, albo nawet tylko pod przezwiskiem. Na przykład Łuczaka nazywali powszechnie tylko Pończochą, Wójcikowskiego Drabem, Mortkę Karolikiem i t. d. i oni sami podawali przezwiska zamiast nazwisk przy spisywaniu aktów urzędowych i w innych okolicznościach. Niektórzy nie znali nawet swoich właściwych nazwisk i naturalnie o przezwiska nigdy się nie obrażali.

Mortkę nazywali Karolikiem z powodu, że jego dziadkowi było na imię Karol. Antończyka Mastalerczakiem, ponieważ ojciec jego był masztalerzem czyli stajennym u hrabiego, — przeważnie jednak nieznane były początki różnych przezwisk i przydomków.

*
* *

Wspomnę o figlach chłopskich, których nie brak było szczególnie w czasie zabaw.

Najwięcej figlów robili chłopi z żydami. Uważali ich za bojaźliwych, których można czembodaj nastraszyć i wyprowadzić w pole.

W Dzikowie za mojej pamięci szczególnie Wiącek Jan znany był z takich figlów. Raz n. p. kazał przyjść do siebie handlarzowi zboża, mówiąc, że ma beczkę nasienia koniczyny na sprzedaż. Naprawdę nasienia tego miał tylko odrobinę i chciał się tylko żydowi odpłacić za popełniane przez niego oszukaństwa.

Wiedział, że handlarz ten, badając ziarno, miał zwyczaj zawijać rękaw i z całej siły wbijał rękę, zaciśniętą w pięść w zboże, chcąc w ten sposób spraw-

dzić, czy od spodu nie jest sfałszowane. Żeby go oszukać, gospodarz odwrócił beczkę do góry dnem i cieniutko przykrył je koniczyną, co wyglądało tak, jakby pełna beczka była tego nasienia.

Żyd, gdy stanął nad beczką, rozochocił się na jej widok, bo nasienie koniczyny było poszukiwane, zakasywał zaraz rękaw, rozmachał się i z góry chciał wbić rękę do spodu. Szturnął jednak w przysypane dno, naklął ze złości, schował zaraz rękę do kieszeni i uciekł przed śmiechem obecnych z komory.

Na weselach, chrzcinach i różnych zabawach bywały zakłady o to, kto silniejszy, wytrzymalszy, kto potrafi więcej zjeść, wypić, i t. p. Zakładano się zawsze o wódkę, kto przegrał, płacił.

Pamiętam, jak Książek z Miechocina założył się w naszym domu o to, że zgryzie na kawałki z grubego szlifowanego szkła kieliszek, z którego pił wódkę. Gdy zakład stanął, gryzł szkło po kawałku na drobniutkie kawałeczki »na kaszę« i wypluwał na rękę, aż cały kieliszek, nawet grubą podstawę zgryzł. Na drugi dzień miał usta zakrwawione i twarz spuchniętą, ale śmiał się z tego i nie myślał chorować.

To znowu Franciszek Mortka założył się na chrzcinach, że wypije pół kopy surowych jaj. Gdy mu tyle jaj dostarczono, natłukał jedno za drugiem, przyczem naśladował głos kury: »Ku-ku-ku-ku« i wypijał, aż wypił wszystkie 30. I nie słyszałem, żeby mu to zaszkodziło na zdrowiu.

*

* *

Wódki pili wtedy trzy razy więcej, niż obecnie; była tania, bo kwarta okowity kosztowała tylko 24 grajcary i można było dolać do niej więcej, niż drugie tyle wody, a była jeszcze mocniejsza, niż dzisiejsza okowita. Piwa na razie pili bardzo mało, dopiero zczasem wchodziło ono coraz więcej w używanie, a poza tem innych trunków nie było, chyba tylko w domach pańskich.

Tak wódkę, jak piwo brali najwięcej w Tarnobrzegu z propinacji, dzierżawionej przez żydów od skarbu dzikowskiego. Jeżeli jednak w innem państwie, u innego propinatora, n. p. w Mokrzyszowie lub w Machowie, były kiedy trunki tańsze albo lepsze, to tam je kupowali na wesela, chrzciny, na żniwa, — na swoją bowiem potrzebę wolno było kupować, gdzie się komu podobało.

Mieli też wówczas ludzie więcej okazji do picia, niż obecnie, i żadnej zabawy nie rozumieli bez wódki i picia. Kto był na zabawie, musiał równocześnie pić, a jak kto się upił, to mówili, »że się ubawił«, i nie mieli mu tego bynajmniej za złe. Dawali wódkę nawet małym dzieciom, zwłaszcza na zabawach, »żeby i one zabawę pamiętały«, i całkiem nie zważali na to, że dziecku szkodzi to bardziej jeszcze, niż starszemu.

Wódka odchodziła, jak pisałem, na chrzcinach, zmówinach, rękowinach, rózgowinach i w czasie całego wesela; obchodziła też i na pogrzebach, przed wyprowadzeniem umarłego i po pogrzebie na t. zw. »konselacji« czyli stypie. Do tego, jak wspomniałem,

w niedziele i święta grały po karczmach i szynkach muzyki, przyczem także wódki nie brakło; nadto sąsiedzi i kumowie częściej się wówczas z sobą schodzili, niż obecnie, w domu lub w mieście i także traktowali się wódką. Odchodziła też na jarmarkach.

W niektórych wsiach był zwyczaj, że chłopi zaraz po wymłóceniu zboża nosili je do karczmy na wódkę.

Każdy niósł je w torbie z łyka lipowego pod kamizielą. Kamizielę wdziewał wtedy tylko jednym rękawem, drugi zaś spadał wolno po ramieniu, na którym torba wisiala. Ramię obciążone torbą nachylało się ku ziemi.

Gospodarz szedł przez wieś dumnie, (każdy wiedział, co pod kamizielą niesie), a gdy wszedł do karczmy był witany przyjaźnie przez obecnych tam i zboże składał żydowi. Za to pił zaraz i częstował drugich, a ci znowu innym razem odwzajemniali się.

Uchodziło to za honor, nieść w ten sposób zboże do karczmy i nawet w modę to weszło, że chłopi jedno ramię trzymali zawsze niżej, (jakby obciążone torbą). Taką postać przedstawiają dotychczas najstarsi chłopi, którzy nosili zboże do karczmy.

Wogóle, gdzie pijaństwo szczególnie kwitło, nosili wódkę z karczmy we flaszkach na wierzchu, nie ukrywając się z tem, ale owszem przekazując, że będą pić i mają pić za co. Gdzie pijaństwo było mniejsze, czynili to skrycie. Flaszkę z wódką chowali pod wierzchnie ubranie, a kobiety pod zapaskę. Chyba, że

wódka była dla żniwiarzy lub na zabawę (nie do codziennego użytku), wtedy się z nią nie kryli.

Jak wódka niejednego upadlała, przytoczę jeden z wielu wypadków.

Raz, gdy już byłem wójtem, zaszedł do mnie w nocy gospodarz z Dzikowa z zawiadomieniem, że pod Zwierzyńcem na granicy Dzikowa coś szamoce się i stęka, że prawdopodobnie wpadł tam jakiś człowiek. Była to już późna jesień i zimna panowały przejmujące, zachodziła obawa, że nieszczęśliwy może skostnieć, — wstałem więc z łóżka, wezwałem wartnika i skierowaliśmy się na wskazane miejsce.

Gdyśmy tam przybyli, oczom naszym przy świetle zapalonej słomy przedstawił się taki obraz: W głębokim rowie przydrożnym siedział chłop skulony, powalany w błocie i sponiewierany, jak nieboskie stworzenie.

Wpadł do rowu pijany i był całkiem nieprzytomny. Nic nie mówił, tylko wydawał dzikie ryki i oburącz trzymał się olszynki, rosnącej w rowie. Zdawało mu się, że go djabeł wodzi i chce zgubić, więc uchwycił się tego krzaczka, jak tonący ostatniej deski ratunku. A zaciął ręce tak mocno, że nie mogliśmy go od drzewka odczepić i musieliśmy je razem z nim z korzeniami wydrzeć. Tak włożyliśmy go na furę. Gdyśmy go do kancelarji gminnej wnosili, trzymał jeszcze skurczony to drzewko przed sobą i ryczał, poczytując nas ciągle za złych duchów, które go chcą gdzieś uprowadzić.

Złożyliśmy go na podłodze i kazałem wartnikowi mieć nad nim baczenie. Tymczasem nad ranem wy-

trzeźwił się i wymknął niespodziewanie. Później dowiedzieliśmy się, że był to gospodarz z Sobowa, znany pijaczyna.

Do szerzenia pijaństwa przyczyniała się też ta szkodliwa moda, która do dziś dnia przetrwała i panuje: ażeby się za poczęstunek odwzajemnić: »Dobre twoje, dobre moje«, — jak jeden zapłacił swoją »kolejkę«, to płacił znowu drugi, trzeci i t. d., i wódka lała się bez przestanku.

Przy kieliszku było zawsze najwięcej miłości i serdeczności, całowania i śpiewania, a jak się popili i wytargali za czupryny, to się też zaraz przeprosili i na nowo pili. Ale nie pamiętam z owych czasów wypadku, żeby się nożami pokłuli, jak się to teraz trafia, albo się do sądu skarżyli; pod tym względem dawni ludzie byli lepsi od dzisiejszych nożowników i procesników.

*
*   *

Straszne to pijaństwo, rzerzące się wszędzie, zwalczały bardzo skutecznie misje kościelne, na których ludność tłumnie odprzysięgała się wódki. Ja przysięgałem w r. 1869. Były wtedy przez 8 dni misje w kościele parafjalnym w Miechocinie; księża krzyczeli najwięcej na pijaństwo, nakoniec wzywali uroczyście do przysięgania od palących trunków przez podniesienie rąk. Podniosłem wtedy rękę do góry i od tego czasu nie miałem wódki w gębie. To mię ustrzegło od niejednego upadku w życiu, zaoszczędziło mi wiele pie-

nędzy, czasu i zdrowia a że przytem nie palę też tytoniu, więc dotychczas, choć mam już 87 lat i w życiu niemało pracowałem, nie byłem nigdy u lekarza, nie przechodziłem cięższej choroby i niejeden podziwia moje zdrowie*).

---

*) Wspomniane misje odbyły się w r. 1869 w dniach 25 września do 3 października. Przeprowadzone były przez OO. Jezuitów przy współudziale okolicznego duchowieństwa. W czasie tych misyj odbyły się w parafji dwie wielkie procesje do Chmielowa i Staiów, gdzie na błoniach pod namiotem odprawione były Msze św. W czasie misyj rozdano 97 tysięcy Komunikantów. — Kronika parafjalna w Miechocinie.

VII.

Wychowanie dzieci. Dzieci na pastwisku. Zahartowanie i siła dawniejszych ludzi. Choroby: kołtun, ograszka, utrącenie, cholera, wszy. Brak przepisów zdrowotnych. Pierwszy szpital. Leczenie. Skon. Pogrzeb. Wiara w strachy, czary, zabobony, gusła. Praktyki religijne. Odpusty. Moralność.

W rodzinach było dużo dzieci. Przeciętnie bywało po 6—7, ale bywało też po 12—15. Potomstwo uważali za błogosławieństwo Boże, a bezdzietne kobiety za niegodne tego błogosławieństwa i małżeństwa. Kobiety, nie mające potomstwa, czuły się z tego powodu nieszczęśliwe.

Ale też śmiertelność między dziećmi była wielka, bo zaledwie tylko połowa odchowywała się, reszta zaś wymierała najwięcej w niemowlęctwie i w pierwszych latach życia wskutek niedostatecznej opieki i nieszczęśliwych wypadków, gdy rodzice byli poza domem, w polu, na weselu i t. p., wskutek lichego odżywiania, chorób dziecięcych, złego leczenia i t. p.

Dzieci trzymane były przy piersi zwyczajnie 1½ roku, niekiedy dłużej, bo można było widzieć i dzieci dwuletnie, które biegały za matką i wołały »cycy«. Przytem dawali też dziecku do ssania t. zw. »mojdę«, t. j., gałganek lniany lub konopny, w który były za-

winięte ziemniaki, kasza i t. p., maczane w mleku, a w braku tegoż, n. p. u biednych, w barszczu. Mojdę taką dawali dziecku szczególnie wtedy, gdy matki nie było w domu lub była pracą zajęta, ażeby je od płaczu uspokoić. Służyło to zamiast dzisiejszej flaszki z gumowym smoczkiem, która nie była znana. Prócz tego karmili dzieci z łyżki, przyczem sami najpierw pokarm w ustach przeżuwali i miękczyli.

W domu dziecko spało w kołysce, którą u biednych zastępowały czasem niecki. Jeżeli zaś szli do roboty w pole i brali z sobą dziecko, to umieszczali je tam w płachcie, uwiązanej na drążku, założonym na dwóch sosnkach, wbitych w ziemię. Gdy płachta była duża i dziecko miało nadto coś pościelone, to leżało w niej prosto i wygodnie, ale gdy była mała, to leżało zgięte i mogło zgarbacieć, — więc takie trzymanie dziecka było później zabronione, a nie stosujących się do tego zakazu żandarmi zapisywali na karę. W ten sposób zwyczaj ten ustał i dzisiaj spotyka się go tylko niekiedy po lasach.

W pierwszych miesiącach kąpali dziecko często, dwa razy dziennie, i długo, przylewając w czasie kąpieli ciepłej wody, bo mówili, że w kąpieli dziecko rośnie. Od 4—5 miesięcy kąpali mniej.

Do kąpieli wkładali leszczynę, susz pszczelny i różne zioła, któremi dziecko okładali, szczególnie głowę, ażeby — jak mówili — dziecko nabrało siły i nie miało na ciele wyrzutów. Taką wodę do kąpieli odgrzewali parę razy, dlatego była czarna i cuchnąca.

Nie zmywali dziecku brudu na przodzie głowy, czyli ciemieniu, t. j., w miejscu, gdzie schodzą się kości ciemieniowe z czołową, bo — jak mówili — przez zmywanie i uciskanie ciemienia, które do roku jest miękkie, dziecko mogłoby mieć wadliwą mowę. Dlatego na ciemieniu tworzyła się u dzieci zawsze skorupa brudu, w czem się też wszy lęgły, i co dopiero po roku, gdy ciemię stwardniało, delikatnie zmywali lub sama ta skorupka odpadała.

A chociaż życie takiego niemowlęcia nie upływało w rozkoszach, uważali czasy niemowlęctwa za najlepsze, bo mówili o nich z westchnieniem:

„O Boże mój, Bozicku,
Nie było to, jak przy cycku,
Jeść dali, spać dali —
I płakać nie kazali“.

Dziecko, tak chłopiec jak i dziewczyna, gdy zaczęło chodzić, nie nosiło żadnego innego okrycia prócz koszuli lnianej lub konopnej, długiej po kostki. Tak było ubierane mniej więcej do 6-go, czasem do 10-go roku życia, w lecie i w zimie, w takiej koszuli chodziło i spało. Nie znało przytem obuwia i nakrycia głowy.

W zimie, gdy takie mniejsze dzieci musiały siedzieć w domu, a były niespokojne i zawadzały na izbie, rodzice wyganiali je »na piec« lub »za piec«. Również ilekroć do domu zeszli się znajomi na pogadankę, albo przyszedł jakiś niecodzienny gość, naprzy-

kład ksiądz po kolędzie, albo organista po spisnem, dzieci jak na komendę uciekały »na piec« i stamtąd wyglądały na izbę, przypatrując się ukradkiem przybyłym.

Były one brudne, rozczochrane, o uczesaniu ich bowiem nikt nie myślał, przytem były nieśmiałe i bały się obcych.

Nie było wtedy szkół, więc w wychowaniu nie mogło być mowy o nauce szkolnej. Jednakże rodzice dbali bardzo o to, ażeby dzieci przyzwyczaić zawczasu do pracy, ażeby były pracowite i próżniactwa nie lubili, mówiąc, że gdzie niema roboty, tam niema co jeść i włożyć na siebie, tam jest bieda. Więc dziecko, skoro tylko trochę podrosło, miało jakieś zajęcie, było używane do pasania, do bawienia młodszego rodzeństwa i t. p., i chociaż szkół nie było, nie było tego wałęsania się i brojenia dzieci po drogach, jak się to obecnie widzi. Starsi uważali takie próżniaczenie za złe i dzieci gonili do roboty. U chudobniejszych, gdy nie miały w domu co robić, oddawali je na służbę.

Przyuczali dzieci do robót gospodarskich, jakie sami znali; gdy ojciec był jakimś rzemieślnikiem wsiowym, to i syna tego rzemiosła nauczył. Do innych zawodów, n. p. do handlu, dzieci nie oddawali.

Ojcowie dbali także o to, ażeby dzieci, tak chłopaki jak i dziewczęta, skoro już tak podrosły, że mogły bywać na weselu, ocierały się zawczasu i obznajamiały między ludźmi i umiały się zabawić. Matka miała z tego największą radość, jeżeli córka jej dobrze tań-

czyła i na weselu miała powodzenie, — jeden ją puszczał, a drugi brał do tańca. Natomiast smutna była, gdy córki do tańca nie brali, gdy ta — jak się mówiło — »siedziała jak kołek, była na weselu, a nie widzieli jej«. Było to dla matki zmartwienie, nie wesele. Również i chłopaka wysoko cenili, jak umiał ładnie hulać, t. j., był dobrym tanecznikiem, mówili, że takiemu nie żal iść na wesele, bo się nacieszy i nabawi.

Młodzi znali wobec starszych uszanowanie. Za wielkie przestępstwo uważali, jakby się był ktoś z młodych: pastuch, parobczak czy dziewucha odważył starszego wiekiem obrazić, znieważyć, — co obecnie uchodzi często bezkarnie; gdy obrażony młodszego doraźnie ukarał, na przykład wymierzył mu policzek, to zaraz drudzy obecni przy tem lub ojcowie młodego wpływali na niego, aby starszego natychmiast przeprosił; — musiał go w rękę pocałować, uchwycić nisko za nogi, bo inaczej czekała go większa kara. Nigdy też nikt z młodzieży nie poważył się wobec rodziców i wogóle starszych wziąć do ust papierosa,— nawet parobczak już pod wąsem, dopóki nie wyszedł z pod opieki rodzicielskiej, jeżeli miał chętkę do palenia, krył się z tem przed ojcami. Prędzej na wódkę pozwalali, niż na papierosy.

A obecnie widzi się, niestety, jak smarkate jeszcze chłopaki zarówno ze starszymi palą papierosy, i dzieci prawie w oczy starszym dym puszczają, jakby dla pokazania, co to już potrafią. I rzadko kto się tem gorszy,

i rodzice nie zawsze to karzą, choć palenie tytoniu szkodliwe jest, zwłaszcza dla młodych, którzy dopiero rosną i rozwijają się.

*
* *

Od 6-go do 12-go, a niekiedy do 15-go roku życia spędzały dzieci latem przeważnie na pastwisku, pasając gęsi, trzodę, krowy, konie.

Na pastwisku więc zbierało się tyle dzieci, ile było gospodarstw we wsi, bo tylko niektórzy komornicy, nie mający kawałka pola, bydła nie chowali. Wyjątkowo tylko, jeżeli pastuch był użyty do roboty w domu lub zasłabł, wyganiali bydło do obcego pastucha za wynagrodzeniem dziennem 2 do 4 grajcarów, stosownie do ilości bydła. Wysyłali za bydłem więcej chłopaków, i jeżeli w domu był chłopiec i dziewczyna zdatni do pasania, to pasał chłopiec, dziewczyna zaś zostawała w domu do pomocy matce.

Konie i krowy pasały się wówczas w Dzikowie na nadwiślu, »w kępie«, odległej od wsi mniej więcej dwa kilometry, — świnie zaś i gęsi na dwóch bliższych, paromorgowych pastwiskach »za opustem« i »na rokiciu». Po zbiorach jesienią pasło się wszystko razem na ścierniskach, rolach, łąkach i na oziminach.

Pasterze »w kępie« zaraz na wiosnę najstarszego z pośród siebie obierali wójtem, a także przysiężnych, na podobieństwo, jak było w gminie. Wójt rządził na pastwisku przez całe lato i młodsi musieli go słuchać, bo był mocniejszy i za nieposłuch bił

batem. Sam już mało bydło nawracał, tylko wyręczał się młodszymi i wysypiał się dobrze na pastwisku, ale jak była szkoda w polu zrobiona i gospodarz poszkodowany przyszedł do »kępy«, to wójt najczęściej oberwał pałą, bo dał się chwycić na spaniu.

Wypędzając bydło zrana równo ze wschodem słońca, dostawało się do torby z domowego płótna kromkę chleba, a do tego masło lub twaróg w krużliku, albo ser i śniadanie to spożytkowało się na pastwisku. Przy jedzeniu była w zwyczaju »dzielanka«, to jest, każdy dzielił się swojem śniadaniem z innymi, i nawzajem był przez nich częstowany, a raczyli się tak albo w całej kupie, albo partjami dobierali się tacy, którzy z domu mieli mniej więcej jednakową wyprawę. Ktoby zaś sam jadł na boku, ten jako »samojednik« nie był lubiany i dokuczali mu. Tak samo bywało przy spożywaniu podwieczorków.

Pastuch urozmaicał sobie życie stosownie do pory roku. Na wiosnę chodził za ptakami, i żaden ptak nie ukrył się wtedy ze swem gniazdem. Wybierali jajka wronie, kacze, kuropatwie i inne — i smażyli, jeżeli były czyste. Młode wrony piekli, oblepiwszy w glinie. Najgorsze było to, że niszczyli w ten sposób także pożyteczne ptaki; niejeden znajdował uciechę w tem, jak wybrał z gniazda jajka lub młode, a starsi mało zwracali uwagi na takie psoty. Najwięcej wyszukiwane były gniazda małych ptaszków »rajzów« *), które bu-

*) Książkowa nazwa tego ptaka jest remiz. Należy do wróblowatych, podobny do sikory, tylko mniejszy.

dują je bardzo sztucznie, jakby z wełny szyte, a zawieszają na gałązce nad wodą w miejscu niedostępnem tak, że gniazdo jest bardzo trudne do zdjęcia. Chodzili za niemi nie tylko chłopaki, ale i starsi, a gosdynie nieraz prosiły pastuchów: »Jakbyś tam zdybał rajzowe gniazdo, to przynieś, dostaniesz parę grajcarów; dobre ono na owinięcie gardła, jakby bolało«.

W lecie, jak tylko zboże zaczęło dojrzewać, pasterze robili »ząbki« na kapelusze słomkowe nie tylko sobie, ale i na sprzedaż.

W czasie żniw i po żniwach, gdy dojrzewały owoce w polach i sadach, zaledwie połowa pastuchów siedziała przy bydle, inni podchodzili do sadów i do pól na rzepę, groch strączkowy i t. p., a następnie dzielili się zdobyczą z tymi, którzy tymczasem pilnowali bydła.

Często na pastwisku robione były »wesela« na podobieństwo prawdziwych wesel: tańce odbywały się przy piszczałce z wierzbiny lub przy skrzypcach o strunach z końskiego włosia, a tak chłopiec, jak i dziewczyna, zazwyczaj już na pastwisku nauczył się tańczyć. Stąd była śpiewka weselna, odnosząca się do dziewczyny, która źle tańczyła:

Czyś bydełka nie pasała,
Żeś tańcować nie umiała —
Pasałam ja wele zboża
Uczyłam się Matko Boża!

W lecie ulubione były kąpiele w Wiśle i w łachach wiślanych, a w gorące dni cała rzesza dzieci,

wysyłana za bydłem, spędzała czas więcej nago, niż w koszuli; tarzały się w piasku lub błocie i znowu myły w wodzie.

Do największych jednak przyjemności pastucha należało mijanie się na koniach. Gdy się goniło bydło na pastwisko lub z pastwiska, jądący na koniach zatrzymywali się w tyle, następnie ruszali z kopyta i pędzili co koń mógł wyskoczyć, próbując, który chybszy.

*
* *

Wielka prostota w wychowaniu, potrawach, obyczajach i w całym sposobie życia wpływała na to, że w czasach normalnych, zwykłych, naród wsiowy był niezwykle zdrowy, zahartowany i odporny na różne niewygody i niedomagania ludzkie. Nie wiedzieli wówczas o takich różnorodnych słabościach, jak teraz, mniej też było wypadków, aby ktoś umierał w sile wieku, jak się to obecnie często trafia; jak się kto odchował, to się już chował.

Już dzieci były bardzo zahartowane. W zimie wśród mrozu i śniegu wybiegały z izby w koszuli i boso: po drzewo, do bydła i za inną posługą. — Pamiętam, gdy jechałem raz w zimie z jednym z sędziów tarnobrzeskich i przejeżdżaliśmy przez Tarnowską Wolę, z chałupy wybiegł chłopiec w koszuli konopnej, boso i bez czapki, przyjrzał się nam i następnie puścił za saniami i biegł z pół kilometra do innego domu, mimo, że dzień był mroźny i droga śniegiem zasłana.

Na to zauważył sędzia: »Ten chłopak więcej wart od mojego dziecka, bo gdyby tak moje zrobiło, jużby mu trzeba trumnę robić«.

Tylko ten, co w zimie cały dzień był zajęty poza domem, gdzieś jechał, — ciepło się obuwał. W lecie każdy chodził boso nawet do kościoła i na jarmarki. Idąc do kościoła, nieśli buty w rękach i dopiero przed kościołem się obuwali. Nawet na wesele po większej części szli boso, mówili, że »że szkoda drzeć buty w tańcu«.

Odziewali się lekko nawet w czasie mrozów, a w lecie »za końmi« w nocy sypiali w polu na gołej ziemi.

W czasie wesela młody czy stary tańczył tak, że koszula na nim była mokra, jakby ją z wody wyciągnął. Tak zgrzany wychodził nawet w czasie ostrej zimy w koszuli na dwór, żeby się ochłodzić, a bywało też — czego naocznym byłem świadkiem — że dla lepszej ochłody kładł się nawet na ziemi na śniegu i dopiero, gdy za długo leżał, nie dozwalali na to inni z obawy, żeby do ziemi nie przymarzł«. Taki wchodził napowrót do izby weselnej, otrząsł się tylko ze śniegu i zimna, jak koń po wytarzaniu się i dalej się bawił. I nie słychać było, żeby się kto w podobnych razach przeziębił, zakatarzył, dostał zapalenia albo innej choroby.

Albo kobiety prały także zimą przy sadzawce i szły do dnia, żeby przed innemi zdążyć do wody. Nieraz w czasie największego iskrzącego mrozu roz-

legał się po wsi odgłos kijanek, — a praczki ubrane były lekko, żeby się mogły dobrze przy robocie uwijać, i klęczały na desce przy wodzie gołemi kolanami. I grzały się przy tej pracy, choć »smaty« kostniały od mrozu pod kijankami i przy wyżymaniu i do domu były przynoszone zmarznięte, jak kamień. Nadto niektóre blisko kilometr dźwigały je do wody i od wody, brnąc po kolana w śniegu, jeżeli w nocy usypał, a mężczyźni wpierw drogi nie utorowali.

Pracowali ciężko dniami i nocami, bo nie było żadnych maszyn ani narzędzi rolniczych, któreby mogły w ciężkiej pracy ulżyć.

Niektórzy zarówno chłopi, jak i kobiety, odznaczali się potężną budową ciała tak, że w obecnym czasie rzadko się trafi takiej budowy mężczyzna lub kobieta, nadto byli dawniej chłopi, którzy słynęli z nadzwyczajnej siły. Taki siłacz, gdy się czasem w mieście podochocił i rozhulał, to żydzi przed nim tłumami uciekali, i policjanci nie śmieli zbliżyć się do niego, ale wszyscy z daleka się trzymali, a jak komu tylko pogroził, to uciekał, co miał sił. Czasem i pół dnia »urzędował« tak po mieście, po wszystkich ulicach Tarnobrzega. Nie miał nawet przy sobie pały, ani nie kłuł nożem, — którym tak często posługują się teraz zwyrodniali nożownicy zarówno po miastach, jak i po wsiach, nie mający siły dawnych ludzi, — wystarczyło zresztą, jak kogo raz ręką pomacał. Tacy mocarze jednak byli w życiu codziennem łagodnych obyczajów i w koleżeństwie bardzo dobrzy, a tylko niebez-

piecznie było wchodzić im w drogę, gdy byli podochoceni.

*
* *

Z chorób najwięcej się dawniej trafiały zapalenia, tyfusy, puchliny wodne, bolączki, grasujące i dzisiaj, a nadto kołtuny, ograszki, utrącenia krzyża, dzisiaj coraz mniej znane.

Bardzo rozpowszechnione były wówczas kołtuny, zwijające się zazwyczaj skutkiem jakiejś słabości, bo tak w czasie choroby jak i po chorobie przestrzegali, żeby się nie czesać, »żeby bolu nie drażnić, boby się mógł sprzeciwić«. Więc już dlatego włosy się kołtuniły. Można powiedzieć, że prawie trzecia część ludzi, zwłaszcza starszych, miała kołtuny, które były znaczne, bo głowa przez nie była znacznie większą.

Zwicie się włosów uważali za dobre, »bo ból przez to wychodził na wierzch«. Kołtun musiał być na głowie przez rok i sześć niedziel, a niektórzy nosili go i dłużej z obawy, żeby sobie nie zaszkodzić przez zawczesne obcięcie. Po obcięciu owijali go w szmatki i wynosili najczęściej do krzaków nad Wisłę, gdzie go składali w miejscu nieuczęszczanem, żeby spokojnie leżał; w środek kładli parę grajcarów lub kawałek chleba, »żeby go wywianować«, a kto go wyniósł, w powrocie do domu nie miał się oglądać, »żeby się kołtun do niego nie wrócił«, — dzieci zaś były wszędzie surowo upominane, żeby zdybanego kołtuna nie ruszały. Chowali też obcięte koł-

tuny na strychu za krokwią, i przy zdzieraniu starej strzechy można było zawsze kilka kołtunów znaleźć; wtedy je zbierali starannie i wynosili w inne spokojne miejsce.

Zdarzało się jednak, że podrzucali kołtun drugim pode drzwi, »żeby go tam ktoś przelazł i żeby ból w niego wstąpił«, — a ci, którzy mieli to uczynione, uważali to za wielką zemstę i, przenosząc podrzucony kołtun w spokojne miejsce, żegnali go, żeby im nie szkodził.

Słowem, obchodzili się z kołtunem, jak z czemś żywem, i starali się mu dogadzać.

O g r a s z k a, zwana też »trzeciaczką« była tak rozpowszechniona, że prawie każdy ją przechodził, szczególnie dzieci i młodzi. Chory miewał silne dreszcze, musiał się kłaść i zimno nim trzęsło, choćby był najlepiej nakryty, — poczem przychodziła gorączka. Po takiej zimniączce i rozpaleniu wstawał i robił, był jednak zawsze blady i chciał dużo pić wody. Dreszcze z gorączką ponawiały się o jednej godzinie co trzeci lub co czwarty dzień i według tego ograszkę nazywali »trzeciaczką« i »czwartaczką«. Pochodziła ona z jedzenia zielonych, niedojrzałych owoców, szczawu, picia piwa na głodny żołądek, z przemoknięcia i przeziębienia, z otrzęsienia się i przeciążenia pracą. Niektórzy na tę chorobę całkiem się nie leczyli, mówiąc, że sama ustanie, skoro »swoje wytrzęsie«. Dopiero gdy zadługo trwała, rok i dłużej i chorego tak osłabiła, że ledwie się trzymał na nogach, wtenczas za-

bierali się do kuracji domowemi środkami, herbatą z ziół, albo chininą, która najprędzej w tej chorobie pomagała.

Również bardzo pospolite było dawniej t. zw. »utrącenie«. I tę chorobę prawie każdy przechodził. Dziecko, gdy spadło skądś, a także starszy, gdy potłukł się lub coś ciężkiego siłą dźwignął, — chorował na utrącenie. Mówili, że w takich wypadkach krzyż, czyli dolna część kręgosłupa, kuper, opada, podchodzi na dół. Chory miał gorączkę, febrę i nogi pod nim dygotały. Do takiego chorego wołali zawsze babkę czyli akuszerkę, która go smarowała wódką, zagrzaną z mydłem i tłustością, po całem ciele, a najwięcej w okolicy krzyżów, — kazała też okładać maszczoną kaszą jęczmienną, przytem zaś podnosiła kuper palcem, przez odbytnicę, co było bardzo bolesne, i znajdowała zawsze, że kuper był opadnięty.

Gdy ktoś z inteligencji był słaby, miał wygląd chorowity i zmarł, mówili o nim, że był »utrącony«, ale nie chciał w to wierzyć i leczyć się chłopskim sposobem, wołał umrzeć i umarł.

To były choroby zwyczajne i żadnej trwogi przed niemi nie było. Bali się tylko cholery i przy różnych pogawędkach ze strachem o niej mówili.

Za mojej pamięci grasowała ona w latach 1872 i 1873 w sąsiednich wsiach, najwięcej zaś ludzi wymarło wówczas w Zakrzowie i Nagnajowie. Mówili wtedy, że najlepszem lekarstwem na cholerę jest pić jak najwięcej wódki, być wesołym i nie bać się, bo

bojących się najprędzej się czepi. W Nagnajowie prawie wszyscy mieszkańcy wyszli do pobliskiego lasu i nawet bydło wygnali i tam przez jakiś czas siedzieli, wódkę pili i przy muzyce tańczyli, ażeby o tej strasznej cholerze zapomnieć. Doktorowi, który wtenczas objeżdżał wsi, nawiedzone cholerą, zupełnie nie dowierzali i zaleconego przez niego lekarstwa bali się, jak ognia, zęby zacinali i nie chcieli brać do ust, rozpuszczając wieść między sobą, że doktor daje trucizną, żeby cholerę stłumić. Mówili, że kto wypił lekarstwo, to zaraz umarł, a kto się bronił od wypicia lub uciekł przed doktorem, to nieraz ozdrowiał*).

Wielkiem utrapieniem były wszy. Owadu tego niepodobna było pozbyć się z głowy, choć nacierali nieraz włosy szarą maścią, posypywali proszkami aptecznemi »na wszy«, skrapiali okowitą i zwyczajnie dwa lub trzy razy do roku, na wielkie święta, zmywali głowę ługiem. Prócz tego prowadzili wojnę z tym owadem zapomocą iskania, bo zresztą grzebieniem ówczesnym o rzadkich zębach nie bardzo dało się go zagarnąć. Iskanie należało do kobiet, a nad jedną osobą przeciągało się nieraz do godziny, przyczem

---

*) W końcu roku 1872 i w lecie 1873 zmarło na cholerę w parafji miechocińskiej 177 osób. W tym samym czasie zmarło na ospę 236 osób, przeważnie dzieci. — Ogółem liczba zmarłych w parafji w r. 1873 wynosiła 815, urodzonych 512, więc tych ostatnich o 303 mniej. — Kronika parafji miechocińskiej.

iskany składał głowę na podołku osoby iskającej i zazwyczaj zasypiał.

Do rozmnożenia wszów przyczyniło się to, że nie dbali o codzienne wyczesanie włosów i nosili kołtuny, jak również i to, że służba i dzieci nakrywały się na noc zazwyczaj tem, w czem za dnia chodziły. To też odzież wierzchnia, szczególnie kożuchy, były zawsze zawszone, na każdym włosie siedziała wsza. Takie kożuchy wynosili nieraz w zimie na silny mróz i wywieszali do góry włosami, aż wszy zdrętwiałe pospadały, a do reszty strzepywali je jeszcze kijem. Czasem też odzieżą zawszoną nakrywali konie, ażeby wszy przeniosły się na skórę końską. Sługom nie wolno były kłaść na łóżku kamiziel, sukman, czy kożuchów, żeby w łóżku wszów nie zapuścić.

*
* *

Przepisy zdrowotne zupełnie nie były dawniej przestrzegane: nikt ich nie wydawał i nie dopilnował, i gdy pomór spadł na wieś, jak n. p. cholera, to grasowała straszliwie i ludzie ginęli jak muchy.

O braku wszelkich urządzeń zdrowotnych może świadczyć na przykład to, że w Tarnobrzegu jeszcze koło r. 1890 był wielki bełtog czyli kałuża, zajmująca prawie połowę rynku, a druga mniejsza była pod bożnicą, — w obu gromadziły się odchody ludzkie i zwierzęce, różne odpadki i śmieci z całego miasta, a czyszczone były tylko co kilka lat, gdy przyszło suchsze lato i woda w nich wyschła; wtedy wybie-

rano z nich kilkaset fur szlamu, będącego wybornym nawozem, którym chłopi dzikowscy nawozili swoje pola. Z kałuż tych wiał zawsze smród, ale uważane były przez mieszkańców za dobrodziejstwo, bo miały dostarczać wody, gdy wybuchł pożar.

Ulice, a zwłaszcza ciasne podwórza żydowskie, zanieczyszczone były odchodami ludzkiemi i różnemi odpadkami gnijącemi, co uprzątały wówczas jedynie świnie z Dzikowa i Tarnobrzega, włóczące się samopas po mieście. W Dzikowie gospodarze nie żywili nawet tych świń w domu, ale wyganiali je na cały dzień do miasta i nawet czasem na noc stamtąd ich nie spędzali, — a gdy świnia w ciągu dnia przyszła na obejście, to dostawała tylko kilka batów i napowrót gnali ją do miasta, a gospodarz przykazywał gospodyni: »Żebyś mi jej w domu żreć nie dawala! niech się do domu nie ciągnie, ma tam w mieście dosyć«. I żywiły się one przeważnie w mieście, wylegując się we wspomnianych kałach.

Dziś śladu niema po tych kałużach i obecnie Tarnobrzeg wygląda stosunkowo schludnie, a to uporządkowanie i oczyszczenie miasta rozpoczęło się na wielką skalę, gdy od r. 1899 do r. 1905 urzędowali w niem jako komisarze rządowi, ś. p. Władysław Gryglewski i dr Antoni Surowiecki zamiast zwierzchności gminnej, która nie mogła się wtedy przez kilka lat utworzyć.

*
*   *

Pierwszy szpital w okolicy stanął — za mojej pamięci — w Miechocinie przy samej granicy Tarnobrzega w r. 1864, założony przez hr. Zofję z Zamoyskich Tarnowską i całkowicie jej kosztem utrzymywany. Bywało tam kilkanaście łóżek dla chorych nietylko z dóbr hr. Tarnowskich, bo dostojna fundatorka przyjmowała do szpitala każdego chorego, nie mającego z nikąd pomocy, i w ogóle bardzo wiele czyniła, jak i do dziś dnia czyni dla biednych i nieszczęśliwych, będąc dla nich prawdziwą matką i opiekunką.

W r. 1903 w miejsce dotychczasowego powstał w Tarnobrzegu okazały szpital krajowy pod imieniem założycielki poprzedniego szpitala, wybudowany prawie całkowicie znacznym kosztem hrabiostwa Tarnowskich, którzy — jak tylko zapamiętałem — nie szczędzili nigdy funduszów na różne sprawy społeczne i dobroczynne *).

*
* *

Leczyli się dawniej najwięcej sami swojemi domowemi środkami, szczególniej ziołami, jak kwiat lipowy, kwiat bzowy, piołun, macierzanka, podbiał, babka, gorczyca i t. d. Zioła te każda gospodyni zbierała naj-

---

*) W przedsionku tego szpitala wmurowana jest tablica pamiątkowa z następującym napisem:

„Na podziękowanie Bogu za wyzdrowienie matki Zofji z Zamoyskich Tarnowskiej syn Zdzisław Tarnowski dla ubogich chorych ten szpital zbudował i na użytek kraju oddał 1903 r.“

Szpital mieści w sobie 32 miejsca etatowe, przeciętnie jednak bywa w nim 40—50 chorych. Ma dwu stałych lekarzy, 7 zakonnic pielęgniarek.

więcej w maju, suszyła i przechowywała na wypadek slabości. Wstydziła się, jeżeli w razie potrzeby nie miała ziela w domu, — taką nazywali niedbałą i leniuchem.

Jak kto zachorował, to do ostatka omijał doktora, a chodził do znachorów, których nie brak było wtedy po wsiach, a którzy chorób nie leczyli, tylko zażegnywali. Do tych cudownych »lekarzy« szli nieraz kilkanaście i więcej mil, bardzo często do Królestwa Polskiego, a jeden zasięgał nieraz rad i dla innych chorych, którzy się w drogę wybrać nie mogli, przynosząc z sobą ich koszule i mocz.

Pamiętam dobrze, bo już byłem żonaty, — na cały powiat był wtedy jeden lekarz, gdy teraz jest lekarzy kilkunastu i z trudnością mogą obsłużyć wszystkich chorych; wtenczas ten jeden nie miał kogo leczyć i miał się biedno. Jak pomarł, to ksiądz w przemowie nad grobem jego zaznaczył, że w »nędzy pozostawił żonę i dzieci«. A był dobrym lekarzem, nazywał się Babirecki. Sklep z lekarstwami czyli apteka była również jedna, i aptekarz był także niebogaty; teraz jest pięć aptek; a wszystkie mają się bardzo dobrze.

Jeżeli do chorego na wsi przyszedł kiedy lekarz, to zamiast lekarstwa z apteki kazał najczęściej uwarzyć odpowiedniego ziela, które gospodyni miała zasuszone, lub zalecał pijawki, bańki albo upuszczanie krwi.

Upuszczanie krwi było u starych ludzi poprostu nałogiem. Upuszczali sobie trochę krwi corocznie, a do-

konywał tego cyrulik, najczęściej żyd, przez nacięcie żyły na ręce. Czasem jednak zdawalo się niejednemu, że cyrulik za mało krwi upuścił, — bywało więc, że, przyszedłszy do domu, sam sobie więcej upuszczał, »aż odeszła krew czarna, zepsuta od pracy«. Potem taki przeleżał się kilka godzin w łóżku i czuł się — jak powiadał — lekki i ochotny do pracy; »wyszło mu z plec strzykanie«.

Babka moja, która — jak wspomniałem — dożyła prawie 70 lat, co roku, gdy przyszła jesień, narzekała na plecy i w ogóle, że wszystko ją z pracy boli. »Czas przychodzi, kiedy zawsze krew puszczam«, mówiła i szła do cyrulika — żyda.

Jeżeli zachorował ktoś starszy, to mówili, że już ma lata i żaden ratunek już mu nie pomoże, a nawet sam chory mówił, żeby się na doktora i leki nie tracić, bo już mu czas przychodzi, takie przeznaczenie Boskie, że trzeba umierać.

*
*　　　*

Umierali bez trwogi i z nadzwyczajnym spokojem. Gospodarz na przykład, gdy się czuł bliskim śmierci, wołał żonę, dzieci, sługi, krewnych i sąsiadów, powiadał, że wnet umrze, żegnał się z nimi, przepraszał, jeżeli co komu zawinił, i prosił sąsiadów i kumów, żeby żonie pomogli wywieźć go na cmentarz. Słowem, wybierał się na tamten świat z takim spokojem, jakby niedługo z tej drogi miał powrócić.

Dziś wielu z większym żalem i trwogą wyjeżdża do Ameryki lub Prus.

To też mówił mi raz, zmarły przedwcześnie, a bardzo zdolny i ceniony lekarz śp. Orzechowski, że skon u włościan przedstawia widok bardzo pouczający i utwierdza go w przekonaniu, że inteligencja, niosąca na wieś oświatę, sama od włościan wiele się może nauczyć mądrości życiowej.

Gdy spostrzegli, że chory jest konający, przynosili snop prostej słomy, rozścielali w izbie pod środkowym belkiem i składali na niej chorego. Na słomie było tylko prześcieradło czyli lniana lub konopna płachta, poduszki zaś i wszystko, coby było z piór, było usunięte, żeby chory miał lekkie skonanie, bo na pierzu, według ówczesnego mniemania, mógłby mieć ciężkie.

Ubiór umarłych był podobnie, jak za życia, cały najczęściej z domowego, konopnego płótna, a składał się z koszuli, gaci czyli spodni i czapki. Trumnę zbijali z desek sosnowych, które nieraz gospodarz przez długie lata przechowywał, a szczególniej, gdy deski były smolne, to już je na trumnę chował, bo mówili, że takie w ziemi prędko nie spróchnieją. — Trumna była prosta biała, czasem malowana sadzami, — na każdej trumnie naznaczony krzyż.

Ciało złożone w trumnie stało do trzeciego dnia w izbie, sieni lub drewutni. Jeżeli umarł bogatszy gospodarz lub gospodyni, to ciało trzymane bylo w izbie, a najęty dziad siedział przy zmarłym przez dzień

i noc, świecąc lampkę lub świece. Z domu wynosili się zwyczajnie wszyscy domownicy do sąsiada i tam pozostawali aż do dnia pogrzebu.

*
* *

Na pogrzeb spraszały dzieci lub sługi albo sam gospodarz względnie gospodyni po całej wsi dom w dom, a nawet i z sąsiednich wsi krewnych, kumów i znajomych. Dzieci i wogóle młodsi, prosząc na pogrzeb, chwytali nisko za nogi, — kogoby zaś pominięto, to był tem obrażony i rzadko się wydarzyło, żeby na pogrzeb przyszedł.

Wyprowadzenie zwłok odbywało się zaraz z rana. Każdego, kto przyszedł, częstowali kieliszkiem wódki i mało kto wypicia odmówił, a kto lubił wódkę, to wypił więcej. Przed wyruszeniem pogrzebu jeden z gospodarzy, mający lepszy dar mowy, wypowiadał w krótkich i gorliwych słowach tak zwaną egzortę, która słuchaczów wzruszała zwyczajnie do głośnego płaczu. Po pokropieniu trumny wodą święconą ruszał orszak żałobny do kościoła parafjalnego, a po odprawieniu zamówionej ceremonji, jak mszy świętej, szedł stąd na cmentarz, na miejsce wiecznego spoczynku. Trumnę wieźli na wozie w gnojnicach czyli, »leterkach«, w zimie zaś na saniach.

Po pogrzebie najbliższy krewny zmarłego zatrzymywał się gdzieś na drodze i spraszał wszystkich uczestników do domu lub do karczmy na poczęsne, na tak zwaną konselację. Trwała ona czasem do wie-

czora, i wiele na nią wydawali, zwłaszcza u mieszczan, — było tam wiele płaczu, żalu, niemało perswazji i pocieszenia, n. p. pozostałej wdowy lub wdowca, a że wódka każdą uroczystość musiała zbrukać, więc i na tej żałobnej nieraz dobrze sobie podpili, i nawet pobili się.

*
* *

W stosunku do świata nadprzyrodzonego trzymali się chłopi z dawien dawna gromadnie przeróżnych zabobonów, wierzyli w różne duchy, strachy, czary, gusła i zabobony. Każdy prawie musiał przestrzegać starych przesądów i dawać im wiarę, inaczej mieliby go za człowieka złego i przewrotnego.

Koło dróg pełno było krzaków i cierni; więc jak ktoś pijany, idąc taką droga, przewrócił się i podarł sobie ubranie, a także poranił ciało, to opowiadał, że djabeł tam siedzi, i on go tam wciągnął, — a drudzy już to miejsce z daleka omijali i mieli za prawdę, że djabeł tam siedzi.

W Dzikowie było kilka miejsc, gdzie miały strachy przebywać, najwięcej miało straszać pod przysiołkiem Podłężem, gdzie po jednej stronie prowadzącej tam ścieżki znajdował się mały lasek, po drugiej łąki moczarowate; po obu stronach tej ścieżki nie brak było cierni, a w poprzek ciągnął się rów głęboki, przez który prowadziła wązka kładka.

Każdy w tem miejscu coś widział, każdego coś straszyło: jeden widział białe króliki, które były niby

bardzo oswojone, a złapać się nie dały, i uciekały tak, żeby goniącego je odciągnąć w pole; inny nic nie widział, ale pies, którego miał przy sobie szczerzył zęby do czegoś i strasznie warczał; innego coś wodziło tak, że błądził po manowcach, nie mogąc trafić tam, gdzie iść zamierzał. — Wszystko to działo się w nocy, — na dniu zaś w południe straszyły południce.

Wspomniana kładka przez rów straszną była, dla tych, co wracali z miasta w stanie nietrzeźwym, bo łatwo mogli na niej stracić równowagę i wpaść do rowu. Ale jeden z gospodarzy, który często szedł tamtędy pijany, znalazł na to sposób, bo, nadszedłszy na kładkę, siadał na niej jak na konia i tak okrakiem ją przechodził. Inny jednak znalazł tam śmierć, bo wpadł do rowu pijany i nie mógł się z niego wydobyć, a że była właśnie zawieja śnieżna, więc śnieg go całkiem przysypał i znaleźli go zmarzniętego dopiero po kilku dniach w postaci stojącej z podniesioną do góry ręką, która nad śnieg wystawała.

Wierzyli dawniej, że są ludzie, mający dwa duchy, — że po śmierci takich ludzi jeden duch idzie na tamten świat, a drugi po tym świecie chodzi; — i skoro jeden puścił bajkę, że widział nieboszczyka, to już wszyscy dalej to opowiadali i nie daliby się nikomu przekonać, że to nieprawda. Niejedna wdowa z tego skorzystała, bo gdy została »przy nadziei«, to zegnała to na nieboszczyka, że do niej przychodził, — i drudzy temu wierzyli, — i jeden drugiemu to opowiadał.

O człowieku, któremu dobrze się powodziło, mówili, że »ma djabła«, t. j., że z djabłem trzyma. Tak mówili o przemyślniejszych gospodarzach i rzemieślnikach.

Kobiecie po połogu, dopóki na wywód nie poszła, nie wolno było wychodzić za próg, a zwłaszcza brać wodę ze studni, bo — jak mówili — w takiej studni lęgną się zaraz robaki. I jeżeli w czyjejś studni były robaki (bo studnia była nieczyszczona), to mówili, że jakaś kobieta brała przed wywodem wodę, uważali to za wielką zemstę i grzech.

Jeżeli w drzewie użytem na dom były sęki smolne, idące od rdzenia, co nazwali »świcą«, i drzewo takie przy zmianach w powietrzu wydawało trzask czyli strzelało, mówili, że w domu takim nie szczęści się i śmierć ludzi zabiera. Gdy więc w domu jakimś nie było powodzenia, domownicy nie mieli zdrowia i często wymierali, przypisywali to wszystko owej »świcy« w drzewie, radzili szukać za nią, wyskrobać ją, wyrąbać, przebić gwoździem, bo inaczej w domu się nie odmieni. Drzewa ze świcą nie brali do budowy. — Dziś nic sobie z tego nie robią, owszem, drzewo takie uważają za dobre, bo jest smolne, a smolna część najdłużej wytrzymuje.

Jak kura piała, byli przekonani, że to wróży jakieś nieszczęście w domu. Żeby się od tego uchronić, mieli następujący sposób: łapali kurę, mierzyli nią przestrzeń od stołu do progu i ucinali łeb lub ogon według tego, co na progu wypadło. To w każdym

razie wystarczało, ażeby pianie kury uczynić nieszkodliwem. — Ale bywało nieraz, że gospodyni, pragnąc mieć jajka od kury, więc nie chcąc jej zabijać, tak mierzyła, żeby na progu wypadł ogon, — gospodarz zaś, który zazwyczaj kur nie lubił, bo nawóz rozgrzebywały i szkodę w polu robiły, wołał, żeby na progu wypadł łeb, — bo zresztą wtedy jedynie nadarzała się mu sposobność, że mógł mięsa (kurzyny) skosztować.

Nie wolno było »igrać z ogniem«, wywijać nim, a szczególniej pluć na ogień. Gdy chciało się nim bawić dziecko, to je surowo karcili, mówiąc: »Ogieniaszek nie twój braciszek«, to znaczy, nie jest tobie równy.

Gdy złodziej ukradł coś z domu lub z komory, szli zaraz do pierwszego lepszego wróża lub wróżki i do kradzieży zawsze jeszcze dopłacali, bo ten wróżył i opisywał złodzieja, jak wygląda, i na tej podstawie było podejrzenie najczęściej na niewinnego, ale kradzież nigdy się w ten sposób nie wykryła.

Gdy kto popadł w nieszczęsny nałóg opilstwa, zganiano na »Ktosia«, że to »uczynił« z zemsty, i kurowano »uczynienie«, »poradzone«.

Dziewczyna, która nie mogła wyjść za mąż, szczególnie za tego, którego sobie upatrzyła, tak samo udawała się ona albo jej matka do guślarki; ta wyłudzała zawsze za to dobrą zapłatę, a raiła najczęściej podać parobczakowi coś do wypicia lub zjedzenia albo pokryjomu włosów uciąć i u siebie przechowywać; ale wszystko to nic nie pomogło, bo parobczak gdzie-

indziej się ożenił, a gusła dziewczynie nieraz posłużyły na biedę, bo została matką bez męża.

A już najwięcej w owych czasach była rozpowszechniona wiara w czarownice, które mleko krowom odbierały albo psuły. Która gospodyni lepiej koło krów chodziła, dobrze je żywiła i stąd więcej miała mleka, to już była uważana za czarownicę i znienawidzona od drugich gospodyń; te bały się z nią zachodzić, albo ukradkiem wchodziły z nią w przyjaźń, ażeby im nie szkodziła. Jeżeli na przykład krowa kopała nogą, bo gospodyni nie umiała obchodzić się z nią łagodnie i źle ją doiła, już winną temu była czarownica; jeżeli masło nie dało się prędko zrobić, bo śmietana była licha, zbierana z kilku dni, także winną była czarownica i t. d., — jednem słowem, szczególniej w hodowli krów zabobon jechał na zabobonie.

Na wiosnę, przy pierwszem wypędzaniu krów na pastwisko, kobiety kładły na progu stajni: siekacz, miotłę, palmę święconą w Palmową Niedzielę, ziela święcone w oktawę Bożego Ciała i na Matkę Boską Zielną. Przez to krowy przepędzały i leżało to aż do powrotu krów, żeby przez to znowu przeszły, wracając z pastwiska. Miało to zabezpieczyć krowy przed czarownicami.

Kobiety strzegły się czarownic najwięcej w oktawy Bożego Ciała, bo wtedy one najbardziej wojowały.

Po wsiach szczególnie na lasach nie brak było guślarzy i guślarek, dających rady w róż-

nych potrzebach, — a trudnili się tem tacy, którym nie chciało się robić, a lubili wódkę. Najwięcej zaś korzystali z łatwowierności naszych ludzi cygani, którzy podówczas włóczyli się po wsi prawie każdego tygodnia. Gdy do domu weszła cyganka, to nie ustąpiła, aż coś wyłudziła.

Pamiętam, jak raz przyszła do naszego domu i wróżyła, wiele lat będzie kto żył, jakie ma i będzie miał od ludzi prześladowania i t. d., — za to żądała mleka i masła. Ale babka moja zaczęła się spraszać, że krowy z mlekiem ucięły i mleka w domu niema; a cyganka podchwyciła to, mówiąc, że ona wie o tem dobrze, a tylko tak próbowała; i ciągnęła dalej, że mleko krowom czarownica odjęła, ale ona to naprawi, tylko chce za to czarną kurę, bo kura z innem upierzeniem nie będzie skutkowała. Babka spraszała się, że takiej kury nie ma, — ale cyganka twierdziła uparcie, że jest (bo widziała już wpierw kury, jak szła przez podwórze, a że czarna była największa, dlatego czarną chciała). Babka uwierzyła, że cyganka musi wszystko wiedzieć, skoro wie, nawet o kurze, więc po pewnym jeszcze kłopocie zgodziła się złapać jej tę kurę. Wtedy cyganka upomniała, ażeby kury nie żałowała, boby jej porada nie była tak skuteczną, — a następnie zaprowadziła babkę do stajni, dała okruszynę jakiegoś łoju i kazała wetknąć w ściankę tam, gdzie krowa sięga pośladkiem. Gdy to zostało uczynione, oświadczyła, że już trzeciego dnia przybędzie mleka, i żadna czarownica go już nie odbierze.

I poszła cyganka, a babka przez trzy dni kury nie żałowała, — ale gdy po trzech dniach i później żadnego skutku nie było, i krowy jak przedtem tak i później mleka nie dawały, wtedy dopiero poczęła żałować, mówiąc, że cyganka kurę wykusiła, — ale już było nie rychło, bo kura już dawno była zjedzona.

Była także w Dzikowie taka guślarka. Wprawdzie miejscowi mało do niej chodzili, bo ją dobrze znali i wiedzieli, co warta, — ale za to z innych wsi ludzie do niej ciągnęli, a nawet furami po nią przyjeżdżali, — a naodwrót nasi chodzili do guślarzy na obce wsi.

Co do tej guślarki w Dzikowie, była taka wiara w okolicy, że jest na wszystkiem wyznana: pannom wyrabiała tak, że wychodziły za mąż, za kogo chciały; chorych potrafiła wykurować nawet z takich słabości, z jakich żaden doktór nie potrafił; krowy, które nie dawały mleka, umiała naprawiać; nawet na sędziów mogła wpływać tak, że każdy, kto się do niej zwrócił, miał wygrać proces, — jednem słowem, obiecywała każdemu takie szczęście, jakie tylko mieć sobie życzył, choć sama była chudobna.

Raz zmówiła się z jednym gospodarzem, który miał proces, i przyrzekła mu, że proces wygra, bo ona potrafi na sędziego odpowiednio wpłynąć, — tylko chciała, żeby jej chłop dawał wszystko, czego zażąda. I tak było. Chłop dał najpierw pieniędzy, potem w ciągu procesu przywoził masło, ser, słoninę, kaszę i t. p., co mu kazała, a wszystko to miał sędzia od niej odbierać i zjadać i proces miał się skończyć

pomyślnie. Tymczasem chłop ze wszystkiem proces przegrał i pokazało się, że sędzia o niczem nie wiedział, bo ona wszystko brała dla siebie i zjadała. Nawet jej nie skarżył, bo nie chciał więcej do niej dołożyć, a ludzie się z niego wyśmiali, — i na tem się skończyło.

Ale jak mówią, — przyjdzie czas i trafi swój na swego. Przyjechał raz po nią gospodarz ze Ştalów, żaląc się, że mu się na obejściu nie wiedzie, i chudoba mu zdycha. Wziął babę ze sobą, ażeby temu zaradziła. Skoro stanęli na miejscu, baba zaczęła obchodzić całe podwórze i wróżyć, jak zwyczajnie guślarka: »Sąsiady — powiada — stoją wam na zdradzie, macie tu zakopaną jakąś padlinę, dobrze ją czuję; dajcie rydla, to ją wyszukam i wykopię«.

Chłop czemprędzej dał rydla, a następnie trop w trop chodził za babą, — bo choć w gusła święcie wierzył, ale chciał naocznie widzieć, co ona też wykopie. Baba zaś chodziła dalej po podwórzu i wąchała, ale gdzie grzebnie rydlem, padliny niema, bo chłop dobrze jej patrzy na ręce. Nareszcie pod stajnią zaczęła kopać większy dołek, aż wykopała do kolan i z rękawa puściła kawałek płuca cielęcego, które przywiozła ze sobą, — ale tym razem jakoś się jej nie udało, bo chłop to spostrzegł. Upuściwszy ten kawałek, tarmosiła go rydlem i nogami, a następnie niby to wykopała i, pokazując go chłopu, rzecze: »Widzicie, mówiłam, że macie zakopaną padlinę«.

Ale chłop już temu wiary nie dał, tylko wręcz odparł: »To wyście to przecie upuścili«; a że baba



Cudowny obraz Matki Boskiej Dzikowskiej.

upierała się przy swojem, więc wszczęła się sprzeczka: chłop mówił swoje, a baba swoje. Wkońcu chłopa rozłościło, że baba mu w żywe oczy zaprzecza, złapał pałę, zaparł wrota, i babę tak przetrzepał, że jak się za wrota wydarła, to już nie czekała na wóz, ale piechotą do domu się dowlokła. Później długo na plecy narzekała, mówiąc, »że się gdzieś potłukła«.

Powyższe zdarzenie opisałem nie tylko dlatego, że dawniej ludzie byli tacy zabobonni i łatwowierni, ale więcej dla nauki, bo i w dzisiejszych czasach nie brak jeszcze guślarzy i ludzi nieoświeconych, dających się oszukiwać. Niechże nikt w żadne czary i gusła nie wierzy, bo to i niemądrze, i obraza Boska.

Sam na przykład na własnem gospodarstwie przekonałem się, dlaczego dawniej mleka nie było, a co ongiś było przypisywane czarownicom, że je krowom odbierają. Dopóki się koło krów chodziło po dawnemu i żywiło się je tylko czystą karmą ze zboża, to krowy ledwo żyły i mleka brak było tak, że nieraz cztery krowy tyle mleka nie dały, żeby w domu — jak to mówią — do barszczu wystarczyło. Dzisiaj zaś mam tylko jednę krowę, ale dobrze ją żywię sieczką z otrębami, burakami i ziemniakami a przytem koniczyną, to też mam mleka tyle, że w domu go nie pragnę i jeszcze zbywające odsprzedaję.

*
*   *

Praktyki religijne były dawniej bardzo ściśle przestrzegane; posty na przykład były tak zachowywane,

że cały rok w piątki i soboty nawet z mlekiem nie wolno było jeść, — a gdy nadszedł czas wielkiego postu, od środy Popielcowej do Wielkiej niedzieli nabiału przez cały czas zupełnie nie używali, a strawę maścili tylko olejem. Nawet przed małemi dziećmi chowali serwatkę, żeby się jej nie napiły i postu nie złamały. Kogoby zaś dojrzeli, że w dni postne jadł z nabiałem albo co gorsza z mięsem, ten był wytykany palcami jako heretyk i był znienawidzony.

Po domach wieczorami i nadedniem rozlegały się pieśni pobożne i godzinki.

Dawali też nieskąpe ofiary. Jeżeli gospodarz miał od krowy pierwsze cielę, to za żadne pieniądze go nie sprzedał ani sam na swoją potrzebę nie zużył, ale zaniósł do księdza i dał na ofiarę.

W jesieni po zbiorach jeździł ksiądz z parafji »po petycie«, zbierał snopki. Z każdego domu dostawał mniej więcej dwa snopki niemłócone; była to ofiara dobrowolna. Osobno jeździł wtedy organista i zbierał snopki dla siebie, a po gminach najbliższych jeździł też braciszek od księży Dominikanów z Tarnobrzega. — Po Bożem Narodzeniu zaś do Gromnic chodził ksiądz z organistą po kolędzie. Gdyby wtedy czyjś dom ominął, nie odwiedził go, uważali to za hańbę dla tego domu, znaczyło to, że mieszka w nim jakiś zatwardziały grzesznik: pijak, złodziej, cudzołożnik i t. p. W niektórych domach przyjmowali księdza przekąską, a w każdym dawali mu jako kolędę mniej więcej reńskiego, albo też z garniec jakiego

zboża, kaszę, kiełbasę, jajka i t. p. Tak po petycie jak po kolędzie jeździli wikarjusze z parafji, i to był ich dochód.

Prócz tego jeszcze dwa razy w roku obchodził wieś organista: przed Bożem Narodzeniem »z kolędą« czyli opłatkami i przed Wielkanocą »po spisnem«, t. j., spisywał w każdym domu, ile osób należy do spowiedzi wielkanocnej i zostawiał im kartki, które miały służyć do kontroli, czy wszyscy obowiązani spowiedź wielkanocną odbyli. Tak za opłatki jak za kartki płacono organiście 20—30 cnt. albo też dawano coś z domu, n. p. kaszę, jajka, kiełbasę i t. p.

Księży miał lud w wielkiem poszanowaniu, uważając ich za wybrańców Bożych, za święte już na tym świecie osoby i zwracał się do nich z zupełnem zaufaniem.

Dopiero, gdy począł się polityczny ruch ludowy, stosunek ten zmienił się nieco, ale obecnie znowu się poprawia, dzięki gorliwej działalności zwłaszcza młodszego duchowieństwa, podejmującego poza obowiązkami kościelnemi pracę społeczną między ludem.

Życie religijne mieszkańców Dzikowa skupiało się głównie w pobliskim kościele OO. Dominikanów w Tarnobrzegu, gdzie w wielkim ołtarzu znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Dzikowskiej, koronowany wśród wielkich uroczystości w r. 1904. W klasztorze tarnobrzeskim bywało zawsze za mojej pamięci po 2—3 księży, odbywały się piękne nabożeństwa i uroczystości, i było wielkie przywiązanie wśród oko-

licznej ludności do kościoła klasztornego. Kościołem parafjalnym dla Dzikowa, podobnie jak dla Tarnobrzega, był kościół w Miechocinie, oddalony o dwa kilometry.

W ostatnich czasach były starania o utworzenie parafji w Tarnobrzegu i wreszcie po wojnie światowej w r. 1922 na obszarze dotychczasowej wielkiej parafji miechocińskiej wytworzone zostały 4 osobne parafje: w Miechocinie, Tarnobrzegu, Chmielowie, Tarnowskiej Woli. Przy dawnej parafji miechocińskiej pozostały wsie: Kajmów, Machów, Ocice, Nagnajów, Siedliszczany. Do parafji tarnobrzeskiej włączono wsie: Dzików, Mokrzyszów, Stale, i parafję tę otrzymali OO. Dominikanie, a pierwszym proboszczem został O. Bruno Janiewski. Parafje w Chmielowie i w Tarnowskiej Woli obejmują po 3 wsie, i w parafjach tych rozpoczęła się budowa nowych kościołów.

*
* *

Odbywali dawniej dalekie pielgrzymki, bo aż na Kalwarję Zebrzydowską 25 mil, do Częstochowy 30 mil i innych sławnych miejsc odpustowych.

Wielkie odpusty bywały też w Tarnobrzegu w klasztorze OO. Dominikanów, największe były tu na Zielone Świątki, a zwłaszcza na Siewną, 8 września. Przybywały wtedy do klasztoru liczne kompanje z powiatu naszego, mieleckiego i kolbuszowskiego, a także ludzie z Królestwa Polskiego, skąd dużo przechodziło granicę potajemnie »na ucieczkę«. Pątnicy nocowali w klasztorze na korytarzach, w Tarnobrzegu po domach katolickich, w Miechocinie, a najwięcej

w Dzikowie, gdzie u każdego gospodarza nocowało przeciętnie po 100 ludzi w stodołach i szopach. Poblizcy przyjeżdżali na dzień odpustu furami.

Największe jednak odpusty odbywały się w Leżajsku, gdzie jest klasztor OO. Bernardynów z cudownym obrazem Najśw. Marji Panny. Największe bywały tam na św. Antoniego w czerwcu, na św. Franciszka w październiku, na Matkę Boską Zielną, Siewną, Różańcową i na Zielone Świątki.

Ludzie od nas udający się na odpust do Leżajska, odległego stąd o 9 mil, gromadzili się najpierw w oznaczonym dniu w Krządce, gdzie był głośny przewodnik, który prowadził kompanję do Leżajska, zbierały się tam kompanje, wynoszące 500—600 ludzi, z przewagą kobiet i dziewcząt dorosłych.

Przewodnik miał nad kompanją cały zarząd, był nad nią lepszym opiekunem, niż wójt w gminie. Przestrzegał porządku w kompanji, żeby się komu co złego nie stało, żeby nie zaginął, — za porządek i całość kompanji odpowiadał przed opinją ogółu.

W kompanji wszyscy nawzajem nazywali się »braćmi« i »siostrami«, a przewodnika zawsze mianowali »bratem« i później, gdziekolwiek się z nim zeszli.

Jeżeli w kompanji zaszło coś złego, n. p. kłoś zaginął wskutek zabójstwa, uważali to za ciężki grzech i — jak wtedy mówili — cała kompanja szła w rozsypkę i na tułaczkę przez rok i sześć niedziel. Nie wolno było nikomu z takiej kompanji wracać wcześ-

niej do domu, nawet matce do małych dzieci. Taką pokutę naznaczał ksiądz, albo nawet sami dobrowolnie szli na tułaczkę. Pamiętam też, jak jeszcze za życia babki zgłaszali się do nas na nocleg tacy, co opowiadali, że są na tułaczce już tyle a tyle czasu z powodu jakiegoś wypadku w kompanji odpustowej.

Przodem przed kompanją szło kilku mężczyzn i z tyłu też, — ci pilnowali, żeby uczestnicy nie wybiegali naprzód i nie zostawali za kompanją, żeby nie było wypadku, żeby kto w drodze nie zaginął.

Przewodnik zawodził śpiewy nabożne, więc musiał mieć dobry głos. Dobierał do siebie najlepsze śpiewaczki i śpiewaków. Śpiew był przez całą drogę i czynił drogę lekką, jednę strofę śpiewali mężczyźni, drugą kobiety. Pieśni było dużo, były osobne książki z pieśniami »kantyczki«. Rano wychodząc, śpiewali »Kiedy ranne wstają zorze«, wieczór »Wszystkie nasze dzienne sprawy«, w drodze: »Bądź pozdrowiona Panienko Marjo«, »Idźmy, tulmy się jak dziatki, do serca Marji Matki«, »Kto się w opiekę«, »Boże w dobroci nigdy nie przebrany«, »Do Ciebie Panie pokornie wołamy« i wiele innych. W ciągu całej drogi i na noclegach nie było przerwy w śpiewie, a coraz były inne. Śpiewali też Różaniec.

Kompanja szła wolno za traktem, przestrzegali porządku w śpiewie, więc śpiew był ładny i cały pochód był piękny i wdzięczny. Ze wsi wychodzili ludzie, żeby się temu przyjrzeć, przysłuchać pieśniom i spragnionym chętnie podawali wodę i mleko.

Szło się tak od nas do Leżajska dwa dni, pierwszy nocleg wypadał w Łętowni, gdzie nocowało się u gospodarzy po stodołach. Żywność każdy miał z sobą, do karczem wstęp był wzbroniony, w dni postne przestrzegali najściślej postu.

Niedaleko Leżajska pod kaplicą przewodnik miał przemowę do kompanji. Przemawiał z pagórka, kompanja otaczała go, słuchali go jak księdza i odmawiali pacierze na intencje naznaczone przez niego.

Pod samym Leżajskiem, w odległości może jednego kilometra, kompanja zawsze się zatrzymywała, przewodnik zbierał składkę po kilka centów i zanosił ją do klasztoru, — wychodził za to ksiądz, kropił zgromadzonych święconą wodą, miał przemowę i prowadził kompanję uroczyście do kościoła.

Gromadziły się wtedy w Leżajsku na odpustach ogromne rzesze narodu z Galicji i Królestwa Polskiego. Pątnicy brali udział w nabożeństwach, słuchali kazań, które odbywały się pod gołem niebem i przystępowali do spowiedzi i komunji św. Dawali też ofiary na msze św., a szczególnie drobne ofiary do skarbonek kościelnych i jałmużnę dziadom. Toteż wielka skarbonka przed świętym Franciszkiem objętości może ½ korca bywała całkiem wypełniana drobną monetą dużo pieniędzy leżało na wierzchu.

Nocleg w Leżajsku był utrudniony. Wielka liczba pątników przepędzała noc w zbitej masie na korytarzach klasztornych, inni nocowali po domach miesz-

czańskich, na strychach, gdzie nawet słomy nie było i płacili za nocleg 5—10 centów.

Nazad wracali nie w kompanjach, ale w większych lub mniejszych gromadach. Każdy chciał jak najprędzej stanąć w domu, więc szedł na krótsze drogi, nie trzymając się traktu, za tymi, co znali mniej uczęszczane dróżki i ścieżki przez pola i lasy.

Na odpustach w Leżajsku bywałem za młodych lat, najpierw pod wspomnianym przewodnikiem z Krządki, następnie sam parokrotnie prowadziłem kompanje z Dzikowa i wsi okolicznych. Kompanje te wychodziły z naszego klasztoru OO. Dominikanów.

Bywałem też na mniejszych odpustach w Radomyślu nad Sanem na Pocieszenie razem z babką. Babka była tam znana, więc miewaliśmy nocleg wygodny w rynku n-er 11 u jednego murarza, który nas przyjmował jak najbliższych krewnych, za co później wywdzięczaliśmy się, gdy oni przychodzili na odpust do Dzikowa. Znał babkę i proboszcz tamtejszy i witał przy spotkaniu.

*
* *

Co do moralności, to dawniej obok takich wad, jak pijaństwo, były także dobre obyczaje i cnoty, które dziś, niestety, zaginęły. Na przykład kara aresztu była dawniej dla ludzi hańbiącą i bardziej się jej wstydzili, niż kary cielesnej. Jak kto siedział w areszcie za jakie przewinienie, to mu to długo wspominali, zwłaszcza przy jakichkolwiek zwadach wołali na niego »ty he-

reśtańcie!« lub »ty hereśtantko!«; a jak kto był aresztem więcej razy karany, to porządniejsi gospodarze i gospodynie mieli to sobie za ujmę honoru wchodzić z takim w koleżeństwo lub nawet mówić z nim, i bratanie się z takim wytykali zaraz palcem.

Rozpustę w wysokim stopniu potępiali, — a jeżeli się trafiło, że panna lub wdowa powiła nieślubne dziecko, to żeby to była nawet gospodarska córka lub gospodyni, nikt ze wsi nie poszedł w kumy, żeby to dziecko ochrzcić, tylko dziadów proszalnych do chrztu z niem wysyłali, a matkę nieślubnego dzieka nazywali »przeskoczką«, że przestąpiła przykazanie Boże. I rzadko się trafiło, żeby taka wyszła za mąż; wskazywali ją zawsze palcem, i splamiona była do śmierci.

A dziś wkrada się na wsi w zatrważający sposób rozpusta, której w pierwszym rzędzie ulega młodzież, wyjeżdżająca za zarobkiem i nie mająca poza domem żadnej nad sobą opieki. Nadto szerzy się palenie tytoniu i nie ustaje pijaństwo, niszczące ludzi od dawna i zatruwające krew z pokolenia na pokolenie.

Nic więc dziwnego, że obecnie ludzie coraz słabsi, nędzniejsi, że coraz mniej odporni na przeróżne choroby i giną przedwcześnie. To jednak najgorsze, że sami się do złego najczęściej nie poczuwają, ale na Pana Boga tylko składają różne swoje niedomagania, biedy i nieszczęścia. Nie chcą zrozumieć tego, czego uczy religja święta, że nie Pan Bóg winien złemu,

jakie się szerzy, bo On wyposażył człowieka do dobrego życia i dał mu wolną wolę, — a ludzie sami przez życie niemoralne, nieoświecanie swoich umysłów i przestępowanie przykazań Bożych ściągają na się choroby i różne nieszczęścia.

Więc najważniejszą i najpilniejszą rzeczą obecnie jest tłumić złe, jakie się krzewi, i poprawiać obyczaje tak, żeby razem z postępem na różnych polach szedł też wzrost moralności u ogółu ludności.

VIII.

Gromada. Wójt. Władza wójta. Pobór rekrutów. Służba wojskowa. Deputowani i sprawy serwitutowe. Mandatarjusze. Urzędy powiatowe. Zmiany od roku 1867. Gmina po roku 1867. Stosunek do dworu. Stan oświaty w czasie popańszczyźnianym. Szkoły w Tarnobrzegu. Życie polityczne, pierwszy ruch wyborczy. Opowiadania z przeszłości i uświadomienie narodowe.

Najwyższą władzą w gminie przed r. 1867 była cała gromada, która schodziła się na uchwały, wybierała wójta i przysiężnych a także pełnomocników gromadzkich czyli deputowanych, słowem — całą starszyznę gromadzką i miała nadzorować jej czynności.

Gromadę zwoływał wójt, a to w ten sposób, że zatykał w rozszczepioną laskę, a właściwie w pierwszy lepszy kij jakikolwiek papier i laska ta była szybko podawana od domu do domu, przyczem każdy podający ją w drugim domu mówił: »Macie się zejść do gromady« — wtedy a wtedy. I tak w krótkim czasie obiegała całą gminę i wracała napowrót do wójta na znak, że już u wszystkich była. Gdyby ją zaś kto u siebie zatrzymał i nie podał dalej, to była za to kara, którą naznaczał wójt zwyczajnie w wysokości paru szóstek, z czego się przed gromadą nię rachował.

Gromada zbierała się u wójta i to albo w domu, a wtedy ci, co w izbie nie mogli się pomieścić, stali w sieni lub pod oknami, albo — jak było ciepło — obradowała na obejściu. Zwyczajnie jednak nie wszyscy się schodzili, tylko część pewna, a przedewszystkiem starszyzna gromadzka i bogatsi gospodarze.

Najwięcej zbierali się w celu rozrachowania na każdy dom czyli »numer« wydatków gminnych, jakie przypadły. Rachowali ci, co wcześniej przyszli, więc zazwyczaj tylko starszyzna gromadzka i kilku innych roztropniejszych gospodarzy i to w pamięci, bo wogóle nie były prowadzone żadne zapiski i książki, i pisarza w gminie wówczas wcale nie było. Następnie wójt zebranym ogłaszał, że jest do zapłacenia kwota taka a taka, i »na numer« wychodzi tyle a tyle, i później wszyscy według tego płacili.

A jeżeli się ktoś na gromadzie odezwał, że »to jakoś za dużo, że nie powinno na numer tyle wychodzić«, to go zaraz wójt czy inny z jego otoczenia zgóry przysiadł, wołając: »To trza było wcześniej przyjść; — my tu sobie głowy od południa psujemy, a ty, paniczu, wylegujesz się gdzieś w domu i teraz będziesz gadał; masz zapłacić i na tem koniec, bo tak wyrachowane«. Zwyczajnie jednak ci, co rachowali, nie zapominali o sobie i liczyli tak, żeby i dla nich coś na napitek zostało.

Potem było już po gromadzie, bo ci, co się zaraz nie rozeszli, gwarzyli o rzeczach, które nie należały

do porządku dziennego zebrania, — więc zebrania gromady trwały zazwyczaj krótko.

Jeżeli chodziło o wybór wójta i przysiężnych, to z tych co się zeszli, występował jeden, mający większy posłuch w gminie, i wskazywał, kogo wybrać, — następnie cała gromada szła zwyczajnie za zdaniem tego jednego, wołając »Zgoda, zgoda!« Nie było przytem wcale zapisywania głosów.

* *
*

Wójt i przysiężni wybierani byli przez gromadę na 3 lata.

Przed domem wójta na znak, gdzie mieszka, wystawiona była na wysokim drągu obręcz o średnicy mniej więcej pół metra, owinięta słomianem powrósłem i podzielona w środku na krzyż kijami czyli krzyżakiem, również okręconym słomą. Później po r. 1867 zamiast tego znaku były nakazane tablice, ustawiane nie tylko przed domem wójta, ale i na granicach gminy, co się dziś widzi.

Było też zwyczajem, że wójt chodził zawsze z laską grubą, zgrabnie obrobioną, lub też ze zwyczajną pałą — według tego, jak dbał o to. Była ona niejako jego godłem, i po niej nawet poznawali go obcy, — mówiąc: »Musi to być wójt, bo ma laskę grubą i ładną«. Z laską taką szedł do urzędu, na komisje, bił nią przy szarwarku, braniu zastawu czyli »fantowaniu«, wystawających na drodze, a przy oddawaniu urzędu wręczał ją zwyczajnie z przyjaźni następcy, co jednak

nie było obowiązkiem, tylko zwyczajem, bo laska nie była gromadzka, tylko własnością wójta.

Ale najważniejszą dla wójta była wówczas pieczęć, którą też chował starannie w domu, żeby jej kto nie ukradł i gminie nie szkodził. Mało się nią posługiwał, — podczas gdy teraz musi być ciągle w użyciu, — przybijając ją tylko kiedy niekiedy na testamentach, zapisach, na aktach urzędowych w urzędach lub na komisjach. I na takich aktach bał się ją zawsze przybijać i pomacać za pióro, gdy go podpisywali, — choćby rzecz była na korzyść gminy, — lękając się, »żeby go w czem nie poderwali«. Gromada zaś miała takiego wójta za mądrego i rzetelnego, co pieczęci gdzieś nie dał i nie zgodził się na podpis, bo sądzili, że gdyby na coś czasem dał pieczęć i pomacał za pióro a chybił, to mógby całą gminę zaprzedać.

*
* *

Wójt miał wtedy dość znaczną władzę, większą niż obecnie, bo załatwiał wiele z tych spraw, które dziś należą do sądu i starostwa.

W gminie bali się go i słuchali, więcej niż obecnie, bo był na miejscu i każdego mógł łatwo dosięgnąć, a przetem był zawsze przy pale. Jeżeli był dobry, rozsądny, nie pijak, to było lepiej niż teraz, bo mógł niejedną sprawę przeprowadzić, nawet gruntową, w krótkiej drodze, bez żadnych kosztów, nie było więc tyle procesów, sądów, adwokatów. Teraz bagatelna sprawa wlecze się w sądach latami, jedna władza przysądza,

druga obala, strony ciągną się na adwokatów, dokąd tylko mogą, a jak się już wyniszczą, to się najczęściej pogodzą tak, jak pierwej przy wójcie bez kosztów.

Wójt w Dzikowie miał do pomocy dwóch »posłusznych«, których sam sobie dobierał i którzy wykonywali jego polecenia. Za te czynności nie brali prawie żadnej pensji, kontentując się tem, co wypili od wójta — najwięcej przy wykupnie zastawów czyli »fantów«, albo co im kto dał na wódkę od przydybanego w szkodzie bydła. To też na posłusznych wpraszali się najczęściej tacy, co wódkę lubili.

Pamiętam, jak raz w gminie wykonana była kara na mężczyźnie i kobiecie, obwinionych o rozpustę i przydybanych na gorącym uczynku, przyczem oboje dopuszczali się wiarołomstwa, bo on był już żonaty i ona też zamężna.

Wójt kazał sprowadzić oboje obwinionych, winę potwierdzili świadkowie, — osąd był taki, żeby oboje otrzymali karę cielesną publicznie w kilku miejscach, na każdej ulicy we wsi.

Wykonanie kary odbyło się zaraz. Ona niosła ławkę w jednym końcu, a on w drugim; jeden z posłusznych szedł przodem i bębnił na cebrzyczku, żeby się ludzie schodzili na większą hańbę dla obwinionych. W każdem miejscu musieli się obwinieni sami na ławie położyć, a posłuszni wymierzali karę po kilka kijów, ile wójt przeznaczył, i bili mocno, do krwi. Po odebraniu kary za każdym razem musieli obwinieni wszystkich obecnych, zaczynając od wójta, prze-

prosić, chwytając nisko za nogi. Wkońcu wójt kazał zabrać obwinionym fanty; napili na nie ci, którzy brali udział w wykonaniu wyroku czyli egzekucji, i zastawili do wykupienia.

Wójtem był wtedy Jan Ordyk, a wykonywał tę karę z przysiężnymi, (z których jednym był mój ojciec), z dobraniem deputowanych.

Prawie wszyscy mieszkańcy pochwalili ten osąd, mówiąc, że gdyby wójt kiepsko za takie przestępstwo karał, toby Pan Bóg spuścił karę na całą gminę, i ludzie lubili, jak wójt był ostry i w krótkiej drodze doraźnie karał i porządek trzymał.

Po innych gminach powszechne było zakuwanie winowajców w dyby, a odbywało się to w karczmach. Przestępca, mając nogi w dybach, siedział tak na ławie w karczmie przez parę godzin albo i dłużej, i jeżeli było go na czem patrzeć, to były mu brane fanty, i wójt z pomocnikami odrazu na nie pili, a potem wójt winowajcy krótko oświadczał, ile ma w karczmie zapłacić, i dopiero, gdy to uskutecznił, żyd mu fant wydał, — a w przeciwnym razie winowajca fant tracił.

Ile razy jechało się gdzieś dalej i wstąpiło na popas do karczmy, zawsze prawie widziało się podobne egzekucje, t. j., winowajcę skutego, siedzącego przy ścianie, i starszyznę gromadzką, przypijającą na koszt jego. W Dzikowie takich egzekucyj nie było, bo karczmy we wsi nie było, jak i dotąd niema.

Fantowanie wyżej wzmiankowane, odbywało się za różne przewinienia, a w szczególności także za

nieposłuch wójtowi, za szkody polne, nie odrobienie powinności, albo niezapłacenie należytości gminnych i t. p., — a na fanty brane były pługi, brony, koła od wozu, rzezaki od skrzynki do rznięcia sieczki, siekiery i inne narzędzia gospodarskie, uprząż z koni, poduszki, ubranie. Często zabierali to, co było gospodarzowi najpotrzebniejsze, ażeby go tem zmusić do jak najrychlejszego wykupienia fantu.

W Dzikowie fanty były składane najczęściej u wójta, a pieniądze, uzyskane z wykupienia ich, szły albo na rzecz gminy, jeżeli chodziło o należytości gminne, albo na napitek dla wójta i jego pomocników, jeżeli były ściągnięte z powodu jakiegoś przewinienia; — w innych zaś gminach fanty takie były zanoszone wprost do karczmy i składane u żyda.

Jak był kto silny, to oparł się wójtowi i pomocnikom i ukarać się nie dał. Był n. p. w Dzikowie komornik jeden awanturniczego usposobienia, a zresztą niezły chłop, który nie chciał płacić należytości gminnych i fantować się nie dał. Raz sam byłem naocznym świadkiem, jak wójt z dwoma pomocnikami przyszedł do niego na egzekucję, a gdy nic sobie zabrać nie dał, ściągnął mu ukradkiem ze ściany nową baranią czapkę, i z tym fantem wyszli. Ale komornik ów zaraz to zauważył, wybiegł z izby i zaczął z wójtem bitkę, a że był mocniejszy, więc mu fant odebrał. Wójt odpowiadał, że go do sądu zaskarży, ale na drugi dzień oba przypili, i skargi wcale nie było.

Miałem i ja ze wspomnianym komornikiem kłopot, gdy wójtem zostałem. Gdy raz dałem posłusznym polecenie, ażeby zbierali należytości kwartalne na nauczyciela, on nic nie chciał złożyć i przytem lżył posłusznych, wójta i radę. Nie było innego wyjścia, trzeba go było podać do sądu. Dostał za to trzy dni aresztu, przyczem sędzia ostro go złajał, tłumacząc mu, że się dopuszcza zbrodni, i gdyby się to powtórzyło, to go ostrzej ukarze.

Niedługo po odsiedzeniu tej kary, ujrzał mnie on na drodze i woła z tyłu: »Wójcie, wójcie, zaczekajcie ino!« Sądziłem, że myśli o zaczepce z powodu tego aresztu, a on do mnie w te słowa: »Przepraszam was za obrazę, przepraszam, — niech Pan Bóg da wam zdrowie za to, żeście mnie z krótszej drogi zwrócili, — bo, że was słowami tylko obraziłem, siedziałem za to trzy dni, — więc jakąbym to karę dostał, gdybym się kiedyś na was tak porwał i tak was bił, jak tamtego wójta! — Bóg zapłać, żeście mnie rozumu nauczyli«.

I odtąd wszelkie należytości do gminy najporządniej składał i poleceń gminnych słuchał, i nie było już z nim żadnego kłopotu.

Trzeba dodać, że areszt wtedy był twardy, bo aresztant spał na gołych deskach, a dawali mu tylko chleb i wodę, — więc aresztu takiego bał się każdy, kto go raz spróbował, nie tak jak obecnie, co więzienie jest dosyć wygodne, i kto w niem siedział,

a straci wstyd, później z takiej kary sobie kpi i do więzienia po prostu się ciągnie.

*
* *

Wójt występował przy poborze rekrutów do wojska. Według tego, co słyszałem od starszych, za dawniejszych czasów odbywał się pobór rekruta w ten sposób, że na każdą gminę stosownie do liczby ludności było przeznaczone, ilu ma dać rocznie żołnierzy. Gmina Dzików n. p. miała dawać półtora żołnierza, t. j., jeżeli w jednym roku wziętych było dwóch żołnierzy, to w drugim brali tylko jednego i t. d.

Każda gmina musiała swoich rekrutów dostawić przed komisję poborową. Były z tem wielkie korowody, bo który rekrut był zdatny i czuł, że go ostawią, to uciekał i krył się, gdzie tylko mógł. Wójt z pomocnikami chodzili najwięcej w nocy po domach i na spaniu rekrutów łapali, a jak którego złapali, to go już pod wartą trzymali, aby na nowo nie uciekł. Potem wójt dał podwodę (forszpan) i stosowną wartę, a nawet czasem przywiązali rekruta na wozie do drabinki, aby na drodze nie uciekł, i tak pod surową wartą wieźli go do Rzeszowa.

Gdy rekrut był zdatny i oddali go do wojska czyli »asenterowali«, to nie puszczali go już do domu, ale odrazu szedł na długie lata do wojska.

Ucieczka rekruta zależała dużo od wójta, to też ojciec popisowego zawczasu przyjaźnił się z wójtem, częstował go i prosił, aby syna nie dostawił, — i ta-

kiego wójt nie mógł złapać, bo już naprzód wiedział, kiedy i gdzie po niego przyjdą. A że każda gmina musiała oddać przepisaną liczbę żołnierzy, więc na miejsce tych, co ich złapać nie mogli, staral się wójt dostawić drugich, — i nieraz złapali takiego, który był z innej miejscowości, a nawet mógł być poddanym innego państwa, ale się zaplątał w danej wsi, i takicgo odstawili do komisji poborowej, tam go »zaasenterowali« i zapisali na tę gminę, co go dostawiła, — bo rządowi nie chodziło o to, skąd był rekrut, tylko, aby gmina swoją należytość oddała.

Gdy się zaś trafiło, że stawał przed komisją wojskową taki, co robił w gruncic i utrzymywał rodzinę, to wójt wstawiał się za nim, czasem nawet postawił się ostro przed komisją, szturnął laską w podłogę i mówił, że rekrut nie może iść do wojska, bo nie ma kto robić w domu na utrzymanie rodziny, — i rekrut był uwalniany, a wójt za to był długo w tej familji szanowany.

Dziadek mój opowiadał, że gdy miała nastąpić zmiana w sposobie rekrutowania i na zabawach lub schadzkach sąsiedzkich wspomniał kto, że »nadejdą takie czasy, iż ojciec syna sam doprowadzi do wojska«, to drudzy nie chcieli temu dać wiary i powiadali: »Co pleciecie, to się nic stanie nigdy, żeby ojciec własne dziecko sam dostawiał do wojska, — śmiejcie się z tego«. A tymczasem przyszły czasy, że nie ojciec syna prowadzi, ale ten sam się musi stawić, gdzie i kiedy mu każą.

Jak ja już zapamiętałem, rekruci sami się już dość regularnie do poboru stawiali, a pobór odbywał się na podstawie losowania, przyczem ten był pierwej przed komisją poborową powoływany, kto miał numer losu niższy, — wójci zaś byli przy tem obecni. Było to na razie przez kilka dziesiątek lat połączone z wielką poniewierką i kosztami tak dla rekrutów, jak i wójtów, bo w czasie poboru wszyscy naraz zjeżdżali się z całego powiatu, i rekrut czekał, aż na niego przyjdzie kolej stawienia się przed komisją, a wójt musiał siedzieć w mieście prawie dwa tygodnie, aż wszyscy rekruci z jego gminy byli wywołani.

Zmieniło się to dopiero, gdy rząd austrjacki wprowadził takie urządzenie, że wszyscy rekruci z danej gminy mieli się stawić do poboru na oznaczony dzień i w jednym dniu załatwiali się z poborem czyli »asenterunkiem«.

Z dawniejszych czasów zachowało się jeszcze za mojej pamięci to, że kto był wzięty do wojska, to go zaraz żołnierz ostrzygł, bo każdy, młody, czy stary, nosił długie włosy. To też, gdy ktoś był odebrany, mówili o nim, że go »ostrzygli«, a rekrut jak wrócił do domu, to przedewszystkiem patrzali mu na głowę, czy ma ostrzyżoną, i matka nie tyle płakała o syna, jak o te włosy ostrzyżone: »O moje włosy złociutkie, — mówiła z płaczem — tylem się ich naczesała, napielęgnowała, i mi je zabrali«.

* * *

Przez długi czas rekruci szli do wojska bardzo niechętnie i służby wojskowej bali się, jak ognia, bo ci, co z wojska wracali, nie chwalili jej i opowiadali o różnych karach, jakie dawniej w wojsku stosowane były.

Najcięższa z tych kar była t. zw. »ulica«, mianowicie byli ustawiani żołnierze w dwie strony, a przeznaczony na karę musiał iść między nimi, jakby ulicą, tam i nazad nago tyle razy, jak mu przeznaczono, a każdy żołnierz sieknął go raz prętem tak, że — jak opowiadali — ze skazanego krew się lała i ciało strzępami odpadało. Jednakże ówcześni ludzie potrafili znieść i taką karę, bo znałem jednego z Dzikowa, który, jak sam mówił i świadkowie to potwierdzali — przechodził w wojsku taką straszną ulicę za to, że dezerterował, a przecież, gdy pówrócił z wojska, nie było znać na nim tej kary, był silny, czerwony, i kpił sobie, że mu tylko złą krew wypuścili, a zdrowa przyszła. A gdy raz za awantury w mieście został skazany na areszt i 25 kijów, to śmiał się z tego wszystkiego, mówiąc, że mu tylko na tyłku postawili pijawki, żeby zepsutą krew ściągnęły.

Jak kogo wzięli do wojska, to go trzymali w obcych krajach: w Czechach, na Węgrzech lub w krajach włoskich, należących dawniej do Austrji. Częste też były wojny, w których krew dla obcej sprawy trza było przelewać.

Żołnierz wracał do domu w ubraniu czyli w mundurze, który nosił w wojsku, i ubierał się weń na

niedziele i święta tak długo, aż go zdarł do ostatka. Po wysłużeniu w wojsku mówił źle po polsku, a niektórzy udawali, że nie umieją nic po polsku, i bałwanili coś z niemiecka, z czeska, — słowem językami wszystkich ludów austrjackich, a tylko nie mówili swoim własnym językiem, w którym się pacierza uczyli i który powinni byli szanować i znać najlepiej *).

Opowiadali na przykład, jak jeden żołnierz, powróciwszy z wojska, szwargotał tak, że go matka zrozumieć nie mogła. Na ciepły piec mówił: «Czapli-piec«, co matka tak rozumiała, że syn chce, aby mu czaplę upiekła, i tłumaczyła się, że nie ma czapli, to mu kurę upiecze. Syn się gniewał, że go matka nie rozumie, i szwargotał coraz gorzej, a matka płakała, że nie może się z synem porozumieć i czemś go ucieszyć. Dopiero sąsiadka doradziła jej, żeby synowi nie podsuwała jedzenia, to on wkońcu pokaże, albo sam sobie weźmie, co mu będzie do smaku. Matka tak zrobiła, — syn nie jadł dzień jeden, drugi, ale skoro widział, że mu matka nic nie podaje, przemówił po polsku, i już odtąd tym językiem mówił, bo nawet innego nie znał.

Trafiało się to do ostatka za czasów austrjackich, że żołnierz, jak wrócił do domu, gdzie mógł, wtrącał w mowie przekręcone niemieckie słowa, i dość było głupoty między ludźmi, że nie rozumieli, iż dobrze jest znać inny język, ale należy nim mówić tam, gdzie

*) Więcej o urządzeniach wojskowych w b. zaborze austrjackim patrz w „Przypisach“.

potrzeba, — a Polak z Polakiem i u siebie w domu powinien mówić swoim rodowitym językiem i czysto po polsku.

Wychowanie w wojsku zmierzało do tego, ażeby u żołnierza zniszczyć świadomość narodową, ogłupić go pod tym względem. Wkońcu więc niejeden nucił z zapałem wojskową śpiewkę: »My sobie poloki, dobre austrjoki!!«

* * *

Prócz wójta i przysiężnych byli jeszcze po gminach t. zw. deputowani czyli pełnomocnicy gromady, odpowiadający dzisiejszym pełnomocnikom, wyznaczonym przez radę gminną. Deputowani raz wybrani przez gromadę, należeli do wszystkich komisyj, jakie się w gminie trafiły i załatwiali w imieniu gromady wszystkie najważniejsze sprawy; na ich też ręce przychodziły wszelkie pisma w tych sprawach.

Bywali nimi chłopi starsi i majętniejsi, a przytem tacy, którzy umieli się odezwać i postawić tam, gdzie trzeba było. Mieli też w gromadzie wielkie znaczenie; znaczyli nieraz więcej, niż wójt, i przy wyborze wójta najczęściej któryś z deputowanych wskazywał gromadzie, kogo wybrać.

W Dzikowie, jak zapamiętałem, deputowanymi byli: Wincenty Stala, Józef Krzyżek i Jan Szczytyński. Oni występowali imieniem gminy w sprawach serwitutów, czyli służebności pastwiskowych i lasowych które wtedy były regulowane z dworem.

Jeszcze bowiem w 20 lat po ustaniu pańszczyzny, t. j., do r. 1868 pastwisko dzikowskie należało do dworu czyli — jak się wtedy mówiło — do państwa dzikowskiego, a chłopi z Dzikowa mieli na obszarze pastwiska tylko serwitut czyli służebność, mianowicie prawo paszy. Drzewa rosnące na pastwisku, jak jabrzędzie, olszki, topole nadwiślańskie, sosny stanowiły wyłączną własność hrabiego i chłopom nie wolno było ich ścinać. Na pastwisku mogło się paść także bydło dworskie.

Drzewo opałowe i budowlane brali chłopi w tym czasie z rozległych lasów w Dęby i Żupawie, należących do dóbr dzikowskich. W lasach tych przysługiwała chłopom z Dzikowa, — podobnie jak chłopom z innych wsi, należących do państwa dzikowskiego — służebność, t. j. prawo do poboru drzewa na opał i budowę. Do poboru drzewa opałowego uprawnieni byli wszyscy: kmiecie, zagrodnicy, komornicy, do poboru drzewa budowlanego tylko kmiecie i zagrodnicy.

Dopiero w kilkanaście lat po ustaniu pańszczyzny regulowane były sprawy służebności pastwiskowych i lasowych, mianowicie dwór odstępował gminom za prawo poboru paszy i drzewa, pewien obszar pastwiska i lasu na własność. Chłopi jednak w owych czasach i ich pełnomocnicy nie byli w tych sprawach należycie uświadomieni, nie umieli ich dopilnowywać i przeprowadzić z korzyścią dla siebie i gmin.

Kiedy Komisja rządowa prowadziła obliczenia, ile jest koni, bydła rogatego, trzody chlewnej w gmi-

nie, starali się podawać zaledwie część tego, co mieli, resztę chowali w domu, wyganiali w krzaki, bo się obawiali, że skoro przedstawią wszystko do obliczenia i większy dostatek, to rząd nałoży na nich większe podatki czy inne ciężary, albo będzie więcej zabierał w razie wojny dla wojska, byli też przekonani, że gmina dostanie mniej pastwiska na własność, skoro się okaże, że gospodarze dobrze się mają i są zamożni. Tymczasem przeciwnie należało wykazać prawdziwy stan inwentarza żywego, bo — jak się później pokazało — obszar pastwiska przydzielany był stostownie do wykazanej liczby tego inwentarza.

Kiedy znowu regulowana była sprawa służebności lasowej i Komisja rządowa sporządzała opisy i pomiary typowych budynków mieszkalnych i gospodarskich, starali się pokazać zabudowania najmniejsze i najlichsze, bo mówili, że jakby Komisja stwierdziła, że gospodarze są bogaci i mają zabudowania dobre i duże, to orzeknie, że nie trza im dużo lasu, i mniej lasu dostaną na własność. Tymczasem właśnie obszar lasu przydzielany był na własność stosownie do rzeczywistej, stwierdzonej potrzeby uprawnionych do poboru drzewa.

Później tego żałowali, skoro się przekonali, że źle zrobili, że mało bydła podawali i najskromniejsze budynki pokazywali, bo gmina otrzymała mniej pastwiska i lasu.

Nikt jednak wtedy nie oświecał chłopów w tych sprawach, nie było gazet, w którychby to było wy-

jaśnione, rząd nie prostował błędnych pogłosek, rozchodzących się między chłopami i szedł wtedy we wszystkiem na rękę dworom. Zato właściciele dworów dobrze sprawę rozumieli i starali się wykazać wszystkiego najwięcej.

W Dzikowie co do pastwiska gmina zawarła z dworem w r. 1867 ugodę, na podstawie której otrzymała na nieograniczoną własność 79 morgów pastwiska zamiast 104 morgów serwitutowych.

Ugoda była dla gminy stosunkowo korzystna. Inne gminy, które nie chciały się dobrowolnie pogodzić i ustąpić z obszarów serwitutowych, wychodziły na tem gorzej. W takich razach bowiem wyrok wydawała Komisja rządowa, a chłopów w razie oporu usuwało przemocą z pastwiska wojsko, jak było n. p. w Cyganach, przyczem nie obeszło się bez bicia i różnego poniewierania ludźmi.

Sprawa serwitutu lasowego — jak już pisałem — została załatwioną wyrokiem, na podstawie którego gmina za prawo poboru drzewa opałowego i budowlanego otrzymała na własność 23 morgi lasu w Dęby.

Gmina czuła się tym wyrokiem pokrzywdzoną i nie chciała przyjąć takiego równoważnika czyli ekwiwalentu za prawo do poboru drzewa opałowego i budowlanego z lasów dworskich, a wójt Wojciech Mróz i pełnomocnik Wincenty Stala uciekli z lasu przy rozgraniczaniu i oddawaniu im tego skrawka lasu. Wkońcu jednak gmina objęła w posiadanie wyznaczone 23 morgi lasu, skoro okazało się, że w razie

nieprzyjęcia go straci jeszcze więcej, bo prawa serwitutowe zostaną spłacone pieniądzmi w kwocie 726 złr.

Sprawy powyższe przeprowadzała rządowa Komisja w Nisku. Ze strony dworu występował właściciel hr. Jan Tarnowski osobiście, ze strony gminy wymienieni pełnomocnicy włościan. Ugodę względnie wyrok zatwierdziło Namiestnictwo we Lwowie.

*
* *

Co do władzy, stojącej ponad gminami, to jeszcze po ustaniu pańszczyzny na całą okolicę, t. j., w państwie hr. Tarnowskich był jeden tylko urzędnik zwany mandatarjuszem, a załatwiał wszelkie takie sprawy, które dziś należą do sądu i do starostwa. Nazywał się Andrzej Tinz, — ludzie tytułowali go pospolicie sędzią. Mieszkał on i całe urzędowanie prowadził w budynku dworskim.

Co do sądownictwa przeprowadzał sprawy cywilne i karne, jakie się nadarzyły. Jak zasądził, tak zawsze pozostało, — nie słychać bylo, żeby jego osąd był zmieniony, bo przedewszystkiem nie miał kto pisać rekursów, w okolicy bowiem nie było ani jednego adwokata, i trudno było znaleźć kogo nawet do napisania listu. Więc ten Tinz przeprowadzał nie tylko takie sprawy, które obecnie przydzielone są starostwu i sądowi powiatowemu, — ale można powiedzieć — znaczył i tyle, co teraz sąd obwodowy i wyższy sąd krajowy, bo od wyroku jego nikt nie reku-

rował, i chłopi bali się go więcej, niż teraz najwyższych dygnitarzy.

Jeżeli ktoś czuł się pokrzywdzonym przez władzę miejscową, to tak wtedy, jak i później jeszcze, nie odpowiadał rekursem do władzy wyższej, ale mówił, że »pójdzie do cesarza, to tam sprawiedliwość znajdzie«. Wierzyli, że nikt takiej sprawiedliwości nie wymierzy, jak sam cesarz, i mówili, że »wszędzie zresztą jest tylko przekupstwo«.

W Dzikowie był wysłużony żołnierz austrjacki, Józef Krzyżek, który, prowadząc długi proces o ojcowiznę, wybrał się do Wiednia po sprawiedliwość, i nie było go w domu przez parę miesięcy. Gdy powrócił, opowiadał, że był u cesarza, i ten go upewnił, że sprawa będzie pomyślnie rozstrzygniętą. — »Idźcie — rzekł — do domu spokojnie, a ono tam za wami przyjdzie«; i dał mu 25 złr. na drogę. Naturalnie były to tylko przechwałki, bo grunt pozostał w rękach tego, komu go na miejscu przysądzono.

Tinz miał do pomocy dwóch policjantów, wysłużonych wojskowych, którzy nawet nie byli umundurowani, bo jeden z nich chłop, nazwiskiem Pacyna, chodził w kamizieli, a drugi żyd, Haskiel, chodził w chałacie. Wystarczyło, że mieli czapki z orzełkiem cesarskim.

Sprawy załatwiał w krótkiej drodze: na wniesioną skargę posyłał policjanta, ażeby oskarżonego sprowadził do kancelarji, i — w sprawach cywilnych — jeżeli druga strona miała słuszność, — kazał ją zaraz zaspokoić, to czy owo oddać, i proces był skończony.

Był n. p. zwyczaj, że chłopi z Dzikowa brali w Tarnobrzegu w głównym składzie wódkę na kredyt, a działo się to szczególnie w czasie żniw i zabaw, — a także często na miejscu w mieście »na borg« pili. Otóż co pewien czas, jak już tam każdy był coś winien, żyd przynosił wykaz dłużników mandatarjuszowi, a ten, nie przeprowadzając rozprawy, posyłał na wieś policjanta Haskla, który szedł od domu do domu i w te słowa każdemu ogłaszał wyrok: »Cesarsko-królewski sędzia daje nakaz, żeby do trzech dni borg za wódkę był zapłacony, bo jak nie, to będzie fantowanie«. Przytem — choć czytać nie umiał — potrząsał w rękach ze złością papierem, bo chłopi się wtenczas każdego papieru bali, zwłaszcza jak była na nim pieczątka. Po tych odwiedzinach Hasklowych, każdy, bojąc się fantowania, jak mógł, starał się należność w terminie uiścić, bo choć wszyscy pili, przecież wstydzili się tego, jak kto był za wódkę fantowany, — zwłaszcza wstydziły się kobiety, gdy brano im za fanty poduszki.

W sprawach karnych, jeżeli chodziło o mniejszą winę, oskarżony bez wszelkiego protokółu dostawał kilka kijów na ławie, i na tem koniec. Ale trudniejsza była sprawa, gdy obwiniony przeczuwał, że go czeka większa kara; wtenczas już tak łatwo na wezwanie nie szedł, ale uciekał i krył się, gdzie mógł. Jeżeli go zaś policjanci ujęli, a był mocny, to obu nabił i dalej się ukrywał. Za takim była nieraz robiona nagonka, zwłaszcza gdy chodziło o większego winowajcę. Nieraz do po-

mocy policjantom (ponieważ żandarmów w Tarnobrzegu jeszcze nie było) byli przyzywani strażnicy pograniczni (finanswachy), pełniący służbę nad Wisłą od Królestwa Polskiego. Zdarzało się jednak, że jak się obwiniony dobrze ukrywał, to go nigdy nie mogli złapać, i wkońcu cała sprawa ucichała.

Najwięcej do czynienia było wówczas ze złodziejami, których po wsiach nie brakowało. W samym Dzikowie byli tylko szkodnicy polni, co wypasali końmi zboże, wykopywali ziemniaki i t. p., ale po innych wsiach, zwłaszcza położonych w lasach, kradli konie i bydło ze stajni i pastwiska, podkopywali się do komór i brali zboże, słoninę, odzież, korale, — po drogach i lasach grasowały całe bandy złodziejów i rabusiów, i złodziejstwo rzadko się wykryło. Dopiero, jak nastali żandarmi, kradzieże i rabunki zaczęły powoli ustawać i dziś po wsiach bardzo rzadko się trafiają.

Grubsze sprawy cywilne, n. p. gruntowe, przeprowadzał nie mandatarjusz, ale sędzia (justicjarjusz), który urzędował w Nisku, a nazywał się Jan Alss, — ale chłopi do niego mniej spraw miewali.

*
* *

Byłem już sporym chłopakiem, jak skończyło się urzędowanie mandatarjuszów, a w Tarnobrzegu nastał urząd powiatowy, obejmujący dzisiejszy powiat sądowy tarnobrzeski. I ten urząd sprawował te czynności, które obecnie spełnia starostwo i sąd, to znaczy, miał władzę administracyjną i sądowniczą, a było

wszystkiego trzech głównych urzędników, mianowicie: Bissachini (Niemiec) był starostą, a dwóch innych: Mokrego (Czecha) i Święcickiego tytułowali sędziami lub komisarzami. I Tinz, były mandatarjusz, był przydzielony do tego urzędu powiatowego i prowadził dział wojskowy aż do samej emerytury.

Urzędowali oni tu, gdzie obecnie mieści się starostwo, t. j., w klasztorze OO. Dominikanów.

Nad temi urzędami pozostały z dawna urzędy obwodowe czyli cyrkuły, a powiat tarnobrzeski należał do cyrkułu rzeszowskiego. Nie słyszałem jednak, żeby chłopi ze sprawami tam się udawali, — ja sam byłem w Rzeszowie dopiero wtedy, jak zostałem sędzią przysięgłym.

Językiem urzędowym był niemiecki, przyczem urzędnicy do polskich ludzi starali się mówić po polsku, (ale niejeden nie umiał się dobrze po polsku rozmówić), protokoły jednak i pisma z urzędu były w języku niemieckim. To też często bywało, że ludzie nie chcieli podpisywać protokołów czy innych kawałków, pisanych po niemiecku, bo się bali, że może napisane co innego, nie to, co sobie życzyli, — i wogóle narzekali na to urzędowanie niemieckie i nie dowierzali mu.

Był wtedy w Dzikowie gospodarz Michał Kaput, znający skądś język niemiecki, — więc gdy raz we wsi była komisja w sprawach serwitutowych, starszyzna gminna przyzwała go, żeby się przysłuchiwał, co urzędnicy do siebie po niemiecku będą mówili,



Poeta Ferdynand Kuraś z rodziną. Przed domem swoim w Wielowsi pod Sandomierzem.

czy nie będą się naradzali na jaką szkodę gminy. A gdy chłopi nie mogli się z komisją dogadać, wysunęli Kaputa, żeby się po niemiecku rozmówił, co też nastąpiło. Zdziwili się niemało wówczas urzędnicy, że jest chłop, znający po niemiecku, a jeszcze większy był dla Kaputa podziw w całej gminie; mówili »że się ciął z urzędnikami, co ony do niego przepowiedziały, to on do nich«, i wszyscy się go wypytywali, o czem wtedy mówił.

* * *

Urządzenia powyższe dotrwały do r. 1867, a w tym roku nastały te, które istniały do upadku państwa austrjackiego, mianowicie: weszła w życie nowa, obecnie jeszcze obowiązująca ustawa gminna i rady powiatowe*), nastąpiło oddzielenie sądownictwa od administracji, czyli nastały sądy i starostwa, — ustaliła się ostatecznie konstytucja w całem państwie austrjackiem**), — a wreszcie niedługo potem językiem urzędowym w Galicji stał się język polski***). W owym więc czasie nastąpił przełom w stosunkach wewnętrznych Galicji i zaczął się nowy okres w jej życiu****).

* * *

W gminie po r. 1867 przestała zbierać się cała gromada, a na podstawie nowej ustawy nastały Rady

*) Ustawa z dnia 12 sierpnia 1866 roku.

**) Po wydaniu ustaw zasadniczych w grudniu 1867 r.

***) Na mocy rozporządzeń językowych z r. 1869.

****) Więcej o gminie i urządzeniach władz miejscowych w Galicji, patrz w „Przypisach“.

gminne, wybierane z początku na trzy lata, później zaś, jak i obecnie, na sześć.

Tak przy pierwszych, jak i przy późniejszych wyborach gminnych nikt nie ubiegał się o to, żeby go wybrali na radnego, — a ten, co szedł na wybór, do ostatniej chwili nie wiedział, na kogo da głos i przy głosowaniu wymieniał tych, na których drudzy przed nim głosowali, albo którzy mu wleźli na oczy. Dużo też było takich, co zupełnie nie przychodzili na wybór, bo nie chcieli być nigdzie wybranymi, a jeżeli byli wybrani, to się okupywali poczęsnem, ażeby ich zwolnić od tego obowiązku.

Z początku po nastaniu rad gminnych wójtem w Dzikowie był Wojciech Mróz, gospodarz niepiśmienny, jak wszyscy poprzedni wójtowie. Za niego dopiero nastał pierwszy pisarz gminny w Dzikowie, a był nim Jan Kuraś z Wielowsi *), a potem Tarczyński, który był zarazem pisarzem czyli sekretarzem w gminie tarnobrzeskiej. Mróz, jak dostał jakie pismo, przychodził też radzić się do mnie; ja przeczytałem

---

*) Jest to ojciec Ferdynanda Kurasia. Urodził się około r. 1843. Uczęszczał do szkół średnich w Tarnowie. Był czynny w powstaniu w r. 1863 jako kurjer, co go do więzienia na 9 miesięcy na zamku w Krakowie zawiodło. Pisarzem w Dzikowie był w r. 1869. Posiadał wielkie zdolności. Rozumiał język niemiecki, ruski, francuski, łaciński, nawet hebrajszczyzna nie była mu obcą. W młodości zwłaszcza pisał piękne, pełne polotu wiersze, które jednak bez śladu przepadły. Umarł w r. 1907 w Wielowsi. — (Informacje pochodzą od rodziny ś. p. Kurasia, które i inni znający go w zupełności potwierdzają, podnosząc jego niezwykłe zdolności).

i dawałem wyjaśnienie, — więc już wtedy zapoznałem się dosyć ze sprawami gminnemi, — a następnie w r. 1873 zostałem na wójta obrany. Mróz zdając mi urzędowanie, wręczył mi pieczęć gminną i skrzynkę drewnianą, w której było kilka papierów, t. j., arkusz majątku gminnego i parę poleceń z rządu, nie mających już wartości, — i na tem koniec.

Odtąd pieczęć wójtowska długo miała pozostawać w moich rękach, byłem bowiem wójtem z przerwami do r. 1918. Natomiast w Radzie gminnej zasiadam bez przerwy od czasu ich nastania do dnia dzisiejszego.

Tak Kuraś jak i Tarczyński, który był pisarzem w Dzikowie i za mojego wójtostwa, brali za pisarkę tylko 15 reńskich rocznie. Ja zaś jako wójt przez pierwszy okres, trwający wtedy 3 lata, nie pobieralem żadnej płacy, podobnie jak wszyscy przede mną wójtowie.

Gdy na drugi okres byłem ponownie wybrany, nie chciałem przyjąć wyboru, ponieważ obowiązki wójtowskie wymagały dość czasu, i miałem wskutek tego upadek w gospodarstwie, — a Rada gminna przeciwną była uchwaleniu jakiegokolwiek wynagrodzenia dla wójta, i niektórzy mówili, »żeby to wstydem było dla gminy aż za pieniądze szukać wójta«. Więc byłem w tej sprawie wzywany do starostwa, i gdy się tam wytłumaczyłem, dlaczego wyboru przyjąć nie mogę, starosta ówczesny Stanisław Jakubowicz osobiście przybył na posiedzenie Rady gminnej i przemawiał za tem, żeby Rada płacę wójtowską uchwa-

16*

liła. I dopiero wtedy została uchwalona pensja 30 złr. na rok, jak ja wtedy żądałem, i taka pozostała aż do r. 1900.

*
* *

Stosunek między wsią i dworem był w Dzikowie dobry. Ostatnim właścicielem Dzikowa za pańszczyzny był hr. Jan Bogdan Tarnowski, zmarły w r. 1850 w Królestwie Polskiem. Mówiono o nim powszechnie, że był to pan dobry, nie pozwolił swoim poddanym najmniejszej krzywdy zrobić, przyjaźnie ich traktował, pierwszy często pozdrawiał.

I musiał być dla ludu dobrym, bo wieść o jego śmierci wywołała wielki smutek, a gdy przyszła wiadomość, że zwłoki jego będą sprowadzone do Dzikowa przez Sandomierz, zgromadziły się w oznaczonym dniu na drodze z Dzikowa do Sandomierza tysiączne rzesze ludu włościańskiego ze wszystkich wsi, które do jego państwa należały. Pamiętam, jakie było wzruszenie, gdy zapowiedziano, że zwłoki już prowadzą, że są już w Sandomierzu, bo słychać, jak biją dzwony tamtejsze (i było je słychać, gdyż dzień był pogodny, cichy). Lud przejęty żalem nie czekał na miejscu, ale szedł naprzeciw ku Sandomierzowi, a jaka ogarnęła ludzi żałość, gdy ujrzeli trumnę, kryjącą zwłoki, wyrazić się to nie da. Opisuję to jako naoczny świadek, bo byłem tam razem z babką.

Żal był tem większy, że pomiędzy ludem włościańskim utrzymywała się pogłoska, że hrabia nie umarł zwykłą śmiercią, ale został z rozkazu rządu ro-

syjskiego rozstrzelany za jakąś polityczną działalność. Mówili, że otrzymał wezwanie od tegoż rządu, iż ma się stawić w oznaczonym dniu do usprawiedliwienia się pod zagrożeniem utraty dóbr, jakie posiadał pod panowaniem rosyjskiem. Gdy się zaś tam zgłosił — mówiono — że już więcej żywy nie wrócił. W rzeczywistości — jak w późniejszych czasach mogłem sprawdzić — hrabia umarł nagle w drodze powrotnej z majątku swojej żony.

Żoną jego była Gabrjela z Małachowskich. Tę dobroduszną panią dobrze zaznałem, gdyż, jak umarła, miałem 20 lat. Zatem jej dobroć mogę sam stwierdzić. Odwiedzała chorych szczególnie najbiedniejszych, dawała im wsparcie, chowała swoim kosztem umarłych. Ratowała każdego w najgorszej potrzebie, nikogo nie opuściła, — toteż garnęli się do niej biedni, jak pszczoły do ula. Założyła szkółkę dla dzieci chłopskich w Dzikowie.

Oboje mieli to sobie za zaszczyt i radość, gdy ich rodzina włościańska nawet najbiedniejsza poprosiła za chrzestnych ojców szczególnie pierwszego dziecka w rodzinie. To też nie brakło im chrzestników po wsiach, a następnie dorosły chłopak czy dziewczyna chlubili się tem, że hrabstwo Tarnowskich mieli za chrzestnych rodziców.

W ogóle chłopi okazywali przywiązanie do dworu tutejszego, w r. 1846 w czasie rabacji gotowali się stanąć w obronie zamku, i z tych to czasów pewnie pochodziła śpiewka ludowa:

Nima ci to nima, jak to w tym Dzikowie,
Są tam polskie panie i polscy panowie.

Po Bogdanie Tarnowskim odziedziczył dobra dzikowskie syn jego Jan. Był w całem słowa znaczeniu gospodarzem-rolnikiem, dbał nadzwyczajnie o dobrą uprawę gruntu i wzorowe prowadzenie gospodarstwa. Często konno objeżdżał i kontrolował folwarki, sam załatwiał sprawy administracyjne, sam zajmował się uporządkowaniem zawiłych spraw serwitutowych po ustaniu pańszczyzny.

W miejsce drewnianych, lichych budynków, jakie były po folwarkach z czasów pańszczyźnianych, wznosił murowane tak, że z całą prawdą można o nim powiedzieć, iż «zastał swoje folwarki drewniane, a zostawił murowane«, i dał przez to różnym rzemieślnikom niemało zarobku. Opowiadali o nim, że gdy w czasie objazdów na niwie świeżo uprawionej zauważył perz, schodził z konia, wyciągał cały perz z roli i przywoził na folwark, a rządca miał wiele wyrzutów, że dopuszcza do zaperzenia gruntu. Gdzie nie dało się narzędziem rolniczem roli wyczyścić, wchodzili ludzie, wyrywali ręcznie każdy chwaścik i mieli zarobki.

Toteż na dworskich niwach były wtedy ładne urody, aż miło było popatrzeć na nie. Niejeden włościanin zwłaszcza taki, który miał swój kawałek pola obok pańskiego, musiał się zawstydzić, kiedy widział, że na dworskiem piękny urodzaj a u niego lichy. Nieraz też była mowa między gospodarzami, że pan ma już takie szczęście na tym świecie, że mu się nawet

w polu lepiej rodzi. Ale gdy się przekonali, że lepsze plony daje staranniejsza uprawa gruntu, brali przykład z dworu, ziemię lepiej nawozili i uprawiali i otrzymywali wydatniejsze zbiory, — a dziś kto ma cztery morgi gruntu, to mu już chleba nie brakuje.

W życiu publicznem brał bardzo znaczny udział. Był prezesem Towarzystwa rolniczego w Krakowie, Rady powiatowej w Tarnobrzegu, posłem na Sejm, wreszcie marszałkiem krajowym w latach 1886—1890.

Pragnął żyć z włościanami w sąsiedzkiej zgodzie, być ich przedstawicielem, przytem umiał włościan uszanować. Gdy w r. 1887 obchodził srebrne wesele, zaprosił na tę uroczystość włościan z bliskich i dalszych wsi. Toteż kościół OO. Dominikanów w Tarnobrzegu wypełniony był wówczas ludem włościańskim po brzegi, następnie wszyscy byli proszeni do zamku w Dzikowie, gdzie byli podejmowani w ogrodzie za stołami suto zastawionemi. Hrabstwo byli ciągle między gośćmi, zajmując się nimi.

Gdy w r. 1894 przechodził dłuższą słabosć i widział się bliskim śmierci, prosił, ażeby go włościanie do grobu nieśli. Toteż na wiadomość o jego zgonie nie brakowało chłopów na pogrzebie i każdy pragnął nieść trumnę, więc się często zmieniali od bramy zamkowej do kościoła OO. Dominikanów, gdzie zwłoki jego spoczęły w grobie fundatorskim.

Ożeniony był z żyjącą dziś jeszcze Zofją z Zamoyskich, panią wielkiej pobożności i wielce litościwego serca. Ona też po folwarkach w dobrach dzi-

kowskich urządziła ochronki i sprowadziła do nich zakonnice służebniczki, które mają za obowiązek opiekować się dziećmi, gdy ich matki zajęte są pracą poza domem.

Najlepsze również wspomnienia wśród ludności tutejszej pozostawił po sobie hr. Stanisław Tarnowski, brat Jana i Juljusza, poległego w r. 1863. Mieszkał on wprawdzie stale w Krakowie, gdzie był profesorem uniwersytetu i prezesem Akademji Umiejętności, często jednak przyjeżdżał do rodzinnego Dzikowa i spędzał tu wolne chwile. Chętnie przychodził ludziom z pomocą, nikomu nie odmówił wsparcia, ktokolwiek o nie prosił. Wszelkie dobrodziejstwa jednak świadczył ludziom w cichości, prawdziwie w myśl Pisma Świętego: »Niech nie wie lewica, co daje prawica«. Nieraz jako wójt potwierdzałem przekazy pocztowe tym, którzy od niego wsparcie otrzymywali.

Zwłaszcza pamiętał zawsze o włościance tutejszej Marji Grębowcowej, która była jego piastunką w latach niemowlęcych. Zapewnił jej spokojne utrzymanie do końca życia, odwiedzał w czasie przyjazdu do Dzikowa, wspierał całą jej rodzinę. Byłem raz świadkiem, jak żegnał się z nią przed jednym z wyjazdów do Krakowa. Grębowcowa była już wtedy ociemniałą staruszką, płakała ze wzruszenia, usłyszawszy głos hr. Stanisława, wchodzącego do jej izby. Wypytywał ją o zdrowie, zapowiadał zaspokojenie wszelkich potrzeb, mianował ją matką, a na pożegnanie w rękę pocałował.

Umarł w r. 1916. Życie jego było nacechowane głęboką pobożnością, wsławione pracą naukową.

Następcy tych hrabiów wstępowali w ich ślady i starali się w dalszym ciągu utrzymywać dobre stosunki z ludnością włościańską. O ich dobrych czynach wspominam w odpowiednich miejscach »Pamiętników«.

* * *

Co do oświaty, to, jak zapamiętałem, w Dzikowie ze starszych ludzi jeden był tylko umiejący czytać i pisać. Nazywał się Franciszek Słomka, mieszkał w przysiołku Podłęże. On tylko potrafił przeczytać pismo, jeżeli je kto z urzędu lub ze świata otrzymał, co zresztą rzadko się wtedy trafiało. Do niego też nieśli ludzie wszelkie pisma i to nie tylko z Dzikowa, ale z całej okolicy; dawał rady we wszystkich sprawach z urzędami, — znaczył też wówczas więcej, niż obecnie adwokat, sędzia czy inny urzędnik z wyższemi szkołami.

On też pierwszy w Dzikowie miewał kalendarze, ale kupował je głównie dlatego, że były w nich przepowiednie pogody na cały rok, bo według tych przepowiedni gospodarował. Opowiadali o nim, że raz, wybierając się w dalszą drogę, namyślał się, jak się ubrać, a że kalendarz przepowiadał pogodę, więc ubrał się w nowy żółty kożuch. Tymczasem wypadła właśnie niepogoda, i powrócił do domu zupełnie spłu-

kany, za co pomścił się na kalendarzu, bo wyrzuci go z domu na deszcz.

Ale to wcale nie dziwne, że on wtedy trzymał się tych przepowiedni, bo i dzisiaj jeszcze przeważnie kupują kalendarze nie dlatego, że są w nich różne pouczające i pożyteczne opisy, ale że są przepowiednie pogody, które nie mają żadnej wartości *).

Zresztą w żadnym domu chłopskim wówczas nie znalazłby książki czy gazety, a nawet książeczki do nabożeństwa, — chowali tylko różne druki, jak wezwania z urzędu i dokumenty, jak testamenty, dekrety dziedzictwa, arkusze gruntowe, książeczki podatkowe, a ponieważ nie umieli rozróżnić kawałków ważnych od nieważnych, więc zarówno potrzebne dokumenty, jak i świstki bezwartościowe, które dziś porzuca się po pierwszem przeczytaniu, przechowywali jednakowo z największą starannością przez długie lata. Wszystko to, razem zwinięte i okręcone w jakąś szmatę, chowali w skrzyniach zamkniętych na dnie pod ubraniami lub w jakichś kryjówkach, bo bali się zawsze, że

---

*) Według informacji, zasięgniętej od rodziny po Franciszku Słomce, nauczył się on czytać i pisać — jak mówił — „z własnej głowy", następnie wszystkie swoje dzieci sam tej sztuki nauczył. Posiadał w domu ładną bibljoteczkę, która jednak po śmierci jego „wytraciła się"; grube księgi „Pisma Świętego" oddała rodzina księdzu, który był bardzo zdziwiony, że mogło się to znaleźć w domu chłopskim, a przyjąwszy je, nie chciał za pogrzeb żadnej opłaty. Franciszek Słomka był gospodarzem na sześciu morgach gruntu, umarł koło r. 1867, mając lat 50. Rodzina ta zdawna zamieszkała w Podłężu.

może im każą kiedy coś płacić lub robić jakąś powinność, a oni dla swojej obrony nie będą się mieli czem wykazać. Jeżeli zaś komu obcemu przyszło papier jakiś pokazać, to czynili to bardzo ostrożnie, patrzyli mu na ręce, żeby czego nie schował, i uważali, żeby sami czego nie uronili.

W niektórych wsiach, zwłaszcza nadwiślańskich, gdzie chłopi więcej byli chętni do oświaty, były szkoły zimowe, w których dzieci uczyły się przez zimę, zwyczajnie od św. Michała do św. Wojciecha. Uczyli w nich najczęściej chłopi, którzy posiadali sztukę czytania i pisania. Godzeni byli przez ludność wsiową, otrzymując po kilkadziesiąt reńskich za zimę i wikt z każdego domu po kolei. Niektórzy z nich chodzili za tym zarobkiem, gdy zima nastawała.

W Dzikowie — jak już wspomniałem — rozpoczęła pierwszą naukę Pawłowska z poręki hrabiny Tarnowskiej i od tej chwili dopiero ruszyła się oświata w Dzikowie.

* * *

W Tarnobrzegu w owym czasie była szkółka o jednym nauczycielu. Mieściła się przy ulicy Browarnej w domu wynajętym. W domu tym po jednej stronie znajdowała się sala szkolna, po drugiej mieszkał nauczyciel. Uczył tam za mojej pamięci Karasiński, Fabri, a wkońcu Szewczyk.

W r. 1864 stanęła w Tarnobrzegu szkoła publiczna w tem miejscu, gdzie jest obecnie, a plac pod nią i ogród podarował śp. hr. Jan Tarnowski; chodziły do

niej dzieci z Tarnobrzega, z Dzikowa i dosyć z Miechocina. W nowym budynku pierwszy uczył Gorylewicz, a prowadził jeszcze naukę sam jeden, nie mając nikogo do pomocy. Czy brał on jaką pensję rządową, tego nie wiem, pamiętam tylko dobrze, że w Dzikowie zbierało się składkę na nauczyciela, z numeru po 2 złr. na rok, a to po 50 ct. kwartalnie. Byłem wtedy wójtem, jak jeszcze Gorylewicz uczył, otóż prawie co drugi dzień zachodził do mnie zawsze z temi słowami: »Wójcie, możeście co zebrali dla mnie, bo nie mam na chleb«, — więc co było dawałem i za każdym razem rachowałem się z nim, żeby rachunki były w porządku.

W r. 1875 nastał śp. Michalik; on już był dyrektorem i nauczycieli było więcej, szkoła za niego zaczęła się prędko podnosić, klas przybywało coraz więcej.

Posyłanie uczniów na dalszą naukę do szkół średnich, do gimnazjów i seminarjów nauczycielskich, rozpoczęło się dopiero wtedy, gdy za śp. Michalika nastała 4-klasowa szkoła w Tarnobrzegu i pierwsi uczniowie z niej wyszli. Z samego Dzikowa wyszło wtedy w krótkim czasie kilku uczniów i dalsze nauki kończyli w Rzeszowie lub Krakowie. A pierwszym tym uczniom nie tylko z Dzikowa, ale i z okolicy, ułatwiał bardzo kształcenie się, wspierając ich materjalnie, hr. Stanisław Tarnowski, profesor uniwersytetu i prezes Akademji Umiejętności w Krakowie, który i później zawsze nie przestawał się opiekować uczącą się młodzieżą z naszych okolic*).

---

*) O oświacie pozaszkolnej w Dzikowie: patrz w „Przypisach“.

Obecnie, t. j., w r. 1928, znajduje się w Tarnobrzegu cały szereg szkół. To też w niedziele, w czasie wspólnych nabożeństw szkolnych, kościół O. O. Dominikanów wypełniony jest przeważnie młodzieżą szkolną.

* *
*

Co do życia politycznego, to przez długi czas po nastaniu konstytucji nie było znaku takiego życia. Wszelkie wybory: do sejmu czy parlamentu bardzo mało chłopów interesowały, mało kto o tem mówił i chciał coś wiedzieć. A gdy kto czasem o tem coś wspomniał, to drudzy zaraz odpowiadali: »Co mnie to obchodzi, kto posłem ostanie, — niech ta obiorą, kogo chcą; tam chłop nie zdatny, bo nie ma nauki, a pan będzie trzymał z panami i dla chłopów nic tam nie zrobi, więc najlepiej nie zaprzątać sobie tem głowy, bo to nic dobrego«.

Na prawybory w gminie przychodziło zwyczajnie kilku, a najwięcej kilkunastu uprawnionych do głosowania i ci bez żadnego ożywienia dokonywali wyboru, a kiedy znowu miał się odbyć wybór posła, to wyborcy zeszli się w starostwie może w połowie, niejeden zaś powiedział sobie: »Będę ta szedł i czas tracił, najlepiej siedzieć w domu spokojnie«; — żona mu to przychwaliła i wyborca przesiedział wybory w domu. Ci zaś, co ściągnęli do miasta, oddawali głosy na tego, kto był ze starostwa w dniu wyboru wysunięty, — i poseł był wybrany; — a potem we wsi bardzo mało

było nawet na tyle ciekawych, żeby się dowiedzieć, kto został posłem i gdy się kogoś przyszło zapytać: »Kto u was posłem?«, to nie wiedział, i cały okres zeszedł, i nie dowiadywał się.

Na wsi nieznane były zgromadzenia polityczne, jakie obecnie często odbywają się, jedynie w dniu wyborów w powiecie bywały krótkie narady, na których chłopi dowiadywali się, na kogo głosować będą. Poseł nie urządzał nigdy zgromadzeń sprawozdawczych, i nikt od niego sprawozdania nie żądał.

Słowem poza zebraniami gromadzkiemi i prócz zabaw, wesel i chrzcin nie było we wsi jak i w mieście, żadnego innego życia zbiorowego, nie było żadnych towarzystw i stowarzyszeń.

Pierwsza walka wyborcza powstała w r. 1877 przy wyborach uzupełniających do Rady Państwa w Wiedniu. Ale i wówczas było jeszcze tak, że wyborcy zjeżdżając się nie wiedzieli jeszcze, na kogo będą głosowali, tylko na mieście tyle było słychać, żeby wybrać chłopa; — nie było jednak zgody, którego chłopa i co kilkunastu wyborców miało swojego kandydata. Wkońcu najgłośniej był wymieniany Walenty Bęc, gospodarz z Ostrówka, i chłopi się wzajemnie nawoływali, żeby tylko na niego głosować i głosów nie rozrywać, bo inaczej chłop nie będzie wybrany.

Gdy przyszło do głosowania w starostwie, chłopi, jak mur, stanęli za Bęcem i on w Tarnobrzegu dostał najwięcej głosów, — ale w innych powiatach: w mieleckim i ropczyckim, stanowiących jeden okręg wy-

borczy, nie otrzymał nic. Ponieważ jednak głosy były rozstrzelone na kilku kandydatów i należało się spodziewać wyboru ściślejszego, więc chłopi czekali na ogłoszenie wyniku głosowania i żaden nie ruszył się z miejsca, a gdy wieczór zapadł, posiadali i pokładli się na korytarzach w starostwie tak, że całe korytarze zajęli i czekali cierpliwie. Gotowi byli choćby całą noc czekać, — a wtem ukazał się starosta i zawołał: »Panowie wyborcy, proszę do głosowania! odbędzie się wybór ściślejszy między Bęcem, a Zdankiewiczem, starostą mieleckim«.

Teraz znowu chłopi ławą głosowali na Bęca, a panowie i duchowieństwo, którzy na wynik po kancelarjach czekali, na Zdankiewicza, — następnie wszyscy rozeszli się i dopiero z gazet stało się wiadomem, że posłem został Bęc.

Jak się później dowiedziałem, zdobył większość głosów w ten sposób: Gdy po pierwszem głosowaniu poszły telegramy z Tarnobrzega, że Bęc dostał najwięcej głosów, chłopi w Ropczycach porzucili pierwszych kandydatów, a krzyczeli: »Bęc, Bęc!« — tłumacząc sobie, że musi to być mądry chłop, skoro w swoim powiecie tyle miał głosów, — i wszyscy na Bęca głosowali, więc przeszedł znaczną większością. Był posłem do końca okresu, a ponieważ był nieustępliwy, więc przy następnych wyborach była przeciw niemu ostra walka i upadł*).

---

*) Walenty Bęc wybrany był posłem 28 listopada 1877. — W pierwszem głosowaniu brało udział 285 wyborców: 134 w Tar-

Znałem go bardzo dobrze, bo zasiadałem z nim w Radzie powiatowej i prócz tego często się z nim stykałem. Jako gospodarz był wzorowy, pracowity i oszczędny; ale gdzie nie było musu, centa nie wydał, toteż, jak pogorzał, spaliła się mu nawet gotówka, a nie miał nic asekurowane. Sprawie chłopskiej oddany był bardzo i śmiało przytem wypowiadał to, co myślał.

Ale nie otrząsnął się z tego, co pokutowało w chłopach starej daty, mianowicie: przeciwny był zawsze wydatkom, choćby wypadały na korzyść ludu, n. p. na lepsze szkoły, — i choćby wszyscy powiedzieli, że coś jest potrzebne, a jemu się to nie zdawało, to

---

nobrzegu, 90 w Mielcu, 61 w Ropczycach. W Tarnobrzegu Bęc otrzymał 75 głosów, ks. Teczkowski z Grębowa 26, Trzaskowski, dyr. gimn. z Tarnowa 23, Jakubowicz, starosta 7, Lewicki, włościanin z Majdanu 3; w Mielcu wszystkie prawie głosy otrzymał starosta tamtejszy Zdankiewicz; w Ropczycach rozstrzeliły się głosy między ks. Sapeckim a starostą tamtejszym Gałeckim. — W wyborze ściślejszym brało udział 221 wyborców, z tego z Tarnobrzega 113, w Mielcu 49, w Ropczycach 59. W Tarnobrzegu Bęc otrzymał 89 głosów, Zdankiewicz 24; w Mielcu wszystkie głosy otrzymał Zdankiewicz; w Ropczycach-Bęc otrzymał 36 głosów, Zdankie- 23. W całości Zdankiewicz miał 96 głosów, a Bęc 125 i został wybrany. W izbie poselskiej jawił się po raz pierwszy 12 stycznia 1878, wybór jego uznany za ważny 1 lutego; odtąd cicho i głucho o nim: nie przemawiał, nie wystąpił z żadnym wnioskiem ani z interpelacją, nie wybrany do żadnej Komisji. Przy nowych wyborach w r. 1879 w okręgu Tarnobrzeg-Mielec-Ropczyce wybrany został hr. Jan Tarnowski.



Hr. Jan Tarnowski z Dzikowa.
* 12. I. 1835, † 11. V. 1894.
Był marszałkiem krajowym (Galicji) od r. 1886—1890.

nie odstąpił od swego zdania i na drugich chłopów się gniewał, że z nim razem nie idą i nie głosują. Nie dał sobie wytłumaczyć, że jeżeli się na coś podatku nie uchwali, to nic się nie da zrobić i wszystko zostanie po dawnemu — będzie dawne zacofanie i bieda.

Trzymał przytem bardzo stronę rządu austrjackiego, mówiąc, że »tylko w rządzie widzi cokolwiek sprawiedliwości, a panowie nasi chcą wszędzie chłopa utrącić i dlatego — jak powiadał — na nic nie chciałem się z nimi zgodzić, a chociaż mój głos między wszystkiemi nic nie znaczył, to go im nie dałem, bo moje sumienie na to nie pozwalało«.

Zczasem i pod tym względem się zmieniło, bo już każdy mniej więcej przeglądał na oczy, że rząd wiedeński niczego z łaski nie dawał i trzeba było wszystko z trudnością zdobywać. Dlatego posłowie polscy w Wiedniu łączyli się razem w jedno Koło, żeby mieć wobec rządu i w państwie większą siłę i prędzej coś wskórać.

Jak się w późniejszym czasie odbywały wybory, jakie było zainteresowanie niemi i naprężenie wśród ludności, tak między młodymi, jak starymi a nawet między kobietami, to zbytecznem jest spisywać, bo każdy na to patrzył. Dla przykładu wspomnę tylko, że w Dzikowie już w pierwszych wyborach do parlamentu, odbywających się w r. 1907 na podstawie powszechnego prawa głosowania, (kiedy z tutejszego okręgu zostali posłami Krempa i Wiącek), przy pierwszem głosowaniu brakowało tylko dwóch z uprawnio-

nych do głosowania i obecnych w gminie, — a gdy pierwsze głosowanie nie dało wyniku i nastąpiło drugie ponowne, to i ci dwaj się stawili tak, że nikogo nie brakło.

* * *

Co do uświadomienia narodowego dawniej, jak zapamiętałem, chłopi nazywali się tylko mazurami a mowę swoją mazurską, żyli tylko sami dla siebie, stanowiąc zupełnie odrębną masę, obojętną zupełnie na sprawy narodowe. Ja n. p. dopiero wtedy, jak zacząłem czytać książki i gazety, poczułem się Polakiem i uważam, że inni włościanie w ten sam mniej więcej sposób dochodzili do poznania swej narodowości.

Z przeszłych wydarzeń i wypadków znali tylko te, które sami przeżyli i zapamiętali albo o których słyszeli od starszych. Opowiadali najwięcej o pańszczyźnie i strasznie ją malowali, szczególniej polowych i ekonomów i wogóle oficjalistów dworskich, co rozpalało i podtrzymywało ciągle nienawiść do dworów i »panów«.

Słyszałem też, jak dziadkowie i inni starsi mówili o Polsce, o królach polskich i rządach, jakie były, że Polska przez brak zgody i jedności między panami została rozerwana na trzy części i że ta część, w której mieszkamy, z rozebranej Polski pochodzi i dostała się pod panowanie austrjackie. Pamiętali sami rozbiór Polski, albo słyszeli o tem od swoich ojców.

Z wojen polskich starsi opowiadali najwięcej o t. zw. »wojnie sandomierskiej« z r. 1809, a nazywali ją sandomierską, bo walka była o Sandomierz i pod San-

domierzem. Mówili, że to była wojna o Polskę, że się biło wojsko polskie z austrjackiem.

Wojsko austrjackie szło wtedy pod Sandomierz różnemi drogami, także i przez Dzików, — a najwięcej wówczas wycierpieli wójci, bo wojsko żądało »forszpanów«, a gdy wójt nie mógł wszystkiego prędko znaleźć i dostawić, to go zbili i ledwie żywego puścili. Kiedy zaś było zdobywanie Sandomierza, to od huku strzałów w Dzikowie ziemia drżała, i okna w domach dzwoniły, a Sandomierz stał jakby w ogniu. Ludzie uciekali z domów i kryli się po krzakach nad Wisłą.

A już ja zapamiętałem, że znajdowała się u nas kula armatnia, o której starsi mówili, że była znaleziona po tej wojnie na polach dzikowskich. Była wielkości głowy cielęcej, z jednego końca grubsza, w drugim cieńsza, a w domu taki z niej był użytek, że ją rozpalali na ogniu i używali przy polewaniu bielizny*).

Zaraz po tej wojnie nastąpił rozdział Galicji od późniejszego Królestwa Polskiego, przedtem bowiem obie strony były razem połączone, a pod Dzikowem przy t. zw. »Skalnej górze« był przewóz przez Wisłę. Dziadkowie moi i inni, którzy pamiętali, jak Galicja z Królestwem stanowiła jedną całość, nieraz na ten rozdział narzekali, mówili, że im się zdaje, jakby się świat skrócił, i jakby stanął wielki mur, który jedną

---

*) O wypadkach w r. 1809 pod Sandomierzem: patrz w „Przypisach“.

stronę od drugiej odgraniczył. Opowiadali, że wprzódy czy z tej, czy z tamtej strony Wisły każdy był jednakowo wolny, złapał byle koryto i mógł przeprawić się przez Wisłę.

Jeździli też dawniej z jednej strony na drugą swobodnie na odpusty, jarmarki i za innemi sprawami, łączyli się w związki małżeńskie i wzajemnie się popierali, jakby jedna wielka familja, — a później wszystko to ustało i doszło do tego, że rozerwane były wszelkie związki rodzinne jednej strony z drugą, i nawet bliżsi krewni nie znali się, choć ich dzieliła tylko Wisła. Bo granicy tej bez przepustki czyli »paszportu« nogą nie wolno było przestąpić, i przepuszczali za Wisłę tylko przez dalekie komory z różnemi trudnościami. Więc też narzekali na to wszystko, szczególniej we wsiach nadgranicznych nadwiślańskich i byli za tem, żeby jedną stronę z drugą napowrót połączyć.

Uświadomienie narodowe szło jednak powoli i do ostatnich czasów dość jeszcze znalazło się takich, co gdy im wspomnieć było o Polsce, to się złościli i klęli, mówiąc, że tylko panowie mogą chcieć Polski, żeby na nich ludzie robili, jak za pańszczyzny, i takim trudno było wytłómaczyć, że czasy pańszczyzny już minęły i powrócić nie mogą. Nie chcieli słyszeć o Polsce, bojąc się, że panowie znowu obejmą rządy i przywrócą pańszczyznę.

Ale liczba tych malała, a natomiast rósł zastęp ludzi światłych, którzy twardo stali przy swojej na-

rodowości i byli gotowi do wszelkiej jej obrony i rozumieli to, że byłoby lepiej, gdyby wszystkie zabory były połączone i naród sam się gospodarował i miał przestronniej *).

---

*) O uroczystościach narodowych w pow. tarnobrzeskim: patrz w „Przypisach".

IX.

Dalszy bieg życia. Dokupowanie gruntu. Pożyczki. Cegielnia. Wapniarnia i walka konkurencyjna. Kółko rolnicze. Podatki. Podróże do Krakowa, na Ruś, do Królestwa Polskiego i inne. Kształcenie dzieci. Jak doszedłem do majątku i znaczenia między ludźmi.

Wracam do skreślenia dalszego biegu mego życia i spraw osobistych.

Co się tyczy mojego gospodarstwa, to, mając na razie — jak już wspomniałem — tylko 4 morgi gruntu, zacząłem myśleć, ażeby go więcej nabyć tak, iżby to wystarczyło na utrzymanie rodziny. Dokupywałem tedy po kawałku z wolnej ręki i doszedłem z czasem do 13 morgów.

Mianowicie koło r. 1874 i w następnych latach nabyłem około 5 morgów z gospodarstw, które upadły wówczas w całości lub w części wskutek pijaństwa ich właścicieli i lichwy żydowskiej. Z tego około 3 morgi kupiłem z pierwszej ręki wprost od gospodarzy, a 2 morgi dopiero od żyda. Morga wypadała wtedy przeciętnie po 200 złr. i dochodziła do 400 złr., jeżeli kto kupował mniejsze kawałki i w dogodnem dla siebie położeniu. Tak ja płaciłem i inni gospodarze, którzy wtedy zaczęli brać się do kupna ziemi, pobudzeni wolnością dzielenia gruntów i zaprowa-

dzeniem hipoteki, — ale żydzi zagarniali wówczas grunta za bezcen, a to zapomocą lichwy, o czem już pisałem.

Koło r. 1890 kupiłem znowu około 4 morgi po gospodarzach, którzy wyjeżdżali na Ruś. Wszystko odkupiłem wtedy dopiero od żydów, dając im od ręki 200 złr. zarobku, bo wprost od wychodźców trudno się było dokupić. Morgę płacili jeszcze wtedy przeciętnie po 400 złr., — i wogóle do czasu wychodźtwa zarobkowego, które się rozwinęło koło r. 1895, ceny ziemi tak w Dzikowie, jak i w innych wsiach tutejszego powiatu podnosiły się nieznacznie i dopiero od czasu tego wychodźtwa podskoczyły nagle w górę tak, że za morgę płacili po 3.000 koron.

* * *

Grunt był wprawdzie dawniej tani, ale zato o pieniądze było bardzo trudno: nie było takich, jak są dzisiaj, kas pożyczkowych, i procenta były lichwiarskie. Ja miałem w owym czasie z tem dobrze, że gdym chciał pożyczyć pieniędzy, to mogłem w każdym razie dostać pożyczkę na 10%, a najwyżej na 15%, a kredyt taki zdobyłem sobie głównie przez to, że dług spłacałem rzetelnie na termin. Nie pamiętam, żeby mi kto dwa razy mówił o swoją należytość, i zginąłbym od wstydu, gdyby mię ktoś słusznie skarżył o swoje do sądu.

W całem też mojem życiu nigdy o dług nie byłem skarżony i kosztów z tego tytułu nie miałem

nigdy żadnych. Tem zjednałem sobie takie zaufanie że zczasem nawet nieznane mi żydki, gdy zaręczali swoje córki, przychodzili do mnie i prosili o przyjęcie pieniędzy, które chcieli jako wiano córek u mnie na procent ulokować, — i w takich razach otrzymywałem pożyczkę na dogodnych warunkach. Na zabezpieczenie zaś pożyczki wystarczyło, żem dał prosty kwit z podpisem nawet bez świadków.

Nie piszę tego, aby się chwalić, ale dla przykładu tym, którzy pożyczki zaciągają, a nie troszczą się o rzetelne oddanie i narażają się na skargi, procesy, koszta sądowe i utratę kredytu.

Trudno było obejść się bez pożyczek, skoro — jak wspomniałem — dokupiłem 9 morgów gruntu, a nadto zabrałem się do przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych i miałem inne znaczne wydatki, o czem będzie w dalszym ciągu. Trzeba było pożyczać już nie stówkami, ale tysiączkami.

W Tarnobrzegu pierwsza kasa publiczna powstała w r. 1887, mianowicie kasa Towarzystwa zaliczkowego, założonego głównie za staraniem dra A. Reifera, ale dawała tylko drobne pożyczki przeciętnie po 100—200 złr., a zresztą można było zaciągać także niewielkie pożyczki prywatnie u żydów.

Ale dowiedziałem się wtedy o tarnowskiej Kasie oszczędności, dającej większe pożyczki na 7%, i tam postanowiłem więcej pożyczyć, aby spłacić drobne długi. Ponieważ do tego potrzebny był wyciąg hipoteczny, przeto wniosłem do sądu tarnobrzeskiego

o oszacowanie całej mojej realności, — i wtedy w r. 1890 była ona oszacowana na 16.000 złr. Po wyrobieniu wszystkich dokumentów posłałem podanie do Tarnowa o pożyczkę w kwocie 3.000 złr. i po pewnych staraniach otrzymałem tyle.

Z pożyczonych pieniędzy centa nigdy nie zmarnowałem, ale obracałem je zaraz na powiększenie gospodarstwa i swoich przedsiębiorstw przemysłowych, — więc pożyczka na dobre mi wychodziła.

*
* *

Miałem niedaleko domu na t. zw. Podgórzu około $1^1/_2$ morgi gruntu, z czego większa część położona była na stoku wzgórza, trudna do uprawy i mało urodzajna, bo wierzch i spód stanowiła zwięzła glina. Zaraz od początku mego gospodarowania przemyśliwałem nad tem, jakby ten grunt najkorzystniej zużytkować. Kopiąc doły, przekonywałem się, że glina jest na 3 m. głęboko, — więc powziąłem myśl założenia cegielni. Liczyłem na zbyt cegły w Tarnobrzegu i w okolicy, gdyż na miejscu była tylko cegielnia dworska, w której wyrabiano cegłę na własny użytek. Ludzie zawodowi: strycharze, których rady przy sposobności zasięgałem, upewniali mię, że glina dobra, i cegielnia się opłaci. Zrobiłem próbę — wypaliłem w rozkopanej górze około 20.000 cegły, — okazało się, że jest dobra, ludzie ją rozkupili, i miałem ładny zysk.

Więc wziąłem się stanowczo do wyrobu cegły: wymurowałem dobry piec, kierat, szopę, zgodziłem

strycharza i od roku 1876 przez 30 lat cegielnia ta była ciągle w ruchu. Wypalało się w niej przeciętnie po 150.000 cegieł rocznie, w latach zaś, kiedy odbyt na cegłę był najlepszy, wypalałem przez lato 10 pieców po 22.000. Razem w ciągu 30 lat wypaliło się przynajmniej 5 miljonów cegły.

Na tysiącu cegły miałem zarobek 5 złr., w czem mieściło się już wynagrodzenie za glinę. Rocznie więc miałem dochodu przeciętnie 750 złr., a w ciągu 30 lat cegielnia przyniosła mi przeszło 20.000 złr. dochodu.

Pole przez cegielnię nie zepsuło się, ale owszem naprawiło, bo góra się zrównała, i na tem miejscu założyłem ogród warzywny i owocowy i staw odpływowy.

Jednak nie tylko ja zyskałem, ale także dałem ludziom zarobek, którego dawniej szczególniej był brak wielki.

W cegielni pracowało stale 8 robotników, zajętych przyrządzaniem gliny, wyrobem cegły, zawożeniem jej do pieca, i wywożeniem po wypaleniu z pieca. Najwięcej tych robotników bywało z Mokrzyszowa. Inni zarabiali furmankami, gdyż na wypalenie każdego pieca szło 15 sągów drzewa, czyli 30 fur drzewa, licząc 1/2 sąga na furę, a na dostawienie cegły z jednego pieca do miejsc przeznaczenia trzeba było przeszło 100 furmanek, które brały po 200 cegieł.

W cegielni więc wyrobnicy zarobili setki tysiące, co mnie równie cieszyło, jak mój osobisty zarobek. Od początku bowiem prowadzenia tego czy innych przedsiębiorstw nie miałem nigdy na myśli osiągnąć wielkię

zyski i lekko się zbogacić, a zawsze miło mi było, że choć garstka ludzi potrzebujących znajduje u mnie stale zarobek. Zato miałem taką nagrodę, że ludzie w gminie i w okolicy darzyli mię nawzajem życzliwością i zaufaniem.

Z cegielni mojej brany był materjał na budowę wielu domów po pożarach w Tarnobrzegu, na pobliskie mosty kolejowe w czasie budowania drogi kolejowej do Tarnobrzega, na budowę pałacu w Mokrzyszowie, na budowę kominów, piwnic i t. p. w gospodarstwach chłopskich po wsiach okolicznych.

Z cegły tej wybudowałem też w latach 1882—1883 obszerny dom własny, który był pierwszym chłopskim domem murowanym w Dzikowie, nazywany »kamienicą Słomkową«. Dom ten składał się z 4 pokoi, 2 kuchen, spiżarni i wygodnych piwnic. Z tego zamieszkałem z rodziną jeden pokój z kuchnią, resztę wynajmowałem lokatorom. Mieszkał u mnie przez szereg lat najpierw ś. p. Michalik, dyrektor szkoły powszechnej w Tarnobrzegu, następnie ś. p. Józef Stebnicki, geometra, którzy w owym czasie zaprzyjaźnili się ze mną, byli prawdziwymi przyjaciółmi dla mnie i mojej rodziny, trzymali dzieci moje do chrztu.

Gdy mi cegielnia szła najlepiej, natrafiłem nagle w tem przedsiębiorstwie na silnego konkurenta. Podówczas był w Tarnobrzegu Jankiel Pancer sławnym i bogatym kupcem, miał handel wapna, gipsu, cementu, węgli, koksu, soli kamiennej i t. p., — kupował u niego każdy, był dostawcą po dworach w po-

wiecie i poza powiatem, i miał duże zyski, bo nie było drugiego takiego handlu, i nie miał konkurencji. Wiedział on od ludzi, że ja na cegłę mam odbyt, bo, kto u mnie kupił cegłę, szedł do niego po wapno, — więc chciał za wszelką cenę mieć i cegielnię i starał się tak długo, aż u hrabiego cegielnię poddzierżawił i począł wypalać cegłę na sprzedaż na wielką skalę.

Wtenczas ja zacząłem tracić odbiorców, bo, kto kupił u mnie cegłę, musiał za karę dwa razy więcej za wapno u Pancera płacić, — więc każdy był zmuszony jedno i drugie brać u niego, — innego bowiem składu z wapnem nie było.

Raz przyszedł do mnie inżynier z Tarnobrzega, który miał dom budować, obejrzał cegłę, spodobała mu się, zgodził się ze mną i kazał mi przyjść na drugi dzień do siebie po pieniądze. Ucieszyłem się, że większą ilość cegły sprzedam i nazajutrz poszedłem do niego, a on mi powiada: »Z bólem serca muszę powiedzieć, że u pana cegły kupić nie mogę, bo byłem u Pancera zamówić wapno, a ten mi oświadczył, że jak cegły u niego nie wezmę, to za wapno będę musiał zapłacić drożej, a niema tu innego handlu z wapnem«. I tak się stało, że cegłę i wapno wziął u Pancera. Wtenczas poruszyły się we mnie wszystkie nerwy, że mi żyd tak haniebnie wlazł na kark. Nie było innej rady, tylko trzeba się było przed taką konkurencją silnie bronić, bo inaczej cegielni mojej groził upadek. Postanowiłem więc założyć także fabryczkę do wypalania wapna.

* * *

Ale sprawa nie była łatwa, bo wtenczas nie było jeszcze do Tarnobrzega kolei, i kamień wapienny trzeba było sprowadzać Wisłą, a na spławianie nią musiało się mieć pozwolenie Dyrekcji skarbu we Lwowie; nadto Pancer trzymał w dzierżawie od hrabiego brzeg nadwiślański pod Dzikowem, gdzie zatrzymywały się galary z kamieniem wapiennym. Jednak sprawy już nie zasypiałem. Poszedłem do hrabiego z prośbą, żeby mi dał pozwolenie na skład kamienia wapiennego nad Wisłą, co uzyskałem, zobowiązawszy się płacić za to, podobnie jak Pancer, po 2 złr. od każdego galara. Wtedy napisałem do Dyrekcji skarbu we Lwowie, i stamtąd także przyszło mi pozwolenie.

Skoro tak na miejscu sprawa była załatwiona, należało teraz jechać do Krakowa i kamień zakupić. Ale to był twardszy sęk dla mnie, bo w Krakowie nigdy jeszcze nie byłem, nie znałem tam nikogo, nie wiedziałem z kim zawrzeć interes na dostawę kamienia. Pancerowi mogło to iść łatwiej, bo miał już wyrobione stosunki z Krakowem, mógł tylko list napisać, a dostarczyli mu galarami, co mu było potrzebne.

Dowiedziałem się jednak, że jest tam na Kaźmierzu kupiec Weinberg, mający skład materjałów budowlanych, które wysyła też galarami; — wziąłem więc adres do niego i wyjechałem do Krakowa: wozem do Dębicy, a dalej koleją.

Jednak, choć ja robiłem bez rozgłosu, Pancer dowiedział się o moich zamiarach. Ja w Krakowie wychodzę ze stacji, rozglądam się, — widzę Pancera;

następnie gdzie się ja obrócę, — on idzie wszędzie za mną z tyłu. Boję się iść wprost na Kaźmierz, bo myślę sobie, że pójdzie za mną i cały interes zepsuje. Chodzę więc i rozglądam się po ulicach, ale ten wszędzie za mną. Żeby się go pozbyć, wszedłem do kościoła i modlę się dość długo; — wychodzę, — on czeka, a następnie idzie za mną. Poszedłem na nocleg, — wychodzę rano, patrzę, Pancer czeka przed domem noclegowym i śledzi mię dalej.

Wreszcie przystąpił do mnie, przywitał się i prosi na piwo. W piwiarni mówi mi, że wie, pocom do Krakowa przyjechał, — i prosi na wszystko, żebym od swego zamiaru odstąpił, żeby mu handlu nie psuć, przedstawiał, że mogę na tem stracić majątek, obiecywał, że mi już nie będzie odciągał odbiorców. Ja robiłem mu ostre wyrzuty, ostatecznie rozeszliśmy się z niczem, a wkońcu zdołałem mu zniknąć z oczu i udałem się na Kaźmierz.

Weinberg przyjął mnie bardzo dobrze i przyrzekł interes załatwić jak najlepiej, bo na Pancera miał złość z czasów, kiedy był z nim w stosunkach handlowych. Zamówiłem na razie galar kamienia wapiennego, kilka beczek cementu i gipsu i, widząc, że kupiec jest porządny, dałem mu na rachunek 600 złr. Na to on zaprosił mię do swego prywatnego mieszkania, pokazywał pokoje, porządnie umeblowane, i rzecze do mnie: »Niech pan nie myśli, że dla pochwały pokazuję swoje gospodarstwo, — czynię tak dlatego, żebyś mię pan poznał i pojechał spokojnie

do domu; — bo, jak jestem kupcem, pierwszy raz mi się to przytrafia, że gospodarz, nie znając mnie, od razu powierza mi grubszą kwotę; w Krakowie dużo jest takich, którzyby w cztery oczy pieniądze odebrali, i więcejbyś ich pan nie widział«. Podziękowałem mu za dobre słowo i pożegnałem się.

Do domu wracałem też razem z Pancerem. W drodze zaczął się mnie żałować, że niepotrzebniem sobie parę reńskich stracił na podróż do Krakowa, na co mu odpowiedziałem, że wcale tego nie żałuję, bom Kraków widział. Nic zaś nie wiedział o tem, żem był u Weinberga i że zamówienie tam uskuteczniłem, tylko zauważył, że miałem nowy kapelusz. Gdy na drugi dzień spotkałem się w Tarnobrzegu z żydkami, ci mi opowiadali, że Pancer śmieje się ze mnie, że chłop chciał jemu kupcowi robić konkurencję, ale nie umiał, bo zaledwo potrafił kupić sobie w Krakowie kapelusz, bo do tego tylko zdatny. I tak śmiał się dalej.

Tymczasem nie zeszło dwa tygodnie, a tu kupiec Pancerów z Krakowa donosi, że Weinberg wysyła galar kamienia wapiennego na imię Jana Słomki z Dzikowa. Pancer wartę postawił przy Wiśle, a gdy galar się zjawił, zapowiedział, że do lądu przybić nie wolno, bo lądy on zadzierżawił. Ja wtedy śpieszę do Wisły i pokazuję kwit ze dworu, — leśni ustępują ze słowami: »Już wolno, bo jest kwit, podpisany przez samego hrabiego«. Pancer jedzie więc na komorę celną w Nadbrzeziu i prosi o zakazanie mi wyładowywania kamienia, — tam odpowiadają, że Słomka

ma pozwolenie z Dyrekcji. Innej przeszkody nie mógł już znaleźć.

Więc na drugi dzień raniutko przychodzi do mnie do domu i prosi na bok na rozmowę. Wyszliśmy razem do ogrodu i siedliśmy na trawniku. Tu długo przekonywał mię, czegoby na kilku arkuszach nie spisał, żebym od handlu wapnem odstąpił, — nareszcie wyjął z kieszeni 300 złr., położył przede mną i rzecze: »Ma to pan za odstępne i nie rób mi pan konkurencji, a swoją drogą zapłacę też galar z towarem i wszystkie koszta wrócę panu do centa«. Ja się na to nie zgodziłem, mówiąc, że od nikogo nie lubię brać pięniędzy za darmo, to i od niego nie wezmę, więc on po krótkim namyśle dokłada jeszcze 100 złr. i dalej mnie przekonywuje, — potem dokłada jeszcze 100 złr.: »masz pan 500 złr.« — powiada, — a gdy i tego nie brałem, wyjął w ostatku jeszcze 100 złr., kładąc je przede mną na trawie. Dodawał przytem: »Ale proszę, żeby nikt o tem nie wiedział, żem dał panu te 600 złr. i koszta zwróciłem, boby drugi pojechał do Krakowa, aby znowu dostać za odstępne parę stówek«.

Ale ja ustąpić nie myślałem i powiedziałem, że im więcej dokłada, tem większą mam chęć do prowadzenia fabryki, — bo musi to być dobry interes, skoro wart tyle odstępnego. A wkońcu rzekłem: »Nie wezmę tych 600 złr. i od interesu nie odstąpię, żebyś się pan dowiedział, że chłop potrafi nie tylko kapelusz kupić, ale i co innego załatwić«, i wtenczas

przypomniałem mu to wyśmiewanie mię na mieście. Więc rozstaliśmy się stanowczo.

Ale przed rozpoczęciem wypalania czekała mię jeszcze jedna trudność. Zacząłem stawiać tuż przy Wiśle na swoim gruncie dwa małe piece wapienne i jednocześnie wniosłem do starostwa podanie o pozwolenie czyli koncesję na wypalanie tam wapna. Ponieważ miejsce było odległe od wsi prawie na kilometr, więc byłem pewny, że prowadzeniu tam fabryki nikt przeszkodzić nie może. Jednak i to nie było łatwem, jak się zdawało. Pancer bowiem namową i pieniędzmi skłonił prawie wszystkich, którzy mieli grunta w sąsiedztwie budujących się pieców, że wnieśli do starostwa sprzeciwy czyli protesty, że dym z fabryki będzie im plony wypalał i zarażał.

Wskutek tych protestów starostwo wyznaczyło komisję do zbadania sprawy na miejscu, i tu została załatwiona pomyślnie dla mnie. Najwięcej poparł mię jako rzeczoznawca Wojciech Kaliciński, ekonom z Wymysłowa, który udowadniał, że sąsiednie grunta nie będą odnosiły z fabryki wapna żadnej szkody, ale owszem pewną korzyść, bo popiół, zawarty w dymie, opadając na ziemię, będzie ją użyźniał. Drugi rzeczoznawca zgodził się na to samo. Wszczęła się sprzeczka miedzy obecnymi, ale orzeczenia rzeczoznawców były decydujące, więc już bez zwłoki otrzymałem koncesję, a protestujący zostali odesłani na drogę prawa cywilnego. Jednakże żaden z nich zarzutów dalszych nie wnosił.

Przy wydawaniu koncesji starosta ówczesny Jakubowicz powiedział mi, że »koncesja z prawa mi się należy, bo miejsce pod fabrykę jest odpowiednie, a my Sybiru nie mamy, żeby tam fabryki stawiać«.

Więc zacząłem wypalać wapno, ale teraz czekała mię najcięższa walka. Pancer bowiem, żeby mię zniszczyć, zniżał ceny u siebie tak, że musiałem sprzedawać bez żadnego zarobku, on zaś w zaciekłości schodził nawet poniżej ceny fabrycznej.

Żeby sobie ułatwić konkurencję z nim, sprowadzałem wszystkie materjały, które on miał na składzie, więc nie tylko kamień wapienny, ale także cement, gips, węgiel kamienny, koks kowalski, sól wielicką. Każdego z tych towarów starałem się mieć bodaj trochę na sprzedaż, żeby Pancer nie głosił, że u niego jedynie jest coś do nabycia i nie zmuszał do kupowania u siebie.

Kamień wapienny przychodził mi z pod Krakowa, gdzie przy Wiśle sąg kubiczny kosztował 8 złr., a z dostawą do Tarnobrzega 40 złr., bo sam galar kosztował 120 złr. i więcej, a w Tarnobrzegu można go było sprzedać na rozbiórkę najwyżej za 30 złr. Flisacy, dostawiwszy kamień, wracali do Krakowa pieszo.

W czasie walki konkurencyjnej z Pancerem ceny rzeczy, któremi handlował, spadły w Tarnobrzegu i okolicy prawie do połowy. Wapno, które przedtem Pancer sprzedawał po 3 złr. cetnar, spadło na 1 złr. 50 cnt., koks kowalski, sprzedawany dawniej po 1 złr. 50 cnt., spadł na 80 cnt. za cetnar i t. d.

Największy był odbyt na wapno i koks, najmniejszy na węgiel kamienny, który był używany na opał tylko w niektórych domach urzędniczych, ogół zaś ludności używał jedynie drzewa opałowego i węglem kamiennym bał się palić. Wapno szło najwięcej na wielkie święta, na bielenie domów. Sprzedaż prowadziłem u siebie w domu przy pomocy dzieci i w dnie targowe miewałem nieraz wielką ciżbę ludzi na oborze. Wapno wysyłałem też na sprzedaż furą po wsiach okolicznych, dostarczałem go też w większej ilości na budowę kościoła w Padwi, do dworu w Grębowie i t. d.

Pancer robił mi konkurencję do ostatka, bo się zaprzysiągł, że mnie musi zgnębić i puścić — jak mówił — bez portek. Jednakże ja żyłem z gruntu i mogłem wytrzymać bez zarobku z handlu, on zaś żył tylko z gotówki, — walka więc, która trwała między nami przez pięć lat od r. 1883, skończyła się tak, że Pancer stracił gotówkę, jaką posiadał, i umarł prawie biedny, — ja też dołożyłem na czysto kilka stówek, nie licząc tego, com się przez ten czas napracował, — ale przy swojem gospodarstwie utrzymałem się. Innego wyjścia nie było, bo konkurencja była narzucona, trzeba było bronić się do ostatka.

Strata moja wynikła nie tylko z tej silnej konkurencji, ale ostatecznie także z tego powodu, że w ostatnim roku straciłem przy sprowadzaniu kamienia wapiennego. Zaryzykowałem wtedy pod zimę sprowadzić dwa galary. Retman, pijaczyna, zajechał po pija-

nemu niedaleko za Niepołomicami w taki kąt na Wiśle, że nie mógł stamtąd galarów wyciągnąć i wszystkiego odszedł. Tymczasem Wisła zamarzła, kamień ludzie przez zimę rozkradli. Tyle mię kosztowała wódka tego retmana. Wytoczyłem mu proces i wygrałem. W tym czasie jednak umarł, została po nim żona z 6-giem dzieci, których nie chciałem z majątku wydziedziczać, bo ojciec zostawił im niewiele, i tak od wszystkiego odstąpiłem.

Wkońcu wypalanie wapna nie opłacało się, bo nastała kolej do Tarnobrzega, i można było sprowadzać wapno gotowe z Krakowa,—a wypalanie u nas drzewem kosztowało bez porównania drożej, niż w Krakowie węglem. Mimo że wapno, wypalone drzewem, było znacznie lepsze i wydatniejsze, niż wypalone węglem, jednak każdy wolał kupić gorsze, aby taniej; chociaż do dziś dnia niejeden wspomina, »że nie było to, jak u Słomki kupować wapno«, i dopytują się, czy nie będę jeszcze handlował, — tak im ta konkurencja moja z Pancerem zasmakowała.

* * *

W owym czasie przystąpiłem w porozumieniu z sąsiadami do założenia Kółka rolniczego w Dzikowie, i pod firmą Kółka prowadziliśmy sklepik głównie z artykułami spożywczemi. Sklepik ten jednak już po roku zaczął upadać wskutek nadużyć popełnianych przez jednego z członków zarządu. Żeby nie dopuś-

cić do zupełnego zwinięcia tego pierwszego handlu chrześcijańskiego w Dzikowie, wziąłem go na siebie i zatrudniałem w nim przez szereg lat po kolei dwie córki, potem wnuczkę. Sklepik jednak nie mógł się należycie rozwinąć z powodu bliskości miasta z mnóstwem handlów żydowskich i silnej z ich strony konkurencji. Ludność, nawykła odwiecznie do sklepów żydowskich, ciągnęła zawsze do miasta i w sklepie chrześcijańskim można było mieć większy utarg jedynie w soboty i święta żydowskie. W prowadzeniu sklepiku najuciążliwsze były zawsze borgi, t. j., skłonność ludności do pobierania towarów na kredyt, do czego przez żydów była przyzwyczajona. Przytem ujawniał się brak słowności i rzetelności w regulowaniu należytości tak, że niektórzy dotychczas długu w sklepiku nie zaplacili i już pewnie nie zapłacą. Zarobek na sklepiku był bardzo nieznaczny, ale w każdym razie nie było straty.

*
* *

Podówczas więc koło r. 1890 płaciłem siedem gatunków podatków, a mianowicie: trzy zarobkowe t. j. z cegielni, z wapniarni i ze sklepiku, — nadto gruntowy, od wynajmu domu czyli czynszowy, domowoklasowy i czysto dochodowy. Wynosiły one rocznie razem z dodatkami przeszło 250 złr.

Najuciążliwszym z tych podatków był czynszowy, bo rząd nie pytał się, skąd wziąłeś pieniędzy na budowę domu, ale wymierzał podatek słony tak, że po

zapłaceniu podatku, czynsz nie wystarczał na procent od kapitału, pożyczonego na budowę. To też, chcąc wyzwolić się od takiego podatku, sprzedałem wkońcu dom nawet ze stratą i zaraz wniosłem podanie o odpisanie mi podatku czynszowego. Ale mimo to ciągle jeszcze zachodził do mnie egzekutor i przynosił to kartę upominającą, to edykt licytacyjny, — a w urzędzie podatkowym zawsze mię uspakajano, że »podatek w odpisaniu i wstrzymuje się fantowanie«, — i to trwało 7 lat.

*
* *

Od czasu odbycia piewszej podróży do Krakowa w sprawie zakupna kamienia wapiennego często już potem wypadało mi wyjeżdżać z domu w różnych sprawach. Kraków był pierwszem większem miastem, jakie widziałem, to też po wejściu do miasta miałem wrażenie, że w tym lesie ulic niepodobna się wyznać. Jednakże później, gdym się dobrze po mieście rozpatrzył, widziałem, że nie tak trudno poznać jego rozkład, i dochodziłem wszędzie sam bez przewodnika, a najwięcej ułatwiało mi rozpoznanie się w mieście to, że umiałem czytać napisy ulic.

Jak w każdem większem mieście, nie brak i tam wyrzutków, polujących na ludzi dobrodusznych, a zwłaszcza na ludzi wsiowych, o czem się przekonałem.

Ale poznałem w Krakowie także ludzi dobrych, życzliwych, jak najlepsi przyjaciele, a również sam Kraków tak pokochałem, to czułem się w nim, jak

w swojej wsi rodzinnej, i pragnąłem stale tam zamieszkać. Bywałem później nieraz we Lwowie, ale tamto miasto, choć większe, wydawało mi się zawsze smutne i mniej przyciągające.

*
* *

Jeździłem również parę razy na Ruś do powiatu kałuskiego, dokąd koło r. 1890 i później wyszło wiele rodzin z Dzikowa i innych wsi okolicznych.

Jedni emigrowali, choć mieli tu ładne posiadłości 6—8 morgowe, ale przez pijaństwo, zaniedbywanie gospodarstwa i t. p. zabrnęli nieopatrznie w długi i nie mogli się już utrzymać przy swoich zagonach, — sprzedali więc tu gospodarstwo, długi spłacili i poszli nabywać więcej gruntu na Ruś, bo tam więcej niż o połowę był tańszy. — Pozatem emigrowali tacy, którzy tu mieli nie więcej jak 2—3 morgi, i pomimo ciężkiej i najlepszej pracy nie mogli się z tego gruntu wyżywić, zwłaszcza gdy dzieci przybywało i podrastały; tacy dowiadując się, że na Rusi za jedną morgę sprzedaną u nas, kupi 3 do 4-ch mórg, sprzedali co mieli, i poszli także na Ruś na większe gospodarstwa.

O ile słyszałem tak od naszych emigrantów, jakoteż ich rodzin, to tylko niektórzy z nich los sobie poprawili, a to — jak opowiadali — z następujących przyczyn: Pobrali na wypłatę więcej gruntów, niż ich stać było, a brak tam było na razie kredytu, przeto nie mogli przyjść prędko do budynków gospodarskich, do inwentarza żywego i t. d.; nawiedzały ich

tam często zaraz z początku klęski elementarne: grad, myszy, które w niektórych okolicach były gorsze od gradu; cierpieli też wskutek nienawiści Rusinów i t. d. Wskutek tego niektórzy nawet przy mozolnej pracy więcej się nabiedowali, niż u nas wyrobnik, a do dziś dnia jedni się wydźwignęli i zagospodarzyli, inni dalej biedują.

Poszło też tam i moich dwóch szwagrów, i jeden osiedlił się w Łukowcu, a drugi we wsi Dołha wojniłowska w powiecie kałuskim. Ponieważ zawsze ciągnęła mię chęć odwiedzić ich na nowych gospodarstwach, więc w parę lat po ich wyjeździe stąd wybrałem się po raz pierwszy w r. 1894 w tamte strony.

Już koło Lwowa zauważyłem różnicę między tamtejszemi a naszemi okolicami: z okna wagonu widać było liche domy chłopskie i kiepską gospodarkę w polu; już dawno było po żniwach, a zboże stało jeszcze w polu w mendlach. I na ludziach znać było biedę.

Przyjechałem do szwagra do Łukowca, widzę również tylko biedę. Wchodzę do domu, — były to przedtem pańskie pokoje, a wtedy siedziało tam kilka rodzin chłopskich, — widzę wszystko zniszczone, nikt nawet dachu nie poprawia, bo nie wie, który kąt jego, mają się tem dopiero dzielić, ale tymczasem, gdy deszcz przyjdzie, każdemu na głowę kapie. Idę do stajni, — jest wielka, ale drzwi są jakby od parady tylko, bo i pod przycieś można krowę wyprowadzić. W każdym kącie i wszędzie okazywała się »ruska bieda«. Idziemy

w pole, — zdaje mi się, że grunt dobry, nawet lepszy, niż u nas, a miejscami widać jeszcze ładne jarzyny.

Ale cóż się dzieje? To, co zebrane, leży na obejściu w kopkach, kiepsko złożonych, — deszcz na to leje, i wszystko gnije. Widzę nawet, jak Rusin na obejściu pod otwartem niebem zboże młóci, — to znowu, jak Rusinka wyszła na drogę i przetakiem zboże przesiewa; plewy lecą z wiatrem, gdy u nas za nie drogo się płaci.

To znowu patrzę, koło 10-tej godziny przed południem jedzie fura, a na niej muzyka gra. Pytam, co to za wesele, a szwagier mówi, że to pańska fura zbiera ludzi do roboty w polu; powiadają, że inaczejby Rusin nie poszedł w pole robić, gdyby po niego z muzyką nie zajechał. Myślę sobie, już się tu ten pan na takich robotnikach zbogaci, że wnet ze dworu uciekać musi.

Pytam się szwagra: »Dlaczegoście na to zboże choć szopy z dachem nie postawili?« — Odpowiadają mi: »Nie ma na to pieniędzy, niema gdzie pożyczyć, a zresztą Rusiny tu szop nie mają, choć dawniej gospodarzą«. Powiadam im tedy: »Bierzcie się zawczasu gospodarzyć na polską modę, nie zapatrujcie się na Rusinów, bo inaczej ze wszystkiem zginiecie. Jest las blisko, i drzewo tanie, — postawcie więc choć jakie takie szopy na zboże; bo obecnie nie robicie nawet tak, jak było w Starym Testamencie, — w owych czasach bowiem rolnik co najlepsze plony palił na ofiarę, a wy je teraz

bez pożytku gnoicie«. I tak im nagadałem, co tylko mogłem.

Pojechałem następnie do drugiego szwagra do Dołhy wołniłowskiej, — ale tam zastałem kolonistów już w lepszym ładzie, — zabudowania mieli popostawiane już mniej więcej po polsku. Gdzieniegdzie wprawdzie pokazywał się jeszcze brak tego lub owego, ale się to wszystko dało wytłómaczyć tem, że to dopiero początek w dorobku na gospodarstwie.

Po kilku latach mianowicie w r. 1902 byłem znowu w tamtych stronach, ale już i u szwagra w Łukowcu zastałem lepszy stan, — budynki odpowiedniej urządzone tak, że to wyglądało już na jakie takie gospodarstwo. Ale znowu nowa zaczęła się bieda, bo szwagier, nie kontentując się 8-ma morgami, jakie miał z początku, sprzedał je, a kupił w tej samej wsi 27 morgów karczunku po 700 kor. za morgę dosyć dobrej ziemi. Mówię mu: »Za dużoście tego pola nabrali, do śmierci się nie wykopiecie z długów«. A szwagier powiada: »Wziąłem na wypłat, dzieci poślę do Ameryki, ażeby tam coś zarobiły, a ja na miejscu będę pracował, jak będę mógł, by dzieciom zostawić po sobie pamiątkę«.

Pomyślałem sobie: — to już taka natura każdego zamiłowanego rolnika, że choćby się miał przedwcześnie do ziemi zakopać, to będzie pracował, aby tylko kawałek tej świętej ziemi przykupić.

W czasie tych drugich odwiedzin zauważyłem, że się na Rusi gospodarstwa włościańskie na ogół

podnoszą, bo i Rusini uczą się od polskich chłopów lepiej pracować i gospodarzyć.

Wreszcie byłem na Rusi w r. 1912 i odwiedziłem znowu szwagrów w Łukowcu i Dołże wojn. Obie wsie dobrze już były zabudowane, miały przeszło po 100 numerów, samych chłopów polskich. Łukowiec stanowił osobną gminę polską. W obu były kościółki i księża stale.

Jak tam zauważyłem, bardzo to jest dobrze, gdy kościół jest w miejscu, bo ludzie mają do kościoła blisko (kościół zbliża się do ludzi), ksiądz zna dobrze swoich parafjan. Księża mimo to w tych małych parafjach mają dostateczne utrzymanie. U Rusinów w każdej wsi jest cerkiew nieduża, ale na jedną wieś wystarczy. I księża ruscy stanowią największą siłę u Rusinów.

W kościele w Łukowcu dałem na mszę św. za duszę ś. p. siostry swojej, zmarłej tam w r. 1910.

*
*   *

W różnych czasach bywaliśmy też z żoną w Królestwie Polskiem za Wisłą u krewnych — ostatnim razem w r. 1882 — a byliśmy tam proszeni na wesela do Radowęża i Sośniczan. Wesela tamtejsze trwały — podobnie jak i u nas dawniej — cały tydzień, a z tego mi się najwięcej podobały, że każdy bawił się tam spokojnie, — nie widziałem, żeby się kto bił, albo wadził, choć był podochocony. Nie było żadnych innych trunków, tylko wódka, którą pili w takiej prawie ilości, jak u nas pije się piwo. Więc nade mną

stryjowie prawie płakali, jak ja mogę żyć, że wódki nie piję, — i częstowali mię za to herbatą tak, że aż się pociłem, — a sprosić się było trudno.

Przypatrzyłem się tam, że są nadzwyczaj gościnni, bo nawet całkiem przygodnych gości przyjmowali i nie kieliszkiem, ale szklanką lub garnuszkiem wódką raczyli.

Przyszedł na przykład żyd krawiec z ubraniem dla panny młodej, — wzięli go zaraz do komory na poczęstunek. Patrzę, — niezadługo wychodzi stamtąd dobrze podochocony, śpiewa i idzie do tańca, i bawił się na weselu aż do drugiego dnia. Przyszedł znów dziad po prośbie, — biorą go również do tej komory, częstują, i ten także wychodzi stamtąd pijany, zatacza się w prawo, w lewo, — wreszcie wywrócił się w samych wrotach w poprzek. Było z tego powodu wesołe widowisko z bydłem, gdy wracało do domu z pastwiska. Co która krowa zbliżyła się i spojrzała na dziada leżącego z brodą do góry, to beknęła i w tył odskoczyła, a drugie za nią, jak na komendę. I to kilkakrotnie powtarzało się, aż wreszcie najmłodsza jałówka beknęła przeraźliwie i hul przez dziada, a inne za nią, — wszystkie skakały tak zgrabnie, że ani jedno bydlę dziada nogą nie potrąciło.

Przypatrzyłem się też, że tam konie lepiej jeszcze wesele rozumiały, niż nasze. Jakeśmy jechali do ślubu do Koprzywnicy, to nie widziałem, żeby kto konia batem uciął, tylko mu zaśpiewał, to koń szedł równo z wiatrem. A nawet konie tamtejsze, a właściwie kobyły, (bo mieli tam dobre pastwiska i klaczy dużo

na przychowek chowali), miały swoje śpiewki, które do nich odnosiły się i one je rozumiały, nie dały się zawstydzić i szły bez bata.

Wesele w Radowężu odbywało się zaraz przy Wiśle, więc była tam warta moskiewska, mająca strzec, ażeby weselnicy wódki galicyjskiej nie pili. Co dwie godziny starszy przyprowadzał na zmianę po dwóch Moskali z gwerami i stawiał ich przed sienią. Ale ledwie się oddalił, Moskale rzucali w kąt gwery, a brali się razem z gośćmi weselnymi do wódki i prosili o »galicjankę«, bo była mocniejsza od tamtejszej. I wszyscy pili tylko galicyjską wódkę, którą gospodarz wynosił gościom z dobrego schowania, a tamtejsza wódka była tylko na pokaz.

Ostatnim razem byliśmy na weselu w Sośniczanach blisko milę od Wisły. Tam również bawili się ludzie ładnie i z ochotą, i wszystko mnie to zajmowało i cieszyło, że wszyscy garnęli się do nas, jako gości z za Wisły, z wielkiem przywiązaniem, i stryjowie na krok nas nie spuszczali z oka.

Ale jednego dnia późno z wieczora, gdy zabawa szła w najlepsze, weszło do izby dwóch nowych ludzi, i zaraz zauważyłem, że wszyscy goście zaczynają się chyłkiem wynosić tak, że niebawem w izbie było całkiem przestronno. Tych zaś nowych przybyszów gospodarz zasadził za stołem, stawiał przed nimi picie i jedzenie, więc byłem przekonany, że to jego najlepsi przyjaciele przybyli z dalsza. Podniosłem się z miejsca za innymi, i poszliśmy z żoną do stryja na nocleg.

Wchodzimy na obejście, a stryj stoi przed domem z wielkim kołkiem w ręku. Pytam się: »Dlaczegoście tak wcześnie z wesela wyszli?« — a stryj odpowiada przyciszonym głosem: »Idźcie oboje do izby, bo ja już całą noc spać nie będę. Widzieliście tych dwóch na weselu, — to są największe złodzieje i rabusie! przyszli wypatrzeć, kto się bawi na weselu, a są w zmowie z drugimi, którym daliby znać, kogo mają okraść i obrabować. Dziś już nie tylko ja, ale nikt we wsi spać nie będzie, każdy musi strzec swego obejścia«.

Na drugi dzień po śniadaniu poszliśmy znowu na wesele, — patrzę, a ci dwaj siedzą jeszcze za stołem, piją i jedzą, a każdy ze schodzących się gości sprzyja im, wita się z nimi i chce się do nich napić. Dopiero koło południa, jak już dobrze byli opasieni, podnieśli się z ławy i zabierali do odejścia, — wszyscy się z nimi bratali, gospodarz domu nałożył im w torbę na drogę wódki i przekąsek, i całe wesele z muzyką wyprowadziło ich za wieś.

Wtedy zaczęliśmy rozmowę o nich, i mówię do siedzących koło mnie: »To wy się tu tak ze złodziejami obchodzicie? to u was raj dla złodziejów!« I opowiadam, że u nas za Wisłą złodzieje takiej wolności nie mają, że niebezpiecznym złodziejom nie wolno się z miejsca pobytu wydalać i t. p. A oni na to mówią, że się nie mogli inaczej z tymi rabusiami obejść, bo gdyby się źle obeszli, to ci pomściliby się za to: mogliby ich podpalić, a nawet życia pozbawić, więc le-

piej z nimi nie zadzierać; rząd zaś moskiewski mało przed złodziejami chroni, a nawet strażnicy bywają w spółkach z nimi. Rzekłem tedy, że przy takich porządkach nie chciałbym tu siedzieć i gospodarzyć i wolę nasze zawiślańskie urządzenia.

Byłem też w innej stronie Królestwa Polskiego, mianowicie w b. gubernji lubelskiej, w odwiedzinach u przyjaciela mego ś. p. Józefa Langa. Był on przedtem w Tarnobrzegu i znany był jako najlepszy stolarz i z uczciwych zasad, i tu poznaliśmy się i pokochali nawzajem, jak najlepsi przyjaciele, i nieraz spędzaliśmy wolne chwili na miłych pogawędkach. Ale po pewnym czasie przeniósł się do Królestwa, gdzie w powiecie janowskim w Księżomierzy kupił ładną realność, mianowicie dom w dobrym stanie, zabudowanie gospodarskie i 14 morgów gruntu w jednym kawałku, a dał za to wszystko coś około 1.000 rubli, czegoby u nas wtenczas nawet za 6.000 reńskich nie kupił.

Przykre było moje rozstanie się z nim, gdy wyjeżdżał do Królestwa, ale gdy mi list przysłał i opisał swoje gospodarstwo, ucieszyłem się, że przynajmniej powodzi mu się nieźle, i postanowiłem odwiedzić go, a zarazem zwiedzić tamtejsze strony. Wyjechaliśmy tam razem z żoną, do Sandomierza wozem, dalej statkiem wodnym do Rachowa, a stąd szliśmy pieszo. Podróż ta należy do najprzyjemniejszych w mojem życiu: ze statku widać było ładne brzegi Wisły, i miałem się wkrótce zobaczyć z przyjacielem po paru latach niewidzenia.

Do Księżomierzy przyszliśmy pod wieczór. Jakie było nasze przywitanie się z Langiem, jego żoną i dziećmi, to opisać trudno, na samo wspomnienie łzy się do ócz cisną. Byliśmy tam trzy dni, i cały prawie ten czas zeszedł nam na pogadankach i to bez kieliszka, na sucho, — bo wódki obaśmy z Langiem nienawidzili i nie pili.

Zwiedziłem też tamtejsze gospodarstwa, ale widać było, że były prowadzone licho, na starą modę. Wprawdzie u Langa w polu była uroda, bo grunt już znawoził, więc miał ładne żyto, pszenicę, koniczynę, buraki, — ale obok u jego sąsiadów widać było w znacznej części ugory, na których się tylko jakiś chwast czerwienił. Pytam się gospodarza, który nam w polu towarzyszył: »Naco ten ugór trzymacie bez pożytku?« a on powiada, że, jak się przeugorzy, to będzie siał żyto. »A dlaczego — pytam się dalej — pola nie nagnoicie, tylko ugorzycie?« — a on na to, że jego ojciec i dziadek nie gnoił, a wyżył, to i on jakoś wyżyje.

Opowiadał też Lang, jak oni tam gospodarowali. Gospodarz na 10 albo 15 morgach gruntu chował zazwyczaj jedną tylko krowinę, dwie szkapiny — Boże ratuj — jakieś prosię i tyle; słomę sprzedawali i gruntu nie gnoili. Lang był im niemiły, ponieważ gospodarował na nowy sposób, miał ładne urodzaje i dorabiał się.

Miał też nieprzyjaciół dlatego, że ganił tamtejsze szkodliwe zwyczaje. Był tam jeszcze zwyczaj, że kto



Budynek 7-kl. szkoły powszechnej męskiej w Tarnobrzegu

dał na mszę, to zapraszał na nią po wsi, a po nabożeństwie szli prosto do karczmy i do wieczora pili tak, że niektóre żony w koszyku obiad przynosiły i brały ze sobą dzieci, i wszystko razem piło. Nawet i ksiądz przychodził na tę zabawę i pił z nimi. Tak prawie każdego dnia po nabożeństwie odbywała się taka pijatyka, dziś urządzał ją jeden, jutro drugi. Lang zwalczał ten zwyczaj, to go oskarżyli do gubernji, że że on lud buntuje.

Wkońcu nie mógł się tam utrzymać, bo i z gubernji dostał nakaz, żeby jako obcy poddany wyjechał za granicę, — musiał więc sprzedać wszystko za bezcen i powrócił z familją do Tarnobrzega, gdzie założył warsztat stolarski i dorabiał się razem z dziećmi do samej śmierci. Obecnie dzieci idą śladem ojca i uczciwie pracują na kawałek chleba. Daj Boże, więcej takich ludzi!

W czasie kilkakrotnych odwiedzin w Królestwie i z opowiadań Zawiślaków, zatrzymujących się często w różnych sprawach w Dzikowie, poznałem nie najgorzej tamtejsze stosunki. Grunt tam był tani i artykuły spożywcze, były fabryki, i lud miał dość zarobku na miejscu. Żydzi mniej się panoszyli niż w Galicji, podatki mniejsze, — ale z drugiej strony w rządzie były wielkie nieporządki i nie było sprawiedliwości, działy się kradzieże i rabunki, jakie u nas już dawno ustały, drogi takie, jak u nas za dawniejszych czasów, rzeki nieuregulowane, oświata polska i religja katolicka była prześladowana. To też lud z nienawiścią

odzywał się o rządzie tamtejszym, obwiniając go o to złe w kraju.

*
* *

Nigdy nie żałowałem wydatku na podróże, bo przez nie można było nabrać wiele oświaty i ochoty do pracy. Bywałem też z żoną na wszystkich wielkich uroczystościach narodowych, jakie odbywały się w ostatnich dziesiątkach lat zwłaszcza w Krakowie. W r. 1883 byłem w Krakowie na uroczystości dwusetnej rocznicy odsieczy Wiednia przez króla Jana Sobieskiego, w r. 1890 na uroczystości przeniesienia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel, w r. 1894 byłem na pierwszej wielkiej wystawie krajowej we Lwowie, w r. 1910 na uroczystości grunwaldzkiej w Krakowie. Nadto, ponieważ brałem udział w życiu obywatelskiem, często wypadało mi wyjeżdżać w deputacjach w sprawach powiatowych, parafjalnych, gminnych, gospodarczych i politycznych do Lwowa, Krakowa, Przemyśla i t. d.

*
* *

W domu miałem błogosławieństwo Boże. Od roku 1861 do 1885 żona powiła 7 córek i 5 synów, — z tego dwoje zmarło w niemowlęctwie, dwoje już w latach młodzieńczych, wychowało się zaś ośmioro, t. j., trzech synów i pięć córek.

W miarę tego, jak Pan Bóg dawał dzieci, zastanawiałem się, jak im przyszłość zabezpieczyć. A że

gruntu i dla jednego byłoby niewiele, więc postanowiłem każdemu dać naukę, do jakiej które było chętne i zdolne. Ponieważ na miejscu była już dobra szkoła ludowa, więc przedewszystkiem posyłałem jedno za drugiem do tej szkoły tak, że każde ukończyło w Tarnobrzegu szkołę 4-klasową, która później została zamieniona na 7-klasową. Następnie pięcioro kształciło się dalej w Krakowie, mianowicie: jeden z synów ukończył gimnazjum i uniwersytet, drugi wykształcił się w malarstwie dekoracyjnem; z córek jedna ukończyła seminarjum nauczycielskie, dwie wykształciły się w krawieczyźnie. Najstarszy z synów jest sekretarzem gminnym i posiada ładny ogród z pasieką.

Zczasem wszyscy synowie pożenili się, córki powychodziły za mąż, jedna poświęciła się stanowi zakonnemu. Mam obecnie 22 wnuków i wnuczek a zaczynają przybywać prawnuczki. Jeden z najmłodszych wnuków urodził się 1925 r., a chrzestnym ojcem jego jest Roman Dmowski.

Do niedawna kształcenie dzieci w szkołach było tu bardzo utrudnione, bo trzeba je było posyłać stąd do szkół średnich w Rzeszowie, Tarnowie, Krakowie i innych większych miastach, w okolicy bowiem takich szkół nie było.

Również i wykształcenie w rękodzielniczych zawodach jeszcze przed dwudziestu laty nie było tak łatwe, bo zawody te z małym wyjątkiem stały jeszcze w powiecie nizko, i lepszej nauki można było nabyć tylko w większem mieście. Obecnie i to się zmieniło,

bo już na miejscu wszystkie rękodzieła dobrze się rozwinęły, i jest też szkoła przemysłowa wieczorowa dla praktykantów.

Tak więc, mając z początku tylko 4 morgi gruntu, pomnożyłem znacznie mój majątek i wychowałem liczną rodzinę, dałem każdemu stosowną naukę i zabezpieczenie na przyszłość. Niektórzy patrząc na to, mówili, że gotówka z nieba im spada, i mieli mnie za bogatego, za bogatszego nawet, niż byłem w rzeczywistości.

W czasie największego rozkwitu gospodarstwa miałem 13 morgów gruntu, dom murowany, obszerne budynki gospodarskie, jak: 2 stodoły, stajnie, 2 szopy; odpowiednią ilość inwentarza żywego, mianowicie parę koni, 4 krowy, po kilka sztuk trzody chlewnej, drób. W gospodarstwie prócz żony i dzieci pracował stale parobek i dziewczyna, nadto najemnicy w czasie żniw, kopanek, młocki i t. p. Przytem w ruchu była cegielnia, wapniarnia, sklepik i w przedsiębiorstwach tych również spora gromadką ludzi pracowała.

*
* *

Powodzenie moje polegało głównie na tem, że słuchałem światlejszych ludzi, zwłaszcza czytając gazetki i książki, i że nie poprzestałem na samej tylko roli, z której dochód niewielki, ale w miarę możności brałem się też do innych przedsiębiorstw. Nie szedłem więc za owczym pędem, który na wsi panuje, a polega na tem, że wszyscy grzebią się tylko w gruncie i to prze-

ważnie licho i nawet powiedzieć sobie nie dadzą i zrozumieć tego nie chcą i nie starają się, że źle robią i kiepsko gospodarzą i jaka gospodarka byłaby lepsza. Co jeden robi, to robią wszyscy inni i, jak gęsi, idą za sobą, — i mało jest takich, którzyby na coś nowego się odważali, coś nowego wymyślali i robili i szli w ten sposób do lepszej przyszłości.

Przytem lubiłem zawsze prosty, zdrowy wikt i miałem zdrowie i siły do pracy. Nieznana mi była rozpusta, nie hołdowałem pijaństwu, nie paliłem tytoniu, nie trwoniłem czasu na gry w karty i t. p.

Unikałem też zawsze w życiu wszelkich procesów. Nie wnosiłem n. p. nigdy skargi z powodu kradzieży, które w takich interesach, jak cegielnia, wapniarnia musiały się trafiać, bo myślałem sobie, że i tak będę miał więcej, niż złodziej, i jestem przekonany, że mniej przez to ponosiłem szkody, niż ci, którzy o lada drobnostkę procesują się.

Nie skarżyłem też takich, co z jakiegokolwiek powodu robili na mnie plotki i rzucali obelgi i nawet donosicieli o tem słuchać nie chciałem. I lepiej na tem wychodziłem, niż tacy, którzy zaprzątają sądy »pyskówkami« i chcą czyścić swój honor przez adwokatów.

W sądach stawałem głównie w charakterze świadka, zresztą jako opiekun, kurator, sędzia przysięgły i w sprawach gminnych.

Za to nawiązywałem chętnie z ludźmi przyjacielskie stosunki i służyłem każdemu radą i pomocą.

W wielu domach byłem chrzestnym ojcem i dziś nie mogę nawet zliczyć dokładnie, ilu mam wszystkich chrzestników. Opiekunem byłem i jestem pewnie w dwudziestu domach. Zawsze zostawałem opiekunem, gdy w rodzinie kto umarł, więc nad dziećmi po stryju Jacku, po bracie Antonim i t. d. Opiekuństwo zaś, choćby w skromnym zakresie spełniane, wymagało nieraz dosyć czasu i pracy, — trzeba było pozostałej rodzinie pomagać radą, pamiętać o realnościach sierót, zastępować je w sądzie i t. d.

Kuratorem bywałem też dziesiątki razy z ramienia sądu w sprawach cywilnych, gdy n. p. miejsce pozwanego było nieznane. W takich razach stawałem na terminie i starałem się pozwanego odpowiednio zastąpić.

Zresztą należałem do wszystkich miejscowych towarzystw i i uczestniczyłem w zebraniach i poczynaniach społecznych, mających na celu podniesienie oświaty, dobrobytu, obyczajów i t. p. Bywałem członkiem Rady powiatowej i Rady szkolnej miejscowej od chwili jej powstania przez lat 40.

X.

Udział w życiu obywatelskiem. Dorobek gminny od r. 1867. Kasa oszczędności i pożyczek w Tarnobrzegu. Towarzystwo przemysłowo-handlowe „Bazar“. Inne towarzystwa i instytucje w Tarnobrzegu. Pomnik Bartosza Głowackiego. Koronacja obrazu Najśw. Marji Panny Dzikowskiej. Dar narodowy dla poety Ferdynanda Kurasia. Wspomnienia o ludziach.

Prócz własnych spraw domowych spełniałem zawsze i dotychczas spełniam w miarę możności różne obowiązki obywatelskie, i sprawy publiczne interesowały mię zawsze nie mniej, jak moje osobiste, najwięcej zaś czasu poświęciłem życiu gminnemu, w którem biorę udział (przeważnie jako wójt) od pół wieku przeszło, t. j. od czasu zaprowadzenia nowego samorządu gminnego.

* * *

Nie będzie to może pozbawionem wartości, gdy przedstawię pokrótce, co dotychczas w czasie tego nowego samorządu dało się w gminie naszej zrobić, jaki jest postęp w gospodarce gminnej. Nie jest ona bynajmniej wzorową, bo w obecnych warunkach, kiedy gminy cierpią na brak środków pieniężnych i ludzi z poczuciem obywatelskiem, niema pewnie w całym

kraju gminy wzorowej, — jednakże dał się u nas przeprowadzić szereg prac i urządzeń, uznanych tu przez ogół mieszkańców za dobre i użyteczne, co i inne gminy mogłyby z pożytkiem u siebie począć, o ile nie mają tego dotychczas.

Z dorobku gminnego w Dzikowie w ostatnich dziesiątkach lat na wzmiankę zasługuje dom gminny, kasa gminna, rzeźnia, pastwisko, drogi, cegielnia gminna i parę innych spraw.

W jednym z domów gminnych mieści się Urząd gminny. Przedtem posiedzenia Rady gminnej odbywały się u wójta, i całe urzędowanie gminne w izbie u wójta miało miejsce. Z lada sprawą nachodzono wójta w domu, kiedy się komu podobało, a żandarm zachodził »po pieczątkę« nawet w nocy, budził wójta i przytem cały dom. Obecnie na to wszystko przeznaczony dom czyli kancelarja gminna, znajdująca się w dogodnym dla wszystkich punkcie.

Kasa pożyczkowa gminna w Dzikowie jest jedną z pierwszych w powiecie tarnobrzeskim. Powstała ona z pieniędzy, uzyskanych ze sprzedaży 300 sztuk drzewa z lasu gminnego, otrzymanego po uregulowaniu serwitutu. Byli tacy, którzy chcieli pieniądze te rozdzielić zaraz między mieszkańców gminy, czemu się jednak stanowczo oparłem. Kapitał zakładowy wynosił 2150 kor., a z końcem r. 1910 stan kasy wynosił 12.322 kor. 21 hal., — jest także kasa ogniotrwała. Pożyczkę na potrzeby gospodarskie otrzymuje się — o ile są

pieniądze w kasie — bez wielkich zachodów, spłata jest w ratach półrocznych i niewielki procent (6%).

Co do rzeźni gminnej, to o założenie jej długo walczyłem ze starostwem, aż przez Namiestnictwo ledwie koncesję na nią otrzymaliśmy. Gmina tarnobrzeska bowiem, złożona przeważnie z żydów, mając po swej stronie starostwo, różne zarzuty czyniła i wszelkich sił dokładała, ażeby do założenia rzeźni w Dzikowie nie dopuścić: chodziło o to, żeby rzeźnicy tarnobrzescy (żydzi) nie mieli konkurencji ze strony sąsiedniej gminy. Po uzyskaniu wreszcie koncesji i postawieniu odpowiednich budynków na rzeźnię i jatki, gmina miała przez kilkanaście lat ładny dochód, który w ostatnich latach wynosił 900 koron rocznie, — a mieszkańcy bliżej i taniej mięso.

Nagle w r. 1905 starostwo rzeźnię tę zamknęło, uzasadniając to tem, że nie odpowiada rzekomo wymogom ustawowym, — w rzeczywistości jednak stało się tak skutkiem ustawicznych zabiegów o to gminy tarnobrzeskiej. Rzeźnię zamknięto, niby tymczasowo, w rzeczywistości nie dopuszczono już do jej otwarcia. Handel mięsem został przez to zabagniony, bo rzeźnicy tarnobrzescy, pozbywszy się konkurencji, nie dbali o porządną obsługę swoich odbiorców, i z tego powodu ustawiczne były narzekania.

Jest to przykład, jak władze zwierzchnie traktowały sprawy gmin włościańskich, a przykład taki nie zachęcał do tworzenia przedsiębiorstw gminnych.

Pastwiska gminne w Dzikowie po uregulowaniu serwitutu w roku 1868 i późniejszych nabytkach za mego wójtostwa wynoszą razem 83 ha. Mają one wszędzie granicę dokładnie rowem oznaczoną, nikt więc gminnego nie może sobie przyorać, co tak często dzieje się po gminach, gdzie granice pastwisk nie są uregulowane. Drobne nieużytki gminne przy drogach zostały rozprzedane, a obecnie zamienione są bądź na ładne miejsca budowlane, bądź włączone do przyległych pól tak, że dziś we wsi niema piędzi ziemi, leżącej bezużytecznie.

Pastwisko dla koni, wypędzonych na paszę w nocy, jest osobne i ogrodzone. Przedtem gospodarze byli zmuszeni każdy swoje konie całą noc paść i dozorować, a mimo to i tak mieszkańcy byli narażeni na szkody polne; teraz zaś od r. 1892 szkody w polach rzadziej się trafiają: — gospodarz wyprowadza konie na noc, zapiera za sobą wrota pastwiska, wraca do domu i może spać spokojnie. Młodzież dzisiejsza już tylko z opowiadania starszych dowiaduje się o dawniejszych poniewierkach w nocy »za końmi«.

Za dnia wszystko bydło ze wsi pasie obecnie paru poleconych z gminy pastuchów, wynagradzanych od sztuki po 4—5 zł. za całe lato, podczas gdy dawniej — jak już pisałem — z każdego domu musiał być pastuch. Ale i dzisiaj po innych wsiach utrzymał się jeszcze ten zwyczaj, że z każego domu wysyła się dziecko przez całe lato za bydłem i nie zważa

się na to, czy dziecko nie zaniedbuje przez to nauki szkolnej i czy się na pastwisku nie psuje.

Co do pastwiska wprowadzona u nas jedna jeszcze, może najważniejsza nowość, mianowicie: części pastwiska, dające lichą trawę, wydzierżawia się przez licytację mieszkańcom gminy pod rolę. Zadowoleni są z tego zwłaszcza chudobniejsi, nie mający gruntu lub mający go niewiele (a takich najwięcej w każdej wsi), bo w ten sposób dochodzą do kawałka ziemi i mogą sobie coś zasadzić czy zasiać. A jak dawniej trudno było tę nowość przeprowadzić (bo ogół włościański wszędzie jest jeszcze przeciwny nietylko znoszeniu, ale nawet zmniejszaniu pastwisk), tak obecnie nie możnaby jej znieść bez wywołania niezadowolenia we wsi, uznano ją bowiem za dobrą i konieczną. Korzyści tu bowiem widoczne dla każdego: ziemia, nie wydająca przedtem trawy nawet dla kilku krów, obecnie zorana daje nienajgorsze plony; — chleba we wsi przybyło, i gmina ma dochód z dzierżawy, a obraca go na spłatę długu, zaciągniętego na przykupienie pastwiska.

Drogi we wsi są w miarę możności regulowane, prostowane i rozszerzane, bo bokach urządzane ścieki i chodniki. Istniejące dawniej doły przydrożne i kałuże zostały osuszone i zniesione. Dawniej w niektórych miejscach we wsi bywało takie błoto, że próżnym wozem trudno było przejechać: wozy po osie grzęzły w błocie, słychać było często przeciągłe nawoływania jadących — »a wio, a nuże!« — konie, ciągnąc z całej siły, rwały postronki. Nieraz drągami

trzeba było wóz podważać, żeby koniom ulżyć i wóz z błota wydobyć. Woda, stojąca w dołach, zatruwała powietrze w pobliskich domach. Dzisiaj to wszystko starsi tylko pamiętają, młodsi zaś słuchają o tem, jak o historjach nieprawdopodobnych.

A przecież i dziś jeszcze po wielu wsiach spotyka się podobne błota i bełtogi a ludność to cierpi u siebie i kałuże n. p. uważa za wygodne we wsi, bo »dobrze — jak mówią — że się bydlę ma gdzie napić wody;« nie chcą wiedzieć, że i dla bydła woda taka szkodliwa, i poić się je powinno dobrą, czystą wodą.

W Radzie gminnej istnieje teraz osobna komisja drogowa, która ma za zadanie w dalszym ciągu prostować i rozszerzać drogi gminne. Ponieważ wieś się ciągle rozrasta, więc obecnie daje się uczuwać potrzeba wycięcia nowych dróg i obmyślenia planu dalszego rozwoju wsi.

Najmłodszem przedsiębiorstwem gminnem jest cegielnia, założona na pastwisku. Urządzenie tej cegielni, to jest, wybudowanie pieca na wypalanie cegły, kieratu do rozrabiania gliny, szop do suszenia surówki, domu dla strycharza kosztowało przeszło 8.000 koron. Cegielnia istnieje od r. 1900, jest nadzorowana przez osobną komisję gminną i zapowiada na przyszłość dochód i wygodę dla mieszkańców gminy. Obecnie bowiem o drzewo na budowę coraz trudniej, (a w niektórych stronach dostać go już nie można), więc musi wchodzić w użycie inny materjał budowlany, cegła.

Naturalnie wprowadzenie tych czy innych drobniejszych nowych urządzeń w gminie nie zawsze szło — jak to mówią — jak z płatka, czasem trza było niemało trudu i kłopotu podżyć, robić prawie przemocą i narazić się ludziom, ale nie można się było i przed tem cofać, bo inaczej nie dałoby się niekiedy przeprowadzić nawet najlepszej rzeczy. Ogół bowiem trzyma się gromadnie i uparcie starych urządzeń i nawyknień, choćby były najgorsze i najszkodliwsze, i dopiero z czasem poznaje zmiany na lepsze, przywiązuje się do nich i błogosławi pamięć takich, co je zaprowadzili.

Do jakiego stopnia dochodziły niekiedy trudności, żeby przeprowadzić rzecz dobrą i pożyteczną, niech posłuży następujący przykład.

Była na gminnem pastwisku wydma piasczysta, stanowiąca wygon przy drodze powiatowej, a był to nieużytek, bo trawy tam nie było nawet dla jednej krowy, — ale nadawał się znakomicie na miejsca budowlane, i można go było dobrze spieniężyć. Otóż w r. 1900 Józef Lang (wspomniany wyżej) wniósł pierwszy podanie do Rady gminnej o sprzedanie mu z tej wydmy 200 sążni pod budowę domu. Po pewnym targu Rada gminna uchwaliła sprzedać te 200 sążni po 4 kor. za sążeń, — a uchwałę tę zatwierdziła Rada powiatowa z pochwałą dla gminy, że sprzedaż jest korzystną. Na tej podstawie została sporządzona umowa, podpisana przez pełnomocników gmin-

nych, — słowem, nabywca stał się prawnym właścicielem, i zdawało się, że sprawa skończona.

Tymczasem znaleźli się mędrkowie, którzy nieświadomych prawa i łatwowiernych potrafili wzburzyć, i kiedy w oznaczonym dniu wyszedł na pastwisko geometra i pełnomocnicy gminni, ażeby Langowi plac odmierzyć i oddać w posiadanie, wyszła podburzona gromada ludzi, i nie pozwalali placu odmierzać, wydzierali paliki, wyklinali i t. p.; — więc sprawa musiała pójść do sądu. Na terminie sędzia tłómaczył: »Ludzie, uspokójcie się! ani cała gmina nie może już tej sprzedaży obalić, i nabywca musi wejść w posiadanie, bo w razie potrzeby przyjdzie mu z pomocą rząd, choćby z całą siłą«, — ale na nic to perswadowanie, bo podburzeni wołali, że nie ustąpią, choćby mieli zginąć, »a jak my zginiemy, to dzieci nasze będą bronić gminnego«. Sąd jednak wyznaczył termin do oddania nabywcy placu i wezwał pomocy żandarmerji.

Gdy termin przyszedł, wszyscy powołani zdążali do tej czynności na oznaczone miejsce, — ale z daleka już widać było, że wydma, z której plac miał być odmierzony, pokryta była stadem bydła, a naokół niego stały kobiety, mężczyźni zaś z daleka się temu przyglądali. Bo właśnie agitatorzy wszystkich poduczyli, że baby miały opór stawiać, że za to nic im nie będzie. Bydło beczało, bo piasku nie mogło się chwycić, rozbiegało się, ale kobiety spędzały je ciągle do kupy.

Sędzia wzywał do ustąpienia, tłómaczył, — nic nie pomagało, — więc komendant żandarmerji otrzy-

mał polecenie, ażeby kobiety i bydło z placu usunął. Ten znowu wzywał do ustąpienia, straszył, — ale i to nie miało skutku, — więc padła komenda: naprzód! Żandarmi z bagnetami w rękach razem ruszyli: bydło zabeczało, kobiety niektóre omal się nie powywracały, — w jednej chwili plac był opróżniony, a następnie palikami obznaczony, — co jednak zaraz pierwszej nocy w części zostało zniszczone.

Ale teraz przyszła kara. Żandarmi dostali nakaz, ażeby winnych aresztowali, — i kilkoro siedziało po parę tygodni w areszcie śledczym w Tarnobrzegu, a następnie rozprawa odbyła się w sądzie obwodowym w Rzeszowie, gdzie tak mężczyźni, jak kobiety dostali po parę tygodni aresztu i zapłacili około 400 kor. kosztów. Do takich nieszczęść prowadzi brak oświaty i ciemny upór!

Tu muszę nadmienić, że zczasem całe to wydmisko, wynoszące około 2 morgów, na którem była taka walka, zostało rozsprzedane po 4 kor. za sążeń, (co czyni 6.400 kor. za mórg), — gmina dopożyczyła więcej i za te pieniądze kupiła od hrabiego 16 morgów dobrego pastwiska, przez co całe pastwisko gminne zostało uregulowane, rozszerzone i znacznie poprawione. A na tej wydmie stoi dzisiaj szereg ładnych domków z ogródkami, ci zaś, którzy taką nierozumną wojnę prowadzili, teraz się wstydzą i z pewnością żałują, że nie słuchali żadnych rad i napomnień.

Co do ksiąg gminnych, to obecnie prowadzi się następujące: dziennik czynności, księga uchwał, dzien-

nik kasowy, księga repartycyjna, spis domów w gminie, księga wydanych zezwoleń na budowle, księga wydanych książek służbowych, robotniczych i potwierdzeń przynależności, księga wydanych poświadczeń do uzyskania paszportów zagranicznych i przepustek, księga zgłoszeń obcych w gminie, wykaz kar, księga zgłoszeń stale uwolnionych i rezerwistów wojskowych i wykaz imion do tejże księgi, księga zgłoszeń dla żołnierzy nieczynnych obrony krajowej i wykaz imion do tej księgi, wykaz wojskowych stale uwolnionych i rezerwistów, wykaz nieczynnych żołnierzy obrony krajowej.

Prócz tego są osobne księgi dla kasy pożyczkowej i cegielni gminnej i książki, prowadzone przez oglądacza bydła i zwłok.

Odpowiednio do zwiększenia się ludności, potrzeb gminnych i zakresu działania wewnątrz gminy wzrósł też budżet gminy czyli dochody i rozchody gminne.

Według najdawniejszych zapisków budżetowych, jakie znajdują się w gminie, w r. 1872 budżet gminny wynosił w dochodach 198 złr. 86 cent., w rozchodach 182 złr. 58 cent.; w r. 1875 dochody wynosiły 351 złr. 91 cent., rozchody 342 złr. 70 cent.; w r. 1890 dochody 734 złr. 27 cent., rozchody 728 złr. 66 cent.

Budżet ten wzrósł dopiero znacznie koło r. 1900 i wynosił w dochodach w 1900 r. 3.780 kor.; tyleż prawie wynosił w r. 1905. W powyższych cyfrach mieściły się już wydatki gminne i szkolne.

Rada gminna w Dzikowie (od r. 1906—1912).



J. Chowański Fr. Mortka Józef Ordyk J. Szewc
J. Stala (sekr. gm.) J. Bogoń Jan Ordyk J. Szczytyński J. Wójcikowski (policjant gm)
Jan Dąbek J. Mortka J. Słomka (wójt) J. Skrzypczak W. Kaput
W. Gronek Fr. Słomka A. Gołębiowski J. Tyniec

W roku 1910 budżet wynosił bez wydatków szkolnych w dochodach 5.363 kor. 20 h., w rozchodach 5.340 kor. 81 h. Dochody w tym roku czerpane były z czynszów, opłat, dzierżaw, taks gminnych i t. d., dających razem sumę 3.003 kor. 20 h., i ze 100% dodatku do podatków bezpośrednich, co daje 2.359 kor.*)

Płace służby gminnej były w r. 1911 następujące: wójt pobierał rocznie 240 koron, zastępca wójta 75 kor., pisarz 600 kor., oglądacz zwierząt 250 kor., policjant (z mundurem) 670 kor., stróż nocny (płatny od numeru) 493 k., kominiarz (także od numeru płatny) 210 kor., polowy 140 kor., ochotnicza straż ogniowa gminna 100 koron.

Pierwsze większe ożywienie w wyborach gminnych poczyna się od wyborów w r. 1905. Ponieważ liczba uprawnionych do głosowania przenosiła już 200, więc w roku tym miało być wybranych 18 radnych i 9 zastępców, (podczas gdy przedtem od r. 1867—1905 bywało tylko 12 radnych i 6 zastępców).

Przed wyborami odbyło się kilka zebrań gminnych, na których zastanawiano się, co trzeba w gminie zrobić w czasie nowego sześciolecia, i ułożono listę kandydatów na radnych. Wybory były dokładnie ogłoszone, bo prócz urzędowego pisemnego obwieszczenia na 8 dni przed wyborami policjant gminny dwukrotnie obchodził wieś z bębnem i zapowiadał

*) Osobno do budżetu szkolnego wstawiono 61% dodatku do podatków bezpośrednich, razem więc dodatki gminne i szkolne wynosiły w 1910 roku 161% tych podatków.

wybory. To wszystko sprawiło, że ludność była niemi bardziej zainteresowaną, niż lat poprzednich. Głosowanie odbywało się tajnie, kartkami. Wybrani zostali przeważnie ludzie młodzi, okazujący chęć do zajęcia się sprawami gminnemi, — na 18 radnych 12 było piśmiennych, 6 niepiśmiennych.

* * *

W dalszym ciągu na uwagę zasługuje obudzenie się i rozwój życia społecznego na innych polach; — opiszę przeto w krótkości to, na co patrzyłem i w czem w miarę możności uczestniczyłem. Z tego zakresu ważnem jest szczególniej powstanie i rozrost Kasy oszczędności i pożyczek systemu Raiffeisena i Towarzystwa przemysłowo-handlow. »Bazar«, które wprawdzie siedzibę swoją mają w Tarnobrzegu, ale rozciągają swoją działalnoćć na wsi okoliczne, więc i na Dzików, i pod względem gospodarczym pokrzepiły bardzo całą okolicę.

Kasa oszczędności i pożyczek powstała w roku 1894 i była jedną z pierwszych kas raiffeisenowskich w Galicji. Założył ją dr. Antoni Surowiecki adwokat, który, jak tylko osiadł w Tarnobrzegu w r. 1888, starał się poznać potrzeby tak mieszczan, jak i włościan i potrzebom tym zaradzać — i zczasem uleczył niejedną bolączkę tutejszego życia mieszczańskiego i włościańskiego.

Więc starał się też utworzyć kasę, przystępną dla gospodarzy. W tym celu sprosił wójtów z parafji mie-

chocińskiej i porozumiał się z nimi, ażeby każdy ze swojej gminy ściągał gospodarzy na naradę, która się miała odbyć w niedzielę w naszej szkole. Nadeszła niedziela, — zeszło się do szkoły kilkudziesięciu gospodarzy, — a że dr. S. spodziewał się więcej, więc odłożył naradę na drugą niedzielę i prosił, ażeby każdy w swojej wsi zachęcał drugich na to zebranie.

Przyszła niedziela, — w szkole zebrało się mniej ludzi, niż przed tygodniem, — więc dr. S. zapowiedział zebranie na trzecią niedzielę i polecał ogłaszać wszędzie, ażeby zgromadziło się jak najwięcej chętnych. Ale na tę trzecią niedzielę przyszło tylko 20 osób, więc dr. S. widząc, że liczba zebranych zamiast się zwiększać maleje, bo wielu odstraszało się od kasy, rozpoczął naradę z tymi, którzy dotąd wytrwale zgromadzali się. Odczytał i wyjaśniał przygotowany statut, tłómaczył, że poręka będzie nieograniczona, ażeby ci, którzy ulokują w kasie pieniądze, mieli je pewne, — pożyczki zaś można będzie otrzymywać bez wielkiego zachodu i tanim kosztem.

Zapadła jednogłośna uchwała, ażeby kasę taką założyć na całą parafję, t. j., 13 gmin, i wszyscy zebrani przystąpili zaraz na członków, składając udziały po 2 korony. Odbył się też zaraz wybór zarządu, do którego weszli: dr. Surowiecki jako przewodniczący, zresztą Jan Frankiewicz, Piotr Jała, Jan Słomka, Jan Sokół i Wojciech Wiącek, a kasjerem został Stanisław Stala. Przewodniczący przeprowadził następnie wszelkie formalności, połączone z założeniem kasy, i odstą-

pił dla niej miejsce w swojej kancelarji, dopóki się nie podniesie.

Jak się żydzi o założeniu tej kasy dowiedzieli, straszyli chłopów, że kto się do niej wpisze, już cały majątek nie jego, bo ręczy za kasę całym swoim majątkiem, — i śmiali się, że »Surowiecki założył kasę i już ma 20 członków i 20 złr.«. Ale nie długo było w kasie kilka drobnych wkładek, a zaraz też potrzebujący zgłaszali się o pożyczki, a gdy je otrzymali z małym trudem i kosztem, chwalili się i głosili to między drugimi, co poruszyło wielu: jedni przystępowali na członków, prosząc o pożyczki, inni składali swoje oszczędności. Kasa wciąż się powiększała, później rosła, jak na drożdżach, — i przed wojną było przeszło 2.000 członków, obrotu rocznego przeszło pół miljona, a fundusz rezerwowy wynosił kilkanaście tysięcy koron.

W ten sposób została rozwiązana sprawa drobbnego kredytu włościańskiego w naszej okolicy, a później i w całym kraju, odkąd powstał we Lwowie Patronat kas oszczędności i pożyczek, bo dyrektor Patronatu dr. Stefczyk tak umiał sprawę prowadzić, jeżdżąc po wsiach i poznając stosunki na miejscu, że przed wojną kas takich było w Galicji przeszło tysiąc, i wszystkie dobrze się rozwijały. Kto pamięta, jak dawniej trudno było o pożyczkę, i jak chłopów dławiła lichwa, ten wie, jaka należy się wdzięczność tym, którzy przyłożyli ręki do powstania i rozwoju kas spółkowych u nas.

pił dla niej miejsce w swojej kancelarji, dopóki się nie podniesie.

Jak się żydzi o założeniu tej kasy dowiedzieli, straszyli chłopów, że kto się do niej wpisze, już cały majątek nie jego, bo ręczy za kasę całym swoim majątkiem, — i śmiali się, że »Surowiecki założył kasę i już ma 20 członków i 20 złr.«. Ale nie długo było w kasie kilka drobnych wkładek, a zaraz też potrzebujący zgłaszali się o pożyczki, a gdy je otrzymali z małym trudem i kosztem, chwalili się i głosili to między drugimi, co poruszyło wielu: jedni przystępowali na członków, prosząc o pożyczki, inni składali swoje oszczędności. Kasa wciąż się powiększała, później rosła, jak na drożdżach, — i przed wojną było przeszło 2.000 członków, obrotu rocznego przeszło pół miljona, a fundusz rezerwowy wynosił kilkanaście tysięcy koron.

W ten sposób została rozwiązana sprawa drobbnego kredytu włościańskiego w naszej okolicy, a później i w całym kraju, odkąd powstał we Lwowie Patronat kas oszczędności i pożyczek, bo dyrektor Patronatu dr. Stefczyk tak umiał sprawę prowadzić, jeżdżąc po wsiach i poznając stosunki na miejscu, że przed wojną kas takich było w Galicji przeszło tysiąc, i wszystkie dobrze się rozwijały. Kto pamięta, jak dawniej trudno było o pożyczkę, i jak chłopów dławiła lichwa, ten wie, jaka należy się wdzięczność tym, którzy przyłożyli ręki do powstania i rozwoju kas spółkowych u nas.

Tak każdą sprawę społeczną — jak parcelacja, zcalenie gruntów czyli komasacja, wychodźtwo zarobkowe i inne — możnaby pomyślnie przeprowadzić i uregulować, gdyby powołani do tego z tytułu swego urzędu i stanowiska społecznego chcieli się zżyć z ludem, poznać jego biedy i wziąć się rzetelnie do sprawy, a nie poprzestawali tylko na gadaniu i zapisywaniu papieru w biurach.

* * *

Również ciekawem jest powstanie i rozwój Towarzystwa przemysłowo-handlowego, które przed wojną prowadziło wielki sklep spożywczy pod nazwą »Bazar« w Tarnobrzegu. Sprawa założenia tego sklepu stała przez szereg lat na porządku dziennym, —i wtedy jeszcze, gdy się już w tym celu zawiązało Towarzystwo, i statut został zatwierdzony, nie można było handlu otworzyć z powodu różnych przeszkód, z których najważniejsza była ta, że nie można było na ten cel lokalu w rynku w Tarnobrzegu ani wydzierżawić, ani na własność nabyć, gdyż właścicielami wszystkich realności w rynku byli żydzi, — a ci, dowiedziawszy się, na co lokal potrzebny, za żadne pieniądze odstąpić go nie chcieli.

Wkońcu Towarzystwo musiało na ten opór żydów użyć odpowiedniego sposobu, mianowicie: weszło w umowę z istniejącą już Kasą spółkową, ażeby ta na siebie kupiła dom i wydzierżawiła w nim odpowiednie ubikacje »Bazarowi«, — a gdy i wtedy robili żydzi trud-

ności, prosiła Kasa jednego z urzędników, aby starał się nabyć jakąś realność w rynku, a następnie odstąpił ją Kasie. I to się dopiero powiodło, bo zgodzona została i zadatkowana realność za 12.000 koron.

Ale gdy się żydzi dowiedzieli, że ta realność dla Kasy spółkowej, i będzie w niej pomieszczony sklep, podnieśli ogromny gwałt na tego, co realność sprzedał, chcieli zwrócić podwójny zadatek, — jednak nic nie pomogło: żydowi nałożono nad zgodę jeszcze 600 koron, podpisał w sądzie wieczór umowę i zaraz tej samej nocy wyniósł się z Tarnobrzega. Żydzi jeszcze jego rodzinie robili awantury, powybijali okna i przez kilka szabasów żydzi z rodziny tej nie mogli chodzić do bożnicy, bo się bali, a także Kasie czynili trudności, wytaczając procesy o granicę, ale wszystko to było już bezskuteczne: Kasa została przy nabytej realności.

Dopiero w tym domu po przeprowadzeniu w nim gruntownych reperacyj znalazł pomieszczenie »Bazar« za czynszem rocznym 1.000 kor. Otwarcie sklepu nastąpiło w r. 1899, a w ciągu dziesięciu lat zgórą tak się rozwinął, że zatrudniał kilku subjektów i kilku chłopców w nauce, kasjerkę, rachmistrza i dwóch dyrektorów, nadto miał swoje konie, wozy i trzech ludzi, zajętych dostawą towarów z kolei do składów i do sklepu, a wreszcie nabył od Kasy na własność dom, w którym się mieścił, za 20.000 koron i osobno dom na składy za 8.000 koron.

Stał się też wielkiem dobrodziejstwem dla okolicy, bo normował cenę. Przedtem żydki ustanawiali sobie dowolne ceny na towarach, a każdy musiał brać u nich, bo cały handel był wyłącznie w ich rękach, — później nie mogli się podnieść ponad ceny, zaprowadzone w »Bazarze«. Przódy, jak nie było »Bazaru«, to żydki drwili sobie z katolików, co słyszałem nieraz na własne uszy, n. p. gdy przyszły dłuższe święta żydowskie, a ktoś nie zaopatrzył się na ten czas w potrzebny towar i chodził potem po mieście zmartwiony, to żydki śmiali się, mówiąc: Katoliki wrą na nas żydów, ale gdyby nasze święta były z miesiąc, toby oni wyzdychali z głodu«. Ale później mogli świętować i cały rok, a w »Bazarze« zawsze wszystkiego dostał. Z początku przez dłuższy czas prowadzili wojnę z »Bazarem«, robiąc mu konkurencję i zniżając ceny na towarach nawet poniżej wartości, ale to wszystko »Bazar« przetrzymał, oni stracili i uspokoili się.

Godzi się wspomnieć tych, którzy przyłożyli się do założenia i rozwoju »Bazaru«; — są to mianowicie: dr. Surowiecki i Wojciech Wiącek włościanin z Machowa, od których wyszedł pomysł; hr. Zdzisław Tarnowski, który przystąpił z dużym udziałem i umożliwił rozpoczęcie dzieła; Aleksander Brodkiewicz, który w początkach oddał Towarzystwu zawodowe zdolności; wreszcie dr. Walery Momidłowski, który przez szereg lat był przewodniczącym Towarzystwa i poświęcił mu najwięcej rzetelnej pracy i trudu. Inni też wiele się przyczynili do rozwoju »Bazaru«,

wszyscy księża, urzędnicy, nauczyciele poparli go jużto udziałami, jużto biorąc w nim towary. Gdybyśmy tak zawsze i wszędzie robili, tobyśmy się dobrze biedzie oganiali.

*
* *

Wogóle Tarnobrzeg znany był przed wojną światową z tego, że posiadał wiele stowarzyszeń i instytucyj, w przeważnej części dobrze się rozwijających. Prócz wyżej wymienionych, w których pracowałem od początku, i dlatego powstanie ich i rozwój jako znane mi nieco obszerniej opisałem, na wyszczególnienie zasługują następujące instytucje:

Powiatowa Kasa oszczędności, dająca pożyczki większe i długoterminowe, założona w r. 1899 dzięki staraniom marszałka Zbigniewa Horodyńskiego, który wogóle wielkie ma zasługi około lepszego zagospodarowania powiatu.

Powiatowe Biuro pracy, pośredniczące głównie między pracodawcami a robotnikami, wyjeżdżającymi za zarobkiem, — pierwsze powiatowe biuro pośrednictwa pracy w Galicji, założone w r. 1901 z pomysłu dra Surowieckiego.

Muzeum powiatowe, gromadzące zabytki przeszłości, założone za staraniem starosty Eugenjusza Swobody w r. 1908 na pamiątkę 25-ciolecia marszałkostwa Zbigniewa Horodyńskiego i nazwane jego imieniem.

Dalej na uwagę zasługuje Towarzystwo im. Stasłanisława Jachowicza opieki nad dziećmi, utrzymu-

jące ochronkę dla dzieci, nie uczęszczających jeszcze do szkoły, z Tarnobrzega i Dzikowa, założone w r. 1906 i posiadające własny dom dzięki ofiarności obywatelskiej dra Walerego Momidłowskiego.

Z innych Towarzystw, istniejących w Tarnobrzegu, własne domy posiadają: Towarzystwo kasynowe (urzędnicze), najstarsze w Tarnobrzegu i Czytelnia mieszczańska, założona w roku 1894 przez dra Surowieckiego, skupiająca pod swym dachem odradzające się mieszczaństwo tarnobrzeskie, wreszcie Towarzystwo gimnastyczne »Sokół«.

*
* *

Ze spraw narodowych wielkiej doniosłości było wybudowanie pomnika Bartoszowi Głowackiemu, pierwszego pomnika chłopu-bohaterowi. Pierwszą myśl postawienia tego pomnika rzucił Walerjan Wryk, włościanin z Wielowsi, a zawiązaniem komitetu w tej sprawie zajęli się Wojciech Wiącek i dr. Surowiecki w r. 1901. Na zebranie, celem zawiązania komitetu przybyło 16 osób i z tych wówczas, 25-go września 1901 r., zawiązał się Komitet, do którego wchodzili: Jan Słomka z Dzikowa, przewodniczący; Józef Lang z Tarnobrzega, zastępca przew.; Wojciech Wiącek z Machowa, sekretarz; Jan Frankiewicz z Miechocina, skarbnik. Jako członkowie: Paweł Grzywacz z Gorzyc, Jan Kolasiński z Tarnobrzega, Wojciech Lang z Tarnobrzega, Paweł Miklowski z Nadbrzezia, Władysław Ossowski z Wielowsi, Jan Słomka młodszy z Dzi-

kowa, Wojciech Słomka z Dzikowa, Stanisław Stala z Miechocina, dr. Antoni Surowiecki z Tarnobrzega, Walery Wryk z Wielowsi, Łukasz Zioło z Wielowsi. Składki napływały ze wszystkich stron Polski, a także od Polaków w Ameryce i wogóle z zagranicy, i dawali je tak chłopi, jak szlachta i mieszczanie.

Gdy się zbliżała chwila odsłonięcia pomnika (9-go września 1904 r.), komitet dokładał wszelkich starań, ażeby uroczystość przyniosła możliwie największy pożytek i dobrze się zapisała w pamięci uczestników. — Do przemówień w czasie uroczystości zaproszeni byli — stosownie do życzenia całego komitetu — ks. biskup naszej djecezji Józef Pelczar, Stanisław hr. Badeni, jako naczelnik rządu krajowego i poseł Jakób Bojko, jako jeden z najwybitniejszych wówczas włościan.

Wszystko zapowiadało się bardzo dobrze, nagle w ostatnich dniach przed uroczystością zawichrzyło się w powiecie i w całym kraju i komitet niespodziewanie znalazł się w wirze wielkiej polityki, a to z powodu, że przeciwnicy posła Bojki w kraju, chcąc z nim załatwić porachunki polityczne przy tej uroczystości, domagali się usunięcia go od przemawiania przy pomniku, ponieważ był w walce z częścią duchowieństwa. Komitet jednak, nie chcąc mieszać do uroczystości narodowej porachunków partyjnych i osobistych, w ogłoszonym programie uroczystości nic nie zmienił. Ale z powodu tego zawichrzenia uroczystość nie wypadła tak świetnie, jak powinna była.

*
*   *

W dzień przed uroczystością odsłonięcia pomnika, 8-go września, odbyła się w Tarnobrzegu koronacja cudownego obrazu Najśw. Marji Panny Dzikowskiej, na którą to uroczystość przybyły niezliczone masy narodu z bliższych i dalszych okolic, zarówno z Galicji, jak i z Królestwa Polskiego, i cała uroczystość odbyła się z wielką okazałością i świetnością i głęboko utkwiła w pamięci uczestników.

*
* *

Na uwagę zasługuje też sprawa, wszczęta w Tarnobrzegu w roku 1908, mianowicie: sprawa daru narodowego w postaci zagrody włościańskiej dla Ferdynanda Kurasia, najwybitniejszego chłopa-poety, którego utwory budzą w całym narodzie szlachetne uczucia i czyny. Sprawą tą zajmował się komitet pod protektoratem hr. Stanisława Tarnowskiego. W skład komitetu wchodzili wybitni obywatele w powiecie, duchowieństwo, posłowie, literaci, dziennikarze. Przewodnictwo komitetu stanowili: Eugenjusz Swoboda, przewodniczący; ks. Szczęsny Rudnicki i Jan Słomka, zastępcy przewodniczącego; Zygmunt Kolasiński, sekretarz; Ludwik Kuryłło, skarbnik.

Wypadki polityczne jednak, poprzedzające wojnę światową, odwracały uwagę od tej sprawy i przeszkodziły w zbieraniu składek. Z zebranych funduszów komitet zakupił przeszło mórg ziemi w Dzikowie i zgromadził w części materjał budowlany, z którego sam poeta przeprowadził budowę i w r. 1912 dom nowy zamieszkał.

*
* *

Wspomnieć się godzi nieco obszerniej o pracownikach na różnych polach działalności, z którymi danem mi było zetknąć się w życiu i którzy zaznaczyli się czyto na swoim urzędzie czy w pracy społecznej w powiecie tarnobrzeskim.

Z pośród duchowieństwa wymienić należy ks. Józefa Sobczyńskiego, który przez kilka dziesiątek lat (od r. 1852 do r. 1894) rządził parafją miechocińską a zarazem doszedł do godności dziekana i prałata. Trzymał on lud w karności, karcił szczególnie pijaństwo i rozpustę. Miał wielkie wpływy w powiecie, wszyscy musieli się z nim liczyć. Posiadał znaczny majątek, który strwonili, niestety, spadkobiercy.

W ostatnich latach przed wielką wojną zaznaczyło się w parafji kilku księży wikarych, szczególniej ks. Franciszek Wróbel i ks. Stanisław Władyka, założyciele domu Bractwa Królowej Korony Polskiej w Miechocinie.

Wśród księży Dominikanów w Tarnobrzegu jest szereg takich, o których pamięć zachowała się u ludności. Ks. Wincenty Wrześniak przeprowadził budowę wieży środkowej na kościele i podniósł gospodarstwo klasztorne. Ks. Stefan Płaszczyca przeprowadził rozszerzenie i odnowienie kościoła, budowę wieży frontowej i koronację cudownego obrazu Najśw. Panny Marji Dzikowskiej. Ks. Stanisław Markiewicz zaznaczył się szczególniej jako opiekun dzieci i młodzieży. Kilku utalentowanym a niezamożnym chłopcom z Dzikowa ułatwił ukończenie gimnazjum. Gdy odjeżdżał

z Tarnobrzega, wielka rzesza dzieci i ludu z płaczem i jękiem odprowadzała go na kolej. Trudno byłoby znaleźć większego przyjaciela maluczkich.—Księża Dominikanie Dzię dzielewicz, Alwary Komorek, Alojzy Serafiński, Bruno Janiewski znani byli z pięknych kazań.

Zresztą wszyscy księża, jakich znałem, wykonywali swoje obowiązki, lud do dobrego nakłaniali i przyczyniali się do utrzymania porządku społecznego i dobrych obyczajów więcej niż jakakolwiek inna władza, spełniali więc najważniejszą rolę w społeczeństwie.

Z pośród inteligencji urzędniczej wyróżniał się za mojej pamięci długoletni starosta tarnobrzeski Stanisław Jakubowicz. Zajmował się on żywo sprawami wchodzącemi w zakres jego urzędu, znał wielką liczbę ludzi w powiecie, także z pomiędzy chłopów, i wiedział, jak się prowadzą. O każdym pilnie się dowiadywał, czy nie jest pijakiem, szkodnikiem, czy zasługuje na pomoc w razie potrzeby. Podczas zwykłych przechadzek codziennych na wszystko zwracał baczną uwagę i, jeżeli dostrzegł coś niewłaściwego, n. p. jakąś psotę chłopaków, nie przepuszczał niczego płazem, ale wołał wójta i na miejscu energicznie polecał coś zrobić, naprawić i t. p. Miał wielkie znaczenie i wplywy w powiecie, jak żaden starosta przed i po nim. Kogo polubił i powziął do niego zaufanie, tego popierał i za wzór stawiał, a co komu przyrzekł, święcie wykonywał. Zachęcał chłopów do posyłania dzieci do szkół. Prawie na każdej sesji przedstawiał wójtom korzyści z nauki, nawoływał, żeby wójcia każdy

w swojej wsi wpływali na ojców, ażeby jak najliczniej posyłali dzieci do szkoły, a nie trzymali ich w domu, i nie dzielili zagonami, bo potem dzieci nie mają z czego żyć i stają się nędzarzami. To skutkowało, bo niedługo dosyć dzieci włościańskich z powiatu kształciło się w szkołach. Chciał, żeby wszyscy w powiecie go znali i okazywali mu szacunek. Miał przytem tę wadę, że nie zapominał doznawanych uraz i bezwzględnie prześladował tych, którzy mu się czemkolwiek narazili. Jeżeli n. p. ktoś nie zdjął przed nim czapki i nie ustąpił mu miejsca, pytał się, co to za jeden i zawsze mu to pamiętał. Mnie bardzo lubiał i chwalił na sesjach wójtowskich, że gminę i akta gminne trzymam w porządku. Wkońcu jednak zraziłem go sobie przez budowę rzeźni gminnej w Dzikowie, nie chciał bowiem, żeby ta rzeźnia powstała, a gmina tarnobrzeska miała przez to konkurencję i zmniejszone dochody. Mówił, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną, niż Dzików dostanię koncesję na rzeźnię. Sprawa ta ciągnęła się przez parę lat. Wystawiliśmy w Dzikowie budynek na rzeźnię, ale musieliśmy go parokrotnie przenosić z miejsca na miejsce i przestawiać, gdyż starostwo wytaczało zawsze jakiś powód, iż rzeźnia nie może stać w danem miejscu i musi być usunięta. Dopiero przy pomocy ks. Sobczyńskiego, który ujął się za nami, wygraliśmy sprawę w Namiestnictwie, które poleciło wydać natychmiast koncesję.

Pierwszy Zarząd Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek w Tarnobrzegu, założonej w r. 1894.



J. Frankiewicz S. Stala W. Wiącek
P. Jała Dr. A. Surowiecki J. Słomka

Z późniejszych starostów zasługuje na wyróżnienie hr. Zygmunt L a s o c k i (od r. 1903—1907). Interesował się gorliwie sprawami powiatowemi, a szczególnie włościańskiemi, starał się je poznać i naprawiać. Pracował niestrudzenie, a jeżeli w powiecie wydarzyła się jakaś klęska, n. p. wylew albo pożar, jechał bezzwłocznie na miejsce i brał czynny udział w akcji ratunkowej. Co rozpoczął, przeprowadzał z nadzwyczajną pilnością. Żył przytem bardzo skromnie. — Starał się między innemi o to, żeby po wsiach domy były stawiane w porządku, w równej linji i w pewnych odstępach, a zarazem były kryte ogniotrwałym materjałem. Sam też sprowadzał dachówkę z funduszu zapomogowego, wyjednanego u rządu, i pogorzelcom dawał ją bezpłatnie albo sprzedawał na bardzo dogodnych warunkach. W ten sposób przyczynił się znacznie do rozpowszechnienia w powiecie pokrywania budynków ogniotrwałym materjałem. Zczasem ludzie dowodnie się przekonali, że ogniotrwałe pokrycie trwalsze jest niż strzecha, lepiej zabezpiecza mienie i życie ludzkie przed pożarami, obniża premje ubezpieczeniowe. — Pracą swoją zdobył sobie jako starosta wielkie zaufanie u ludu włościańskiego i w r. 1911 został posłem do parlamentu wiedeńskiego z tutejszego okręgu. Na tem stanowisku zajmował się bardzo pieczołowicie sprawami swoich wyborców i należał do najpracowitszych posłów polskich.

Następca hr. Lasockiego na urzędzie starosty w powiecie tarnobrzeskim, Eugenjusz S w o b o d a, brał

również czynny udział w pracy obywatelskiej w towarzystwach rolniczych, »Sokołach« i t. p. Ludowi włościańskiemu był przychylny i przystępny dla każdego, — nieraz na ulicy sprawy wysłuchał i załatwił ją. Gdy miał odjeżdżać z Tarnobrzega, pożegnał się z wójtami na ostatniej sesji, a mnie na pożegnanie zaszczycił nawet odwiedzinami w domu.

Z komisarzy starostwa w Tarnobrzegu należy wspomnieć dra Karola Matyasa, który zbierał pieśni i zwyczaje ludowe w powiecie tarnobrzeskim i wydał między innemi prace pod tytułem: »Wincenty Motas, chłop-poeta« i »Wesele stalowskie«; następnie dra Iuljusza Dunikowskiego, który był redaktorem »Powiatowego Dziennika Urzędowego w Tarnobrzegu« w latach 1908 i 1909.

Z sędziów na uwagę zasługuje szczególnie Józef Chalcarz, niestrudzony pracownik na różnych polach działalności społecznej, pojednawczego usposobienia, wielce zasłużony opiekun Ochronki im. Stan. Jachowicza w Tarnobrzegu i Zakładu sierocego w Mokrzyszowie.

Z lekarzy kilku bardzo dobrą pozostawiło po sobie pamięć. Dr. Walerjan Pawlas oddawał się z poświęceniem obowiązkom lekarskim, spieszył na każde wezwanie do chorego. Miał też wielki ściąg do siebie, od biednych nie brał honorarjum, ale dodawał im na lekarstwa. Padł ofiarą swego zawodu w czasie panowania tyfusu plamistego. Dr. Stanisław Orzechowski uważany był za zdolnego lekarza i człowieka.

W życiu obywatelskiem brał czynny udział. Wygłosił bardzo piękną mowę w czasie odsłonięcia pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu. — Dr. Walery Momidłowski był sumiennym lekarzem i dobrym obywatelem. Pracował wytrwale w wielu instytucjach w Tarnobrzegu: był zastępcą marszałka powiatowego, przewodniczącym Towarzystwa handlowo-przemysłowego »Bazar«, założycielem Ochronki im. Stanisława Jachowicza dla dzieci z Tarnobrzega i Dzikowa. Cały prawie swój majątek w Tarnobrzegu, złożony z dwu domów z ogrodami, zapisał na rzecz wspomnianej Ochronki.

Z adwokatów i z inteligencji tarnobrzeskiej na szczególne wyróżnienie zasługuje wspomniany już wielokrotnie w »Pamiętnikach« dr. Antoni Surowiecki, który jest najwybitniejszym działaczem nad odrodzeniem ludu i powiatu tarnobrzeskiego. Prócz wżmiankowanych już dzieł dokonał wielu innych. Zakładał po wsiach pierwsze czytelnie jako delegat krakowskiego Tow. Oświaty Ludowej, szczególnie zaś owocną działalność prowadził w Radzie powiatowej tarnobrzeskiej, do której wchodził z gmin wiejskich. Chłopów wybranych do Rady złączył wtedy w Koło powiatowe, na którem były omawiane wszelkie sprawy, idące pod obrady pełnej Rady lub Wydziału powiatowego. Koło to w latach 1896—1904 było szkołą wyrobienia obywatelskiego dla włościan powiatu tarnobrzeskiego, na posiedzeniach swoich poruszyło, omówiło i przeprowadziło wiele doniosłych spraw, do-

tyczących naprawy gospodarki gminnej, ulepszenia pastwisk, dróg, przemysłu domowego, handlu, wychodźtwa zarobkowego, zdrowotności, oświaty, polityki, uświadomienia narodowego i t. p. Sprawami społecznemi zajmował się z zamiłowaniem, odkładał na bok interesy osobiste i kancelaryjne, gdy trzeba było jakąś rzecz społeczną omówić i załatwić. Szczególniej interesował się sprawami włościańskiemi, z światłymi włościanami chętnie obcował, bywał na uroczystościach i weselach chłopskich.

Jako obrońca przeprowadzał prócz zwykłych spraw w sądach i innych władzach sprawy różnych instytucyj, gmin i dawał często pomoc bezpłatną. Brał w obronę tylko sprawy słuszne i czyste.

Byłem raz świadkiem w jego kancelarji, jak chłop jeden zaszedł tam ze swoją sprawą i chciał ją powierzyć dr. Surowieckiemu. Ten jednak nie chciał jej przyjąć i odradzał stanowczo wszczynanie procesu. Gospodarz był tą odmową dotknięty i, gdy wyszedł z kancelarji, wyklinał i pomstował z tego powodu. W dwa lata potem spotkał mię w mieście i opowiadał, że ze sprawą, której nie chciał przyjąć dr. Surowiecki, poszedł do adwokata — żyda, ten przyjął ją chętnie i poprowadził, ale chłop sprawę przegrał i zniszczył się zupełnie. Toteż mówił z żalem: »Dobrze mi wtedy radził p. Surowiecki, niech mu Bóg da zdrowie, ale go nie słuchałem i kara mnie spotkała«.

Jako obrońca zaznaczył się szczególnie w procesie Wojciecha Wiącka, posła do parlamentu wiedeń-

skiego, przeciw Mojżeszowi Kanarkowi, który był synem Rachmiela Kanarka, właściciela kilku dworów, i prowadził politykę między ludem w powiecie. Był to pewnie największy z procesów, jakie kiedykolwiek toczyły się w Tarnobrzegu, i zainteresowany był nim nietylko powiat tutejszy, ale cały kraj; na rozprawę przybyli sprawozdawcy gazet polskich i nawet wiedeńskich. Rozprawa toczyła się na wiosnę 1911 r. przez 5 dni. Powodem procesu było to, że Mojżesz Kanarek zarzucił Wiąckowi, iż tenże, wyzyskując swoje stosunki poselskie, wyrabia za pieniądze koncesje szynkarskie żydom. Kanarek głosił tak publicznie i rozgadywał wszędzie i wiele gazet pisało o tem. Oskarżenie to robiło wrażenie tembardziej, że Wiącek w pracy swojej społecznej występował najwięcej przeciw karczmom żydowskim, uważając je za największe nieszczęście w kraju i jako poseł domagał się w parlamencie zamykania karczem i szynków przynajmniej w dni świąteczne.

Kanarka bronił w sądzie adwokat z Krakowa dr. Heski, Wiącka zastępował dr. Surowiecki.

W czasie rozprawy główna uwaga skierowana była na zeznania dwóch świadków żydów: Izraela Kropfa z Rozwadowa i Falika Goligera z Tarnopola, którzy pod przysięgą twierdzili, że Wiącek koncesje szynkarskie za pieniądze wyrabiał. Wstrząsająca była chwila, gdy pod koniec rozprawy w Tarnobrzegu Goliger, trzęsący się już z powodu podeszłego wieku, Wiąckowi do ócz powtarzał, że ten przyrzekał jemu Goli-

gerowi wyrobienie koncesji szynkarskiej za pieniądze, Wiącek zaś nazwał to kłamstwem bezczelnem i również pod przysięgą twierdził, że z Goligerem nigdy się w życiu nie zetknął i nie rozmawiał.

Ponieważ w ten sposób przysięga stanęła naprzeciw przysięgi, rozprawa w Tarnobrzegu została przerwana a sprawa przekazana Sądowi obwodowemu w Rzeszowie. Toczyła się tam dalej przez półtora roku sprawa przeciw świadkom Kanarkowym o zbrodnię krzywoprzysiężnego oszustwa. Oskarżonych broniło kilku adwokatów, Wiącka zastępował w dalszym ciągu dr. Surowiecki.

Wreszcie w jesieni 1912 r. po dwudniowej rozprawie głównej Trybunał w Rzeszowie stwierdził, że Kropf i Goliger, zwerbowani przez Kanarka, złożyli przeciw Wiąckowi w sądzie tarnobrzeskim fałszywe zaprzysiężone świadectwo, przez co dopuścili się zbrodni oszustwa i skazał Kropfa na 6 miesięcy a Goligera (ze względu na jego wiek podeszły i nieposzlakowany przedtem) na 3 miesiące ciężkiego więzienia i ponoszenie kosztów procesu. Zaś Mojżesz Kanarek, któremu groziły ciężkie kary za oszczerstwo, uwłaczające czci Wiącka, i za nakłanianie świadków do fałszywych zeznań i krzywoprzysięstwa, umknął z powiatu i ukrył się tak, że go sąd nie mógł odszukać. Potem przyszła wielka wojna i tak sprawa pozostała w spoczynku.

W procesie tym ujawniło się też, jakiemi sposobami żydzi starali się dochodzić do koncesyj szynkarskich i zarzucać sieci na posłów, którzy nie byli

im oddani, ażeby ich unicestwić. Pokazało się też, że gazety były w znącznej części na usługach Mojżesza Kanarka i pisały przychylnie dla niego, kiedy rzucał oszczerstwa, a pominęły milczeniem zakończenie sprawy i o wyroku wcale nie wspominały.

Kropf i Goliger, zasądzeni na ciężkie więzienie, wnosili jeszcze sprzeciw do Najwyższego Trybunału w Wiedniu, ale i tam wyrok rzeszowski został zatwierdzony.

Dr. Surowiecki był przeciwnikiem wszelkiego zła i niemoralności, występował bezwzględnie w sprawach słusznych, nie bacząc na to, czy się komu przez to narazi. Odznaczał się stanowczem usposobieniem i odwagą obywatelską.

W życiu powiatu zaznaczył się też wybitnie inż. Jan Bochniak, który poza wydatną pracą zawodową brał nader czynny udział w Radzie powiatowej, w różnych stowarzyszeniach, organizacjach, każdemu służył chętnie doradą i pomocą a przytem dawał dobry przykład swoją pobożnością.

Z nauczycieli odznaczył się szczególniej Jan Michalik, dyrektor szkoły ludowej w Tarnobrzegu, do której należy też Dzików. Obudził on zainteresowanie szkołą wśród dzieci i rodziców.

Zakończenie roku szkolnego bywało za niego uroczyste; dzieci popisywały się odpowiedziami z różnych przedmiotów i deklamacjami; rozdawanie świadectw odbywało się na dziedzińcu szkolnym, przyczem celującym uczniom muzyka grała i biły moździerze. —

Bywały też corocznie majówki, na których było wiele uciechy i śpiewania; starsi chłopcy nieśli chorągwie o barwach polskich. Na dziedzińcu szkolnym były zawsze przyrządy do gimnastyki i zabawy dla dzieci, więc drabiny, huśtawki, słupy do spinania się, karuzel. — Przy szkole znajdował się ogród, o który Michalik bardzo dbał i z własnej kieszeni łożył na wzorowe urządzenie tegoż. Brał często chłopców do ogrodu i uczył szczepienia i pielęgnowania drzewek, toteż u niejednego wyrobił zamiłowanie do ogrodnictwa. — Starał się też utrzymać budynek szkolny w największym porządku, zawczasu zarządzał wszelkie roboty, naprawy, porządki, co następnie Rada szkolna miejscowa bez sprzeciwu zatwierdzała.

Z nauczycieli ludowych należy się też gorące wspomnienie Zygmuntowi Kolasińskiemu, rodem z Tarnobrzega. Był bardzo chętny do pracy narodowej i bardzo pracowity. On najwięcej pracował w komitecie w sprawie daru narodowego dla Ferdynanda Kurasia i usilnie starał się sprawę tę doprowadzić do końca. Ogłaszał też w różnych pismach artykuły i dłuższe prace dotyczące tutejszej okolicy. Niestety, umarł w r. 1914 bardzo młodo w 27-ym roku życia, kiedy mógł dalej najpożyteczniej pracować.

W szkole średniej zaznaczył się Stanisław Sobiński, dyrektor szkoły realnej w Tarnobrzegu. Rozwijał on tę szkołę od pierwszej klasy, t. j., od r. 1909, postawił w niej naukę i wychowanie na wysokim poziomie, nawiązywał łączność szkoły z domami rodzi-

cielskiemi. Brał żywy udział w pracy obywatelskiej, zwłaszcza oświatowej i narodowej, występował z przemówieniami w różnych okolicznościach, zapalał słuchaczów piękną wymową. Z Tarnobrzega został powołany na wizytatora szkół średnich do Warszawy, następnie wkrótce na kuratora okręgu szkolnego lwowskiego.

Między mieszczanami wznieśli się wyżej tylko przychodni, którzy osiedlili się w Tarnobrzegu. Z tych na uwagę zasługuje Narcyz Giżyński, który miał handel towarów korzennych i hotel dla inteligencji, nadto ajencję krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, przytem prowadził gospodarstwo rolne na własną potrzebę. Interesy swoje prowadził porządnie i uchodził za człowieka majętnego. Miał wzięcie w okolicy i brał udział w pracy obywatelskiej. — Należy się też wspomnieć o Władysławie Gryglewskim, który miał pocztę prywatną i prowadził ją dobrze, a że był oszczędnym, doszedł do zamożności majątkowej. Występował czynnie w życiu publicznem, należał do wszystkich miejscowych instytucyj i towarzystw. — Między mieszczanami wybili się jeszcze ponad innych Piotrowski, masarz, którego wyroby uchodziły za najlepsze; Jan Kolasiński, krawiec, założyciel największej w powiecie pracowni krawieckiej, wieloletni burmistrz Tarnobrzega; Józef Chruściel, właściciel restauracji, który doszedł do realności w rynku.

Z obszarników godzien wspomnienia Grieswald, który był dzierżawcą Chmielowa od hr. Tarnowskiego,

a nabył z pracy własnej majątek Józefów. Prowadził wzorowo gospodarstwo rolne i był uczciwy w interesach z ludem. Znam wypadki, że nie ściągał długów z takich, którzy znaleźli się w ciężkiem położeniu, nie pozywał ich do sądu, ale owszem pouczał, jak się powinni prowadzić.

Dla powiatu szczególnie zasłużony jest Zbigniew Horodyński ze Zbydniowa, długoletni marszałek, który przyczynił się wybitnie do lepszego zagospodarowania i podniesienia powiatu, a nadto odznaczał się wielką szlachetnością i godnością w postępowaniu.

Z pomiędzy oficjalistów zamkowych i dworskich w Dzikowie na szczególne wspomnienie zasługuje kasjer dóbr dzikowskich Ludwik Kuryłło. Był przystępny i z każdym uczciwie pogadał, dlatego lud miał do niego przywiązanie i szacunek i wszyscy w różnych sprawach zwracali się najwięcej do niego, choć wiedzieli, że jako kasjer miał tylko odbierać pieniądze i wypłacać za kwitem.

Z włościan znałem duży zastęp takich, którzy zaznaczyli się w pracy narodowej, obywatelskiej i politycznej w powiecie, albo też znani byli z dobrego gospodarowania i wychowywania swoich dzieci. Prócz wymienionych na różnych miejscach »Pamiętnika« zasługują na wspomnienie:

Michał Ciba z Trześni pod Sandomierzem, wierny przyjaciel ks. Stojałowskiego, gorący patrjota, który zawsze pragnął doczekać wolnej Polski. Gdy wybuchła wojna światowa, wyruszył na własnym koniu do Le-

gionów, dosłużył się tam stopnia sierżanta. Zginął na polu walki, pozostawiwszy 8 synów i córkę.

Jan Mączka z Zaleszan, zamożny i wzorowy gospodarz, dzielny obywatel, który czynny był w pracy publicznej i rodzinę miał na wyższych stanowiskach.

Jan Kaczak ze Ślęzaków, młody, światły gospodarz, posiadał własną dużą bibljotekę, pisywał do różnych gazet i czynny był w pracy społecznej. Umarł w młodym wieku przed kilku laty.

W działalności politycznej zaznaczyli się szczególniej: Jan Robak z Sokolnik, Adam Grzywacz z Gorzyc, Jędrzej Kępa z Sobowa, Walerjan Wryk z Wielowsi, Jan Frankiewicz z Miechocina.

Znałem dużo rodzin chłopskich, które znacznie powiększyły i ulepszyły swoje gospodarstwa, dbały o oświatę, zabiegały około wykształcenia swoich dzieci tak, że wielu synów włościańskich pokończyło wyższe szkoły i są na stanowiskach: księży, profesorów, lekarzy, sędziów, adwokatów i t. p.

Niepodobna tu wyliczyć wszystkich, którzy przyczynili się do tego, że przed wielką wojną światową powiat tarnobrzeski należał do najlepiej rozwijających się powiatów w b. Galicji. Prawie w każdej wsi było Kółko rolnicze, a w każdej parafji Spółkowa Kasa Oszczędności i Pożyczek, około 50 wsi (na 72 w powiecie) miało Straże ogniowe. Rozwijały się czytelnie, zakładane przez Towarzystwo Kółek Rolniczych, Oświaty Ludowej i Szkoły Ludowej. W kilkunastu wsiach były Gniazda Sokole. — Widać było wielki postęp w rol-

nictwie, zabiegano około rozwinięcia swojskiego przemysłu, znikały po wsiach gospody i sklepiki żydowskie, a powstawały polskie. Powiat chlubił się dobremi drogami szutrowanemi, obsadzanemi drzewami owocowemi. Rosło zainteresowanie się sprawami publicznemi, narodowemi, urządzano liczne obchody i uroczystości, na które zjeżdżali ludzie i z dalszych stron Polski. Powiększał się zastęp inteligencji z ludu, która z zapałem i ofiarnie pracowała nad podniesieniem oświaty, dobrobytu, uświadomienia narodowego i przybliżeniu lepszej przyszłości.

Wszystko to upadło lub zamarło wskutek wielkiej wojny i po wojnie tej musiało się nanowo odradzać.

XI.

Wybuch wojny światowej Pochód wojsk austrjackich na Lublin. Bitwy, cofanie się Austrjaków, wkroczenie Rosjan do Tarnobrzega. Powrót Austrjaków i zachowanie się ich. Wielkie zniszczenie po trzech miesiącach wojny. Z mego pobytu w Wiedniu: podróż, wspomnienia i spotrzeżenia z Wiednia, powrót do domu. Tarnobrzeg i okolica po roku wojny. Ratowanie ludności dotkniętej klęskami wojennemi. Dalsze wypadki wojenne i sprawy polskie. Upadek Rosji, pogrom państw centralnych i powstanie niepodległej Polski.

Na wojnę zanosiło się już dobrze w r. 1909 na wiosnę, a jeszcze bardziej w 1912/13 z powodu spraw bałkańskich, ale wtedy mocarstwa pogodziły się między sobą, a do wojny większej nie przyszło.

Z powodu ciągłych wieści i zapowiedzi wojennych ludność oswoiła się z niemi i przestała się niemi trwożyć, więc nawet po zamordowaniu następcy tronu austrjackiego i jego żony w czerwcu 1914 r. przyjmowali głosy o wojnie dość obojętnie i spodziewali się, że i tym razem do wojny światowej nie przyjdzie.

Tymczasem wybuch wojny szybko się zbliżał. Austrja przesłała Serbji ultimatum, następnie wypowiedzenie wojny, poczem wojna zataczała coraz szersze kręgi.

Dnia 1 sierpnia 1914 r. ogłoszona została u nas ogólna mobilizacja. Każdy wojskowy, urlopnik czy

rezerwista, do 42 roku życia miał zgłosić się w przeciągu 24 godzin w swoim regimencie. Starostwo tarnobrzeskie zaraz w nocy wysyłało ogłoszenie o tem do wszystkich gmin w powiecie przez umyślnych wysłańców. Ja również jako wójt musiałem zawiadomić wszystkich wojskowych w Dzikowie, ażeby natychmiast wychodzili do miejsca swego przeznaczenia, przeważnie do Rzeszowa. Na drugi dzień około południa już żadnego powołanego w gminie nie było, wyruszyli wszyscy do swych punktów zbornych.

Oprócz powołanych przez władze austrjackie gromadzili się równocześnie małoletni ochotnicy od 14 do 20 lat i wychodzili do Legjonów przeważnie w skrytości przed rodzicami. Nazajutrz słyszało się tylko w różnych miejscach wsi powszechny płacz i lament. Matki opowiadały, że synowie ich w nocy po cichu jako ochotnicy poszli do Legjonów, ale wkrótce dały się pocieszyć tem, że legjoniści pomogą Austrji, pobiją Moskala i w ten sposób będzie odbudowana Polska, Ojczyzna nasza.

Jak wyrachowałem, to z Dzikowa wyszło 15 ochotników do legionów, w tem 2 moich wnuków, z Tarnobrzega 16, z innych wsi i miasteczek w powiecie wyszło 120, z tego z samego Radomyśla nad Sanem było 36. Wśród ochotników najwięcej było młodzieży rzemieślniczej i szkolnej.

Duch i poświęcenie w narodzie było nadzwyczaj wielkie, szczere i chętne, na wspomnienie, że Polska

będzie przywróconą, gotów był każdy dać wielką ofiarę z mienia i życia.

Dnia 5 sierpnia 1914 r. Austrja wypowiedziała wojnę Rosji, a już 9—13 sierpnia rozpoczęły się walki między wojskami austrjackiemi a rosyjskiemi za Sanem w powiecie tarnobrzeskim. Do pierwszej potyczki przyszło tam we wsi Chwałowicach, gdzie znajdował się niewielki oddział austrjacki, złożony z żołnierzy pospolitego ruszenia, żandarmów i strażników skarbowych, na których napadli kozacy. O wyniku tej pierwszej potyczki były podawane ustnie i w gazetach najsprzeczniejsze wiadomości zwłaszcza o stratach wśród kozaków, których miało zginąć 30 zgórą a kilkunastu dostało się do niewoli. W każdym razie kozacy cofnęli się wtedy, ale ustępując podpalili wieś tak, że w Tarnobrzegu widoczny był pożar, t. j., wielki słup dymu.

Tegoż dnia przywieziono do Tarnobrzega koleją pierwszego rannego. Na stacji zgromadził się spory zastęp publiczności. Rannego przewieziono z wszelkiemi ostrożnościami i wygodami do szpitala. Publiczność okazywała mu wielkie współczucie.

Dnia 13 sierpnia zajęli Austrjacy lewy brzeg Wisły, t. j., po stronie Królestwa Polskiego. Brzeg ten opanowały oddziały pospolitego ruszenia złożone z Polaków. Przeprawiały się one przez Wisłę na promach w odstępach mniej więcej milowych. Przeprawa odbywała się bez walki, gdyż Rosjanie ze straży granicznej, t. j., objeszczycy, zaraz po wybuchu wojny opuś-

cili te strony. Tylko pod Tarnobrzegiem, nim oddział zaczął się przeprawiać, otwarto na krótko ogień karabinowy, przypuszczano bowiem, że po drugim brzegu znajdują się jeszcze Moskale. Pierwsze te strzały wywołały wielkie wrażenie i przestrach zwłaszcza wśród ludności po tamtej stronie Wisły.

Objeszczycy, opuszczając swoje kasarnie w tych stronach, zapowiadali, że niedługo po pobiciu Austrji na swoje miejsca powrócą, żeby zaś ludność tem silniej była o tem przekonaną, pozostawiali w kasarniach wszystkie swoje zasoby, jak: sprzęty, ubrania, bieliznę, siodła, — siano i owies zlali naftą, żeby nie służyły za paszę dla koni austrjackich. Wódkę wszędzie w składach monopolowych z kadzi i flaszek wylali, więc mówiono żartem, że Moskal tak wódkę lubi, że nie chciał się z drugimi podzielić, wolał wylać.

Kasarnie objeszczyków zajęły austrjackie oddziały pospolitego ruszenia pod komendą żandarmerji, liczące mniej więcej po 40 ludzi, mające za zadanie strzec brzegów Wisły, którą na galarach transportowano armaty i wojsko pod Kraśnik i Lublin.

Zachowanie się tych oddziałów i stosunek ich do ludności był dobry, nawet wzorowy.

* * *

Wśród wieści o walkach za Sanem koło Radomyśla i o zajęciu przez Austrję lewego brzegu Wisły od Sandomierza w górę rozpoczął się olbrzymi pochód wojsk austrjackich na Kraśnik i Lublin. Były to

wojska należące do korpusu krakowskiego, złożone przeważnie z Polaków, w mniejszej części z Czechów i Niemców. Wszystkie przeciągały przez Tarnobrzeg i Dzików.

Dnia 12 sierpnia przejechał przez Tarnobrzeg pociągami kolejowemi pułk czeski z Ołomuńca. Na przyjęcie przejeżdżających złożyła ochotnie ludność okoliczna, zwłaszcza z Dzikowa i Tarnobrzega, na wezwanie zwierzchności gminnych różne wiktuały, jak: wędliny, owoce, napoje. Rozdzielaniem przekąsek na stacji zajmowało się grono pań miejscowych, nadto zgromadziły się tam tłumy ludności okolicznej. Żołnierze Czesi przedstawiali się dobrze, śpiewali czeskie pieśni, na powitanie zebranej publiczności wołali: »nazdar!«

Dnia 17 sierpnia zatrzymał się w Dzikowie bataljon pospolitego ruszenia z okolic Krakowa. Przymaszerował z pod Szczucina, gdzie przez pewien czas stał za Wisłą. Żołnierze opowiadali, że wszędzie w czasie marszu ludność witała ich bardzo serdecznie, raczyła mlekiem, chlebem, owocami i t. p. Kobiety żegnały ich wszędzie z płaczem, jako idących na wojnę.

Dnia 18 sierpnia przejechały przez Dzików 3 baterje kanonierskie, które budziły wielkie zainteresowanie. Niektórzy po raz pierwszy w życiu mieli sposobność widzieć armaty. — Tegoż dnia zatrzymał się w Tarnobrzegu oddział sanitetów, nadto oddział pionierów. W tym ostatnim oddziale było wiele rzeczy godnych widzenia, jak: pontony, materjały do budo-

wy mostów, życie obozowe i t. p. Konie w trenie pochodziły z niedawnego poboru po wsiach i dworach, niektóre z Dzikowa, i te poprzedni właściciele z łatwością rozpoznawali. Konie pobrane od chłopów trzymały się dobrze, niektóre wyglądały nawet lepiej, niż przedtem u gospodarzy, zajadały ze smakiem owies, którego u chłopów nieraz łaknęły, — natomiast pochodzące z dworów straciły wiele na wartości. Dwa konie zamkowe z Dzikowa zmieniły się do niepoznania. Szkodził im ciągły pobyt w drodze, nie smakowała pasza, stały smutne, uwiązane u kołka. — Po południu tegoż dnia przepłynęły Wisłą galary z armatami. Wieczorem przejechał przez Dzików długi szereg wozów z amunicją.

Dnia 19 sierpnia w południe przybył do Dzikowa pułk piechoty, rekrutowany w okolicach Żywca. Zatrzymał się tu na wypoczynek i nocleg. Wszystkie zagrody zajęte były przez wojsko. Oficerów przyjęto w domach, żołnierze spali w stodołach. U mnie w stodole i szopach spali żołnierze, nadto były karabiny maszynowe i kilka koni. W innych też wsiach, począwszy od Baranowa, nocowały wtedy różne pułki. Duch w wojsku był dobry, była wiara, że Moskala pokonają, — mniej było takich, którzy powątpiewali w możność zwyciężenia Rosji i którzy mówili: »My dobrze przyładowani, ale oni na nas pewnie jeszcze lepiej«.

Główny jednak przemarsz wojsk, należących do korpusu krakowskiego, nastąpił 20 sierpnia. Przemarsz

przez Dzików rozpoczął się tego dnia wczesnym rankiem, a trwał bez przerwy cały dzień do późnego wieczora. Dzików nigdy czegoś podobnego nie widział. Przeszły pułki cieszyński, bialski, krakowski, bocheński, sądecki i inne, przechodziły należące do tych pułków orkiestry, konnica, baterje kanonierskie, oddziały pionierskie, saniteckie, kuchnie polowe, a na końcu ciągnęły samochody i olbrzymia ilość podwód chłopskich z pod Tarnowa, Bochni, Krakowa, Żywca. Wyglądało to na istną wędrówkę ludów, wszystko zmierzało ku północy, za San, na Kraśnik i Lublin. Wojska te drogę do Tarnowa przebyły kolejami, stąd maszerowały, robiąc po 3—4 mile dziennie.

Po przemarszu tych wojsk piechotnych i zaprzęgów gościniec pod wieczór wyglądał jakby zdarty wierzchem, a miejscami potworzyły się takie wyboje, że ciężkie wozy nie mogły przejechać.

Żołnierze mimo, że dźwigali ciężkie tornistry (35 do 40 kg. wagi), szli dziarsko, ze śpiewem, rzucali w przechodzie przyglądającej się publiczności żartobliwe pytania: »Jak daleko Warszawa, Petersburg«, albo »Czy Moskal jeszcze nie uciekł« i t. p. Wszędzie po drodze darzyła ich ludność czem mogła: napojem, owocami, kwiatami, życzeniami szczęśliwego powrotu.

W następnych dniach, od 21 sierpnia do 3 września, przechodziły ciągle ku Sandomierzowi mniejsze i większe oddziały wojsk pieszych i konnych, Wisłą zaś przepływały galary z armatami i wojskiem, — jednakże po przemarszu głównej siły budziły mniej za-

interesowania. — 25 sierpnia zatrzymała się na noc w Dzikowie i wsiach okolicznych brygada pospolitego ruszenia z niemieckich krajów austrjackich: Austrji Dolnej, Górnej, Salzburga, Tyrolu. Ci pierwsi zaczęli się obchodzić z ludnością bezwzględnie i szorstko: w stodołach rozwiązywali niemłócone snopki i robili sobie posłanie, brali naczynia kuchenne z domów i prali w nich swoją bieliznę i t. p. Mówili, że idą walczyć za Polskę, więc należą się im wygody. Po odejściu ich narzekano powszechnie, że narobili więcej szkody, niż wszystkie poprzednie wojska razem.

Jechały też w dalszym ciągu, zdawało się bez końca, podwody chłopskie, do przewożenia prowiantów i amunicji dla wojska. Podwód tych przejechało przez Dzików tysiące.

Największy podziw budziły podwody górali ze Spiża, którzy byli różnej narodowości: Polacy, Słowacy, Węgrzy, Niemcy. Mieli oni wozy grube, mocne, konie rosłe, ogromnie wytrwałe, bo choć były w drodze od szeregu dni i przebyły kilkadziesiąt mil, nie widać było na nich znużenia, szły rączo i strojnie, jakby dopiero co z domu wyszły. Podwody te szły pod Lublin próżne, tam dopiero miały być użyte do transportów. — Przejechało też między innemi kilkaset furmanek chłopskich z Kieleckiego, naładowanych owsem, prowadzonych przez honwedów węgierskich. Konie w tych podwodach były niewielkie, ale krępe i rącze, wozy lekkie, zgrabne, uszykowane na modę krakowską.

Takie siły przeszły drogą na Tarnobrzeg, równocześnie — jak przejezdni opowiadali — druga armja austrjacka szła drogami po przeciwnej stronie Wisły, inne zaś ciągnęły do Królestwa Polskiego od Przemyśla i Lwowa. Z armjami zaś austrjackiemi współdziałały przeciw Rosji armje pruskie.

Było więc przekonanie, że Austrja i Niemcy zwyciężą, że wojna toczyć się będzie poza granicami tych państw i oddalać coraz bardziej ku wschodowi. Ci, którzy pamiętali powstanie z 63 roku, podnosili, że wtedy słabe stosunkowo siły trzymały się przeciw Rosji przez $1^1/_2$ roku, więc tak potężne mocarstwa dadzą Rosji radę niechybnie.

Dla armji, która przeszła na Lublin, ściągano nad granicę olbrzymie zapasy żywności i amunicji i założono ogromne magazyny w Nadbrzeziu i Rozwadowie.

Cała ta wyprawa odbywała się wśród pięknej pogody, gdyż od wybuchu wojny przez sierpień i połowę września panowała pogoda, ciepło, nawet upalne gorąco.

Olbrzymiemu temu pochodowi przyglądały się po drogach rzesze ludności, odrywając się od zajęć codziennych. Szczęściem, że wojna wybuchła z początku sierpnia, kiedy już zbiory zboża i paszy były na ukończeniu, bo po mobilizacji reszta robót gospodarskich, jak: zbiór jęczmienia, prosa, potrawów itp. postępowała już bardzo niesporo, każdemu bowiem na myśli była wojna. Mówiono przytem powszechnie: »My

zbieramy i pracujemy, a nie wiadomo, kto to będzie pożywał«?

W tymże czasie odbywał się pobór nowych rekrutów. Najpierw zgłaszali się do starostwa rekruci, którzy, przebywając na robotach w Niemczech, nie stawiali się do poboru wojskowego we właściwym czasie. Takich z Tarnobrzega odjechało kilkuset do Rzeszowa, gdzie była komisja poborowa. Z samego Dzikowa było ich 13.

Dnia 21 sierpnia było częściowe zaćmienie słońca, trwające od godz. 1—2$^{1}/_{2}$ po południu, które przy pięknej pogodzie bardzo dobrze dało się widzieć. Zaćmienie to było zapowiedziane ze starostwa okólnikami, żeby ludność nie uważała zjawiska tego w czasie wojny za wróżbę jakichś nieszczęść.

Nazajutrz pojawił się po raz pierwszy w tych stronach balon wojskowy (Zeppelin), bardzo pilnie przez wszystkich oglądany. Płynął wolno wzdłuż Wisły ku Sandomierzowi.

Z wojną tą łączono od początku sprawę polską. Było przekonanie, że wojna światowa doprowadzi do wskrzeszenia państwa polskiego. 26 sierpnia odbyło się w Tarnobrzegu w Radzie powiatowej liczne zebranie w sprawie Naczelnego Komitetu Narodowego i legjonów polskich po stronie Austrji. Na zebranie przybyło wielu włościan, nauczycielstwa, inteligencji. Przewodniczył marszałek pow. Zbigniew Horodyński. Przemawiali dwaj delegaci Naczelnego Komitetu Narodowego z Krakowa: o powstaniu tego Komitetu,

o tworzących się legjonach i potrzebie powiatowej organizacji narodowej. Po krótkiej dyskusji utworzono Komitet powiatowy, którego przewodniczącym został marszałek powiatu.

Od początku wojny dużo niezadowolenia wśród ludności budziło zachowanie się żydów, którzy — choć Austrji sprzyjali — wykręcali się od wszelkich świadczeń wojennych. Przy ogólnej mobilizacji mały procent żydów poszedł do wojska i na wojnę, podczas gdy wśród ludności chrześcijańskiej odrazu był widoczny duży ubytek mężczyzn. Prócz tego ci, którzy wzięci byli do wojska, zgłaszali się jako chorzy do szpitali, lub pełnili służbę na stacjach, posterunkach, w magazynach, gdzie nie groziło żadne niebezpieczeństwo, a tylko bardzo niewielu szło do służby polowej. Nadto wieś jedynie dawała kwatery dla wojska, gdyż w brudnych miasteczkach, zaludnionych przez żydów, nie mogło się ono zatrzymywać na noclegi. Wieś też ponosiła cały ciężar dostarczania podwód. Nawet do naprawy dróg pociągana była wyłącznie ludność chrześcijańska, odrywana od robót polnych, domowych i od warsztatów, podczas gdy ogół żydów wystawał bezczynnie na mieście. Gdy wreszcie pod naporem opinji zaczęto ich pociągać do pracy na drogach, uciekali i kryli się po domach, piwnicach, strychach, gdzie tylko mogli. Musiano ich przemocą chwytać, wsadzać na samochody i w ten sposób dostawiać na miejsce robót.

Wielką też plagą od wybuchu wojny stało się plotkarstwo o wydarzeniach wojennych, szerzone przez ludzi wszystkich warstw. Jedni o pogodnem usposobieniu mówili najchętniej o zwycięstwach, których najczęściej nie było, inni zgryźliwi biadali o klęskach i nic dobrego nie wróżyli, inni wreszcie podszyci strachem szerzyli ciągle popłoch. W wieściach rozpowszechnianych tkwiła albo tylko drobna część prawdy, albo zgoła były one nieprawdziwe i nieprawdopodobne.

Gdy n. p. zaczęła się wojna z Serbją, powstawały ustawicznie pogłoski o zdobyciu Belgradu nawet całej Serbji, a w dzień urodzin cesarza Franciszka Józefa, 18 sierpnia 1914 r., opowiadali niektórzy z uporem, że cesarz otrzymał na wiązanie »klucze od Serbji«, t. j., kraj ten podbity.

To znowu, gdy rozpoczęły się walki za Sanem, opowiadano, że Moskale obwarowują się w Pniowie, wsi mającej górne położenie nad Sanem, że do kościoła tamtejszego wprowadzili armaty, a z wieży śledzą ruchy wojsk austrjackich i tak panują nad całą okolicą. Opowiadano dalej o bitwie pod Pniowem, że wojsko austrjackie podeszło tam w odpowiedniej sile, w czasie walki działowej kościół zwalił się w gruzy, Moskale wyginęli co do jednego, a zdobyte armaty rosyjskie wystawiono na widok publiczny w Rozwadowie w rynku. Tymczasem wszystko to było zmyślone: nie było żadnej bitwy pod Pniowem, kościół

jak stał, tak stoi dotychczas, były tam wówczas tylko potyczki pod Radomyślem.

Albo chłopi w Królestwie Polskiem po wkroczeniu tam oddziałów austrjackich opowiadali, że oddziały te przeszły przez Wisłę po »mostach gumowych«, i o tych mostach mówili między sobą i podawali wiadomość dalej, a nikt nie poszedł na miejsce, żeby to naocznie sprawdzić, choć mieszkali przy Wiśle.

Gdy zaś przyszło do wielkich bitew w tej wojnie światowej, przeróżnym plotkom nie było końca. Mówiono to o wielkich zwycięstwach, to o strasznych klęskach, a wieści te były najczęściej mylne i w znacznej części pochodziły z gazet.

W rzeczywistości było w tych stronach tak, że mniejsze oddziały rosyjskie za Sanem i Wisłą cofały się na razie pod naporem sił austrjackich. Była tu wówczas powszechna radość, że Austrja, a z nią sprawa polska zwycięża, mówiono też, że wojna zakończy się w paru miesiącach.

* * *

Od połowy sierpnia dochodziły do Dzikowa tylko głuche odgłosy strzałów armatnich, pochodzące z bitew, jakie toczyły się wówczas pod Kraśnikiem, Kielcami, następnie pod Niedrzwicą i Lublinem. Ludzie wsłuchiwali się w ten huk armatni, a niektórzy chcąc go lepiej słyszeć, przykładali ucho do ziemi i w ten sposób potrafili nawet rozróżnić strzały rosyjskie od austrjackich.

Tak było do pierwszych dni września. Mówiono i pisano tylko o zwycięstwach austrjackich pod Kraśnikiem, Lublinem. Ogół nie wiedział o tem, że armja austrjacka zmaga się tam z wielkiemi trudnościami, a to głównie z powodu lichych dróg w tamtych stronach i spotkania się z nieprzyjacielem bardzo dobrze przygotowanym do walki. Więc wprawdzie armja ta zmusiła Rosjan do cofania się pod Kraśnikiem, następnie pod Niedrzwicą, ale już pod Lublinem nie mogła przełamać ich oporu i zaczęła się stamtąd szybko cofać, (co było też w związku z klęskami, jakie równocześnie poniosły armje austrjackie, walczące dalej na wschód).

Odwrót ten jednak był przez dowództwo austrjackie starannie ukrywany i do ostatniej chwili ogół o nim nic nie wiedział.

Nagle 9 września zrana zaalarmowały tutejszą ludność bliskie strzały armatnie tuż z pod Sandomierza. Ze wzgórzy dzikowskich można było rozróżnić, że Rosjanie prą na Sandomierz, broniony przez Austrjaków. Od kul armatnich wybuchały w różnych miejscach pożary. Baterje rosyjskie ostrzeliwały w dalszym ciągu most w Sandomierzu, składy żywności i amunicji w Nadbrzeziu, stację w Sobowie. Granie armat rozlegało się do późnego wieczora.

A choć kule rosyjskie nie wyrządzały większej szkody, wszczął się jednak popłoch między robotnikami, zatrudnionymi w składach wojskowych w Nadbrzeziu. Pracowało tam bowiem do 1.000 ludzi w od-

działach robotniczych. Pod wieczór przybywali oni bezładnie do Tarnobrzega, powiększając tu strach i popłoch, który się zaczął zrana od pierwszych wystrzałów armatnich.

Już wtedy z obawy przed większemi bitwami zaczęli niektórzy wyjeżdżać z Tarnobrzega, a przedewszystkiem bogatsi żydzi i panie, między niemi nawet takie, które zaciągnęły się do pracy w organizacji Czerwonego Krzyża.

W następnych dniach bitwy zbliżały się coraz bardziej w te strony tak, że w niedzielę 13 września, główne siły rosyjskie przekroczyły San pod Wrzawami, a Tarnobrzeg i Dzików ostrzeliwany był tegoż dnia przez armaty rosyjskie z za Wisły. Kule rosyjskie kierowane były głównie na stację kolejową w Tarnobrzegu, żadna jednak nie dosięgła dworca i toru kolejowego, ale padały przeważnie na polach dzikowskich, zwanych Nawozami. Uszkodziły tu jeden dom, z którego od kuli szrapnelowej spadła wszystka dachówka, jakby liście z drzewa. Armatom rosyjskim odpowiadały działa austrjackie, ukryte na wzgórzu tarnobrzeskim »Wianku« i na folwarku Wymysłowie. Ogień armatni trwał do południa. Kule wychodziły z hukiem, wyły w powietrzu i padały z trzaskiem na ziemię.

Trwoga ogarnęła ludność miejscową, której po raz pierwszy zaświstały kule nad głowami. Jedni kryli się koło swoich domów, najwięcej w piwnicach, inni uciekali, chcąc oddalić się od Wisły i wydostać się

poza obręb strzałów. Przedewszystkiem rzucili się do ucieczki żydzi tarnobrzescy, unosząc z sobą część mienia, jak pościel, wydalała się też część ludności chrześcijańskiej. Po południu, gdy bitwa ucichła, wielu wracało napowrót do swych domów, wszyscy jednak żyli w obawie, że w najbliższym czasie mogą się wznowić groźniejsze wypadki.

Nazajutrz, 14 września, główne siły rosyjskie i austrjackie biły się już z tej strony Sanu, pod Rozwadowem i Zaleszanami, 3 mile od Tarnobrzega, więc dochodziły tu ogłuszające odgłosy ognia armatniego.

Wtedy dopiero stało się widocznem, że cała armja austrjacka z pod Lublina cofa się. Wielu, którzy widzieli tę świetną armję, wkraczającą do Królestwa Polskiego, do ostatniej chwili nie chciało uwierzyć, żeby ona nie sprostała nieprzyjacielowi i ustępowała mu. A jednak armja ta cofała się, ale już nie szosą, którą szła poprzednio, na Tarnobrzeg wzdłuż Wisły, gdyż droga ta mogła być już z za Wisły przez nieprzyjaciela ostrzeliwaną, ale cofała się po lichych drogach polnych i lasowych przez wsie: Żupawę, Ślęzaki itd.

Ze świetnych pułków, które poszły na Lublin, wracały tylko strzępy: wielu poległo, było rannych lub dostało się do niewoli; z trenu wiele przepadło, bo wskutek ciężkich dróg psuły się wozy, padały konie, dużo zabierał nieprzyjaciel. Na żołnierzach znać było zmęczenie i poniewierkę.

Przedewszystkiem cierpieli z powodu głodu. Przechodząc przez wsie, prosili o chleb, — chcieli płacić i pieniądze trzymali w rękach, — ale ludność wsiowa mogła zaledwie pierwsze oddziały obdzielić jakiemiś prowiantami, dla następnych nic nie było gotowego. Zgłodniali żołnierze wyrywali kapustę w polu i jedli z niej głąbie; jedli marchew pastewną, a nawet surowe ziemniaki. Wpadali do domów i często przemocą zabierali, co się dało, do jedzenia. Były wypadki, że wydzierali chleb piekący się z pieca lub ziemniaki gotujące się z garnka.

Jak opowiadali, od kilku dni nie mogli się należycie pożywić, gdyż postępował za nimi pośpiesznie nieprzyjaciel, a przytem magazyny i treny z żywnością wpadły w jego ręce lub zostały zniszczone.

Nadto rozluźniła się znacznie karność i porządek w szeregach: wielu wyczerpanych trudami wlokło się bezładnie z tyłu, inni, aby sobie ulżyć, wyrzucali po drodze naboje, pozostawiali na miejscach spoczynkowych tornistry a nawet karabiny.

Mimo wszystko pewna część nie straciła jeszcze nadziei zwycięstwa. Ci mówili, że cofają się tylko dlatego, żeby wciągnąć za sobą wgłąb Galicji Moskali, tu ich otoczyć i pobić.

Stało się tu już pewnem, że w ślad za cofającą armją austrjacką wkroczą Moskale. Wskutek tego wyjeżdżała z Tarnobrzega wielka część żydów, którymi były zapełnione całe pociągi i reszta inteligencji urzędniczej. Wyjechali też ze szpitala wszyscy lżej ranni

i mniej chorzy żołnierze. Wieczór 14 września odeszły ze stacji tarnobrzeskiej ostatnie pociągi. Kto już na pociąg nie zdążył, a chciał usunąć się stąd, podążał jeszcze pieszo drogą na Majdan, Kolbuszowę ku Rzeszowowi itd. Wielu porzucało swoje domy i szło na tułaczkę bez rzeczywistej potrzeby, a tylko ze strachu przed Moskalami i przed kulami. Nie było uspokojenia urzędowego i wezwania do ludności, ażeby nie opuszczała swoich siedzib, a natomiast rozchodziły się potworne pogłoski, ze »Moskale będą wieszać«, że »mężczyzn pozostałych wcielają do swych szeregów« i t. p.

Miasto zupełnie opustoszało, pozostała w niem tylko garstka inteligencji i mieszczaństwa chrześcijańskiego, przytem najbiedniejsi żydzi, zapanowała cisza, jak przed burzą.

Chłopi nie ruszali się przeważnie ze swoich gospodarstw. Mówili wtedy: »Co będę uciekał od swego« albo »Co będę uciekał przed śmiercią, skoro wcześniej czy później umrzeć trzeba«. Pozostali też wszędzie księża, a z ust jednego z nich słyszalem wtedy: »Gdzie owce, tam i pasterz, cóżby to był za pasterz, któryby w niebezpieczeństwie porzucał swoje owce«? W znacznej części pozostali po wsiach nauczyciele ludowi. W Dzikowie pozostał na miejscu hr. Zdzisław Tarnowski z żoną.

Ci, którzy nie uciekali, przygotowywali sobie schroniska na czas bitew, kopiąc przy domostwach duże doły mające najmniej 1 m. nasypu ziemnego. Niektó-

rzy wyjeżdżali z dobytkiem, jaki mogli zabrać, do lasów okolicznych, sądząc, że tam bezpieczniej będzie przetrwać walki. Jedni z tych zaraz wracali do domów, zaznawszy pierwszych niewygód uchodźtwa, inni nieco później, naraziwszy się często na wielkie niebezpieczeństwa, — gdyż — jak się pokazało — lasy nie dawały schronienia przed bitwami.

Wieczór 14 września hr. Zdzisław Tarnowski prosił mnie o przybycie do zamku. Gdy tam przyszedłem, oznajmił mi, że nazajutrz rano będziemy mieli w Dzikowie Moskali, prosił przytem o ogłoszenie w gminie, ażeby ludność zachowała się spokojnie i nie dawała powodu nieprzyjacielowi do ostrzejszych zarządzeń. Oświadczył też, że pozostaje na miejscu, mówiąc: »Dzieliłem z wami dobrą, będę dzielił i złą dolę«.

We wsi wraz z nocą nastał spokój nawet cisza, mało kto jednak spał, każdy z niepokojem oczekiwał następnego dnia.

Nazajutrz o godz. 8-mej rano, idąc do kancelarji gminnej, ujrzałem patrol rosyjską, składającą się z dwu dragonów. Natknęli się właśnie na 2 żołnierzy austrjackich, którzy nie zdążyli się jeszcze stąd wycofać, więc wywiązała się między nimi krótka strzelanina, poczem pierwsi i drudzy zawrócili w swoje strony. Nie zeszło godziny, gdy przybyły patrole rosyjskie w większej sile. Zajeżdżają do zamku, biorą z sobą hr. Zdzisława Tarnowskiego i każą się dalej prowadzić. Wjeżdżają do miasta i tu zderzają się z podjazdem austrjackim.

Kulki zaczęły świstać, a w czasie tej walki hrabia schronił się szczęśliwie w boczne ulice. Również w innych miejscach patrole się ścierały i strzały odzywały się coraz częstsze. W taki czas niebezpiecznie było wychylać się na ulicę, każdy też chował się w domu.

Koło południa stanął już na mojem polu, którego mam koło domu prawie dwie morgi, tren rosyjski. Wóz stanął koło wozu tak, że konie wierzchowe, należące do trenu, nie mogły się już pomieścić. Dowódca trenu skierował się do mego domu. Wszedł do stancji z uprzejmem polskiem pozdrowieniem i prosił, ażebym pozwolił na wprowadzenie koni wierzchowych na podwórze. Zgodziłem się na to i wyszedłem z nim na podwórze, on zaś widząc, że mam w stodole zboże i siano, a w ogrodzie ładne owoce, zabronił żołnierzom najsurowiej wchodzić tak do stodoły jak i ogrodu. Widziałem z tego, że Moskale nie są tak źli, jak o nich mówiono, skoro proszą nawet o pozwolenie na wprowadzenie koni na podwórze i wiązanie ich do płotu. Toteż od tej chwili pozbyłem się obawy przed nimi.

Tymczasem pod bokiem Tarnobrzega przygotowywały się krwawe bitwy. Austrjacy zatrzymali się w Machowie, w odległości 5 klm. od Tarnobrzega, i okopy ich biegły stamtąd przez Chmielów, Cygany i dalej ku wschodowi, naprzeciw zaś nich okopali się, od Miechocina począwszy, Rosjanie. Na tych stanowiskach toczyła się zacięta bitwa przez 3 dni: 15, 16 i 17 września. Dniem i nocą rozlegał się huk armat i trzask karabinów. Na wieży klasztornej usadowił

się oficer rosyjski i przez telefon podawał komendę, jak mają bić armaty. Austrjacy odkryli to i w trzecim dniu ostrzeliwali kościół. Odłamki szrapneli padały wtedy na nasze domy, byliśmy w największem niebezpieczeństwie, siedzieliśmy w piwnicach.

Straszniejszy niż sama bitwa był rabunek, który odbywał się w Tarnobrzegu w czasie tej 3-dniowej bitwy. Moskale odbijali sklepy, opuszczone przez żydów, wyrzucali towary na ulicę, sami brali, co się im podobało, ładowali na swoje wozy, resztę kazali brać ludności cywilnej, czasem zmuszali do brania albo sprzedawali za bezcen. Znaleźli się przytem ludzie chciwi, niepomni na przykazania Boże, którzy nadciągali do miasta z bliższych i dalszych wsi, nawet z za Wisły i brali udział w grabieży. Po paru dniach sklepy były tak ogołocone, że za pieniądze nic nie kupił.

Jednocześnie rabusie w szynelach rosyjskich wdzierali się do domów prywatnych, opuszczonych przez właścicieli i wykradali, co mogli. W ten sposób pastwą rabunku padło wiele domów żydowskich i urzędniczych. Do domu dr. Surowieckiego zajechały podwody, na których wywieziono całe urządzenie mieszkania. Kasy ogniotrwałe zostały wszędzie porozbijane.

Należy jednak zaznaczyć, że ogół ludu wiejskiego wykazał wtedy wysoką moralność, nie brał udziału w rabunkach i nie chciał kupować rzeczy zrabowanych, choć były za bezcen i cierpiało się na brak towarów.

Wśród bitew i rabunku wybuchały pożary. W Tarnobrzegu spalił się ratusz, kilka budynków przy ulicy Kolejowej, koszary straży skarbowej. Wieża klasztorna została uszkodzona kulami armatniemi, wszystkie okna w kościele uległy zniszczeniu. W nocy ukazywały się na niebie olbrzymie łuny, pochodzące z pożarów w różnych miejscowościach.

Nazajutrz po wkroczeniu Moskali otrzymałem wezwanie, abym się stawił jako wójt do oficera rosyjskiego, który zamieszkał w zamku hr. Tarnowskiego. Gdy tam poszedłem, otrzymałem polecenie pod osobistą surową odpowiedzialnością, ażebym w całej gminie ogłosił, że wszyscy mieszkańcy mają złożyć u mnie do godz. 2-ej wszelką broń, jaka się u nich tylko znajduje. Każdemu, ktoby broń u siebie zatrzymał, groziła kara śmierci przez powieszenie. Po obwieszczeniu tego rozkazu w gminie złożono u mnie 2 liche strzelby, 2 pistolety, z tych jeden zepsuty i jedną szablę. Tyle oddałem oficerowi, gdy przyszedł do mnie na oznaczoną godzinę z kilku żołnierzami. Oświadczył, że to mało i groził, że będzie źle, jeżeli u kogo broń znajdzie. Skończyło się jednak na tem i żadnego poszukiwania za bronią nie było.

W Mokrzyszowie jednak, gdzie żydzi nie oddali wtedy broni złożonej u nich przez żandarmów austrjackich i broń ta następnie została przez Moskali odkrytą, 5 żydów z jednej rodziny zostało powieszonych.

Po 3-dniowej bitwie Austrjacy zmuszeni byli do dalszego cofania się ku południowi na Mielec i Dę-



Widok Tarnobrzega.

bicę. Armja rosyjska poszła dalej za nimi. W ten sposób byliśmy uwolnieni od nawały wojsk i trochę odetchnęliśmy, ale pozostaliśmy pod panowaniem Moskali.

Wkroczenie Moskali łączyło się z wieloma gwałtami i nadużyciami. W pierwszych dniach wynikały one głównie z tego powodu, że Moskale dobrali się do gorzelni hr. Tarnowskiego w Dzikowie. Dopóki trwały bitwy, gorzelnia ta była strzeżona przez warty rosyjskie, gdy zaś główne siły rosyjskie poszły dalej i warty zostały ściągnięte, rzuciło się na gorzelnię i połączoną z nią rafinerję wojsko z rezerwy, rabowali wódkę i pili bez miary. Następnie pijani dopuszczali się różnych gwałtów, zaczepiając szczególnie kobiety. Ponieważ było niebezpieczeństwo, że gwałty pijanego żołdactwa mogą przybierać coraz większe rozmiary, wyszło rozporządzenie miejscowej władzy wojskowej, żeby niszczyć w gorzelni wszystkie wódki i spirytus.

Wódki we flaszkach były już przeważnie rozgrabione, wylewano więc do kanałów różne wódki z beczek, wszystkiego razem kilka wagonów. Następnie wylewano spirytus z wielkich zbiorników żelaznych, razem kilkanaście wagonów. Spirytus wypompowano do rowów przydrożnych, któremi płynął strumieniami. Gdy to spostrzegli żołnierze z oddziałów przechodzących drogą, czerpali go w manierki, a nawet dłońmi i pili na miejscu, a ludność okoliczna nosiła w różnych naczyniach do domów. Żeby obrzydzić czerpa-

nie spirytusu z rowów, zgarnywano tam wszelkie nieczystości z gościńca, głoszono, że jest zatruty, wszystko to jednak nie pomagało. Wkońcu musiano zapalić go i w ten sposób zniszczyć.

Dwór wogóle poniósł wtedy wielkie straty. Wojsko grabiło nagromadzoną w stertach i stodołach paszę i zboże, uprowadzano konie, chwytano bydło pasące się w polu i zarzynano, tępiono zwierzynę. Wreszcie sam hrabia został aresztowany pod zarzutem sprzyjania Austrjakom i wywieziony z zamku dnia 2 października 1914 r.

Bardzo wrogo i bezwzględnie obchodzili się Moskale z żydami, chociaż ci starali się zachować wobec wkraczających wojsk rosyjskich uprzejmość i ujmować je sobie różnemi grzecznościami. Gdy w czasie bitwy jeden żydek przerwał przez nieświadomość telefon w mieście, Moskale zgromadzili w rynku wszystkich żydów i publicznie wymierzali im chłostę nahajkami, następnie kilkunastu z nich uwięzili jako zakładników z zagrożeniem, że będą straceni, jeżeli telefon w mieście ulegnie jeszcze uszkodzeniu. W Mokrzyszowie, jak wspomniałem, stracili 5 żydów, za przechowanie broni, a na drodze pod Nagnajowem powiesili dwóch z Tarnobrzega, posądzonych o szpiegostwo.

Mnie osobiście nie wyrządzili żadnej krzywdy. Przez trzy tygodnie było ich u mnie zawsze pełno na podwórzu i na polu przy domu. Przez cały ten czas ze stodoły i ogrodu nic mi nie ruszyli, o wszystko,

co im było potrzeba, prosili i za wszystko płacili albo też płacić chcieli. Ci, którzy mogli rozmówić się po polsku, przychodzili do mnie do domu na pogadankę i ciągle wzdychali, żeby się wojna jak najprędzej skończyła i »mir« nastał. Tego najwięcej pragnęli.

Młode kobiety, panny zrazu kryły się przed nimi, gdzie mogły, później jednak wychodziły do kościoła, w pole i nie było wypadku, żeby były zaczepiane.

Od nadużyć ze strony wojska chroniło najwięcej to, że z nakazu władz wojskowych zapasy wódki i spirytusu były wszędzie wylewane i niszczone i trunki alkoholowe były najsurowiej zakazane. Nie wolno było sołdatowi sprzedać wódki, a pijanemi żołnierzowi groziły również ciężkie kary.

* * *

W każdym razie dla ogółu ludności tutejszej, panowanie rosyjskie było obce i ogół pragnął powrotu »swoich«, tj., Austrjaków. Już po dwóch tygodniach chodziła cicha pogłoska między ludem, że Austrjacy znowu idą naprzód, a Moskale się cofają, że lada dzień można się spodziewać powrotu wojsk austrjackich. Nie dowierzano jednak temu i powątpiewano w to, gdyż każdy widział, że Moskale rozporządzali wielkiemi siłami, byli dobrze uzbrojeni i odżywieni. Zawładnęli ogromnemi zapasami żywności, pozostawionemi przez wojska austrjackie i żydów. Konserwami z magazynów austrjackich i jajami ze składów

żydowskich rzucali żartobliwie na ludzi cywilnych, gdy wojskom austrjackim zaczął już głód doskwierać.

Jednakże od 28-go września mnożyły się wciąż oznaki cofania się Moskali, widać było ruch ich przeważnie w kierunku wstecznym. Ale ruch ten odbywał się w zupełnym porządku. Tego już dnia wracały wielkie masy wojska z orkiestrami i w wesołem usposobieniu. Żołnierze wykrzykiwali, że Austrja już pobita, że »mir« będzie. Nagle 5 października koło południa na gościńcu ku Sandomierzowi zagęściło się mocno od różnych oddziałów rosyjskich i trenów i z każdą chwilą było na drodze coraz ciaśniej, widocznem było, że Moskale cofają się pospiesznie, że uciekają, jak który może. Jednocześnie słychać było, że między Machowem i Miechocinem toczy się bitwa, a wkrótce kule działowe z za Wisły zaczęły świstać ponad Dzikowem i padały na pastwisku dzikowskiem, gdzie szerzyły popłoch wśród cofających się Moskali. Do wieczora nie było już we wsi Moskali, prócz kilkunastu, którzy rozmyślnie pozostali i ukryli się przy pomocy ludności, następnie zaś dobrowolnie oddali się w niewolę austrjacką.

Zdawało się, że każdy odżył nanowo i odetchnął świeżem, wolnem powietrzem. Każdy układał się na spoczynek z myślą, że nazajutrz zobaczy »swoich«.

Istotnie 6 października wczesnym rankiem weszły do Dzikowa wojska austrjackie. Powracały wśród uciążliwej pluty jesiennej, gdyż od drugiej połowy września do pierwszych dni października, przez trzy

do czterech tygodni, gdy armja austrjacka cofała się z pod Lublina i znowu szła naprzód, panowały deszcze i zimna, na drogach było błoto i wyboje. Ludność witała Austrjaków radośnie, raczyła czem mogła, nazywała wybawicielami.

Ale nie było z nich takiej pociechy, jak tego wyczekiwano i radość powszechną wnet smutek zwarzył, gdyż wojska te odnosiły się do ludności bardzo nieprzychylnie. Były to pułki przeważnie węgierskie, mianowicie przeszedł przez Dzików korpus preszburski i tylko jedna dywizja korpusu lwowskiego, przez inne zaś wsie, położone na wschód od Dzikowa, przeszedł korpus przemyski. Główne siły pociągnęły nad San i Wisłę, gdzie po drugiej stronie okopali się Moskale i gdzie między obu wojskami toczyły się kilkutygodniowe walki. Odgłosy tych walk dochodziły ciągle do Dzikowa, gdyż najbliższe okopy oddalone były stąd niecałe 3 mile, na gościńcu panował ustawiczny ruch wojska i wszystkie wsie okoliczne zajęte były przez rezerwy.

Pewna część około 15 tysięcy zakwaterowała się w Dzikowie po gospodarzach, najchętniej u tych, którzy mieli stodoły z sianem i zbożem. Węgrzy bowiem najchętniej w stodołach umieszczali konie, aby nie potrzebowali nosić im paszy. Wiązali je wprost u sterty siana lub zboża, konie jadły, ile chciały, a pod nogi słali im snopki zboża. Gdy gospodarz prosił, aby mu zboża nie niszczyć, to żołnierz na złość brał snopki niemłócone, targał je i słał koniom pod nogi. Nie

wolno było odezwać się przeciwko temu, bo można się było łatwo narazić na większe jeszcze przykrości i nieszczęście. Tak obchodziły się wojska węgierskie we wszystkich gospodarstwach, wszyscy też gospodarze jednozgodnie uskarżali się na nie.

Najlepiej tego doświadczyłem sam osobiście. Zaraz po wkroczeniu Austrjaków zjawił się u mnie podoficer jako kwatermistrz i pyta ostro: »Siano jest?« »Jest — odpowiadam, ale tyle, że ledwie dla dwóch krów wystarczy«. »Odmykać stodołę natychmiast, bo inaczej odbiję sam« — mówi jeszcze ostrzej. Pobiegłem zaraz po klucz, ale gdy powróciłem, już wszystkie kłódki były poukręcane i gdzieś w ogród odrzucone tak, że żadnej nie można było znaleźć. Do ukręcania kłódek miał ten kwatermistrz odpowiedni kawałek żelaza. Zapisał wszystko dla wojska i postawił żołnierza na warcie, żeby ze stodoły nikt już nic nie brał. Za parę godzin zjechała konnica, wprowadzili do stodoły 10 koni, tj., przy jednem zapolu uwiązali pięć i przy drugiem tyleż. Za parę dni nie było w stodole ani źdźbła paszy, bo część konie zjadły, część zdeptały nogami, a resztę wyniesiono do trenów, stojących przy stodole. Nic nie pomogły prośby moje i płacz kobiet, że przez całą zimę nie będzie czem krów żywić.

U mnie prócz tego zamieszkał oficer-audytor i była pomieszczona kasa wojskowa. Przyjąłem ich z największą gościnnością i spodziewałem się, że skoro starszyzna wojskowa zamieszka u mnie, to uchroni

mnie od szkód i krzywdy. Nie znalazłem jednak u nich żadnej opieki.

Nieszczęście chciało, że tego samego dnia wieczór zapaliła się stajnia na granicy Dzikowa i Tarnobrzega i w stajni tej spaliły się również 2 konie wojskowe. Ogień zapuścili żołnierze przez nieostrożność, wprowadziwszy bowiem konie, zamknęli je i odeszli, potem zaraz wybuchł pożar ze środka zamkniętej stajni, prawdopodobnie skutkiem porzucenia w niej niedopalonego papierosa. Żołnierze jednak, chcąc się uchylić od odpowiedzialności, głosili, że ogień powstał przez podpalenie, wskutek zdrady miejscowej ludności. Każdego też, kto pokazał się na ulicy, biegł do gaszenia ognia, aresztowali i i odprowadzali do komendy wojskowej. Ja też jako wójt szedłem do ognia, ale mnie ludzie zawrócili, mówiąc, że żołnierze każdego cywila aresztują. Powróciłem więc do domu i poszedłem spać. Koło 12-ej w nocy zbudził mnie przez okno stróż nocny, wołając, że oficer przysyła, abym natychmiast z dwoma radnymi przybył na miejsce, gdzie się stajnia spaliła. Myślałem, że wojskowości chodzi o sporządzenie protokołu z powodu pożaru i spalenia się koni wojskowych, licząc więc na to, że do domu wnet wrócę, zarzuciłem na siebie tylko wierzchnie ubranie, wziąłem pieczątkę gminną i z dwoma radnymi przybyłem na oznaczone miejsce. Zastałem tam już burmistrza tarnobrzeskiego również z dwoma radnymi z miasta.

Oficer zaprowadził nas wszystkich do kancelarji

zamkowej, gdzie stała komenda wojskowa i tu odczytał nam obwieszczenie komendy korpuśnej o odpowiedzialności i karach za rozmaite zbrodnie, przez które szkodę ponosi siła zbrojna. Według tego obwieszczenia odpowiedzialność za zbrodnie na szkodę wojska ponosiła gmina, w której zbrodnię popełniano i płaciła najpierw kontrybucję pieniężną, w razie zaś powtórzenia się zbrodni, naczelnik gminy, sekretarz i wzięci zakładnicy mieli być rozstrzelani, a sama gmina spaloną. Ponieważ tu — jak oficer mówił — wydarzyła się właśnie zbrodnia zdrady, wskutek czego spaliły się dwa konie wojskowe, przeto bierze z Dzikowa i Tarnobrzega po dwóch zakładników, mających największe zaufanie, którzy zostaną rozstrzelani, jeżeliby się wypadek zdrady powtórzył. Jako zakładników z Dzikowa zapisał mnie i Jana Ordyka, z Tarnobrzega też dwóch chrześcijańskich obywateli, chociaż miasto zamieszkane jest przeważnie przez żydów. Resztę z wezwanych uwolniono, ażeby rzeczone obwieszczenie natychmiast w swoich gminach ogłosili. Jak się później dowiedziałem, obwieszczenia te drukowane, były rozlepiane i w innych gminach w powiecie. Gdy Ordyk, który wiedział dokładnie, w jaki sposób stajnia się spaliła, zauważył, że ogień zapuścili żołnierze z papierosów, oficer zgromił go, żeby się nie ważył rzucać podobnych oszczerstw i podejrzeń.

Zostałem więc razem z innymi aresztowany i oddany pod wartę żołnierską. Nie było względu na to, że liczyłem już 72 lat, że od 40 lat byłem wójtem, że

byłem zato odznaczony krzyżem zasługi. Tylem się dosłużył przez długoletnią pracę obywatelską, że miałem być nędznie rozstrzelany, gdyby jakiś wyrzutek dopuścił się zbrodni podpalenia.

Przez całą noc siedziałem razem z kolegami na korytarzu na jednej ławeczce. Cały korytarz wypełniony był przeważnie żołnierzami, którzy spali na posadzce, było też trochę cywilów, obwinionych o różne zbrodnie. Nie brakowało smrodu po Moskalach, którzy dopiero poprzedniego dnia usunęli się z tego miejsca. Niektórzy z rodziny mojej dowiedziawszy się, że jestem aresztowany i grozi mi rozstrzelanie, przybiegli do kancelarji zamkowej, ale warta puścić ich do mnie nie chciała. Płaczu i krzyku było nie do opisania, co na mnie i na moich kolegach robiło jeszcze większe wrażenie.

I tak w tych smrodach i ciżbie ludzkiej przesiedzieliśmy dwa dni i dwie noce. W tym czasie dwóch chłopów poszło stąd na rozstrzelanie. Byli to Adam Gładysz i Antoni Rzeźnik z Padwi Narodowej, obwinieni o to, że mieli się wyrażać z pochwałami o rządach rosyjskich i zabierać rzeczy z domów opuszczonych przez żydów. Egzekucja odbyła się w ogrodzie księży Dominikanów.

Pierwszy posiłek podano nam koło południa na nasze upominanie się o to. Podano nam kawę z chlebem. Na następną noc urządziliśmy sobie posłanie w kącie korytarza, ze słomy, którą nam z domu przynieśli.

Trzeciego dnia hr. Tarnowska dowiedziawszy się, że jestem aresztowany, uprosiła w komendzie mieszczącej się w zamku, żeby mnie przeprowadzono do zamku, gdzie mi przeznaczyła osobny pokoik. Przyszedł po mnie oficer, ale ja widząc, że mam iść tylko sam, a moi koledzy mają pozostać w tem samem miejscu, podziękowałem hrabinie za pamięć o mnie i oświadczyłem, że bez kolegów nie pójdę, bo wszyscy za jedną »winę« siedzimy i przyjemniej mi siedzieć w towarzystwie. Niedługo oficer przyszedł powtórnie i radził mi przenieść się do zamku, bo w ten sposób sprawa może być rychlej załatwiona. Gdy to posłyszeli moi koledzy, skłonili mnie, abym poszedł za radą oficera.

W zamku snuło się wielu wojskowych, głównie oficerów, słychać było przeważnie język węgierski. Spotkała mnie tu hrabina, przygnębiona przejściami wojennemi, tłumaczyła, że z braku miejsca nie mogła nas wszystkich umieścić w zamku, że inni zakładnicy przeprowadzeni będą do magistratu w Tarnobrzegu. Mówiła, że starała się o uwolnienie nas ale bezskutecznie, że musimy tak długo siedzieć, dopóki ta sama dywizja węgierska tu będzie. Należy tylko Boga prosić, ażeby w tym czasie nic złego się nie stało, gdyż zakładnicy za wszystkich odpowiadają. Podziękowałem jej za dobre serce, za które wdzięczność nazawsze zachowam w pamięci.

Od tej chwili czułem się już spokojniejszy, ale w dalszym ciągu pozostawałem pod wartą. Dopiero

po 8 dniach, gdy dywizja węgierska odeszła ku Mielcowi, zostałem wypuszczony na wolność.

Przychodzę do domu, zastaję pustki w stodole i w całem gospodarstwie. Wojska wszystko częścią zabrały, częścią zniszczyły. Ale nie na tem koniec. Poszli Węgrzy, ale nadeszły inne wojska mieszane, Rusini i Rumuni. Cała wieś była ogołocona, brak było wszystkiego, a tymczasem przychodził jeden żołnierz za drugim i żądali natychmiast to podwód, to paszy dla koni, to bydła do rzezi i t. d. Każdy kierował się do wójta, domagał się bezwzględnie i groził karą śmierci, jeżeli jego żądanie nie będzie wypełnione. Trudno się było wymówić, że to wszystko już wykupione i zabrane przez wojska, które przedtem przechodziły i w gminie zatrzymywały się.

Tak było wówczas w Dzikowie, gorzej zaś działo się w tych wsiach, które były położone bliżej linji bojowej. W Gorzycach np., leżących na połowie drogi między Tarnobrzegiem i Sanem, aresztowano Adama Grzywacza, długoletniego wójta, który zawsze popierał rządy austrjackie i każdemu staroście starał się iść na rękę. Jednakże w czasie postoju wojska w Gorzycach rzucono na niego oskarżenie, że trzyma z Moskalami i jest szpiegiem. Oskarżenie było tajne i pochodziło prawdopodobnie od żydów, ponieważ przed paru laty on a nie żyd uzyskał koncesję na gospodę we wsi. Na skutek takich oskarżeń został aresztowany przez dragonów austrjackich i skazany na śmierć przez powieszenie, przyczem według wyroku ciało jego

przez 3 dni miało wisieć dla postrachu innych szpiegów. Nie zważano na to, że oskarżenie było bez wszelkich dowodów, a oskarżony do ostatniej chwili Bogiem się świadczył, że jest niewinny. Już mu założono pętelkę na szyję i postawiono go pod jabłonią w ogrodzie, wyprowadzono przytem rodzinę, aby na jego śmierć patrzała. Szczęściem, że powróz był za krótki i żołnierz nie mógł dostać końca, żeby skazańca pociągnąć do góry. Więc go tymczasem zakuto w kajdany, a następnie wyrok śmierci zmieniono na wywiezienie do więzień w Austrji Górnej. Razem z nim wywieziono bez powodu syna Stefana i synową tak, że pięcioro ich drobnych dzieci pozostało jedynie na opiece chorej, znękanej babki. Grzywaczowie siedzieli następnie w różnych kryminałach i dopiero po 9-ciu miesiącach na skutek usilnych starań ze strony posła Lasockiego zostali uwolnieni. — Podobne przykłady dzikiego znęcania się nad ludźmi możnaby przytaczać bez końca.

* *
*

Wojna trwała dopiero trzeci miesiąc, a już widać było na każdem miejscu straszny jej posiew. Na wsi panował już niedostatek wszystkiego. A trzeba zaznaczyć, że rok 1914 pod względem plonów był pomyślny dla rolników. W polach i ogrodach były ładne urodzaje, zboża i pasze zebrano z pogodą.

Stodoły szczelnie o tej porze wypełnione i zazwyczaj starannie przez gospodarzy utrzymywane, świe-

ciły przeważnie pustką, były roztrzęsione, zagnojone. Przyczyniły się do tego ustawiczne postoje wojskowe, a zwłaszcza konnicy. Żołnierze bowiem rozkładając się na wsi na nocleg, nie zważali najczęściej, że zboże niemłócone, a siano stanowi karmę dla bydła, ale rozwiązywali na posłanie snopki ze zbożem i układali się na wyborowej paszy. Koniom zadawano paszy więcej, niż mogły przejeść, więc one nie tyle zjadły, ile nogami stratowały i w gnój wdeptały. A najgorsze było wprowadzanie koni do stodół, gdzie jadły z pełnego zapola i gnój robiły na boisku. Niektóre oddziały płaciły za wziętą paszę, ile się należało, inne płaciły zaledwie część wartości, znaczna część jednak nie płaciła.

W gospodarstwach brak było koni i wozów, nie było czem ukończyć zbiorów jesiennych, uprawić pola na zimę, zasiać oziminę, przywieźć drzewa z lasu. Zaraz bowiem po mobilizacji poszła na wojnę pewna liczba podwód, wykazana równomiernie z każdej wsi przez starostwo. Dzików dostarczył wtedy 15 podwód. Potem jednak, gdy za główną armją szły dalsze oddziały wojskowe, brano po drodze podwody bez żadnej kontroli. Nieraz żołnierz wpadał, zabierał gospodarza na podwodę od robót gospodarskich, a gdy sam gospodarz nie mógł jechać, zabierał mu konie z wozem albo sam wóz lub konie, albo tylko jakąś część wozu np. koła, według tego co mu było potrzebne. Bywało też, że zostawiał gospodarzowi konie liche, wyczerpane drogą, a zabierał dobre, albo porzucał wóz

zepsuty, a brał dobry, nie dając na to żadnego pokwitowania. Często gospodarze wzięci na podwody, narażeni tam na śmierć, głód i poniewierkę, porzucali po pewnym czasie swoje zaprzęgi i sami wracali do domu, często byli zmuszeni pozostawić je w drodze, bo konie ustawały im z utrudzenia. W ten sposób gospodarze potracili swoje zaprzęgi w całości lub w części, a w trzecim miesiącu wojny plątały się po wsiach jedynie konie chore, niezdatne już do podwód wojskowych i zostały tylko wozy zepsute, nie nadające się do użytku.

W każdem gospodarstwie chłopskiem, mniejszem czy większem, utrzymała się wówczas już tylko jedna krowa, reszta wybrana była na rzeź dla wojska. Krowy brane były z początku według wykazu ze starostwa po cenie targowej, potem bez wszelkiego rachunku.

W przeważnej części domów nie było już nawet prosięcia, a za pobrane sztuki płacili bardzo licho, nieraz ledwie połowę lub trzecią część tego, co były warte.

Drób, t. j., gęsi, kaczki, kury, wytępiony był tak, że w niektórych wsiach trudno było o jakiego ptaka domowego. Drób zaczęli wybijać Moskale, zwłaszcza Kozacy, którzy umieli ścinać go zręcznie szablami. Brali go zupełnie samowolnie, najczęściej nic nie płacąc. W ogóle co do zapłaty, zawsze więcej płacili Austrjacy niż Rosjanie.

Wszędzie, gdzie tylko wojsko stało, zniszczone zostały pasieki. Najpierw Moskale zaczęli rabować ule,

mianowicie otwierali je, pszczoły podpalali, a miód wydzierali. W taki zbrodniczy sposób niszczyli całe gospodarstwo pszczelarskie, żeby zdobyć trochę miodu.

Płoty były rozebrane, zniszczone, a zagrody rozgrodzone, gdyż wojsko w czasie postojów, a zwłaszcza Moskale palili najchętniej płotami.

Tak przedstawiały się wsie, przez które przechodziły wojska i odpoczywały. Wsie zaś leżące na linjach, na których przez dłuższy czas toczyły się bitwy, przedstawiały obraz daleko większego zniszczenia.

Po przemarszach wojskowych na drogach potworzyły się głębokie wyboje tak, że łamały się w nich koła, grzęzły wozy. Wyboje te wypełniano gałęziami i drzewem i w ten sposób możliwa była dalsza komunikacja. Ucierpiały przez to bardzo drzewa przydrożne, które obcinano i ścinano na taką naprawę dróg. Piękne gościńce w tych stronach zmieniły się do niepoznania. Pola przydrożne były pozajeżdżane, gdyż miejscami lepszy był przejazd polami niż gościńcem.

Co kilka kroków leżały przy drogach konie padłe z wyczerpania. Grzebali je na miejscu żołnierze, a w większej części ludność wsiowa w obrębie swoich gmin. Niektóre leżały niezakopane po parę tygodni.

Główna robota po wsiach w czasie przemarszów, postojów wojskowych i bitew polegała na ustawicznem porządkowaniu i ukrywaniu pozostałego mienia, to znów na wydobywaniu go na wierzch, gdy niebezpieczeństwo minęło. — Ubrania, pościel, zboże

chowali w piwnicach albo zakopywali w pakach w ziemi, co jednak nie było dobre, gdyż rzeczy tak ukrywane butwiały i psuły się, nadto Moskale umieli natrafiać na ślad takich schowków i rabowali je. — Ziemniaki dołowano w polu równo z ziemią, nie w kopcach, i w ten sposób dobrze się przechowywały. — Konie wyprowadzali do lasów i kęp albo trzymali w ciemnych stajniach i nie wyprowadzali ich stamtąd, bo każdej chwili mógł się nawinąć żołnierz i konie zabrać. Więc choć ktoś miał jeszcze jakąś szkapinę, nie mógł nią robić w polu, czy gdzieś wyjechać, bo zaraz mógł ją stracić. — Pozostałe krowy, świnie, drób zamykano na noc w komorach lub sieniach, skąd trudniej było rabusiom uprowadzić je, bo wobec wzrastającego rozpasania w wojsku, w oborze nie były bezpieczne. — Wozy rozbierano i poszczególne części ukrywano w różnych miejscach, nawet zakopywano w ziemi. Trzeba też było ukrywać naczynia kuchenne, chleb, różne wiktuały, opał, bo gdy wojsko we wsi zatrzymało się i rozkwaterowało po domach, można było wszystko odrazu stracić, zostać bez niczego, o głodzie i chłodzie.

Do wielkich strat w gospodarstwach przyczyniło się w znacznej części to, że brak było mężczyzn, którzy mogli jeszcze jako tako chronić swe domy i zagrody przed nadużyciami żołnierskiemi. Wyszli oni do wojska lub wyjechali z podwodami albo przebywali na robotach w Ameryce i wrócić stamtąd w czasie wojny nie mogli, w wielu więc domach pozostały

same kobiety z dziećmi. Gospodynie takie narażone były na wiele kłopotów i udręczeń i broniły się jedynie płaczem i lamentowaniem. Często jednak, bezsilne wobec różnych wybryków żołnierskich, opuszczały swoje domy i przenosiły się do krewnych lub sąsiadów, gdzie w większej gromadzie łatwiej było bronić się. Dużo więc domów w czasie wojny było niezamieszkanych, pustych.

Brak zaprzęgów, ludzi do pracy i kłopoty z postojami wojskowemi sprawiały, że roboty polne, które zwyczajnie kończą się już we wrześniu, jak: kopanie ziemniaków, uprawa pod oziminy, ciągnęły się przez październik i pozostały na listopad. Szczególnie po dworach widać było wielkie opóźnienie w robotach polnych. Nie było bowiem ludzi do pracy, choć płacono dobrze, bo np. przy kopankach najemnik otrzymywał nawet połowę ukopanych ziemniaków. Po dworach też prawie połowa ziemniaków była jeszcze nie wykopana, gdy w listopadzie chwyciły mrozy.

Obok strat materjalnych ujawniały się w czasie wojny z wielką jaskrawością różne wady i grzechy ludzkie. Więc panoszyła się po wsiach zazdrość, z powodu której sąsiad sąsiada wydawał, co ma jeszcze w domu, w oborze, w stodole, żeby komu z wojny więcej nie zostało. Zdradzano się wzajemnie dotąd, aż już z każdego gospodarstwa wszystko było wybrane, co się tylko dało zabrać. Krzewiła się też silnie zawiść i złość sąsiedzka. Nie brak jej w czasach zwyczajnych, ponieważ wsie stłoczone na jednem miejscu, pola roz-

drobione, więc jeden drugiemu na karku siedzi, rodzą się kłótnie, procesy i zawiść, przechodząca nieraz z ojców na dzieci, z jednego pokolenia na drugie. Ale w czasie wojny zawiść wybuchła z większą siłą, jeden drugiego oskarżał, starał się zniszczyć.

Tarnobrzeg i okoliczne miasteczka uległy ogromnemu zniszczeniu, zrabowane w nich były podczas pobytu Rosjan sklepy i domy urzędników. Ocalało coś tylko po wsiach dzięki temu, że chłopi zostali na miejscu i bronili, jak mogli, domostwa i zagrody od zniszczenia wojennego. Gdyby chłopi, podobnie jak ludność miastowa, opuścili swoje siedziby, kraj popadłby w większe jeszcze spustoszenie i ruinę.

Od czasu, jak się zaczęło zanosić na wielką wojnę, t. j., od r. 1912 znikła w obiegu moneta złota tak, że w chwili wybuchu wojny i w czasie jej trwania monetę złotą mógł posiadać chyba tylko ten, kto ją schował zawczasu i nie wydawał jej.

W obiegu były tylko pieniądze papierowe, srebrne i niklowe, najwięcej jednak papierowych. Srebrne bowiem, kto otrzymał, starał się je schować, a wydawał papierowe w obawie, że te mogą utracić wartość.

Dlatego brak było monety drobnej, co dotkliwie dawało się odczuwać przy wydawaniu reszty, — więc zaraz w początku wojny wprowadzone zostały drobniejsze pieniądze papierowe, mianowicie dwukoronówki.

Ceny towarów były w pierwszych tygodniach wojny normalne i nie uczuwało się niedostatku żad-

nego towaru. Gdy przechodziły wielkie armje i na niektóre towary spożywcze był wielki popyt, a żydzi, korzystając z tego, podnosili ceny tych towarów, pociągano ich za to do sądowej odpowiedzialności i ostro karano. Wydawano taryfy cen i ostrzeżenia, że cen nie wolno podnosić.

Gdy jednak wkroczyli Rosjanie i Tarnobrzeg został doszczętnie zrabowany, a nie było dowozu towarów koleją, zabrakło rzeczy potrzebnych do codziennego użytku, jak: nafta, zapałki, sól, cukier, mydło, i ceny ich niesłychanie podskoczyły w górę.

Pudełeczko zapałek, które zwyczajnie kosztowało 2 h., podskoczyło na 10 h., litr nafty z 32 h, na 1 k. 80 h., 1 kg. mydła z 80 h. na 3 k. 20 h.

Za litr wódki płacono 8 k. (podczas gdy przed wojną kosztowała 2 k.) i nie można jej było dostać, bo wszędzie była wylana. Niektórzy tylko szynkarze zdołali ukryć pewien jej zapas i garnęli potem za nią pieniądze. Ale i to wnet się wyczerpało.

Ceny produktów gospodarskich podniosły się niewiele: 100 kg. żyta z 16 na 22 k., pszenicy z 26 na 36 k.

Drzewo opałowe było po zwyczajnych cenach, t. j., po 36 k. za sąg. Biednym hrabia sprzedawał taniej, a nawet dawał bezpłatnie.

Drób przewożony wtedy z Królestwa Polskiego był tani: gęsi płaciło się po 1 rublu, kaczki po 30 kop., jaja po 4—5 groszy.

Krowy i świnie były nawet tańsze, niż w czasie pokoju, gdyż gospodarze mający więcej sztuk w domu

wyzbywali się ich z obawy, że będą zabrane przez wojsko, które przeważnie płaciło mało i zupełnie dowolnie według własnej oceny.

Koni nikt nie chciał kupować, gdyż brano je ciągle do podwód i gospodarz je tracił, bo albo wcale już nie wracały, albo wracały wyniszczone, chore. Kupowano tylko od wojskowości po kilka koron konie chore, niezdatne już do żadnej służby wojennej. Konie takie zostawiała też wojskowość po wsiach zadarmo; wiele z nich zdychało. Takie tylko konie utrzymywały się przeważnie u gospodarzy. Z koni wojskowych najmniej wytrwałe okazały się węgierskie, przyzwyczajone do cieplejszego klimatu. Te ginęły masowo.

Przed wkroczeniem Rosjan z urzędów czynne było w pełni starostwo, zajęte jednak było prawie wyłącznie sprawami wojennemi, podobnie jak podwładne mu urzędy gminne. Także poczty i koleje służyły przedewszystkiem wojskowości i wojnie. — W Radzie powiatowej urzędowanie zamierało z dniem każdym. — Sąd urzędował w zmniejszonym składzie, gdyż niektórzy sędziowie powołani zostali na wojnę. Rejent i adwokaci zamknęli kancelarje, gdyż stanęło zawieranie umów, procesy i nie zgłaszały się strony. — Weterynarz przestał zajmować się sprawami zdrowotnemi bydła, nie zarządzał zamknięcia targów, chociaż panowała pryszczyca. — Nauka w szkołach po wakacjach nie rozpoczęła się i szkoły stały pustką lub były zajęte przez wojska.

Po wkroczeniu Rosjan i wyjeździe urzędników, zamarło zupełnie działanie wszystkich urzędów, przytem tak urzędy, jak majątki różnych stowarzyszeń porzucone były przeważnie na pastwę losów. Ujawniała się w tem często mała dbałość o dobro państwowe i społeczne.

*
* *

Przez 3 miesiące od wybuchu wojny, t. j., od 1 sierpnia aż prawie do końca października 1914 r. wypełniałem jako wójt wszystkie rozkazy władzy wojskowej, jak: ogłaszanie obwieszczeń mobilizacyjnych dostarczanie podwód, siana, owsa, bydła rzeźnego, kwater dla wojska i koni i t. d. Co tylko rozkaz wojskowy wymagał, musiałem wszystko wykonać. Gdy się wojska austrjackie z Królestwa Polskiego wycofały, a zaraz na drugi dzień wkroczyły do nas rosyjskie, zaczęły się rosyjskie żądania od gminy, a wszystkie pod zagrożeniem śmierci, i byłem zmuszony patrzeć w tym czasie na straszne rabunki we wsi, w mieście, we dworze. Ale po trzech tygodniach wypędzono Moskali i weszły wojska austrjackie. Wykonywałem znowu rozkazy armji austrjackiej, ale już w warunkach nierównie cięższych, gdyż walki toczyły się w blizkości nad Sanem, a z powodu wielkich przemarszów i postojów wojsk okazał się największy brak żywności dla wojska, ludności cywilnej i koni. Nadto byłem wtedy uwięziony jako zakładnik.

Wkońcu pragnąc znaleźć wytchnienie od tej nadmiernej pracy na moje starsze lata, postanowiłem wyjechać na jakiś czas do Wiednia do krewnych, urzędowanie gminne zdać na zastępcę, a dom i gospodarstwo na rodzinę. Aby się do podróży zabezpieczyć, poszedłem 20 października do starostwa w Tarnobrzegu i otrzymałem legitymację, a od komendy wojskowej potwierdzenie.

Dnia 21 października 1914 r. przygotowałem sobie małą walizkę, w której miałem po 3 kawałki bielizny i bochenek chleba razowego. Na krótko przedtem posłałem mego komornika, aby mi w mieście kupił na drogę coś do chleba, bo w domu nic nie było, — ten obiegł całe miasto i nic nie kupił, bo w sklepach także nic nie było. Do stacji w Tarnobrzegu odwiózł mnie mój zięć i to boczną drogą, gdyż była obawa, żeby go przechodzące wojska nie zabrały z tej drogi na podwodę. O godzinie 10 rano byłem na stacji kolejowej, okazałem się legitymacją, bo inaczej na dworzec wstęp był wzbroniony. Na stacji w całym gmachu zastałem pełno słomy i śmieci, stoły, ławki i różne meble powywracane, popsute, prócz jednej stancji, gdzie była ekspedycja wojskowa. Były to jeszcze ślady z pierwszego pobytu Moskali. Patrząc na to wszystko, mimowoli uczuwałem dreszcze po ciele. Chcę się zapytać, kiedy pociąg odejdzie, nie mogę się zmówić, bo wszyscy mówią po niemiecku, wreszcie znalazłem kolejarza mówiącego po polsku i ten mnie poucza, że pociągi idą całkiem nieregularnie i trzeba siedzieć

na stacji tak długo, aż będzie szedł pociąg ku Dębicy. Chcę zawczasu bilet kupić, niema kasy, — więc czekam niespokojny i cały ścierpnięty od 10 rano do 5 wieczór. O 5-tej wjeżdża na stację pociąg ciężarowy, mówią, że pójdzie ku Krakowu, ale nikt nie zapowiada, żeby siadać. Widzę jednak, że inni, którzy ze mną czekali, biegną do wagonów, więc i ja za nimi. Widzę tylko wagony do przewożenia bydła, w nadziei, że lepszy znajdę biegnę wzdłuż pociągu, tymczasem odzywa się sygnał, pociąg ma już ruszyć, więc siadam do najbliższego wagonu. Na szczęście była w nim choć ławka, na której można było siedzieć.

Drugie szczęście, że miałem w tym wagonie za towarzyszy dwóch gospodarzy z pod Tarnowa z Lisiej Góry. Byli to furmani z podwód czyli »forszpanów«, którzy swemi wozami 3 miesiące na wojnie byli. Opowiadali swoje przygody, jakie przeszli: objechali znaczną część Galicji i Królestwa Polskiego, byli pod Lublinem i Dęblinem. Wkońcu konie im popadały, wozy ostawili, a sami zostali uwolnieni do domu. Opowiadań ich nie opisałby — jak to mówią — na wołowej skórze. Czuli się szczęśliwi, że zobaczą się z swemi rodzinami i swojem gospodarstwem.

Około 4-tej rano jeszcze było ciemno, jak ci gospodarze pożegnali się ze mną serdecznym uściskiem, wyszli z wagonu w Tarnowie i zostałem sam. Zrobiło mi się smutno, bo nie miałem do kogo słowa przemówić, lecz nadzieja mnie pocieszała, że niedługo zacznie dnieć. Zasunąłem drzwi od wagonu, bo był

przeciąg i zimno; szczęście, że miałem dobry kożuch i sukmanę. Było ciemno, bo w wagonie nie było żadnego światła. Siedząc na ławie, rozmyślałem. Pociąg nigdzie po stacjach nie stawał, aż około 6-tej stanął w Podgórzu pod Krakowem. Odsunąłem drzwi od wagonu. Rozradowałem się, że już dzień, że jestem już prawie w Krakowie, gdzie spożyję śniadanie. Byłem głodny, bo jak wczoraj rano na prędce wypiłem trochę kawy w domu, tak przebyłem do tego czasu, nie mając nic w ustach. Miałem wprawdzie bochenek chleba, ale twardy, liczyłem na to, że może na stacjach w Tarnobrzegu, Dębicy albo Tarnowie choć ciepłej herbaty wypiję, lecz nadaremnie. Na stacjach wszystko było zrujnowane, brak wszystkiego. Zamiast śniadania, zjadłem w Krakowie zaledwie około 2-ej po południu obiad, bo pociąg, jak stanął w Podgórzu około 6-ej rano, tak dopiero około 1-ej po południu ruszył. Godzina za godziną schodziła, a pociąg stał, nie można się było dopytać, kiedy ruszy. Wkońcu jednak ruszył i niedługo byłem nie tak w Krakowie, ale poza Krakowem, bo pociąg przejechał stację osobową i pociągnął dalej na dworzec towarowy. Zaniepokoiłem się, że jadę gdzieś dalej, patrzę, że niektórzy z wagonów zeskakują, więc i ja naładowałem sobie walizkę we drzwiach wagonu, skoczyłem szczęśliwie i walizkę ściągnąłem. Nie dziw, byłem dość lekki, bo przeszło 30 godzin nie jadłem.

Szedłem następnie do stacji osobowej bez mała tyle, jakbym był miał z Podgórza, siadłem na tramwaj

i zajechałem do znajomych na ul. Starowiślną. Ci mnie z wielką uciechą i życzliwością przyjęli, nie pozwolili iść do restauracji, ugościli zaraz obiadem i prosili, abym u nich choć 3 dni odpoczął. Zostałem więc i miałem wszelkie wygody. Na drugi dzień poszedłem z uprzejmą gospodynią do sklepu spożywczego, aby kupić i zasłać rodzinie do Dzikowa choć trochę artykułów spożywczych, bo w Tarnobrzegu trudno było o nie. Kupiłem po 25 klg mąki i cukru, po 5 klg ryżu, krupek kaszy, kawy itp., wyrobiłem w magistracie pozwolenie na wysyłkę, bo inaczej kolej nie przyjmowała, i wszystko odesłałem. Napisałem też list, żeby się temi wiktuałami w rodzinie podzielili, że w Wiedniu, gdzie może będzie taniej, kupię więcej itd. Tymczasem i tego nie dostali, ponieważ w pierwszych dniach listopada powiat tarnobrzeski został ponownie zajęty przez Moskali. Paczka — jak się później pokazało — leżała 3 miesiące na kolei w Tarnowie, chodziła potem po Węgrzech, — przyczem znacznie zelżała, reszta wróciła do Krakowa. Kolej za ten przewóz policzyła 24 k. i zawartość więcej już nawet nie była warta. Rodziny więc nie pożywiłem, a wydałem gotówkę, jaką po zniszczeniu wojennem mogłem wziąć z domu.

Z Krakowa popisałem listy do domu, na które nie miałem już otrzymać odpowiedzi i przez długie miesiące nic zgoła nie wiedziałem, czy listy moje doszły, czy w rodzinie zdrowi, czy żyją i czem żyją. W niedzielę poszedłem do spowiedzi do kościoła

OO. Dominikanów. Tu poznali mnie księża Markiewicz i Masny, którzy byli kiedyś w dzikowskim klasztorze przeorami, zaprosili mnie na obiad, gdzie się znalazłem w gronie kilkunastu księży. Wszyscy z ciekawością wypytywali się, jak się zachowali Rosjanie w czasie 3-tygodniowego pobytu w Tarnobrzeskiem, a ja, com widział naocznie, opowiedziałem. 27-go wyjechałem do Wiednia. Podróż była dosyć wygodna, bo podróżnych było niewiele, tylko prawie sama służba kolejowa. Przyjechałem do Wiednia tego samego dnia o 11-tej w nocy.

Gdym pierwszą noc przenocował u krewnych, którzy już od 20 lat mieszkali w Wiedniu, przeliczyłem swój pulares, w którym znalazłem wszystkiego kilka koron, tyle na cały pobyt w Wiedniu i podróż z powrotem. Jednak nadzieja mnie pocieszała, że nie długo powrócę do domu, a tymczasem potrzebny kapitał pożyczę sobie u krewnych. Miałem też miłe uczucie, że znalazłem się zdala od linji bojowej.

Nagle 1 listopada w nocy przyjeżdżają z Dzikowa dwie siostry moich gospodarzy, weszły z wielką trwogą i opowiadają, że wojska austrjackie cofają się, że z różnych stron doradzają, aby się ludność wynosiła do dalszych okolic, a szczególnie panny, młode kobiety i mężczyźni należący do poboru wojskowego, gdyż Moskale nadciągają, — że do Krakowa osób cywilnych już nie wpuszczają itd. Tu dopiero mrówki przeszły mnie po ciele i uczułem trwogę, myśląc, co się tam teraz z rodziną dzieje. Jak tę noc do rana

przespałem, można się domyśleć. Na drugi dzień poszedł mój gospodarz przybyłe panny zameldować na policji, a tam zaznaczyli, że w tem mieszkaniu może być najwięcej 6 osób. Byłem więc w nowem zmartwieniu, bo przecież bliższe musiały być siostry niż ja, więc proszę gospodarza, aby mi wyszukał inną stancję tylko u znajomego i u Polaka, abym się mógł z nim rozmówić. Jakoż pojechaliśmy tramwajem do XI obwodu i znalazłem tam stancję u Polaka, pochodzącego z Jarosławia, a zamieszkującego w Wiedniu od lat 19, zatrudnionego przy tramwajach miejskich. Stancja ta z wiktem kosztowała mnie 17 k. tygodniowo. Mieszkałem tam do 19 stycznia 1915 r., było mi nienajgorzej, mogłem się rozmówić po polsku, do moich gospodarzy przywiązałem się, jak do krewnych.

Lecz byłem zmuszony postarać się o jaką zapomogę, aby nie liczyć tylko na pożyczkę, — więc 6 listopada wybrałem się do Ministerstwa Polskiego, gdzie dawali wsparcie emigrantom galicyjskim. Gdym tam przyszedł, włosy mi na głowie stanęły: cała ulica była zapełniona ludźmi różnej narodowości: żydowskiej, ruskiej, polskiej, policjanci puszczali do gmachu tylko po kilka osób, tak, że trzeba było cały dzień stać w natłoku, żeby się dostać do wnętrza i to dopiero do zapisania się i po kartkę, a gdzieindziej iść po pieniądze. Przytem cała zapomoga wynosiła 4 k. na 2 tygodnie.

Gdym stał z godzinę i już zwątpiłem, czy się do tej zapomogi docisnę, przystąpił do mnie niespodzia-

nie hr. Zygmunt Lasocki, który był starostą w naszym powiecie, a wówczas był radcą ministerjalnym w Wiedniu i posłem do parlamentu z naszego okręgu, i zapytał mnie, co tu robię, czy biorę zapomogę, a gdym odpowiedział, że właśnie chcę się starać o nią, wziął mnie pod ramię i polecił iść z sobą. W jednej chwili przeszedłem z nim kordon policji i znalazłem się na III-cim piętrze w gmachu Ministerstwa galicyjskiego. Tu zatrzymalem się w poczekalni, on zaś wszedł do kancelarji, skąd wyszedł po chwili, mówiąc, że jako wójt będę należał do innej kategorji zapomogowej. Zeszliśmy na dół i wkrótce tramwajem zajechaliśmy do Ministerstwa na Schauflergasse. Tam po zapytaniu, czy jestem sam, czy z rodziną, dano mi asygnatę z oświadczeniem, że będę pobierał w Wiedniu tytułem zapomogi 20 k. tygodniowo.

Nadto hr. Lasocki dał mi adres starszej hr. Tarnowskiej z Dzikowa, którą zaraz nazajutrz odwiedziłem, czem się bardzo ucieszyła, — a ja również od tego czasu uczułem się w Wiedniu swobodniejszym i weselszym, dziękując Bogu, że się zetknąłem z takiemi osobami, które mi pomogły, abym pobyt w Wiedniu miał zabezpieczony. Trapiła mnie tylko myśl o rodzinie i całej gminie, co się tam z niemi dzieje, czem żyją i prosiłem Boga, aby się wojna wkrótce skończyła, aby szczęśliwie do domu wrócić, zastać przy życiu i zdrowiu rodzinę i wszystkich znajomych, z nimi według przeznaczenia Bożego resztę dni dożyć, pomiędzy nimi umrzeć i w swojej ojczystej

ziemi być pochowanym. Takie życzenia i pragnienia miałem przez cały czas mego pobytu w Wiedniu. A pobyt ten z konieczności przedłużał się z powodu powtórnego wkroczenia Moskali do powiatu tarnobrzeskiego i dalszych.

Byłem w tej stolicy naddunajskiej po raz pierwszy, więc wzrok mój przykuwały zarazem jej osobliwości. Zaraz na wstępie od strony Krakowa zasługuje na uwagę dworzec kolejowy tak pod względem wyglądu, jak i urządzeń pierwszorzędnych. Z kościołów wybija się powagą i okazałością kościół św. Szczepana. Polakowi jednak najmilszy zawsze kościółek OO. Zmartwychwstańców na Rennweg; gromadziło się też tam dużo naszych rodaków, zwłaszcza w święta uroczyste. Trudno pominąć także kościółek polski na wzgórzu Kahlenberg, które ożywiało się szczególnie w niedzielę podczas lata. Z innych budowli zwracają na siebie uwagę: ratusz w I dzielnicy, parlament, muzea przyrodnicze, historyczne. Jednakże stary zamek (Burg) wcale nie wyglądał na siedzibę potężnych Habsburgów i okazalej przedstawia się nasz Wawel w Krakowie. Dużo też jest w Wiedniu pomników, wśród których szczególną okazałością odznacza się pomnik cesarzowej Marji Teresy. Miasto zdobią piękne parki, między któremi głośny jest Prater, obfitujący w różne urządzenia rozrywkowe. Do takich urządzeń rozrywkowych należy też t. zw. Riesenrad (olbrzymie koło), wystrzelający ponad wieże kościelne z przymo-

cowanemi klatkami, z których można ogarnąć wzrokiem cały Wiedeń.

Wiele czasu spędzałem, chodząc po kościołach, do niemieckiego, czeskiego, a przedewszystkiem do polskiego, modląc się gorąco, aby Bóg zlitował się nad ludem i dał wkrótce szczęśliwy koniec wojny i spokój. Ale nie tylko ja się modliłem, bo gdzie tylko wszedłem do kościoła, wszystkie przepełnione były ludem niemieckim, polskim i czeskim, który wspólnie w tej samej intencji zanosił gorącę modlitwy ze łzami w oczach.

Na szczególną uwagę zasługują polskie uroczyste nabożeństwa odprawiane w tym czasie. Dnia 10-go stycznia 1915 r. było uroczyste nabożeństwo w kościele polskim OO. Zmartwychwstańców z polecenia Ojca św. Benedykta XV do Serca Jezusowego. Nabożeństwa trwały cały dzień, z wystawieniem Najśw. Sakramentu i dwoma kazaniami. Kościół przepełniony był polskim ludem. Było ślubowanie wszystkich za głosem kaznodziei, że się będą modlić dwa razy dziennie do Serca Pana Jezusa na intencję rychłego i szczęśliwego pokoju. — 6-go lutego odprawił ks. biskup Bandurski w kościele św. Michała żałobną mszę św. w asyście sześciu księży za poległych w boju. Po mszy św. miał prześliczne kazanie o Polsce, podnosząc, że Polska musi być przywróconą, a przemawiał z takim zapałem, że każdemu rzęsiste łzy z ócz padały. Kościół choć wielki, tak był przepełniony ludem, że nie było gdzie palca wetknąć i cisza podczas kazania była naj-

większa tak, że zdawało się, iż lud nie tylko uszami słucha, ale każde słowo kaznodziei ustami do serca wciąga. Kazanie to do głębi lud wzruszyło. Po kazaniu wszystek lud donośnym głosem zaśpiewał: »Boże Ojcze, Twoje dzieci«, tak rzęwliwie, żę cały kościół drżał, a ks. biskup póty z ambony nie zszedł, aż lud pieśni dokończył. Po nabożeństwie wychodził każdy w największem ducha skupieniu, a przed kościołem uczestnicy witali się nawzajem serdecznie tak, że cała rzesza tego ludu wyglądała jakby jedna rodzina.

Z początkiem marca odprawił ks. biskup Bandurski w kościele św Michała 8-dniowe wieczorne rekolekcje, na których rozbierał »Ojcze Nasz«. Wykład ks. biskupa był tak gorliwy i wzniosły, że kto był na jego kazaniu raz, to się starał, aby ani jednego przez cały czas nie opuścić. To też ludu polskiego na żadnem nie brakło, zawsze kościół był napełniony.

Dnia 3-go maja odprawił ks. biskup Bandurski w kościele św. Michała nabożeństwo z kazaniem na uczczenie rocznicy Konstytucji 3-go Maja. Było to ostatnie nabożeństwo, na którem byłem obecny w Wiedniu, ale chyba zachowam je w sercu i w pamięci do śmierci i wnioskuję, że wszystkim, którzy byli obecni wyryło się ono na zawsze w pamięci. Kościół tak był przepełniony ludem, że brak było miejsca dla stojących. Mówili, że dość było i Niemców, którzy polską mowę rozumieli i chętnie słuchali. Ksiądz biskup zaczął sumę o 10-ej z wystawieniem Najśw. Sakramentu przy asyście 4-ch księży. Ołtarz był wspaniale

oświecony. Po sumie prosto od ołtarza w ornacie wyszedł na ambonę, rozbierał znaczenie i doniosłość Konstytucji 3-go Maja. Tak krzepił ducha zgromadzonemu narodowi, a głos jego tak był donośny i przenikliwy, że każde słowo można było słyszeć nie tylko w kościele, ale i na dworcu przed kościołem. Lud słuchał z zapartym tchem, z głębi piersi dobywało się łkanie i po twarzach spadały kropliste łzy. Zdaje mi się, że nie znalazłby w kościele słuchacza, żeby nie był do głębi wzruszony. Po ukończeniu kazania zaśpiewał ks. biskup głosem donośnym na ambonie: »Boże Ojcze Twoje dzieci« i »Kto się w opiekę podda Panu swemu«. Nie zapomnę nigdy tej chwili nad wyraz wzruszającej, jak lud ogromnym głosem śpiewał, organy grały, że zdawało się, iż mury kościelne dygoczą, a biskup ciągnął z ludem ten śpiew tak, że wśród wszystkich głos się jego przebijał i nie zeszedł z ambony, aż wszystkie pieśni z ludem odśpiewał, Nie zapomnę też, jak ks. biskup zwrócony do ołtarza, gdzie był wystawiony Najśw. Sakrament, modlił się, prosząc Boga o zwycięstwo dla dobrej sprawy, a lud wspólnie ciągnął za nim. Była to ostatnia chwila do głębi wzruszająca. To też po ukończeniu nabożeństwa, gdy ludzie powychodzili z kościoła, nikt się nie spieszył do domu, ale prawie wszyscy zatrzymali się przed kościołem, witając się wspólnie serdecznie, na twarzy każdego można było odczytać miłość braterską i miłość Ojczyzny.

Co do duchowieńswa niemieckiego zauważyłem, że księża niemieccy, czy to w dnie uroczyste, czy powszednie odprawiają msze św. i nabożeństwa bardzo gorliwie i z wielką powagą, nigdzie się nie oszczędzają, nie żałują pracy w naukach, kazaniach, a szczególnie dbają o młodzież szkolną, prowadzą ją często w parach uroczyście do kościoła, dzieci idą do spowiedzi i komunji św. pięknie ubrane, ze świecami w ręku, w kościele ksiądz stoi w środku wśród młodzieży przez czas nabożeństwa, odmawia wspólnie modlitwy, śpiewają bardzo ładnie. Kościoły utrzymują w największym porządku i czystości tak, że gdy się wejdzie do kościoła, oczy nie pozwalają prędko wyjść z niego. Szczególnie warto widzieć groby w Wielkim tygodniu i ołtarze Matki Boskiej w maju przecudnie ubrane; chęć wówczas bierze, aby do coraz innego kościoła wstąpić, bo w każdym zdaje się inaczej i piękniej grób czy ołtarz przybrany, jakby na zwabienie oka ludzkiego.

Do którego kościoła wstąpiłem, wszędzie codzień na mszach i innych nabożeństwach zastawałem pełno ludzi, którzy poważnie i gorąco byli w modlitwie zatopieni. Widać było, że niektóre panie i panowie pochodzili z arystokracji, a nie wstydzili się na głos odmawiać modlitw i śpiewać wspólnie.

Lecz może się nie pomylę, gdy powiem, że z liczby zamieszkałej w Wiedniu ludności rzymsko-katolickiej tych, którzy żyją według przykazań Bożych i kościelnych i zachowują je, jest zaledwie 20 proc. czyli 5-ta część, zaś 80 proc. tylko z imienia są katolikami. Gdy

przyszła niedziela, nawet gdy w kościołach odprawiało się nabożeństwo, jechało dosyć wozów naładowanych nawozem, drzewem, cegłą, różnemi towarami, ihni siedzieli w kawarniach, restauracjach. Ci ludzie mało na to zwracają uwagi, a może i nie chcą wiedzieć, że to jest niedziela-święto, zapominając o trzeciem przykazaniu Bożem.

Jest też w Wiedniu wiele małżeństw dzikich, które siedzą na wiarę całemi latami, nie brak dzieci nieślubnych. Dopiero wielu napędziła wojna do zawarcia ślubów małżeńskich, bo gdy powołano mężczyzn do wojska, wtenczas dopiero masami brano śluby, nawet polowe, a to dlatego, żeby żony i dzieci brały zasiłek przez czas wojny. Ale czy po wojnie te stadła małżeńskie będą ze sobą żyły, jak prawo Boże nakazuje, to jest pytanie, skoro powiadano mi, że jest dosyć takich małżeństw, co się nawet po latach rozwodzą, — ona wyszuka sobie innego mężczyznę, a on inną kobietę, co pomiędzy Polakami mniej się trafia.

Pod względem pracowitości, oszczędności, czystości czy porządku, jak również przemysłu i handlu, Niemcy mogą nam służyć za wzór. Mężczyźni, a osobliwie kobiety są pracowite, tak, że wiele prócz domowego ma jeszcze zarobkowe zajęcie i wspólnie pomaga do utrzymania domu i dzieci. W sąsiedztwie, gdzie początkowo mieszkałem, był masarz i stolarz, właściciele kamienic, ludzie bogaci, a jednak cały dzień pracowali w fartuchach i z zakasanemi rękawami, razem ze swoimi robotnikami. Masarz dawał córkom po

kilkadziesiąt tysięcy koron w posagu. — Kobiety są oszczędne, w dnie powszednie ubierają się skromnie, nie wdziewają żadnych drogich ubrań i kapeluszy na głowę, dopiero w święto ubierają się według swego stanu i zamożności. Nawet w ofiarności dla ubogich są nadzwyczaj oszczędne. Słyszałem od Polaków, w Wiedniu zamieszkałych, że jest u Niemców we zwyczaju, iż rzadko biednego większym datkiem obdarzają jak 2 h., podczas gdy u nas rzuca się większe datki. — Co do czystości i porządku, to jest u nich na pierwszem miejscu, tak w domu jak na ulicach. Wszędzie trzymają wzorowy porządek i czystość i kochają się w kwiatach żywych. — Zajmują się przemysłem, i handlem, mają różne fabryki, warsztaty, składy i sklepy, wszystko niemieckie, ciągną z tego wielkie zyski i bogacą się, gdy my wyręczamy się w tem wszystkiem żydami, nie mamy polskiego przemysłu i dlatego biedę klepiemy.

Jednakże Niemcy, szczególnie niższej klasy, byli bardzo nieprzychylni dla Polaków z Galicji, którzy wyemigrowali z powodu wojny, zmuszeni nieraz do tego przez władze wojskowe, pozostawiając w kraju cały swój dobytek na pastwę losu i zniszczenie. Okazywali tę swoją nienawiść na ulicach, a zwłaszcza w parkach, mówili: »Polskie świnie, przyszli do Wiednia, obżerają nas i robią drożyznę«. Doznałem też na sobie tej nieprzychylności. Zamieszkałem — jak wspomniałem — w 11 obwodzie u rodziny polskiej i zdawało mi się, że jestem u swoich najbliższych

przyjaciół i będę tak długo, aż będę mógł do domu powrócić. Jednak doznałem zawodu i dosyć zmartwienia, bo jednego dnia oświadczyła mi moja gospodyni zmartwiona, że jej właścicielka kamienicy wypowiada mieszkanie, które już od 9 lat zajmuje i przed rokiem własnym kosztem odnowiła, z powodu, że ludzi z Galicji przyjmuje na stancję. Chciała iść prosić, abym jeszcze choć z miesiąc mieszkał, dopóki innego mieszkania nie znajdę. Ale ja, nie chcąc, by o to Niemców prosiła, postarałem się o inne mieszkanie, także u Polki w 3 obwodzie. Tam mieszkałem 5 miesięcy, czyli do końca mego pobytu w Wiedniu. Ale i tu zauważyłem, że Niemcy, którzy w tej kamienicy mieszkali, poglądali na mnie okiem nieprzychylnem, jak na wilka, chociaż zachowałem się cicho i spokojnie, a stróżce dałem kilka razy po koronie za to, że zamiatała ganek, którym przechodziłem. Pomyślałem sobie: »My tu z Galicji w tych czasach nieszczęśliwych schroniliśmy się do was, a wy nas tak przyjmujecie, nie pamiętacie tego, jak przez długie lata z Galicji posyłaliśmy wam, cośmy wychowali najlepszego: wieprze, woły, cielęta, drób, jaja i to po niskich cenach«. Oni narzekali, że ich objadamy, ale my żyliśmy zupą, za którą umieli dobrze rachować i wogóle za wszelkie towary, nawet liche, kazali sobie dobrze płacić. Ilu było emigrantów z Galicji, to każdy zostawił po kilka setek za liche pożywienie, stancje i t. d., i można śmiało powiedzieć, że obywatele wiedeńscy na tem nic nie stracili, owszem dużo zyskali, bo wszyst-

kie kapitały, jakie ze sobą przywieźli emigranci, wszystkie zapomogi, jakie rząd wydał, zostały w kieszeniach przemysłowców i kupców wiedeńskich.

Szczęście dla narodu było wielkie, że znalazło się wiele szlachetnych i dobroczynnych osób, szczególniej z wyższych stanów, które za dobrodziejstwa, świadczone w owym krytycznym czasie, zasłużyły na wdzięczność biednego narodu. Pozakładano kuchnie tanie, a dla bardzo biednych bezpłatne, panie i panny ofiarowały swoje usługi dla gości, każdy dostał herbaty, kawy, a na obiad więcej potraw. Ja korzystałem przez 5 miesięcy z takiej polskiej jadalni na ul. Tiefer-Graben, płaciłem 50 h. za obiad, który się składał z zupy, mięsa ze sosem i małej leguminy. Było to wszystko smaczne, bo był ścisły dozór, wiktowało się przeszło 600 osób: księży, nauczycieli, urzędników i t. p. Kuchnia była założona z pieniędzy składkowych, przewodniczącemi były: hr. Stanisława Mycielska i Zygmuntowa Zamoyska, a między usługującemi paniami były: hrabianki Tarnowska i Siemieńska, które znałem z Dzikowa.

Wogóle w czasie pobytu w Wiedniu miałem szczęście spotykać się z wielu wybitnemi osobami. Przedewszystkiem odwiedzałem starszą hrabinę Zofję Tarnowską, która przebywała wtedy w Wiedniu z córką Zofją Siemieńską i wnuczkami. Od początku była bardzo uradowana mojem odwiedzeniem, a szczególnie myśląc, że mam wiadomości z Dzikowa, tymczasem ja także chciałem się czego o Dzikowie dowiedzieć

i sądziłem, że ona ma prędzej od kogoś wiadomości, co się w Dzikowię dzieje, ale o wiadomości było trudno. Przyrzekła mi tylko, że skoro otrzyma jakąkolwiek wiadomość, to się każdą najmniejszą, choćby słówkiem, ze mną podzieli. W Wielką Sobotę otrzymałem od niej zaproszenie na święcone, gdzie znalazłem się przy stole z jej rodziną, bawiącą wówczas w Wiedniu, co było dla mnie wielką pociechą, że w tem krytycznem położeniu znalazłem życzliwość tak czcigodnych osób, co też do zgonu zachowam w pamięci.

W Wiedniu spotkałem się z hr. Stan. Tarnowskim, prezesem Akademji Umiejętności, który mnie serdecznie uściskał i był bardzo zadowolony, jak również ja z tego spotkania. Spotkałem się też ze Zbigniewem Horodyńskim, marszałkiem Rady powiatowej tarnobrzeskiej, a powitanie nasze i rozmowa były również czułe i serdeczne. Prócz tego spotkałem się z Józefem Kadenem, pełnomocnikiem dóbr dzikowskich, który starał się dopomóc mi we wszystkiem po przyjacielsku. Spotkałem się z Aleksandrem Brodkiewiczem, dyrektorem browaru dzikowskiego i w domu Brodkiewiczów byłem parokrotnie życzliwie i gościnnie przyjmowany. Również z bardzo życzliwem przyjęciem spotkałem się w domu dr. Adwentowskiego, prof. szkoły realnej w Tarnobrzegu, a pani Adwentowska była tak dobra, że gdym się kiedy z odwiedzinami spóźnił, przysyłała służącą z zapytaniem, czy nie jestem chory. Stykałem się często z Janem Polań-

skim, zarządcą urzędu podatkowego z Sambora, który jako ewakuowany mieszkał w Wiedniu przez czas pobytu Rosjan w Galicji. Był to człowiek szczerze życzliwy, religijny, — odwiedzał mnie w mojem mieszkaniu, ja również zachodziłem do niego i tak spędzaliśmy czas na pogawędkach pożytecznych.

Kilka razy byłem we własnym interesie w Ministerstwie galicyjskiem na Rennweg, gdzie miałem sposobność poznać sekretarza w temże Ministerstwie, Edwarda Neumana, człowieka nadzwyczajnej pracowitości i szczerze życzliwego szczególnie dla polskiego ludu włościańskiego, o czem przekonałem się nie tylko we własnych sprawach, ale widziałem, że wszystkim interesowanym mimo ciżby służył doradą, spisywał protokóły i każdemu w jednej chwili chciał sprawę załatwić i przyjść z pomocą. — Chodziłem też przez 8 miesięcy na Schauflergasse, gdzie pobierałem tygodniową zapomogę i gdzie otrzymywało zapomogę bardzo dużo uchodźców z Galicji: jak nauczyciele, kanceliści, woźni, emeryci i t. p. W tej właśnie kasie miałem sposobność poznać 5-ciu urzędników. Bardzo mi żal, żem sobie nazwisk nie zanotował, że przeto nie mogę ich wpisać do »Pamiętników«. Byli to Polacy, którzy jakby dobrani byli, bardzo pilni, w mowie łagodni, pomimo, że codzień był duży natłok. Załatwiali wypłatę z łagodnością i przychylnie, udzielali wszelkich rad, badali każdego, czy ma wygodne pomieszkanie, opał, wskazywali mieszkania, płatne z kasy rządowej, dostarczali węgla, na życzenie emigrantów

wyszukiwali zajęcia, tak, żeby każdy prócz pobieranej zapomogi miał sposobność i mógł tyle zarobić, aby choć oszczędnie się wyżywił, — słowem, starali się o wszystko, nie licząc się z tem, że coś nie wchodziło w zakres ich obowiązków. Wszyscy, których tu wymieniam, byli urzędnikami nie tylko z tytułu, ale prawdziwymi opiekunami ludzi znękanych, w obcy kraj wojną z domu zagnanych. Więc niech im za tę pracę Bóg wynagrodzi, — daj też Boże, ażeby wszyscy urzędnicy poszli ich śladem, wtenczas byłoby u nas dobrze i sprawiedliwie.

Prócz tych dostojnych osób, z któremi miałem sposobność w Wiedniu żyć i stykać się, miałem też gdzieindziej dużo przyjaciół i znajomych, którzy, gdy się dowiedzieli, że jestem w Wiedniu i o moim adresie, często do mnie pisywali. Więc otrzymywałem często listy od prof. Wincentego Lutosławskiego z Francji, który przesyłał listy przez Genewę w Szwajcarji. W ten sposób dochodziły mnie też listy od wnuczki mojej, przebywającej na nauce w domu prof. Lutosławskiego. Pisywał do mnie i przysyłał mi gazety polskie dr. Antoni Surowiecki, przebywający w Białej, pisywał sędzia Wincenty Mortka z Przybrama, poseł Wiącek z Pragi i t. d. Prawie każdego dnia otrzymywałem listy i kartki z różnych stron od znajonych emigrantów, ewakuowanych, wojskowych, że trudno nawet wymienić wszystkie nazwiska. Odbierałem tak liczną, miłą dla mnie korespondencję, że się to listonoszowi sprzykrzyło, zaczął narzekać, że sobie do mnie

na 3-cie piętro nogi pozrywał. Przyznając mu słuszność, starałem się go choć niedużym napiwkiem zaspokoić.

Ale pomimo tej korespondencji, pomimo zajmujących przechadzek, przez cały czas pobytu tam ani na chwilę nie opuszała mnie tęsknota za domem i wsią rodzinną. Łaknąłem choćby najdrobniejszej wiadomości o domu swoim, rodzinie i mieszkańcach Dzikowa, czy są zdrowi, czy żyją, czy z głodu nie przymierają, czy mają dachy nad głową. Bo jak z Dzikowa odjeżdżałem, wszystko było przeważnie zabrane, zrabowane, zniszczone, a do Wiednia dochodziła pogłoska, że jak się wojska austrjackie cofały, wszystkie wsie za sobą paliły. Ledwie mnie jedna niepokojąca myśl opuściła, druga nielepsza do głowy się nasuwała. Chciałbym był jednej chwili dostać się do rodzinnego domu i rodzinnej gminy, ujrzeć rodzinę i znajomych.

Nie będąc przyzwyczajonym do życia w wielkiem mieście, a słysząc na każdem miejscu skarżących się, że brak chleba i wszystkich artykułów do żywności, że z każdym dniem drożeje, myślałem sobie, że gdyby tak jednego dnia żywności do miasta nie dostarczyli, jużby głód zapanował, a gdyby nieprzyjaciel pod Wiedeń podstąpił i żywności nic nie dopuścił, to choć tu człowiek pewniejszy, że od kuli nie zginie, jednak groziła mu gorsza śmierć głodowa. — Paliła mię tęsknota i coraz większe pragnienie, żeby jak najprędzej dostać się do swoich, — jednak wszystko nadaremnie, bo Moskale byli za Krakowem w Karpatach, więc była to zapora, z którą zmagały się miljony wojsk

sprzymierzonych, wobec czego czułem się maleńkim drobiazgiem. Więc coraz częstsze robiłem sobie wyrzuty, poco ja ze swego domu i swojej wsi rodzinnej na starsze lata w taki czas wydalałem się, czy nie lepiej umrzeć na swojej ziemi i między swoimi.

Wśród takich tęsknot spada nagle nadzwyczajnie pocieszna wiadomość, że armje sprzymierzone odniosły wielkie zwycięstwo, że pędzą Moskali z pod Tarnowa, z Karpat i t. d. Radość była nie do opisania. Otwarła się odrazu możność powrotu do domu. Nie traciłem czasu ani chwili, ale postanowiłem zaraz starać się o legitymację na drogę powrotną. Zachęcali też do powrotu inni, prof. Lutosławski pisał do mnie między innemi: »Bardzo radzę wracać do domu, zawsze tam łatwiej się wyżywić, niż w obcem mieście, a nadto gmina potrzebuje swego wójta, by ją rozumnie bronił przed nadużyciami wojsk«.

Więc nasamprzód zebrałem informacje, gdzie starać się o pozwolenie na wyjazd. W Towarzystwie rolniczem otrzymałem potwierdzenie, że jestem rolnikiem, i polecenie do powrotu, ale w Ministerstwie wojny odmówiono mi pozwolenia na wyjazd, ponieważ z powiatu tarnobrzeskiego nieprzyjaciel nie był jeszcze wyparty. Potem przez kilka tygodni zachodziłem do tegoż Ministerstwa, żeby się dowiedzieć, czy powiat tarnobrzeski do powrotu otwarty. Wystawałem tam na kurytarzach wśród wielkiej ciżby i natłoku, że się omal z nóg nie spadło, — zwyczajnie około godz. 12-tej wychodził urzędnik na kurytarz

i odczytywał, które powiaty są wolne od nieprzyjaciela, że tylko z tych powiatów mogą czekać na wydanie im legitymacyj powrotnych. Z bólem serca wysłuchałem zawsze zawiadomienia, że powiat tarnobrzeski nie jest jeszcze wolny od inwazji nieprzyjacielskiej, że kto z tego powiatu, to czeka napróżno.

W tem strapieniu zwróciłem się do Ministerstwa Galicji, do sekretarza Edwarda Neumana. Gdy mu opowiedziałem, że radbym powrócić w strony rodzinne, spisął ze mną zaraz odpowiedni protokół i przesłał go do Wydziału krajowego w Białej. Na to już 4-go dnia otrzymałem list ekspress, abym bezwłocznie wyjechał celem objęcia urzędowania w mej gminie. Z tem pismem udałem się do Ministerstwa wojny, w którem mi powiedziano, że mogę tylko wyjechać najdalej do Tarnowa, ale i z tego się ucieszyłem, że będę bliżej domu. Otrzymałem pozwolenie na wyjazd i kartę bezpłatnej jazdy koleją do Tarnowa. Nie tracąc czasu, dnia 22 czerwca rano wyjechałem z Wiednia.

Gdy pociąg ruszył, nie interesowały mnie już żadne widoki wiedeńskie, którem opuszczał, tylko pragnąłem jak najprędzej zobaczyć pola obsiane zbożem, bo przez 8 miesięcy ich nie widziałem, a do tego słyszało się ciągle obawy, że będzie głód, bo z powodu wojny grunta leżą odłogiem, a susza do reszty wszystko wypaliła i t. d. Dlatego siadłem w wagonie przy oknie i ucieszyłem się niewymownie, gdy ujrzałem pierwsze pola zbożowe. Od tej chwili rozweseliłem się w du-

chu, zdawało mi się, żem zdrowie odzyskał i nowe życie wstępuje we mnie. Do samego zmroku wpatrywałem się w pola pokryte zbożami i jarzynami, stwierdzając urodzaje średniej jakości. Gdy przyszła noc, sen nie skleił mi powiek, bo rozpierała mnie radość, że niedługo już zobaczę swoją zagrodę, rodzinę, przyjaciół. Tak 23 czerwca o godz. 11-tej przyjechałem do Krakowa. Po wylegitymowaniu się na stacji otrzymałem pozwolenie na wstęp i 3-dniowy pobyt w mieście. Zamieszkałem jak poprzednio przy ul. Starowiślnej, gdzie na stancji były moje dwie wnuczki, uczęszczające do seminarjum nauczycielskiego. Radość moja była wielka, gdy zjadłem tu chleba żytniego, bo w Wiedniu takiego nie widziałem, tylko z kukurudzy. W Krakowie obchodziłem 24-go radośnie swoje imieniny i zarazem doczekałem się pociesznej wiadomości, że Lwów od Moskali oswobodzony. Więc z uciechą obchodziłem iluminację miasta i radowałem się, że już do swego domu się dostanę. Z Krakowa wyjechałem 26 czerwca po południu i jechałem bez przeszkody, dopiero pod Tarnowem konduktor mówi mi, że dalej jechać nie mogę i muszę w Tarnowie wysiąść. Ale pokazałem mu pismo Wydziału krajowego, wzywające mnie do objęcia urzędowania w gminie i wydał mi bilet do Dębicy, dokąd przyjechałem w nocy. Tu dowiedziałem się, że rano odejdzie pociąg z kilku wagonami do Chmielowa, »ale cywilom siadać nie wolno«. Pragnąc zbliżyć się do domu, wsunąłem się do wagonu, rozmyślając, że choć mnie na której stacji wy-

sadzą, to zawsze będę bliżej domu. Jadę. Przychodzi konduktor, pyta się, dlaczegom wsiadł, skoro pociąg tylko dla wojskowych, — ale pokazałem mu wezwanie z Wydziału kraj., — odszedł i zostawił mnie w spokoju.

Tak dojechałem szczęśliwie do Baranowa, 2 mile od Tarnobrzega. Tu spotkałem na stacji magazyniera kolejowego z Tarnobrzega, Rogulskiego, pytam się, czy nie ma jakich wiadomości o Dzikowie i mojej rodzinie. Odpowiada mi, że był w Dzikowie przed 2-ma dniami, dom mój i wszystkie budynki stoją niespalone, w rodzinie wszyscy żyją i są zdrowi. Radość moja nie do opisania. Jadę jeszcze o jedną stację dalej i o godz. 10-tej rano przyjeżdżam do Chmielowa. Dalej kolej nie idzie, bo tor kolejowy zepsuty. Mam tylko milę do domu, ale piechotą się nie puszczam, bo przeszkadza pakunek. Fury ciężko dostać, bo nikt się z domu nie wychyla, czekam na drodze parę godzin, ledwie .i się trafia furmanka okazyjnie, płacę furmanowi 12 k., ledwie się zdecydował odwieźć mnie do domu. Reszta drogi wypadała przez wsie, w których do 22 czerwca przez 6 tygodni wrzały bitwy. Oczom przedstawił się odrazu obraz ogromnego zniszczenia i grozy. Zaraz za Chmielowem Ocice, w których gospodarstwa ciągnęły się długim szeregiem, zupełnie spalone i zrównane z ziemią. Miejscami jeszcze się dym kurzy, żołnierze chodzą po polach, wyszukują w zbożach zabitych i wynoszą na marach. Co kawałek mogiły poległych. Również z Kajmowa, leżą-

cego w dalszej linji nad Wisłą, widać tylko zgliszcza. Miechocin spalony w połowie, pozostałe gospodarstwa rozgrodzone, obdarte, zeszpecone wyglądają jak po okropnej burzy. W sercu robi mi się smutno, dreszcz po całem ciele przebiega, to mnie jedynie pokrzepia, że zbliżam się do swoich.

Tak 27-go czerwca o 5-ej po południu stanąłem w Dzikowie. Była to niedziela, więc niektórych z rodziny i sąsiadów spotkałem na ulicy, idących z kościoła po nieszporach. Jakie było czułe i serdeczne przywitanie, tego opisać nie mogę, wystarczy, gdy powiem, że zeszło więcej niż dwie godziny, nim doszedłem do domu i próg przekroczyłem, gdyż na dworcu opowiadaliśmy sobie wspólnie każdy swoje przygody, któreśmy przechodzili, ja w Wiedniu, oni na miejscu w domu.

*

* *

Nim rok upłynął od wybuchu wojny, okolica tutejsza widziała dziewięć wielkich przemarszów armij wojennych, mianowicie przeszły tędy pięć razy naprzód i w odwrocie armje austrjackie i cztery razy armje rosyjskie. — Powiat dwukrotnie był zajmowany przez Rosjan. Pierwszy raz przez trzy tygodnie, drugi raz prawie ośm miesięcy, od 5 listopada 1914 r. do 22 czerwca 1915 r. — Trzykrotnie toczyły się tu wielkie bitwy: pierwsze 3-dniowe, później przez październik 1914 r. nad Sanem, następnie 6-tygodniowe od 14 maja do 22 czerwca 1915 r.

Tak przemarsze, jak bitwy sprowadzały ogromne zniszczenie, największego jednak spustoszenia dokonały ostatnie 6-tygodniowe walki i ostatni odwrót Moskali.

W Dzikowie spłonęło w owym czasie parę gospodarstw od strzałów armatnich.

Więcej ucierpiał Tarnobrzeg. Kościół OO. Dominikanów był znowu przez dwa dni celem pocisków armatnich, ponieważ na wieży był ukryty oficer rosyjski i kierował stamtąd telefonicznie ogniem bateryj rosyjskich. Później, gdy naokoło padające granaty austrjackie groziły zniszczeniem wieży, przeniósł się na lipę w ogrodzie klasztornym. Skutkiem tego kościół uległ bardzo ciężkiemu uszkodzeniu. Sklepienie było przebite kulami, nad główną nawą zupełnie zwalone, chór z organami zniszczony, witraże wszystkie porozbijane, sama wieża mniej uszkodzona.

Wiele domów uległo całkowitemu lub częściowemu zniszczeniu, niektóre — jak budynek, w którym się mieścił sąd karny — zniknęły z powierzchni ziemi za jednym pociskiem armatnim. Handel chrześcijański »Bazar«, najprzód zrabowany, spłonął doszczętnie już w zimie, zdaje się od podłożonego ognia, celem zatarcia śladów rabunku. Na środku rynku sterczała kupa gruzów po dawnym ratuszu, spalonym już w czasie pierwszego pobytu Rosjan.

W całym mieście nie było prawie całej szyby, w wielu domach wraz z szybami powylatywały także ramy i drzwi. Po ogrodach i ulicach miasta powyry-

wane były pociskami armatniemi liczne doły, głębokie na 3—4 m., szerokie na 6 m.

Przed drugiem wkroczeniem Rosjan mieszkańcy w ośmiu dziesiątych częściach uszli z miasta, między uchodźcami byli wszyscy żydzi z wyjątkiem kilku kalek, którzy uciekać nie mogli. W mieszkaniach opuszczonych nie zostało prawie nic mebli. Wywiezione zostały częścią przez Moskali, częścią rozebrane przez ludność okoliczną. Poniszczone zostały w znacznej części biura władz państwowych i samorządowych, urządzenia instytucyj społecznych, ocalało jedynie starostwo, pomieszczone w budynku klasztornym. Sklepy zostały doszczętnie zrabowane.

Wszystkie ulice i podwórka, zanieczyszczone niemożliwie, były gniazdami różnych chorób.

Najwięcej jednak ucierpiały wsie, położone na linji bojowej. Prawie doszczętnie zostały spalone: Kajmów, Ocice, a w znacznej części Miechocin, Machów, Mokrzyszów, Stale, Wydrza, Zabrnie, Majdan Zbydniowski, Wólka Turebska, Pilchów, Brandwica, Jastkowice.

Według obliczeń w powiecie tarnobrzeskim było spalonych 1.200 zagród włościańskich, nadto znaczna część miasteczka Rozwadowa leżała w gruzach już po walkach jesiennych, toczących się nad Sanem.

Jeszcze większemu zniszczeniu uległ sąsiedni powiat niżański, rozciągający się dalej na wschód, gdzie było spalonych 1.700 gospodarstw chłopskich i 850 domów mieszkalnych w miasteczkach Nisku, Rudniku, Ulanowie.



Kościół OO. Dominikanów w Tarnobrzegu.

Pogorzelcy gnieździli się w dołach ziemnych i szałasach, na prędce skleconych.

Dwory i folwarki, których właściciele przeważnie nie byli na miejscu, zostały spalone albo zrabowane. W pasie szerokości mniej więcej jednej mili pola zryte były rowami strzeleckiemi, podziemnemi przejściami i kryjówkami dla rezerw, najeżone drutami kolczastemi. Okopy takie miałem także na swoim polu koło domu, zbudowane przez Moskali w czasie zimy.

Z powodu toczących się jesienią i na wiosnę bitew, a przytem z braku sił roboczych pola nie mogły być albo całkiem albo w części obrobione i obsiane, zwłaszcza ogromne łany ziemi dworskiej leżały przeważnie odłogiem, zarosłe różnem zielskiem.

Pożogą wojny dotknięte także zostały w okrutny sposób lasy, tak dworskie jak gminne. — W czasie toczących się bitew były one rozmyślnie podpalane, celem wstrzymania ataku, zresztą paliły się wciąż wskutek zapuszczenia ognia przez nieostrożność i słabszego dozoru ze strony służby lasowej. Nie było też nic przykrzejszego nad widok płonących lasów szpilkowych i niszczejącej żywej przyrody. — Prócz tego na dużych przestrzeniach były one zestrzelane pociskami działowemi i karabinowemi, poprzecinane rowami strzeleckiemi i szerokiemi linjami, celem uzyskania dostępu do okopów i wolnego pola wystrzału. Obliczano, że takich zniszczonych lasów z dawnej puszczy sandomierskiej było przeszło 35.000 morgów.

Miary nieszczęść, jakie spadły na ludność, dopełniały choroby zakaźne. Szczególnie czerwonka grasowała nadmiernie i zabierała wiele ofiar. Prócz tego panowały tyfusy brzuszny i plamisty, influenza, świerzby, wysypki. Po drogach spotykało się wciąż pogrzeby, ciągnące ku cmentarzom.

Okolica została ogołocona ze wszystkiego najbardziej w czasie ostatniego odwrotu Moskali. Moskale, cofając się ostatecznie 22 czerwca 1915 r., zabierali z sobą wszystkich mężczyzn od lat 15—50, nadto brali konie i krowy. Mężczyzn z Dzikowa, Tarnobrzega i Miechocina zabrali około 200. Z tych tylko kilku zdołało wymknąć się w drodze i wrócić do domu, reszta popędzona została aż pod Ural. Krowy wybrali tak, że w całym Dzikowie zostało ich tylko kilkanaście, których odszukać nie potrafili.

Brak artykułów pierwszej potrzeby: mąki, tłuszczów, cukru, opału, nafty — dawał się coraz bardziej we znaki. W Tarnobrzegu można było wszystkich piekarzy obejść i nie dostać jednej kromki chleba.

Z powodu ubytku sił roboczych i gorszej gospodarki rolnej brak było żywności nawet u kilkumorgowych gospodarzy.

Mnożyły się wypadki nocnego włamywania się, kradzieży zboża, ziemniaków, drobiu, opału.

Następnie pole bitew oddalało się stąd coraz bardziej. W tym samym dniu, kiedy Moskale wyszli z Tarnobrzega, odzyskany był przez wojska austrjackie Lwów, 31 lipca 1915 r. zajęty był Lublin, 5 sier-

pnia Warszawa. Wkońcu linja bojowa ustaliła się daleko na wschodzie i dalsza wojna toczyła się zdala od tych stron.

Wówczas to po roku wojny, rozlegl się głos, Ojca św., Benedykta XV, wzywający państwa i władców, prowadzących wojnę, do zaprzestania okropnego przelewu krwi i przywrócenia pokoju. Najważniejszym warunkiem trwałego pokoju miało być spełnienie słusznych praw i sprawiedliwych dążeń ludów, jęczących pod jarzmem obcych. Głos ten jednak pozostał jeszcze głosem wołającego na puszczy, — narody krwawiły się dalej w ciężkich zmaganiach wojennych.

*
* *

Tymczasem, gdy rola leżała odłogiem, gdy brak było żywności, odzieży, dachów nad głową, gdy przybywało sierót i szerzyła się wszędzie straszliwa nędza, — trza było przyjść ludności z doraźną pomocą.

Wojskowość przysyłała więc na wsie żolnierzy z zaprzęgami i narzędziami rolniczemi, którzy mieli pomagać w pracy na roli kobietom, gdyż na miejscu z powodu ustawicznych poborów wojskowych brak było mężczyzn i ludzi do pracy a także brak było bydła pociągowego.

Nadto rząd chcąc zapobiec temu, ażeby jedni nie zjadali więcej, a drudzy nie głodowali, ujął rozdział żywności w swoje ręce i chciał wydzielać wszystkim jednakowe porcje.

Na każde gospodarstwo rolne było wyznaczone — stosownie do jego wielkości, ilości domowników i liczby inwentarza żywego — ile ze zbiorów może zatrzymać dla siebie, a ile ma odstawić do magazynu rządowego i sprzedać tam po ustanowionej cenie. Najbliższy taki magazyn rządowy dla tutejszej okolicy znajdował się w Mokrzyszowie, urządzony w spichlerzu hr. Tarnowskiego. Zboża i mąki nie można było dowozić na targi ani sprzedawać w sklepach. A były w tym względzie tak ostre zakazy, że gdyby ktoś w tym czasie odważył się coś zboża po kryjomu sprzedać, a rzecz się wykryła, to spadała rewizja, zboże znalezione zabierali, a właściciel zamiast zapłaty za swój produkt dostawał się do aresztu.

Dla tych zaś, którzy wcale gruntu nie mieli, wydawane były karty chlebowe. Następnie prócz tych kart wydawane były karty na inne artykuły spożywcze: mąkę, cukier, naftę itp. Co miesiąc a nawet co dwa tygodnie obowiązana była gmina posyłać do starostwa wykazy tych, którzy mieli dostawać karty na artykuły spożywcze. Wszystkie zaś te artykuły można było nabywać w oznaczonych sklepach, po ustanowionych cenach pod dozorem władz państwowych. Sklepikarz mógł sobie doliczać za swą pracę ściśle oznaczony procent.

Zarządzenia te jednak spowodowały wiele niezadowolenia i narzekania. Dostawienie bowiem zboża do magazynów rządowych złączone było z wieloma kłopotami, z każdą wyznaczoną, nieraz bardzo drobną

ilością zboża, trza było iść czy jechać do magazynu, tam brali zboże po bardzo niskiej cenie, która zupełnie nie pokrywała kosztów produkcji. Toteż gospodarze, którzy mieli jeszcze coś do sprzedania, chowali to — jak mogli — w największem ukryciu, chroniąc się przed oddaniem za bezcen plonu swej pracy i czekając na dogodniejszą sposobność sprzedaży. Nieraz w takich schowkach zboże psuło się i marnowało, więc tembardziej go brakowało i podnosił się krzyk tych, którzy musieli wszystko kupić na zaspokojenie głodu.

Nie lepiej działo się też z wydawaniem kart chlebowych. W Dzikowie pierwsze wykazy, sporządzone ściśle według nakazu starostwa, narobiły dużo krzyku, zwłaszcza między kobietami, — domagali się bowiem kart chlebowych także tacy, którzy wprawdzie mieli coś gruntu, ale wyżyć z niego nie mogli. Kobiety z takich drobnych gospodarstw krzyczały: »Chcemy kart, ażeby kupić chleba i pożywić dzieci!« I szły z krzykiem i płaczem do starostwa. Tam odpowiadano im krótko, że nie pomieszczone na wykazie z gminy. — Do następnych więc wykazów wpisywani byli także ci, którzy mieli niedostateczne utrzymanie z gruntu. Za to znowu pociągało mnie jako wójta do odpowiedzialności starostwo, że wykazuję do kart chlebowych także rolników. Tłómaczyłem się tam, że inaczej nie może być, że i na drobne gospodarstwa muszą być karty wydawane. Gdyby bowiem z takich

gospodarstw można było wyżyć, toby ludzie po karty nie szli, bo na kartę chleba zadarmo nie dostawali.

Z obiegu znikała już wtedy nawet moneta drobna niklowa, a zapanowała wyłącznie papierowa. Drobna moneta bita była z żelaza. Przytem drożyzna rosła do niesłychanych rozmiarów.

W listopadzie 1915 r. płaciło się: 1 klg. mydła 4 k., 1 klg. słoniny 7 k. (przed wojną 2 k.), jaje 14 h., buciki męskie lub damskie 30 k. (przed wojną 8—10 k.),

W pół roku potem, tj., w kwietniu 1916, płaciło się za 1 klg. mydła 7 k., za buciki 36—40 k., za ubranie męskie 100—180 k. (przed wojną najwyżej 40 k.). Produkty wiejskie można było kupować po cenach przedwojennych, ale tylko za kartkami.

Ustanowiony został Urząd do walki z drożyzną, ale urząd ten skrupiał się prawie wyłącznie na ludności wiejskiej, bo oznaczał ceny na produkty wiejskie (mąka, krupy, masło, słonina, jaja), a nie ustanawiał ich na produkty fabryczne (buty, ubrania i t. d.).

Największymi opiekunami okolicy tarnobrzeskiej okazali się wówczas hr. Zdzisławowie Tarnowscy. Setki i tysiące biednych z powiatów tarnobrzeskiego, kolbuszowskiego, niżańskiego a także z za Wisły cisnęło się codzień do zamku w Dzikowie i nikt nie odszedł stąd bez odpowiedniej pomocy, hrabstwo wspierali zbiedzonych z własnych zasobów, nadto rozdzielali wsparcia z funduszów Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Warszawie, Komitetu Obywatelskiego we Lwowie, K. B. K. (Komitetu Biskupiego

Krakowskiego) i Rockeffelera. Dzierżyli w swych rękach nici wszystkiej pomocy.

Hrabina urządziła w Tarnobrzegu kuchnie bezpłatne, jedną dla chrześcjan, drugą dla żydów, z których to kuchni korzystało kilkaset biedaków. Założyła w zamku sklep z towarami spożywczemi, sprowadzanemi głównie z Lublina, które były sprzedawane po cenach kosztów. Na dziedziniec zamkowy zajeżdżały często wozy, naładowane towarami, do sklepu zamkowego spieszyły po towar gromady ludzi; sprzedawały w nim hrabianki Tarnowskie. Sklep ten normował ceny i zapobiegał zdzierstwu, żydzi bowiem zniszczeni wojną, odbijali sobie straty z całą bezwzględnością i w niesłychany sposób podnosili ceny na towarach, jakie mieli. Ze sklepu zamkowego rozwinął się następnie w Tarnobrzegu »Sklep Ligi Kobiet« pod przewodnictwem hrabiny Tarnowskiej.

W czasie pobytu Moskali, gdy szkoły nie były czynne, urządzona była w zamku szkółka dla dzieci z Dzikowa i Tarnobrzega. Liczba dzieci uczęszczających do szkółki dochodziła do 200. Najbiedniejsze okryła hrabina swoim kosztem. Szkółkę tę prowadził głównie bibljotekarz zamkowy, Michał Marczak, który niestrudzenie oddany był pracy dla dobra dotkniętej biedą ludności.

Towarzystwo im. Stanisława Jachowicza, prowadzące ochronkę dla dzieci z Tarnobrzega i Dzikowa, rozszerzyło swą działalność, tworząc w domu ochronki tymczasowy zakład dla sierót wojennych. Między

temi sierotami były najczęściej takie, których ojciec wzięty został na wojnę, a matka straciła życie wskutek grasujących chorób. W jesieni 1916 r. otwarty został zakład wychowawczy sierót wojennych w Mokrzyszowie pod Tarnobrzegiem w pałacu, ofiarowanym na ten cel przez hr. Tarnowską. Sprawą sierót z powiatu tarnobrzeskiego zajmował się gorliwie sędzia, Józef Chalcarz.

W czasach najcięższych roztoczył też nad dziećmi opuszczonemi troskliwą i skuteczną opiekę ks. Honorat Jedliński, gwardjan OO. Kapucynów w Rozwadowie, który wogóle niósł wtedy pomoc moralną i materjalną najuboższej ludności tego miasteczka i okolicy.

Zaczęła się też już w r. 1915 odbudowa zniszczonych miejscowości. Za staraniem Koła Polskiego w Wiedniu rząd austrjacki przeznaczył pewne kwoty na tymczasowe pomieszczenie bezdomnych ofiar wojny. Kwotę przeznaczoną na powiat tarnobrzeski rozdzielało starostwo za pośrednictwem Komitetów miejscowych w ten sposób, że kto przystąpił do wystawienia sobie pomieszczenia na zimę, otrzymywał zapomogę w kwocie 100 k. W ten sposób już przed zimą stanęła część pomieszczeń bardzo skromnych.

Nadto do odbudowy zniszczonych osiedli otwarty został w Tarnobrzegu osobny urząd, zwany »Ekspozyturą budowlaną«. W pierwszym roku prowadzono odbudowę doraźną, t. j., w miejsce spalonych osiedli budowano jeden długi budynek, w którym z jednego końca mieściła się izba mieszkalna z komorą, w dru-

gim zaś końcu mieściła się stajnia i chlewik, prócz tego budowano zaraz stodołę na pomieszczenie zbiorów. W następnych latach było zasadą, aby ludziom poszkodowanym przez wojnę odbudować wszystko i oddać — jak to mówią — klucz od budynku.

Dlatego magazyny Ekspozytury były zaopatrzone we wszystkie materjały budowlane, począwszy od drzewa, desek, cegły, skończywszy na dachówce, szkle, gwoździach. Brak materjałów był jednak znaczny, dużo kupowano w Czechach, Austrji, w Królestwie Polskiem. Za materjały wypłacała należytości »Centrala dla gospodarczej odbudowy Galicji we Lwowie«, zaś na miejscu wypłacano za robociznę i mniejsze ilości materjałów.

Największy ruch w odbudowie był w r. 1918. Działalność Ekspozytury została rozciągnięta i na powiat niżański. Utworzone były oddziały: w Radomyślu nad Sanem, Rozwadowie, Nisku, Rudniku. Każdy oddział posiadał własne magazyny materjałów budowlanych. Pracowało wtedy 3 inżynierów-techników, 5 budowniczych i robotnicy ukwalifikowani: cieśle, murarze, stolarze, których jednak było zamało, więc nie mogli nadążyć zamówieniom. Kierownikiem był inż. Adam Semkowicz.

W lutym 1916 r. przejeżdżali przez wsie i lasy spalone austrjacki minister spraw wewnętrznych ks. Hohenlohe, minister Galicji Morawski, namiestnik gen. Collard i przyrzekali dalszą pomoc państwa dla zniszczonych okolic.

O pomoc dla bezdomnych kołatał niestrudzenie u rządu wiedeńskiego poseł z tego okręgu hr. Zygmunt Lasocki.

Jednakże brak artykułów pierwszej potrzeby stawał się coraz dotkliwszy, drożyzna wzrastała przerażająco. W kwietniu 1917 r. cukier zastąpiony został saharyną, sprzedawaną po aptekach. Kawy nie można było dostać nawet na kartki z powodu zupełnego braku tejże.

W lipcu tegoż roku głód zaglądał coraz bardziej, nie można było kupić ani krup, ani mąki, ani ziarna, brak było tłuszczów, jak słoniny, smalcu, nie było skóry na obuwie i t. p. Na mocy rozporządzenia władz politycznych żandarmerja zabierała na potrzeby wojenne przedmioty mosiężne, jak klamki, dzwonki szkolne, dzwony kościelne i t. p.

W sierpniu 1917 r. 1 kg. mydła kosztował 25—35 k., ćwierć żyta z nowego zbioru 40—50 k., 1 l. mleka 1 k. (przed wojną 16—20 h.), jaje 30 h., 1 klg. słoniny, smalcu 12—14 k. i tłuszcz ten można było nabyć tylko pokątnie. Koszula kosztowała 30—40 k. (przed wojną 4 k.), ubranie męskie 250 k., a lepsze 600, 700 k. i więcej, para bucików 100—150 k.

*
*　　　*

Wśród tej ruiny gospodarczej i ogromnego zubożenia podnoszona była sprawa polska i spodziewano się przytem rozwiązania jej przez Austrję.

Rozwijała swoją działalność delegatura legjonów polskich na powiat tarnobrzeski i niżański, pomieszczona w kancelarji zamkowej w Dzikowie. Kierownikiem jej z ramienia N. K. N. był dr. Karol Adwentowski, prof. państw. szkoły realnej w Tarnobrzegu.

W Sandomierzu czynne było Biuro werbunkowe.

W styczniu 1916 r. odbyło się w budynku Rady Powiatowej w Tarnobrzegu zebranie, urządzone przez Powiatowy Komitet Narodowy. Na zebraniu przemawiał poseł Artur Hausner ze Lwowa na temat »Sprawa polska w chwili obecnej«. Wyrażał przekonanie, że po wojnie powstanie związek państw centralnych, w którym zniesione będą granice celne i przyznane najszersze swobody narodowe, że Polacy zyskają najwięcej, jeżeli Królestwo Polskie oświadczy się i czynnie wystąpi po stronie państw centralnych.

W czerwcu tegoż roku odbyła się w Tarnobrzegu staraniem Pow. Komitetu Narodowego i Koła Ligi Kobiet uroczystość odsłonięcia tarczy legjonów polskich. Po mszy św. polowej nastąpiło wbijanie gwoździ pamiątkowych do tarczy, która umieszczona była w ozdobnym kiosku, umyślnie zbudowanym na placu przed kościołem. Dochód z uroczystości przeznaczony był na fundusz inwalidów-legjonistów, oraz wdów i sierót po legjonistach.

5 listopada 1916 r. Austrja i Prusy ogłosiły niepodległość Królestwa Polskiego, które po wyparciu z niego Moskali było w ich rękach. Odbyły się z tego

powodu dziękczynne nabożeństwa po kościołach. Ogłoszenie to jednak nie dało jeszcze rzeczywistej niezależności Polsce i poza nabożeństwami przeszło bez silniejszego wrażenia.

Państwa centralne stały wtedy u szczytu potęgi. Padła pod ich ciosami Belgja i Serbja, armje ich wdarły się częściowo do Francji, Włoch i Rosji. W sierpniu 1916 r. wypowiedziała im wprawdzie wojnę jeszcze Rumunja, wnet jednak legła pokonana. Już w grudniu tegoż roku zdobyty został Bukareszt, stolica Rumuji.

W r. 1917 trwała wojna dalej ze zmiennem szczęściem. Szerzyła się już jednak niewiara w zwycięstwo państw centralnych i urzeczywistnienie przez nie niepodległości Polski.

W Austrji przejawiało się już od zeszłego roku niezadowolenie z rządów wojskowych. — W październiku 1916 r został zamordowany przez literata Fryderyka Adlera strzałami rewolwerowemi prezydent ministrów, hr. Stüergk. — W listopadzie tegoż roku umarł w 68 roku panowania cesarz Franciszek Józef I, do którego było wiele przywiązania wśród ludów Austrji, a nowy cesarz, Karol I., nie umiał do siebie podobnego przywiązania obudzić.

Widać było, że siła wojenna Austrji słabnie, brak żywności i głód wzmagał się z dniem każdym. Żołnierze zbiegali z szeregów wojennych i kryli się po domach, polach, lasach, gdzie mogli. Ludzie z litości ich żywili. Tworzyła się w ten sposób tzw. »zielona armja«.

Austrja i Prusy nie tylko nie myślały o prawdziwej niepodległości Polski, ale ograniczały Polaków w prawach, z których już korzystali, i dążyły do zniweczenia legjonów polskich, które walczyły po ich stronie.

Namiestnikami Galicji byli od r. 1915 nie Polacy, jak dawniej, ale generałowie Niemcy, najpierw Collard, po nim Diller, następnie w r. 1917 Huyn.

W lipcu 1917 został aresztowany na rozkaz Besselera, gen.-gubernatora w okupacji niemieckiej, dowódca I brygady legjonów polskich, Piłsudski, wraz z pułkownikiem Sosnkowskim.

Następnie legjoniści, którzy nie złożyli przysięgi, przepisanej przez władze austrjacko - pruskie, zostali zatrzymani: żołnierze w obozie jeńców w Szczypiórnie, oficerowie zaś w Benjaminowie pod Zegrzem.

W sierpniu tegoż roku legjoniści przeniesieni zostali z Warszawy do Przemyśla i tu w części wcieleni do armji austrjackiej i wysłani na front, przyczem oficerowie zostali zniżeni w randze.

Jak nieszczere było postępowanie Prus i Austrji w sprawie polskiej, pokazało się to najlepiej po pokonaniu przez nie Rosji. W lutym 1918 roku zawarły w Brześciu Litewskim pokój z Ukrainą, utworzoną z części dawnego państwa rosyjskiego. Układano się tam bez udziału delegacji polskiej i z ziemi polskiej wykrojono a oddano Ukrainie Chełmszczyznę i Podlasie

i w ten sposób dokonano niejako czwartego rozbioru Polski.

Takie zdradzieckie postąpienie Prus i Austrji poruszyło wszystkich Polaków. Wszędzie, jak Polska długa i szeroka, wyrażano oburzenie z tego powodu. Najsilniej objawiło się to 18 lutego 1918 w b. zaborze austrjackim. W dniu tym odbywały się wszędzie zgromadzenia i przeprowadzano uchwały przeciw gwałtowi, dokonanemu na Polsce. Ustała też wówczas wszelka praca w fabrykach, warsztatach, sklepach, urzędach, szkołach, na kolejach i pocztach, nawet w starostwach. Znać było, że cały naród odwraca się od Austrji.

Odbyło się też wtedy zgromadzenie w Tarnobrzegu. Ponieważ zebrało się dużo narodu z różnych warstw i żadna sala nie mogłaby wszystkich pomieścić, przeto zgromadzenie odbyło się pod otwartem niebem w Borku tarnobrzeskim. Zgromadziło się kilka tysięcy narodu z całego powiatu. Przemawiali przewodniczący zgromadzenia inż. Jan Bochniak, b. poseł Wojciech Wiącek, dyrektorka szkoły powszechnej Helena Weissowa i wszyscy wymownie i jednogłośnie potępiali nieuczciwe zachowanie się mocarstw zaborczych względem Polski. Naostatku poprosiłem i ja o głos i przemówiłem do zgromadzonych w te słowa: »Bracia i siostry! Łączę się razem z wami do ogólnego protestu i piętnuję jaknajmocniej zdradliwe postąpienie naszych zaborców w sprawie polskiej. Było to przed laty, że rząd austrjacki

przyznał mi odznaczenie, t. j., krzyż zasługi za długoletnie sprawowanie wójtostwa. Wówczas ja odznaczenie to przyjąłem, wierząc święcie w życzliwość Austrji dla narodu polskiego, i do dziś dnia je nosiłem. Skoro jednak do tego doszło, że ten sam rząd, który mi odznaczenie przyznał, wyrządza taką niesłychaną krzywdę narodowi polskiemu, że zamiast nam Polskę oddać, to ją jeszcze dzieli na mniejsze kawałki, przeto hańbą byłoby dla mnie dłużej takie odznaczenie nosić. Odrzucam je więc i zwracam temu rządowi, od którego pochodzi«. Przy tych słowach wobec całego zgromadzenia medal od kożucha oderwałem i wręczyłem przewodniczącemu zgromadzenia z prośbą o zwrócenie go do Wiednia. Przebieg zgromadzenia wywarł na zebranych wielkie wrażenie, wśród podniosłego nastroju uchwalono protest przeciw oderwawaniu Chełmszczyzny i Podlasia od Polski.

Skoro po tym wiecu wróciłem do domu, przybyło do mnie kilkanaście osób z pośród inteligencji i włościan i dziękowali mi za moje wystąpienie. Ja zaś oświadczyłem, że do takiego postąpienia jako Polak byłem obowiązany. Nazajutrz prosił mnie do siebie starosta i radził delikatnie, abym odrzucone odznaczenie napowrót przyjął, alem stanowczo odmówił. Później, gdy już państwo polskie powstało, dowiedziałem się, że krzyż zasługi złożony przeze mnie na wspomnianym wiecu, został oddany na Skarb Narodowy, na co otrzymałem pokwitowanie i co mnie

bardzo cieszyło, że choć drobną cegiełkę do tego Skarbu dołożyłem *).

*
*   *

Tymczasem w kraju i w całej Austrji wyczerpanie gospodarcze dochodziło do ostateczności, brak artykułów koniecznych do życia wszystkim dawał się we znaki, drożyzna szalała bez miary.

W pierwszej połowie 1918 r. ceny były następujące: ćwierć żyta 60 k., kilogram słoniny 25—35 k., jaje 40—50 h., litr mleka 2 k. 40 h., kilogram cukru pokątnie 10 k., ubranie męskie fabryczne 600—1.000 k., buciki męskie 200—500 k., szpulka nici pokątnie 15—25 k. (przed wojną 16 h.), paczka tytoniu na kartkę 3 k., pokątnie 7 k., kilogram mydła 40—50 k., litr nafty pokątnie 8—10 k.

W drugiej połowie 1918 r. ceny wzrosły tak, że za ćwierć żyta u gospodarzy płącono 100—200 k., za kilogram słoniny 40 k., za ubranie męskie 1.000—2.000 k. i więcej, za buciki męskie 500—1.000 k.

---

*) Order przesłany został z Tarnobrzega już po powstaniu Państwa Pol. do Narodowej Organizacji Kobiet we Lwowie (Sekcja zbiórki złota i srebra), ta zaś oddała go na Skarb Narodowy na podkład waluty polskiej za pokwitowaniem następującej treści:

„Wdzięczna Ojczyzna Ofiarodawcom". Nr. 2977, Lwów 22, IV 1922, Ministerstwo Skarbu. Komitet zbierania ofiar na Skarb Narodowy. — Jan Słomka nacz. gminy Dzikowa powiat Tarnobrzeg ofiarował na Skarb Narodowy 1 austr. srebrny krzyż zasługi z koroną. Delegat Ministerstwa Skarbu: Marja Demelówna.



Pomnik Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.

Pieniędzy papierowych było wszędzie poddostatkiem, płynęły one ze sprzedaży artykułów żywności, z zasiłków wojskowych i amerykańskich. Do roboty trudno było kogo nająć, młocek za dzień pracy zarabiał 30 k. i wikt.

Ale pomimo wrogiego stanowiska względem Polaków ze strony Prus i Austrji i zniszczenia legjonów, sprawa polska zyskiwała z dniem każdym na sile i znaczeniu po stronie państw koalicyjnych, tj., Francji, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Rosji, Anglji, Włoch, Japonji.

Po upadku caratu i Rosji powstaje w drugiej połowie 1917 r. armja polska w Mińszczyźnie jako I korpus polski pod gen. Dowborem-Muśnickim, złożona z żołnierzy, którzy wystąpili z armji carskiej.

Z armją tą starała się połączyć II brygada legjonów polskich, tzw. karpacka, żelazna, która po pokoju w Brześciu Litewskim przedarła się pod dowództwem Józefa Hallera przez front austrjacki w Galicji wschodniej. Armje te jednak zostały przez Prusaków w maju 1918 r. otoczone i zmuszone do złożenia broni.

W połowie 1917 r. organizuje się armja polska we Francji.

W jesieni tegoż roku państwa koalicyjne uznały Polski Komitet Narodowy, działający w Paryżu pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, za przedstawicielstwo Polski i z nim się układały w sprawie polskiej.

W styczniu 1918 r. ogłoszone zostało orędzie Wilsona, prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki

Północnej, który w 13 punkcie tegoż orędzia domagał się utworzenia niepodległego państwa polskiego, obejmującego wszystkie ziemie polskie, z dostępem do morza, z polityczną i gospodarczą niezawisłością, jakoteż nienaruszalnością obszaru, co miało być potwierdzonem przez traktaty międzynarodowe.

Wreszcie cała Koalicja ogłasza jako swoje żądanie niepodległość Polski.

Były to wydarzenia wielkie, decydujące o przyszłości narodu polskiego, naród jednak zmęczony wojną nie przyjmował ich z taką radością, jak na to zasługiwały.

Tymczasem w wojnie odwróciło się szczęście od państw centralnych, które od wybuchu wojny przez 3 lata przeważnie zwyciężały i szły naprzód albo utrzymywały się przy swoich zdobyczach. W lipcu 1918 r. poczyna się potężne uderzenie państw koalicyjnych na froncie francuskim. Niemcy chwieją się tam, cofają, — zbliża się ich pogrom.

Z państw walczących po ich stronie najpierw Bułgarja prosi o pokój i zawiera go we wrześniu 1918 r. Następnie w pierwszej połowie października Austrja i Niemcy, każde z osobna wysyłają noty do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Wilsona, godząc się na warunki pokojowe oparte na jego orędziu. W ten sposób wszystkie narody i państwa uznały orędzie Wilsona, a temsamem zjednoczenie i niepodległość całej Polski.

Wtedy też, tj., w październiku 1918 r. zatamowany został przez cesarza Karola I proces, jaki się toczył na Węgrzech w Marmarosz-Sziget przeciw legjonistom, którzy po pokoju w Brześciu Litewskim porzucili front bojowy austrjacki. Legjoniści uwolnieni wracają do domów.

Dnia 7 października 1918 r. Rada Regencyjna, ustanowiona w Warszawie przez Niemcy i Austrję i stojąca na czele Królestwa Polskiego, ogłosiła manifest, w którym między innemi mówiła: »Wielka godzina, na którą cały naród polski czekał z upragnieniem, już wybiła. — Zbliża się pokój, a wraz z nim, ziszczenie nigdy nieprzedawnionych dążeń narodu polskiego do zupełnej niepodległości. — Niech zabrzmi jeden wielki głos: »Polska Zjednoczona Niepodległa«.

W podobnym duchu ogłaszają odezwy: Koło posłów polskich w Galicji i Rada Narodowa na Śląsku austrjackim.

Dnia 28 października 1918 r. odbyło się w Krakowie zebranie posłów polskich do parlamentu austrjackiego pod przewodnictwem: Witosa, Skarbka, Tertila, Daszyńskiego i w uchwale swojej stwierdziło, że ziemie polskie, pozostające dotychczas w obszarze monarchji austrjackiej, należą do Państwa Polskiego i dla tych ziem stwarza się Komisję Likwidacyjną, złożoną z 23 posłów.

XII.

Upadek rządów austrjackich w Tarnobrzegu. Wiec 6 listopada 1918 r., „republika tarnobrzeska". Rozbrajanie posterunków żandarmerji. Obalanie urzędów gminnych. Napady na dwory i żydów. Udaremniona odsiecz Lwowa. Pierwsze wybory sejmowe. Ruch bolszewicki. Uspokojenie ludności. Wojna w r. 1920. Urzędy w Niepodległej Polsce. Pieniądz i ceny towarów. Stosunki gospodarcze: rolnictwo, przemysł, handel, kasy oszczędności i pożyczek. Życie gminne. Życie społeczne i polityczne. Szkolnictwo. Kościół. Rok 1927: Świętokradztwo, pożar Zamku w Dzikowie. Krzyż Zasługi.

Gdy na polach bitew następował pogrom państw centralnych i zbliżały się rokowania pokojowe, z których Polska miała wyjść jako państwo niepodległe, na ziemiach polskich panowały ciągle jeszcze państwa zaborcze. Ale czuć było coraz wyraźniej, że siła wojenna Austrji słabnie, brak było chleba, głód wzmagał się z każdym dniem, żołnierze uciekali z wojska, z szeregów, kryli się po lasach, polach, domach, gdzie kto mógł, ludność żywiła ich pokryjomu, znać było coraz mniejszą sprawność i wzrastające rozprężenie w wojsku, w starostwach i we wszystkich władzach państwowych.

Wreszcie w ostatnich dniach października 1918 r. nastąpił zupełny upadek Austrji. W Tarnobrzegu

upadek ten ujawnił się najjaskrawiej 31-go października. W dniu tym gromadziło się na rynku w Tarnobrzegu wielu dezerterów wojskowych, którzy mieli bączki (rozetki) austrjackie z czapek pozrywane, nie salutowali już, t. j., nie pozdrawiali swojej starszyzny i cichaczem opowiadali, że w innych miastach Galicji dokonywa się rozbrajanie wojsk austrjackich i że już jest po Austrji. Zgraja takich dezerterów napadła wówczas w mieście żandarma z Mokrzyszowa Jana Michalskiego, rozbroiła go i pobiła tak, że musiał szukać poratowania w szpitalu. Wieczorem tegoż dnia w czasie przedstawienia kinowego w sali »Sokoła«, nadjechał z Krakowa porucznik Jan Czopek z Sielca, a przerwawszy przedstawienie, ogłosił zebranym upadek Austrji i objęcie rządów w Krakowie przez Polaków. Publiczność przyjęła wiadomość tę z wielką radością.

W nocy utworzyła się już w Tarnobrzegu Komenda miasta, złożona z oficerów rezerwowych najstarszych rangą, majora Pawlasa i kapitana Starego. Nad ranem udali się oni do pułkownika austrjackiego Meinla, który wówczas ze swoim bataljonem kwaterował w Tarnobrzegu, i oznajmili mu, że go wraz z całym bataljonem uważają za rozbrojonego, co tenże przyjął do wiadomości i swoim ludziom oznajmił.

Ale ogół ludności o tych nadzwyczajnych wydarzeniach jeszcze nie wiedział. Gdy rankiem w dzień Wszystkich Świętych szedłem do kościoła, było cicho i ponuro, jakby każdy był we śnie. Kiedy zaś koło

8-ej godziny wracałem do domu i szedłem obok szkoły powszechnej, w której wówczas mieściły się kwatery wojska austrjackiego, spostrzegłem ruch niezwykły. Żołnierze wysypywali się z kwater, biegli koło mnie, wołając radośnie: »Do domu, do domu!« Na kwaterach porzucali bezładnie karabiny, amunicję, tornistry, a brali tylko swoje manatki i pędzili ku stacji kolejowej.

Nagle jakby z pod ziemi wyrosła polska młodzież uzbrojona, głównie studenci z tarnobrzeskiej szkoły realnej, którzy zajęli się rozbrajaniem do reszty wojska austrjackiego. Jak który żołnierz chciał powrócić do domu z bagnetem, czy innem uzbrojeniem, to go zatrzymywali na drodze, na stacji kolejowej i rozbrajali, odbierali mu też drugi mundur czy inne części okrycia. Nie pomogły tłumaczenia żołnierzy, że coś im jest potrzebne, że to ich własne rzeczy, — każdego puszczali z tem tylko, co miał na sobie. Do południa już nie było u nas żadnego żołnierza austrjackiego, a byli na kwaterach ostatni Niemcy. Osobom wojskowym i żandarmerji zrywano z czapek bączki, a przypinano orzełki polskie.

Nazajutrz dostałem zaproszenie na zebranie obywatelskie w Radzie powiatowej w Tarnobrzegu. Gdy tam przybyłem, zastałem kilkudziesięciu obywateli, wszyscy byli uradowani, witali się słowami: »Polska zmartwychwstała, mamy już Polskę!« Zaczęły się zaraz narady, aby usunąć do reszty rządy austrjackie, a zaprowadzić polskie. Uchwalono usunąć z urzędu dr. Kazimierza Federowicza, który był starostą w Tar-

nobrzegu od lipca 1917 r. i okazał się na tym urzędzie zbyt gorliwym sługą rządu austrjackiego, nieprzychylnym dla swoich. Mówiono o nim, że nie myślał o tem, by ludowi dobrze robić, by biedę jego łagodzić, by mu iść z pomocą choćby z tą urzędową według przepisów i rozporządzeń austrjackich, że utrudniał i opóźniał rozdział artykułów pierwszej potrzeby, jak cukier, mąka, nafta, a natomiast przeprowadzał bezwzględnie rekwizycję zboża i zubożał powiat, dopuszczał do tego, że w starostwie zalegało bardzo wiele nie załatwionych podań o zasiłki wojskowe i amerykańskie.

Starostę tego składano teraz z urzędu, postanowiono natomiast urząd ten powierzyć tymczasowo komisarzowi starostwa Eugenjuszowi Strzyżowskiemu, który uchodził za uczciwego urzędnika-Polaka. Do przeprowadzenia tych uchwał wybrano komitet, do którego weszli: Inż. Jan Bochniak, dr. Antoni Surowiecki, dr. Ryszard Urbanik, ks. Alojzy Serafiński, dr. Ernest Habicht, pełnomocnik dóbr dzikowskich, Wojciech Wiącek, Jan Słomka starszy, Adam Jamroż, konduktor meljoracyjny. Poszliśmy niezwłocznie do starostwa, a ponieważ Federowicza nie zastaliśmy, więc trzech członków (Urbanik, Wiącek i Jamroż) skierowało się do niego do domu i poprosiło go o przybycie do urzędu. Gdy przybył, inż. Bochniak imieniem komitetu przedstawił mu uchwałę zebrania obywatelskiego z poleceniem, że ma zaraz całe urzędowanie, akta, kasę i t. p. oddać komisarzowi Strzyżowskiemu. Na Fede-

rowiczu zrobiło to wielkie wrażenie, ale przyjął postanowienie to bez oporu w milczeniu, pożegnał się z nami i wyszedł z kancelarji, a my powierzyliśmy dalsze kierownictwo starostwa Strzyżowskiemu, czyniąc go za sprawowanie tego urzędu we wszystkiem odpowiedzialnym.

Tegoż dnia rano, Komenda miasta wezwała do siebie komendanta żandarmerji rotmistrza Friedla i oznajmiła mu, że całą żandarmerję uważa za rozbrojoną, a zarazem poleciła mu, ażeby komendę żandarmerji i cały inwentarz oddał por. Tomaszowi Dąbalowi, b. słuchaczowi praw, pochodzącemu z Sobowa w powiecie tarnobrzeskim, który był przysłany na to stanowisko przez gen. Roję z Krakowa. Po odebraniu komendy Dąbal aresztował rotmistrza pod zarzutem, że żandarmerja w jego okręgu strzelała nieprawnie do dezerterów, dopiero Komenda miasta uwolniła go na prośbę Friedlowej, poczem zaraz nazajutrz wraz z żoną wyjechał w asystencji Dąbala do stacji kolejowej, a stąd odjechał w strony rodzinne do Czech *).

Jednocześnie wspomniany Komitet obwieścił rządy polskie w sądzie, w urzędzie podatkowym, na poczcie i w innych urzędach, pozostawiając jednakże wszę-

---

*) Należy dodać, że dnia 1-go listopada 1918 r. zrana Komenda żandarmerji w Tarnobrzegu otrzymała od exponowanego oficera sztabowego w Przemyślu depeszę w języku niemieckim treści następującej: „W razie gdyby jakaś partja polska przyszła do tamtejszej komendy i zażądała rozbrojenia, należy bez rozlewu krwi dać się rozbroić, wszystkie podwładne posterunki o tem natychmiast zawiadomić“.

dzie dotychczasowych funkcjonarjuszów. I tak w jednym dniu zgasło tu panowanie austrjackie, a nastało polskie. Wszyscy urzędnicy, którzy byli uważani za rzetelnych i mających prawdziwie polskiego ducha, pozostali nadal na swoich stanowiskach*).

* * *

Z następnych wydarzeń na uwagę zasługuje szczególnie wiec, który odbył się w Tarnobrzegu w środę 6-go listopadada 1918 r. Na wiecu tym, urządzonym przy dniu targowym na rynku pod pomnikiem Bartosza Głowackiego, zgromadziły się wielotysięczne

*) Równocześnie Komitet wydał następującą drukowaną odezwę: „Do ludności powiatu tarnobrzeskiego. Rodacy! Wskutek zarządzenia Polskiej Komisji Likwidacyjnej, tutejszy Komitet Samoobrony Narodowej objął z dniem dzisiejszym naczelną władzę administracyjną w powiecie, władzę wojskową z rozkazu komendantanta sił zbrojnych Brygadjera Roji objęła tutejsza powiatowa Komenda wojsk polskich. — Jako naczelna cywilna władza w powiecie pozostawiamy nadal w mocy wszyskie obecnie istniejące urzędy. Od dziś dnia pełnią one swoje czynności imieniem Polskiego Rządu, do nich więc jak dotąd należy się zwracać we wszelkich sprawach tyczących się ich zakresu działania. — Witając Was jako obywateli wolnej, niepodległej i zjednoczonej Polski, wzywamy do rozwagi, spokoju i ładu. W imieniu Ojczyzny zaklinamy, byście karnym posłuchem rozkazów obecnej władzy dali dowód, że zmartwychwstała Polska ma w Was godnych siebie synów, żadnych niepokojów i zamieszek. W spokoju, powadze i cierpliwości oczekujcie chwili, w której polskie władze doprowadzą do końca budowę naszej państwowości. Niezgoda i brak karności zgubiły ongiś naszą Ojczyznę, niechaj obecnie zgoda, karność, jedność i miłość utrzyma Ją w mocy i sile. Tarnobrzeg, dnia 2-go listopada 1918 r. Powiatowy Komitet Samoobrony“.

tłumy ludności ze wszystkich stron powiatu i z różnych stronnictw. Po przemówieniach ks. Okonia i innych stwierdzono koniec Austrji i rządów austrjackich, koniec wpływów szlacheckich we wszystkich władzach i urzędach. Władzę miał objąć lud cały jako ogół, lud też miał tę władzę wykonywać przez swoich przedstawicieli w »Zjeździe powiatowym«, do którego gminy miały wysyłać delegatów, na 1000 mieszkańców jednego delegata. W ten sposób Zjazd ten miał się składać z około 150 członków, ale ponieważ było to ciało za duże, przeto wybrano potem komitet powiatowy z 60 członków, który następnie zmniejszony do 17-tu członków objął rolę Rady przybocznej starosty w Tarnobrzegu.

Na wiecu tym uchwalono także znieść w powiecie wszystkie rady gminne, wójtów, pisarzy gminnych, a wybrać na odnośne urzędy wszystkich nowych ludzi; uchwalono usunąć posterunki żandarmerji, a wprowadzić milicję gminną *).

*) O wiecu tym pomieścił krakowski „Naprzód" w Nrze 251 z dnia 10-go listopada 1918 r., na stronie 1-ej następującą notatkę: „Chłopi polscy ujmują władzę wojskową i cywilną w swe ręce". We środę 6-go w dniu targowym zebrała się w mieście zupełnie samorzutnie przeszło 30-tysięczna rzesza chłopska pod pomnikiem Bartosza Głowackiego. Po przemowie posła ks. Okonia, chłopów Rychla, Stadnika, Grzywacza, Zielińskiego i syna chłopskiego-oficera Dąbala wybrała przez aklamację swój zarząd powiatu, na którego czele stanęli chłop Grzywacz, adwokat Jaroszewski i chłop Zieliński. Lud wybrał i zamianował oficera Dąbala majorem i komendantem wojskowym powiatu i pułku strzelców

Od wspomnianego wiecu wysunął się tu w życiu politycznem na pierwszy plan ks. Eugenjusz Okoń, pochodzący z Radomyśla nad Sanem w tutejszym powiecie, który zaczął już wtedy zakładać swoje stronnictwo pod nazwą Chłopskie Stronnictwo Radykalne. Do niego zaraz w początku przyłączył się Dąbal i oni dwaj pociągnęli za sobą masy chłopskie, nawet poważniejszych i światlejszych gospodarzy.

Sławne stały się wiece, urządzane przez nich w Tarnobrzegu pod pomnikiem Bartosza Głowackiego, na których gromadziły się liczne rzesze ludności i padały najbardziej podburzające przemówienia przeciw panu-

---

ziemi sandomierskiej. Zniesiono Radę powiatową, ustanawiając „Zjazd“ delegatów wszystkich gmin, wyszłych z powszechnego wyboru. Złożono z poselstwa Dra Rosnera i hrabiów: Lasockiego i Tarnowskiego, wybierając za swych przedstawicieli poselskich ks. posła Okonia, chłopów: Wryka i Zielińskiego, a dla miast Dra Jaroszewskiego. Szefem sanitarnym dla obrony przed zarazą wybrano Dra Urbanika. Powzięto szereg radykalnych uchwał i odebrano dotychczasowemu komitetowi stańczykowskiemu władzę, co odbyło się we wzorowym porządku i bez zaburzeń. Wkrótce przybywa do Krakowa liczna deputacja do P. K. L. i generała Roji celem aprobowania uchwał i wyboru. Na odpowiedź tych władz czeka niecierpliwie, lecz zdecydowanie cały lud, tymczasem organizuje się i dla powzięcia stanowiska wobec odpowiedzi postanowił zebrać się jeszcze liczniej w następnym tygodniu. W razie odmownej odpowiedzi sytuacja stałaby się krytyczną wobec zdecydowanego stanowiska ludu".

Notatka powyższa z tego względu ważna, że nadała rozgłos wydarzeniom w powiecie tarnobrzeskim i odtąd zaczęła się upowszechniać nazwa „republiki tarnobrzeskiej".

jącemu dotychczas porządkowi społecznemu i politycznemu.

Wyłoniony z tych tłumnych wieców wspomniany Komitet powiatowy zbierał się następnie prawie codziennie na narady w budynku Rady powiatowej w Tarnobrzegu, której część opanował i starał się stąd, jako rada przyboczna starosty, rządzić powiatem. Gdy w pierwszej połowie listopada Polska Komisja Likwidacyjna w Krakowie zamianowała komisarzem powiatu, t. j., na urząd starosty, inż. Jana Bochniaka, komitet powiatowy nie chciał uznać tej nominacji, podnosząc, że inż. Bochniak będzie ulegał wpływom szlacheckim i całą wolność ludu zdepcze. Natomiast Komitet wysłał delegację do P. K. L. w Krakowie i domagał się zatwierdzenia na komisarza powiatowego Strzyżowskiego, który tymczasowo sprawował kierownictwo starostwa. Gdy zaś żądana nominacja nie nadchodziła, a przeciwnie Strzyżowski miał być przeniesiony do Kolbuszowy, Komitet powiatowy, oburzony tem, zamianował ze swego grona rządcą powiatu Stefana Grzywacza, gospodarza z Gorzyc. Ten zgłosił się do starostwa do objęcia urzędu, jednakże Strzyżowski, który pełnił jeszcze obowiązki starosty, oświadczył, że odda urzędowanie tylko na zarządzenie P. K. L. w Krakowie. Tak więc kierownictwo starostwa pozostało nadal w jego rękach.

Powiat uznawał więc nad sobą władzę Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie i jej rozkazom się się poddawał, ta zaś podlegała wówczas Radzie Re-

gencyjnej w Warszawie, jako zwierzchniej władzy państwowej *).

W tymże czasie jednak, t. j., w pierwszej połowie listopada, ks. Okoń pomijając wymienione władze, wysłał poufnie, jako prezes swojego stronnictwa delegację do Lublina, do tamtejszego Rządu ludowego z Daszyńskim na czele, celem złożenia mu wyrazów uznania, posłuszeństwa i wierności, a zarazem sprawozdania z powiatu, oraz po dalsze rozkazy polityczne**).

* * *

---

*) Rada Regencyjna rozwiązała się dnia 14-go listopada 1918 r., przekazując zwierzchnią władzę państwową Józefowi Piłsudskiemu. Ten sprawował tę władzę z początku jako Tymczasowy Naczelnik Państwa, aż do zebrania się Sejmu Ustawodawczego. Następnie Sejm uchwałą z 20-go lutego 1919 r. powierzył mu dalsze sprawowanie urzędu Naczelnika Państwa, aż do czasu uchwalenia Konstytucji, która dopiero określiła przepisy o organizacji naczelnych władz w Państwie Polskiem.

**) Według informacyj, otrzymanych od jednego z delegatów, delegację przyjął członek Rządu Lubelskiego, minister spraw wewnętrznych Thugutt, który wyraził radość z powodu powstania samodzielnej organizacji w powiecie tarnobrzeskim, przyrzekł pomoc dla niej i dał auto wojskowe z 12 żołnierzami z poleceniem aresztowania i dostawienia do Lublina tych, którzyby nie chcieli uznać Rządu Ludowego. W szczególności miał być aresztowany hr. Zdzisław Tarnowski. Minister zalecał przeprowadzić wszystko co dobre, praktyczne i demokratyczne, usuwać co austrjackie. Oświadczył, że po zbadaniu organizacji zastosuje ją w innych częściach Polski. — Delegacja była też u ministra wojny, gen. Rydza-Śmigłego, który dał Dąbalowi nominację na majora i przyrzekł pomoc do tworzenia armji w powiecie (1000 mundurów, 1000 karabinów i 6 armat).

Równocześnie ze zmianami w starostwie zaczęły się zmiany w urzędach niższych, więc rozbrajanie dotychczasowych posterunków żandarmerji i obalanie urzędów gminnych. Gdy zaś jedna władza upadła, a druga nie mogła się jeszcze ustalić, nastąpił rozstrój i zamęt, wzmogły się porachunki z przeciwnikami, napady, kradzieże, rabunki, mordy i t. p. A trzeba dodać, że kraj był wojną zniszczony i zubożony, ludność więcej niż przed wojną zepsuta, mnóstwo było wzajemnych zawiści, rozgoryczenia, co sprzyjało wzrostowi przestępczości.

Za czasów austrjackich, przed wojną i podczas wojny, bezpośrednimi przedstawicielami władzy państwowej po wsiach i miastach byli żandarmi, rozmieszczeni po posterunkach. Na wsiach żandarm był wielkim panem, na widok jego każdy prawie dygotał, bo żandarm mógł każdego zapisać na karę, skoro zauważył naprzykład, że na podwórzu brak porządku, że na dachu zły komin, że pies nieuwiązany, oset w polu i t. p.; mógł zaaresztować każdego podejrzanego, skuć w razie oporu, a nawet bronią obezwładnić. Straszny był jego gwer najeżony bagnetem i szabla u boku. W starostwie czy w sądzie była przedewszystkiem wiara temu, co żandarm donosił, obwiniony nie mógł się wobec żandarma wymówić, musiał ponieść karę.

W czasie wojny żandarmi pilnowali, ażeby każdy w oznaczonym terminie szedł do wojska, do okopów, tropili dezerterów wojskowych, przeprowadzali rekwizycje, zabierając po wsiach ostatni kęs żywności.

Z okolicznych smutnie się wtedy zaznaczył posterunek żandarmski w Chmielowie, gdzie komendantem był Józef Grzybek, do ostatka wielki służbista austrjacki. Gdy jaki żołnierz zatrzymał się tam dzień dłużej na urlopie, to go zaraz aresztowano, odstawiano do pułku, a przytem bito niemiłosiernie. Kiedy zaś w r. 1917 i 1918 panował straszny głód w wojsku i coraz więcej ludzi nie chciało iść na wojnę, żandarmi tutejsi wyłapywali gorliwie dezerterów i dwóch przytem zabili. I tak w czerwcu 1918 obstąpili w Cyganach dom, w którym było kilku dezerterów, a gdy ci zaczęli uciekać, zastrzelono jednego z nich, Panka, na płocie. W trzy dni potem odbył się pogrzeb zabitego ze szpitala w Tarnobrzegu przy bardzo licznym udziale ludności ze wsi pobliskich. W parę tygodni potem żandarm Lewandowski wyśledził Wojciecha Rytwińskiego, że się ukrywa przed wojskiem w domu rodzicielskim i chciał go aresztować. Ale żołnierz schronił się na dach domu. Żandarm wezwał go do zejścia na dół, wołając: »Złaź, bo cię zastrzelę jak psa!« Żołnierz jednak z bojaźni przed karą nie schodził, — żandarm strzelił i Rytwiński spadł z dachu, jak wróbel, wobec matki i nadbiegających ludzi. Do pogrzebu manifestacyjnego żandarmi nie dopuścili.

Gdy się wojna skończyła i żołnierze z frontów prawie w paru dniach przybyli masowo do domów, zwrócili się odrazu z całą nienawiścią i żądzą zemsty przeciw posterunkom żandarmerji. Wtedy siła i władza żandarmów upadła zupełnie. Żandarmów, którzy

byli przez ludność znienawidzeni i w jej opinji źle zapisani, rozbrajano i bezwzględnie usuwano.

Od pierwszej chwili upadku rządów austrjackich w powiecie przychodziły ze wszystkich okolicznych posterunków żandarmerji do powiatowej komendy w Tarnobrzegu wezwania o pomoc, bądźto z powodu planowanych rabunków, bądź też z powodu dokonywanych napadów na posterunki. Zaczęli też na posterunek w Tarnobrzegu z całego powiatu przybywać żandarmi pobici, obandażowani, przebrani w cywilne ubrania, szukając tu schronienia i ratunku, — inni kryli się przed niebezpieczeństwem, gdzie który mógł.

Wtedy też przyszła pomsta na żandarmów w Chmielowie. Na posterunek tamtejszy uderzyli żołnierze, którzy z frontu przybyli, urlopnicy i dezerterzy, ale żandarmi uszli na stację kolejową. Komendanta Grzybka dogoniono jeszcze w drodze na stację, rozbrojono i własną jego bronią pobito. Następnie na stacji przytrzymano żandarma Lewandowskiego. Tam go zaczęto bić, a gdy podczas bicia usuwał się przed atakującymi, został już mało żywy wepchnięty do dołu napełnionego wodą i zarośniętego trzciną. Ponieważ był silnej budowy, więc w wodzie przyszedł do siebie, ukrył się w trzcinie i w nocy uszedł w niewiadomym kierunku. Trzech żandarmów, którzy się ludności niczem nie narazili, puszczono w spokoju.

W Jastkowicach postrzelono w koszarach wachmistrza Zamhirę, dano do niego dwa strzały w brzuch

i tak ciężko rannego przywieźli do szpitala do Tarnobrzega.

Rozchodziły się wieści, że na posterunkach opuszczonych przez żandarmerję znajdowano wielkie zapasy żywności, jak zboża, mąki, cukru i artykułów pierwszej potrzeby, jak płótna, skór, nafty, co wszystko żandarmi gromadzili dla siebie i swoich rodzin z krzywdą najbiedniejszej ludności. Wieści takie podsycały żądzę zemsty ku żandarmom.

Do takiego załatwiania się z postojami żandarmskiemi przyczynił się też w dużym stopniu Dąbal, który, otrzymawszy komendę powiatową, rozesłał zaraz posłańców swoich z wezwaniem, aby austrjackie posterunki żandarmerji rozbrajać i tworzyć nowe z miejscowych żołnierzy, przybyłych z wojny. Tak więc obalano dotychczasowe posterunki bezpieczeństwa publicznego i wprowadzano t. zw. milicję wiejską do pilnowania porządku. Milicje te w każdej gminie powstały, złożone jednak były z ludzi nieobznajomionych ze służbą policyjną, przyczem niektórzy z nich nie cieszyli się dobrą opinją co do swej moralności.

Dąbal był komendantem żandarmerji przez parę tygodni, po nim zaś objął komendę kapitan Stanisław Borowiec, przysłany z Krakowa, i ten dopiero zaczął obmyślać środki bezpieczeństwa w powiecie.

Zaczęto więc na nowo obsadzać posterunki żandarmerji. Obsadzono je w ten sposób, że na każdy posterunek przydzielano jednego b. austrjackiego żandarma jako komendanta i kilku nowoprzyjętych. Kilka ta-

kich posterunków zostało ponownie rozbrojonych przez ludność niezadowoloną z nich, — na ich miejsce jednak dawano innych ludzi.

*
* *

Dużo też nienawiści i złości gromadziło się wśród ludności w czasie wojny przeciw urzędom gminnym i wójtom. Urzędy gminne bowiem obowiązane były sporządzać wykazy, ile kto ma oddawać zboża do magazynów rządowych, wykazy uprawnionych do otrzymywania kart na chleb i inne artykuły spożywcze, wykazy poborowych do wojska i t. p. Niejeden czuł się pokrzywdzonym przez urząd gminny, szemrał i narzekał na wójta, odpowiedzialnego za urzędowanie gminne, a kobiety głośno odpowiadały: »Niech tylko nasi mężowie z wojny powrócą, to wójtowi dobrze stołka podstawimy«.

Z drugiej strony urząd gminny musiał wykonywać polecenia władz przełożonych, szczególniej starostwa, wójt musiał tak tańcować, jak mu starosta zagrał. Najgorzej było wójtom, którzy nie skończyli jeszcze 50 lat i byli w wieku poborowym, bo jeżeli taki wójt czego nie wykonał, starosta groził mu wysłaniem do wojska do okopów. Pogróżki takie padały nieraz na miesięcznych sesjach wójtowskich. Ja wprawdzie takiej kary nie bałem się, bo miałem już w owym czasie przeszło 70 lat, ale rozkaz władzy zwierzchniej był rozkazem i musiało się go wykonać.

Zaraz po ustaniu wojny zaczęło się w całym powiecie jak na komendę obalanie i usuwanie dotychczasowych urzędów gminnych i doraźne wprowadza-

nie nowych. W Dzikowie dokonało się to w niedzielę 16-go listopada 1918 r. w następujący sposób:

Po południu tego dnia byłem — jak zwyczajnie — na nieszporach. Gdy wracałem z kościoła, zauważyłem już z daleka przed kancelarją gminą, która wtedy mieściła się w sąsiedztwie mojego domu, gromadę ludzi, złożoną przeważnie z kobiet, a w mniejszej części z parobczaków, którzy świeżo z wojny powrócili. Ci mieli przeważnie pałki w rękach. Gdy się do nich zbliżyłem, odezwały się drwiące głosy: »Wójcie, tak się długo w kościele modlicie, a my tu na was czekamy«. Mówię do nich: »Dlaczegoście mnie naprzód nie zawiadomili, że macie sprawę do mnie, to jabym na was czekał. Jaki macie interes? Chodźcie do kancelarji, na ulicy nie będziemy sprawy załatwiać«. Weszli hurmą do kancelarjl, która w jednej chwili tak się wypełniła, że zaledwie mógł jeden koło drugiego stanąć, a trochę nawet zostało za drzwiami. Ja znalazłem się w środku tego zgromadzenia, ściśnięty zewsząd, — wyglądałem, aby oświadczyli, czego chcą. Zaczęli ze mną jakby protokół, żądając bezładnie usprawiedliwienia się z wójtowstwa, ale nie chcieli dużo czasu na to tracić, bo i wieczór zachodził, a jak zauważyłem, najpilniej było kobietom kolację gotować i krowy doić. Wtedy wystąpił organista Zagaja, który całej gromadzie przewodził, i krzyczy donośnym głosem: »Czy chcecie starego wójta zrzucić, bo się już dosyć naurzędował!« Zerwała się wrzawa i pisk nie do opisania: »Chcemy, chcemy!« »Kogo chcecie wybrać na

wójta«, zapytuje w dalszym ciągu: »Jan Stala, Jan Stala!« Znowu wrzask i zgiełk, jak na targu. Zebranie zamieniło się w zgraję, w której każdy starał się wrzeszczeć najgłośniej. Doszedłem w końcu do głosu i mówię: »Skoro mnie z wójtostwa zrzucacie i nowego wójta obieracie, więc ja także nie chcę być waszym przedstawicielem i jutro urzędowanie swoje złożę, t. j., oddam księgi gminne, akty i rachunki nowemu wójtowi i będzie wam już dobrze«. Zgodzili się na to po targach ze mną i między sobą (niektórzy chcieli urzędowanie zaraz przejąć) i na tem się zgromadzenie zakończyło.

Na drugi dzień rano oddałem uporządkowane akta i rachunki gminne nowemu wójtowi, który przyszedł do kancelarji z kilkoma mężami zaufania. Nie wiedziałem jednak, co powie na to Starostwo, że urzędowanie zdałem tak nielegalnie obranemu wójtowi, czy nie spotka mnie z tego powodu nagana. Zaraz więc poszedłem do Starostwa i rzecz całą przedstawiłem. Na to komisarz Strzyżowski, zastępujący starostę, oświadczył, że w Dzikowie skończyło się jeszcze nie najgorzej, bo w niektórych gminach — jak miał doniesienia — nietylko pousuwano wójtów, ale jeszcze pobito. W takich okolicznościach — mówił — niema innego wyjścia, jak usunąć się od urzędowania. Wyszedłem więc stamtąd zupełnie uspokojony.

Tak więc po 40 przeszło latach urzędowania przestałem być wójtem w Dzikowie. W czasie wojny, gdy urzędowanie to było ciężkie i wójtostwa trzymali się

tylko młodsi ludzie, chroniąc się w ten sposób przed służbą wojskową, ciągle byłem zajęty myślą, żeby się uwolnić od tego ciężaru. Wiedziałem jednak, że nie da się to tak łatwo przeprowadzić, bo muszą być wybory gminne, muszą być zatwierdzone przez starostwo, musi nastąpić formalne zdanie urzędowania nowej zwierzchności i t. p., a tu niespodziewanie stało się zupełnie inaczej, bo w kilku minutach dokonało się wszystko.

W całym powiecie wówczas z chwilą zrzucenia panowania austrjackiego, tj., od 1 listopada 1918 r. nastąpił podobny przewrót w gminach tak, że nie ostał się prawie żaden stary wójt przy urzędowaniu. Przewrotu tego dokonała przeważnie młodzież, która z wojny powróciła. Poobalano dotychczasowe zwierzchności gminne z radami, a na ich miejsce potworzono komitety gminne. Starostwo chcąc wprowadzić jakiś porządek, komitety te ulegalizowało, mianowicie przewodniczących komitetów mianowało komisarzami rządowymi (wójtami) i zaprzysięgło ich, nadto przydało im rady przyboczne, które miały w sprawach gminnych głos stanowczy.

Stosunki te jednak nie okazały się trwałe. W Dzikowie na przykład nowy wójt urzędował do 13 września 1919 r., więc niespełna rok, przyczem miał wiele kłopotu i został z wójtostwa zrzucony. Potem był wójtem Jan Ordyk i urzędował do 30 lipca 1921. W tym dniu odbyły się nowe wybory gminne. W przeciągu więc niecałych trzech lat obierano trzech wójtów,

Ale mieszkańcom gminy już się te ciągłe wybory sprzykrzyły, więc w r. 1921 przed wyborem nowej zwierzchności gminnej część radnych zwróciła się do mnie z oświadczeniem, że postawią mnie jako kandydata na wójta i będą na mnie głosować, a prosili, żebym kandydaturę przyjął. Podziękowałem im szczerze za to zaufanie, powiedziałem jednak, że nie mogę już obciążać się takim obowiązkiem. Zatem wybrano mnie jako najstarszego z Rady przewodniczącym i proszono, abym od siebie postawił wniosek, co do wyboru zwierzchności gminnej. Uczyniłem to i według moich wniosków wybrano wójta, jego zastępcę i trzech asesorów. Trzecim z kolei wójtem po mnie został obrany Jan Dąbek i urzędował całe sześciolecie. Dnia 5 stycznia 1928 r. odbył się wybór nowej zwierzchności gminnej i wójtem został wybrany syn mój, Wojciech Słomka.

*
*   *

Nie skończyło się jednak na rozbrajaniu żandarmerji i obalaniu urzędów gminnych, ale zwrócono się też przeciw dworom i żydom.

Co do dworów zaczęło się od tego, że chłopi wybiegali do lasów dworskich, upatrywali, jakby ściągnąć drzewo na opał lub na materjał, albo podkradali się do dworskich stogów siana. Ci, którzy z wojny lub niewoli wrócili, zaczęli między sobą porozumiewać się, jakby się bronić, gdyby do wsi przybyło wojsko (jak mówiono legjony), celem dochodzenia kradzieży i karania przestępców. Obliczali, ile we wsi jest karabinów i granatów ręcznych, układali się z innemi

wsiami, żeby się w razie potrzeby wzajemnie wspomagać, uważali, że mają dość siły, żeby w danym razie wojsko rozbroić i ze wsi wygnać. Zmowy takie szerzyły się szczególnie we wsiach lasowskich: Jeziórku Żupawie i innych okolicznych.

W styczniu 1919 r. rozpoczęły się groźne napady na dwory. Głośnym stał się rabunek w Mokrzyszowie, gdzie 8 stycznia ludność miejscowa, nawet wójt gminny, rzucili się na spichlerz dworski hr. Tarnowskiego i rozebrali zboże, zmagazynowane tam przez rząd austrjacki, a także zboże dworskie. Gdy się wieść o tym rabunku rozeszła po okolicy, nadciągnęła ludność do Mokrzyszowa ze Stalów, Żupawy, Jeziórka, Grębowa i w nocy tegoż dnia rabowała ziemniaki z kopców, uprowadzała bydło i konie ze stajen dworskich. Była to straszna noc, ludzie rozdzierali cudzą własność, jak wilki, bydło zarzynali na miejscu i mięsem się dzielili, nawoływali się wśród ciemności, zapomnieli o Bogu i przykazaniach Bożych. Dopiero oddział wojska polskiego położył kres temu, zrabowane zboże i bydło poodbierał i winnych aresztował.

Do masowych rabunków doszło też w Budzie Stalowskiej, Motyczu, Grębowie.

W Grębowie był napad na dwór Dolańskiego 10 stycznia wieczór. Dnia tego chłopi z Jeziórka, Żupawy i innych wsi okolicznych rozbroili posterunek żandarmerji w Grębowie, rządcę i strażników folwarcznych, obrabowali pałac w Grębowie, zabrali

2 stogi siana (około 50 fur). Równocześnie ograbiono żydów w Grębowie.

W większym jeszcze stopniu ponowił się tam napad następnego wieczoru. Rzucili się wtedy na folwark grębowski chłopi z Jamnicy, Zapolednika, Krawców, Wydrzy, rabując zboże, siano, inwentarz żywy, uprząż na konie, wozy i t. d. Czeladź folwarczna nie tylko nie ratowała mienia dworskiego, ale sama brała udział w rabowaniu. Pono nawet starsi i zamożniejsi gospodarze rabowali.

Zwrócono się też przeciw żydom, znienawidzonym szczególnie w czasie wojny za uprzywilejowane stanowisko, zarówno w wojsku, gdzie służba ich kończyła się najczęściej na wywczasach i dochodach w kancelarjach, jako też w domu, gdzie kosztem pozostałych lichwą i zdzierstwem dorabiali się majątków.

Żydzi widząc, że położenie zaczyna być niepewne, zaczęli starać się o broń, przyczem rozchodziły się wieści, że zbroją się przeciw chłopom, co bardziej jeszcze podniecało do wystąpień przeciwżydowskich.

Chłopi ze wsi okolicznych, zwłaszcza młodzież, przychodzili do miasta, chodzili tu kupami, niepokojąc żydów. Ale te pierwsze rozruchy zostały łatwo rozegnane. Czyniono starania, by zapobiec dalszym zamieszkom, wzmocniono w mieście milicję i postoje wojskowe.

Do pierwszych większych rozruchów przeciwżydowskich w powiecie przyszło 13 listopada 1918 r. w Rozwadowie, gdzie z powodu zbiegowiska i pobicia

żyda, milicja z wojskiem użyła broni, przyczem zabito człowieka. Wówczas tłum cały rzucił się ku milicji i wojsku, którzy ratowali się ucieczką. Miasto zostało bez żadnej opieki. Tłum wdarł się do magazynu wojskowego, rozebrał broń i rzucił się do rabunku. Od południa do wieczora zrabowano szereg sklepów i nie było nikogo, ktoby temu przeszkodził. Dopiero z sąsiednich miast przybyło wojsko na pomoc i salwą w powietrze rozpędziło plądrujących.

W styczniu 1919 r., gdy rabowano dwory w Mokrzyszowie i Grębowię, zanosiło się też na atakowanie Tarnobrzega. Chłopi z Jeziórka i Żupawy, uzbrojeni w karabiny, pały, widły ruszyli do Tarnobrzega, przybyli do Stalów, gdzie chcieli przybrać większą siłę, tam jednak pokręciły się im plany, stracili otuchę i zawrócili do domów. W parę dni potem rozeszła się znowu wieść, że ma być atak na Tarnobrzeg. Wojsko przygotowało się do odparcia napadu, rozpuściło patrole poza miastem w stronie stacji kolejowej, przygotowywano karabiny maszynowe, zarządzono pozamykanie sklepów. Jednakże nie przyszło wtedy do żadnego napadu.

Wreszcie pospolitemi stały się różne kradzieże, rabunki, nocne napady, morderstwa. Z tego rodzaju zbrodni najohydniejszą popełniano w Skowierzynie, gdzie w nocy z 10 na 11 grudnia 1918 r. w zwierzęcy sposób zamordowano młodego zarządcę dworu Klimkowicza i jego żonę. Z powodu rozstroju władz sprawcy morderstwa nie zostali ukarani, chociaż po-

szlaki zbrodni były dość wyraźne. Nie było bezpieczeństwa mienia ni życia, zapanowała niepewność, co przyniesie najbliższy dzień.

*
* *

W tym czasie, kiedy rozbrajano żandarmerję, obalano urzędy gminne i brak było spokoju i porządku, powiat nie mógł wziąć silniejszego udziału w walce z Rusinami, toczącej się wtedy koło Lwowa. Komendę organizującego się wojska polskiego w Tarnobrzegu objął z ramienia Dowództwa Okręgu Generalnego Dąbal, który był komendantem żandarmerji. Nawoływał on ludność do tworzenia pułku sandomierskiego pod sztandarem Matki Boskiej Dzikowskiej na odsiecz Lwowa i wydał w tym celu gorącą odezwę*), sam jed-

---

*) Odezwa ta brzmiała: „Obywatele-Polacy! Do broni! Naród — Chłop i Robotnik polski wzywa obrony i pomocy przeciw mordom i grabieży rozbestwionej dziczy hajdamackiej! Bezbronne dzieci polskie giną z rąk siepaków rusińskich! Świętokradztwo! W kościołach leje się krew bezbronnych synów Polski! Ci męczennicy narodu wzywają od Nas pomocy! Bracia! Czy pozwolicie na to, by dzicz rusińska, tchórzowskie zgraje i bandy z namowy łajdackich Prusaków i Niemców mordowały okrutnie niewinne dzieci, starców i kobiety polskie?! Nie! Wstydem byłoby opuszczać ich dzisiaj! Przestańmy partyjnych waśni! Do czynu! Na Boga! Dajmy im pomoc, a rusiński podły bandyta, jak zobaczy naszych Wiarusów-Mazurów z Ziemi Sandomierskiej, idących pod sztandarem Cudownej Matki Boskiej Dzikowskiej na pomoc Swym bezbronnym braciom Polakom, Chłopom i Robotnikom podda się i ukorzy! Żołnierze! Przelewaliście krew za naszych wrogów, a dziś pozwolilibyście ginąć Waszym Braciom rodakom!?!! Wzywam Was w Imię Boga i Ojczyzny stawajcie w szeregi! Niech żyje dyktator Piłsudski!

nak za tem wezwanie mnie poszedł. Zaczął uchylać się z pod rozkazu Władz wojskowych i rzucił się jawnie do polityki wywrotowej, występując, jako kandydat na posła do sejmu wraz z ks. Okoniem. Na zgromadzeniach występował w mundurze wojskowym oficerskim i w czapie cywilnej, chłopskiej. Został więc wkrótce usunięty z komendy powiatowej wojska polskiego, a jego miejsce zajął podpułkownik Wróblewski z pułku podhalańskiego.

Dowództwo Generalne ogłosiło wówczas ogólny, przymusowy pobór do wojska wszystkich byłych żołnierzy austrjackich. Pobór ten jednak szedł leniwie, gdyż było powszechne przemęczenie wojną. Przytem Dąbal jeździł wtedy po wsiach i uprawiał politykę przeciwrządową, namawiając ludzi, aby nie szli do wojska. Za robotę taką został zawezwany przez władzę wojskową do raportu i ze służby wojskowej zwolniony.

Ostatecznie nie poszły stąd posiłki do Galicji wschodniej. Zamiast iść na odsiecz Lwowa, wojsko musiało się zająć uspokajaniem powiatu. Jedynie z Rozwadowszczyzny odszedł stosunkowo znaczny transport zboża, dostarczonego przez tamtejszą ludność dla Lwowa.

*
* *

Wśród takich stosunków w powiecie ogłoszone zostały dekretem Naczelnika Państwa z dn. 28 listo-

---

Do broni! Wasz Rodak chłop Tomasz Dąbal, kapitan Wojsk Polskich. — Ochotnicy zgłoszą się natychmiast w Komendzie W. P. w Tarnobrzegu! Pobór zaczyna się od 18 listopada 1918 r. — Po przeczytaniu odezwę rozlepić lub podać dalej!“

pada 1918 r. wybory do Sejmu Ustawodawczego w Warszawie. Powiat tarnobrzeski wraz z niżańskim, kolbuszowskim i mieleckim stanowił jeden okręg wyborczy Nr. 44 i miał wybrać sześciu posłów. Główna Komisja Wyborcza tego okręgu była w Tarnobrzegu, a przewodniczącym jej był Józef Chalcarz, naczelnik sądu w Tarnobrzegu.

Były to pierwsze wybory sejmowe w niepodległej Polsce: powszechne, równe, tajne, bezpośrednie, stosunkowe, wyborcą był każdy obywatel państwa, zarówno mężczyźni jak i kobiety, którzy ukończyli 21 lat.

W okręgu tutejszym zgłoszono 8 list, które razem zawierały 32 kandydatów na posłów. Od początku najsilniejsza agitacja rozpętała się za listą Nr. 2, wystawioną przez ks. Okonia. Na liście tej znajdowali się na pierwszych miejscach: ks. Eugenjusz Okoń, Franciszek Krempa, b. poseł z czasów austrjackich, Tomasz Dąbal. Za listą tą odbywały się liczne zgromadzenia, — w samym Tarnobrzegu odbywały się wielokrotnie na rynku pod pomnikiem Bartosza Głowackiego. Zgromadzenia, urządzone przez inne stronnictwa były rozbijane, uniemożliwiane było wygłaszanie odmiennych przekonań politycznych. Doszło do tego, że gdy w klasztorze OO. Dominikanów w Tarnobrzegu czytany był list pasterski biskupów Polski, dający wskazówki, jakich katolicy mają się trzymać w czasie wyborów, powstały krzyki: »Precz z księdzem z ambony!« tak, że kaznodzieja zeszedł z ambony i wyniósł z kościoła Najśw. Sakrament, co zro-

biło na ludności wielkie wrażenie. Gdy zaś w Czytelni mieszczańskiej w Tarnobrzegu odbywało się zebranie obywatelskie, podburzona gromada ludzi, uzbrojona w pałki, napadła na Czytelnię i zebranie rozpędziła. Wobec takiej agitacji ze strony ks. Okonia, Dąbala i ich zwolenników wszystkie stronnictwa polskie w okręgu zawarły związek wyborczy i występowały razem jako jedna grupa.

Gdy przyszło do wyborów w dn. 26 stycznia 1919 r., udział wyborców w głosowaniu był wielki, w niektórych gminach głosowali wszyscy uprawnieni. W całym okręgu wyborczym na 119.000 uprawnionych, głosowało 96.000. Z tego na listę Nr. 2 padło 75.000 głosów, zaś na 4 stronnictwa, które utworzyły związek wyborczy okrągło 15.000 głosów. Pozatem 5.000 głosów otrzymała lista żydowska. Wobec tego z listy Nr. 2 wybrani zostali Ks. Okoń, Krempa, Dąbal, nadto chłopi Jan Sudoł i Wojciech Marchut, nieznani w pracy publicznej. Związek wyborczy zdołał przeprowadzić tylko jednego posła, którym został inż. Kędzior Andrzej, — przepadli zaś tacy kandydaci jak zasłużony poseł do parlamentu wiedeńskiego Zygmunt Lasocki, którego w tych wyborach najgwałtowniej zwalczano, jak ks. Stanisław Wolanin i inni.

*
* *

Wkońcu stycznia 1919 r. uspokoiło się nieco, ale spokój był pozorny. Można było wyczuć, że wszystko burzyło się wewnątrz i czekało sposobności, ażeby wybuchnąć. Przytem we wszystkich podżeganiach,

rozruchach i rabunkach widać było wyraźny ruch bolszewicki.

Podżegacze wskazując na dwory, mówili, że wszystko jest chłopskie, do chłopów należy, trzeba to zabrać. Zachęcali, żeby chłopi na wiosnę orali pańskie grunta dla siebie. Buntowali ludzi, żeby się wojska nie bali, do wojska nie szli, opowiadali o czerwonej gwardji. Mówili, że »krakowskie wojsko«, i »rząd krakowski«, tj., Polska Komisja Likwidacyjna, już przydeptana, zapowiadali przyjście bolszewików. Wzywali do zabijania przeciwników, bo sądów niema. Jednego nauczyciela wymieniano jako komisarza powiatowego w razie zaprowadzenia rządów bolszewickich.

Ludność zaopatrzona była z czasów wojny w broń wszelkiego rodzaju, zwłaszcza w karabiny wojskowe i w rewolwery. Tworzyły się uzbrojone bandy (czerwone gwardje), które zmuszały spokojną część ludności do łączenia się z sobą. Takie bandy powstały w Jeziórku, Żupawie, Stalach w Kępiu Zaleszańskiem.

Za podburzającą robotę przeciw panującemu porządkowi społecznemu i państwowemu aresztowano w Tarnobrzegu dwóch urzędników państwowych, rusinów. Jednakże wobec wielkiego wzburzenia władze miejscowe były bezsilne, nie mogły najczęściej wystąpić przeciw jawnym podżegaczom i pozostawiały ich w spokoju.

Że w powiecie objawił się taki ruch bolszewicki, złożył się na to szereg przyczyn. Przedewszystkiem przyczyniło się do tego złożenie starosty z urzędu,

gdyż osłabiło to władzę starostwa i spowodowało dalsze zmiany na tym urzędzie.

Po Federowiczu kierownikiem starostwa był Strzyżowski, przeniesiony na zarządzenie Pol. Komisji Likwidacyjnej do Kolbuszowy, przez parę dni kierował tym urzędem inż. Jan Bochniak, wreszcie od końca listopada 1918 r. dr. Benedykt Łącki, obaj z ramienia Pol. Komisji Likwidacyjnej w Krakowie.

Ten ostatni, znany działacz polityczny w Tarnobrzeskiem, sekretarz hr. Lasockiego, chcąc mieć za sobą wolę ludności, po objęciu urzędu przedstawił swoje poglądy polityczne na radzie przybocznej, której przewodniczył ks. Okoń i Dąbal, a następnie na szerszym zjeździe powiatowym. Zaznaczał, że uznaje zmianę stosunków zaistniałych w powiecie z powodu ogłoszenia niepodległości; uznaje, że lud przyszedł do władzy i tylko lud ma postanawiać i rządzić, jego zaś rzeczą jako urzędnika jest słuchać ludu i zlecenia tegoż ludu wykonywać. Zaznaczał, że poczynił pewne zarządzenia, żeby ludności zniszczonej wojną przyjść z pomocą w szczególności zaś, ażeby nie ściągać z ludności tej podatków a natomiast ściągać je od obszarników, kupców i ludzi, którzy dorobili się majątku na wojnie. Wówczas ks. Okoń oświadczył, że najlepiej będzie dr. Łąckiego zatwierdzić, i w ten sposób został on zatwierdzony w swoim urzędzie.

Usunięcie starosty zachęcało ludność do obalania urzędów gminnych i rozbrajania żandarmerji, nowe zaś urzędy gminne i posterunki żandarmerji, złożone

z ludzi nieprzygotowanych do spełnienia swych czynności, niefachowych, nie wspierały władzy w powiecie.

Do roznamiętnienia ludności i rozruchów przyczyniły się też w wysokim stopniu zgromadzenia i robota polityczna ks. Okonia i Dąbala, którzy nie przebierali w środkach, wzburzyli ludność do ostatnich granic i nienawiść między warstwami społecznemi, drzemiącą w duszach ludzkich, rozpalili do czerwoności. Przytem Dąbal, jak się później okazało, był z przekonań komunistą.

Ruchowi bolszewickiemu sprzyjało i to, że w powiecie jest dużo ludzi bezrolnych i posiadaczy karłowatych gospodarstw, a z drugiej strony są wielkie obszary dworskie. W całym bowiem powiecie na 114.000 morgów ogólnego obszaru gruntów, 78.000 morgów (w tem 56.000 lasów) należy do dworów, t. j., do dziesięciu właścicieli obszarów dworskich, a tylko 36.000 morgów przypada na drobne gospodarstwa, których w powiecie jest 14.000. Przytem brak jest fabryk, czy innych przedsiębiorstw. Ludność więc spragniona ziemi i pozbawiona zarobku łatwo szła na lep haseł bolszewickich, z któremi wielu zetknęło się już w niewoli rosyjskiej.

Do rozdrażnienia ludności i rozruchów przyczyniał się też w dużym stopniu brak artykułów pierwszej potrzeby, jak soli, cukru a szczególnie nafty, które nie dochodziły w odpowiedniej ilości z powodu trudności komunikacyjnych. Produkty te jednak otrzymywali z pominięciem sklepów właściwych pokątni han-

dlarze i sprzedawali je po wygórowanych cenach. Do starostwa więc zachodziły wciąż gromady ludzi, domagając się sprawiedliwego rozdziału wymienionych artykułów. Ludność w pierwszym rzędzie mściła się na handlarzach żydach, rabując ich i bijąc.

Wreszcie robotę bolszewicką ułatwiało to, że powiat tarnobrzeski styka się z b. zaborem rosyjskim, zwłaszcza z Lubelszczyzną, skąd przyjeżdżali wysłańcy bolszewizmu rosyjskiego, przeważnie żydzi. Oni to rozpuszczali wiadomość, żeby do wojska nie iść, pożyczki państwowej nie składać, bo niema żadnego państwa polskiego i takiego nigdy nie będzie. Rozporządzali przytem większemi kwotami pieniężnemi.

Położenie w państwie było wtedy bardzo ciężkie: Polska nie miała jeszcze ustalonych granic, w Małopolsce wschodniej toczyły się krwawe walki z Rusinami, od południa groziła wojna z Czechami, w Warszawie rządy często się zmieniały i nie posiadały odpowiedniej siły. W powiecie tutejszym nie znać było jeszcze rządów stolicy a jedynie rozpościerała tu swoją władzę Pols. Komisja Likwidacyjna z Krakowa, (gdzie naczelnikiem Wydziału administracyjnego był Zygmunt Lasocki) i Dowództwo Okręgu Generalnego Kraków, z gen. Roją na czele.

*
* *

Mimo wszystko, mimo sprzysiężenia się na powiat tarnorzeski tylu sił wywrotowych, ruch bolszewicki nie zwyciężył. Stało się tak głównie dzięki temu, że ogół ludności zachował w sercu wiarę w Boga

i przykazania Boże, pragnął mieć własne państwo i dla przeważnej części narodu wstrętne były praktyki bolszewickie, połączone z rabunkami, grabieżą cudzej własności i mordami. Tych zaś, którzy skłonni byli do bolszewizmu, na których już nie miał wpływu ani Kościół ani cywilne władze państwowe, uspokojono siłą przy pomocy żandarmerji i wojska.

Do powiatu przybyła lotna kompanja żandarmerji pod komendą por. Makowskiego i tu tak długo pozostawała, aż doprowadzono do porządku i spokoju. Żandarmerja powiatowa i lotna, posiłkowane przez oddziały wojskowe, przeszły kolejno cały powiat od wsi do wsi i przeprowadzały rewizje, zwłaszcza tam, gdzie tworzyły się bandy zbrojne i dopuszczano się rabunków. Przy rewizjach odbierano zrabowane cudze mienie i ukrytą broń, — a z powodu masowych przestępstw winnych karano na miejscu doraźnie przy użyciu chłosty. Winni otrzymywali 25—50 kijów na tyłek. W ten sposób karano bądź jednostki, bądź gminy. Niektórych przestępców aresztowano i oddano sądowi obwodowemu w Rzeszowie do ukarania. Ogółem aresztowano za kradzieże, rabunki i napady na dwory około 350 ludzi*).

---

*) Podnoszono skargi, że sprowadzona żandarmerja i wojsko dokonywała egzekucji bezwzględnie, bijąc jednych za rabunki, innych, by wydali broń i wyjawiali winnych, oraz rekwirując żywność dla siebie. Opowiadano, że w ten sposób zostało ukaranych 4.000 chłopów, a kilkunastu zabito. Trudno sprawdzić, ile w tych zarzutach jest prawdy.

Poprzednio już zajęto się pilniej Dąbalem, który jawnie podburzał ludność do gwałtów. Poczęto go lepiej śledzić i wnosić skargi na niego do prokuratorji w Rzeszowie, aż wreszcie postanowiono go aresztować. Gdy jednak komendant lotnej żandarmerji udał się w nocy do Sobowa, celem dokonania aresztowania, już tam Dąbala nie było, gdyż przed kilku godzinami umknął do Sandomierza. Jak się okazało, jeden z oficerów, który wiedział o rozkazie aresztowania, powiadomił o tem Dąbala, tak, że ten zdołał uciec i występował dalej w okręgu jako kandydat na posła wraz z ks. Okoniem.

W początku stycznia 1919 r. został aresztowany po wiecu w Baranowie ks. Okoń. Aresztowano go za wywołanie zaburzeń publicznych i pod zarzutem zdrady stanu i osadzono w więzieniu w Rzeszowie, skąd uwolniono go po kilku tygodniach, gdy został wybrany posłem.

W tych czasach najniespokojniejszych, głośnych pod nazwą »republiki tarnobrzeskiej«, komendantem powiatowym żandarmerji w Tarnobrzegu był kapitan Borowiec, który przetrwał na tem stanowisku do jesieni 1919 r. Wtedy został przeniesiony pod naciskiem Dąbalowców, którzy zyskali na znaczeniu i wpływach, gdy Dąbal został posłem.

Po tem wzburzeniu, jakie panowało w ostatnich miesiącach 1918 r. i w pierwszych 1919 r. następowało powoli uspokojenie. Nie było już masowych grabieży. Często jednak rozchodziły się wieści o mniej-

szych rabunkach, jak np. w Sulichowie, gdzie trzech uzbrojonych rabusiów napadło gospodarza, zabrało mu gotówkę i pobiło, albo w Gorzycach, gdzie paru drabów w mundurach wojskowych napadło na gospodę Stefana Grzywacza; związali go i zabrali 10.000 k.

*
* *

Rok 1920 stał się groźnym i pamiętnym z powodu wojny bolszewickiej. Gdy wyprawa na Kijów zakończyła się klęską i nastąpił odwrót armji polskiej, niektóre oddziały cofającego się wojska polskiego przybyły w sierpniu pod Tarnobrzeg i rozkwaterowały się w Dzikowie i wsiach okolicznych. Przybywało też tu wiele rodzin urzędniczych, uciekających ze wschodniej Małopolski przed najazdem bolszewików.

Jednakże w chwili największego niebezpieczeństwa naród ocknął się z odrętwienia, porwał się do obrony przed wrogiem. Przedewszystkiem młodzież pospieszyła pod broń dla odparcia nieprzyjaciela. Zapał powszechny ogarnął także tutejszą okolicę.

Najpierw kilkudziesięciu z młodzieży szkolnej zgłosiło się do szeregów ochotniczych i wyjechało do obozu w Rzeszowie. Następnie hr. Zdzisław Tarnowski własnym kosztem wystawił oddział ochotników. Do oddziału tego pospieszyli oficjaliści dóbr dzikowskich, młodzież włościańska z Dzikowa i mieszczańska z Tarnobrzega, a jako pierwszy ochotnik stanął 18-letni syn hrabiego, Artur. Prawie połowę oddziału stanowiła kawalerja.

Uroczyste pożegnanie odbyło się w niedzielę 25 lipca po nabożeństwie w kościele O. O. Dominikanów. W kilka dni potem odjechał najpierw oddział piechoty do obozu w Rzeszowie, następnie konny oddział ochotników do 8 pułku ułanów w Krakowie. Oba oddziały odprowadzone były na stację i żegnane przez tłumy ludności.

Gdy taki zapał budził się wszędzie, pewnem się stawało, że naród potrafi się obronić, że nie dopuści do utraty świeżo odzyskanej niepodległości. Rychło też nastąpiło zwycięstwo. Dnia 15 sierpnia odparto bolszewików pod Warszawą, a zwycięstwo to zapisano w historji jako »cud nad Wisłą«. Za tem poszedł pogrom bolszewików i cofanie się ich na całej linji.

Po zakończeniu tej wojny zaszedł dla Polski szereg ważnych i radosnych wydarzeń, które wzmacniały państwo zewnętrznie i wewnętrznie. Dnia 18 marca 1921 został podpisany w Rydze pomyślny traktat pokojowy z Rosją, na podstawie którego ustalone zostały wschodnie granice Polski, — uznane w dwa lata potem także przez główne państwa koalicyjne. W dniu 20 marca 1921 odbył się na Górnym Śląsku plebiscyt, po którym określona tam została granica między Niemcami i Polską i znaczna część tego bogatego kraju dostała się Polsce. Dnia 17 marca 1921 r. uchwalona została konstytucja, która kładła fundamenty pod ustrój państwowy Polski. W tymże czasie zawarte zostały z Francją i Rumunją przymierza, które wzmacniały pokój i bezpieczeństwo Polski.

Od tego też roku zaczął się ustalać w Polsce coraz więcej spokój i porządek, okazywały się coraz wyraźniej dodatnie strony z odzyskanej niepodległości państwowej.

*
* *

Urzędy pozostały przeważnie takie, jakie były za czasów austrjackich lub tylko niewielkim uległy przeinaczeniom. Utrzymało się więc starostwo, jako powiatowa władza administracyjno-polityczna, — powiat zaś tarnobrzeski włączony został do województwa lwowskiego.

Pozostał bez zmiany sąd powiatowy w Tarnobrzegu, położony w obwodzie Sądu okręgowego w Rzeszowie i Sądu apelacyjnego w Krakowie. Ze sądem złączone jak dawniej areszty. Pozostał nadal notarjat i urząd ewidencyjny podatku gruntowego. Liczba adwokatów wzrosła do 9, w tem 5 chrześcijan i 4 żydów.

Dawniejszy c. k. inspektorat podatkowy przemianowany został na Urząd Skarbowy Podatków i Opłat Skarbowych, któremu przydzielono wymiar wszelkich podatków i należytości. Dawniejszy c. k. Urząd podatkowy przekształcony na Kasę Skarbową, której pozostał pobór wszystkich należytości państwowych. Kontrolę nad dochodami Skarbu Państwa, zwłaszcza nad monopolami (spirytusem, tytoniem, solą, zapałkami) sprawuje Inspektorat i Oddział Kontroli Skarbowej, podległy Urzędowi Akcyz i Monopolów w Rzeszowie. Wszystkie zaś wymienione urzędy skarbowe

podlegają Izbie Skarbowej we Lwowie (dawniej c. k. Krajowa Dyrekcja Skarbu).

W miejsce austrjackiej c. k. Komendy żandamerji powstała w r. 1919 Powiatowa Komenda Policji Państwowej, której podlega 16 posterunków.

Rada Szkolna Powiatowa (dawniejsza c. k. Rada szkolna Okręgowa) i Inspektorat szkolny powiatowy wydzielone zostały ze starostwa na samoistne organizacje urzędowe, podległe Kuratorjum Okręgu Szkol-Lwowskiego.

Urząd pocztowo-telegraficzny rozszerzony został w czasie wojny przez oddział telefoniczny.

Rozszerzoną została w czasie wojny także stacja kolejowa w Tarnobrzegu po przedłużeniu linji kolejowej z Tarnobrzega — Nadbrzezia do Ostrowca.

Utrzymała się w Tarnobrzegu bez zmiany Sekcja konserwacji publ. robót meljoracyjnych, mająca za zadanie obwałowanie i regulację rzek, osuszanie zbyt nawodnionych obszarów i t. p. Sekcja ta obejmuje powiaty tarnobrzeski, niżański i kolbuszowski i podlega tymcz. Wydziałowi Samorządowemu we Lwowie a następnie Ministerstwu Robót Publicznych w Warszawie.

Z dawniejszych instytucyj użyteczności publicznej pozostała Kasa Chorych, powołana do świadczeń swoim członkom w czasie choroby i rozszerzająca coraz więcej swoją działalność.

Z nowych urzędów utworzonych za czasów polskich wymienić należy przedewszystkiem Urząd Ziem-

ski, który powstał w r. 1920 i obejmuje swoją działalnością powiat tarnobrzeski i niżański.

Nowym urzędem jest też Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, którego głównem zadaniem jest przymusowe ubezpieczenie od ognia. W Tarnobrzegu znajduje się inspektorat tego Zakładu.

W niepodległem państwie polskiem utrzymał się jeszcze przez 10 lat, t. j., do r. 1928 dawny samorząd powiatowy, a więc Rada powiatowa z Wydziałem powiatowym, który w owym czasie pod przewodnictwem Seweryna Dolańskiego rozwijał bardzo różnorodną i pożyteczną działalność. Pod zarządem Wydziału powiatowego prowadzona była w dalszym ciągu Powiatowa Kasa Oszczędności; Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy, utworzony w r. 1923 w miejsce dawnego Powiatowego Biura Pośrednictwa Pracy; powiatowa szkółka drzewek owocowych w Miechocinie na obszarze 10-morgowym, darowanym po wojnie przez hr. Z. Tarnowskiego, celem dostarczania ludności w powiecie szlachetnych drzewek owocowych po umiarkowanych cenach. Wydział powiatowy doprowadził do założenia w r. 1928 ludowej szkoły rolniczej, która w ciągu rocznej nauki ma dawać młodzieży włościańskiej niezbędne wiadomości do prowadzenia małego gospodarstwa rolnego; szkoła ta powstaje w Mokrzyszowie pod Tarnobrzegiem, w ośrodku rozparcelowanego tam folwarku. Wspierał też materjalnie Zakład Sierocy w Mokrzyszowie, założony i prowadzony głównie kosztem hr. Tarnowskich.

Wydział powiatowy dążył również gorliwie do podniesienia rolnictwa i hodowli bydła w powiecie, a Rada powiatowa dała gwarancję powiatu na 150.000 zł. dla zbudowania spółkowej rzeźni w Dębicy, która ma wyrabiać na wysyłkę do Anglji boczki wieprzowe. Powiat łożył znaczne fundusze na cele sanitarne, utrzymując 4-ech lekarzy okręgowych: w Baranowie, Grębowie, Nadbrzeziu i Radomyślu i przyczyniając się do opłacenia 25 akuszerek egzaminowanych. Także Ochotnicze Straże Ogniowe znajdowały opiekę w Wydziale powiatowym. — Najwięcej zaś wydawał powiat na drogi, bo już prawie $^2/_3$ tego, co szło na drogi w normalnych czasach przed wojną. Toteż budowa nowych dróg postępowała szybko naprzód, a za parę lat wszystkie gminy będą miały szutrowane dojazdy do dróg powiatowych względnie wojewódzkich.

*
* *

Za pieniądze służyły dalej papierowe korony austrjackie, nie drukowano już jednak nowych, ilość ich pozostawała tasama. Ceny towarów utrzymywały się na razie takie, jakie były w chwili upadku Austrji i tylko powoli podnosiły się.

W styczniu 1920 r. ceny towarów pierwszej potrzeby były następujące: ćwierć żyta 250—300 k., za pszenicę płacono 2 razy tyle, ćwierć ziemniaków 50—80 k., a nawet 100 k. 1 klgr. słoniny 50—60 k., jaje 2 k., buciki męskie 600—2000 k., koszula męska 150—250 k., sąg drzewa miękkiego z dostawą i zrąbaniem 400—600 k.

Wówczas na początku 1920 r. nastąpiła wymiana koron austrjackich na marki polskie, przyczem korona liczona była za 70 fen. Nie poprawił się jednak przez to pieniądz w Polsce, ale przeciwnie wartość marki obniżała się bardziej niż korony i ceny szły w górę z zawrotną szybkością.

W sierpniu 1920 r. płaciło się za kilogram słoniny 120 mk, za litr mleka 6 mk, jaje 2 mk, za buciki męskie 1000 mk, robotnik brał dziennie 100 mk i dostawał podwieczorek.

W październiku 1921 r. kilogram słoniny kosztował 1500—1800 mk, ćwierć żyta 3000 mk, pszenicy 4000—4500 mk., ziemniaków 700—800 mk., koszula 4500—9000 mk., buciki sznurowane 10.000—20.000 mk., robotnik od kopania ziemniaków otrzymywał 300 mk. i obiad.

W grudniu 1922 r. płacono za kilogram słoniny 4500—9000 mk., ćwierć żyta 8000 mk., pszenicy 14000 mk., ziemniaków 4000—5000 mk, litr mleka 400—500 mk., jaje 150 mk., buciki sznurowane 40.000—50.000 mk.

Papierowe marki polskie, puszczane w obieg bez miary, traciły coraz bardziej na wartości. Kto sprzedał coś i nic za to zaraz nie nabył, tylko pieniądze zatrzymał przy sobie, ponosił dotkliwą stratę. Wielu takich, którzy sprzedali dom, czy pole, czy coś z inwentarza żywego, a potem trzymali pieniądze w domu lub złożyli w kasie na procent, straciło zupełnie majątek i zostało biedakami. Inni natomiast, którzy wtedy

śmiało zaciągali pożyczki i coś kupowali, bardzo się bogacili.

Pieniędzy była ogromna masa, trzeba je było nosić w teczkach i torbach; pugilaresy, portmonetki wyszły zupełnie z użycia. Za towary na potrzeby domowe płacono tysiącami, miljonami a wkońcu miljardami. Urzędnicy pobierali pensję dwa razy w miesiącu, 1-go i 15-go, gdyż marka na początku miesiąca miała zupełnie inną wartość niż przy końcu.

Ceny szalały bezmiernie. We wrześniu 1923 r. były takie: za ćwierć żyta płaciło się 75.000—85.000 mk., pszenicy 160.000—200.000 mk., ziemniaków 25.000 mk., kilogram słoniny 80.000 — 100.000 mk., litr mleka 3.000—5.000 mk., ser wiejski 18.000—30.000 mk., gęś 200.000 mk., kamaszki męskie 600.000—1,000.000 mk.

Wreszcie w styczniu 1924 r. płacono: ćwierć żyta 6,000.000—7,000.000 mk., kilogram słoniny 5,000.000 mk., litr mleka 250.000—300.000 mk., jajko 150.000—200.000 mk., ubranie męskie fabryczne 60,000.000—250,000.000 mk., sąg drzewa gałązkowego z dostawą 53,000.000 mk., robotnicy na dzień pracy 1,000.000—2,000.000 mk.

Wtedy na początku 1924 r. wprowadzony został złoty polski i nastąpiło wycofanie marek polskich z obiegu. Przy tej wymianie złoty równał się 1,800.000 mk. Z dniem 1 lipca 1924 r. marka przestała być prawnym środkiem płatniczym, tj., ustał obowiązek przyjmowania jej w rozrachunku pomiędzy ludnością. Pozostałe u ludności marki polskie wymieniane były

na złote jeszcze przez kasy państwowe do 31 maja 1925 r.*).

* * *

Jednakże pod względem gospodarczym kraj się podnosił. — Po powstaniu Państwa Polskiego trwała w dalszym ciągu odbudowa osiedli, zniszczonych w czasie wojny. Prace te były prowadzone przez Powiatowe Biuro Odbudowy pod kierownictwem inż. Kazimierza Kulczyńskiego. Zmniejszały się jednak coraz bardziej z powodu braku funduszów, a w r. 1922 ustały prawie zupełnie.

Przedewszystkiem dźwignęło się z upadku rolnictwo. Po zakończeniu wojny światowej wiele ziemi leżało odłogiem, brak było chleba i w trzech pierwszych latach istnienia państwa polskiego z Ameryki przychodziła mąka dla wyżywienia ludności i zboże na zasiew.

W następnych jednak latach pola niezagospodarowane szybko znikły, wszystka ziemia była pod uprawą i Polska miała dosyć własnego chleba. Również ho-

---

*) Marka polska wprowadzona została do obiegu w okupacji niemieckiej rozporządzeniem gen. gubernatora Besselera z dn. 13 grudnia 1916 r. Z chwilą powstania państwa polskiego przejęta została przez władze polskie, następnie dekretem Naczelnika państwa wprowadzona została zmiana banknotów markowych, które zamiast dawnych podpisów i objaśnień władz okupacyjnych otrzymały podpisy władzy polskiej. W dniu 13 lutego 1919 r. sejm powziął uchwałę, że wydawanie marek polskich następować może po uprzedniem zezwoleniu sejmu. Wzrastające coraz więcej zadłużenie Skarbu Państwa powodowało wypuszczanie marek polskich w coraz większej ilości.

dowla inwentarza żywego wróciła prędko do stanu przedwojennego.

Ta poprawa w rolnictwie nastąpiła głównie dzięki pracowitości i zapobiegliwości ludu włościańskiego i właścicieli dworów, a przyczyniło się też do tego Okręgowe Towarzystwo Rolnicze, które obejmowało powiat tarnobrzeski, a było częścią Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego w Krakowie. Towarzystwo Rolnicze w Tarnobrzegu, wspierane przez Wydział powiatowy i Małopolskie Towarzystwo Rolnicze, prowadziło w tym czasie bardzo wszechstronną działalność: utrzymywało inspektora rolniczego, prowadziło pólka doświadczalne nawozowe i pastwiskowe, doświadczenia z odmianami zbóż i ziemniaków, obory zarodowe i związki włościańskie rasy czerwono-polskiej, mleczarnie związkowe, spółki maszynowe, spółki ubezpieczeń bydła od wypadków, parodniowe kursy rolnicze i paromiesięczne kursy gospodarstwa kobiecego i t. p. — Na czele Towarzystwa Rolniczego w Tarnobrzegu stał Seweryn Dolański, który w r. 1927 powołany został na prezesa całego Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego.

Do podniesienia stanu gospodarczego w powiecie dążyły też inne organizacje, jak: Towarz. Pszczelarskie, Spółka zbytu bydła i trzody chlewnej, powstała w r. 1926.

*
*   *

Przemysł, który za czasów austrjackich traktowany był nieżyczliwie i był bardzo nikły, a w powiecie tarnobrzeskim prawie go nie było, — teraz dopiero za-

czął się rozwijać. Powstały różne przedsiębiorstwa i zakłady przemysłowe, które ludziom dają zarobek i państwu płacą podatki.

Przedewszystkiem odbudowano i uruchomiono wszędzie w powiecie gorzelnie, zniszczone w czasie wojny. Uruchomiono też browar dzikowski, który był w czasie wojny nieczynny. Puszczona została znowu w ruch cegielnia parowa hr. Zdzisława Tarnowskiego w Chmielowie, obliczona na wyrób 10 miljonów cegieł rocznie. Podobną cegielnię uruchomił baron Götz-Okocimski w Dzierdziówce.

Z nowych zakładów przemysłowych powstała dachówczarnia w Chmielowie, Parowa Fabryka Stolarska, należąca do polskiej spółki Biedroński, Lang, Mortka, która czasem zatrudniała kilkuset robotników. Powstało wiele nowych jak i odbudowanych po wojnie tartaków, z których największe w Chmielowie, Budzie Stalowskiej, Kępie Rzeczyckiej, Rozwadowie.

W Chmielowie powstała wielka fabryka przetworów rolniczych, mająca przerabiać głównie ziemniaki na mąkę ziemniaczaną i płatki. — Powstały młyny parowe, których przed wojną wcale nie było, na przykład Dolańskiego w Grębowie, spółkowy w Sielcu, duży młyn w Rozwadowie, Skopaniu, Tarnobrzegu. Z młynów okolicznych poza powiatem na uwagę zasługuje młyn parowy w Chorzelowie w powiecie mieleckim, wybudowany według najnowszego systemu amerykańskiego, puszczony w ruch w r. 1927. Miele on na dobę 15 ton zboża, 12 robotników zmienia się co 8 godzin. Jest

własnością hr. Tarnowskiego z Chorzelowa. — W ostatnim roku powstała fabryka wody sodowej, założona przez Franciszka Mortkę w Dzikowie.

Rozwija się też przemysł koszykarski. Powstały warsztaty koszykarskie w Dzikowie, Miechocinie, Wielowsi. Przemysł ten ma tu dobre warunki rozwoju, gdyż powiat tarnobrzeski położony jest nad kilkoma rzekami, zarośniętemi wikliną i mogą nią być obsadzone nieużytki, nie nadające się pod uprawę zbóż. Uprawa zaś wikliny bardzo się opłaca, więcej niż uprawa zboża. Przytem uruchomienie tego przemysłu nie wymaga dużych wkładów, praca może być wykonywana w domach, nie w budynkach fabrycznych, przyrządy nie są liczne i nie są zbyt kosztowne. Ludność zaś może w nim znaleźć dużą część zarobków, których obecnie brak. Świadczy o tem wielki przemysł koszykarski w sąsiednim powiecie niżańskim, tj., w Rudniku, skąd już przed wojną mało ludzi wyjeżdżało do obcych krajów na zarobek, bo mieli go u siebie, a wyroby ich słynęły po całym świecie.

Utrzymały się wszystkie dawniejsze polskie warstaty rzemieślnicze, a nadto przybyły nowe, których przed wojną w Tarnobrzegu nie było, jak dobry introligator Stefan Kantor i zegarmistrz Jan Serafin.

Dźwiga się przemysł budowlany, który był w zupełnym zastoju po wybuchu wojny światowej. Z każdym rokiem buduje się coraz więcej domów mieszkalnych, w Tarnobrzegu dochodzi do własnych domów

wiele rodzin urzędniczych. W ten sposób zaspokojony został głód mieszkaniowy.

* * *

Wzrósł bezsprzecznie handel chrześcijański. W samym Tarnobrzegu powstały w czasie wojny i za czasów polskich następujące handle polskie: Składnica Kółek Rolniczych, Składownia tytoniu, Bazar Brodkiewicza, sklep korzenny Franciszka Babuli, handle towarów mieszanych Leona Babuli, Czermińskiej, Wolańskiej, restauracje Murzyna i Chruścickiej, cukiernia Rączkowskiego, masarnia Jajkiewicza, Zderskiego, Wydry, skład apteczny (drogerja) Golasa, skład broni, połączony z pracownią mechaniczną Żarowia, przytem dobrze rozwijają się założone przed wojną: Spółka handlowo-rolnicza »Gleba« z filjami w Grębowie, Baranowie i Majdanie Kolbuszowskim, księgarnia i handel przyborów kancelaryjnych K. Szpilki, piekarnie Aducha, Barnata, Gaja. Handel owocami, któremi przedtem zajmowali się wyłącznie żydzi, przechodzi coraz więcej w ręce chrześcijańskie, przyczem rozpowszechnia się w okolicy wyrób win owocowych. Widzi się też coraz więcej, zwłaszcza w dni targowe, że gospodarze i gospodynie same sprzedają produkty swego gospodarstwa, a nie wyręczają się w tem żydami. Przybywa coraz więcej straganów chrześcijańskich na rynku.

Należy zaznaczyć, że handle chrześcijańskie są przeważnie lepiej prowadzone niż żydowskie i już na pierwszy rzut oka można je odróżnić od żydowskich, gdyż odznaczają się zazwyczaj większą czystością

Pierwszy Wydział Czytelni Mieszczańskiej w Tarnobrzegu, założonej w r. 1894.



J. Kolasiński M. Szelągiewicz K. Karakiewicz L. Nedbał Fr. Świerk
J. Hołyński Dr. A. Surowiecki J. Lang

i porządkiem wewnątrz i zewnątrz, przytem więcej w nich rzetelności i uczciwości kupieckiej. Niesłuszne więc jest twierdzenie, że jedynie żydzi stworzeni do handlu, że żydom się należy handel pozostawić, bo Polacy nie nadają się do tego, że nie umieją sobie w handlu radzić. Owszem bez żadnej przesady można powiedzieć, że handle polskie przewyższyły odpowiedniego rodzaju handle żydowskie i powinny zachęcić nas do tem gorętszego zajęcia się handlem.

W rękach żydowskich pozostało dotychczas wyłącznie rzeźnictwo i handel mięsem wołowem, to też jest powszechne narzekanie na ten handel, na brak dobrej wołowiny, — a jatki żydowskie z tem mięsem przedstawiają się gorzej, niż masarnie prowadzone przez chrześcijan.

Dopiero w ostatnich czasach za wzorem handlów polskich i żydzi zaczynają staranniej i czyściej swoje handle urządzać.

Z rozwojem handlu chrześcijańskiego pozostaje w związku nabywanie realności przez chrześcijan w mieście. Dotychczas nabyli w Tarnobrzegu w rynku domy: Chruściel, Brodkiewicz, Babula Fr., Zderski, Rączkowski, Jajkiewicz, Wydro. Domy te zostały odrestaurowane, odnowione i wyróżniają się dodatnio wśród domów żydowskich w rynku.

Wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju handlu w Tarnobrzegu miałoby odbudowanie ratusza. Przed wojną był taki ratusz w środku rynku i zajęty był głównie przez sklepy. Należał on do hr. Tarnowskiego.

W czasie wojny został zupełnie spalony, pozostał po nim tylko plac. Ratusz ten powinien być jak najrychlej odbudowany i lokale w nim wynajęte kupcom katolickim, którzy obecnie nie mogą znaleźć sklepów w rynku. W sprawie tej zwracały się do hr. Tarnowskiego parokrotnie delegacje z Tarnobrzega i z Dzikowa, przedstawiając konieczność wybudowania odpowiedniego gmachu w rynku, wszystkie te jednak zabiegi pozostały do dziś dnia bezskuteczne.

*
* *

Od wprowadzenia złotego zaczęły się ustalać ceny towarów, zaczęto też odbudowywać kasy oszczędności i pożyczek, które w czasie wojny i spadku wartości pieniądza zmarniały zupełnie, albo miały bardzo małe obroty.

Powiatowa Kasa Oszczędności miała już w roku 1926 obrotu około 6,800.000 zł., wkładek oszczędności 360.000 zł., czystego zysku 11.000 zł., (w roku 1913 miała okrągło obrotu 8,700.000 K, wkładek oszczędności 2,100.000 K, czystego zysku 28.000 K). W r. 1927 Kasa ta mogła przystąpić do zakupienia z własnych funduszów budynku murowanego na pomieszczenie biur. — Odbudowała się też Spółkowa Kasa Oszczędności i Pożyczek im. Stefczyka w Tarnobrzegu, a w miejsce dawnej Kasy Zaliczkowej powstał w Tarnobrzegu Bank Spółdzielczy.

*
* *

W życiu gminnem bardzo ważnem zdarzeniem stało się połączenie obszarów dworskich z gminami.

Przedtem gminy i obszary dworskie trzymały się oddzielnie, stanowiły odrębne jednostki administracyjne, co było szkodliwem pod względem społecznym i narodowym, gdyż pogłębiało przedział między obszarnikami i ludnością włościańską, a nadto kryło w sobie wiele niesprawiedliwości. Obszary dworskie były jakby na papierze tylko, władza wyższa mało im rozkazywała, natomiast gminy musiały załatwiać i odpowiedzialne były za sprawy obszarów dworskich. N. p. wójtowie odpowiadali za doprowadzenie dzieci do szczepienia, pomagali przy poborze rekrutów do wojska, prowadzili meldunki obcych, prowadzili wykazy koni dla wojska, kataster trzody i t. d., a robili to zarówno dla gmin jak i dla obszarów dworskich. Każdy, kto się wywodził z obszaru dworskiego, według ustawy rościł sobie prawo przynależności do gminy, a chociażby już sam na obszarze dworskim, nie mieszkał, powoływał się na ojca, dziadka, którzy kiedyś we dworze służyli, — i takich władza wpierała gminie, ciągle była o nich pisanina i nieraz stawali się ciężarem dla gminy na zawsze.

Jednem słowem, co gminy miały ze swoimi mieszkańcami i sprawami do roboty i załatwienia, to drugie tyle miały z tymi, co należeli do obszarów dworskich, a robiły to wszystko bezpłatnie i zadarmo, bo obszary dworskie nie płaciły wcale podatków gminnych. Więc prosta słuszność i sprawiedliwość domagała się, ażeby połączyć obszary dworskie z gminami, ażeby dodatki gminne jednakowo były płacone tak z gmin, jak i ob-

szarów dworskich, i ażeby z tego połączenia wyszły gminy silniejsze.

Za czasów austrjackich ustawicznie sprawa ta była podnoszona, wszystkie stronnictwa ludowe domagały się połączenia obszarów dworskich z gminami, jednakże wszelkie starania w tym kierunku pozostały bezskuteczne i ciągnęły się bez końca. Po wskrzeszeniu państwa polskiego sprawa została gładko bez oporu załatwioną.

Teraz narzuca się coraz bardziej sprawa przyłączenia do Tarnobrzega sąsiednich gmin wiejskich: Dzikowa, Miechocina i Mokrzyszowa po stację kolejową. Sprawa ta była już podnoszona za rządów austrjackich, zajmował się nią gorliwie starosta Swoboda, jednakże wtedy trudna była do przeprowadzenia, gdyż rząd austrjacki nie dbał o polskość miast galicyjskich.

Obecnie Tarnobrzeg posiada 3.800 mieszkańców, w tem 2.900 żydów, a tylko 900 katolików, żydzi więc mają ogromną przewagę i decydują o gospodarce gminnej. Po przyłączeniu Dzikowa, gdzie jest 1.415 mieszkańców, w czem tylko 12 żydów, Miechocina z 1.000 i części Mokrzyszowa ze 175 mieszkańcami ludność katolicka doszłaby do liczby 3.470 i uzyskałaby większość, a zarazem powiększyłby się obszar miasta. Wtedy byłby lepszy zarząd gminy, poprawiłyby się warunki dla przemysłu i handlu, wzmocniłoby się polskie mieszczaństwo. — W okolicy tutejszej brak większych miast, znaczniejsze miejscowości jak Rzeszów, Tarnów, Lublin, Radom oddalone stąd przeważnie o kil-

kanaście mil, potrzebnem więc jest, aby Tarnobrzeg stał się większym ośrodkiem miejskim dla tych stron.

Za połączeniem z Tarnobrzegiem oświadczyła się jednogłośnie Rada gminna w Dzikowie, również katolicka część Rady gminnej tarnobrzeskiej opowiedziała się jednomyślnie za przyłączeniem do Tarnobrzega gmin sąsiednich. Także Wydział powiatowy w Tarnobrzegu zajmuje w tej sprawie przychylne stanowisko. Połączenie to potrzebne jest szczególnie dla Tarnobrzega, gdyż posiada bardzo mały obszar i nie ma się gdzie rozbudowywać. Obecnie władze polskie powinny załatwić pomyślnie rzeczoną sprawę i przyczynić się do dalszego rozwoju miasta i mieszczaństwa polskiego.

*
*   *

W niepodległem państwie polskiem odżyło życie społeczne z czasów przedwojennych i dalej rozwija się. W Tarnobrzegu czynne są dawniejsze towarzystwa, jak: Tow. Kasynowe, skupiające inteligencję urzędniczą, Czytelnia Mieszczańska, gromadząca odradzające się mieszczaństwo, »Sokół«, jednoczący ludzi różnych warstw, Tow. Szkoły Ludowej, Straż ogniowa, — i nie mniej żywą rozwijają działalność jak przed wojną.

Więcej niż przed wojną rozwijały się »Koła Młodzieży« w powiecie, mające za zadanie złączyć młodzież przy Kółkach rolniczych w każdej wsi, następnie w powiecie i w całym kraju, podnieść wśród niej oświatę i wychować ją na prawych obywateli państwa. Działalność ich objawiała się głównie w urzą-

dzaniu przedstawień teatralnych, festynów i t. p. Podobne cele miały Stowarzyszenia Młodzieży, również rozpowszechnione w powiecie, a pozostające pod opieką duchowieństwa. Najlepiej rozwijające się Koło znajdowało się w Zaleszanach, a najczynniejsze Stowarzyszenie w Miechocinie, założone w r. 1921. — W ostatnich czasach rozwijały się silnie Związki Strzeleckie.

Wszystkie organizacje młodzieży zajmowały się nie tylko sprawami zakreślonemi ich statutami, ale nadto prowadziły w łonie swojem wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe pod opieką Powiatowego Komitetu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Prawie każda wieś starała się mieć boisko sportowe dla młodzieży, w Tarnobrzegu założono obszerne boisko (Stadjon sportowy), darowane na rozgrywki sportowe przez hr. Tarnowskiego.

Ważną organizacją powojenną stał się Powiatowy Związek Inwalidów, mający na celu polepszenie ich bytu. Związek ten założony w r. 1918, a odnowiony w r. 1921, uzyskał dla inwalidów 300 morgów ziemi od hr. Tarnowskiego, zabiegał o renty dla inwalidów, dla wdów i sierót, nie posiadających jeszcze zaopatrzenia, wystarał się dla inwalidów o hurtownie i sklepy tytoniowe, o kilka koncesyj na restauracje z wyszynkiem, kilka przydziałów ziemi z działek wojskowych, wogóle świadczy wiele usług rodzinom inwalidzkim. Do Związku należą prawie wszyscy iwalidzi i wdowy po poległych z powiatu. W r. 1928 liczył 700 inwalidów i 450 wdów. Na czele Związku stoi

Jan Drzewiński z Baranowa, który jest zarazem członkiem Rady Głównej w Warszawie*).

*

* *

W życiu politycznem nastąpiło znaczne uspokojenie i otrzeźwienie w porównaniu ze stanem, jaki był w pierwszych latach istnienia państwa polskiego.

Ks. Okoń i towarzysze, którzy w czasie pierwszych wyborów sejmowych występowali jako jedna grupa i zawładnęli zupełnie powiatem, następnie z każdym rokiem tracili na znaczeniu i wpływach. Przyczyniało się do tego w dużej mierze to, że niedługo trzymali się razem, że rozbili się między sobą i szli przeciw sobie. Ks. Okoń i Dąbal zaczęli się zwalczać w gorszący sposób na zgromadzeniach, Dąbal czynnie znieważył Krempę w klubie poselskim, w lipcu zaś w 1922 r. został skazany sądownie na 6 lat więzienia za robotę bolszewicką, podburzanie na wiecach i wrogie występowanie przeciw państwu polskiemu. Następnie wydany został Rosji bolszewickiej w zamian za skazanych tam na śmierć Polaków**).

---

*) Wydział powiatowy w Tarnobrzegu, chcąc uczcić pamięć poległych w wojnie światowej i polskiej, pochodzących z powiatu tarnobrzeskiego, i wmurować w dotyczących kościołach parafjalnych tablice pamiątkowe z nazwiskami poległych, — zarządził spisy ich we wszystkich gminach w powiecie. Po zestawieniu tych spisów, które zapewne niezupełnie są ściste, okazało się, że poległych tych z całego powiatu jest 1.144.

**) Tomasz Dąbal pochodzi z Sobowa w pow. tarnobrzeskim z rodziny włościańskiej. Po ukończeniu gimnazjum zapisał się na uniwersytet w Krakowie, gdzie 2 lata spędził na medycynie, rok

Więc drugie wybory sejmowe, które się odbyły w r. 1922, dały zgoła inne wyniki. Według nowej ordynacji wyborczej tutejszy okręg wyborczy obejmował powiaty: Tarnobrzeg, Mielec, Kolbuszowa, Ropczyce, Strzyżów, Jasło. List wyborczych było zgłoszonych 26, zawierających około 170 kandydatów. Okoń, Dąbal, Krempa, którzy w poprzednich wyborach występowali razem i uzyskali niesłychanie wielką liczbę głosów, przy drugich wyborach szli oddzielnie: Okoń, jako przywódca Chłopskiego Stronnictwa Radykalnego, Dąbal (z więzienia) jako komunista, Krempa jako tzw. Stapińszczyk. W powiecie tarnobrzeskim lista ks. Okonia otrzymała 4.829 głosów, komunistyczna (Dąbala) 6.379 głosów, a ponieważ w innych powiatach za pierwszą z tych list nie padł ani jeden głos, a na drugą wszystkiego około 200 głosów, więc obaj wymienieni kandydaci przepadli, a przeszedł jedynie Krempa. W wyborach tych wyszło natomiast 4 posłów z Polsk. Stronnictwa Ludowego »Piast« i jeden ze Stronnictwa Katolicko-Ludowego. — W ten sposób skończyły się w powiecie wpływy Okonia i Dąbala, którzy przeszli przez powiat jak burza, nie przeprowadziwszy nic

---

na prawie. Był wtedy członkiem Czytelni Akademickiej, skupiającej młodzież z pod znaku Polsk. Stronnictwa Lud. Brał udział w organizacji „Strzelca“, a po wybuchu wojny wstąpił do legjonów z rangą oficera. Głośnym stał się wówczas, gdy po upadku Austrji znalazł się w Tarnobrzegu i razem z ks. Okoniem rozpoczął robotę polityczną. W r. 1921 przeszedł jawnie do obozu komunistów i jako poseł zgłosił w Sejmie partję komunistyczną.

z tego, co obiecywali, a ściągnęli na powiat jedynie uszczypliwą nazwę »republiki tarnobrzeskiej«.

Ostatnio występował ks. Okoń w Tarnobrzegu 8 września 1925 r. W dniu tym, gdy w tutejszym klasztorze OO. Dominikanów przypada odpust na Matkę Boską Siewną, miał się tu odbyć wielki Zjazd Chłopskiego Stronnictwa Radykalnego, które narodziło się właśnie w Tarnobrzegu pod pomnikiem Bartosza Głowackiego. Przybył wówczas do Tarnobrzega ks. Okoń z posłami swego stronnictwa, przybyła gromada jego zwolenników głównie z Lubelszczyzny ze sztandarami zielono-czerwonemi i wieńcami. Jednakże ludność okoliczna, zgromadzona tłumnie na odpuście, zajęła nieprzyjazne stanowisko wobec zapowiedzianego zjazdu. Ks. Okoń z trudnością przedostał się ze swem otoczeniem pod pomnik, następnie zaś nie był w stanie stamtąd przemawiać z powodu skierowanych do niego ostrych wykrzykników i wielkiej wrzawy. Nie mógł więc dojść do głosu tam, gdzie niedawno jeszcze bezwzględnie panował, gdzie nikt nie śmiał mu się przeciwstawić. Zgromadzenie przeniosło się na pastwisko za miastem. Ale i tam nie mogło się spokojnie odbywać z powodu wrogiego zachowania się miejscowej ludności.

Cały więc zjazd, przygotowany z wielkim nakładem zabiegów i kosztów, nie tylko nie przywrócił wpływów ks. Okonia w Tarnobrzeskiem, ale przeciwnie stał się klęską dla niego. Okazało się bowiem naocznie, że stronnictwo jego u kolebki zanikło, — ostu-

dziło to więc zapał tych, którzy z innych stron na zjazd przybyli. Niedługo całe Chłop. Stronnictwo Radykalne rozbiło się, przyczem przywódcy jego, posłowie, obrzucali się różnemi oskarżeniami. W ostatnich zaś wyborach w r. 1928 nie przeprowadziło do sejmu żadnego kandydata, przepadł też założyciel stronnictwa, ks. Okoń.

W niepodległem państwie polskiem podniosło się znaczenie warstw ludowych, w szczególności włościaństwa, a zmalało znaczenie i wpływy dawnej arystokracji rodowej. Widocznem to było w życiu codziennem, społecznem i politycznem, wszędzie usuwali się w cień przedstawiciele arystokracji, a wysuwali się naprzód ludzie nowi z warstw ludowych. Nie spełniło się więc to, czego obawiali się dawniej ciemni chłopi, że z powstaniem Polski powróci panowanie szlachty i pańszczyzna. Przeciwnie Rzeczpospolita Polska uznała w konstytucji równość wszystkich obywateli wobec prawa, nie uznaje przywilejów rodowych ani stanowych, jak również żadnych herbów, tytułów rodowych i innych, z wyjątkiem naukowych, urzędowych i zawodowych.

W początku ustał też rozrost żydów i widoczne było cofanie się ich z zajętych przez nich placówek. Pod wpływem rozruchów wiejskich, które w znacznej części przeciwko nim się kierowały, porzucali wsie, wysprzedawali tam lub wydzierżawiali swoje grunta, opuszczali karczmy i wyjeżdżali do miast. W ten sposób prawie wszystkie wsie w powiecie w krótkim

czasie odżydziły się i za wolnej Polski kilkadziesiąt karczem żydowskich w powiecie, jaskiń wszelkiego zepsucia, upadło. Także w miastach mniejszych, żydzi utracili wtedy niektóre handle, szczególnie monopolowe — jak składnice tytoniu — na rzecz inwalidów wojennych, sprzedawali też swoje realności i wynosili się do większych miast lub zagranicę. Tak więc wówczas w Tarnobrzegu 5 domów w rynku przeszło w ręce chrześcijan. Wogóle żydzi stali się wtedy ustępliwsi i szukali zbliżenia się i oparcia u ludności chrześcijańskiej.

Głośnem było np., że w r. 1920 przeszła na wiarę katolicką żydówka wdowa Brandla Perlmutter z Mokrzyszowa, razem ze swoimi dwoma małymi synami. Uroczystość chrztu odbyła się w kościele parafjalnym w Miechocinie, a z wychrzcianką ożenił się niedługo parobczak z Mokrzyszowa. W następnym roku siostra Brandli, Necha, przeszła również na wiarę katolicką, chrzest odbył się w kaplicy zakładu wychowawczego w Mokrzyszowie, a w tydzień potem odbył się ślub przechrzcianki z synem jednego z gospodarzy w Mokrzyszowie. Pierwszy i drugi chrzest odbył się bez przeciwdziałania i przeszkód ze strony żydów.

*
* *

Po wskrzeszeniu państwa polskiego nastąpił wielki rozrost szkół w Tarnobrzegu. W r. 1920 podzielona została 5 kl. szkoła tarnobrzeska mieszana na męską i żeńską, a równocześnie zostały one zamienione na 6 klasowe. W r. 1924 obie te szkoły przekształcone

zostały na 7 klasowe. — W tymże czasie państwowa szkoła realna przemienioną została na gimnazjum a zarazem wzmógł się napływ młodzieży do tej szkoły. — W r. 1920 powstało w Tarnobrzegu pryw. seminarjum naucz. żeńskie, które z każdym rokiem rozwijało się tak, że po 5 latach miało pełną liczbę kursów i uzyskało prawa państwowe.

Na uwagę zasługuje szkoła uzupełniająca przemysłowa, założona w r. 1899, a za czasów polskich przekształcona na »Dokształcającą szkołę zawodową«. Uczęszcza do niej w godzinach wieczornych przeszło 100 uczniów rzemieślniczych i kupieckich — w tem 3/4 Polaków, 1/4 Żydów, w wieku od 16—18 lat. Szkoła ta przyczynia się do podniesienia stanu rękodzielniczego i kupieckiego.

Rozwój szkolnictwa jest tu szczególnie widoczny, podobnie jak w całej Polsce, gdy się zestawi stan szkół teraźniejszy i z przed lat kilkudziesięciu. W Tarnobrzegu np. przed rokiem 1865, t. j., przed 60 paru laty, była zaledwie mała szkółka, mieszcząca się w wynajętym budynku, o jednej sali szkolnej, o jednym nauczycielu z liczbą dzieci nie przekraczającą 100, dziś zaś — nie licząc szkół żydowskich — są tu dwie szkoły powszechne, gimnazjum, seminarjum, dokształcająca szkoła zawodowa, — niektóre z tych szkół mieszczą się we własnych budynkach, wszystkie one obejmują razem prawie 40 sal szkolnych, liczą razem prawie 1 1/2 tysiąca młodzieży, uczy w nich 50 sił nauczycielskich, zaopatrzone są w różne pomoce

naukowe i pracują nad wychowaniem młodego pokolenia w wolnej niepodległej Polsce.

*
* *

Po powstaniu państwa polskiego okolica tutejsza doczekała się wreszcie dogodniejszego podziału parafjalnego. Przed wojną światową Dzików i Tarnobrzeg należał do parafji miechocińskiej, która należy do najstarszych w Polsce i była jedną z najrozleglejszych, obejmując 13 wsi. Niektóre z tych wsi miały dwie mile i więcej do kościoła parafjalnego, więc ludność nie mogła należycie korzystać z nabożeństwa i pociech duchowych kościoła, a proboszcz nie mógł znać całej swojej ludności. Koniecznym się stawał podział tej parafji na mniejsze. Jednakże wszelkie starania czynione w tym kierunku pozostawały bezskuteczne i dopiero po wielkiej wojnie światowej i powstaniu państwa polskiego doczekały się pomyślnego załatwienia. Wielka parafja miechocińska została podzielona — jak już pisałem — na 4 mniejsze, a mianowicie: w Tarnobrzegu, obejmującą Tarnobrzeg, Dzików, Mokrzyszów, Stale, razem 7.000 dusz; w Chmielowie, obejmującą Chmielów, Jadachy, Cygany; w Tarnowskiej Woli, obejmująca Tarnowską Wolę, Alfredówkę łącznie z Dębą i Rozalinem, które wydzielono z parafji Majdan Kolbuszowski; w Miechocinie, obejmującą Miechocin, Kajmów, Ocice, Machów, Nagnajów, Siedliszczany.

Parafję w Tarnobrzegu otwarto 1 sierpnia 1922 r. i powierzono ją klasztorowi O. O. Dominikanów.

W Chmielowie i Tarnowskiej Woli buduje się nowe, piękne kościoły parafjalne, na które materjał budowlany ofiarował w dużej części hr. Zdzisław Tarnowski, miejscowa zaś ludność przyczynia się do budowy bezpłatną robocizną i ze składek pokrywa koszta budowy. Kościół zaś w Miechocinie, który w ostatnich dziesiątkach lat nie miał troskliwych gospodarzy i uległ wielkiemu zniszczeniu zwłaszcza w czasie wojny, został odrestaurowany dzięki gorliwości nowego proboszcza ks. Henryka Hausnera.

Nadto w powiecie tarnobrzeskim już po wojnie światowej powstały nowe parafje i kościoły w Rzeczycy Długiej i w Woli Gołego koło Baranowa.

W ostatnich latach odbył się w kościołach w Tarnobrzegu i Miechocinie szereg większych uroczystości kościelnych, jak poświęcenie nowych dzwonów w miejsce zrabowanych w czasie wojny, misje parafjalne, wizytacja biskupia. Ostatnie wielkie misje odbyły się w Miechocinie w r. 1923, przeprowadzone przez Redemptorystów, w Tarnobrzegu w r. 1928, przeprowadzone przez Jezuitów. W misjach tych, trwających po 8 dni, lud brał bardzo żywy udział i wpłynęły one silnie na poprawę obyczajów, popsutych szczególnie w czasie wojny i w latach powojennych. Ostatnia wizytacja kanoniczna odbyła się w r. 1928, dokonana z wielką gorliwością przez ks. biskupa Anatola Nowaka.

*
* *

Na wszystkich wogóle polach stwierdzić można dążenie do zagojenia ran zadanych wojną, do odbu-

dowy materjalnej i duchowej, a zarazem pewien rozwój. W pracy społecznej wybijał się w powiecie w ostatnim dziesiątku lat szereg osób, a mianowicie — prócz wspomnianych już w ostatnich rozdziałach — młodzi właściciele obszarów dworskich hr. Artur Tarnowski, Zbigniew Horodyński (syn), Roman Grieswald, a z pośród inteligencji tarnobrzeskiej Michał Radomski, dyrektor gimnazjum, dr Leonard Madej, kandydat adwokacki, ks. kan. Tomasz Gunia, prof. gimnazjum, Michał Marczak, prof. gimn. i bibljotekarz, Klemens Drzewicki, dyrektor Spółki rolniczo-handlowej »Gleba». Jako starostowie zasłużyli się w tym czasie szczególnie dr Tadeusz Spiss i Stanisław Hawrot, którzy zaprowadzili w powiecie uspokojenie i porządek,

*
* *

W r. 1927 dotknęły Dzików dwa wielkie nieszczęścia: świętokradztwo w kościele O. O. Dominikanów i pożar zamku hr. Tarnowskich.

Dnia 21 czerwca (gdy noc najkrótsza) jakiś złoczyńca, dostawszy się do kościoła przez ostatnie okno od cmentarza kościelnego prawdopodobnie przed północą, ściągnął świętokradzką ręką koronę z obrazu Matki Boskiej Dzikowskiej, pozostającej w tutejszem klasztorze od r. 1678 i koronowanej dnia 8 września 1904 r. Nadto wyważył od tabernaculum drzwiczki, obite srebrną blachą z pięknem wykuciem na blasze kielicha z hostją, które wykonane były w r. 1712.

Lecz czy spłoszony przez kogoś, czy z innej przyczyny drzwiczki te zostawił zawieszone na jednym gwoździku. Dochodzenia ze strony policji tarnobrzeskiej znalazły ślady stóp, prowadzące po lewej stronie kościoła do ogrodu klasztornego, a pies policyjny, sprowadzony z Rzeszowa, doprowadził policję do przewozu prywatnego naprzeciw przysiółka Podłęże. I tam wszelkie dalsze ślady znikły.

W pół roku potem, dnia 21 grudnia (gdy noc najdłuższa), spłonął zamek dzikowski, który był budowlą z XV wieku, a w r. 1522 nabyty przez Tarnowskich od tego czasu nieprzerwanie pozostawał w ich rękach. Ogień zapuszczono przy rozgrzewaniu zamarzniętych rur centralnego ogrzewania, później też jeden ze służby zamkowej pociągnięty został do odpowiedzialności sądowej za nieostrożne obchodzenie się z ogniem. Pożar wywiązał się na strychu w środkowej części zamku, na zewnątrz zaś ukazał się koło wieży odrazu żywiołowo około godz. 2.30 po północy. Bardzo szybko objął drugie piętro zbudowane z drzewa i wżerał się w dalsze części zamku. Na ratunek rzuciła się tłumnie służba zamkowa, ludność z Dzikowa i Tarnobrzega, okoliczne straże ogniowe, a przedewszystkiem młodzież miejscowego gimnazjum i seminarjum. Dzięki bohaterstwu ratujących ocalono przeważną część sławnej bibljoteki dzikowskiej, obrazy i różne pamiątki narodowe. Ratunek jednak utrudniało to, że pożar wybuchł wśród bardzo mroźnej nocy, że wody w zamku nie było, bo zbiorniki mieściły się



Zamek hr. Tarnowskich w Dzikowie.

na strychu spalonym, a hydranty koło zamku były zamarznięte, że wiejskie straże ogniowe nie miały odpowiednich przyrządów do ratowania takiego gmachu jak zamek, że wreszcie sufity w zamku nie były sklepione, ale zbudowane z drzewa i waliły się, trawione ogniem. Koło godz. 5 nad ranem, gdy wrzała największa praca nad ratowaniem zabytków zamkowych, runął sufit w największej sali piętrowej, w której pomieszczona była bibljoteka. Zginęło wówczas dziewięciu bohaterskich obrońców skarbu duchowego, a mianowicie: Janina Kocznerówna, uczenica seminarjum, Alfred Freyer, sławny lekko-atleta, Józef i Grzegorz Gilowie stolarze (ojciec i syn), Jan Mastelarczyk, uczeń gimnazjum, Aleksander Pomykalski, murarz, Wojciech Skiba, strażak, Bronisław Wiącek, praktykant stolarski, Władysław Wiącek, czeladnik. Ciężko ranni byli: Adam Gronek, uczeń gimnazjalny i Franciszek Wiącek, malarz pokojowy. Najtragiczniej zginął Grzegorz Gil, któremu belka przywaliła nogi i żywcem się palił, a do nadbiegających mu z pomocą wołał, aby siebie ratowali, bo on już zginąć musi. Do wieczora pożar strawił cały gmach aż do parteru, ocalała jedynie kaplica na lewem skrzydle i sąsiadujące z nią archiwum. Zresztą z całego zamku pozostały jedynie okopcone szkielety murów. Pogrzeb bohaterskich ofiar pożaru odbył się wśród podniosłych, rzewnych uroczystości, przy udziale nieprzejrzanych zastępów publiczności. Zwęglone szczątki Bron. Wiącka,

najuboższego z tych, co zginęli, nieśli na cmentarz członkowie rodziny Tarnowskich.

Ale życie w miejscu nie stoi, idzie naprzód, rozwija się. Po tych nieszczęśliwych wypadkach rozpoczęły się zaraz zabiegi około wyrównania strat poniesionych. Rozpoczęło się zbieranie składek na nową koronę na cudowny obraz Najśw. Panny Dzikowskiej, a uroczystość nałożenia nowej korony odbędzie się za parę lat po odnowieniu kościoła O. O. Dominikanów, zniszczonego w czasie wojny. Odbudowuje się też pospiesznie zamek w Dzikowie i niedługo stanie w pełnej okazałości.

Tak weszliśmy w rok 1928, dziesiąty od wskrzeszenia Państwa Polskiego, a ośmdziesiąty od zniesienia pańszczyzny.

*
* *

Wspomnę jeszcze o odznaczeniu, jakie mnie spotkało w ostatniej chwili, gdy już »Pamiętniki« były w druku. Oto dnia 1 marca 1929 r. otrzymałem niespodziewanie z Kancelarji Cywilnej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej zawiadomienie, że został mi nadany złoty Krzyż Zasługi i zarazem otrzymałem zaproszenie na uroczystość wręczenia odznaczeń, mającą się odbyć dn. 10 marca br. na Zamku Królewskim w Warszawie.

Z powodu tego odznaczenia przeżyłem w Warszawie chwile prawdziwie podniosłe. Na uroczystość 10 marca przybyło tam, z różnych stron Polski kilkuset włościan, którzy mieli być odznaczeni w obecno-

ści Pana Prezydenta Krzyżami Zasługi bronzowemi, srebrnemi i złotemi. Uroczystości z tem związane rozpoczęły się 9-go a zakończyły 11-go marca, a złożyły się na nie między innemi: Uroczysta Msza św. w katedrze św. Jana, złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza, przedstawienie w Teatrze Wielkim, wręczenie odznaczeń, raut na Zamku Królewskim. Uroczystości zaszczycił swą obecnością Najwyższy Zwierzchnik Państwa, więc były nacechowane wielką okazałością, odpowiadającą wielkości i godności Rzeczypospolitej. Byliśmy wszędzie podejmowani z niewymowną gościnnością i szczerością, którą starali się nam okazać wszyscy, a szczególnie młode Warszawianki z Drużyny Strzeleckiej.

Zapewne po raz pierwszy w Polsce odznaczano naraz tylu drobnych rolników, tych »co żywią i bronią«. Zostało przez to podkreślone znaczenie gruntowego włościaństwa. Zaznaczył to też w przemówieniu Pan Prezydent Rzeczypospolitej, że rolnictwo stanowi podstawową gałąź bogactwa narodowego, a osiągnięcie postępu w tej dziedzinie jest trudniejsze, niż w jakiejkolwiek innej.

Nie potrzebuję dodawać, jak czułem się szczęśliwym z dożycia tej chwili, że takie odznaczenie spotkało mnie i tylu innych braci włościan od własnego Rządu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

W roku tym kończę w zdrowiu i przy dostatecznej sile 87-my rok życia. Za co niech będą Bogu Wszechmogącemu dzięki.

XIII.

Teraźniejszość a niedawna przeszłość. Przyczyny postępu: zniesienie pańszczyzny, zaprowadzenie hipoteki, autonomja krajowa, regulacja rzek, lepsze narzędzia rolnicze, ulepszona komunikacja, parcelacja, wychodźtwo zarobkowe, oświata, towarzystwa, trzeźwość, nieubłagana konieczność. Jak się postęp odbywał. Zmiany w stroju i zabawach. Zmiany spowodowane przez wojnę światową i powstanie Państwa Polskiego. Co było w przeszłości dobre. Co dotychczas ludowi najbardziej szkodzi. Co jest największym skarbem człowieka. Zakończenie.

Przechodząc do dni dzisiejszych, powiedzieć trzeba, że w porównaniu z niedawną przeszłością widać po wsiach ogromną odmianę i pod wielu względami znaczny postęp. A widać to w szczególności w budowaniu porządniejszych domów i budynków gospodarskich, w lepszych narzędziach rolniczych, w lepszej uprawie gruntów i hodowli krów, trzody, koni, w pożyteczniejszych sadach, w porządniejszych sprzętach domowych, w dogodniejszej odzieży, w wychowaniu dzieci, w interesowaniu się sprawami publicznemi, narodowemi, państwowemi i t. d.

Gdyby dawniejsi ludzie, którzy żyli przed pół wiekiem, wstali z grobu i przyszli do nas z tamtego świata, to nie mogliby się napatrzeć i nadziwić tym

wszystkim przemianom: dziwiliby się, że tyle domów i ludzi przybyło, że w domach i koło domów inne, niż dawniej, porządki, że inne zgoła narzędzia rolnicze i gospodarskie, że ludzie inaczej okryci, — i dziwnoby im było, skąd na teraźniejszych małych gospodarstwach może na to wszystko wystarczyć, — a już zdumienie u nich wywoływałyby bite, równe gościńce — nie mówiąc już o kolejach żelaznych, o samochodach, samolotach — mnogość urzędów, jak starostwa, sądy, urzędy skarbowe, pocztowe, posterunki policji, szkoły, instytucje gospodarcze, społeczne, narodowe, — słowem, na coby zwrócili uwagę, nie umieliby sobie wytłómaczyć, skąd się to wszystko wzięło, kto to wszystko wyrobił i jakim kosztem, — zdawałoby się im, żc zbłądzili, żc nie przyszli do swojej wsi czy miasteczka, gdzie się kiedyś urodzili i wychowali.

*
* *

Że po wsiach zaczął się postęp, wpłynęły na to różne przyczyny, a ważniejsze z nich są następujące:

Przedewszystkiem zniesienie pańszczyzny, bo przez to chłopu pozostał czas pracy na swoim grunciej i każdy wiedział, że co przygospodarzy, to jego, nie tak, jak za pańszczyzny, kiedy pan mógł chłopa łatwiej wygnać, niż dziś parobka, i innego na opróżnionym gruncie obsadzić. Teraz pierwszy lepszy chłop jest swobodny i może sobie żyć, jak dawnie, szlachcic.

Powtóre, zaprowadzenie hipoteki, bo odtąd dopiero stało się jasną dla każdego rzeczą, że to, co posiada, jest święcie jego własnością, której mu nikt odebrać nie może, — może to sprzedać, podzielić, zaciągnąć na to pożyczkę i t. d. To też, jak dobrze pamiętam, zabezpieczenie własności przez hipotekę dodało ludziom dużo ochoty do lepszej pracy, do powiększenia i podnoszenia gospodarstw.

Następnie, zaprowadzenie autonomji w kraju za panowania austrjackiego, bo rządy swoje, polskie, zaczęły lepiej dbać o zagospodarowanie kraju, niż poprzednie rządy obce, niemieckie. Od czasu, jak nastała autonomja, różne zaniedbane sprawy gospodarcze poczęto brać pod obrady i niedomagania usuwać, co trwało do upadku państwa austrjackiego, a o co rządy niemieckie mało się troszczyły.

Również obwałowanie i regulacja rzek miała zwłaszcza dla powiatu tarnobrzeskiego wielkie znaczenie, gdyż powiat ten należy do najniżej położonych i przerżnięty jest wieloma rzekami. Niektóre wsie były tu dawniej pod wodą. Wskutek zaś uregulowania rzek i obwałowania tychże nastąpiło osuszenie, okolica zyskała pod względem zdrowotnym, ustąpiły choroby malaryczne, grunty się poprawiły i zyskały na wartości.

Dalej, do lepszego gospodarowania przyczyniły się lepsze narzędzia, bo dziś gospodarz przy dobrych

narzędziach może łatwiej, prędzej i mniejszym kosztem grunt uprawić i w domu się obrobić. Nastały bowiem wszędzie rozpowszechnione: dobre pługi, płużki, brony, pazury, młynki do czyszczenia zboża, sieczkarnie i mniej rozpowszechniane: siewniki, zastępujące siew ręczny, młocarnie kieratowe, zastępujące młócenie cepami. Pospolitą stała się na wsi maszyna do szycia.

I choć niektóre z tych ulepszonych narzędzi mają obecnie tylko zamożniejsi gospodarze, przecież może je też nabyć np. Kółko rolnicze i wypożyczać członkom za przystępną opłatą, i w ten sposób mogą być dostępne dla wszystkich włościan. Takie droższe narzędzia rolnicze zakupują często też w ten sposób, że gospodarze łączą się z sobą w spółki.

Dalej, w rozwoju pomogły dobre gościńce i koleje żelazne, bo teraz może każdy z łatwością nabywać i sprzedawać narzędzia i płody rolnicze, — nie tak, jak dawniej, kiedy wszystko trza było wozem sprowadzać i po bardzo kiepskich drogach.

Na uwagę zasługuje tu parcelacja obszarów dworskich, trwająca od kilku dziesiątek lat. Parcelacja ta była z tego względu dobrą, że przez nią wzmocniło się wiele gospodarstw włościańskich, które wskutek podziałów rodzinnych bardzo się rozdrabniały i ciągle się rozdrabniają, i, gdyby nie parcelacja, to dzisiaj trudno byłoby zdybać w jakiejś gminie gospodarza, któryby się mógł utrzymać z rodziną ze swego gruntu.

Nadto w każdej wsi wielu było takich, którzy ani jednej skiby ziemi nie mieli, ani nawet placu pod dom, — ale skoro dało się nabyć grunt, każdy pracowity, nawet wyrobnik, kupował i zakładał swoje gospodarstwo.

A chociaż pierwsi i drudzy brali sobie na barki wielki ciężar długów, to jednak przy pomocy Boskiej wzięli się do pracy tak w domu, jako też wyjeżdżając na zarobek zagranicę, i długi spłacali, a grunt nabyty zostanie im i dzieciom na pamiątkę, że uczciwie żyli i pracowali i nie tylko swego nie stracili, ale jeszcze przykupili. Znam takich, co nabyli ładny kawał ziemi za drogie pieniądze i — jak mówili — zrobili to z wielkiem ryzykiem, ale jak się wzięli do pracy i oszczędności, to jakby cudownym sposobem dług ze wszystkiem spłacili i teraz mają chleb w domu i swobodnie sobie oddechają. I taki, co kupił ziemię i wie, ile go ona potu kosztowała, nim się wypłacił, uprawia ją starannie, chciałby z niej dwa razy do roku zbierać, nie zmarnuje plonu przy zbiorze, — i można powiedzieć, że ziemia jego w dobrych jest rękach.

To tylko złe, że parcelacja odbywała się aż do upadku Austrji bez żadnego planu i porządku, i władze krajowe należycie się nią nie zajęły. Prowadzili ją przeważnie żydzi, handlując ziemią, jak towarem w sklepie. W samym powiecie tarnobrzeskim możnaby naliczyć kilkadziesiąt żydów-handlarzy gruntem, którzy nadto mieli do spółki kilku faktorów, kupujących także na własną rękę drobniejsze grunta. Rozparcelowali

oni wiele folwarków w powiecie i poza powiatem pomiędzy włościan z tarnobrzeskiego, od których przy tem wykupywali własne ich gospodarstwa, ciągnąc z tego wszystkiego ogromne zyski i dobrze się bogacąc.

Obecnie w niepodległej Polsce konieczne jest dalsze przeprowadzenie parcelacji obszarów dworskich i poprawienie stosunków rolnych tak, ażeby nie było z jednej strony rozległych majątków ziemskich, a z drugiej karłowatych gospodarstw chłopskich, ale żeby powstały dobrze urządzone, średnie gospodarstwa rolne, mające zapewnić dostateczne utrzymanie gospodarzowi.

Wielkie przemiany sprowadziło też wychodźtwo zarobkowe do Prus i innych krajów zagranicznych.

Było ono z tego względu dobre, że przez nie tysiące rąk znalazło pracę i zarobek, i pieniądze przez nie płynęły do kraju. Zasiadając w zarządzie Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek, miałam sposobność przyjrzeć się temu, ile to pieniędzy przychodziło z zagranicy. Oszczędności tej Kasy pochodziły przeważnie od wychodźców zarobkowych, i raty były spłacane głównie ich pieniądzmi; kto dług zaciągał, obiecywał go spłacić najczęściej nie z tego, co zbierze lub przychowa na gospodarstwie, ale z zarobku swego lub swoich dzieci zagranicą.

Od czasu, jak się rozwinęło wychodźtwo zarobkowe, podskoczyły znacznie w krótkim czasie płace

najemników, ceny płodów rolnych i ceny ziemi; nastąpiła też wielka przemiana w urządzeniu domów, sprzętów, w odzieży, pożywieniu, obyczajach i zwyczajach na wsi. Tu obok stron dodatnich występowały bardzo często ujemne, o czem nieraz pisały gazety.

W dalszym ciągu podnieść należy, że do postępu i dobrobytu najwięcej może przyczyniła się oświata, t. j., szkoły i wydawanie gazet i książek, z których ludność włościańska czerpała i czerpie naukę. Faktem jest, że który gospodarz wziął sobie jako tako oświatę do głowy, ten znacznie swoje gospodarstwo podniósł i wyszczególnia się na każdym kroku, a kto jeszcze starej metody się trzyma, ten lichą ma gospodarkę i nędzne życie prowadzi.

Więc gwałtem należy dalej szerzyć oświatę, żeby do każdego domu zajrzała, żeby gospodarz dowiadywał się o ulepszeniu w rolnictwie i u siebie je wprowadzał, żeby czytał zawsze, skoro tylko wolny jest od zajęć gospodarskich. W każdej wsi powinna być porządna szkoła, a budynek szkolny powinien wybijać się ponad wszystkie inne, przygłuszyć sobą karczmę.

Dawniej ludzie z braku narzędzi ulepszonych byli zawsze, nawet wieczorem, zajęci pracą ręczną, — dziś mają więcej czasu wolnego, więc czas ten powinni wypełniać oświatą. Każdego stać na to, ażeby sobie trzymał gazetkę tygodniową i kupił najpotrzebniejsze książki.

Na postęp i dobrobyt wpływały też zbawiennie różne towarzystwa, związki, spółki, jakoto: czytelnie, kółka rolnicze, kasy, organizacje polityczne i t. p.

Niemniej przyspieszyło postęp zmniejszenie się pijaństwa i większa trzeźwość między ludźmi, co w naszych stronach poczęło się od wspomnianej już misji parafjalnej w r. 1869. Wogóle pierwsza ta misja zrobiła wielkie wrażenie w całej okolicy: odbyły się wówczas uroczyste procesje po parafji i msze św. polowe, zmniejszyło się znacznie pijaństwo, kradzieże i rozboje, słowem, nastąpiła znaczna poprawa w złych obyczajach. Następne wielkie misje odbyły się po 43 latach, t. j., w roku 1912, i znowu widoczne były owoce po nich, bo karczmy i szynki znacznie opustoszały, ludzie z jarmarków wracali przeważnie trzeźwi, tylko żydzi wyrzekali na kiepski handel z tego powodu. Więc pragnąć należy, ażeby podobne misje odbywały się częściej, w mniejszych odstępach czasu, np. co 10 lat.

Wreszcie, mus po prostu ludzi doganiał do lepszego gospodarowania, bo ludzi przybywało, a gospodarstwa malały, wszyscy zaś żyć musieli. Dziś gospodarz na czterech lub pięciu morgach gruntu musi tak pracować i gospodarzyć, aby się mógł z rodziną wyżywić, okryć, budynki w porządku utrzymać, podatki zapłacić, dzieciom dać odpowiednią naukę. Przytem wie, ile ten grunt kosztuje, bo przeważnie każdy coś pola dokupił i dobrze przepłacił, więc nie może po-

zwolić, aby leżało odłogiem, i musi dobrze pracować i mieć dobry rachunek w głowie.

Obecnie nawet takiego, który gospodarstwo niedbale prowadzi, palcem wskazują i za nic go mają, choćby nawet grunt jego wart był kilkadziesiąt tysięcy: — mówią, że »szkoda, iż ta święta ziemia w rękach jego się marnuje«. A z drugiej strony, jeżeli jest we wsi gospodarz mający 8 lub 10 morgów gruntu, a gospodarstwo porządnie prowadzi, to go nazywają bogaczem i wysoko cenią i to nie z tego, że ma te morgi, ale że widzą u niego budynki porządne, bydło ładne, dzieci dobrze okryte i wychowane.

*
* *

Te i inne przyczyny popchnęły włościan na drogę postępu, i choć dziś każdy na mniejszym kawałku gruntu gospodarzy — bo gdzie wprzódy miał jeden, tam teraz siedzi kilku — jednak każdy ma więcej chleba i dostateczniejsze życie prowadzi.

Najpierw we dworach (nie wszystkich) sposób gospodarowania stawał się lepszy. W Dzikowie zmienił się pod każdym względem za hr. Jana Tarnowskiego, a następnie za hr. Zdzisława Tarnowskiego tak cała uprawa rolna, jak i hodowla bydła po folwarkach dalej się rozwinęła i doszła do wielkiej doskonałości. Ze dworu wiele korzystnych nowości i ulepszeń przeszczepiało się do włościan, szczególniej lepsze nasiona, których jeszcze koło r. 1890 w żadnym sklepie w Tarnobrzegu nie było.

Obecnie jednak więcej już na wsi niż po wielu dworach starają się o lepszą uprawę i wydobycie większych korzyści z ziemi i można śmiało powiedzieć, że te dwory mogłyby się uczyć gospodarstwa od włościan.

Ale postęp wśród włościan odbywał się powoli, naogół wcześniej po wsiach nad Wisłą i Sanem, mających grunta rędzinne, niż po wsiach t. zw. »lasowskich«, położonych na piaskach. Na razie wszędzie tylko jednostki poszły naprzód i dopiero swoim przykładem pociągały mniej lub więcej innych za sobą. Jeden na drugiego się zapatrywał, jeden drugiego ciągnął w górę. A którzy pozostali w zacofaniu, wyśmiewali i wydrwiwali rzeczy nowe i gospodarzyli według starego zwyczaju, nie pozbywszy się przytem zastarzałych wad, np. pijaństwa, ci albo upadali i zupełnie nieraz marnieli, albo do dziś dnia jeszcze po dawnemu biedę klepią.

*
* *

Należy jeszcze zwrócić uwagę na zupełną odmianę w stroju na wsi. Nastąpiła ona najwięcej od tego czasu, jak się rozpoczęło wychodźtwo zarobkowe, — wychodźcy bowiem, wracając do kraju, przywozili różne ubrania modne, które się tu coraz bardziej upowszechniały, bo i ci, co z kraju nie wychodzili, poszli za modą, i tak te nowe ubiory coraz więcej nastawały i nad staremi brały górę.

Działo się to w znacznej mierze także dlatego, że niektóre części dawnego ubrania chłopskiego były mniej praktyczne, — np. biała kamiziela czyli płótnianka ulegała bardzo łatwo poplamieniu.

Patrzyłem na to, ile to pracy kosztowało, dawniej gospodynię, żeby taką kamizielę uprać, wypolewać, wyżmiąć, wysuszyć, umaglować, bo każda gospodyni starała się o to, żeby jej mąż, dzieci i sługi ubrały się czysto do kościoła i na wesela tak, ażeby drugie nie powiedziały, że jest niechlujna, próżniak i nawet męża i domowników nie opierze. Tymczasem cała ta praca na krótko się zdała, wystarczyło bowiem przyklęknąć w kościele na nieczystej posadzce albo obetrzeć się koło wozu namazionego, a kamiziela już była poplamiona i nie do użycia przy wyjściu z domu. Gdy się do dom wróciło, kiepsko się za próg weszło, gospodyni od stóp do głowy obrzucała zaraz wzrokiem, wszystkie plamki na kamizieli rachując, — łamała ręce i lamentowała: »A nacóż się moja praca przydała, a ty owalańcze, niechlujniku!« i t. d. Nie było wymówki, że się to niechcący, przypadkowo stało, musiało się wszystko przyjąć, bo się widziało, jaką ciężką pracę miała kobieta przy praniu tej kamizieli. I to każda prawie kobieta takie wymówki czyniła mężowi, i gdy się ich kilka zeszło, to przy każdej sposobności jedna do drugiej najwięcej się żaliła, że jej mąż »haniebnie kamizielę wala«.

Praktyczniejsze okazały się brunatne sukmany, które nastały po białych, podobnych do krakowskich.

Taka sukmana z brunatnego sukna, dość ciepła, kosztowała 24 kor. austr., a nadawała się wszędzie, zarówno do kościoła, jak i do roboty. Gdy się zanieczyściła, wystarczyło ją kijem z kurzu wytrzepać i szczotką dobrze przeciągnąć, i znów była do użycia, a po kilku latach, gdy się z wierzchu włos wytarł, można ją było odwrócić na drugą stronę i jeszcze parę lat w niej chodzić. Była więc praktyczna i niedroga i dlatego obecnie więcej się jeszcze utrzymuje, niż kamiziela.

Niejeden wreszcie zrzucał ubiór włościański z tej przyczyny, że narażał go na złe traktowanie w urzędach, w podróży i t. p., a gdy się przebrał z miejska, już było lepiej, i każdy mu powiedział »panie«.

Bo i teraz jeszcze według ubrania robi się różnicę między ludźmi i dzieli na panów i niepanów. Do tego, co ubrany po włościańsku, choćby to był poważny i światły gospodarz, mówi się zwyczajnie »wy«, a takiego, co ubrany z miejska, tytułuje się »pan«. Wprawdzie są tacy, którzy się nie gniewają, że się do nich tak lub owak mówi, — ale niejeden nie okazuje tego po sobie, chociaż obraża się w duchu, a niektórzy wypraszają sobie poniżające traktowanie ich. — Byłoby ważną rzeczą, żeby usunąć te różnice w odzywaniu się do ludzi. Mogłoby pozostać »wy«, jak jest na wsi powszechnie przyjęte, — ale niech się mówi do wszystkich przez »wy«, niech nie będzie panów i niepanów, a to znacznie przyczyni się do tego, że zniknie u nas przedział głęboki między warstwami, a nastanie większa jedność i spójność w narodzie.

Zdaje się, że znikające dziś stroje wiejskie jeszcze odżyją i będą noszone, zwłaszcza jeżeli są praktyczne i ładne, — ale już nie jako strój »chłopski«, poniżający, — ale polski, narodowy, używany szczególnie na święta i uroczystości.

Ja sam przechowuję kamizielę do dziś dnia, jak najdroższą pamiątkę i ubieram się w nią na uroczystości dla zaszczytu, że jestem włościaninem, zwyczajnie zaś chodzę w sukmanie brunatnej, którą bardzo sobie chwalę, a zresztą postępuję za ogólną modą i na codzień noszę krótkie ubranie, powszechnie dziś używane.

Również wesela i inne zabawy uległy ogromnej odmianie, a to jest dobre, że obecnie mniej na nie traci się czasu, niż dawniej. Np. co do wesel, u mnie jeszcze na pierwszem w r. 1891 czterdzieści fur jechało do ślubu, wesele trwało prawie cztery dni i kosztowało około 500 złr., — ale choć wydatek był wielki, niepodobieństwem było na tak tłumnych zabawach wszystkich należycie ugościć i ukontentować. Jedno z ostatnich wesel, jakie sprawiałem w r. 1909, było już całkiem odmienne, bo brały w niem udział tylko najbliższe rodziny, i trwało wszystkiego pół dnia. Według mnie wesela im krótsze, tem lepsze, bo usuwa się przez to jedną z przyczyn, które chłopów rujnują i niszczą.

*
*   *

Ostatnie wielkie przemiany sprowadziła wojna światowa i powstanie Państwa Polskiego. Po wielkiej

»Sokół włościański« w Machowie, założony w r. 1908.



J. Grazda W. Grazda St. Uchański J. Fudała W. Myszka Fr. Sawarski W. Sawarski
M. Galek Fr. Zych Fr. Ląd W. Wiącek (przewodniczący) A. Napieracz A. Sawarski M. Gola

wojnie w niepodległem państwie lud uzyskał większe prawa i większe znaczenie, jak również wyrobił w sobie silniejsze poczucie polskie i miłość ojczyzny, widać też u ludności polskiej większy pochop do handlu, który przedtem był ze strony naszej zupełnie zaniedbany, oddany w obce ręce. Obecnie też za rządów polskich władze państwowe więcej działają na korzyść ludu, uwzględniają jego potrzeby i żądania.

*
* *

Z treści tych »Pamiętników« można osądzić, co w przeszłości było dobrego i powinno być zachowane i rozwijane, a co było złego i powinno być wypleniane i poprawiane.

Dobra była naprzykład dawniejsza prostota i poprzestawanie na małem w życiu codziennem, a więc w pożywieniu, odzieniu, w urządzeniu mieszkania, w obyczajach, — i lepsze to było od tych wielu grymasów i tego wprost rozpasania, jakie się dzisiaj w życiu spotyka.

Dobre było, że istniał przemysł swojski, bogato rozwinięty, który zaspokajał potrzeby ludu i który należało tylko pielęgnować i udoskonalać, ażeby kraj sam sobie wystarczał. I lepsze to było, niż sprowadzanie wytworów przemysłu od obcych i zadłużanie się wobec zagranicy.

Dobre było zachowywanie różnych starych zwyczajów, obrzędów, złączonych z świętami dorocznemi, z weselami i tp., — zwyczaje te bowiem i obrzędy

były ładne i pamiątkowe, umilały uroczyste chwile i podnosiły ich ważność. Powinny więc być zawsze szanowane i strzeżone jako skarb duchowy, przekazany przez poprzednie pokolenia.

Dobre było dawniej życie religijne, które opierało się na przykazaniach Bożych i kościelnych. Kazań w niedziele i święta pilnie wówczas słuchali i powtarzali je w domu tym, którzy nie mogli być w kościele. Dzieci i sługi, gdy szły do spowiedzi wielkanocnej, przepraszały ze łzami w oczach rodziców względnie opiekunów za wszelkie wobec nich uchybienia i prosiły o przebaczenie, a ci błogosławili przepraszających i przed spowiedzią rzewnie się z niemi żegnali. Również sąsiedzi, którzy gniewali się z sobą i żyli w niezgodzie, nim poszli do spowiedzi, zachodzili do siebie, przepraszali się wspólnie i na pojednanie całowali. Wszelkie posty były najściślej przestrzegane i nawet chory wzbraniał się i nie chciał postu złamać, chyba że mu lekarze lub ksiądz zalecił posilanie się mięsnemi potrawami. — Lepsze to wszystko było, niż panosząca się dziś bezbożność i brak rygoru obyczajowego. — Dziś z upadkiem religijności wzmaga się liczba procesów sądowych i różnych zbrodni, dochodzi nawet do zamachów na księży i kościoły, co dawniej było prawie nie do pomyślenia. W ostatnim czasie pod Tarnobrzegiem tylko było kilka zbrodni tego rodzaju. I tak we wrześniu 1920 r. trzech drabów napadło w mieszkaniu na ks. Antoniego Rychla, proboszcza w Miechocinie, obrabowało go i pozbawiło reszty

zdrowia tak, że wkrótce umarł. To znowu w listopadzie następnego roku młody chłopak zakradł się w nocy do kościoła w Miechocinie i skradł stamtąd trzy kielichy kościelne. O świętokradzkiej kradzieży w kościele OO. Dominikanów w Tarnobrzegu piszę na innem miejscu.

A że lud posiadał wogóle dużo cech dobrych, a szczególniej zdrowie moralne i cielesne, więc zdolny był do postępu, mógł przyswoić sobie liczne udoskonalenia i oświatę w różnych sprawach; mógł przetrwać wojnę światową i dojść do niepodległego państwa polskiego.

* * *

Gdyby mię kto zapytał, jakie w przeszłości pozostało jeszcze największe nieszczęście i zło, które lud włościański dręczy i gnębi, powiedziałbym, że alkohol to jest, trunki, które go zawierają. Żeby tego nie było, toby się wszędzie ludzie lepiej mieli, nie byłoby tyle zbrodni, kryminałów, tyle procesów sądów, policji, tyle chorób, szpitali, aptek i t. d., nawet tylu dziadów, bo ilu ich znam, to żaden ani za połowę tego, co uprosi, nie kupi sobie pożywienia, ale co dziś użebrze, to dziś przepije i ustawicznie plącze się po prośbie. Setki znałem ludzi zdrowych, majętnych, pracowitych, ale jak zaczęli popijać, to stracili zdrowie, majątek i w nędzy pomarli.

Słowem, gdyby nie ten przeklęty alkohol, to prawdziwie byłby raj na tym świecie, bo niema tego złego,

coby nie wynikało z pijaństwa, i żadne pióro nie jest zdolne opisać nieszczęść z pijaństwa. Gdyby nie ono, to prędzejby też nastąpiła naprawa wszystkiego w życiu społecznem, bo z trzeźwymi łatwiej możnaby się naradzić, porozumieć i coś zrobić. Ale u nas pociąg do napitku jest jeszcze tak wielki, że gdzie nadarza się sposobność wypić choćby tylko kieliszek, choćby szklankę za kilka groszy, tam przyjdzie wielu, na sucho zaś mało kogo można pociągnąć do jakiejś sprawy, — choćby ona była najlepszą i najważniejszą dla obecnych i przyszłych pokoleń.

Gdyby rząd skasował w kraju karczmy i szynki, to w kilku latach kraj stałby się bogaty: — ubyłoby wprawdzie rządowi dużo dochodów z podatków od alkoholu, ale też ubyłoby wiele rozchodów na kryminały, szpitale i t. d., i t. d. Wielu żyłoby drugi raz tyle, jak obecnie, i oświata w młodem pokoleniu prędzejby się podniosła, wiadomo bowiem, że dzieci, zrodzone z rodziców pijaków, są tumanowate i słabe robią postępy w nauce.

Pisząc to, wiem dobrze, że do zniesienia karczem nie przyjdzie, a przynajmniej nie prędko, bo jednym chodzić będzie o to, że straciliby zyski, a drugim o to, że bez alkoholu żyćby nie mogli. A zresztą, chcąc alkohol z kraju wypędzić, trzebaby większą część posłów zmienić i tylko takich zostawić i wybrać, którzy sami nie piją i wyborców nie rozpijają, i byliby za zniesieniem szynków. A że to wszystko na razie za trudne i niemożliwe do przeprowadzenia (dobrze, że

w państwie polskiem przeprowadzono przynajmniej zamykanie szynków i karczem w niedziele i święta), więc sobie życzę, żeby to było zapisane przynajmniej w »Pamiętnikach«, — że póty na świecie dobrze nie będzie, póki społeczeństwo będzie pijane i wychowywać się w szynkach i karczmach.

Jak zapamiętałem w mojem życiu do dnia dzisiejszego, to prawie więcej, niż połowa realności włościańskich w Dzikowie, po ojcach odziedziczonych, przeszła w ręce innych, którzy od ojców nic nie dostali albo bardzo mało, a dzisiaj posiadają ładny majątek, że dla nich wystarczy do śmierci, i dzieci mają czem obdzielić. I taka zmiana dokonała się prawie w każdej gminie, a przeważnie dlatego, że jedni tracili gospodarstwa głównie przez pijaństwo i płynące z niego wady i nieszczęścia, a drudzy dochodzili do dobrobytu przez trzeźwość i cnoty, z nią związane.

Również dwaj najzamożniejsi w Dzikowie gospodarze: Jan Sokół i Józef Szewc w ten sposób doszli do majątków. Pierwszy miał po ożenieniu się tylko domek z ogródkiem i chodził z siekierą na zarobek, — powoli jednak zaczął dokupywać gruntu po kawałku i z latami doszedł do tego, że miał 33 morgi najlepszej gleby. Drugi miał po ojcu 4 morgi, a dokupił więcej, niż 15 morgów gruntu dobrego, pierwszej klasy. Wprawdzie wtenczas grunt był tańszy, ale też o pieniądze trudniej było, niż obecnie. Patrzyłem na to i mogę

powiedzieć, w jaki sposób obydwaj się dorabiali: przedewszystkiem żadnego z nich nikt nie widział w szynku, żeby grosz na jaki trunek wydał, więc byli zawsze trzeźwi, nie byli nigdy karani, nie procesowali się, byli nadzwyczajnie oszczędni, pracowali co tylko sił im starczyło, i gospodarowali wzorowo.

A takich, co w ten sposób, jak oni, doszli do majątku, naliczyłby więcej, zarówno w Dzikowie, jak i w każdej innej gminie, tak w starszem, jak i w młodszem pokoleniu. Inni może mniej nabyli, ale zawsze nabyli, jednakże tylko trzeźwością, pracą i oszczędnością, a przedewszystkiem trzeźwością.

*
* *

Uważam wogóle, że złe obyczaje i szkodliwe nałogi są największem utrapieniem ludzkiem i mam przeświadczenie, że różne grzechy a szczególnie główne, np. pijaństwo, rozpusta, zazdrość, sprowadzają więcej nieszczęść i biedy, niż jakieś niedomagania społeczne i gospodarcze. Szkoda więc, że różni działacze społeczni mało albo nawet wcale na to nie zwracają uwagi, a często tacy chcą przewodzić ludowi, którzy sami obarczeni są wstrętnemi wadami i nałogami.

W mojem przekonaniu największym skarbem człowieka są dobre obyczaje, i moralność, oparta na religji, w łączności z Istotą Najdoskonalszą — Bogiem. Na drugiem dopiero miejscu stawiam sprawy materjalne

i uposażenie majątkowe. Kto jest moralny i religijny, ten pójdzie dobrą drogą w życiu, zapewni sobie powodzenie i będzie się czuł szczęśliwy. Tam też, gdzie panuje powszechnie moralność na zasadach religji, rozwinie się dobre życie rodzinne, postęp w sprawach gospodarczych, społecznych, politycznych, — gdzie zaś brak takiej moralności i panuje wyłącznie przejęcie się sprawami materjalnemi, musi nastąpić upadek pod każdym względem i koniec wszelkiego postępu.

Należy przeto zawsze troszczyć się przedewszystkiem o ten duchowy, największy skarb człowieka i pomnażać go stale, a sprawy materjalne, a także społeczne, narodowe, państwowe dobrze się ułożą w myśl tej Boskiej nauki: »Szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane«.

Ja sam w życiu byłem religijny i strzegłem zawsze przykazań Bożych, starałem się też dzieciom swoim dać wychowanie oparte na moralności religijnej i uważam, że im przez to dałem rzecz najważniejszą, jaką dać mogłem.

*
* *

Na tem kończę. Starałem się wiernie podać to, co sam przeżyłem, na co patrzyłem, co od starszych słyszałem, — i przedstawić, w jakim stanie byli chłopi przed pół wiekiem, w jakim są obecnie, i jaki w tym

czasie dokonał się postęp. Może to natchnie czytającego jakąś dobrą myślą, doda zachęty do wytrwałej pracy u siebie w domu i do pracy społecznej, i może znowu niejeden z braci — włościan spisze swoje pamiętniki, i w ten sposób wzrastać będzie piśmiennictwo, tworzone przez włościan na pożytek ludu włościańskiego i całego narodu.

PRZYPISY.

Z przeszłości Dzikowa i Tarnobrzega*).

Początki Dzikowa giną w mrokach przedhistorycznych. W czasach pogaństwa była tu już osada, o czem świadczą cmentarzyska pogańskie, odkopywane w paru miejscach wsi.

U schyłku XIV wieku Dzików należał do Toporczyków — Ossolińskich. W r. 1522 nabyli go od Ossolińskich Tarnowscy, którzy już przedtem mieli swoją rezydencję w tej okolicy, w Wielowsi.

Z późniejszych spraw i wydarzeń, związanych z Dzikowem, zanotować należy następujące:

W r. 1734 zawiązała się na zamku Tarnowskich w Dzikowie konfederacja generalna, zwana dzikowską, która wystąpiła przeciw Augustowi III, narzuconemu na tron polski przez Austrję i Rosję, a stawała po stronie Stanisława Leszczyńskiego, obranego królem przez naród. Chociaż konfederacja ta okazała się słabą i nie mogła wyprzeć z Polski wojsk saskich i rosyjskich, popierających

*) Źródła: „Dzików i Tarnobrzeg“ w „Słowniku geograficznym“. — „Tarnobrzeg“ i „Dzików“ w „Słowie Polskiem“ z dnia 19, XII, 1913. Lwów. — Jan W. „Dzieje miasta Tarnobrzega“. Lwów 1904. — Zygm. Kolasiński „Tarnobrzeg“ w „Powiatowym Dzienniku Urzęd.“ Tarnobrzeg 1908 i 1909. — Michał Marczak „Czego nas uczy historja tego powiatu?“ i „Powiat tarnobrzeski pod rządami austrjackiemi“ w czasopismach „Obywatel“ i „Głos ziemi tarnobrzeskiej“. Tarnobrzeg 1921—1924. — M. Marczak „Bibljoteka Tarnowskich w Dzikowie“. Kraków 1921.

Augusta III, — jest jednakowoż pierwszym ruchem zbrojnym, zmierzającym do ratowania zagrożonej niepodległości narodu.

Dnia 18 kwietnia 1796 r. urodził się w Dzikowie Stanisław Jachowicz, wsławiony później jako poeta, pedagog i filantrop. (Ojciec jego, Wojciech Jachowicz, był oficjalistą w dobrach dzikowskich*).

Na początku XIX wieku Dzików zasłynął jako ważna placówka wyższej kultury i sztuki. Stało się to za sprawą Jana Feliksa Tarnowskiego (*1777 † 1842), ożenionego z Walerją ze Stroynowskich, który był założycielem bibljoteki i zbiorów dzikowskich. Odtąd wielu uczonych polskich korzystało z nagromadzonych tu skarbów ducha, a Dzików stał się dumą i chlubą dla szerokiej części kraju. Bibijoteka dzikowska zachowana w stanie prawie niezmienionym przez syna i wnuka założyciela, powiększyła się znacznie za obecnych właścicieli Dzikowa, hr. Zdzisława Tarnowskiego, i jego małżonki Zofji z hr. Potockich. Wkońcu liczyła kilkadziesiąt tysięcy tomów, kilkaset rękopisów, posiadała nieocenione archiwum dyplomów i aktów od początku XIV wieku.

---

*) Ś. p. Zygm. Kolasiński, który żywo interesował się postacią Stanisława Jachowicza, (skreślił „Życie i dzieła Stanisława Jachowicza" w „Dzienniku Urzęd." Nr. 43—48, Tarnobrzeg 1909), przyjmował Tarnobrzeg, jako miejsce urodzenia Jachowicza, — zwrócił bowiem uwagę na to, że poeta zapisany w metrykach parafjalnych pod Tarnobrzegiem. Należy jednak zauważyć, iż zapiska metrykalna została niewątpliwie błędnie pomieszczoną, co spowodowane było tem, że dworek Jachowiczów stał na pograniczu Dzikowa i Tarnobrzega, nadto miasto Tarnobrzeg dopiero na kilkanaście lat przed przyjściem na świat poety oddzielone zostało od Dzikowa, a do dziś dnia jeszcze wielu miesza często nazwę Dzikowa i Tarnobrzega. — Dworek Jachowiczów wznosił się na obszarze gminy Dzików i sam poeta uważał zawsze dom rodziców za swój rodzinny.

W r. 1819 liczył Dzików 58 domów i 355 mieszkańców, w tem 4 żydów. W r. 1910 liczył 1392 mieszkańców, z tego 1335 katolików i 57 żydów.

*
* *

Tarnobrzeg jako miasto powstał przy końcu XVI wieku, założony przez Stanisława Tarnowskiego, kasztelana sandomierskiego, na gruntach wsi Miechocina, dziedzicznej wsi Tarnowskich, na mocy przywileju króla Zygmunta III, wydanego na sejmie warszawskim dn. 28 maja 1593 r., i uposażony prawem niemieckiem czyli magdeburskiem oraz dwoma jarmarkami.

W sto lat potem król Jan III Sobieski na żądanie mieszczan zatwierdził pierwszy przywilej fundacyjny aktem z dn. 14 kwietnia 1681 r., wcielił nadto do miasteczka wieś Dzików i obdarzył je trzecim jarmarkiem.

W r. 1676 zostaje wzniesiony i uposażony przez Tarnowskich drzewiany kościół i klasztor Dominikanów w Tarnobrzegu. W kościele tym umieszczony został obraz Najśw. Marji Panny, uznany za cudowny*). W r. 1703 kościół i klasztor uległ pożarowi, poczem odbudowany został z cegły.

Od czasu połączenia Dzikowa z Tarnobrzegiem ten ostatni przestał istnieć w swej nazwie i nazywany był miasteczkiem Dzików. Trwało to przez wiek cały i dopiero w r. 1786 Tarnobrzeg powrócił do pierwotnej nazwy, ale już bez Dzikowa, który rządził się dalej samodzielnie.

---

*) Obraz ten malowany na płótnie, przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręce i św. Józefem, znajdował się poprzednio w kaplicy zamkowej w Dzikowie i tu ogłoszony został za cudowny przez biskupa krakowskiego Trzebickiego aktem z dn. 11 listopada 1675 r. Do kościoła Dominikanów w Tarnobrzegu przeniesiony został w uroczystej procesji dn. 20 maja 1678 r. — Sadok Barącz „Cudowne obrazy Najśw. Panny w Polsce“.

W czasie pierwszego rozbioru w r. 1772 Tarnobrzeg dostaje się pod panowanie austrjackie, które w czasach absolutyzmu, tj., do r. 1867 było bodaj najcięższe ze wszystkich panowań zaborczych na ziemiach polskich. — W r. 1855 staje się siedzibą urzędu powiatowego, a w r. 1867 starostwa powiatowego.

Miasto obejmuje obszar 124 hektarów, jak się zdaje, najmniejszy w b. Galicji.

Według spisu domów z r. 1853 Tarnobrzeg liczył wówczas 116 numerów, z tego 93 katolickich, 23 żydowskich. — Według spisu z r. 1910 liczył 3532 mieszkańców, z tego katolików 985, żydów 2547, czyli katolików 28%, żydów 72%. Taki sam stosunek procentów zachodził co do nieruchomości. Wszystkich bowiem domów w mieście było 496, z tego 137 katolickich, a 359 żydowskich.

Napływ żydów rozpoczął się tu z chwilą założenia miasta. Pod koniec XVII, a zwłaszcza w XVIII wieku, wciskają się tu coraz bardziej i rywalizują z mieszczaństwem chrześcijańskiem, trudniąc się wszelkim handlem, lichwą, szynkarstwem i dzierżawieniem dochodów dworskich w miasteczku. Zawsze jednak z pod tej warstwy napływowej przebijał się wyraźnie materjał polski, katolicki.

Jak spisy ludności wskazują, liczba żydów wzrosła nadmiernie w drugiej połowie XIX wieku po nagłej zmianie stosunków politycznych i gospodarczych, pod wpływem biurokracji, hołdującej prądom liberalnym. To wszystko zaskoczyło mieszczaństwo nieoświecone, nieuświadomione, nieprzygotowane do nagłych zmian, przy braku jakiejkolwiek pomocy ekonomicznej ze strony czynników do tego powołanych. Nawet duchowej i moralnej pomocy nie było, a raczej mogła być tylko słaba, bo w mieście nie było kościoła parafjalnego, a więc i duszpasterza, któryby się starał mieszczan skupiać i trzymać w trzeźwości i moralności, aby mogli przebyć przejściowe trudniejsze poło-

żenie, — Tarnobrzeg bowiem należał do parafji sąsiedniej wsi Miechocina, a w mieście był tylko kościół z klasztorem O. O. Dominikanów.

Obecnie odradza się mieszczaństwo tarnobrzeskie z ludzi nowych, z różnych stron tu przybyłych, nie związanych z dawniejszem mieszczaństwem. Są to jednak ludzie trzeźwi, pracowici, światli i wywalczają sobie coraz większe znaczenie.

---

byli u
też zaczęli
brani do k

*) Kawale
której należał te
a połączywszy się w
nież nocą zdążała
świadka wymarszu kaw

Bitwa pod Komorowem *).

Równocześnie z hr. Juljuszem Tarnowskim poszli do powstania w 1863 r. z Tarnobrzega i okolicy: Jan Hladik stolarz, Ludwik Czerwiński stolarz, Stanisław Zderski kowal, Franciszek Uchański organista ciemny na oko, Aleksander Lechowski szewc, Paulin Salczyński murarz, czeladnik od bednarza Sierżęgi niewiadomego nazwiska — wszyscy z Tarnobrzega, — nadto ks. Bartłomiej Hędrzak, kapelan zamkowy w Dzikowie, — ks. Stieber, przeor OO. Dominikanów w Tarnobrzegu, — Michał Kułak krewny i służący ks. Hędrzaka, — Leonard Swoboda, młynarz z Wrzaw, — Ferdynand Sztilger, strażnik graniczny z Radomyśla nad Sanem, — Jan Krasiński, syn dzierżawcy folwarku Orzechów, — Karol Obst, ekonom z Miechocina, — Michał Radek, służący Juljusza Tarnowskiego **).

Wiekiem między nimi wyróżniał się Hladik, pochodzący ze Staszkówki, a mieszkający w Tarnobrzegu komornem z trojgiem dzieci. Miał przeszło 70 lat, ale był jeszcze rześki i zdrowy i odznaczał się niepospolitą siłą

---

*) Wiadomości, podane w niniejszym artykule, o ile ... cytowane inne źródło, pochodzą od Stanisława Zder...ieg... stnika tej bitwy.

**) W innych oddziałach powstańczych byli z Tar... Antoni Gwizdalski szewc, wysłużony wojskowy i A... szewc (obaj polegli), — a w wielu wsiach tutejszego... dotąd włościanie, uczestnicy powstania 1863 r... powstania najczęściej z flisu.

...wszystko
...omione,
jakiejkol-
do tego
...y nie było,
...ie nie było
którzyby się
...żeźwości i mo-
trudniejsze poło-

Idąc do powstania, mówił żartem, że »pałą sobie z Moskalem poradzi«. Służył w wojsku austrjackiem w konnicy 24 lata. Inni byli przeważnie w wieku dwudziestu i dwudziestu paru lat, nieżonaci. Obst był wysłużonym podoficerem z wojska austrjackiego.

Wszystkich Tarnobrzeżan pociągnął do organizacji powstańczej ks. Hędrzak za pośrednictwem Uchańskiego i mniej więcej na tydzień przed wyjściem do powstania zaprzysiągł ich w klasztorze OO. Dominikanów. Wymarsz nastąpił 17 i 18 czerwca 1863; wychodzili z domu sekretnie, nie żegnając się z rodzinami.

Pierwszy punkt zborny przypadł im w Gawłuszowicach w powiecie mieleckim, gdzie na plebanji zebrało się razem około 30 zdążających do tego samego oddziału, przeważnie rękodzielników. Tu wypocząwszy, ruszyli wszyscy pod Szczucin nad Wisłą, gdzie miał być główny punkt zborny, i skąd mieli przeprawić się do Królestwa Polskiego. Szli nocą, żeby nie budzić czujności władz austrjackich *).

Stanąwszy w sobotę 20 czerwca przed wschodem słońca nad Wisłą, zastali tam już wielu zgromadzonych, a inni jeszcze nadciągali. Wszyscy otrzymywali zaraz broń, mianowicie lekkie sztućce belgijskie z bagnetami i amunicję. Kto miał dobre ubranie, zostawał w swojem, — wi[...] część jednak miała już lub otrzymała nad Wisłą n[...] bluzki i konfederatki powstańcze. Koło 6 ra[...] byli już ustawieni w szeregi i gotowi do [...] też zaczęli przechodzić Wisłę w bród. Sze[...] brani do koszuli mieli ubrania i obuwie n[...]

...agważ-
pożytku.
w sutannie,
rć konających
do boju sło-
...!«
...; wkońcu nie było
ręku uderzyć na nie-
...wań, zwłaszcza, że lada
...siłki. Padła tedy komenda:
i stanęło 20 ochotników,
z Chościakiewiczem i jego

---

*) Kawalerja, złożona przeważnie [...] której należał też hr. Juljusz Tarnow[...] a połączywszy się w folwarku chrząsto[...] nież nocą zdążała pod Szczucin. [...] świadka wymarszu kawalerji.

szyi, ładownice z amunicją na bagnetach. Woda była po piersi, miejscami po pachy*).

Po przejściu Wisły oddział szybko się uporządkował, odmówił pacierz i raźno ruszył z miejsca, a w marszu odbywały się ćwiczenia i pouczenia wojskowe. Nie było już jednak czasu, żeby należycie pouczyć takich, co po raz pierwszy mieli w rękach karabin, jak się z nim obchodzić; a niewyćwiczonych w broni było w oddziale sporo, między tarnobrzeżanami dwóch. Wkrótce miała zacząć się bitwa.

Zaraz w niewielkiej odległości od Wisły zbliżył się do maszerującego oddziału chłop w płótniance z ostrzeżeniem, że w pobliżu znajdują się Moskale przygotowani do bitwy. Ostrzeżenie okazało się prawdziwem **), niedługo bowiem spostrzeżono Moskala, przebiegającego na koniu, a równocześnie padł strzał z szeregów powstańczych, d..y

---

*) Cały oddział wraz z oficerami liczył 425 ludzi, w tem 50 jazdy. Należało doń wiele znakomitej młodzieży, stąd nazwany był „złotą legją". Głównym dowódcą był generał Zygmunt Jordan, uczestnik w wojnie węgierskiej i wschodniej, szefem sztabu major Popiel (Chościakiewicz), były oficer papieski.

Równocześnie z drugiej strony Szczucina (w górę Wisły) pod Maniowem przeprawił się do Królestwa drugi oddział powstań-
... około 300 piechoty, pod dowództwem Edwarda Dunajewskiego.
Ja..działy miały się za Wisłą połączyć i pozostawać pod roz-
nadmiern..rdana. Dunajewski jednak zaraz u przeprawy spotkał się
nie stosunkciem i po kilkugodzinnym boju ogniowym musiał się
wem biurokrac tej po południu napowrót do Galicji, przyczem sam,
zaskoczyło nie na bród, utonął. — „Wspomnienia krwawych cza-
rzez Józefa Kościeszę Ożegalskiego. Kraków 1908.
nieprzygotowan.. „Bitwy i potyczki 1863—1864". Na podstawie
wiek pomocy eko..ych i rękopiśmiennych Muzeum Narodowego
powołanych. Nawet ..wil 1913.
a raczej mogła być ..ali wiadomości dniem wpierw, że 20-go
..zechodzili Wisłę pod Szczucinem. Uwia-
kościoła parafjalnego, ..erkla, dyrektora policji w Krakowie. —
starał mieszczan skupiać ..wych czasów", str. 262. — Dr. Stella-
ralności, aby mogli przebyc staniu styczniowem".

przez jednego z chłopów, idących na przodzie. (Chłopi ci ubrani byli w płótnianki, jakie noszą w powiecie mieleckim; mieli po bochenku chleba, zawieszonym przez ramię na sznurku).

Oddział szedł dalej. Nie przebył mili, a już rozpoczęło się starcie z nieprzyjacielem przed wsią Komorowem. Powstańcy rozwinąwszy się w tyraljery, ostro posuwali się naprzód polami, a odpowiadając strzałami na salwy nieprzyjacielskie, spędzili Moskali z zajmowanej pozycji i wparli ich do Komorowa.

Tu wywiązała się dłuższa bitwa. Nieprzyjaciel ukryty w zabudowaniach komorowskich, słał gęste karabinowe salwy, siejące śmierć w szeregach powstańczych, które znajdowały się w otwartem polu, mając za zasłonę jedynie bujne zboża i drzewa polne, pojedynczo rosnące. Powstańcy odpowiadali przecież niemilknącemi chociaż nierównomiernemi strzałami. Z obu stron podnosiły się raz wraz okrzyki: »Hura, hura«. Ażeby się nie wystawiać na strzały nieprzyjacielskie, powstańcy leżeli na ziemi, odwracając się przy nabijaniu broni (nabijanej wówczas jeszcze od przodu) na plecy. Mimo to kule moskiewskie, puszczane dołem, raziły mocno. Były wypadki, że ci z powstańców, którzy nie byli wyćwiczeni w strzelaniu, zakładali nabój odwrotnie, t. j., najpierw kulkę a następnie proch, więc zagważdżali karabin, i w bitwie nie było z nich żadnego pożytku. Między powstańcami uwijał się ks. Hędrzak w sutannie, podziurawionej kulami, dysponując na śmierć konających i opiekując się rannymi, nadto zachęcając do boju słowami: »Dzieci, brońcie Wiary i Ojczyzny!«

Bój przewlekał się bez rezultatu; wkońcu nie było innego wyjścia, tylko z bagnetem w ręku uderzyć na nieprzyjaciela i wyprzeć go z zabudowań, zwłaszcza, że lada chwila mogły mu nadciągnąć posiłki. Padła tedy komenda: »Na ochotnika, na bagnety!« i stanęło 20 ochotników, którzy tę komendę słyszeli, z Chościakiewiczem i jego

adjutantem Juljuszem Tarnowskim na czele. W jednym momencie porwali się z miejśca i biegli pędem, z początku równo, jak wytrawni żołnierze. Gdy jednak do zbliżających się Moskale sypnęli gęstemi kulami, większa część się zachwiała — i zawróciła; tylko siedmiu z bagnetem w ręku poszło dalej. Ci, dopadłszy do stodoły, najwięcej obsadzonej przez nieprzyjaciela, wyparli go rozpaczliwem uderzeniem i usiłowali zapalić strzechę, ażeby zniszczyć wrogowi zasłonę. Moskale jednak opamiętali się i z poza węgłów dali ognia. Juljusz Tarnowski, ugodzony kulą w czoło, zginął na miejscu, polegli z nim i inni, i tylko jeden czy dwóch ocalało, jakby na to, żeby zaświadczyć o śmierci bohaterskiej towarzyszów *).

Tak się skończyła pierwsza część bitwy, a chwila ta, gdy siedmiu bohaterskich ochotników uderzało z bagnetem w ręku na pozycję moskiewską, należy w całej tej bitwie do najświetniejszych, i byłoby ją niewątpliwie uwieńczyło zwycięstwo, gdyby w ataku wszyscy wytrwali.

Wnet potem sytuacja stała się groźniejszą, na tyłach bowiem ukazali się dragoni rosyjscy, i powstańcy znaleźli się w ogniu z dwóch stron. Ruszyli tedy z pod Komo-

---

*) „Dwaj Juljusze, kartki z ostatnich dni ich żywota". Ożegalski „Wspomnienia krwawych czasów z r. 1863". — Zieliński „Bitwy i potyczki 1863—1864. — Do liczby tych siedmiu, którzy wytrwali w bohaterskim ataku, należą prócz Juljusza Tarnowskiego: Chościakiewicz, — Henryk Brockhausen kawalerzysta, obywatel z Sandomierskiego, — Michał Piotrowski z Sandomierskiego, — ksiądz z Przecławia, kapelan w oddziale, który poszedł z atakującymi dla przykładu bez broni, — kap. Broński i jeden nieznany z nazwiska. — Według książki „Dwaj Juljusze" pozostał przy życiu jeden z owych siedmiu, według innych źródeł dwóch: wymieniony z nazwiska Chościakiewicz, — drugim byłby Piotrowski, który — jak mi z wiarogodnego źródła wiadomo — wrócił także cało z ataku. — Według informacyj otrzymanych od jednego z gospodarzy komorowskich, naocznego świadka stoczonej tam bitwy, Juljusz Tarnowski zginął w zagrodzie Hajskiego.

rowa, zamierzając przedrzeć się w głąb kraju, ale w ślad za nimi wyszła z zabudowań piechota rosyjska, poszli i dragoni. Marsz odbywał się wśród nieustannego odstrzeliwania się Moskalom, nacierającym z tyłu i z boku, dokuczał przytem niezmierny upał tak, że pot spływał po twarzach strumieniami.

Z początku oddział powstańczy posuwał się naprzód w porządku, po pewnym czasie jednak zaczął rozpraszać się i rozbijać na grupy; niektórzy pojedynczo się odrywali, myśląc jedynie o własnem ocaleniu; siła odporna oddziału słabła. Ustała wszelka komenda, każdy bił się na własną rękę.

Tymczasem natarczywość atakujących rosła, przybywały im bowiem w pomoc nowe roty i szwadrony*). Przypuszczali ataki jużto dragoni, jużto piechota, — powstańcy zaś to formowali się na prędce w małe kupki, ażeby się nie dać rozbić konnicy, to rozsypywali się, ażeby mniej się wystawiać na cel piechocie. Padali Moskale, ale większe luki powstawały wśród powstańców, którzy byli atakowani ze wszystkich stron i znajdowali się ciągle w otwartem polu.

Jasnem się stawało, że w takiem położeniu wszyscy do wieczora wyginą, ale nikt się nie poddawał, każdy bronił się do ostatka, odstrzeliwując się na wszystkie strony, to piechocie, to konnicy. Udręczenie długą walką doprowadziło broniących się do desperackiej zaciętości, która odbierała odwagę nacierającym i zmuszała ich do ustępowania i trzymania się w pewnej odległości.

Koło 4-tej godziny pozostała z całego oddziału już tylko mała garstka, a resztki te broniły się bądź w drobnych

---

*) W drugiej części bitwy powstańcy mieli przeciw sobie 4 roty piechoty i 2 szwadrony dragonów, nadto kilkudziesięciu konnych objeszczyków i kozaków. — Ożegalski, „Wspomnienia krwawych czasów“, str. 262. Zieliński: „Bitwy i potyczki 1863 — 1864“.

kupkach, obróciwszy się plecami do siebie i dając odpór na wszystkie strony, bądź pojedynczo. Na jednego broniącego się godziło już kilku i kilkunastu atakujących.

Jednocześnie wśród ogromnego upału dziennego ukazały się szeroko na horyzoncie groźne, czarne chmury, i zaczęła się straszna błyskawica i grzmoty. Zdawało się, że nadszedł sąd ostateczny. Wnet pociemniało i spadła ogromna nawalnica deszczowa, która rozerwała i rozpędziła walczących i położyła kres walce.

*
* *

Z tych, co byli w tej bitwie z okolicy tarnobrzeskiej, zginęli wówczas prócz Juljusza Tarnowskiego: Jan Hladik, Franciszek Uchański, Aleksander Lechowski, Karol Obst i czeladnik od Sierżęgi.

Michał Kułak i Krasiński dostali się do niewoli, z której powrócili po trzech latach *).

Ks. Hędrzak powrócił ranny w rękę **). Ludwik Czerwiński otrzymał ciężką ranę w głowę i miał posiekane w walce z dragonami obie ręce. Po bitwie wzięty był z pobojowiska przez jakichś dobrych ludzi i leczył się u nich;

---

*) Ogółem poległo w tej bitwie 80 ludzi a 56 prócz rannych dostało się do niewoli. Zieliński „Bitwy i potyczki 1863—1864".

Według informacyj otrzymanych w r. 1920 w Komorowie od ludzi starszych, pamiętających powstanie styczniowe, zebrano po po bitwie 72 poległych i pochowano ich we wspólnym grobie w Beszowej. Ciała poległych były doszczętnie obrabowane z odzieży. Nad grobem ich postawiono w r 1918 krzyż. Rannych zebrał Teofil Różycki z Żabca. — Paru chłopów miejscowych, jak Jacenty Ubowski z Żabca, Józef Płachta z Komorowa, splamiło się zdradą, donosząc Moskalom o ruchach i liczbie powstańców. Zdrajcy ci pomarli potem marnie w nędzy.

**) Ks. Bartłomiej Hędrzak urodził się w r. 1824 w Jasionowie w ziemi Sanockiej. Ojciec jego był ubogim chałupnikiem, kołodziejem. Ks. Hędrzak sprawował obowiązki duszpasterskie w kilku parafjach, wkońcu był proboszczem w Błozwie górnej.

dopiero w jesieni niezupełnie jeszcze wyleczony wrócił do Tarnobrzega.

Stanisław Zderski, walcząc do ostatniej chwili i w grupie z innymi posuwając się ciągle w głąb kraju, wyszedł z życiem dzięki gwałtownej ulewie i następnie wśród nawalnicy deszczowej zdążał sam ku Wiśle tą samą drogą, którą szedł przedtem oddział powstańczy. Napotykał wielu poległych, którzy miejscami wskutek ulewy leżeli zupełnie w wodzie. Zwłoki powstańców były przeważnie całkiem obdarte z ubrania, a nawet z bielizny, tylko Moskale mieli na sobie odzienie.

Koło godz. 11 w nocy przyszedł do Wisły. Miał jeszcze karabinek i ośm nabojów i stracił to wszystko dopiero, gdy Wisłę przechodził i, nie natrafiwszy na bród, ratował się przed utonięciem. Wydostawszy się na drugi brzeg, dostał silnej febry i leżał na brzegu do świtu, następnie nadwiślem zdążył tegoż dnia, w niedzielę nad wieczorem, do Tarnobrzega. Chociaż od piątku nic nie jadł i uczuwał głód wielki, nie śmiał nigdzie po drodze prosić o posiłek, wstydząc się przegranej. Doszedłszy do domu, legł wyczerpany pod drzewem, i tu spotkała go matka. Ta całując syna, wśród wielkiego płaczu opowiadała, że, gdy się modliła tegoż dnia przed cudownym obrazem Najśw. Marji Panny Dzikowskiej, miała przeczucie, iż powstańcy zostali rozbici, i trapił ją straszliwy niepokój o los nabliższych *). W ten sposób wrócili też z tej bitwy Salczyński i Swoboda, każdy z osobna, nie wiedząc

---

Był dobrym kaznodzieją, przyjacielem i przewodnikiem ludu. Umarł 31 sierpnia 1872 r. — Czasopismo „Chata“ z dnia 10. XI. 1872, Nr. 13. Tom VI. Lwów.

*) Stanisław Zderski, żyjący jeszcze, prowadził warsztat kowalski w Dzikowie i dorobił się majątku wartości kilku tysięcy koron. Miał 8 synów, których wyuczył na rzemieślników, i 4 córki, wydane za mąż. Znany jest z życia przykładnego, religijności i przywiązania do spraw narodowych.

jeden o drugim. Radek wrócił na koniu Juljusza Tarnowskiego.

Zwłoki hr. Juljusza Tarnowskiego, wyszukane między poległymi przez brata Jana (późniejszego marszałka krajowego), przewiezione zostały w zimie potajemnie do Dzikowa przez Jerzego Barkę, koniuszego zamkowego, i złożone w grobach rodzinnych hrabiów Tarnowskich w podziemiach kościoła OO. Dominikanów.

Przy wielkim ołtarzu w tymże kościele znajduje się pomnik jego z następującemi napisami:

I wzmogła się bitwa, aż zapadło słońce, i poległ dnia onego. Mach. Ks. I. r. X.

JULJUSZ TARNOWSKI * 26 Grud. 1840 † 20 Czerw. 1863

..a jeżeli się przybliżył nasz czas, umrzyjmy mężnie, a nie czyńmy zelżywości sławie naszej. Machab. Ks. I. r. IX.

Młodzieńcom mężny przykład zostawię, jeżeli ochotnem sercem a mężnie za najpoważniejsze i najświętsze prawa poczciwą śmierć podejmę. Ks II. r. VI.

...bo lepiej nam zginąć na wojnie, niżeli patrzeć na niedolę narodu naszego. Mach. ks. I. r. III.

Lecz ja duszę i ciało moje dawam za prawa ojczyste, wzywając Boga, aby co rychlej narodowi naszemu miłościwym był. Ks. II. r. VII.

Pisze o nim L. Siemieński w książce »Dwaj Juljusze«, i poświęcili mu utwory poetyczne Aureli Urbański w zbiorze »Miatież«, Marja Konopnicka w »Pieśniach historycznych« i Ferdynand Kuraś w 50 rocznicę powstania w r. 1913.

DO ROZDZIAŁU VIII.

Dawniejsze urządzenia gminne i władz miejscowych w b. Galicji. Urządzenia wojskowe w b. Galicji. Oświata pozaszkolna w Dzikowie. Uroczystości narodowe w powiecie tarnobrzeskim. Rok 1809 pod Sandomierzem.

Władza administracyjna i sądownicza po wsiach i miasteczkach w b. zaborze austrjackim należała początkowo do dworów. Właściciel dworu posiadał władzę tę w obrębie swego obszaru, stanowiącego odrębne ciało administracyjne pod nazwą dominjum i mógł ją sprawować sam, albo też obowiązany był przyjąć do pełnienia czynności administracyjnych i w części sądowych urzędnika, zwanego mandatarjuszem dominjalnym, do prowadzenia zaś ważniejszych spraw sądowych zastępcę, zwanego justycjarjuszem. Urzędnicy ci byli egzaminowani i zaprzysięgani w cyrkule względnie w sądzie apelacyjnym, odpowiedzialność zaś za urzędowanie i płace ich, ciążyły w zupełności na dominjach. Mogli oni być także równocześnie oficjalistami gospodarczymi. — Osady, podlegające władzy dominjalnej, posiadały starszyznę miejscową, z łona swego wybraną, którą stanowił wójt i przysiężni (Patent ces. z 13 kwietnia 1784).

Urządzenia powyższe zostały uchylone dopiero w r. 1855 i 1856 po ustanowieniu urzędów powiatowych, będących administracyjnemi i sądowemi władzami pierwszej instancji i po ogłoszeniu »Tymczasowych postanowień o urządzeniu gmin (gromad)«.

Tymczasowe urządzenia gminne pozostały w swej mocy, z bardzo małemi zmianami, aż do wejścia w życie

ustawy gminnej z 12 sierpnia 1866 r. Według tej ustawy gminy wiejskie, istniejące w czasie wydania patentu z dnia 13 kwietnia 1784 r., na który powołują się tymczasowe postanowienia z r. 1856, pozostały nadal odrębnemi ciałami administracyjnemi. — Obok gmin drugi równorzędny obszar administracyjny stanowiły obszary dworskie, które w r. 1856 wydzieliły się ze związku gminnego i które zastała ustawa z 12 sierpnia 1866 r. — Tad. Pilat, »Pogląd historyczny na urządzenia gminne w Galicji«. Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych. Rocznik IV. Lwów, 1878.

*
* *

W XVIII wieku przeprowadzono w Austrji doniosłe urządzenia wojskowe, które zaczęły obowiązywać odrazu w Galicji, gdy dostała się pod panowanie austrjackie. Przeprowadzono system przymusowego rekrutowania. Kto miał być do wojska oddany, roztrzygała o tem zwierzchność gruntowa według własnego uznania, a od r. 1848 losowanie pomiędzy wszystkimi obowiązanymi w zasadzie do tej służby. — Zrazu służba wojskowa była dożywotnią, dopiero w r. 1802 postanowiono, że obowiązek ten jest czasowym i wynosi w piechocie lat 10, w konnicy 12, w artylerji 14. — W ostatnich dziesiątkach lat urządzenia powyższe uległy przeważnie gruntownej zmianie. — O. Balzer, »Historja ustroju Austrji w zarysie«. Lwów, 1899.

*
* *

Pierwsza czytelnia, a właściwie wypożyczalnia książek Tow. Oświaty Ludowej, otwarta w Dzikowie 19 stycznia 1889 r., powstała za staraniem dr. A. Surowieckiego. Mieściła się w szkole, prowadzona była przez dyr. Michalika i budziła żywy ruch oświatowy. — W r. 1901 powstało w Tarnobrzegu Koło Włościańskie Tow. Szkoły Ludowej, założone za staraniem Wojciecha Wiącka. Zasobna bibljoteka tego Koła mieściła się w Czytelni Włościańskiej w Dzikowie, założonej w r. 1903, i korzystała z niej ludność tu-

tejsza. — Zczasem jednak działalność obu tych instytucyj osłabła i dopiero w r. 1911 założona została w Tarnobrzegu za staraniem dyr. Stan. Sobińskiego dobrze zorganizowana wypożyczalnia T. S. L., z której w znacznej mierze korzystają też mieszkańcy Dzikowa.

Na uwagę zasługują czasopisma, wydawane w Tarnobrzegu. W latach 1901 i 1902 wychodził tu dwutygodnik »Głos Ziemi Sandomierskiej«, założony przez Wojciecha Wiącka, przeznaczony dla ludu. W latach 1908 i 1909 wydawany był miesięcznik »Powiatowy Dziennik Urzędowy«, założony przez starostę Eugenjusza Swobodę, pomieszczający obok okólników władz powiatowych także artykuły z przeszłości powiatu i inne. Po wskrzeszeniu Państwa Polskiego wychodził pod redakcją dr. Leonarda Madeja w r. 1921 i 1922 dwutygodnik »Obywatel«, a w r. 1923 i 1924 »Głos Ziemi Tarnobrzeskiej«, oba poświęcone sprawom oświatowym, społecznym i gospodarczym. W r. 1927 wychodził tygodnik »Wieści Nadwiślańskie«, wydawany przez Wojciecha Wiącka.

*
* *

Pierwszą z uroczystości narodowych, które przyczyniały się do budzenia uczuć patrjotycznych i uświadomienia narodowego wśród ludu w tarnobrzeskiem, były »Wianki«, urządzone w r. 1888 na Wiśle pod Tarnobrzegiem, przez komitet z miejscowej inteligencji. — W latach 1895—1897 odbywały się w Machowie pod gołem niebem przedstawienia bitwy racławickiej, urządzane przez tamtejszych włościan, według pomysłu i pod kierownictwem Wojciecha Wiącka.

W latach 1900—1902 były święcone uroczyście w Radomyślu nad Sanem rocznice powstania styczniowego, urządzane przez tamtejszą młodzież, skupiającą się w towarzystwie »Klub Kawalerów«. — W r. 1909 odbyła się we Wrzawach wielka uroczystość z powodu 100-ej rocznicy

stoczonej tam bitwy. — W r. 1910 w wielu miejscowościach w powiecie święcono uroczyście 500-ą rocznicę bitwy grunwaldzkiej, w niektórych parafjach stanęły wówczas krzyże pamiątkowe, a w Chmielowie usypano kopiec grunwaldzki. — Prócz tych wielkich uroczystości odbywały się mniejsze i upowszechniały się coraz więcej.

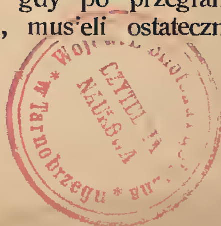
*
* *

Wojna w r. 1809 między Austrją a cesarzem Francuzów Napoleonem, wspieranym wówczas przez armję polską Księstwa Warszawskiego, zaznaczyła się silnie w okolicach Sandomierza. Ze starć orężnych, jakie wówczas zaszły między wojskiem polskiem a austrjackiem, bitwy pod Sandomierzem należą do najważniejszych.

Najpierw wojsko polskie pod gen. Sokolnickim zdobyło Sandomierz szturmem 18 maja 1809 r. i odebrało go Austrjakom, dzierżącym wówczas oprócz Galicji także ziemie między Pilicą a Bugiem. Zaraz jednak Austrjacy rozpoczęli działania celem odzyskania napowrót tej twierdzy, stanowiącej ważną pozycję, niejako klucz do reszty kraju. Stoczono tu wtedy bitwę pod Wrzawami (gdzie dziś wznosi się pomnik ku czci poległych), po której armja polska wycofała się za San, a nieprzyjaciel rozpoczął bombardowanie Sandomierza ze wszystkich stron. Załoga polska odpierała wszystkie ataki walecznie, musiała jednak ulec przeważającej sile i 18 czerwca kapitulowała, uzyskawszy zaszczytne warunki, mianowicie: prawo opuszczenia twierdzy z bronią i sztandarami.

Sandomierz więc, zdobyty sławnym szturmem przez wojsko polskie 18 maja, po miesiącu został znowu opanowany przez Austrjaków, którzy jednak jeszcze tegoż roku oddali go Księstwu Warszawskiemu, gdy po przegranej ostatecznie wojnie, na mocy pokoju, musieli ostatecznie ustąpić z za Wisły i Sanu.





SPIS RZECZY.


CENTRALA BIBLJOTECZNA
T. S. L.
WICA

bywał. Zmiany w stroju i zabawach. Zmiany spowodowane przez wojnę światową i powstanie Państwa Polskiego. Co było w przeszłości dobre. Co dotychczas ludowi najbardziej szkodzl. Co jest największym skarbem człowieka. Zakończenie.

SPIS RYCIN.

1(—————

